

# Opiekunowie

## KOONTZ DEAN R



calibre 0.7.28

DEAN R. KOONTZ

Opiekunowie

Przełożył:

MIROSLAW KOSCIUK

Tytuł oryginału: WATCHERSData wydania oryginalnego: 1987

Data wydania polskiego: 1993

Książkę tę poświęcam

Lenartowi Sane,

Który jest nie tylko najlepszy w tym, co robi,

Ale również niezwykle sympatyczny.

A także

Elizabeth Sane,

Która jest równie czarująca jak jej mąż.

Część pierwsza

## KRUSZENIE PRZESZŁOŚCI

Przeszłość to nic innego jak początek początku i wszystko, co jest było, stanowi tylko brzask świtania.

H.G. Wells

Spotkanie dwóch osobowości przypomina kontakt dwóch substancji

chemicznych: jeżeli nastąpi jakakolwiek reakcja, obie ulegają zmianie.

C.G. Jung

I

1

W dniu swych trzydziestych szóstych urodzin, osiemnastego maja, Travis Cornell wstał o piątej rano. Ubrał się w dzinsy i bawełniana koszulę z długimi rękawami w niebieską kratę, na nogi nałożył mocne buty do pieszej wędrowki. Wsiadł do polciezarówki przed swym domem w Santa Barbara i ruszył w stronę Santiago Canyon, drogi biegnącej przez tereny rolnicze, ciągnące się wzdłuż wschodnich obrzeży Orange County, na południe od Los Angeles. Zabrał ze sobą jedynie paczkę ciastek, duży pojemnik z napojem pomarańczowym oraz nabity rewolwer Smith and Wesson, kaliber 38 Chiefs Special. Podczas dwupółgodzinnej podróży ani razu nie włączył radia. Nie nucił, nie gwizdał ani nie śpiewał pod nosem, jak zazwyczaj

czynia ludzie samotni. Po prawej stronie przez jakiś czas mogli oglądać Pacyfik. W pobliżu horyzontu ocean miał ciemną barwę, wydawał się twardy i zimny niczym skała, ale przy brzegu poranne światło zdobiło jego powierzchnię jasnymi plamami w kolorach mosiadzu i różu. Nawet na chwilę widok morza, które blask słońca przyozdobił wspaniałymi tysiącami ciekawych, nie wzbudził w Travisie uczucia zachwytu.

Był szczupłym, muskularnym mężczyzną o głęboko osadzonych ciemnobrazowych oczach i tej samej barwy włosach. Miał wąską twarz, patrycjuszowski nos, wystające kości policzkowe oraz ostro zakończony podbródek. Ascetyczne rysy pasowałyby znakomicie do jakiegoś mnicha z zakonu, w którym wciąż jeszcze wierzone w zbawienne skutki samobiczowania i możliwość oczyszczenia duszy poprzez cierpienie. On sam zresztą niemal już w życiu wycierpiał. A przecież ta twarz potrafiła być miłą, ciepłą i otwartą, jej uśmiech czarował kobiety. Ale to było kiedyś. Już od dawna się nie uśmiechał.

Ciastka, napój i rewolwer włożył do małego zielonego plecaka z nylonu, który leżał teraz na fotelu obok. Od czasu do czasu posyłał spojrzenie w jego stronę, jakby poprzez tkaninę potrafił dojrzeć naładowaną bronią.

Z Santiago Canyon Road skręcił na lewą stronę, która wkrótce przeszła w fatalną drogę gruntową. Kilka minut po wpół do dziewiątej zaparkował swój czerwony samochód na poboczu, w cieniu galezi rozłożystego siewka.

Zarzucił plecak na ramiona, po czym ruszył w kierunku podnóża gór Santa Ana. Od dzieciństwa znał tutaj każde zbocze, dolinę, grzbiet czy wąską ścieżkę. Jego ojciec miał kamienny domek w górnej części kanionu Holy Jim, położonego najdalej spośród wszystkich zamieszkałych kanionów, toteż Travis całymi tygodniami przemierzał dzikie tereny w promieniu wielu mil od chaty.

Uwielbiał te dzikie kaniony. W czasach jego dzieciństwa okoliczne lasy zamieszkiwały czarne niedzwiedzie; dziś nie było już po nich śladu. Spotykało się tu jednak jeszcze zwierzyne płowa, choć również nie tak często jak przed dwudziestu laty. Na szczęście krajobraz nie utracił nic ze swojej urody: wspaniałe fałdy tektoniczne i góry narzutowe, oszalałe swą bujnością krzewy i drzewa pozostały takie jak dawniej; w wielu miejscach droga biegła pod prawdziwymi baldachimami kalifornijskich dębów i sekwojów.

Co jakiś czas mijał chaty stojące samotnie lub całe ich skupiska. Część mieszkańców kanionu stanowili osobnicy przekonani, że zbliża się kres cywilizacji, którzy szukali przed nim schronienia w tej głuszy, nie mając dość odwagi, by udać się w miejsca jeszcze bardziej odludne. Większość tworzyli jednak zwyczajni ludzie, którym obrzydł zgiełk nowoczesnego życia i którzy wolali mieszkać tutaj pomimo braku instalacji sanitarnych czy elektryczności.

Chociaż owe kaniony położone były w znacznej odległości od ośrodków miejskich, już wkrótce mogły do nich dotrzeć szybko rozrastające się przedmieścia. Wewnątrz koła o promieniu stu mil, w przenikających się nawzajem okręgach Orange i Los Angeles, których rozwoju nic nie było w stanie powstrzymać, żyło bowiem prawie dziesięć milionów ludzi.

W tej chwili jednak te nie tknięte przez nowoczesną cywilizację ziemie zalewały promienie krystalicznego światła i w jego blasku wszystko wydawało się czyste i dzikie.

Dotarłszy do pozbawionego drzew grzbietu wzniesienia, gdzie rozwijająca się podczas krótkiej pory deszczowej trawa zdążyła już wyschnąć i zbrązowieć, Travis przysiadł na

szerokiej płycie skalnej, po czym sciągnął z grzbietu plecak.

Długi na pięć stop grzechotnik wygrzewał się na odłamku skały oddalonym o jakieś pięćdziesiąt stop. Waz unosił odrazającą, kanciastą głowę i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

Bedac chłopcem zabił wśród tych wzgórz dziesiątki grzechotników. Wydobyl z plecaka rewolwer, po czym podniósł się ze skały. Postąpił kilka kroków w stronę gada.

Grzechotnik wyciągnął głowę jeszcze wyżej, ani na chwilę nie spuszczał z niego oczu.

Travis zrobił jeszcze dwa kroki i przyjął postawę strzelecką, z obiema dłońmi zacisniętymi na kolbie broni.

Waz zaczął zwinąć ciało. Wkrótce uświadomił sobie, że nie zdoła uderzyć z takiej odległości i wówczas spróbuje ucieczki.

Choć Travis był pewien, że trafi w tak łatwy cel, poczuł ze zdumieniem, że nie będzie w stanie nacisnąć na spust. Przybył do tych wzgórz nie tylko po to, by przypomnieć sobie czasy, gdy cieszył się życiem, ale także po to, by zabijać weże, jeśli tylko je napotka. Ostatnio, doświadczając ciągle napadów depresji i frustracji na przemian, wywołanych samotnością oraz poczuciem bezsensu własnej egzystencji, miał nerwy napięte niczym cięciwa kuszy. Musiał się rozładować w jakimś gwałtownym działaniu, a zabicie paru węży - akt, który nikomu nie miał przynieść szkody - wydawało się doskonałą receptą na dolegliwości. Tymczasem, wpatrując się w węża doszedł do wniosku, że jego własne istnienie jest czymś mniej sensownym niż życie tego gada; grzechotnik zajmował właściwą sobie ekologiczną niszę i prawdopodobnie czerpał z tego o wiele więcej radości niż Travis. Reka zaczęła mu drżeć, a rewolwer co chwila zsuwał się z celu. Nie potrafił znaleźć w sobie dość siły, aby wystrzelić, toteż w końcu opuścił broń i wrócił do skały, na której zostawił plecak.

Waz był najwyraźniej pokojowo usposobiony, gdyż przytknął głowę do powierzchni glazu, ponownie popadając w odretwienie.

Travis rozerwał opakowanie ciastek. Były przysmakiem jego dzieciństwa, ale nie próbował ich już od piętnastu lat. Smakowały niemal tak dobrze, jak to zapamiętał. Popił je napojem z pojemnika, lecz tym razem spotkało go rozczarowanie. Płyn był zdecydowanie zbyt słodki dla jego dorosłego podniebienia.

Przyszło mu na myśl, że niewinność, entuzjazm, radość i żarliwość młodości można wydobyć z glebi pamięci, lecz zapewne nigdy nie da się ich w pełni przeżyć ponownie.

Zarzucił plecak ponownie na ramiona i pozostawiając za sobą plawiącego się w słońcu grzechotnika, zaczął schodzić południowym zboczem w obszar cienia rzucanego przez drzewa rosnące u wylotu kanionu. Dotarłszy do nachylonego w kierunku zachodnim mrocznego dna kanionu, skręcił na ścieżkę wydeptaną przez jelenie.

Kilka minut później, przeszedłszy pomiędzy dwiema okazałymi kalifornijskimi sykomorami, których pochylone ku sobie pnie tworzyły jakby sklepienie przejścia, wkroczył na niewielką załaną słońcem polanę. Po drugiej stronie przesieki opadająca łagodnie w dół ścieżka niknęła z powrotem w gęstwinie świerków, laurowców i sykomor. Kiedy tak stał na skraju słonecznej plamy, mógł stąd dostrzec tylko niewielki odcinek biegnącego wśród zaskakująco gęstych ciemności szlaku.

Tra vis zamierzał właśnie wkroczyć w obszar cienia, gdy spomiędzy suchych zarosli po prawej wypadł zadyszany pies i skierował się prosto ku niemu. Sądząc z wyglądu, był to rasowy złocisty retriever. Mogł mieć najwyżej około roku, bo chociaż rozmiarami przypominał dorosłe zwierze, pozostało mu jeszcze coś ze zwawości szczeniaka. Gęsta sierść była zmierzwiona i mokra, poprzetykana kawałkami galezi i liści. Pies zatrzymał się na wprost Trávisa, przysiadł, przekrzywił głowę, a następnie popatrzył na niego bardzo przyjaźnie.

Choc niezwykle brudny, retriever sprawiał sympatyczne wrażenie. Tra vis pochylił się, poklepał go po głowie, podrapał za uszami.

Był prawie pewien, że łaďa moment wyłoni się z zarosli zasapany i wściekły właściciel czworonoga, jednak nie pojawił się nikt. Zwierze nie miało ani obrozy, ani żadnego znaczká.

-Z pewnością nie jesteś dzikim psem, prawda, chłopie? Retriever parsknął.

-Nie, jesteś zbyt przyjazny, żeby być dzikim. I raczej się nie zgubiłes, co?

W odpowiedzi pies obwachał mu rękę.

Na jego prawym uchu Travis dostrzegł ciemną plamę zaschniętej krwi. Świeża krew widac było na przednich łapach, jak gdyby zwierze, wędrując długo przez skalisty teren, pozdzierało z nich sobie skóre.

-Wygląda na to, że miałes, bracie, ciężką podróż.

Pies zaskomlał cicho, jakby zgadzając się ze słowami Trávisa.

Nadal gładził retrievera po grzbiecie i drapał go za uszami. Po paru minutach przylapał się na tym, że spodziewa się po nim czegoś, czego czworonóg z pewnością nie był w stanie mu dać; że dzięki niemu odnajdzie sens życia, uwolni się od poczucia rozpaczý.

-Ruszał w swoją stronę. - Poklepał go lekko po boku, podniósł się i rozprostował kości.

Pies nie ruszył się z miejsca.

Wyminał go i ruszył przed siebie tonąc w mroku ścieżki.

Retriever szybko obiegł go dookoła i zastąpił mu drogę. - Odsun się, chłopie.

Zwierze obnażyło zęby, a z głębi jego gardła dobiegł ostrzegawczy, niski pomruk.

Tra vis zmarszczył czoło.

-Odsun się. Dobry piesek.

Spróbował iść dalej, lecz retriever zawarczał i wyszczerzając kły dopadł do jego nog. Pospieszenie odskoczył dwa kroki w tył.

-Hej, co w ciebie wstąpiło?

Pies przestał warczeć i znieruchomiał, sapiąc głośno.

Travis zdecydował się na jeszcze jedną próbę, lecz pies zaatakował go natychmiast ze

wzmozona furia. Nadal nie szczekał, ale uparcie warczać i szczerzyć zęby, zmusił człowieka do cofnięcia się w głąb polanki. Travis zrobił kilka niezgrabnych kroków na śliskim podłożu, przykrytym warstwą obumarłych świerkowych i sosnowych szpilek, po czym potknął się i z rozmachem klapnął na ziemię.

Gdy tylko Travis upadł, retriever przestał się nim interesować. Podbiegł na skraj ścieżki i zapatrzył się w zalegający w dole mrok. Jego uszy uniosły się do góry tak wysoko, jak było to możliwe w wypadku obwisłych uszu retrievera.

-Przeklęty pies - rzucił Travis. Zwierzę całkowicie zignorowało jego słowa.

-Co się, u diabła, z tobą dzieje?

Stojąc w plamie cienia czworonóg nadal wpatrywał się w jeleni szlak, który biegł u podnóża gęsto zadrzewionego zbocza kanionu. Podkuł ogon i prawie wpełznął go pomiędzy zadnie łapy.

Travis uzbierał garść kamieni, podniósł się z ziemi i cisnął jednym z nich w retrievera.

Choć pocisk ugodził psa w bok z dużą siłą i na pewno sprawił mu ból, zwierzę nie wydało z siebie żadnego dźwięku. Zaskoczone rozejrzało się tylko dokoła.

No to się dograłem, pomyślał Travis. Teraz skocz mi do gardła.

Tymczasem retriever posłał mu jedynie pełne wyrzutu spojrzenie i nadal wcale nie zamierzał wpuszczać go na ścieżkę.

Było coś w tym wynędzniałym stworzeniu, w wyrazie szeroko rozstawionych ciemnych oczu lub w sposobie, w jaki pochylało dużą, kanciastą głowę, co sprawiło, że Travis doznał niejasnego poczucia winy. Nie powinien w niego rzucać kamieniem. Wyglądało na to, że ten cholerny pies rozczerował się do niego. Zrobiło mu się wstyd.

-Hej, posłuchaj - powiedział - przecież to ty zacząłeś. Pies nie spuszczał z niego oczu.

Travis wyrzucił na ziemię resztę kamieni.

Pies odprowadził go wzrokiem, potem ponownie spojrzał na człowieka. Travis mógłby przysiąc, że na psim pysku pojawił się wyraz aprobaty.

Travis mógł zawrócić. Mogł też poszukać innej drogi w dół kanionu. Opanowało go jednak irracjonalne pragnienie, by przez naprzód, postawić za wszelką cenę na swoim. W tak ważnym dla siebie dniu nie zamierzał pozwolić, by coś takiego jak zwyczajny uparty pies mogło wpłynąć na zmianę jego planów lub choćby na opóźnienie ich realizacji.

Podniósł się, ruchem ramienia poprawił położenie plecaka, odetchnął głęboko żywym powietrzem i śmiało ruszył przez polanę.

Retriever zaczął znowu warczeć ostrzegawczo, spod jego warg ponownie ukazały się zęby.

Z każdym krokiem odwaga Trávisa malała, a kiedy znalazł się o kilka zaledwie stop od psa, przyszło mu do głowy inne rozwiązanie. Zatrzymał się, pokręcił głową, po czym zaczął go łagodnie lać.

-Niedobry pies. Jesteś bardzo niegrzeczny! Wiesz o tym? Co się z tobą dzieje? Hmmm? Przecież nie jesteś chyba zły od urodzenia. Wyglądasz mi na dobrego pieska.

Pod wpływem tej przemowy retriever przestał warczec i kilkakrotnie zamachał, trochę niepewnie, puszystym ogonem.

-Dobry piesek - powiedział przymiłnie Travis. - Tak jest znacznie lepiej. Chyba zostaniemy przyjaciółmi, co?

Pies zapiszczał pojednawczo, wydając z siebie ową znajomą, przyjazną dźwięk, za pomocą którego wszystkie psy wyrażają właściwą ich gatunkowi potrzebę miłości.

-No, to w końcu do czegoś doszliśmy - powiedział Travis robiąc krok w stronę retrievera. Zamierzał podejść bliżej i go pogłaskać.

W tej samej chwili pies rzucił się na niego, głośno warcząc, i z powrotem odepchnął go na skraj polany. Wpił się zębami w nogawkę dzinsów, z wściekłością trzesąc głową. Travis próbował wymierzyć mu kopniaka, lecz chybił. Zamachnął się tak mocno, że na moment stracił równowagę, co skwapliwie wykorzystał czworonóg. Złapał go za drugą nogawkę i energicznie pociągnął w bok, zmuszając do szybkich podskoków na jednej nodze. Choć Travis rozpaczliwie walczył o utrzymanie się na nogach, wkrótce raz jeszcze wylądował na ziemi.

-O cholera! - wykrzyknął, czując się niezmiernie głupio. Odzyskawszy przyjazny nastrój, pies ze skomleniem polizał mu rękę.

-Ty chyba masz schizofrenię - powiedział Travis.

Pies powrócił na przeciwległy skraj polanki. Stanął tyłem do Trávisa, całą uwagę koncentrując na opadającym w dół, pomiędzy drzewami, jeleniu szlaku. Nagle zniżył głowę, przygarbił grzbiet. Widac było napinające się pod skórą mięśnie, jakby zwierzę szykowało się do gwałtownego skoku.

-Czemu się przyglądasz? - Travis zdał sobie naraz sprawę, że psa interesował może nie sam szlak, lecz to, co się na nim znajdowało. - Może pumie? - zastanawiał się głośno, wstając z ziemi. W latach jego młodości w tutejszych lasach było pełno pum, parę sztuk mogło więc zachować się nawet do dziś.

Retriever znowu zawarczał przeciągle, tym razem nie na Trávisa, lecz na ową przykuwający jego uwagę obiekt. W niskim, ledwo słyszalnym pomruku pobrzmiwały zarówno złość, jak i strach.

Kojoty? Wzgórza się od nich roją. Stado głodnych kojotów mogło wzbudzić niepokój nawet dużego zwierzęcia.

Z przeraźliwym skowytom pies nagle zawrócił, zostawiając za sobą mroczny trakt. Wyminał Trávisa i popędził ku przeciwległej ścianie drzew. Zamiast jednak biec dalej, zatrzymał się w lukowatym przejściu utworzonym przez dwie sykomy, które Travis minął jakiś czas temu, po czym wyczekująco popatrzył na człowieka. Rozczarowany brakiem reakcji wrócił do niego, zatoczył ciasne koło, schwył w zęby nogawkę spodni i ruszył tyłem starając się pociągnąć Trávisa za sobą.

-Zaczekaj, zaczekaj, już dobrze.

Retriever rozwarł szczęki, wydając równocześnie krótki odgłos, bardziej przypominający potężny wydech niż szczeknięcie.

Najwyraźniej - choć trudno było w to uwierzyć - pies podjął celowe działanie, aby powstrzymać go przed wejściem na mroczną, wydeptaną przez jelenie ścieżkę, ponieważ coś na niej było. Coś niebezpiecznego. A teraz chciał skłonić go do ucieczki, gdyż tamto niebezpieczne stworzenie podeszło bliżej.

Coś nadchodziło. Ale coż to takiego mogło być?

Travis nie czuł strachu, lecz tylko ciekawość. Cokolwiek by to było, mogło wystraszyć psa, ale przecież żadne z zamieszkujących te lasy zwierząt, nawet kojot czy puma, nie zaatakowałoby dorosłego człowieka.

Popiskując z niecierpliwości retriever ponownie złapał zębami nogawkę spodni Trávisa.

Zachowywał się w sposób zupełnie niezwykle. Jeżeli był przerażony, to dlaczego nie uciekł, zapominając o przypadkowo napotkanym człowieku? Przecież on, Travis, nie był jego panem; nie łączyły ich żadne więzy uczuciowe. Zwyczajne psy nie przejawiają poczucia obowiązku wobec nieznanych sobie ludzi, obca im jest moralność i współczucie. Co ten zwierzątko sobie właściwie wyobrażał - że jest drugą Lassie? - Już dobrze, dobrze - powiedział Travis. Uwolnił się z uchwytu retrievera i ruszył za nim ku bramie utworzonej z dwóch pochyłonych ku sobie sykomor.

Pies wysforował się naprzód. Pedził pod górę szlakiem pnącym się ku krawędzi kanionu, gdzie rzędzące drzewa przepuszczały nieco więcej światła.

Mijając sykomor Travis przystanął. Zmarszczywszy czoło spoglądał poprzez rozświetloną słońcem polanę ku mrocznej dziurze w poszyciu, miejscu, w którym szlak zaczynał opadać. Co też nim nadchodziło?

Ostre krzyki cykad urwały się nagle, jak gdyby ktoś unosił nagle ramię gramofonu znad płyty. W lesie zapanała nienaturalna cisza.

Zaraz potem do uszu Trávisa dobiegło dziwne szuranie. Grzechot poruszonych kamieni. Cichy chrzęst zeschłych zarosli. Zwierzę musiało być dalej, niż sugerowały to dźwięki, wzmocnione echem powstającym w wąskim tunelu pomiędzy pniami drzew. Niemniej jednak zbliżało się szybko. Bardzo szybko.

Teraz dopiero Travis po raz pierwszy poczuł, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiedział, iż żadne zwierzę nie było na tyle wielkie lub odważne, aby go zaatakować, w tym momencie rozum uległ jednak instynktowi. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi.

Retriever, który wspinał się już znacznie wyżej, dostrzegł jego wahanie i zaszczekał nagle.

Kilkanascie lat temu mogłoby przypuszczać, że szlakiem pędzi rozwścieczony czarny niedźwiedź, doprowadzony do obłędu przez chorobę czy ból. Ale mieszkańcy kanionów oraz niedzielni wycieczkowicze dawno już wypłoszyli parę ostatnich ocalałych niedźwiedzi daleko w głąb gór Santa Ana.



Sadzac po odgłosach, nieznany stwór w każdej chwili mógł wypasc na polane.

Nagły chłód spłynął w dół po grzbiecie Trávisa niczym opadający po okiennej szybie śnieg z deszczem.

Chciał zobaczyć to zwierzę, ale jednocześnie dławił go głęboki, instynktowny lęk.

W gorze kanionu rozległo się znowu gorączkowe szczekanie retrievera.

Travis zawrócił na pięcie i pobiegł w jego stronę.

Był w dobrej formie, nie miał nawet funta nadwagi. Poprzedzany przez dyszącego retrievera, przycisnąwszy ramiona do boków pedził szlakiem w górę, nurkując pod zwieszającymi się galeziami. Złobione podeszwy jego butów zapewniały dobrą przyczepność, więc choć potykał się na obluzowanych kamieniach czy też ślizgał na grubej warstwie suchych sosnowych szpilek, to jednak nie upadł. Biegnąc przez kałuże słonecznego światła, które wyglądały jak plamy żywego ognia, czuł, jak w jego płucach zaczyna gorzeć inny ogień.

Travis Cornell doświadczył w swoim życiu wielu niebezpieczeństw i tragedii, a jednak do tej pory nigdy nie uciekał jeszcze przed niczym. Nawet w najgorszych opresjach nie poddawał się przerażeniu, potrafił spokojnie znosić ból i doznawane straty. Teraz jednak stało się z nim coś niezwykłego. Utracił panowanie nad sobą. Po raz pierwszy w życiu uległ panice. Lęk, który nim ośwładał, dotarł do głębokiej pierwotnej warstwy jego osobowości, gdzie dotychczas nic jeszcze nie zdołało się przebić. W czasie tej gonitwy na złamanie karku scierpla mu skóra, a całe ciało spłynęło zimnym potem. Zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego nieznany przesładowca budzi w nim tak ogromny strach.

Nie oglądał się za siebie. Początkowo nie odrywał ani na chwilę wzroku od kretej ścieżki, bo bał się zderzyć z wiszącymi nisko galeziami. W miarę jak biegł, panika rosła, toteż po przebyciu kilkuset jardów nie chciał spoglądać w tył przede wszystkim dlatego, że obawiał się tego, co mogłby zobaczyć za plecami.

Zdawał sobie sprawę, że jest to zachowanie całkowicie irracjonalne. Ciarki wzdłuż kręgosłupa i przenikający wewnętrznego chłód były oznakami wręcz zabobonnego strachu. A mimo to cywilizowany i wykształcony Travis Cornell poddał się władzy przerażonego dzikiego dziecka, jakie zamieszkuje w każdej ludzkiej istocie - owej genetycznej spuścizny po tym, czym kiedyś byliśmy - i mimo olbrzymiego wysiłku nie udawało mu się odzyskać panowania nad sobą, chociaż przez cały czas był świadom absurdalności swych reakcji. Rządził nim teraz zwierzęcy instynkt i właśnie ów instynkt kazał mu biec, przestać myśleć i biec.

W pobliżu wylotu kanionu szlak skręcał na lewo i licznymi zakolami piał się stroma północna ściana w górę. Minawszy zakręt Travis dostrzegł leżącą w poprzek drogi kłodę, spróbował nad nią przeskoczyć, lecz zawadził stopą o sterczący konar i runął jak długi, tłukąc bolesnie pierś. Oszolomiony, przez chwilę nie był w stanie zaczerpnąć tchu czy choćby się poruszyć.

Był przekonany, że łąka moment coś zwali się na niego i rozszarpie mu gardło.

Nadbiegł retriever, z łatwością przeskoczył nad Travisem i pewnie wylądował na ścieżce za nim. Zaczął zawzięcie ujadac na ścigające ich stworzenie, a szczekał znacznie groźniej niż poprzednio na Trávisa. Travis przetoczył się na bok, po czym usiadł, ciężko dysząc. Nie dostrzegł niczego na biegnącym w dół odcinku szlaku. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że zagadkowy przedmiot wrogości retrievera musi się znajdować w innej stronie. Pies stał

bokiem do ścieżki, z głową zwróconą ku poszyciu gęstego lasu leżącego na wschód od nich. Pryskając ślina szczekał zajądło i tak głośno, że każde szczeknięcie dzwieczało w uszach Trávisa niczym eksplozja. Nabrzmiły niepohamowana furia głos brzmiał przerazająco. Pies ostrzegał w ten sposób niewidzialnego wroga, by nie podchodził bliżej.

-Spokojnie, piesku - powiedział Travis. - Spokojnie.

Retriever przestał ujadac, lecz nawet nie zerknął na stojącego obok człowieka. Z napięciem wpatrywał się w zarośla odsłoniwszy zęby spod czarnych warg. Z głębi jego gardła dobywało się głuche warczenie.

Wciąż z trudem łapiąc oddech, Travis podniósł się na nogi i omiotł spojrzeniem wschodnią polac lasu. Drzewa iglaste, sykomory, kilka modrzewi. Tu i owdzie złociste igły światła przyszpilały do ziemi łatę cienia. Zarośla. Wrzosce. Dzikie wino. Troche zwietrzałych, postrzępionych skał. Nie dostrzegł niczego niezwykłego.

Położył dłoń na głowie psa, a ten, jakby pojmując jego intencję, przestał warczec. Travis wstrzymał oddech, starając się dosłyszec w zaroślach jakieś odgłosy.

Cykady nadal milczały. Ukryte wśród gałęzi drzew ptaki przerwały również swój śpiew. W lesie zapanowała cisza, jak gdyby skomplikowany mechanizm kosmicznego zegara nagle przerwał swój ruch.

Był pewien, że to nie on stał się przyczyną tego złowrobnego milczenia. Gdy jakiś czas temu przemierzał kanion, nie przeszkadzało to ani cykadom, ani ptakom.

W pobliżu znajdowało się coś jeszcze. Intruz, którego obecności zwyczajni mieszkańcy lasu nie chcieli aprobowac.

Zaczerpnął głęboko powietrza i ponownie zamienił się w słuch, usiłując pochwycić choćby najsłabsze poruszenie w głębi zieleni. Po chwili dobiegł do niego szelest zarośli, trzask łamanych gałązek, cichy chrzęst suchych liści oraz denerwujący, dziwaczny, ciężki i nierówny oddech czegoś dużego. Dźwięki dochodziły z odległości jakichś czterdziestu stop, lecz Travis nie potrafił określić bardziej dokładnie położenia ich źródła.

Stojący przy jego nodze retriever wyraźnie zesztywniał, a jego obwisłe uszy nieco się uniosły.

Chrapliwy oddech nieznanego przesładowcy brzmiał tak przerazająco - może dlatego, że wzmacniało go echo odbite od ściany lasu - iż Travis pospiesznie ściągnął z ramion plecak, odpisał klape i wyciągnął nabita trzydziestka osemkę.

Pies popatrzył na rewolwer. Travis odniósł dziwne wrażenie, że zwierze wiedziało, do czego służy ów przedmiot, i jego pojawienie się przyjęło z aprobatą.

Nie mając pewności, czy kryjące się wśród drzew stworzenie nie jest człowiekiem, Travis zawołał:

-Hej, kto tam się chowa? Wyjdź i się pokaż!

Oprocz oddechu dobiegało teraz stamtąd niskie złowrogie warczenie. Słyszac te niesamowite, gardłowe odgłosy Travis nie potrafił opanowac drżenia. Serce zaczęło mu bic

jeszcze szybciej, a mięśnie zesztyniały, podobnie jak u stojącego obok retrievera. Przez kilka wlokących się w nieskończoność sekund nie mógł zrozumieć, dlaczego ten dźwięk wzbudził w nim tak potężną falę strachu. Później pojął, że tym, co go przeraziło, było coś zaskakująco dwuznacznego, tajemniczego, co usłyszał w tym pomruku, głos stworzenia był bez wątpienia głosem zwierzęcia... a jednak gdzieś w jego głębi pobrzmiwały nuty świadczące o inteligencji, dało się słyszeć tony i modulacje przypominające sposób mówienia rozszalonego człowieka. Im dłużej się Travis wsłuchiwał, tym większego nabierał przekonania, że dźwięki te nie były wydawane ani przez zwierzę, ani przez człowieka. A jeśli tak... to kto czaił się w zaroślach?

Dostrzegł jakiś ruch w kepie wysokich krzewów. Dokładnie na wprost siebie. Coś zbliżało się w ich stronę.

-Stój! - wrzasnął ochryple. - Nie zbliżaj się! Istota zbliżała się nadal.

Była już nie dalej jak trzydzieści stop od Trávisa.

Poruszała się teraz nieco wolniej, starała się zachować może ostrożność, mimo to z każdą chwilą była coraz bliżej.

Złocisty retriever zawarczał groźnie próbując odstraszyć niewidzialnego wroga, drżał jednak wyraźnie na całym ciele. Choć groził ukrytemu w zaroślach stworzeniu, musiał odczuwać głęboki lęk przed konfrontacją.

Widząc ten wyraźny strach psa Travis zaniepokoił się jeszcze bardziej. Retriewery słyną z odwagi. Sprawują się znakomicie jako psy myśliwskie, są też często używane w niebezpiecznych akcjach ratowniczych. Jakie zagrożenie lub jaki przeciwnik mogły wzbudzić przerażenie w tym silnym, dumnym zwierzęciu?

Ukryte w zaroślach stworzenie znajdowało się już tylko o dwadzieścia stop od nich.

Choć jak dotychczas nie zobaczył jeszcze niczego niezwykłego, nie mógł się uwolnić od zabobonnego wręcz leku, rodzącego się z wyczuwalnej obecności nieznanej i niesamowitej istoty. Wciąż powtarzał sobie, że natknął się na pumę, po prostu na zwyczajną pumę, która w dodatku była zapewne bardziej wystraszona niż on sam. A mimo to ułucia lodowatych igiełek, zaczynające się u podstawy kregosłupa i biegnące aż po czubek głowy, zamiast ustąpić, wciąż przybierały na sile. Zaciśnięta na kolbie rewolweru dłoń była tak spocona, że bron w każdej chwili mogła się z niej wysliznąć.

Piętnasie stop.

Travis wycelował trzydziestkę ośmiemką w niebo, po czym oddał strzał ostrzegawczy. Huk runął w głąb lasu i ponosił się echem wzdłuż ścian długiego kanionu.

Odgłos wystrzału nie zrobił na retrieverze żadnego wrażenia, natomiast ukryte w krzakach stworzenie natychmiast zawróciło i pobiegło na północ, w górę zbocza, ku krawędzi kanionu. Travis nie dostrzegł go, mógł jednak śledzić jego szybki odwrot, obserwując, jak się poruszają gesty rosnące, sięgające piersi chaszczce.

Poczuł na chwilę ulgę, bo sądził, że udało mu się spłoszyć intruza. Zaraz potem dostrzegł, że ich przesładowca właściwie nie ucieka. Kierował się na północny zachód wzdłuż linii przecinającej się gdzieś w górze ze ścieżką jeleni. Travis czuł instynktownie, że stworzenie

zamierza odciąć im odwrot, zmuszając w ten sposób do opuszczenia kanionu dolnym szlakiem, gdzie miałyby korzystniejsze warunki do ataku. Zupełnie nie rozumiał, skąd o tym wie, mimo to był pewien, że się nie myli.

Zaczął działać, posłuszny nakazom pierwotnego instynktu samozachowawczego, nie myślał zupełnie o wykonywanych ruchach, automatycznie robiąc to, co zrobić należało.

Takiej nieomal zwierzecej pewności działania nie odczuwał od prawie dziesięciu lat, od czasów, gdy był w wojsku.

Starając się nie tracić z oczu rozchwianych krzaków po prawej stronie, odrzucił plecak i tylko z rewolwerem w dłoni pomknął stromą ścieżką do góry. Poruszał się szybko, nie tak szybko jednak, by móc wyprzedzić niewidocznego wroga. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zdola znaleźć się na szlaku powyżej miejsca, gdzie dotrze tamten, jeszcze raz wystrzelił w powietrze, a gdy nie odniosło to żadnego skutku, skierował broń w stronę poruszających się zarosli i dwukrotnie pociągnął za spust, zupełnie nie przejmując się tym, iż w gęstwinie może się ukrywać człowiek. Nie wierzył, aby udało mu się trafić przesładowcę, musiał go jednak przestraszyć, gdyż stworzenie wreszcie zaniechało poscigu. Travis nawet nie zwolnił. Gnał dalej na złamanie karku chcąc jak najszybciej wydostać się poza krawędź kanionu, na grzbiet wzniesienia, gdzie drzewa i krzaki rosły rzadziej i nie było tylu miejsc zacienionych, dających ukrycie.

Gdy dotarł tam po kilku minutach, był straszliwie zmęczony. Mięśnie łydek i ud przenikał piekący ból. Serce biło mu w piersi tak mocno, że nie zdziwiłby się, gdyby usłyszał, jak jego loskot powraca echem od przeciwległej ściany kanionu.

Właśnie tutaj zatrzymał się jakiś czas temu, aby zjeść parę ciastek. Grzechotnik, który wygrzewał się wtedy na dużej płaskiej skale, gdzieś zniknął. Złocisty retriever nie odstępował Trávisa na krok. Zatrzymał się tuż obok niego, ciężko dysząc i spoglądając co chwila za siebie, na drogę, po której się tu wspieł.

Travis czuł się nieco osłabiony, miał wielką ochotę usiąść i odpocząć trochę, jednakże zdawał sobie sprawę, że wciąż jeszcze zagraża im nieznane niebezpieczeństwo. On także przyjrzał się biegnącemu w dół szlakowi, usiłując wypatrzeć coś pośród zarosli. Jeżeli tropiące ich stworzenie nie zaniechało pogoni, to stało się ostrożniejsze i pieło się w górę nie zdradzając swej obecności.

Retriever zaskomlił i otarł się o nogę Trávisa. Pobiegł do przodu i minawszy wąski grzbiet wzniesienia znalazł się na pochyłości prowadzącej do następnego kanionu. Widocznie on także uważał, że zagrożenie nie minęło, i uznał, że powinni wynieść się stąd jak najszybciej.

Travis był tego samego zdania. Ulegając atawistycznemu lękowi i presji rozbudzonego przezeń instynktu pobiegł za psem i już po chwili zaczął schodzić do sąsiedniego, gęsto zadrzewionego kanionu.

## 2

Vincent Nasco musiał czekać w ciemnym garażu przez wiele godzin. Nie wyglądał na kogoś stworzonego do czekania. Był potężnie zbudowany - miał ponad dwieście funtów żywej wagi, sześć stop i trzy cale wzrostu, świetnie rozwinięte mięśnie - i tak pełen energii, że wydawało się, iż łań moment eksploduje z jej nadmiaru. Jego szeroka, spokojna twarz zazwyczaj pozbawiona była zupełnie wyrazu. Tylko zielone oczy płonęły żywotnością, obserwując

wszystko dokola z nerwowa czujnoscia i z wyrazem dziwnego glodu, ktory dostrzezony w oczach jakiegos dzikiego zwierzecia, na przyklad mieszkajacego w dzungli wielkiego kota, nie dziwilby nikogo, ale dojrzany w oczach czlowieka musial budzic niedowierzanie i groze. Choc obdarzony ogromna energia, podobnie jak kot, odznaczal sie godna podziwu cierpliwoscia. Potrafil calymi godzinami w milczeniu i calkowitym bezruchu wyczekiwac na swoje ofiary. O dziewiatej czterdziesci we wtorek przed poludniem, znacznie pozniej, niz Nasco sie spodziewal, zamek w drzwiach laczaczych garaz z domem wylaczyl sie z pojedynczym glosnym trzaskiem. W otwartych drzwiach pojawil sie doktor Davis Weatherby, zapalil swiatlo, a nastepnie siegnal do guzika, ktorego naciśniecie mialo spowodowac podniesienie duzych, ciezkich wrot.

-Stoj - powiedzial Nasco, prostujac sie i wychodzac zza maski szaroperlowego cadillaca doktora.

Weatherby zaskoczony zamrugl oczami.

-Kim, u diabla...

Nasco uniosl zaopatrzony w tlumik walther P-38 i strzelil doktorowi w twarz.

Ssssnap.

Urwawszy zdanie w polowie Weatherby upadl do tylu na podloge utrzymanej w wesolych barwach pralni. Padajac uderzyl glowa o suszarke, a nogami potracil metalowy wozek do przewozenia bielizny.

Vince Nasco nie przejmowal sie halasem, poniewaz Weatherby nie byl zonaty i mieszkal zupełnie sam. Pochylil sie nad zwlokami i delikatnie dotknal twarzy doktora.

Kula trafila Weatherby'ego w czolo, zaledwie o cal ponad grzbietem nosa. Krwi bylo niewiele, gdyz smierc nastapila natychmiast, a kula nie miala tyle energii, by przebic czaszke na wylot. Szeroko otwarte brazowe oczy Weatherby'ego spogladaly z wyrazem bezbrzeznego zdumienia.

Vince pogladzil palcami cieply policzek zmarlego, przeciagnal dlonia po jego szyi. Zamknal niewidzace lewe oko, po chwili to samo zrobil z prawym, choc wiedzial, ze pod wplywem posmiertnej reakcji miesni za pare minut otworza sie z powrotem. Z gleboka wdziecznoscia w glosie powiedzial:

-Dziekuje, dziekuje bardzo, doktorze. - Ucalowal powieki martwego mezczyzny. - Dziekuje.

Drzac z przyjemnosci Vince podniosl z podlogi kluczyki do samochodu, wrocil do garazu, a nastepnie otworzyl bagaznik cadillaca, starajac sie nie dotykac powierzchni, na ktorych moglby pozostawic wyrazne odciski palcow. Bagaznik byl pusty. Dobrze. Przyniosl cialo Weatherby'ego z pralni, wlozyl je do bagaznika, zamknal klapę i przekrecil klucz.

Powiedziano mu, ze cialo doktora nie moze zostac odnalezione wzczesniej niz jutro. Nie mial pojecia, dlaczego czas odgrywal tu tak istotna role, zawsze jednak szczytil sie tym, ze powierzona mu robote wykonuje solidnie, bez pudla. Dlatego raz jeszcze przeszedl do pralni, ustawil wieszak na miejscu, gdzie stac powinien, i rozejrzal sie dookola w poszukiwaniu sladow popelnionej zbrodni. Zadowolony z wyniku ogladzin zamknal dokladnie drzwi pralni posluzywajacy sie kluczami Weatherby'ego.

Zgasil swiatla w garazu, przeszedl na druga strone pograzonego w mroku pomieszczenia i opuscil je bocznymi drzwiami - tymi samymi, przez ktore w nocy dostal sie do srodka sforsowawszy po cichu slaby zamek za pomoca karty kredytowej - zamknal je kluczem doktora, po czym spokojnie oddalil sie od domu.

Davis Weatherby mieszkal w Corona del Mar, w bezposrednim sasiedztwie Pacyfiku. Vince zostawil swego dwuletniego forda furgonetke o trzy przecznice od domu doktora. Powrotny spacer do samochodu sprawil mu duza przyjemnosc, ozywil go. Bogate wille, ktore mial po drodze, odznaczaly sie zdumiewajaca roznorodnoscia stylow architektonicznych; kosztowne hiszpanskie casas harmonizowaly zaskakujaco wspaniale z wzniesionymi w ich sasiedztwie pieknie zdobionymi domami w stylu Cape Code. Wszedzie bylo mnostwo przepysznej zieleni, ktora najwyrazniej pielegnowano bardzo starannie. Chodniki ocienialy palmy, fikusy i drzewa oliwne. Tysiacami kwiatow okryly sie czerwone, koralowe, zolte i pomaranczowe bugenwille. Kwitly rowniez drzewa butelkowe, a galezie jacarandy obsypane byly purpurowymi platkami, delikatnymi jak koronki. W powietrzu unosil sie ciezki zapach jasmину.

Vince Nasco czul sie cudownie. Byl teraz silny, tak potezny, tak bardzo zywy.

3

Chwilami pierwszy szedl pies, chwilami prowadzil Travis. Przebyli dluga droge, zanim Travis uswiadomil sobie, ze otrzasnal sie juz calkowicie z rozpacz i poczucia beznadziejnej samotnosc, ktore przywiodly go do podnoza gor Santa Ana. Wymeczony pies towarzyszył mu az do samego wozu, zaparkowanego na poboczu gruntowej drogi, w cieniu galezi ogromnego swierka. Zatrzymawszy sie obok polciezarowki, retriever popatrzył za siebie. Daleko w tyle po bezchmurnym niebie krazily czarne ptaki, niczym zwiadowcy wyslani przez jakiegos czarnoksieznika z gor. Ciemna sciana drzew majaczaca w oddali przypominala mury zlowrogięgo zamku. W lesie panowal wprawdzie ponury mrok, ale gruntowa droga, po ktorej kroczył Travis, tonela w sloncu i siekla sie na jasny braz. Pokrywajacy je drobny, miękki pyl oblepial buty przy kazdym kolejnym kroku. Zdumialo go, ze w tak pogodnym dniu owladnelo nim nagle tak przemozne, dominujace nad wszelkimi innymi doznaniem poczucie obecności zla czajacego sie gdzies w poblizu.

Wpatrujac sie w las, z ktorego udalo im sie uciec, pies zaszczekal po raz pierwszy od pol godziny.

-Wciaz za nami idzie, co? - zagadnal Travis. Pies spojrzal na niego, po czym zaskowyczal zalosnie.

-Tak - powiedzial Travis. - Ja tez to czuje. To jakies szalenstwo... a jednak to czuje. Ale co, u diabla, tam jest chlopie? Hmmm? Coz to moze byc?

Pies zadrzal gwaltownie.

Za kazdym razem, gdy Travis dostrzegal objawy przerazenia u zwierzecia, jego wlasny strach wzmagal sie. Opuscil klape skrzyni i mruknal do psa:

-Wlaz. Podwoze cie kawalek. Pies natychmiast wskoczyl do srodka.

Travis z hukiem zatrzaskal klape, a nastepnie przeszedl wzdłuż boku samochodu. Otwieral wlasnie drzwi szoferki, kiedy wydalo mu sie, ze cos sie porusza w pobliskich zaroslach. Nie w tyle, od strony lasu, tylko tuż obok, po drugiej stronie drogi. Ciagnelo sie tam waskie pole

pokryte siegająca do pasa, krucha jak siano, brązowa trawa; tu i owdzie wyrastały z niej nastrożone kępy mesquity oraz krzaki oleandrow, które zakorzeniły się dostatecznie głęboko, by zachować swą zielen. Kiedy skierował wzrok wprost na pole, nie zauważył niczego, co potwierdziłoby to, co, jak mu się zdawało, spostrzegł przed chwilą, był jednak niemal pewien, że się wtedy nie pomylił.

Znowu czując wewnętrzny nakaz pośpiechu wsiadł do wozu, a rewolwer położył na siedzeniu obok. Odjechał tak szybko, jak tylko na to pozwalały stan drogi i troska o bezpieczeństwo czworonoznego pasażera na skrzyni.

Gdy dwadzieścia minut później, powróciwszy do świata asfaltowej cywilizacji, zatrzymał się na poboczu Santiago Canyon Road, wciąż jeszcze czuł się słaby i rozdygotany wewnętrznie. Jednakże strach, którego wciąż jeszcze nie mógł się pozbyć do końca, różnił się już od tego, jaki odczuwał w lesie. Serce nie waliło już jak oszalone. Zimny pot na czole i dłoniach zdążył już wyschnąć. Ustąpiło to zdumiewające mrowienie karku i głowy, niedawne przeżycia zaś wydawały mu się teraz czymś nierzeczywistym. W tej chwili bardziej niż jakiegś niezwyklej istoty obawiał się własnego dziwnego zachowania. Czując się bezpieczny poza obszarem lasów, nie potrafił sobie odtworzyć owego gwałtownego przerażenia, jakie nim wówczas owładnęło, i dlatego swoje działanie oceniał jako irracjonalne.

Zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik. Była jedenasta, poranny szczyt na drogach już dawno mijał i tylko co jakiś czas wiejska dwupasmowa asfaltówka przemykał przypadkowy samochód. Travis siedział nieruchomo przez ponad minutę, usiłując przekonać samego siebie, że instynkty, które nim kierowały, były dobre, słuszne i pewne.

Zawsze szczylił się swym niewzruszonym spokojem umysłu i głębokim pragmatyzmem. Potrafił chłodno kalkulować nawet w najgłośniejszych momentach. Umiał podejmować trudne decyzje w ułamkach sekundy i zawsze godził się z ich konsekwencjami.

Z jednym wyjątkiem. W miarę jak czas płynął, coraz trudniej mu było uwierzyć, że w kanionie naprawdę gonilo go coś dziwnego. Zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście prawidłowo rozumiał zachowanie psa, i czy to coś, co poruszało się wśród krzaków, nie było wyłącznie tworem jego wyobraźni, która posłużył się podświadomie, by przerwać wreszcie ciągle uzalanie się nad samym sobą.

Wysiadł z szoferki, przeszedł ku tyłowi polciezarówki i znalazł się naprzeciwko stojącego na skrzyni retrievera. Pies wyciągnął ku niemu swą silną głowę, po czym polizal go po szyi i brodzie. Choć wcześniej pokazał, że potrafi gryźć i ujadac, teraz sprawiał wrażenie bardzo uczuciowego. Brudny i mokry wyglądał przy tym oplakanie i Travis po raz pierwszy dostrzegł w nim coś nieodparcie komicznego. Spróbował odepchnąć czworonoga, ten jednak pragnąc koniecznie polizac mu twarz parł do przodu tak gwałtownie, że omal nie wypadł na ziemię. Travis parsknął śmiechem i zagłębił palce w zmierzwionej sierści.

Ożywienie retrievera, radosne wymachiwanie ogonem wywołały zaskakującą reakcję u Trávisa. Od dłuższego już czasu widział świat wyłącznie w czarnych barwach, wciąż nie mógł się uwolnić od myśli o śmierci, które zresztą szczególnie dotkliwie dreczyły go podczas dzisiejszej podróży. Ale ogromna, nieklamana radość istnienia, bijąca od psa niczym snop światła z reflektora, przebiła się przez gesty mrok, w jakim pograżona była dusza Trávisa, przypominając mu o jasniejszej stronie życia, która dawno temu przestał dostrzegac.

-Coż to właściwie mogło tam być? - zastanawiał się głośno.

Pies przestał go lizac, przestał też wymachiwać skoltunionym ogonem. Wpatrywał się w niego poważnym spojrzeniem, a jego łagodne, ciepłe, brązowe oczy zdawały się przenikać człowieka na wylot. Kryło się w nich coś niezwykłego, jakiś nieodparty urok. Travis czuł się tak jakby uległ częściowej hipnozie, a pies sprawiał wrażenie, jak gdyby i on doznawał czegoś podobnego. Czując na twarzy pieszczotę wiosennego wiatru z południa, Travis usiłował zajrzeć w głębię psich oczu licząc, że uda mu się tam znaleźć sekret ich niezwyklej mocy i uroku. Nie dostrzegł jednak niczego nadzwyczajnego. Tyle tylko, że... tak, wydawały mu się bardziej wyraziste niż oczy przeciętnego psa, bardziej inteligentne. Wziawszy pod uwagę bardzo ograniczoną zdolność koncentracji właściwą psom, to uparte spojrzenie retrievera należało uznać za coś zdumiewającego. Sekundy płynęły, żaden z nich, ani człowiek, ani pies nie przerywał tego osobliwego pojedynku i Travis czuł, jak narasta w nim wrażenie niesamowitości. Przeszedł go dreszcz, wywołany nie strachem, lecz uczuciem, że uczestniczy w czymś zupełnie wyjątkowym, że stoi na progu wstrząsającego odkrycia.

A potem pies potrasnął głową, polizał dłoń Trávisa i czar prysnął.

-Skąd przybywasz, chłopie? Zwierzę przekrzywiło głowę w lewo.

-Kto jest twoim panem? Głowa powędrowała w prawo.

-Co mam z tobą zrobić?

Jakby odpowiadając na pytanie, retriever zeskoczył na ziemię, przebiegł obok Trávisa i wspiął się do kabiny.

Kiedy Travis zajrzał do środka, zastał go rozpartego w najlepsze na fotelu pasażera, ze wzrokiem utkwionym w jakims punkcie za szybą. Pies spojrzał ku niemu, po czym miękko parsknął, jak gdyby zniecierpliwiony opieszałością człowieka.

Usiadł za kierownicą, przeniósł rewolwer pod swój fotel.

-Nie sadz, że będę się mógł tobą opiekować. To za duża odpowiedzialność, bracie. Bardzo mi przykro, ale nie pasujesz do moich planów.

Pies patrzył na niego błagalnym wzrokiem.

-Wyglądasz na głodnego, chłopie.

W odpowiedzi usłyszał jedno miękkie warknięcie.

-Okay, może przynajmniej w tym potrafisz mi pomóc. W schowku powinien być batonik... a niedaleko stąd jest McDonald, gdzie pewnie znajdzie się parę hamburgerów dla ciebie. Ale później... no coż, albo cię zostawię, albo zawiozę do schroniska.

Travis nie skończył jeszcze mówić, kiedy pies unosił przednią łapę i uderzył nią w guzik zwalniający zamknięcie schowka. Pokrywa opadła z cichym trzaskiem.

-Co, u diabła...

Czworonóg pochylił się do przodu, wetknął pysk w otwartą skrytkę i wyciągnął z niej zębami czekoladkę, przy czym zrobił to niesłychanie delikatnie, nie naruszając w ogóle opakowania.



Travis zdumiony zamrugł oczami.

Retriever wyciągnął w jego stronę batonik, jakby prosząc, żeby mu go rozwinąć.

Oszolomiony, sięgnął po paczuszkę i zdarł z niej papier.

Retriever, oblizując wargi, śledził czujnie jego ruchy.

Travis połamał batonik na kawałki i podał go psu na dloni. Zwierze przyjawszy z wdzięcznością czekoladkę zaczęło ją zjadać z godną podziwu gracją.

Przyglądał się temu zmieszany. Nie był pewien, czy to, co oglądał, nosiło istotnie znamiona czegoś wyjątkowego, czy też pozwalało się wyjaśnić w racjonalny sposób. Czyżby pies rzeczywiście zrozumiał to, co mówił o zamkniętym w schowku baloniku? A może po prostu poczuł zapach czekolady? Z pewnością tak właśnie było.

-Ale skąd wiedziałeś, że trzeba nacisnąć guzik, aby otworzyć schowek? - zapytał psa.

Retriever popatrzył na niego, oblizal się i zjadł kolejny kawałek smakolyka.

-Okay, okay, może ktoś cię nauczył tej sztuczki. Choć szczerze mówiąc nikt na ogół nie uczy psów takich rzeczy, prawda? Leżenie na grzbiecie, udawanie nieżywego, dawanie głosu, czy nawet chodzenie na tylnych łapach... tak, właśnie tego uczy się psy... ale nikt ich nie uczy otwierania zatrząsków.

Retriever tęsknym wzrokiem wpatrywał się w ostatni kawałek czekoladki, lecz Travis cofnął na chwilę dłoń z przysmakiem.

Zbieżność w czasie była naprawdę niesamowita. W dwie sekundy po tym, jak wspomniał o baloniku, pies dobrał się do niego.

-Czy zrozumiałeś to, co do ciebie mówiłem? - zapytał Travis. Czuł, że się osmiesza, podejrzewając psa o znajomość ludzkiego języka. Mimo to powtórzył pytanie: - No więc jak? Rozumiałeś mnie?

Z ociąganiem retriever oderwał wzrok od resztek balonika. Ich oczy spotkały się. Travis poczuł ponownie, że dzieje się coś niebywałego; zadrzał podobnie jak przedtem.

Zawahał się, chrząknięciem oczyszczył gardło.

-Hmmm... czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zjem ostatni kawałek czekoladki?

Pies przywarł wzrokiem do dwóch małych kwadracików wciąż jeszcze spoczywających na dloni Trávisa. Parsknął jakby z zalem, a potem zaczął kontemplować krajobraz za oknem.

-A niech mnie diabli! - zaklął Travis. Pies ziewnął.

Starając się nie poruszać dłonią, by nie wzbudzić w psie zainteresowania czekoladą w zaden inny sposób poza użyciem słów, zagadnął go jeszcze raz:

-Wiesz co, ty chyba potrzebujesz tego bardziej niż ja, chłopie. Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć ten kawałek.

Retriever popatrzył na niego z uwaga.

W dalszym ciągu nie poruszając reka, trzymając ją przy sobie i dając w ten sposób psu do zrozumienia, że musi chwilę poczekać, nim dostanie czekoladkę, powiedział:

-Jeśli chcesz, to go sobie weź. Jeśli nie chcesz, zaraz wyrzucę go przez okno.

Retriever poruszył się niespokojnie, po czym pochylił w jego stronę i ostrożnie zabrał czekoladkę z dłoni.

-A niech mnie wszyscy diabli! - wykrzyknął Travis.

Pies stanął na czterech łapach i jego głowa niemal zetknęła się z dachem. Wyrzwał przez tylne okienko, po czym nagle cicho zawarczał.

Travis rzucił okiem w tylne lustro, następnie spojrzał w boczne, lecz nie zauważył niczego niezwykłego. Za plecami mieli tylko dwupasmowa asfaltowa szosa oraz opadające w dół, porośnięte chwastami zbocze.

-Myślisz, że powinniśmy się stąd zabierać? O to ci chodzi? Pies popatrzył na niego, znowu utkwił spojrzenie w tylnym oknie, a potem przysiadł na zadnich łapach i skierował wzrok do przodu.

Travis włączył silnik, wrzucił bieg, po czym ruszył Santiago Canyon Road, kierując się na północ. Zerkając na swego towarzysza podróży powiedział:

-Czy naprawdę jesteś czymś więcej, niż na to wyglądasz... czy to może tylko ja dostaję bzika? A jeśli jesteś czymś więcej... to czym, do cholery, jesteś?

Dotarwszy do wschodniego kranca Chapman Avenue skreślił na zachód, w stronę baru McDonalda, o którym wspominał wcześniej.

-Teraz już nie mogę ci zostawić lub oddać do schroniska. - Po minucie zaś dodał: - Gdybym ci nie zatrzymał, umarłbym z ciekawości myśleć o tobie.

Przejechali jeszcze dwie mile, zanim skreślił na parking McDonalda.

-Tak więc myślę, że stałeś się moim psem - powiedział Travis. Retriever milczał.

II

1

Nora Devon czuła lek przed człowiekiem, który zjawił się w jej mieszkaniu, by naprawić telewizor. Choć wyglądał na jakieś trzydzieści lat (a więc był jej rówieśnikiem), przejawiał agresywną zarozumiałość właściwą przemadralym nastolatkom. Gdy na dźwięk dzwonka otworzyła drzwi, otaksował ją od stóp do głów śmiałym spojrzeniem, po czym przedstawił się: - Art Streck, Wadiow TV - a kiedy ich oczy spotkały się znowu, mrugnął porozumiewawczo. Był wysoki i szczupły. W białych firmowych spodniach i takiejże koszuli, starannie ogolony, z krótko przystryżonymi ciemnobłond włosami, wyglądał bardziej na grzecznego maminsynka niż na gwałciciela czy psychopata, a jednak Nora od razu się go wystraszyła, może dlatego, że jego śmiałość i agresywność kłóciły się z jego wyglądem. -Chcę pani skorzystać z moich

uslug? - zapytal, gdy niezdecydowanie zatrzymala sie w progu.

Chociaz pytanie bylo calkiem niewinne, akcent polozony na slowo "uslugi" nadal mu w odczuciu Nory irytujace, seksualne zabarwienie. Nie sadzila, ze jest az tak przewrazliwiona. Ale przeciez to ona sama zadzwonila do Wadiow TV, wiec nie mogla teraz odprawic Strecka bez slowa wyjasnienia. Wyjasnienia z kolei doprowadzilyby prawdopodobnie do sprzeczki, a poniewaz nie nalezala do osob o bojowym temperamentcie, po prostu wpuszczila go do srodka.

Prowadzac przybysza szerokim, chlodnym korytarzem do salonu, nie mogla sie pozbyc nieprzyjemnego wrazenia, ze jego schludny wyglad i szeroki uśmiech stanowiły elementy starannie opracowanego kostiumu. Miał w sobie bowiem jakąś przenikliwą zwierzęcą czujność, jakieś wyczuwalne napięcie, potęgujące dodatkowo jej niepokój, który narastał ciągle, w miarę jak oboje oddalali się od drzwi wejściowych. Trzymając się zdecydowanie za blisko niej, niemal wieszając na jej plecach, Art Streck powiedział:

-Ma pani ładny dom, pani Devon. Bardzo ładny. Naprawdę mi się tutaj podoba.

-Dziękuję - odparła sztywno.

-Człowiek może być tutaj szczęśliwy. Tak, tak, człowiek może być tutaj bardzo szczęśliwy.

Dom został wzniesiony w stylu zwanym niekiedy Starym Hiszpańskim Stylem z Santa Barbara: jedno piętro, jasne ściuki połączone z czerwoną dachówką, werandy, balkony, wszystkie ostre krawędzie zastąpione przez miękko zaokrąglone linie. Bujnie rozkrzewiona czerwona bugenwilla oplatająca północną ścianę budynku, pokryta mnóstwem jaskrawych kwiatów. Miejsce to wyglądało uroczo.

Nora go nienawidziła.

Mieszkała tu od chwili, gdy ukończyła dwa lata. Teraz miała trzydzieści i - przez cały ten czas wyjawsz ostatni rok czuła na sobie żelazną rekę ciotki Violet. Ani swego dzieciństwa, ani późniejszego życia nie mogła uznać za szczęśliwe.

Violet Devon zmarła przed rokiem, lecz prawdę powiedziawszy, Nora ciągle jeszcze nie umiała uwolnić się spod jej wpływu, wciąż jeszcze zbyt żywo tkwił w jej pamięci obraz znienawidzonej starej kobiety, zbyt dobrze pamiętała wpajane latami reguły i zakazy.

Kiedy weszli do salonu, Streck postawił torbę z narzędziami obok telewizora, po czym rozejrzał się dookoła. Wystrój wnętrza wyraźnie go zaskoczył.

Kwiecista tapeta miała ciemne, pogrzebowe barwy. Podłogę przykrywał wyjątkowo brzydki perski dywan, utrzymany głównie w trzech kolorach: szarym, brązowym i błękitnym, którego nie mogły ożywić widoczne tu i ówdzie plamy bladej żółci. Na nogach w kształcie pazurów stały ciężkie angielskie meble z połowy dziewiętnastego wieku, ozdobione głęboko rzeźbionymi wzorami, masywne fotele, podnóżki, sekretarzyki, które usatysfakcjonowałyby pewnie doktora Caligari, oraz ciężkie kredensy. Małe stoliki pokryte były ciężkim brokatem. Palilo się tu kilka lamp o bladoszarych abażurach, ich wątły blask nie był jednak w stanie rozjaśnić panującego w salonie półmroku. Zasłony sprawiały wrażenie ciężkich niczym ołów, a pozostłe ze starości firanki wpuszczały do środka tylko odrobinę słonecznego światła o odcieniu musztardy. Wszystko w tym pokoju kłóciło się z hiszpańską architekturą. Zły smak ciotki Violet dawało się odczuć w tym pięknym domu na każdym kroku.

-To pani dzieło? - zapytał Art Streck.

-Nie, mojej ciotki - wyjaśniła Nora. Stała przy marmurowym kominku, tak daleko od niego, jak mogła to czynić, nie opuszczając pokoju. - To był jej dom. Ja... go tylko odziedziczyłam.

-Na pani miejscu wszystko bym tutaj zmienił. Można by z tego zrobić jasny, wesoły salon. Przepraszam, że tak mówię, ale to przecież do pani nie pasuje. Coś takiego mogło odpowiadać starej panie... Była stara panna, prawda? Tak właśnie myślałem. Mogło być w sam raz dla jakiejś zasuszonej starej panny, ale tak piękna kobieta jak pani potrzebuje czegoś zupełnie innego.

Nora miała ochotę skarczyć go za te impertynencje, powiedzieć, żeby się zamknął i zajął telewizorem, nie nawykła jednak do skutecznego przeciwstawiania się innym ludziom. Ciotka Violet wołała, kiedy była potulna i posłuszna.

Streck obserwował ją z uśmiechem. Prawy kącik jego ust wykrzywił się nieprzyjemnie, niemal drwił.

-Mnie się tu podoba - zmusiła się do odpowiedzi.

-Naprawdę?

-Tak. Wzruszył ramionami.

-Co się dzieje z telewizorem?

-Ciagle skacze obraz. Występuje też śnieżenie.

Odciągnął telewizor od ściany, włączył i popatrzył na rozedrgany obraz na ekranie. Włączył do gniazdka małą przenośną lampkę i umocował ją z tyłu odbiornika.

Stojący w holu zegar dziadka wybił kwadrans. Pojedyncze uderzenie rozniosło się pustym echem po całym domu.

-Czy często ogląda pani telewizję? - zapytał odkrecając osłone.

-Raczej nie.

-Mnie się podobają te nocne seriale. Dallas, Dynastia, tego typu kawalki.

-Nigdy ich nie oglądam.

-Doprawdy? No nie, założę się, że jednak pani ogląda. - Uśmiechnął się chytrze. - Wszyscy oglądają, nawet jeśli nie chcą się do tego przyznać. Po prostu nie ma nic ciekawszego niż te historie pełne zdrady, kłótni, kradzieży, kłamstw... i... rozumie pani, co mam na myśli? Ludzie siedzą przed telewizorami, cmokają z niesmakiem i mówią: "Och, jakie to okropne", ale tak naprawdę to im się to podoba. Taka już jest ludzka natura.

-Muszę... muszę iść do kuchni - powiedziała nerwowo. - Proszę mnie zawołać, gdy pan już skończy. - Wyszła z pokoju, przeszła przez korytarz i popchnąwszy wahadłowe drzwi znalazła się w kuchni. Nie umiała opanować drżenia. Pogardzała sobą za to, że jest tak słaba i że tak łatwo pozwala się przestraszyć, lecz nic nie mogła na to poradzić. Taka właśnie była. Mysz.

Ciotka Violet często powtarzała: "Dziewczyńno, na świecie są dwa rodzaje ludzi - koty i myszy! Koty chodzą własnymi drogami, robią, co chcą, dostają wszystko, czego zapragną. Są agresywne i niezależne, bo taka jest ich natura. Myszy natomiast nie mają w sobie krzty agresywności. Łatwo je zranić, są łagodne i niesmiałe. Czują się szczęśliwe, gdy ze spuszczonej głowy przyjmują wszystko, co niesie im życie. Ty, moja droga, jesteś właśnie mysz. Bycie myszą nie jest znowu takie złe. Możesz być całkiem szczęśliwa. To prawda, życie myszy nie jest tak barwne jak życie kota, jeśli jednak trzyma się swej bezpiecznej nory i potrafi się o siebie zatroszczyć, żyje dłużej niż kot i znacznie spokojniej".

A teraz kot przyczaił się w salonie i naprawiał telewizor, sparalizowana zaś strachem mysz, Nora, schroniła się w kuchni. Wbrew temu, co powiedziała Streckowi, nie miała tu nic pilnego do zrobienia. Przez chwilę stała obok zlewu ze splecionymi, zimnymi dłońmi - te dłonie zawsze były zimne - tak się jej przynajmniej wydawało - zastanawiając się, co będzie robić do czasu, aż mechanik skończy pracę i pojdzie sobie. Postanowiła upiec ciasto, babkę, w czekoladowej polewie. Będzie miała jakieś zajęcie i uwolni się od powracającego natrętnie obrazu: twarzy Strecka mrugającego ku niej sugestywnie.

Wyciągnęła z szafek miski, niezbędne przybory, elektryczny mikser oraz torebkę ciasta w proszku i dodatki, po czym zabrała się do pracy. Wkrótce, wykonując dobrze znane domowe czynności, uspokoiła się trochę.

Konczyła właśnie wylewać ciasto do dwóch foremek, kiedy do kuchni wkroczył Streck.

-Lubi pani gotować? - zapytał.

Zaskoczona, niemal nie wypuściła z rąk metalowej miski i wysmarowanej ciastem łyżki. Z trudem zapanowała nad drżeniem rąk i odstawiała statki do zlewu. Jej napięcie zdradziło jedynie lekkie dzwonięcie naczyń.

-Tak, lubię gotować.

-Czy to nie jest piękne? Podziwiam kobiety, którym kobiece zajęcia sprawiają przyjemność. Szyje pani, szydełkuje, haftuje, coś z tych rzeczy?

-Dziergam koronki - powiedziała.

-To jeszcze lepiej.

-Czy telewizor jest już naprawiony? - Prawie.

Wszystko było gotowe, należało teraz włożyć ciasto do piekarnika, jednak Nora nie chciała tego robić, będąc obserwowana przez Strecka, bała się bowiem, że jej drżenie stanie się zbyt widoczne. Zdałaby sobie wówczas sprawę z jej oniesmielenia i zapewne jeszcze bardziej by go to rozzuchwiliło. Dlatego też odstawiała pełne foremki na blat szafki, po czym otworzyła pudełko z polewą.

Streck przeszedł w głąb obszernej kuchni. Poruszał się leniwie, na luzie, rozglądając dokoła z przyjaznym uśmiechem, niemniej jednak zmierzał prosto ku niej.

-Czy mogłbym dostać szklanke wody?

Nora odetchnęła z ulgą, starając się uwierzyć, że przyszedł tu rzeczywiście tylko po wodę.

-Ach tak, oczywiście - odparła. Wyjęła z kredensu szklanke, odkreciła kran z zimną wodą.

Gdy odwróciła się, by mu ją podać, zobaczyła, że stoi tuż za nią. Podkraślił się bezszelestnie niczym kot. Mimo woli krzyknęła, a woda wylała się ze szklanki na podłogę.

-Pan...

-Spokojnie - powiedział, biorąc od niej szklanke.

-...mnie wystraszył.

-Ja? - zapytał z uśmiechem, wpatrując się w nią błękitnymi, lodowatymi oczyma. - Och, proszę wybaczyć, nie chciałem. Jestem zupełnie niegroźny, pani Devon. Naprawdę. Chciałem tylko napić się wody. Chyba nie sądziła pani, że chodzi mi o coś więcej, prawda?

Był tak cholernie śmiały. Wprost nie mogła uwierzyć, że ktoś może być tak śmiały, wygadany, chłodny i agresywny. Miała ochotę dać mu w twarz, bała się jednak tego, co stałoby się potem. Uderzając go, dałaby mu do zrozumienia, że pojmuję jego obraźliwe dwuznaczności, a to raczej dodałoby mu odwagi, niż ostudziło zapędy.

Wpatrywał się w nią niepokojąco intensywnie, z wyrazem żarłoczności. Jego uśmiech miał w sobie coś drapieżnego.

Czuła instynktownie, że najlepszym sposobem na powstrzymanie Strecka było przybranie maski niewinności i skrajnej głupoty, całkowite ignorowanie jego paskudnych erotycznych aluzji, tak jakby niczego w ogóle nie rozumiała. Krótko mówiąc, musiała postępować z nim tak, jak postępuje mysz osaczona przez wroga, przed którym nie może uciec. Udawaj, że nie widzisz kota, udawaj, że go tam nie ma, a może wtedy kot się zmiesza i rozczarowany brakiem reakcji ruszy na poszukiwanie bardziej strachliwej ofiary.

Pragnąc uniknąć jego natrączywego wzroku, Nora oderwała parę papierowych ręczników z rolki obok zlewu i zabrała się za wycieranie rozlanej na podłodze wody. W momencie gdy pochyliła się nisko tuż przed Streckiem, zrozumiała, że popełniła błąd, gdyż mężczyzna, zamiast usunąć się z drogi, stał nieruchomo, wyraźnie gorąc nad nią, przykucnięty w pobliżu jego stop. Cała ta scena pełna była erotycznego symbolizmu. Gdy zdała sobie sprawę, że jej postawa wyraża uległość, natychmiast się wyprostowała, wywołując szeroki uśmiech na jego twarzy.

Zaczerwieniona i zmieszana, Nora wyrzuciła mokre ręczniki do stojącego pod zlewem kosza na śmieci.

Milczenie przerwał Art Streck.

-Gotowanie, koronki... tak, to bardzo ładnie, bardzo ładnie. Co jeszcze lubi pani robić?

-Obawiam się, że to wszystko - odparła. - Nie mam jakiegoś niezwykłego hobby. Jestem niezbyt interesująca osoba. Chyba nawet trochę nudna.

Przeklinając w duchu siebie za to, że nie potrafił wyprosić tego drania z własnego domu, przesłiznęła się obok niego, po czym podeszła do piecyka, udając, że sprawdza, czy dostatecznie się rozgrzał. W rzeczywistości chodziło jej tylko o to, by wydostać się z zasięgu ramienia Strecka.

Ruszył za nią, przez cały czas trzymając się tuż obok.

-Kiedy zajechałem przed dom, zauważyłem mnóstwo kwiatów. Czy to pani się nimi zajmuje?

Patrzac na termometr piecyka powiedziała:

-Tak... Lubie zajęcia w ogrodzie.

-To mi się podoba - pochwalił, tak jakby jego aproba mogła mieć dla niej jakieś znaczenie.  
- Kwiaty... dobrze, kiedy kobieta się nimi interesuje. Gotowanie, koronki, ogrodnictwo... zdradza pani właściwe kobietom zainteresowania i talenty. Założę się, że wszystko robi pani dobrze, pani Devon. Mam na myśli wszystko, co kobieta robić powinna. Z pewnością jest pani świetna kobieta pod każdym względem.

Jeśli mnie dotknie, zacznę krzyczeć, postanowiła.

Jednak ściany starego domu były grube, a najbliżsi sąsiedzi mieszkali w znacznej odległości od niej. Nikt by jej nie usłyszał ani nie pośpieszył z pomocą.

Kopnę go, pomyślała. Będzie walczyć.

Prawdę powiedziawszy, nie była jednak pewna, czy rzeczywiście zdobędzie się na to. Nawet gdyby próbowała się bronić, to i tak Streck był od niej większy i silniejszy.

-Tak, założę się, że jest pani świetna pod każdym względem - powtórzył tonem jeszcze bardziej prowokacyjnym niż poprzednio. Odwróciła się od piecyka i zaśmiała z przymusem.

-Mój mąż byłby zdumiony, gdyby to usłyszał. Ciasta wychodzą mi co prawda niezłe, ale mam jeszcze kłopoty z pasztetem, a pieczeni zawsze jest zbyt sucha. Koronki też nie są najgorsze, ale zrobienie czegośkolwiek zajmuje mi całą wieczność. - Wyminęła go i wróciła na poprzednie miejsce. Oprozniając pudełko z polewą, ze zdumieniem słuchała własnego szczebiotu. Napiecie sprawiło, że stała się naraż gadałiwa. - Mam chyba rzeczywiście rekę do kwiatów, ale ogólnie biorąc nie jestem najlepszą gospodynią i gdyby nie pomoc meza... no cóż, dom wyglądałby raczej przerażająco.

Odniosła wrażenie, że jej słowa zabrzmiały fałszywie. Uchwyciła w swym głosie nutę hysterii, co z pewnością nie uszło także uwagi Strecka. Mimo to wzmianka o mezu wyraźnie go zastopowała. Nora wsypała proszek do miski i dodała niezbędną ilość masła, a on w tym czasie wypił wodę, po czym odstawił szklanke do zlewu z brudnymi naczyniami. Tym razem nie zbliżył się do niej bardziej, niż było to konieczne.

-No cóż, chyba lepiej będzie, jeśli wróce do pracy - powiedział. Uśmiechnęła się do niego z udanym roztargnieniem i skinęła głową.

Zaczęła nucić coś pod nosem, jak gdyby nie miała żadnych trosk.

Przeszedł przez kuchnię, pchnął wahadłowe drzwi, a potem przystanął i powiedział:

-Pani ciotka lubiła ciemne pomieszczenia, prawda? Kuchnia byłaby większa, gdyby ją pani rozjaśniła.

Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wyszedł, pozostawiając za sobą kołyszące się drzwi.

Choć nie pytany wydał swoją opinię o wystroju kuchni, wyraźnie spuścił z tonu i Nora była zadowolona z siebie. Posłuszny paroma niewinnymi kłamstwami o nie istniejącym mezu, które udało się jej wypowiedzieć z godnym podziwu spokojem, zupełnie go oblaskawiła. Co prawda, kot postąpiłby z napastnikiem inaczej, ale nie było to również pokorne, lekliwe zachowanie myszy.

Rozejrzała się po wysokiej kuchni i doszła do wniosku, że jest zbyt ciemna. Szaroniebieskie ściany, zwisające z sufitu metalowe, kuliste klosze, roztaczające wokół pozbawiony barw chłodny blask. Postanowiła, że przemaluje wszystko i zmieni oświetlenie.

Już sama myśl o przeprowadzeniu w domu Violet Devon poważniejszych zmian była oszalamiająca i ożywiająca zarazem. Po śmierci ciotki Nora przemeblowała wprowadzić własną sypialnię, ale na tym się wszystko skończyło. Teraz, rozważając możliwość gruntownego remontu, czuła się osoba szalenie odważna, wręcz buntownicza. Może. Może się jej uda. Skoro zdołała poskromić Strecka, może znajdzie w sobie dość mestwa, by stawić czoło zmarłej ciotce.

Jej radosny nastrój trwał około dwudziestu minut. Tyle czasu zajęło jej wstawienie ciasta do piecyka, przygotowanie polewy i zmywanie. Potem wrócił Streck. Oznajmił, że telewizor został naprawiony i wystawił rachunek. Choć opuszczając kuchnię sprawiał wrażenie przegazzonego, to zjawiwszy się tu teraz powtórnie był sobą. Obejrzał ją od stóp do głów, jak gdyby rozbierając w myślach, a kiedy ich oczy spotkały się, posłał jej wyzywające spojrzenie.

Rachunek wydał się Norze zbyt wysoki, ale nie protestowała, bo chciała jak najszybciej pozbyć się Strecka z domu. Usiadła przy kuchennym stole, żeby wypisać czek, on zaś znowu przysunął się zbyt blisko, próbując oniesmielić ją swoją meskoscą i okazałą posturą. Gdy skończywszy podniosła się i podała mu czek, wziął go w taki sposób, że swymi dłońmi dotknął wymownie jej dłoni.

Idąc wraz z nim korytarzem ku wyjściu Nora przez cały czas była przekonana, że Streck odrzuci torbę z narzędziami, a następnie zaatakuje ją od tyłu. Dotarła jednak do drzwi bez przeszkód, a kiedy wyminał ją w progu i wyszedł na taras, jej serce, które było przed chwilą jak szalone, zaczęło odzyskiwać normalny rytm.

Już za drzwiami przystanął z wahaniem.

-Co robi pani maz?

Pytanie zbiło ją z tropu. Mogłaby o to zapytać wcześniej, w kuchni, kiedy opowiadała o mezu. Teraz jego ciekawość była wyraźnie nie na miejscu.

Należało powiedzieć, że to nie jego interes, ale wciąż jeszcze się go bała. Czuła, że łatwo może wzbudzić w nim wściekłość, że ze swoim gwałtownym temperamentem Streck gotów byłby wybuchnąć i popełnić coś szalonego przy każdej okazji. Odpowiedziała więc kolejnym kłamstwem, mając nadzieję, że dzięki niemu uwolni się od Strecka na dobre.

-Jest... policjantem. Streck unosił brwi.

-Naprawdę? Tutaj, w Santa Barbara?



-Tak jest.

-Niezły dom jak na policjanta.

-Słucham?

-Nie wiedziałem, że policjanci tak dobrze zarabiają.

-Och, przecież już panu mówiłam - odziedziczyłam ten dom po ciotce.

-No tak, przypominam sobie. Mówiła pani. - Zgadza się. Probując uwiarygodnić swoje kłamstwo, dodała: - Zajmowaliśmy niewielkie mieszkanie i dopiero po śmierci ciotki przeprowadziliśmy się tutaj. Ma pan rację - w innej sytuacji nie byłoby nas na to stać.

-No cóż - powiedział. - Ciesze się z pani szczęścia. Z całą pewnością kobieta tak ładna jak pani zasługuje na ładny dom.

Sklonił się wyimaginowanym kapeluszem, mrugnął do niej, po czym ruszył ścieżką w stronę ulicy, gdzie przy krawężniku stała zaparkowana jego biała furgonetka.

Zamknęła drzwi, lecz w dalszym ciągu obserwowała go przez przejrzysty fragment zdobiącego je owalnego witrażu. Obejrzał się za siebie, dostrzegł ją, pomachał ręką. Cofnęła się w głąb mrocznego holu, śledząc go z miejsca, gdzie nie mógł jej dojrzec.

Najwyraźniej jej nie wierzył. Wiedział, że skłamała, że nie istnieje żaden mąż. Nie powinna była mówić, że wyszła za policjanta. Wszystko, tylko nie policjant. To było szyte zbyt grubymi nitami. Należało powiedzieć, że ma męża hydraulika albo lekarza. Na szczęście Art Streck odszedł. Odszedł, choć wyczuł kłamstwo.

Nie czuła się bezpieczna, dopóki furgonetka nie zniknęła jej z oczu.

Choć, w gruncie rzeczy, nawet i wtedy nie pozbyła się całkowicie uczucia zagrożenia.

2

Po dokonaniu zbrojstwa na doktorze Davisie Weatherbym, Vince Nasco zajęł szarą furgonetkę na stacji benzynowej przy Pacific Coast Highway. Z publicznej budki telefonicznej zadzwonił do Los Angeles pod numer, który już dawno temu zakodował na stałe w pamięci. Zgłosił się jakiś mężczyzna i powtórzył wybrany przez Nasca numer. Był to jeden z tych trzech głosów, które zazwyczaj odpowiadały na jego telefony. Miękki, o głębokim tembrze. Często odzywał się inny mężczyzna. Jego głos, mocny i ostry, działał trochę Vince'owi na nerwy.

Czasami słuchawkę podnosiła kobieta; głos sexy, gardłowy, a zarazem dziewczęcy. Vince nigdy jej nie widział, ale niejednokrotnie próbował wyobrazić sobie, jak wygląda.

Gdy tylko miękko mówił mężczyzna skończył recytować numer, Vince rzekł:

-Zrobione. Jestem bardzo wdzięczny, że do mnie zadzwoniliście, i zawsze możecie na mnie liczyć, gdybyście mieli jeszcze jakas robotę. - Był przekonany, że facet na drugim końcu linii także rozpoznaje jego głos.

-Ciesze sie, ze wszystko poszlo dobrze. Jesteśmy pełni najwyższego uznania dla pańskich kwalifikacji. A teraz proszę to zapamiętać - powiedział łącznik, po czym podał mu siedmiocyfrowy numer telefonu.

Zaskoczony, Vince powtórzył numer. Łącznik ciągnął dalej:

-To jeden z publicznych telefonów na Fashion Island. Na otwartej promenadzie w pobliżu domu towarowego Robinsona. Czy dotrze pan tam w ciągu piętnastu minut?

-Jasne - odparł Vince. - Nawet w dziesięć.

-Zadzwońcie tam za piętnaście minut i podam więcej szczegółów.

Vince odwiesił słuchawkę i pogwizdując wrócił do wozu. Skierowanie go do kolejnego publicznego telefonu po "szczegóły" mogło oznaczać tylko jedno: już mieli dla niego robotę, druga w ciągu tego samego dnia!

3

Skonczywszy dekorować ciasto polewa. Nora wycofała się do swej sypialni, położonej na pierwszym piętrze w południowo-zachodnim narożniku budynku. Za życia Violet Devon sypialnia stanowiła sanktuarium Nory, mimo iż pozbawiona była zamka w drzwiach. Podobnie jak pozostałe pomieszczenia w tym wielkim domu zastawiona była ciężkimi meblami i bardziej przypominała jakiś skład niż pokój mieszkalny. Pozostałe szczegóły wystroju były równie ponure, a jednak kiedy Nora wykonała już swoje codzienne obowiązki lub gdy pozwolono jej wreszcie odejść po którychś z nie kończących się wykładów, jakimi uszczesliwiała ją ciotka, natychmiast pędziła do sypialni i tam znajdowała swój azyl w świecie książek i barwnych marzeń.

Violet kontrolowała swą siostrzenicę bez uprzedzenia; podkradła się bezszelestnie korytarzem, otwierała gwałtownie nie dające się zamknąć drzwi i wpadała do pokoju mając nadzieję, że przyłapała ją na zakazanych rozrywkach lub zajęciach. Takie nie zapowiedziane inspekcje, niezwykle częste w okresie dzieciństwa i dojrzewania Nory, później coraz rzadsze, trwały aż do ostatnich tygodni życia Violet Devon, a przecież Nora była już wtedy dorosłą, dwudziestodwuletnią kobietą. Ponieważ Violet gustowała w ciemnych strojach, włosy miała zaczesane w niewielki kok, a na jej bladej twarzy o ostrych rysach nie dostrzegłoby się nawet śladu makijażu, przypominała wyglądem bardziej mężczyznę niż kobietę i podobna była do surowego mnicha, odzianego w szorstkie, pokutne szaty, który przemierza nieustannie ponure korytarze średniowiecznego klasztoru kontrolując zachowanie braci zakonników.

Przyłapana na zadumie lub drzemce, Nora musiała wysłuchać srogiej reprimendy i za karę wykonać jakąś uciążliwą pracę. Jej ciotka nie miała pobjazania dla beczynności.

Książki były dozwolone, jeżeli uprzednio uzyskały aprobatę Violet - ponieważ, po pierwsze, służyły celom kształcenia. Poza tym, jak często mawiała Violet: "Proste, siedzące stale w domu kobiety, jak ty czy ja, nigdy nie będą wiodły wspaniałego, barwnego życia, nigdy nie zobaczą egzotycznych krain. Dlatego też książki mają dla nas wartość szczególną. Możemy doświadczyć niemal wszystkiego za ich pośrednictwem. To nie jest takie złe. Życie poprzez książki jest nawet lepsze od posiadania przyjaciół czy znajomości z... mężczyznami".

Dzięki pomocy odznaczającego się ustepliwym charakterem znajomego lekarza Violet nie

posyłała Nory do szkół publicznych, tłumacząc to złym stanem jej zdrowia. Dziewczyna pobierała edukację w domu, więc książki stanowiły jednocześnie jedyne w zasadzie źródło jej wiedzy.

Mając trzydzieści lat Nora znalazła już tysiące książek, a poza tym sama nauczyła się malować techniką oleju, akrylu i akwareli i rysować. Rysunek oraz malarstwo były zajęciami pochwalanymi przez ciotkę Violet. Sztuka stanowiła jedyną drogę ucieczki, pozwalając Norze zapomnieć o leżącym poza domem świecie, pomagając uniknąć kontaktów z ludźmi, którzy bez wątpienia by ją odrzucili, zadali jej ból i napełnili rozczarowaniem.

W jednym kącie sypialni ustawiła rysownicę, sztalugi i szafkę z przyborami. Wygospodarowała miejsce na to miniaturowe studio ściskając resztę mebli, toteż w rezultacie w pokoju można się było nabawić klaustrofobii.

Przez wiele lat, niejednokrotnie najczęściej nocą, choć czasami także i w środku dnia, Nora doznawała nieodpartego wrażenia, że podłoga zawali się pod ciężarem ustawionych na niej mebli, a ona sama wpadnie do pomieszczenia na dole i zginie przygnieciona własnym masywnym łóżem z baldachimem. Gdy strach stawał się nie do wytrzymania, uciekała na trawnik z tyłu domu, siadała pod gołym niebem, obejmowała się ramionami i próbowała opanować wstrząsające całym ciałem drżenie. Dopiero mając dwadzieścia pięć lat zdawała sobie sprawę, że przyczyny owych ataków niepokoju należało szukać nie tylko w nadmiernym zagrzeniu pokoi oraz w ciemnej tonacji wystroju domu, ale również w stałej obecności odznaczającej się wybitnie despotycznym charakterem ciotki. Pewnego ranka w sobotę, cztery miesiące temu, w osiem miesięcy po śmierci Violet Devon, Nora opanowała nagle gwałtowne pragnienie zmian. Zabrała się gorączkowo za przemeblowanie sypialni. Wyniosła lub powyciągała na zewnątrz wszystkie mniejsze meble, starając się rozmieścić je w miarę równomiernie w pięciu znajdujących się na piętrze pokojach. Parę większych rzeczy musiała rozbrać, a następnie wynosić je po kawałku, lecz w końcu udało jej się pozbyć wszystkich sprzętów z wyjątkiem łóżka z baldachimem, nocnej szafki, jednego fotela, rysownicy, stolika, szafki z przyborami i sztalugi. Nie potrzebowała niczego więcej. Potem zaczęła zdzierać tapetę.

Podczas tamtego oszalamiającego weekendu czuła się tak, jakby w jej życiu dokonała się rewolucja i nigdy już nie miało powrócić to, co było dotąd. Kiedy jednak odnowiła sypialnię, uszedł z niej cały duch buntu i pozostawiła resztę domu nietkniętą.

Teraz przynajmniej to jedno miejsce było jasne, niemal wesole. Ściany pomalowała na kolor bladożółty. Zasłony zniknęły, a ich miejsce zajęły dopasowane barwą do ścian żaluzje. Wyrzuciła też paskudny dywan i doprowadziła do połysku piękną, ciemną posadzkę.

To było jej sanktuarium - czuła to teraz silniej niż kiedykolwiek. Za każdym razem, gdy przekraczała próg pokoju i spoglądała na swoje dzieło, jej nastrój wyraźnie się poprawiał i zapominała na czas jakiś o wszelkich zmartwieniach.

Po wizycie Strecka Nora jak zwykle szukała ukojenia w jasnej sypialni. Usiadła przy desce do rysowania i zaczęła kreslić szkic w ołówku, wstępne studium do obrazu olejnego, którego pomysł już od jakiegoś czasu chodził jej po głowie. Z początku drżały jej ręce, toteż musiała często robić przerwy, aby odzyskać nad nimi kontrolę w stopniu umożliwiającym dalszą pracę, w końcu jednak udało się jej zapanować nad sobą.

Po jakimś czasie, rysując, potrafiła już nawet myśleć o Strecku. Zaczęła się zastanawiać,

jak daleko osmielilby sie posunac, gdyby szczerliwie nie pozbyla sie go z domu. Ostatnio nachodzily ja watpliwosci, czy narzucony jej przez Violet Devon pesymistyczny obraz swiata zewnetrznego i zamieszkujacych go ludzi odpowiadat prawdzie. Choc taka wlasnie wizje wpajano jej od dziecka, narastalo w niej dreczace podejrzenie, ze mogla byc ona wypaczona lub wrecz chorobliwa. Teraz jednak spotkala na swej drodze Arta Strecka i w jego osobie znalazla znakomite potwierdzenie slusznosci wywodow ciotki Violet, dowod na to, ze zbyt intensywnne kontakty ze swiatem niosa ze soba niebezpieczenstwo.

W pewnym momencie, gdy pochylala sie nad na wpol ukonczonym szkicem, przyszlo jej do glowy, iz blednie zinterretowala wszystko, co Streck zrobil, czy powiedzial. Nie mogl przeciez jej robic seksualnych propozycji. Nie jej.

Pomijajac juz wszystko inne, nie byla w najmniejszym stopniu atrakcyjna. Zwyczajna kura domowa. Moze nawet brzydka. Nora wiedziala, ze tak wlasnie bylo, gdyz oprócz licznych wad ciotka Violet miala rowniez pewne zalety, do ktorych nalezala umiejtnosc mowienia prawdy bez ogrodek. Malo atrakcyjna, bezbarwna, Nora nie nalezala do kobiet, ktore moga miec nadzieje na to, ze beda calowane i pieszczone przez mezczyzn. To przekonanie ciotka Violet wpoila jej bardzo wczesnie.

Pomimo odpychajacej osobowosci Streck byl przystojnym, pociagajacym mezczyzna, wiec z pewnoscia mogl sobie wybrac jakas piekna kobiete. Byloby wrecz smieszne przypuszczac, ze zainteresowal sie takim popychadlem jak ona.

Nora wciaz jeszcze nosila ubrania kupione jej przez ciotke Violet. Ciemne, bezkszaltne sukienki, spodnice i bluzki podobne do tych, jakie nosila ciotka. W jasniejszych, bardziej kobiecych strojach jej koscista figura, brak wdzieku i brzydota pozbawionej wyrazu twarzy rzucalaby sie bardziej w oczy.

Ale dlaczego Streck powiedzial, ze jest ladna?

No coz, wyjasnienie bylo proste. Mogl sie z niej naigrawac. Albo co bardziej prawdopodobne, staral sie byc uprzejmy.

Im dluzej sie nad tym zastanawiala, tym bardziej dochodzila do przekonania, ze blednie ocenila tego biednego czlowieka. Dobiegajac do trzydziestki stala sie stara panna, zastraszona, nerwowa i samotna.

Przez chwile zmagala sie z ta przygnebiajaca mysla, potem jednak ze zdwojona energia wrocila do pracy, ukonczyla szkic i zaczela nastepny. Po pewnym czasie, pochlonieta rysowaniem, zapomniala o calym swiecie.

Z dolu dobiegaly dzwieki starego zegara dziadka, sygnalizujac kolejne kwadranse i godziny.

W miare jak czas uplywal, chylace sie ku zachodowi slonce nabieralo coraz bardziej zlolicstej barwy, napelniajac pokoj coraz jasniejszym blaskiem. Powietrze zdawalo sie lekko drzec. Krolewska palma za oknem falowala lagodnie w podmuchach majowego wiatru.

Okolo czwartej byla juz spokojna, zaczela sobie nawet podspiewywac.

Dzwonek telefonu zupełnie ja zaskoczyl.

Odlozyla olowek i siegnela po sluchawke.

-Halo? - To zabawne - powiedział meski głos.

-Co takiego?

-Nigdy o nim nie slyszeli.

-Przepraszam, ale musial pan pomylic numer.

-Czy to pani, pani Devon?

Teraz poznala ten głos. To byl on. Streck. Przez moment nie mogla wydobyć z siebie słowa.

-Nigdy o nim nie slyszeli - ciagnal Streck. - Zadzwoilem na policje w Santa Barbara i zapytalem o policjanta Devona, lecz oni odpowiedzieli, ze nikt taki u nich nie pracuje. Czy to nie dziwne, pani Devon?

-Czego pan chce? - zapytala wstrzasnieta.

-Mysle, ze to pomyłka komputera - powiedział Streck z cichym smiechem. - Tak, to z pewnoscia blad komputera jest przyczyna tego, ze maz pani nie figuruje w wykazie policjantow Santa Barbara. Mysle, ze powinna mu pani o tym powiedziec, jak tylko wroci do domu. Jesli natychmiast nie wyprostuje wszystkiego, to moze nawet nie dostac swoich poborow na koniec tygodnia.

Rozlaczyl sie, a plynacy ze sluchawki sygnal uswiadomil jej, ze to ona powinna byla pierwsza przerwac te rozmowe, rzucic sluchawke na widelki, gdy tylko uslyszala, ze zadzwonil na policje. Nawet sluchajac jego telefonicznych opowiesci, osmiela go w pewnym stopniu, a tego robic jej nie wolno.

Obeszla dom dokola, sprawdzajac okna i drzwi. Wszystkie byly dokladnie zamkniete.

4

W barze McDonalda, na East Chapman Avenue w Orange, Travis Cornell zamowil dla retrievera piec hamburgerow. Siedzac na przednim fotelu furgonetki pies pochlonal cale mieso oraz dwie bulki, po czym w dowod wdziecznosci sprobował polizac czlowieka po twarzy.-Masz oddech cierpiacego na niestrawnosc aligatora - zaprotestowal Cornell, odpychajac go na oparcie fotela.

Powrotna podroz do Santa Barbara zabrala im trzy i pol godziny, poniewaz autostrady byly znacznie bardziej zatloczone niz rankiem. W czasie jazdy Travis spogladal na swego towarzysza i zagadywal do niego liczac, ze uzyska w ten sposob kolejne dowody niesamowitej inteligencji zwierzecia. Niestety, jego oczekiwania nie zostaly spelnione. Retriever zachowywal sie jak kazdy zwyczajny pies podczas dlugiej podrozy. Co prawda od czasu do czasu siadal wyprostowany i obserwowal krajobraz za oknem z wyrazem, mozna by rzec, napietej uwagi, najczesciej jednak drzemal zwiniety w klebek, posapujac przez sen, lub tez czochral sie i ziewal ze znuzonym wyrazem pyska.

Kiedy odor brudnej psiej sierści stal sie trudny do wytrzymania, Travis opuscil szyby, a wtedy retriever natychmiast wystawil glowe na zewnatrz. Z uszami wpychanymi przez podmuchy wiatru do srodka kabiny, z falujaca bezladnie sierścią i przylepionym do pyska glupawym usmiechem, prezentowal sie rownie bezmyslnie i czarujaco, jak wszystkie inne

podróżując samochodem psy.

W Santa Barbara Travis zatrzymał się przed centrum handlowym, gdzie kupił parę puszek albo pudełko mlecznych ciastek na kości dla psów, ciężkie plastikowe miski na jedzenie i wodę, ocynkowana balie, butelkę szamponu dla zwierząt z dodatkiem środka przeciwko pchłom i kleszczom, szczotkę, obroże oraz smycz.

Pakując zakupy na skrzynię Travis spostrzegł, że pies przypatruje mu się z wilgotnym nosem przytkniętym do tylnej szyby kabiny.

Sadowiac się za kierownicą powiedział:

-Jestes brudny i smierdzisz. Chyba nie bedziesz rozrabial przy kapieli, co?

Retriever ziewnal.

Wjechawszy na podjazd wynajetego czteropokojowego bungalowu usytuowanego na północnym skraju Santa Barbara, Travis wyłączył silnik, po czym zaczął się zastanawiać, czy poranne zachowanie czworonoga rzeczywiście było tak niezwykle, jak to sobie zapamiętał.

-Jeżeli mi czegoś zaraz nie pokażesz - zwrócił się do psa, wkładając klucz w zamek frontowych drzwi - będę musiał uznać, że wtedy w lesie coś mi odbiło albo że jestem w ogóle lekko stuknięty i wszystko mi się przywidziało.

Stojący na werandzie retriever popatrzył na niego, zartobliwie przekrzywiając łeb.

-Chcesz ponosić odpowiedzialność za wzniesienie we mnie wątpliwości, czy jestem rzeczywiście normalny? Hmm?

Pomaranczowo-czarny motyl przeleciał tuż obok głowy retrievera. Zaskoczony pies szczeknął krótko, zeskoczył z werandy i rzucił się w pogoń za trzepoczącą zdobyczą. Uganiając się po trawniku tam i z powrotem, skakać wysoko w górę, na próżno klapać raz po raz zębami, omaal nie wpadł na pokryty romboidalną siatką pien okazalejszą kanaryjską palmę daktylową, potem z najwyższym trudem uniknął czołowego zderzenia z betonowym poidłem dla ptaków, na koniec zaś wskoczył niezdarnie na sam środek grządki pochodzącego z Nowej Gwinei niecierpka. Motyl wznosił się na bezpieczną wysokość i zniknął w oddali, a czworonóg przewrócił się na grzbiet, stanął na czterech łapach i opuścił rabatkę.

Uświadomiwszy sobie porażkę, pies wrócił do Trávisa. Wyglądał na zakłopotanego.

-To ci dopiero niezwykle pies - powiedział człowiek. - Wielkie nieba.

Otworzył drzwi, a retriever, wyprzedzając go, wśliznął się do środka i natychmiast zniknął w głąb domu, chcąc dokładnie zbadać pomieszczenia.

-Powinieneś zostać włamywaczem! - krzyknął za nim Travis. Przeniósł do kuchni ocynkowana balie i plastikową torbę pełną zakupów. Wypakował z niej żywność i miski dla psa, całą resztę zaś wyniósł na podwórze. Ustawił balie i torbę na wybetonowanym patio w pobliżu zwiniętego weza do wody, podłączonego do sterującego ze ściany zaworu.

Wrócił do kuchni, wydobył spod zlewu wiadro, napełnił je gorącą wodą, po czym wyszedł znowu na podwórze i wylał wodę do balii. Kiedy opróżnił czwarte z kolei wiadro, pojawił się

retriever i przystąpił do zwiedzania terenu. Nim balia została napełniona do połowy, pies zdążył obsiusiać w kilku miejscach ziemię tuż przy białym betonowym murze biegnącym wzdłuż granicy posiadłości, znacząc w ten sposób zasięg swego terytorium.

-Kiedy już skończysz usmiercać trawę - powiedział Travis - zrobimy ci kąpiel, ty smierdzieliu.

Retriever zwrócił ku niemu głowę, przekrzywił ją i jakby przysłuchiwał się temu, co do niego mówiono. Niestety, w niczym nie przypominał któregoś z tych sprytnych psów, jakie można oglądać w kinie. Wyglądał głupio i zupełnie nie sprawiał wrażenia, żeby cokolwiek rozumiał. Gdy tylko Travis skończył mówić, pies przebiegł parę kroków wzdłuż muru i ponownie skropił ziemię.

Obserwując siusiającego psa Travis poczuł, że on także musi skorzystać z toalety. Przeszedł do łazienki, potem przebrał się w stare dzinsy i podkoszulek - odpowiedni strój do czekającej go roboty.

Wrocivszy na patio, ujrzał retrievera stojącego nad parującą balią z gumowym węzem w zębach. W jakiś sposób udało mu się odkrecić wodę, która szerokim strumieniem wypłynęła z weza do balii.

Dla psa odkrecenie kurka było czynem niezmiernie trudnym, jeśli nie wręcz niemożliwym. Travis pomyślał, że równowalnym testem jego własnej pomysłowości i zrecznosci mogłaby być próba zdjęcia z fiolki aspiryny zamknięcia, które zabezpiecza przed możliwością dostania się jej zawartości w ręce dzieci z jedną ręką unieruchomioną na plecach.

Zdumiony, zapytał:

-Woda była dla ciebie zbyt gorąca?

Retriever upuścił końcówkę weza, dzięki czemu woda zaczęła się wylewać na posadzkę patia, po czym z niezaprzeczną gracją wszedł do balii. Przysiadł na zadnich łapach i popatrzył na człowieka, jakby chciał powiedzieć: na co jeszcze czekasz, niedolego?

Podszedłszy bliżej, Travis przykleknął obok psa.

-Pokaż mi, że potrafisz zakrecić kran - zazała. Zwierzę popatrzyło na niego z niemadrym wyrazem pyska.

-Pokaż - nie dawał za wygraną Travis.

Pies parsknął i zmienił nieco pozycję w ciepłej wodzie.

-Skoro potrafisz odkrecić, to równie dobrze dasz sobie radę z zakreceniem. Jak to zrobisz? Zębami? Musiałeś użyć zębów. Przecież, na miłość boską, nie mogłeś tego zrobić łapą. Ale i tak ruch pokretny musiał być dla ciebie czymś niezwykle trudnym. Mogłeś sobie połamać zęby na metalowym uchwycie.

Retriever wychylił się trochę poza balię, akurat tyle, by móc uchwycić zębami brzeg torby z szamponem.

-Wiec nie zakrecisz? - zapytał Travis.

Pies zamrugł oczami i to była cała jego odpowiedź. Westchnawszy Travis sam zakrecił kran.

-Okay. Jak chcesz, madralo. - Wyciągnął z torby szczotkę i pojemnik z szamponem, po czym podsunął je czworonogowi. - Trzymaj. Nie sadzę, że ci będę potrzebny. Jestem pewien, że doskonale poradzisz sobie sam.

Pies wydobył z głębi gardła dźwięk przypominający przeciągłe luuuuuu, a Travis odniósł wrażenie, iż zabrzmiały w nim tony świadczące o inteligencji.

Tylko spokojnie, powiedział do siebie. Uważaj, Travis, żebyś przypadkiem nie zwariował. Masz przed sobą cholernie cwane go psa, ale tak naprawdę to on nie rozumie, co do niego mówisz, ani tym bardziej nie potrafi ci odpowiedzieć.

Retriever poddał się kąpieli bez protestu, a nawet zdradzał pewne oznaki zadowolenia. Po wygonieniu psa z balii i splukaniu zębów szamponem, Travis spędził następną godzinę na szczotkowaniu wilgotnej sierści. Powyciągał zaplątane w zmierzwionych klakach igliwie i kawałki chwastów, starannie porozplątywał liczne węzły. Retriever wykazywał wyjątkową cierpliwość podczas tej operacji i około szóstej był już odmieniony nie do poznania. Wykapany i uczesany prezentował się nadzwyczaj korzystnie. Złocista sierść przybierała nieco jaśniejszy odcień w tylnej części nog, na brzuchu oraz spodniej stronie ogona. Blżej ciała stawiała się gesta i miękka, tworząc osłonę przed chłodem i wodą. Wierzchnia warstwa sierści, również miękka, była już rzadsza, a w paru miejscach dłuższe włosy układały się w słabe fale. Ogon wznosił się lekko ku górze, nadając psu wesoły, beztroski wygląd, zwłaszcza że zdradzał skłonności do ciągłego nim wymachiwania.

Zakrzępla krew na uchu pochodziła z niewielkiego rozdarcia, które zaczynało się już goić. Ślady krwi na łapach również nie były wynikiem poważnych skaleczeń, lecz jedynie długotrwałej wędrowki po trudnym terenie. Travis ograniczył się do przemycia tych drobnych ran roztworem kwasu bornego. Był przekonany, że zwierzęciu nie przydarzyło się nic poważnego i że w ciągu kilku dni dojdzie całkowicie do siebie.

Retriever wyglądał znakomicie, za to Travis przemokł, fatalnie spocił się i śmierdzał szamponem dla psów. Chciał jak najszybciej wziąć prysznic i zmienić ubranie. Poza tym zdążył już porządnie zgłodnieć.

Musiał jeszcze tylko założyć psu obrozę. Kiedy jednak spróbował to zrobić, czworonóg warcząc miękko wycofał się poza zasięg jego rąk.

-A co to znowu? Przecież to tylko obroza, chłopie.

Nie przestając warczyć, pies wyszczerzył zęby w kierunku trzymanej przez Trávisa petli z czerwonej skóry.

-Obroza kojarzy ci się z czymś niedobrym, tak? Pies ucichł, lecz nie zbliżył się ani o krok.

-Złe cię traktowali? - zapytał Travis. - Tak właśnie chyba było. Może zaciskali ci ją na szyi i dusili albo trzymali cię na krótkim lancuchu. Mam rację?

Retriever szczechnął krótko, po czym pognał przez patio, przystanął w najdalszym kącie i dopiero stamtąd osmielił się spojrzeć na obrozę.



-Czy mi wierzysz? - Travis nie podnosił się z kłerek. Ta pozycja gwarantowała psu bezpieczeństwo.

Zwierze przeniosło wzrok z kawałka skóry na człowieka. Ich oczy spotkały się.

-Nigdy nie będę cię źle traktować - oświadczył uroczyście. Wcale jakos nie czuł się głupio prowadzić taką rozmowę z psem. - Ty zresztą to wiesz, wyczuwasz takie rzeczy, no nie? Posłuchaj swego instynktu, chłopie, i zaufaj mi.

Z końca patia retriever ruszył w stronę Trávisa i zatrzymał się blisko niego, ale w miejscu znajdującym się jeszcze poza zasięgiem jego rąk, zerknął na obroże, po czym spojrzał niesłyszalnie przenikliwie jak na psa prosto w oczy człowiekowi. Podobnie jak poprzednio Travis poczuł coś w rodzaju łączności ze zwierzęciem, równie głębokiej co niesamowitej, wymykającej się wszelkim opisom.

-Posłuchaj - przerwał milczenie - od czasu do czasu będę chciał zabrać cię w takie miejsca, gdzie wymagają, żebyś psa prowadzić na smyczy. A smycz musi być przypięta do obroży, prawda? To jedyny powód, dla którego chcę, żebyś nosił obroże - dzięki temu będę mógł zabierać cię wszędzie ze sobą. No i jeszcze, obroża chroniłaby cię przed psami. Ale jeśli naprawdę jej nie chcesz, nie będę cię zmuszać.

Przez długą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Retriever zdawał się oceniać sytuację, a Travis trwał bez ruchu, trzymając przed sobą obroże niby jakiś cenny pódarunek. W końcu pies otrząsał się, kichnął i powoli podszedł bliżej.

-Zuch - zachęcająco rzucił Travis.

Zwierze położyło się na brzuchu, a zaraz potem przetoczyło na grzbiet, wznosząc ku górze wszystkie cztery łapy i odsłaniając swoje słabe miejsca. Jego spojrzenie pełne było miłości i wiary, choć nie do końca wolne od strachu.

Dziwił się samemu sobie, Travis poczuł, jak coś ściska go w gardle, a w kącikach oczu zbierają się gorące łzy. Z trudem przełknął ślinę, zacisnięciem powiek rozgonił łzy i pomyślał, że staje się sentymentalnym naiwniakiem. W głębi duszy wiedział jednak, dlaczego świadoma uległość psa wywarła na nim tak silne wrażenie. Po raz pierwszy od trzech lat Travis Cornell poczuł się komus potrzebny, nawiązał głębszy kontakt z inną żywą istotą. Po raz pierwszy od trzech lat znalazł powód, by żyć.

Przymierzył obroże, zapiał ją, a następnie podrapał delikatnie czworonogą po brzuchu.

-Musimy znaleźć ci jakieś imię - powiedział.

Pies poderwał się na nogi, stanął na wprost niego i zastrzygł uszami, jakby nie mógł się doczekać tego, co powie jego nowy pan.

Dobry Boże, pomyślał Travis, przypisuje mu ludzkie reakcje. To jest pies, być może wyjątkowy, ale w końcu tylko pies. Choć może i wyglądał tak, jakby chciał usłyszeć swoje imię, to jest przecież rzeczą oczywistą, że nie rozumie po angielsku.

-Nie przychodzi mi do głowy żadne odpowiednie imię - powiedział wreszcie. - Nie będziemy się z tym spieszyć. Musisz mieć imię, które będzie do ciebie pasować. W końcu nie jesteś zwyczajnym psem, kudłata mordko. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Oproznil balie, oplukal ja i odstawil, by wyschla. Razem z retrieverem weszli do domu, bedacego od tej chwili ich wspolna siedziba.

5

Doktor Elisabeth Yarbeck wraz z mezem Jonathanem, prawnikiem, mieszкала w Newport Beach, w rozleglym, parterowym, przypominajacym ranczo domu. Dom ow mial gontowy dach, kremowe sciany, a wiodl do niego chodnik ulożony z kamienia z Bougnet Canyon. Blade slonce wysylalo swiatlo o barwie miedzi i rubinu, ktore lsnilo i iskrzylo sie na oprawnych w ołow szybkach waskich okienek drzwi wejsciowych, nadajac im wyglad olbrzymich klejnotow. Kiedy Vince Nasco nacisnal dzwonek, w drzwiach pojawila sie Elisabeth. Miala okolo piecdziesiatki i ze swymi puszystymi jasnymi wlosami i niebieskimi oczami wygladala calkiem atrakcyjnie. Vince powiedzial jej, ze nazywa sie John Parker, jest agentem FBI, i chce porozmawiac z nia oraz z jej mezem w zwiazku z prowadzonym wlasnie sledztwem.

-Sledztwo? - zdziwila sie. - Jakie sledztwo?

-Sprawa dotyczy finansowanego przez rzad projektu badawczego, w ktorym panstwo w swoim czasie uczestniczyli - oswiadczył Vince. Zgodnie z tym, co mu powiedziano, te wlasnie slowa mialy mu otworzyc drzwi domu Yarbeckow.

Elisabeth obejrzala dokladnie jego legitymacje i wystawione przez Biuro dokumenty uwierzytelniajace.

Nie przejal sie tym zbyt. Falszywe papiery zostaly przygotowane przez tych samych ludzi, ktorzy wynajeli go do tej roboty. Posluzyl sie nimi po raz pierwszy podczas akcji w San Francisco i od tej pory korzystal z nich jeszcze trzykrotnie.

Choc byl pewien, ze dokumenty nie wzbudza w niej zadnych podejrzen, nie wiedzial, czy on sam przejdzie test rownie pomyslne. Mial na sobie ciemnoblekitny garnitur, biala koszule, blekitny krawat oraz nienagannie wyczyszczone buty - stroj jak najbardziej odpowiedni dla agenta. Jego wzrost i pozbawiona wyrazu twarz rowniez znakomicie pasowaly do roli, jaka gral obecnie. Jednakze zabojstwo doktora Dava Weatherby'ego, a takze perspektywa dokonania dwoch dalszych morderstw w ciagu najblizszych kilku minut, niezmiernie go podniecily, napelniajac obledna, trudna do pohamowania radoscia. Wzbieralo w nim pragnienie smiechu i z kazda chwila trudniej mu bylo nad nim zapanowac. Jadac tutaj szarozielonym fordem sedanem, ukradzionym przed czterdziestu minutami specjalnie do tej roboty, doznal ataku drgawek wywolanych nie przez zdenerwowanie, lecz intensywna przyjemnosc niemal seksualnej natury. Musial zatrzymac sie na poboczu i oddychac gleboko; dopiero wtedy, po dziesieciu minutach, atak minal.

Elisabeth Yarbeck przeniosla wzrok ze sfalszowanej legitymacji na twarz Vince'a i zmarszczyla czolo.

Zaryzykowal i usmiechnal sie, choc istnialo niebezpieczenstwo, ze wybuchnie za moment nie kontrolowanym smiechem i tym sie zdemaskuje. Mial chlopiecy usmiech, ktory w zestawieniu z jego postura mogl podzialac rozbrajaco.

Po chwili doktor Yarbeck usmiechnela sie rowniez. Uspokojona, zwrocila mu dokumenty i wpuszczala go do srodka.

-Bede chcial porozmawiac takze z pani mezem - przypomniał jej Vince, gdy zamykala za

nim frontowe drzwi.

-Jest w salonie, panie Parker. Tedy, prosze.

Salon byl duzy i przestronny. Kremowe sciany, dywan. Bladozielone sofy. Duze okna, czesciowo niewidoczne spoza zielonych zaslon, pozwalaly dojrzec starannie utrzymane podworze, a takze domy na sasiednich wzgorzach.

Jonathan Yarbeck upychal drobne kawalki drewna pomiedzy spietrzone na palenisku ceglanego kominka klody, przygotowujac sie do rozpalenia ognia. Gdy zona przedstawila mu Vince'a: - John Parker z FBI - podniosl sie i otrzepal dlonie.

-FBI? - zapytal, unoszac ze zdziwieniem brwi.

-Panie Yarbeck - odezwal sie Vince - czy w domu sa jeszcze jakies inne osoby nalezace do panskiej rodziny? Jezeli tak, to prosze je tu sprowadzic, zebym nie musial potem powtarzac wszystkiego kazdemu z osobna.

Krecac glowa, Yarbeck powiedzial:

-Jestesmy sami z Liz. Dzieciaki sa w szkole. O co panu chodzi? Vince wyciagnal spod marynarki wyposazony w tlumik pistolet i strzelil mu w piers. Prawnik zostal odrzucony do tylu, na obudowe kominka, gdzie znieruchomial na chwile niczym przyszpilony, po czym upadl na stojace obok mosiezne przybory do palenia.

Sssssnap.

Elisabeth Yarbeck zamarla w bezruchu, zdumiona i przerazona zarazem. Vince rzucil sie ku niej, zlapal kobiete za lewa reke i mocno wykretil ja do tylu. Kiedy krzyknela z bolu, przylozyl jej pistolet do skroni i powiedzial:

-Zamknij sie albo rozwale ci ten pieprzony leb.

Zmusil ja, by podeszla razem z nim do ciala meza. Jonathan Yarbeck lezal twarza w dol, przykrywajac soba mala blaszana szufelke do wegla i ozdobny pogrzebacz. Byl martwy, jednakze Vince wolal nie ryzykowac. Z bliskiej odleglosci strzelil mu dwukrotnie w tyl glowy.

Z ust Liz Yarbeck dobyl sie dziwny, cienki, przypominajacy miauczenie kota dzwiek, który po chwili przeszedl w szloch.

Poniewaz szyby w oknach mialy przydymiony odcien, a dom Yarbeckow od najblizszych domow dzielila znaczna odleglosc, Vince byl przekonany, ze nikt z sasiadow nie zdola dojrzec, co dzieje sie wewnatrz, mimo to jednak chcial rozprawic sie z kobieta w miejscu bardziej dyskretnym. Sila wyprowadzil ja na korytarz i pociagnal w glab domu, zagladajac po drodze do wszystkich pomieszczen, dopoki nie znalazl sypialni. Wepchnal tani swa ofiare, a nastepnie uderzeniem w kark rozciagnal ja na podlodze.

-Nie ruszaj sie - warknal.

Zapalil nocne lampki, po czym zaczal zaciagac story na duzych, przeszklnych, rozsuwanych drzwiach, ktore wychodzily na patio.

Wykorzystując moment, kiedy był zwrócony do niej plecami, kobieta poderwała się na nogi i rzuciła się w stronę drzwi.

Złapał ją bez trudu, cisnął o ścianę, uderzył pięścią w brzuch, pozbawiając tchu, a na koniec jeszcze raz zwałił na podłogę. Szarpnięciem za włosy unosił jej głowę, zmuszając Elisabeth, by popatrzyła mu prosto w oczy.

-Posłuchaj, moja pani. Nie zamierzam cię zastrzelić. Przyszedłem tutaj, żeby załatwić twego meza. Chodziło mi tylko o niego. Jeśli jednak spróbujesz uciec wcześniej, niż będę gotów cię wypuścić, zmuszony będę załatwić też i ciebie. Jasne?

Oczywiście, łąał jak z nut. To właśnie ona była osoba, za zlikwidowanie której mu zapłacono, meza zaś musiał zabić tylko dlatego, że znajdował się akurat w domu. Jednakże prawda było, że Vince nie miał zamiaru jej zastrzelić. Zależało mu na tym, by nie stawiała oporu, dopóki jej nie skrepuje, gdyż chciał zastosować wobec niej inną metodę. Czasami śmierć można by smakować podobnie jak dobre jedzenie, wino czy wspaniały zachód słońca.

Z trudem łapiąc oddech, zapytała przez łzy:

-Kim jesteś?

-Nie twój interes.

-Czego chcesz?

-Zamknij się, nie przeszkadzaj, a wyjdiesz z tego cało. Zaczęła się gorączkowo modlić, dzieląc słowa krótkimi, rozpaczliwymi westchnieniami.

Vince uparł się z zasłonami.

Wyrwał telefon ze ściany i cisnął nim o podłogę. Chwyciwszy Elisabeth za ramię, zmusił ją do wstania, a następnie zaprowadził do łazienki. Zaczął przetrząsać szuflady. Potrzebował plastra.

Znalazłszy go, wrócił do sypialni. Zmusił Liz Yarbeck, by położyła się na plecach na łóżku, po czym, za pomocą plastra, związał jej kostki u nóg oraz nadgarstki. Z szuflady komódki wyjął parę damskich majtek, zwinął je w kłębek i wepchnął kobiecie między zęby, a na koniec zaklecił plastrem jej usta.

Drżała gwałtownie na całym ciele i raz po raz mrugała oczami, usiłując coś dojrzec przez łzy i strugi potu.

Wyszedł z sypialni, kierując się w stronę salonu, gdzie przykleił obok ciała Jonathana Yarbecka. Musiał się z nim jeszcze rozliczyć do końca. Odwrócił zwołki twarzy do góry. Jedną z kul, które wystrzelił w tył głowy prawnika, wyszła przez gardło, tuż poniżej linii podbrodka. Otwarte usta pełne były krwi. Jedno oko uciekło w głąb czaszki, tak że spod powieki polyskiwało samo białko. Vince popatrzył w drugie oko.

-Dziękuję - powiedział z nieklamany szacunkiem. - Dziękuję, panie Yarbeck.

Zamknął obie powieki nieboszczyka, a następnie złożył na nich pocałunek.

-Dziakuje.

Ucalowal tez martwe czolo.

-Dziakuje za to, co mi pan dal.

Potem przeszedl do garazu. Myszkujac po szafkach natrafil na komplet narzedzi, z ktorego wybral sobie poreczny mlotek o powleczonej guma rekojesci.

Kiedy wrocil do pograzonej w ciszy sypialni i polozyl mlotek na materacu obok unieruchomionej kobiety, jej oczy rozszerzyly sie w sposob niemal komiczny.

Zaczela skrecac sie i piszczec, usilujac oswobodzic dlonie, jednakze plaster trzymal znakomicie.

Vince sciagnal z siebie ubranie.

Widzac, ze kobieta wpatruje sie w niego z przerazeniem podobnym do tego, jakie odmalowalo sie w jej oczach na widok mlotka, powiedzial:

-Prosze sie nie martwic, doktor Yarbeck. Nie zamierzam pani napastowac. - Rozlozyl marynarkę i koszule na oparciu krzesla. - Nie interesuje mnie pani jako obiekt seksualny. - Pozbyl sie pantofli, skarpetek oraz spodni. - Nie dozna pani tego upokorzenia. Nie naleze do takich ludzi. Zdejmuje ubranie tylko po to, zeby sie nie pobrudzilo krwia. Zupelnie nagi, uniosl mlotek i roztrzaskal jej kolano lewej nogi. Moze po piecdziesiatym lub szescdziesiatym uderzeniu nadszedl Moment.

Sssssnap.

Poczul raptem naplyw ogromnej energii. Czul sie teraz nadludzko sprawny, z niesamowita ostroscia odbieral barwy i strukture otaczajacych go przedmiotow. Byl silniejszy niz kiedykolwiek przedtem; byl niczym bog, ktory przybral ludzkie ksztalty.

Wypuscil z dloni mlotek i osunal sie na kolana. Przywarl czolem do zakrwawionej poscieli, oddychal gleboko, jego cialem zas wstrzasaly dreszcze rozkoszy tak intensywnej, ze az wrecz trudnej do zniesienia.

W kilka minut pozniej, gdy przyszedl juz nieco do siebie, gdy oswoil sie ze swym nowym, potezniejszym wcieleniem, podniosl sie, podszedl do martwej kobiety i ucalowal jej zmasakrowana twarz oraz dlonie.

-Dziakuje.

Byl tak gleboko poruszony poswieceniem, jakie dla niego uczynila, ze omal sie nie rozplakal. Radosc z wlasnego szczescia okazala sie jednak silniejsza niz wspolczucie i lzy nie poplynely.

Odnalazl lazienke i wzial prysznic. Zmywajac piane myslal, jakie to szczescie, ze z mordowania uczynil swoja profesje, ze placono mu za cos, co robilby i tak, nawet bez wynagrodzenia.

Kiedy juz sie ubral, wytarl recznikiem wszystkie przedmioty, ktorych dotknal po wejsciu do

tego domu. Zawsze dokładnie pamiętał każdy swój ruch, toteż nigdy się nie martwił o pozostawiane odciski palców. Doskonała pamięć stanowiła jeszcze jeden element Daru, jakim go obdarzono.

Wyszedszy z domu stwierdził, że na dworze zapadła już noc.

III

1

Przez całe popołudnie retriever nie uczynił niczego, co mogłoby poruszyć wyobraźnię Trávisa. Obserwował psa bez przerwy, czasami wprost, czasami kątem oka, nie zauważył jednak niczego niezwykłego. Na obiad przyrządził sobie bekon, sałatę i kanapki z pomidorem, dla retrievera natomiast otworzył puszkę alpo. Pies lubił chyba alpo, gdyż pochłaniał pokarm potężnymi łykami, jednakże widac było wyraźnie, że wolałby zamienić się z człowiekiem. Uporawszy się ze swoim daniem usiadł na kuchennej podłodze i z zazdrością spoglądał na siedzącego przy pokrytym czerwonym laminatem stole, zjadającego kanapki Trávisa. Ten poczęstował w końcu zwierzę dwoma kawałkami bekonu.

W tej psiej zebrance trudno było dostrzec coś szczególnego. Retriever oblizywał się co chwila, od czasu do czasu popiskiwał i powtarzał ograniczony repertuar zmartwionych min, obliczonych na zmiekczenie serca i wywołanie współczucia. Każdy pies próbowałby wyludzić poczęstunek dokładnie w taki sam sposób.

Kiedy później znaleźli się w salonie, Travis włączył telewizor, a czworonóg zwinął się w kłębek na kanapie u jego boku. Po chwili położył mu łeb na udzie, domagając się pieszczot i drapania za uszami. Wprawdzie co jakiś czas posyłał spojrzenia w kierunku ekranu, jednakże program go zbyt nie interesował.

Travis również nie interesował się telewizją. Całą jego uwagę skupiał na sobie pies. Chciał go lepiej poznać i zachęcić do pokazania większej liczby sztuczek. Zastanawiał się nad sposobami nakłonienia zwierzęcia do zademonstrowania jego zdumiewającej inteligencji w pełnym zakresie, lecz nie przychodził mu do głowy żaden sprawdzian, pozwalający wiarygodnie ocenić zdolności umysłowe retrievera. Poza tym przeczuwał, że pies nie chciałby współpracować przy żadnym teście. Odnosił wrażenie, iż niemal przez cały czas zwierzę instynktownie starało się ukryć swe prawdziwe możliwości. Przypominał sobie bezmyślną, komiczną w swej niezgrabności pogon za motylem, tak wyraźnie kontrastującą z bystrością i zwinnością, wykazanymi przy odkrecaniu wody w patio. Można by dojść do wniosku, że ma się do czynienia z dwoma różnymi stworzeniami. Chociaż na pierwszy rzut oka wydawało się to szalonym pomysłem, Travis powziął podejrzenie, że retriever nie chciał zwracać na siebie uwagi i ujawniał swą inteligencję jedynie w momentach zagrożenia (jak stało się to w lesie), kiedy był głodny (jak wówczas, gdy otworzył skrytkę w wozie, aby wydobyć batonik) albo wtedy, gdy nikt na niego nie patrzył (jak wówczas, gdy odkrecił kran w ogrodzie).

Myśl tę należało uznać za całkowicie niedorzeczna, logicznie biorąc wynikałoby z niej bowiem, że pies nie tylko dysponował zdumiewającą jak na przedstawiciela tego gatunku inteligencją, ale miał także świadomość, iż jego umiejętności są czymś niezwykłym.

Psy - podobnie zresztą jak wszystkie inne zwierzęta - nie reprezentują dostatecznie wysokiego poziomu samoświadomości, jaki jest niezbędny, by móc się porównywać z innymi osobnikami własnego gatunku. Umiejętność dokonywania analizy porównawczej stanowi

wylacznie ludzka wlasciwosc. Jesli nawet jakis pies przejawial zupełnie wyjatkowe zdolnosci i potrafil wykonywac wiele najrozniejszych sztuczek, to i tak nie mogl byc swiadomy swej odmiennosci w stosunku do wiekszosci jego pobratymcow. Przyjecie zalozenia, ze ow pies rozporzadzal podobna swiadomoscia, bylo rownoznaczne z potwierdzeniem nie tylko jego niesamowitej inteligencji, ale i jego umiejetnosci logicznego myslenia, oraz ze stwierdzeniem, ze w tym wypadku racjonalna ocena miala przewage nad instynktem, rzadzacy zachowaniem pozostalych zwierzat.

-Jestes - powiedzial Travis do retrievera, drapiac go po glowie - straszliwie tajemniczy. Albo tez ja jestem kandydatem na lokatora domu bez klamek.

Pies popatrzyt na niego - przez chwile spogladal mu prosto w oczy - po czym ziewnal i zupełnie nieoczekiwanie uniosl glowe, a nastepnie zaczal sie z uwaga przygladac polkom z ksiazkami stojacymi po obu stronach lukowatego, sklepionego przejscia laczonego salon z jadalnia. Zadowolona, glupawa, wlasciwa psom mina zniknela bez sladu z jego oblicza, ustepujac miejsca zywwemu zainteresowaniu, bedacemu czymś zupełnie innym niz zwyczajna psia ciekawosc.

Retriever zerwal sie z kanapy, podbiegl do polek i zaczal biegac pomiedzy nimi to w jedna, to w druga strone, zadzierajac co chwila glowe, zeby popatrzec na kolorowe grzbiety starannie poustawianych tomow.

Travis wynajal ten dom w pelni - choc bez gustu i tanim kosztem - umeblowany. Dobierajac obicia, starano sie chyba o to, zeby odznaczaly sie dostateczna wytrzymaloscia (byly z winylu) albo o to, by latwo bylo ukryc ewentualne, nie dajace sie wywabic plamy (przerazliwie jaskrawa kratka). Drewno zastapiono wszedzie drewnopodobnymi laminatami, nie ulegajacymi luszczeniu, scieraniu, odpornymi na skrobanie i przypalanie papierosem. Jedynymi wlasciwie przedmiotami odzwierciedlajacymi smak i zainteresowania Travisa Cornella byly w tym domu ksiazki, zgromadzone na regalach w salonie.

Najwyrazniej niektore sposrod kilkuset tytulow przyciagnely uwage psa.

Travis zerwal sie na rowne nogi i zapytal:

-O co chodzi, kolego? Co cie tak podniecilo?

Retriever, unioslszy sie na zadnich lapach, przednie oparl o jedna z polek i z zapalem zaczal obwachiwac grzbiety zgromadzonych na niej tomow. Spojrzal w strone Travisa, po czym natychmiast powrocil do studiowania ksiegozbioru.

Cornell z wahaniem podszedl do polki i wyjal jedna z ksiazek, do ktorej pies przed chwila przytknal swoj nos - Wyspe skarbow Roberta Louisa Stevensona. Pochylajac sie ku zwierzeciu, powiedzial:

-To? Czy to wlasnie cie interesuje?

Pies obejrzal dokladnie zdobiacy zakurzona okladke wizerunek Dlugiego Johna Silvera na tle pirackiego okretu. Przeniosl wzrok na Travisa tylko po to, by natychmiast powrocic do Johna Silvera, a po chwili opadl na podloge, pobiegl ku polkom, ustawionym po drugiej stronie przejscia, i niezwlocznie zabral sie za obwachiwanie kolejnych pozycji.

Travis odlozyl na miejsce Wyspe skarbow, podszedl do psa zajetego wlasnie badaniem

wyboru powiesci Karola Dickensa i wyjal popularne wydanie Opowiesci o dwoch miastach.

Takze i tym razem retriever uwaznie obejrzal okladke, jak gdyby na podstawie umieszczonej tam ilustracji chcial sie zorientowac, jaka jest tresc ksiazki. W koncu popatrzyly wyczekujaco na Travisa, a ten, kompletnie zbity z tropu, powiedzial:

-Rewolucja Francuska. Gilotyny. Scinanie glow. Tragedia i heroizm. Jest to... no wiec, powiesc mowi o tym, ze jednostka jest czyms wazniejszym niz grupa, ze zycie poszczegolnych mezczyzn i kobiet ma znacznie wieksza wartosc niz postep spoleczny. Pies na powrot skoncentrowal swa uwage na stojacych najblizej tomach, caly czas weszac gorliwie.

-To nie ma sensu - stwierdzil Travis, odkladajac na polke Opowiesc o dwoch miastach. - Na milosc boska, przeciez ja streszczam psu fabule powiesci!

Retriever przeniosl lapy na nastepna polke, po czym zaczal gwaltownie sapac i postekiwal. Kiedy Travis nie wyjal z tego rzędu zadnej ksiazki, uniosl wyzej glowe, lagodnie schwycil w zeby grzbiet jakiegos tomu i probowal go wyszarpnac, chcac najwyrazniej dokonac szczegolowych ogledin.

-Hola, hola - zaprotestowal Travis, siegajac po ksiazke. - Zaslinisz mi okladki, kudlata mordo. To Oliver Twist. Jeszcze jeden Dickens. Opowiesc o chlopcu-sierocie, zyjacym w wiktorskiej Anglii. Los styka go ze zlymi ludzmi, chlopak poznaje kryminalne podziemie, a jednocześnie...

Pies odskoczyl od polki i powrotil do regalow, ktore badal juz wczesniej. Obwachiwal kazda ksiazke znajdujaca sie w zasiegu jego lap, a Travis moglby przysiac, ze rownoczesnie tesknym spojrzeniem obrzucal pozycje ustawione wyzej.

Przez nastepne piec minut, owladniety niesamowitym przeczuciem, ze lada moment wydarzy sie cos niezmiernie waznego, Travis nie odstepowal retrievera na krok. Pokazal mu okladki kilkunastu powiesci i strescil pobieznie kazda z nich. Nie mial pojecia, czy wlasnie tego oczekiwal od niego przemadrzaly czworonog. Chociaz z cala pewnoscia nie mogl zrozumiec wypowiedzanych slow, to jednak przysluchiwal sie im w skupieniu. Travis zdawal sobie sprawe, ze calkowicie blednie interpretuje zachowanie zwierzecia, przypisujac mu jakies tajemnicze, glebsze intencje, ktorzy pies oczywiscie miec nie mogl, a mimo to ciarki przechodzily mu po plecach. Niezwyczajnie ogladzin przedluzaly sie i Travis oczekiwal, ze lada moment wydarzy sie cos zdumiewajacego, a rownoczesnie czul sie coraz bardziej glupio.

Pies zdradzal roznorodne zainteresowania literackie. Wsrod pozycji, ktore zwrocily jego uwage, znalazly sie: Cos niegodziwego Bradbury'ego, Dlugie pozegnanie Chandlera, Listonosz zawsze dzwoni dwa razy Caina, a takze Sionce tez wschodzi Hemingwaya, dwie powiesci Richarda Condon, jedna Anie Tyler, Zbrodnia wymaga reklamy Dorothy Sayers oraz 52 Pick-Up Elmore Leonarda.

W koncu retriever pozostawil ksiazki w spokoju, przeszedl na srodek salonu i tu zaczal spacerowac tam i z powrotem, wyraznie poruszony. W pewnym momencie zatrzymal sie na wprost Travisa i zaszczekal trzy razy. - Co ci nie pasuje, chlopie?

Pies zapiszczal, spojrzal w strone wypelnionych szczelnie polek, po czym zaczal chodzic wokol, popatrujac co jakis czas na ksiazki. Sprawial wrazenie zawiedzonego. Calkowicie, wrecz okrutnie zawiedzonego.



-Nie wiem, co dalej robic, chlopie - odezwal sie Travis. - Nie wiem, czego chcesz, nie wiem, co chcesz mi powiedziec.

Retriever parsknal i otrzasnal sie jak po wyjsci u wody. Zrezygowany zwiesil glowe, po czym wskoczyl na kanape i zwinal sie w klebek.

-I to juz wszystko? - zapytal Travis. - Poddajemy sie? Zwierze spojrzalo na niego wilgotnymi, myslacymi oczami. Travis odwrocil sie od psa i powoli przewedrowal wzrokiem wzdluz rzedow ksiazek, tak jakby oprócz informacji wydrukowanych na ich stronicach zawieraly one jeszcze jakies wzne, nie dajace sie odczytac wprost przeslanie, jakby ich barwne grzbiety stanowiły dziwne znaki oznaczajace slowa dawno zapomnianego jezyka, ktore, wzsciwie odczytane, odslonia cudowne tajemnice. Niestety, on ich odczytac nie potrafil.

Wierzac jeszcze przed chwila, ze znajduje sie o krok od wielkiego odkrycia, Travis doznal teraz uczucia ogromnego zawodu. Bylo ono jeszcze silniejsze niz rozczarowanie zademonstrowane przez psa. Nie byl w stanie, tak jak on, usiasc na kanapie ze zwieszona glowa i o wszystkim po prostu zapomniec.

-O co, u diabla, tutaj chodzi? - zapytal po chwili.

Pies popatrzyi na niego z nieprzeniknionym wyrazem pyska.

-Co ma znaczyc ta cala zabawa z ksiazkami? Pies nadal nie spuszczal z niego wzroku.

-Czy rzeczywiscie masz w sobie cos niezwyklego, czy to tylko ja dostaje krecka?

Retriever lezal zupełnie nieruchomo, tak jakby za chwile mial zasnac.

-Jesli zaczniesz ziewac, kopne cie w tylek. Zwierze ziewnelo.

-Dran - stwierdzil Travis. Ziewnelo jeszcze raz.

-Sluchaj, co to znaczy? Czy ziewasz specjalnie po tym, co powiedzialem, poniewaz chcesz sie ze mna draznic? A moze ziewasz tylko tak sobie? Jak mam sobie tlumaczyc to, co robisz? Skad mam wiedziec, czy jest w tym wszystkim jakikolwiek sens?

Pies westchnal.

Travis westchnal rowniez, po czym podszedl do okna i zapatrzyi sie w podswietlone slabym zolтым swiatlem latarni pierzaste liscie wielkiej palmy daktylowej z Wysp Kanaryjskich. Slyszał, jak pies zeskakuje z kanapy i wybiega z pokoju, postanowil jednak nie sledzic jego poczynan. Jak na razie dosyc mial rozczarowan.

Retriever halasowal w kuchni. Brzekniecie. Cichy grzechot. Pewnie pil ze swej miski.

Po chwili byl juz z powrotem i ocieral sie o jego noge.

Travis spojrzal w dol i stwierdzil ze zdumieniem, ze zwierze trzymalo w zebach puszkę piwa Coorsa, ktora przynioslo najwyrazniej dla niego. Ujal ja w dlon. Byla zimna.

-Wyjales ja z lodowki! Wygladalo na to, ze pies sie usmiecha.

2

Nora Devon szykowala wlasnie w kuchni obiad, kiedy telefon odezwal sie ponownie. Modlila sie w duchu, zeby to tylko nie byl o n. Niestety, jej modlitwa nie zostala wysluchana.-Wiem, czego ci potrzeba - powiedzial Streck. - Wiem doskonale.

Nie jestem nawet ladna - chciala mu odpowiedziec. Jestem nudna, glupia stara panna, wiec czego ode mnie chcesz? Nic mi nie grozi ze strony takich jak ty, poniewaz jestem brzydka. Czy jestes slepy? Nie byla jednak w stanie wyrzec nawet jednego slowa.

-Czy wiesz, czego ci potrzeba? - zapytal.

-Odczep sie! - krzyknela, odzyskujac wreszcie glos.

-Wiem, czego ci potrzeba. Ty mozesz tego nie wiedziec, ale ja wiem.

Tym razem to ona pierwsza odlozyla sluchawke, uderzajac w widelki z taka sila, ze po drugiej stronie musialo to zabrzmiac niby grzmot.

Pozniej, o wpol do dziewiatej, telefon zadzwonil raz jeszcze. Siedziala w lozku, czytajac Wielkie nadzieje i jedzac lody. Pierwszy dzwonek tak ja zaskoczyl, ze lyzeczka wypadla jej z dloni, a zawartosc pucharka omal nie znalazla sie na poscieli.

Odlozywszy ksiazke i lody, z niepokojem popatrzyła na stojacy na nocnej szafce aparat. Pozwolila, by zadzwonil dziesiec razy. Pietnascie. Dwadziescia. Przenikliwy dzwiek dzwonka wypelnial caly pokoj, odbijajac sie echem od scian, wwiercajac sie gleboko pod jej czaszke.

W koncu uswiadomila sobie, ze nie podnoszac sluchawki popelnia powazny blad. Przeciez on sie domysli, ze ona jest w domu i nie odpowiada tylko dlatego, bo sie boi, a to z pewnoscia sprawi mu przyjemnosc. Bardziej niz czegokolwiek czlowiek tego typu pragnal dominacji. Jej lek jeszcze bardziej go osmieli. Nora nie przywykla stawiac czolo przeciwnosciom, teraz jednak zrozumiala, ze bedzie musiala sie tego nauczyc, i to szybko.

Podniosla sluchawke po trzydziestym pierwszym sygnale.

-Nie moge przestac o tobie myslec - powiedzial Streck. Nora milczala.

-Masz piekne wlosy - ciagnal Streck. - Takie ciemne. Prawie czarne. Geste i lsniace. Chce dotykac twoich wlosow.

Powinna byla powiedziec cos, co osadziloby go na miejscu, albo przerwac natychmiast polaczenie. Nie zrobila niczego.

-Nigdy nie widzialem takich oczu - glosno dyszac, wyszeptal Streck. - Szare, ale zupełnie inne niz zwyczajne szare oczy. Glebokie, cieple i pelne seksu.

Nora zesztyniala, nie mogac wydusic z siebie slowa.

-Jestes bardzo ladna, Nora Devon. Bardzo ladna. A ja wiem, czego ci potrzeba. Naprawde wiem, Nora. Wiem, czego ci potrzeba, i zamierzam ci to dac.

Zaczęła nagle trząść się gwałtownie, całym ciałem.

Odrzuciła słuchawkę i mocno pochyliła się do przodu mając wrażenie, że jeszcze chwila, a rozpadnie się od tego drżenia na kawałki.

Nie miała w domu broni.

Poczuła się mała, krucha i straszliwie samotna.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna zadzwonić na policję. Coż by im jednak powiedziała? Że ktoś ją napastuje w sensie erotycznym? Wymialiby ją. Ona ofiara czyichś seksualnych zakusów? Była nieatrakcyjna stara panna i w najmniejszym nawet stopniu nie przypominała kobiet, za którymi oglądają się mężczyźni, by później snuć o nich w erotycznych snach. Policja uzna zapewne, że albo to wszystko sobie wymyśliła, albo histeryzuje. Mogą też dojść do wniosku, że uprzejmość Strecka mylnie zinterpretowała jako zainteresowanie seksualne, zresztą w pierwszej chwili podobnie myślała i ona sama.

Na obszerna meska pidżama, która miała na sobie, narzuciła błękitny szlafrok, zawiązała pasek i zbiegła bosą do kuchni. Po chwili wahania zdjęła z zawieszanej obok piecyka polkę dużej noż rzeźnicki. Stała zaledwie w świetle żarówki niczym żywe srebro.

Obracając w dłoni błyszczący nóż, dostrzegła w pewnej chwili swoje oczy, odbite w szerokim, płaskim ostrzu. Przez chwilę wpatrywała się w wypolerowaną stal i zastanawiała się, czy byłaby zdolna użyć tej strasznej broni przeciwko ludzkiej istocie, nawet gdyby chodziło o obronę własną.

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała poznać odpowiedzi na to pytanie.

Wrocivszy na górę, położyła nóż na nocnej szafce. Teraz w każdej chwili znajdował się w zasięgu jej ręki.

Sciągnęła szlafrok, po czym przysiadła na skraju łóżka i objęła się ramionami, próbując opanować wstrząsające całym ciałem dreszcze.

-Dlaczego ja? - zapytała głośno. - Dlaczego wziął się akurat na mnie?

Streck mówił, że była ładna, ale Nora wiedziała, że to nieprawda! Jej własna matka oddała ją ciotce Violet, po czym w okresie kolejnych dwudziestu osmiu lat odwiedziła ją zaledwie dwa razy - po raz ostatni widziały się, gdy Nora miała sześć lat. Ojca nie znała zupełnie, reszta rodziny zaś nie chciała mieć z nią nic wspólnego, czego powodem, zdaniem ciotki Violet, była odpychająca powierzchowność siostrzenicy.

Tak więc, chociaż Streck usiłował wmówić jej, że jest ładna, było oczywiście rzeczą niemożliwą, by rzeczywiście jej pragnął. Nie, tak naprawdę pragnął dreszczu satysfakcji, której doznawał czując, że nad nią dominował, że budził w niej strach, zadawał jej cierpienie. Na świecie żyli tacy ludzie. Czytała o nich w książkach i gazetach. A ciotka Violet ostrzegała ją tysiące razy, że jeśli kiedykolwiek zbliży się do niej jakiś mężczyzna, prawiący miłe słówka z przymiłnym uśmiechem na twarzy, z całą pewnością porzuci ją szybko, a ona po krótkim okresie uniesień jeszcze bolesniej będzie odczuwać swą samotność.

Po pewnym czasie dreszcze ustąpiły. Nora znalazła się z powrotem w łóżku. Łody zdążyły zupełnie się rozpuścić, więc odstawiła pucharek na bok. Wzięła do ręki powieść Dickensa i

zaczęła czytać od nowa opowiadanie Pipa. Myślni wracała jednak co chwila do telefonu, noża rzeźniczego, do otwartych drzwi i korytarza, na koncu którego oczyma wyobraźni widziała ciągle jakiś ruch.

3

Travis wszedł do kuchni w towarzystwie postępującego za nim krok w krok psa. Wskazał na lodówkę i powiedział:

-Pokaż, jak to robisz. Zrób to jeszcze raz. Podaj mi piwo. Pies nawet nie drgnął. Travis przykucnął.

-Posłuchaj, kudłata mordo. Kto zabrał cie z tamtych lasów, ratując przed czyjąś pogonią? Ja. A kto ci kupił hamburgery? Ja. Ja cie wykapałem, nakarmiłem, dałem ci dom. Powinieneś być mi wdzięczny. Przestan się mnie bac. Jeśli potrafisz otworzyć tę lodówkę, zrób to teraz!

Retriever podszedł do wysłużonego urządzenia firmy Frigidaire, zbliżył głowę do dolnego narożnika emaliowanych drzwi, schwycił go szczękami i napreżywszy ciało, szarpnął do tyłu. Gumowa uszczelka poddała się z ledwo słyszalnym młaskiem. Czworonóg natychmiast wśliznął się w powstałą szczelinę i unosił na zadnie łapy, przednie natomiast oparł po obu stronach obudowy.

-Niech mnie diabli - mruknął Travis, podchodząc bliżej. Retriever wetknął łeb na drugą półkę, gdzie Travis przechowywał puszki piwa, dietetycznej pepsi oraz soku z warzyw V-8. Wyciągnął z pojemnika następnego coorsa, opadł na podłogę, zamknął drzwi lodówki i podał puszkę Travisowi.

Trzymając w każdej dłoni po puszcze z piwem, bacznie obserwując psa, Travis powiedział:

-Okay, może ktoś cie nauczył otwierać lodówkę. Może nawet nauczył cie rozróżniać niektóre gatunki piwa i przynosić właściwe puszki. Ale i tak nie wyjaśnia to wszystkiego. Czy jest rzecz prawdopodobna, aby nauczono cie rozpoznawać właśnie to piwo, które stoi w mojej lodówce? Owszem, to możliwe, lecz mało prawdopodobne. Poza tym nie wydałem ci żadnego polecenia. Nie prosiłem o przyniesienie piwa. Zrobiłeś to z własnej inicjatywy, tak jakbyś wiedział, że w tej chwili piwo było tym, czego akurat chciało mi się najbardziej. I rzeczywiście, tak właśnie było.

Travis odstawił jedną puszkę na stół, a drugą wytarł o koszulę, otworzył z trzaskiem i pociągnął z niej kilka łyków. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że puszka znajdowała się przed chwilą w psim pysku. Był zbyt podniecony niezwykle przedstawieniem, by obawiać się zarazków, zresztą za każdym razem retriever chwycił naczynie od dołu, jakby troszczyć się o zachowanie higieny.

Oprożniwszy puszkę w jednej trzeciej, Travis powiedział:

-Wyglądało to prawie tak, jakbyś rozumiał, że byłem spięty i zdenerwowany, a piwo pomogłoby mi się zrelaksować. Czy to nie szalenstwo? Zaczynamy rozmawiać o myśleniu analitycznym. Oczywiście często się zdarza, że zwierzęta wyczuwają nastrój swoich panów. Lecz które z tych zwierząt wie, czym jest piwo, i które wie, co należy zrobić, żeby poprawić humor pana? Poza tym skąd wiedziałeś, że w lodówce jest piwo? Podejrzewam, iż mogłeś zajrzeć do niej kilkakrotnie w czasie, gdy przygotowywałem obiad, lecz mimo wszystko... Trzesnęły mu się ręce. Kiedy unosił puszkę do ust, żeby zadzwoniły o aluminium.

Pies okrażył pokryty czerwonym laminatem stół i podszedł do dwudrzwiowej szafki pod zlewem. Otworzył jedno skrzydło, wsunął łeb w głąb ciemnego wnętrza, wyciągnął torbę mlecznych herbatników na kosiach i trzymając ją w zębach zbliżył się znowu do Trávisa.

Człowiek parsknął śmiechem.

-No tak, skoro ja pozwoliłem sobie na piwo, ty też zasłużyłeś na swój deser, prawda? - Wziął torbę do ręki i rozerwał folię. - Czy kilka herbatników poprawi twój nastrój, kudłata mordko? - Postawił otwarte opakowanie na podłodze. - Obsłuż się sam. Wierzę, że nie zezresz wszystkiego naraz jak pierwszy lepszy, zwyczajny pies. - Znowu się roześmiał. - Niech to diabli, myślę, iż mogłobyś prowadzić samochód!

Retriever delikatnie wyciągnął ciastko z torby, przysiadł na zadzie i z zadowoleniem zaczął gryźć smakolki.

Travis wysunął krzesło i usadowił się za stołem.

-Dzięki tobie zaczęły chyba wierzyć w cuda. Wiesz, co robiłem rano w lesie?

Pracowicie poruszając szczękami zwierzę sprawiało wrażenie pochłoniętego bez reszty jedzeniem.

-Wybrałem się w tamte strony w sentymentalną podróż, w nadziei, że odnajdę przyjemność, jakiej dostarczały mi góry Santa Ana, gdy byłem chłopcem, w tych dniach, zanim... wszystko zmieniło się w mrok. Chciałem zabić parę węży, tak jak to robiłem w dzieciństwie, polazic po gorach i doznać znowu, jak kiedyś, uczucia jedności z życiem. Bo, prawdę mówiąc, już od dawna nie obchodziło mnie zbytnio, czy będę żył, czy też umrę.

Pies przerwał żucie, z trudem przełknął ciastko i popatrzył uważnie na Trávisa.

-Ostatnio popadłem w depresję ciemniejszą niż noc na księżycu. Wiesz, co to depresja, bracie?

Retriever porzucił dopiero co napoczętą torbę ciastek i podszedł do stołu. Wpatrywał się w oczy człowieka z oniesmielającą otwartością i intensywnością, które kilkakrotnie demonstrował już wcześniej.

-A jednak nie myślałem o samobójstwie - ciągnął Travis. - Dla jednej przyczyny. Zostałem wychowany w wierze katolickiej i chociaż wieki całe nie byłem w kościele, to można powiedzieć, że wciąż tkwi we mnie coś w rodzaju wiary. A dla katolika samobójstwo jest śmiertelnym grzechem. Morderstwem. Poza tym jestem zbyt uparty, żeby się poddawać, choćby nawet sprawy przybrały nie wiem jak zły obrot. Retriever zamrugał, lecz nadal patrzył uważnie Travisowi w oczy.

-Szukałem w lesie szczęścia, które kiedyś dobrze znałem. I właśnie wtedy zjawiłeś się ty.

-Luuf - sapnął pies, jakby chciał powiedzieć: dobrze.

Ujął głowę zwierzęcia w obie dłonie, zbliżył do niej twarz i rzekł:

-Depresja. Poczucie bezsensu własnej egzystencji. Skąd niby pies miałby wiedzieć o takich rzeczach, hmmm? Psy nie mają żalów, prawda? Dla psa każdy dzień to nieustanne

pasmo radości. Wierzy czy ty naprawdę rozumiesz, o czym mówię? Moja Boże, zaczynam sądzić, że tak jest w istocie. Lecz czy nie przypisuję ci zbyt wiele inteligencji i mądrości, nawet jeśli jesteś tak cudownym psem? No pewnie, że potrafisz wykonać kilka zdumiewających sztuczek, ale to nie to samo, co rozumienie moich słów.

Retriever podbiegł do torby z ciastkami, po czym wytrząsnął z niej na zasklepiającą podłogę linoleum dwadzieścia lub trzydzieści herbatników.

-No i proszę - rzucił Travis. - W którymś momencie sprawiasz wrażenie istoty niemal zbliżonej umysłem do człowieka, a w następnej sekundzie jesteś zwykłym psem o typowo psich zainteresowaniach.

Tymczasem pies w ogóle nie zamierzał jeść. Zaczął popychać czarnym nosem rozsypane ciastka jedno po drugim na wolny środek kuchni i tu łączył je ze sobą starannie stykając ich brzegi.

-A to co znowu?

Retriever zgrupował pięć herbatników w rzędzie, który lekko skrecał w prawą stronę. Szóstym herbatnikiem podkreślił ową krzywiznę jeszcze bardziej.

Obserwując tę scenę, Travis pośpiesznie dokończył piwo i otworzył następne, gdyż miał wrażenie, że wkrótce będzie go potrzebował.

Czworonóg przez chwilę wpatrywał się w swoje dzieło, jakby nie bardzo wiedział, co robić dalej. Niepewnie przeszedł się kilkakrotnie w tę i z powrotem, lecz w końcu wydłużył linię o następne dwa herbatniki. Popatrzył na Trávisa, potem na tworzący się na podłodze kształt, i dopchnął nosem na swoje miejsce dziesiąte ciastko.

Czekając w napięciu na to, co stanie się za chwilę, Travis upił nieco piwa.

Potrząsając głową i parszcząc w zakłopotaniu, pies zaszł się w odległym kącie pokoju, gdzie przysnął z nosem przytkniętym do ściany. Travis zastanawiał się, czego mógł tam szukać, i po jakimś czasie dotarło do niego, że w ten sposób zwierzę zapewne usiłowało się skoncentrować. Wkrótce też powróciło do pracy, powiększając wzór o kolejne elementy: jedenasty i dwunasty.

Ponownie ogarnęło go przecucie, że wkrótce wydarzy się coś doniosłego. Jego ramiona pokryła gęsia skórka.

Tym razem nie doznał rozczarowania. Złocisty retriever, posługując się dziewiętnastoma herbatnikami, ułożył na kuchennej podłodze niekształtny, lecz dający się bez trudu rozpoznać znak zapytania, po czym wznosił swe wyraziste oczy ku Travisowi.

Znak zapytania.

Który oznaczał: dlaczego. Dlaczego wpadłeś w taką depresję?  
Dlaczego czułeś, że twoje życie jest puste, nie ma sensu?

Najwyraźniej pies rozumiał jego opowiadanie. W porządku, okay, może nie zrozumiał wszystkiego dokładnie, nie uchwycił znaczenia niektórych słów, lecz w jakiś sposób pojął właściwie sens całej wypowiedzi, a przynajmniej pojął na tyle, że wzbudziła jego zainteresowanie.

Dobry Boże, jeżeli stworzenie to pojmowało sens znaku zapytania, było tym samym zdolne do abstrakcyjnego myślenia! Odczytywanie prostych symboli - takich jak litery, cyfry, znaki zapytania czy wykrzykniki - służących do wyrażania złożonych idei... no cóż, coś takiego wymagało umiejętności właśnie abstrakcyjnego myślenia. Myślenie abstrakcyjne zaś było zastrzeżone tylko dla jednego gatunku na ziemi - dla człowieka. Ten złośliwy retriever oczywiście człowiekiem nie był, a jednak posiadał zdolności intelektualne zupełnie obce innym zwierzętom.

Travis czuł się oszołomiony. Znak zapytania, choć niezgrabny, nie był na pewno dziełem przypadku. Pies musiał gdzieś taki symbol oglądać i nauczyć się jego znaczenia. Statystycy teoretycy głoszą, że nieskończona liczba małp, wyposażonych w nieskończoną liczbę maszyn do pisania, po odpowiednio długim czasie zdoła w końcu odtworzyć każdą linię wielkiej angielskiej prozy, działając tylko na zasadzie czystego przypadku. Był przekonany, iż pies, który ułożył przypadkiem na podłodze znak zapytania z mlecznych herbatników na kosiach w ciągu zaledwie dwóch minut, dokonał wyczynu dziesięciokrotnie mniej prawdopodobnego niż odtworzenie przez te przeklęte małpy sztuk Szekspira.

Pies przypatrywał mu się wyczekująco.

Prostując się, Travis poczuł lekkie drżenie nóg. Zrobił dwa kroki,

zatrzymał się nad starannie ułożonym znakiem, rozrzucił ciastka po podłodze i wrócił na swoje krzesło.

Retriever obejrzał rozsypane herbatniki, badawczo popatrzył na Trávisa, po czym zaczął obwachiwać ciastka. Wyglądał na zbitego z tropu. Travis czekał.

W domu zapadła nienaturalna cisza, tak jakby ktoś wstrzymał przepływ czasu dla wszystkich żywych stworzeń, maszyn i przedmiotów na całej ziemi, z wyjątkiem jego, retrievera i rzeczy znajdujących się w kuchni.

Wreszcie pies zaczął ponownie układać ciastka przesuwając je nosem po podłodze. Wkrótce gotowy był nowy znak zapytania.

Travis przełknął nieco coorsa. Jego serce pracowało w przyspieszonym rytmie, a dłonie mocno się pocily. Drżał z podniecenia, czując równocześnie i ogromną radość, i strach przed nieznanym, i przerażenie, i bezmierne zdumienie. Chciało mu się śmiać, gdyż nigdy w życiu nie widział czegoś tak cudownego jak ten pies. Zbierało mu się także na płacz, ponieważ zaledwie parę godzin temu myślał, że życie jest ponure, ciemne i bezcelowe. Tymczasem niezależnie od tego, jak bolesne mogło się czasami wydawać, życie było (uświadomił to sobie dopiero teraz) czymś niezwykle cennym. Doszedł do wniosku, że to Bóg zesłał tego retrievera, aby obudzić w nim, Travisie, ciekawość, przypomnieć mu, że świat jest pełen niespodzianek, że rozpacz nie ma sensu, gdy ktoś nie rozumie celu i zdumiewających możliwości ludzkiej egzystencji. Chciało mu się śmiać, lecz jego śmiech oscylował na krawędzi płaczu. Kiedy zaś próbował się wyplakac, szloch przeradzał się w chichot.

Chciał wstać, okazało się jednak, że nie potrafi, był zbyt roztrzesiony. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko siedzieć dalej na krześle i raczyć się kolejnymi długimi łykami coorsa.

Przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę, z miną jakby nieco zmęczona, pies przypatrywał mu się uważnie, sadząc zapewne,



ze postradał zmysły. Postradał je w istocie. Wiele miesięcy temu. Ale teraz wracał do zdrowia.

Odstawił piwo i otarł łzy grzbietem dłoni.

-Chodź tu, kudłata mordo - powiedział. Retriever zawahał się, po czym podszedł bliżej. Poglądził go po grzbiecie, podrapał za uszami.

-Zdumiewasz mnie i przerazasz zarazem. Nie mam pojęcia, skąd się wzięłaś ani w jaki sposób stałaś się tym, czym jesteś, ale chyba nigdzie nie byłaś bardziej potrzebna niż tutaj. Znak zapytania, co? Jezu. W porządku. Chcesz wiedzieć, dlaczego życie wydawało mi się smutne i pozbawione sensu? Powiem ci dlaczego. Na Boga, posiedź tu sobie trochę, wypij jeszcze jedno piwo i opowiem to wszystko psu. Ale najpierw... nadam ci imię.

Retriever sapnął, jakby chciał powiedzieć: no cóż, chyba już czas. Trzymając w dłoniach głowę zwierzęcia i spoglądając mu głęboko w oczy, Travis powiedział:

-Einstein. Od tej chwili, kudłata mordo, nazywasz się Einstein.

4

Streck zadzwonił ponownie dziesięć po dziewiątej. Podnosząc słuchawkę po pierwszym dzwonku, Nora postanowiła, że porządnie go zbeszta i poradzi mu, żeby raz na zawsze zostawił ją w spokoju, lecz nie wiadomo dlaczego także i tym razem słowa uwieźły jej w gardle i nie była w stanie nic powiedzieć.

Głosem, któremu nadal odpychająco intymne brzmienie, powiedział:

-Tesknisz za mną, słicznotko? Hmm? Chcesz, żebym do ciebie przyszedł i został twoim mężczyzną?

Rozłączyła się.

Co sie ze mna dzieje, myslala goraczkowo. Dlaczego nie moge mu powiedziec, zeby zostawil mnie w spokoju?

Byc moze jej milczenie mialo swe zrodlo w skrytym pragnieniu, aby uslyszec, jak jakis mezczyzna - wszystko jedno jaki - nawet tak odrazajacy typ jak Streck - mowi, ze jest ladna. Chociaz uwazala, ze nie stac go na czulosc ani szczere uczucie, moglaby go sluchac i wyobrazac sobie, jak by to bylo, gdyby jakis porzadny mezczyzna prawil jej komplementy.

-Nie jestes ladna - powtarzala sobie - i nigdy nie bedziesz, wiec skoncz z marzeniami. Gdy zadzwoni raz jeszcze, zwymyslaj go porzadnie.

Wstala z lozka i przeszla korytarzem do lazienki. Idac za przykladem Violet Devon, Nora nie miala w domu zadnego lustra poza jednym wiszacym wlasnie w lazience. Nie lubila na siebie patrzec, poniewaz to, co widziala, napelnialo ja smutkiem.

A jednak tej nocy zapragnela obejrzec swoje odbicie, bo cala ta gadanina Strecka, choc zimna i wyrachowana, obudzila jej ciekawosc. Nie, zeby liczyla na to, iz odkryje w sobie piekno, ktorego do tej pory nigdy nie dostrzegla. Co to, to nie. Nikt nie zmienia sie z brzydkiego kaczatka w labedzia w ciagu jednej nocy. Byloby to naiwne, bezsensowne marzyc o czymś takim. Chodzilo jej raczej o potwierdzenie wlasnej brzydoty. Natarczywe zaloty Strecka wytracily Nore z rownowagi. Samotne zycie w domowym zaciszu zupełnie jej odpowiadalo, pragnela sie wiec upewnic, ze tylko sie z niej wysmiewal, ze nie spelni swych pogrozek, nie zakloci jej spokoju i samotnosci. Tak przynajmniej mowila sobie wchodzac do lazienki. Sciany waskiego pomieszczenia od podlogi az po sufit wylozone byly bladoblekitna glazura. W kacie stala duza wanna na lwich lapach. Przybory lazienkowe wykonano z bialej porcelany i mosiadzu. Duze zwierciadlo tu i owdzie znaczyly powstale skutkiem starosci plamy.

Popatrzyła na swoje włosy, zdaniem Strecka piękne, ciemne i lśniące.

Miały nieciekawą odcień, brakowało im naturalnego połysku i, jej zdaniem, były nie tyle łśniące, co tłuste, chociaż myła je przecież dzisiaj rano.

Szybkim spojrzeniem oceniła jeszcze brwi, policzki, nos, linie szczek, warg oraz podbródka. Przeciagnęła dłoń po twarzy, nie znalazła jednak niczego, co mogłoby zaintrygować mężczyznę.

Na koniec, przełamawszy niechęć, spojrzała sobie prosto w oczy, które według Strecka miały być niezwykle, cudowne. Szare i pozbawione blasku, były po prostu okropne. Nie mogła znieść własnego wzroku dłużej niż kilka sekund. Oczy potwierdziły jej niekorzystną opinię na temat własnej prezencji. Jednak równocześnie... tak, w tych swoich oczach dostrzegła tłacza się złość, co wzbudziło w niej niepokój, gdyż nigdy się nie złościła - złość na siebie sama, że stała się taka, jaka się stała. Oczywiście, nie miało to żadnego sensu, była przecież taka, jaka stworzyła ją natura - była mysz - nie mogła nic na to poradzić.

Odwracając się od zmatowiałego lustra, poczuła ból rozczarowania, że dokonany przed chwilą przegląd nie przyniósł żadnych niespodzianek i nie zmienił zupełnie nic w ocenie jej urody. Jednakże natychmiast, gdy tylko sobie uswiadomiła to swoje rozczarowanie, przeraziła się i doznała szoku. Zatrzymała się w drzwiach łazienki i pokręciła głową, zdumiona przebiegiem własnych procesów myślowych.

Czy chciała być pociągająca dla Strecka? Oczywiście, że nie. Był niesamowity, chory i niebezpieczny. Na pewno nie pragnęła spodobać się temu człowiekowi. Może nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby spojrzał na nią z aprobatą i z zainteresowaniem jakiś inny mężczyzna, ale nigdy Streck. Powinna paść na kolana i podziękować Bogu za to, że stworzył ją taką, a nie inną, bo gdyby rzeczywiście miała w sobie coś atrakcyjnego, Streck z pewnością spełniłby swoje pogrozki. Przyszedłby tutaj, zgwałcił ją... może nawet zamordował. Kto wie, co może przyjdzie do głowy takiemu człowiekowi, do czego jest zdolny?

Nie były to wcale śmiechu warte przywidzenia rozhisteryzowanej starej panny, w gazetach codziennie roilo się od informacji o podobnych zbrodniach.

Przypomniła sobie, że jest bezbronna, więc pośpiesznie wróciła do sypialni i zacisnęła dłoń na rekojesci noża rzeźnickiego.

5

Większość ludzi uważa, że psychoanaliza jest najlepszym lekarstwem na zmartwienia. Takie osoby są pewne, iż zdolają przezwyciężyć wszelkie problemy i osiągnąć spokój ducha, jeśli tylko zrozumieją własną psychikę, odnajdą przyczyny swych negatywnych nastrojów oraz autodestruktywnego zachowania. Ale Travis zdążył się już przekonać, że sprawy nie wyglądały tak prosto. Przez wiele lat poddawał się bezlitosnej samoanalizie i już dawno temu udało mu się ustalić, dlaczego został samotnikiem, który nie potrafi z nikim nawiązać przyjaźni. A przecież, pomimo tej wiedzy, nie był w stanie się zmienić. Choć zbliżała się północ, wciąż siedział w kuchni z kolejnym coorse w dłoni i opowiadał Einsteinowi o narzuconej samemu sobie izolacji emocjonalnej. Einstein siedział bez ruchu na wprost niego. Patrzac nań, można było odnieść wrażenie, że opowiadanie Trávisa niezmiernie go zainteresowało.

-Byłem samotnikiem już w okresie dzieciństwa, właściwie od samego początku, choć, oczywiście, miałem paru przyjaciół. Zawsze najbardziej odpowiadało mi moje własne towarzystwo. Taka już mam chęć natury. Chodzi mi o to, że kiedy byłem dzieckiem, nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z faktu, iż moja przyjaźń z jakąkolwiek osobą oznaczała niebezpieczeństwo dla niej.

Matka Trávisa zmarła, wydając go na świat, o czym wiedział od najmłodszych lat. Z czasem ta śmierć nabrała przerazającego znaczenia omenu, zapowiadającego przyszłe wydarzenia, ale stało się to dopiero później. Będąc dzieckiem, nie czuł jeszcze brzemienia winy.

Zmiana nastąpiła, kiedy ukończył dziesięć lat. Wtedy właśnie zmarł jego brat Harry. Harry miał dwanaście lat, był o dwa lata starszy od Trávisa. Któregoś czerwcowego ranka Harry namówił go, żeby poszli razem na plażę położoną o trzy przecznice dalej, chociaż ojciec kategorycznie zabronił im wchodzić do wody, gdy go przy nich nie ma. Była to prywatna, nie strzeżona zatoka, prócz nich kąpały się tu tylko jakieś dwie osoby, ledwo widoczne w oddali.

-Harry'ego porwał podwodny prąd - ciągnął Travis. - Obaj byliśmy w wodzie, oddaleni od siebie najwyżej o dziesięć stop, lecz ten przeklęty prąd zabrał i wciągnął w głebiny tylko jego. Mnie nic się nie stało. Popłynąłem za nim, próbowałem go ratować, więc właściwie powinien mnie porwać ten sam wir, ale widocznie zdążył się już przemieścić, gdyż wyszedłem z tego z życiem. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w blat stołu, jakby zamiast czerwonego laminatu widział rozkolysane, zdradzieckie niebieskozielone morze. - Bardzo kochałem mego starszego brata.

Einstein zaskowywał miękko, współczująco.

-Nikt nie winił mnie za to, co stało się z Harrym. Był przecież starszy. To on powinien być bardziej odpowiedzialny. A mimo wszystko czulem... no wiesz, skoro prąd pochwycił Harry'ego, dlaczego nie zabrał także i mnie?

Od zachodu powiał nagle nocny wiatr. Obluzowana szyba w którymś z okien zadrzała lekko. Travis wypił łyk piwa i powiedział:

-Kiedy miałem czternaste lat, bardzo chciałem wyjechać latem na oboz tenisowy. Dosłownie szalałem wtedy na punkcie tenisa, więc ojciec zapisał mnie na kurs w miejscowości położonej w pobliżu San Diego. Czekal mnie cały miesiąc intensywnego treningu. Ojciec miał mnie tam zawieźć w niedzielę, niestety nigdy nie dojechalismy na miejsce. Tuż za Oceanside spotkalismy ciężarówkę; facet, który ją prowadził, usnął za kierownicą. Maszyna zjechała na nasz pas i dosłownie zmiotła nas z szosy. Ojciec zginął na miejscu. Skrecony

kark, zmiadzona czaszka, polamane zebra. Siedzialem z przodu, na fotelu obok, a jednak wyszedlem z tego calo, jesli nie liczyc paru siniakow, zadrapan oraz dwoch zlamanych palcow.

Pies w napieciu obserwowal jego twarz.

-Stalo sie dokladnie tak, jak wtedy z Harrym. Powinienem byl zginac razem z ojcem, a jednak to przezyłem. Poza tym nie znalezlilibysmy sie na tej cholernej trasie, gdyby mi nie zalezalo tak strasznie na obozie dla tenisistow. Tym razem nie bylo mowy o zadnym usprawiedliwieniu. Byc moze, nie ponosilem winy za smierc matki przy porodzie ani za utoniecie Harry'ego, ale ten wypadek... W kazdym badz razie stalo sie dla mnie rzecz oczywista, ze przynosilem nieszczescie, ze ludzie nie powinni sie byli zbyt do mnie zbliczac. Jezeli kogos naprawde kochalem, to takiej osobie pisana byla niechybna smierc.

Tylko dziecko moglo dojsc do przekonania, ze owe tragiczne wypadki dowodza, iz jest chodzacy przekleństwem, ale Travis byl wowczas wlasnie dzieckiem, czternastoletnim dzieckiem, zadne inne wyjasnienie nie pasowalo tak dobrze do rzeczywistosci. Byl zbyt mlody, by zrozumiec, ze w dzialaniu slepych sil natury trudno czesto dostrzec jakikolwiek sens. Majac czternascie lat, potrzebował wiary w celowosc swiata, wiec wmowil sobie, ze jest przeklety, a kazdy, kto zawrze z nim blizsza przyjazn, skazuje sie na szybka smierc. Poniewaz byl troche introwertykiem, okazalo sie wkrótce, ze zamkniecie sie w sobie i ograniczenie do wlasnego towarzystwa przyszlo mu z nadmierna wrecz latwoscia. Gdy majac dwadziescia jeden lat konczyl studia, byl juz zatwardzialym samotnikiem, chociaz osiagnawszy dojrzalosc inaczej juz, w sposob bardziej rozsadny, ocenial okolicznosci smierci najblizszych osob. Przestal uwazac siebie za kogos, kto sprowadza nieszczescia, nie obwinial sie dluzej o smierc matki, brata i ojca. Pozostal jednak nie majacy przyjaciol introwertykiem po czesci dlatego, iz nie chcial sie ponownie narazac na przerazliwa rozpacz po stracie bliskich sobie ludzi.

-Przyzwyczajenie i instynkt samozachowawczy sprawily, ze

przebywałem przez całe lata w uczuciowej izolacji - powiedział do Einsteina.

Pies powstał i zrobił krok do przodu. Wsunął się pomiędzy nogi Trávisa, a łeb oparł na jego kolanach. Glaszcząc Einsteina, Travis powiedział:

-Po skończeniu koledzu nie miałem najmniejszego pojęcia, czym chce się zajmować. Akurat trwał pobór do wojska, więc się zapisałem, zanim wezwali mnie na komisję. Wybrałem wojska lądowe. Siły Specjalne. Spodobało mi się tam. Może dlatego... no cóż, panowała u nas atmosfera koleżeństwa, byłem zatem niejako zmuszony do zawierania przyjaźni. Rozumiesz, udawałem przed sobą, że nie potrzebuję bliskich kontaktów z innymi ludźmi, ale muszę je nawiązywać, bo znalazłem się w sytuacji, gdzie jest to nieuniknione. Postanowiłem pozostać w wojsku. Kiedy utworzono oddział Delta, grupę antyterrorystyczną, natychmiast się tam przeniósłem. Chłopcy z Deltą to byli twardzi, prawdziwi mężczyźni. Nazywali mnie "Niemowa" albo "Harpo", ponieważ prawie się nie odzywałem, a mimo to, właściwie jakby mimo woli, zdobyłem kilku przyjaciół. Podczas naszej jedenastej operacji mój pododdział przerzucono do Grecji; powierzono nam zadanie uwolnienia ambasady USA w Atenach z rąk palestyńskich ekstremistów. Udało im się opanować budynek ambasady, zamordowali osiem pracowników i zabijali nadal, co godzina następnego, ani myśleć o przystąpieniu do jakichkolwiek negocjacji. Zaatakowaliśmy ich zniechęca, lecz ponieśliśmy klęskę. Bandyty pozakładali w budynku pułapki. Dziewięciu ludzi z mojej grupy poniosło śmierć. Ocalałem tylko ja. Miałem kule w udzie i odłamek w dupie, ale przeżyłem.

Einstein unosił głowę.

Tra vi sowi wydawało się, że dostrzega w jego oczach wyraz sympatii. Być może dlatego, iż bardzo pragnął go zobaczyć.

-Działo się to przed osiem laty. Porzuciłem wojsko. Wrocilem w

rodzinne strony do Kalifornii. Zdobylem licencje na prowadzenie handlu nieruchomosciami, glownie dlatego, ze trudnil sie tym moj ojciec, a ja nie bardzo wiedzialem, czym moglbym sie zajmowac. Szlo mi calkiem niezle, moze dzieki temu, ze nie obchodzilo mnie zbytnio, czy klienci kupia domy, ktore im pokazuje, wiec ich nie naciskalem, nie zachowywalem sie jak typowy handlarz. Tak czy inaczej, wkrótce zostalem powaznym posrednikiem, otworzylem wlasne biuro i zatrudnilem sprzedawcow.

Wlasnie w taki sposob spotkal Paule. Byla piekna, wysoka blondynka, inteligentna i wesola. Ze sprzedaza nieruchomosci radzila sobie tak dobrze, ze czasami, zartujac, twierdzila, iz we wczesniejszym wcieleniu musiala nalezec do delegacji holenderskich kolonistow, ktorzy odkupili od Indian Manhattan za paciorki i swiecidelka. Zadurzyla sie w Travisie bez opamietania. Pewnego razu powiedziala mu: "Panie Cornell, jestem w panu zakochana. To chyba przez te panska malomownosc. Jest pan najlepsza imitacja Clinta Eastwooda, jaka kiedykolwiek widzialam". Tra vis poczatkowo probowal stawiac opor. Nie wierzyl, co prawda, ze moglby sprowadzic na Paule nieszczescie, w kazdym razie nie wierzyl w to swiadomie, nie wracal juz nigdy otwarcie do swych dzieciacych podejrzen, ale nie chcial ryzykowac, bal sie bolu po jeszcze jednej stracie. Nie zniechecona jego wahaniem, nadal przy kazdej okazji przypominala mu o swoim uczuciu i w koncu takze i on musial przyznac, ze ja kocha. Pokochal tak mocno, ze opowiedzial jej o trwajacej przez cale zycie ciuciubabce ze smiercia, choc nigdy dotad nie mowil o tym nikomu. "Posluchaj - powiedziala Paula - nie bedziesz musial mnie oplakiwac. Z pewnoscia cie przezyje, poniewaz nie naleze do tych, ktorzy tlumia swoje uczucia. Wyladowuje zlosc na wszystkich wokol, wiec bez watpienia skroce ci zycie o jakies dziesiec lat".

Ich slub - raczej skromny - odbyl sie cztery lata temu, zaraz potem, jak Travis skonczyl trzydziesci dwa lata. Bardzo ja kochal. O Boze, jak ja kochal.

Spojrzal na Einsteina i powiedzial:



-Nie wiedzieliśmy wtedy, że w dniu ślubu była już chora na raka.  
Umarła dziesięć miesięcy później.

Pies ponownie przytulił łeb do jego piersi.

Przez jakiś czas Travis nie był w stanie mówić dalej.

Lyknął piwa.

Zmierzył sierść na głowie retrievera.

Wreszcie podjął opowieść.

-Po tym wszystkim próbowałem wrócić do normalnego życia. Zawsze  
szczyliłem się swą wolą przetrwania, gotowością stawienia czoła  
wszelkim przeciwnościom i różnymi podobnymi bzdurami.  
Prowadziłem biuro jeszcze przez rok, lecz nic mnie już ono nie  
obchodziło. Sprzedałem je dwa lata temu. Spieniężyłem także cały  
swoją majątek, a gotówkę ulokowałem w banku. Wynajmowałem ten dom. I  
zaczęłem dostawać swira. Trudno się dziwić, no nie? Byłem blisko  
obłędu. Widzisz, zatoczyłem pełne koło, wróciłem do tego, w co  
wierzyłem będąc dzieckiem! Że byłem niebezpieczny dla każdego, kto  
się do mnie zbliżył. Ale ty mnie odmieniłeś, Einstein. Przeobraziłeś  
mnie w ciągu jednego dnia. Przysięgam, wygląda to zupełnie tak jakby  
ktoś ciebie zesłał, abys pokazał mi, iż życie jest niezwykle, pełne  
cudów i tajemnic, i że tylko głupiec cofa się przed nim dobrowolnie,  
pozwalając, by przepływało obok niego.

Pies przypatrywał się mu z uwagą.

Unosił do ust puszkę, okazało się jednak, że jest pusta.

Einstein przyniósł z lodówki jeszcze jednego coorsa.

Wyjmując puszkę z pyska zwierzęcia, Travis powiedział:

-A teraz, po wysłuchaniu tej smutnej historii, co o tym wszystkim

myszysz? Czy sadzisz, ze madrze robisz trzymajac sie blisko mnie?  
Myszysz, ze to bezpieczne?

Einstein parsknal.

-Czy to mialo byc "tak"?

Czworonog przeturlal sie na plecy i wyciagnal w gore wszystkie lapy, odslanjajac brzuch, podobnie jak to uczynil wczesniej, pozwalajac, by Travis zalozyl mu obroze.

Odstawiwszy piwo na bok, Travis podniosl sie z krzesla, po czym usiadl na podlodze i zaczal gladzic brzuch zwierzecia.

-W porzadku - powiedzial. - Juz dobrze. Tylko nie umieraj przeze mnie. Nie waz sie umierac z mego powodu.

6

Telefon Nory Devon zadzwonil ponownie rowno o jedenastej. To byl Streck.-Czy jestes juz w lozku, slicznotko? Nie odpowiedziala.

-Czy chcialabys, zebym byl teraz z toba?

Od czasu poprzedniej rozmowy zastanawiala sie, jak ma go potraktowac i przygotowala kilka grozb, ktore - miala nadzieje - powinny odniesc wlasciwy skutek. Powiedziala:

-Jesli nie zostawi mnie pan w spokoju, pojde na policje.

-Noro, czy sypiasz nago? Siedziala w lozku wsparta o poduszki. Slyszac te slowa wyprostowala sie, spieta i zeszywniala.

-Pojde na policje i powiem, ze probowal mnie pan... ze pan mi zakloca spokoj. Tak wlasnie zrobie. Przysiegam, ze tak zrobie.

-Chcialbym zobaczyc cie naga - powiedzial, ignorujac jej grozby.

-Naklamie im. Powiem, ze mnie pan zgwałcił.

-Czy nie chciałabys, abym położył dłonie na twoich piersiach, Noro?

Czując silne skurcze żołądka, musiała pochylić się do przodu.

-Postaram się, żeby firma od telefonów założyła podsłuch na mojej linii. Nagraja wszystkie rozmowy, więc będę miała dowód.

-Czyż nie byłoby miło móc cię wszędzie całować?

Skurcze przybrały na sile. Nie mogła zapanować nad ogarniającym całe ciało drżeniem. Głos jej łamał się niebezpiecznie, gdy wypowiadała groźbę ostateczną:

-Mam bron. Mam bron.

-Będiesz dziś o mnie snić, Noro. Jestem tego pewien. Będiesz snić, że całuje cię po całym twym słicznym ciele...

Trzasnęła słuchawka o widelki.

Przetoczyła się na bok, podciągnęła wysoko kolana i mocno objęła się ramionami. Skurcze nie miały żadnej fizycznej przyczyny. Były po prostu emocjonalną reakcją na strach, wstyd i wściekłość.

Stopniowo ból ustąpił. Strach zelżał również i tylko wściekłość kipiała w niej z nie słabnącą siłą.

Tak przerażająco słabo знаła otaczający ją realny świat i rządzące nim prawa i tak bardzo brakowało jej doświadczenia w postępowaniu z ludźmi, że nie mogłaby egzystować w miarę normalnie, gdyby nie zamknęła się w obszarze swego domu, tworząc własny świat, świat bez kontaktów z innymi. Nie wiedziała nic o stosunkach społecznych. Nie była nawet w stanie przeprowadzić grzecznej rozmowy z Garrisonem Dilworthem, niegdyś prawnikiem ciotki Violet, a teraz jej prawnikiem, gdy spotkali się, aby uregulować sprawę spadkową.

Odpowiadała na jego pytania tak zwieźle, jak tylko to było możliwe. Siedziała naprzeciw niego ze wzrokiem wbitym w podłogę, nie mogąc znaleźć miejsca dla swych zimnych dłoni, daremnie usiłując przezwyciężyć wstyd. Bac się własnego prawnika! Jeżeli nie potrafiła porozmawiać z tak miłym i uprzejmym człowiekiem, jak Garrison Dilworth, to jakim cudem mogłaby sobie poradzić z bestią w rodzaju Arta Strecka? Dojdzie do tego, że w końcu nie odważy się wpuścić za drzwi żadnego mechanika, bez względu na to, co się popsuje - i wobec tego dom, w którym żyje, ulegnie stopniowej dewastacji - ponieważ następnym razem może jej się znowu trafić jakiś inny Streck albo ktoś jeszcze gorszy. Zgodnie ze zwyczajem wprowadzonym przez ciotkę Nora zamawiała produkty spożywcze w najbliższym supermarkecie, dzięki czemu sama nie musiała chodzić do sklepu. Teraz jednak będzie się bała wpuścić posłanca do domu. Co prawda nigdy nie zdradzał żadnych najsłabszych nawet objawów agresji, niczego jej nie sugerował, nigdy też nie zachowywał się wobec niej w sposób obraźliwy, jednak któregoś dnia, podobnie jak Streckowi, mogła mu się rzucić w oczy jej bezbronnosc i...

Nienawidziła ciotki Violet.

Z drugiej strony ciotka miała rację: Nora była mysza. Przeznaczone jej było uciekać, kryć się, szukać schronienia w mroku.

Nieoczekiwanie odeszła gdzieś od niej cała złość, ustępując miejsca bolesnemu poczuciu samotności. Zaczęła cicho płakać.

Później, gdy siedziała, oparta plecami o wezglowie, ocierając nos i zaczerwienione oczy chusteczką higieniczną, poprzysięgła sobie uroczystie, że zerwie z samotnością. Znajdzie jakąś siłę i odwagę, by być bardziej otwartą niż dotychczas postawie wobec świata. Będzie spotykać się z ludźmi. Pozna sąsiadów, których ciotka Violet starała się na ogół unikać. Zdobędzie przyjaciół. Na Boga, tak właśnie zrobi. I nie da się zastraszyć Streckowi. Nauczy się radzić sobie z różnymi problemami, które będą się pojawiać na jej drodze, i z czasem stanie się zupełnie inną kobietą. Obiecuje to sobie.

Oswiadcza pod przysiega.

Przyszedl jej do glowy pomysl, zeby odlaczyc telefon, co z cala pewnoscia pokrzyzowaloby plany Strecka, powstrzymala ja jednak mysl, ze moze sie okazac pilnie potrzebny. Co by sie stalo, gdyby obudzila sie w srodku nocy, slyszac, ze ktos myszkuje po domu, i nie zdolala wystarczajaco szybko podlaczyc aparatu do sieci?

Zanim zgasila swiatlo i zaciagnela zaslony, zamknela wciaz pozbawione zamka drzwi sypialni, po czym przysunela do nich fotel, wpychajac wierzcholek oparcia pod klamke. Juz lezac w lozku, w ciemnosci, siegnela po lezacy na nocnej szafce noz i uspokoila sie nieco, gdy od razu trafila na jego rekojesc.

Lezala na plecach z szeroko otwartymi oczami. Nie mogla zasnac. Bladobursztynowe swiatlo ulicznych latarn przenikalo przez okiennice do pokoju i sufit pokryl sie pasmami czerni i matowego zlota. Wygladalo to, jak gdyby jakis nieskonczenie dlugi tygrys zawisl nad jej lozkiem rozpiety w skoku, ktory mial trwac wiecznie. Zaczela sie zastanawiac, czy kiedykolwiek bedzie jej jeszcze dane usnac spokojnie.

Myslala takze o tym, czy w ogromnym swiecie, do ktorego poprzysiegla sobie wejsc, znajdzie kogos, kto sie o nia zatroszczy. Czy zyl tam ktos, kto bylby zdolny pokochac mysz i odnosic sie do niej z czuloscia?

Gdzies w oddali w ciszy nocnej zabrzmial, niby piesn pogrzebowa, przerazliwy gwizd lokomotywy. Pusty, zimny, ponury dzwiek.

7

Vince Nasco jeszcze nigdy dotad nie byl tak bardzo zajety. Ani tak szczesliwy. Kiedy zadzwonil pod ten sam co zwykle numer w Los Angeles, aby zameldowac o pomyslnym wykonaniu zadania w domu Yarbeckow, skierowano go do nastepnej budki. Tym razem telefon znajdowal sie pomiedzy sklepem z mrozonym jogurtem a restauracja

rybna na Balboa Island w Newport Harbor. Podniosłszy słuchawkę usłyszał dobrze znany gardłowy, bardzo sexy, a zarazem dziewczęcy głos. Kobieta po tamtej stronie przewodu w zawołany sposób mówiła o morderstwie, używając zamiast zwyczajnych określeń egzotycznych eufemizmów, w których sąd nie mógłby się dopatrzeć niczego obciążającego. Ona także zadzwoniła do niego z przypadkowo wybranego automatu, więc praktycznie podsłuch nie wchodził w rachubę, a jednak woleli nie ryzykować.

Kobieta miała dla niego robotę. Trzecia w ciągu tego samego dnia.

Vince obserwował wieczorny ruch na wąskiej uliczce - przesuwające się powoli sznury pojazdów, a w tym czasie ta kobieta - nigdy jej nie widział ani nawet nie wiedział, jak się nazywa - podała mu adres doktora Alberta Hudstona z Laguna Beach. Hudston mieszkał z żoną i szesnastoletnim synem. Uczony i jego żona musieli zginąć, o losie chłopca natomiast miał zdecydować Vince. Jeśli można będzie pozostawić go żywym, to bardzo dobrze. Gdyby jednak zobaczył Vince'a i mógł posłużyć policji jako świadek, należało go również zlikwidować.

-Decyzja należy do pana - powiedziała kobieta.

Vince wiedział od razu, że zabije dzieciaka, ponieważ zabicie dawało mu większe korzyści, dostarczało więcej energii, zwłaszcza gdy ofiara była młoda. Już od dawna nie zamordował nikogo młodego, toteż taka perspektywa bardzo go podnieciła.

-Pragne jeszcze tylko podkreślić - dodała łączniczka, co chwila robiąc denerwujące przerwy - iż prace należy wykonać jak najszybciej.

Chcemy, by stało się to jeszcze dziś w nocy. Jutro o wszystkim dowie się konkurencja i na pewno zechce pomieszać nam szyki.

"Konkurencja" oznaczać musiała policję. Zapłacono mu za zgładzenie trzech doktorów w ciągu jednego dnia - nigdy dotąd nie zabił jeszcze żadnego doktora - domyślał się więc, że coś musiało ich łączyć, coś, co policja odkryje, gdy tylko znajdzie Weatherby'ego w bagażniku jego

własnego samochodu, i Elisabeth Yarbeck zatłuczona na śmierć we własnej łazience. Vince nie wiedział, o jakie powiązanie mogło tutaj chodzić. Starał się zawsze wiedzieć jak najmniej o ludziach, do których zamordowania został wynajęty. Tak było o wiele bezpieczniej. Policja z pewnością powiąze Weatherby'ego z Elisabeth Yarbeck, a oboje z Hudstonem, więc jeśli Vince nie dotrze do Hudstona w ciągu najbliższych godzin, jutro nie będzie mógł już wykonać swego zadania, bo zdąży zapewnić mu ochronę.

Vince powiedział:

-Zastanawiam się... czy chcecie, żebym działał w ten sam sposób jak w tamtych dwóch sprawach dzisiaj. Czy zależy wam na pozostawieniu śladów?

Przyszło mu na myśl, że może powinien spalić doszczętnie dom Hudstona, aby ukryć morderstwa.

-Nie, ślady są bezwzględnie potrzebne - odparła kobieta. - Tak samo jak w pozostałych wypadkach. Niech wiedzą, że pracowicie spędziliśmy noc.

-Rozumiem.

-Chcemy przytrzymać im nosa - dodała śmiejąc się miękko. - Mamy ochotę znaleźć im za skórę.

Vince odwiesił słuchawkę, po czym udał się na obiad do "Wesołego Rogera". Zamówił zupę warzywną, hamburgera, frytki z pokrojonym na plasterki cebulą, surowkę z kapusty, czekoladowy placek z lodami oraz (po chwili wahania) szarlotkę. Wypił też pięć filiżanek kawy. Zwykł dużo jeść, a jego apetyt wzrastał wręcz nieprawdopodobnie po wykonaniu roboty. Nawet po przełknięciu ostatniego kawałka nie poczuł się jeszcze w pełni syty. Było to zrozumiałe. W ciągu jednego tylko pracowitego dnia wchłonął energię życiową Davisa Weatherby'ego i obojga Yarbecków, był nią nalaadowany w nadmiarze, pracował na przyspieszonych obrotach. Jego metabolizm został

nastawiony na ostatni bieg; organizm potrzebował teraz więcej paliwa, aby zdobyte siły witalne zmagazynować w biologicznych akumulatorach.

Zdolność absorbowania sił życiowych własnych ofiar była Darem wyróżniającym go spośród innych ludzi. Dzięki niemu zawsze będzie silny i sprawny. Będzie żyć wiecznie.

Nigdy nie wyjawiał sekretu swego wspaniałego Daru kobiecie o gardłowym głosie ani żadnemu innemu pracodawcy. Tylko nieliczni ludzie obdarzeni byli dostatecznie bogatą wyobraźnią i umysłem na tyle otwartym, by móc uwierzyć w istnienie tak zdumiewającego talentu. Vince zachowywał w tej sprawie ścisłą tajemnicę bojąc się, by go nie uznano za wariata.

Wyszedłszy z restauracji przystanął na chwilę na chodniku i odetchnął głęboko, rozkoszując się ciepłym, morskim powietrzem. Znad portu nadciągnął chłodny nocny wiatr i popędził po chodniku skrawki papieru oraz opadłe kwiaty jacarandy.

Vince czuł się wspaniale. Zdawało mu się, że on sam jest jedną z pierwotnych sił natury, podobnie jak morze i wiatr.

Z Balboa Island pojechał na Laguna Beach. O jedenastej trzydziści zaparkował samochód naprzeciwko domu Hudstona. Był to parterowy budynek śmiało zawieszony na stromym stoku wzgórza, co zapewniało jego mieszkańcom wspaniały widok na ocean. W kilku oknach plonęły jeszcze światła.

Przecisnąwszy się pomiędzy fotelami, zajął miejsce na tylnym siedzeniu i tu, ukryty przed wzrokiem przechodniów, czekał, aż wszyscy Hudstonowie pojdą spać. Wkrótce po opuszczeniu domu Yarbecków przebrał się, zamieniając błękitny garnitur na szare spodnie, białą koszulę, kasztanowej barwy sweter i ciemnoniebieską ortalionową kurtkę. Teraz pozostało mu już tylko wydobyć brzoź z kartonowego pudełka, gdzie ukrył ją pod dwoma bochenkami chleba, niewielką paczką zawierającą cztery rolki papieru toaletowego i



paroma innymi drobiazgami, majacymi stwarzac wrazenie, ze wlasnie wraca z zakupow.

Najpierw wyjal pistolet. Byl to walther P-38. Mial pelny magazynek. Po zakonczeniu akcji w domu Yarbeckow Vince nakrecil na lufe nowy tlumik, jedno z tych opracowanych ostatnio urzadzen, dzieki zdobyczom rewolucji technicznej o polowe krotsze od starszych modeli. Polozyl bron obok siebie.

Potem wydobyl szesciocalowy noz sprezynowy. Umiescil go w prawej kieszeni spodni.

Zwinawszy ciasno petle z cienkiego drutu, wepchnal ja w lewa wewnetrzna kieszen kurtki.

Na koniec siegnal po rurke, wypelniona olowianym srutem, ktora powedrowala do prawej zewnetrznej kieszeni kurtki.

Nie sadzil, by potrzebne mu bylo cokolwiek poza pistoletem, jednak zawsze wolal byc przygotowany na wszelkie niespodzianki.

Do niektorych zadani uzywal pistoletu maszynowego Uzi, przystosowanego nielegalnie do automatycznego prowadzenia ognia, tym razem jednak ciezki sprzet nie byl mu potrzebny.

Mial rowniez w wozie niewielka skorzana saszetke, dwukrotnie mniejsza od turystycznego zestawu do golenia, zawierajaca komplet podstawowych narzedzi wlamywacza. Przypuszczal, ze prawdopodobnie da sobie rade bez niej, gdyz bardzo wielu ludzi przejawialo zdumiewajacy brak troski o bezpieczenstwo wlasnych domow pozostawiajac czesto na noc otwarte okna lub drzwi, jak gdyby mieszkali w dziewietnastowiecznej osadzie kwakrow.

O jedenastej czterdziesti wychylil sie poza przednie fotele i przez boczna szybe spojrzal ku domowi Hudstona. Swiatla pogasly. Bardzo dobrze. Wszyscy byli juz w lozkach.

Chcac dac im czas, by zdazyli zasnac, opadl znowu na tylne siedzenie, zjadl jednego goodbara i zaczal rozmyslac o tym, na co wyda spora kwote pieniedzy, ktora dzisiaj zarobil.

Marzyly mu sie motonarty, przemyslne urzadzenie pozwalajace uprawiac narciarstwo wodne bez pomocy holujacej lodzi. Kochal ocean. Morze mialo dlan w sobie cos pociagajacego. Wsrod fal przyboju czul sie dziwnie swojsko, a zarazem doznawal silniej niz kiedykolwiek wrazenia pelni zycia, gdy tak sunal w jakiejs przedziwnej harmonii z wielkimi, kipiacyimi masami ciemnej wody. Pasjonowalo go nurkowanie, zeglarstwo i surfing. Bedac nastolatkiem, wiecej czasu spedzal na plazy niz w szkole. Nadal zreszta, od czasu do czasu, slizgal sie na desce, najczesciej wtedy, gdy fala byla wysoka. Mial juz jednak dwadziescia osiem lat i surfing zaczynal go nudzic. Coraz rzadziej doznawal dzieki niemu dreszczu emocji. Obecnie najbardziej fascynowala go predkosc. W wyobrazni widzial siebie pedzacego na motonartach tuz ponad powierzchnia morza. Smagany przez wiatr, podskakujac na grzbietach naplywajacych nie konczacych sie szeregiem fal, ujezdzal Pacyfik niczym kowboj dzikiego konia podczas rodeo...

Kwadrans po polnocy wysiadl z furgonetki. Wetkнал pistolet za pasek od spodni, po czym ostroznie przeszedl na druga strone cichej, opustoszonej ulicy. Przez otwarta drewniana furtke dostal sie na boczne patio oswietlone jedynie blaskiem ksiezycy, przedzierajacym sie przez baldachim lisci rozlozystego drzewa koralowego.

Przystanal, by naciagnac na dlonie miekkie skorzane rekawiczki.

Srebrzysty blask ksiezycy padl na rozsuwane szklane drzwi laczące patio z salonem. Drzwi byly zamknięte. Swiatlo wydobytej z saszetki miniaturowej latarki wydobylo z mroku drewniany kolek wetknięty od wewnatrz w prowadnice.

Hudstonowie okazali sie bardziej przezorni niz wiekszosc ludzi, lecz Vince nie przejal sie wcale napotkana przeszkoda. Przycisnal do

szyby mała przyssawkę; posługując się diamentowym nożem, wyciął kółko w pobliżu klamki, a następnie, za pomocą przyssawki, cicho usunął szklany krążek. Przez powstały otwór wsadził rękę do środka i szybko otworzył zamek. Wyciął jeszcze jedną dziurę tuż nad progiem i wyjął z prowadnicy blokujący drzwi kolek.

Nie musiał się martwić o psy. Kobieta o gardłowym głosie zapewniła go, że Hudstonowie nie trzymają w domu żadnych zwierząt. Między innymi dlatego tak bardzo lubił pracować dla tych właśnie zleceniodawców: przekazywane przez nich informacje były zawsze obszerne i niesłychanie dokładne.

Otworzywszy drzwi, wśliznął się pomiędzy zaciągniętymi na szybach zasłonami do pograzonego w ciemnościach salonu. Znieruchomiał na chwilę, czekając, aż oczy przystosują się do mroku, a równocześnie wytężył słuch. W domu panowała martwa cisza.

Najpierw odnalazł pokój chłopca. Pomieszczenie rozświetlał zielony blask, który ślasy cyferki plonące na wyświetlaczu elektronicznego zegarka. Chłopak leżał na boku i cicho pochrapywał. Szesnastolatek. Bardzo młody. Vince lubił tych bardzo młodych.

Obszedł łóżko dookoła, po czym przykucnął, zbliżając twarz do twarzy śpiącego. Pomagając sobie zębami, sciągnął rekawiczkę z lewej dłoni. Prawa ręka wetknął lufę pistoletu pod brodę nastolatka.

Chłopak od razu się obudził.

Vince uderzył go mocno gołą pięścią w czoło, a jednocześnie pociągnął za spust. Pocisk przebił miękkie ciało, poprzez podniebienie dotarł do mózgu i spowodował natychmiastową śmierć.

Ssssnap.

Z ciała umierającego spłynął na Vince'a silny strumień energii. Była tak czysta i zyciodajna, że czując, jak go przenika, nie mógł powstrzymać radosnego skowytu.

Przez jakiś czas siedział obok łózka, bojąc się, że jest zbyt osłabiony, by móc się utrzymać na nogach. Był oszołomiony. Brakowało mu tchu. W końcu pocałował martwego chłopca w usta i powiedział:

-Przyjmuje ja. Dzięki. Przyjmuje ja.

Poruszając się cicho i zrecznie jak kot odnalazł wkrótce główną sypialnię. Dzięki zielonym światelkom cyferek jeszcze jednego zegarka i miękkiej księżycowej poświacie saczacej się przez uchylone drzwi łazienki, udało mu się dostrzec postacie śpiących małżonków. Vince zabił najpierw panią Hudston...

Ssssnap.

...a uczynił to tak sprawnie, że nawet nie obudził męża. Spała nago, więc po przyjęciu jej ofiary przyłożył głowę do odsłoniętych piersi i wsłuchał się w ciszę nie bijącego już serca. Ucałował jej sutki, po czym wymamrotał:

-Dziękuję. Potem obszedł łóżko, zapalił nocną lampkę i obudził doktora Hudstona. Mężczyzna sprawiał najpierw wrażenie zupełnie dezorientowanego, ale gdy ujrzał wytrzeszczone, pozbawione wyrazu oczy żony, zmienił się natychmiast na twarzy. Z krzykiem złapał Vince'a za ramiona, a Vince zdzielił go dwukrotnie kolbą pistoletu w głowę.

Zaciągnął nieprzytomnego Hudstona - on również spał nago - do łazienki. Odnalazł plaster i skrepił nim nadgarstki oraz stopy uczonego.

Napełnił wannę zimną wodą, a następnie wepchnął do niej bezwładne ciało. Ta kąpiel przywróciła Hudstonowi przytomność.

Zupełnie nie zwracając uwagi na swoją nagotę oraz krepujące go wiezy, uczonego usiłował wydostać się z wanny i rzucić na Vince'a.

Vince uderzył go pistoletem w twarz i Hudston runął z powrotem do

wanny.

-Kim jesteś? Czego chcesz? - wycharczał, gdy tylko jego twarz wynurzyła się nad powierzchnię wody.

-Zabiłem twoją żonę i syna, a teraz zabije ciebie.

Doznał wrażenia, jakby oczy Hudstona zapadły się nagle w głąb mokrej, ziemistej twarzy.

-Jimmy? Och nie, tylko nie Jimmy.

-Twój chłopak nie żyje - potwierdził Vince. - Rozwalilem mu łeb.

Po tych słowach Hudston wyraźnie się załamał. Nie wybuchnął płaczem, nie rozpaczal, nie wykonywał żadnych dramatycznych gestów. Ale jego oczy stały się martwe. W jednej chwili. Tak jakby ktoś raptownie zgasił światło. Nadal wpatrywał się w Vince'a, lecz w jego spojrzeniu nie było już widac ani strachu, ani złości.

Vince powiedział:

-Masz przed sobą dwie możliwości: umrzeć szybko lub powoli. Jeżeli powiesz mi to, co chce wiedzieć, umrzesz szybko i bezbolesnie. Jeśli okazesz się uparty, bedziesz konał przez piec albo sześć godzin.

Doktor Hudston przypatrywał mu się w milczeniu. Miał twarz pokrytą smugami świeżej krwi, ale był przeraźliwie blady i mokry niczym jakies stworzenie pedzace żywot w głębinach oceanu.

Vince liczył na to, że ten człowiek nie był katatonikiem.

-Chcę wiedzieć, co masz wspólnego z Davisem Weatherbym i Elisabeth Yarbeck.

Hudston kilkakrotnie zamrugł oczami. Jego drzący głos zabrzmiał ochryple.

-Davis i Liz? O co ci chodzi? - Znasz ich?

Skinal twierdzaco glowa.

-Skad ich znasz? Chodziliście razem do szkoły? Byliście kiedyś sasiadami?

Tym razem Hudston wykonał przeczący ruch głową i powiedział:

-Pracowaliśmy... pracowaliśmy razem w Banodyne.

-Co to jest Banodyne?

-Laboratoria Banodyne.

-Gdzie to jest?

-Tutaj, w Orange Country - powiedział Hudston. Podał dokładny adres w Irvine.

-Co tam robicie?

-Badania. Ale odszedłem stamtąd już dawno temu. Weatherby i Yarbeck wciąż tam pracują. Nie mam pojęcia, co teraz robią.

-Co to za badania? - zadał kolejne pytanie Vince. Hudston zawahał się.

-Szybko i bezbolesnie lub długo i w meczarniach - przypomniał mu Vince.

Uczony opowiedział o badaniach, w jakich uczestniczył w Banodyne. O Projekcie Francisa. O eksperymentach. O psach.

Brzmiało to nieprawdopodobnie. Niektóre szczegóły Vince kazał sobie powtarzać po trzy, cztery razy. W końcu doszedł do przekonania, że wszystko, co tamten mówił, było prawdą.

Kiedy uzyskał pewność, iż nic więcej już z Hudstona nie wycisnie, strzelił mu prosto w twarz. Była to, zgodnie z obietnicą, błyskawiczna, lekka śmierć.

Ssssnap.

Później, jadąc przez okryte zasłoną nocy Laguna Hills, Vince rozważał niebezpieczne konsekwencje kroku, który uczynił przed chwilą. Zazwyczaj nic nie wiedział o swoich ofiarach. Tak było najbezpieczniej, zarówno dla niego, jak i zleceniodawców. Nie chciał wiedzieć, czym ci biedni głupcy sciagneli na siebie tak wielkie nieszczęście, ponieważ wiedza taka mogłaby z kolei sciągnąć podobne nieszczęście na niego. Tym razem jednak miał do czynienia z sytuacją zupełnie wyjątkową. Zapłacono mu za zabicie trzech doktorów - nie lekarzy, lecz, jak się okazało, naukowców, przy czym każdy był wybitną osobistością - oraz członków ich rodzin, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w pobliżu. Niesamowita sprawa. Jutrzejsze gazety nie zdolają pomieścić wszystkich informacji na ten temat. Działo się coś naprawdę wielkiego, coś na tyle ważnego, że mogłaby to być jego życiowa szansa. Mogłoby na tym zarobić wiele pieniędzy. Wystarczyłoby sprzedać uzyskane od Hudstona tajne informacje... jeśli, rzecz jasna, uda mu się znaleźć odpowiedniego nabywcę. Jednakże wiedza była rzeczą, nie tylko cenną, ale i niebezpieczną, na co wskazywał choćby przykład Adama i Ewy. Jeśli jego obecni pracodawcy, kobieta o gardłowym głosie i reszta towarzystwa z Los Angeles, dowiedzą się, iż złamał podstawowy warunek umowy, jeżeli jakimś cudem dotrze do nich, że przesłuchiwał jednego ze skazanych, zanim go zabił, wynajmą natychmiast kogoś do zlikwidowania Vince'a. Myśliwy zmieni się w zwierzyne.

Oczywiście, nie przejmował się zbyt perspektywą śmierci. Zbyt wiele nagromadził już w sobie życiowej energii innych ludzi. Czekало go życie wieczne. Był tego pewien. Tyle tylko, że... nie wiedział, ilu dokładnie ludzi życie powinien wchłonąć, aby zapewnić sobie nieśmiertelność. Czasami miał uczucie, że już jest niezwykciezony, że stał się nieśmiertelny. Zdarzały się jednak i takie dni, gdy budziło się

w nim zwatpieenie. Dochodził wówczas do wniosku, że jeśli chce osiągnąć upragnioną boskość, musi zgromadzić jeszcze więcej witalnej energii. Dopóki pozostawał choćby cień niepewności co do tego, czy wspiał się już na Olimp, najrozsadniej będzie zachować nieco ostrożności.

Banodyne.

Projekt Francisa.

Jeżeli Hudson mówił prawdę, podjęte ryzyko sówicie się Vince'owi opłaci, musi tylko znaleźć odpowiedniego kupca, który doceni wartość zdobytych przez niego informacji. Wkrótce stanie się zamożnym człowiekiem.

8

Wes Dalberg od przeszło dziesięciu lat mieszkał samotnie w kamiennym domku w kanionie Holly Jim, biegnącym wzdłuż wschodnich obrzeży Orange County. Jedyne źródło światła, jakim tu dysponował, stanowiły latarnie Coleman, a bieżąca woda była tylko w kuchni; czerpało się ją za pomocą umieszczonej nad zlewem ręcznej pompy. Ubikacja, zaopatrzona w drzwi z wyciętym sierpem księżycy (przyszedł mu kiedyś do głowy taki żart), stała za domem, w odległości jakichś stu stop. Wes miał czterdzieści dwa lata, lecz ze swą twarzą wysmaganą przez wichry i spaloną słońcem wyglądał znacznie starszej. W starannie przyciętej brodzie można było dostrzec liczne srebrne nitki. Chociaż sprawiał wrażenie starszego, niż był w istocie, kondycja fizyczna dorównywał dwudziestopięcioletnim mężczyznom. Wierzył głęboko, iż dobre zdrowie zawdzięcza życiu na łonie natury.

We wtorek, osiemnastego maja, zasiadł się przy kuchennym stole, oświetlonym blaskiem syczącej lampy Coleman, do pierwszej w nocy, popijając domowej roboty wino ze sliwek i czytając powieść Johna D. MacDonalda. Zwykł być mawiać o sobie, że jest "aspolecznym gburem urodzonym w niewłaściwym stuleciu", który zupełnie nie nadaje się do życia w świecie współczesnym, lubił jednak



czytać o wyczynach McGee, ponieważ McGee nurzał się w okropnościach rzeczywistości, lecz nie pozwalał się porwać jej morderczemu prądowi.

Okolo pierwszej w nocy Wes skonczył czytać ostatni rozdział książki i zaraz potem wyszedł na zewnątrz po świeży zapas drewna na kominek. Poruszane wiatrem galezie sykomor rzuciły na ziemię chwiejące się cienie, a szeleszczące liście polyskiwały blado w promieniach księżyca. Z oddali dobiegało wycie polujących na drobna zwierzynę kojotów. W pobliskich zarosłach brzęczały owady, a w koronach drzew lesnych szumiał cicho chłodny wiatr.

Drewno na opał zgromadzone było w przybudowce przylegającej do północnej ściany domku. Wyciągnął kolek ze skobla i otworzył podwójne drzwi. Pamiętał doskonale, jak ułożone jest drewno w stercie, toteż poruszał się szybko i sprawnie pomimo panujących wszędzie wokół ciemności. Wrzucił do blaszanego kubelka kilka polan, a następnie odstawił go na bok i odwrócił się, aby zamknąć drzwi.

Uświadomił sobie nagle, że wszystko wokół umilkło. Tylko wiatr szumiał nadal nieprzerwanie.

Zmarszczywszy brwi spojrzał w stronę ciemnej ściany lasu otaczającego niewielką polankę, na której stał jego dom.

Cos zawarczało.

Wes próbował daremnie przeniknąć wzrokiem mrok pomiędzy drzewami. Wydawało mu się, iż księżyc oświetla teraz las słabiej niż przed chwilą.

Głębokie warczenie przepelnione było złością. Czegoś takiego nie słyszał dotąd jeszcze nigdy.

Poczuł ciekawość, nawet zdumienie, lecz z pewnością nie strach. Czas jakiś stał nieruchomo i nasłuchiwał. Minuty płynęły jedna za

druga, lecz odgłos się nie powtórzył.

Domknął drzwi przybudówki, wetknął na miejsce kolek, po czym podniósł naladowany drewnem kubelek.

Znowu to warczenie. Potem cisza. Trzask łamanych gałązek, szelest suchych liści. Sądząc z odgłosów, działo się to w odległości jakichś trzydziestu stop, nieco na zachód od domu.

Pomruk powtórzył się. Tym razem był wyraźnie głośniejszy. I rozległ się gdzieś znacznie bliżej. Z odległości najwyżej dwudziestu jardów.

Nadal nie mógł dojrzec zwierzęcia, które wydawało ten dźwięk. Księżyc nadal krył się tchórzliwie za wąskim pasmem przejrzystych chmur.

Wysłuchując się w ten niski, gardłowy, a zarazem jakby zawodzący pomruk, Wes doznał nagle uczucia dziwnego niepokoju. Po raz pierwszy od chwili, gdy przed dziesięciu laty zamieszkał w tym kanionie, znalazł się w niebezpieczeństwie. Trzymając w ręku kubelek z drewnem ruszył szybko w stronę kuchennych drzwi.

Jeszcze głośniej zaszleściły rozpychane krzaki. Stworzenie na skraju lasu poruszało się szybciej niż dotąd. Do licha, ono teraz po prostu biegło.

Wes także zaczął biec.

Warczenie przeszło w głośny, złowieszczy charkot, który brzmiał jak jakieś niesamowite połączenie odgłosów wydawanych przez psa, świnie, pumę, człowieka i jakąś inną jeszcze istotę. Niezwykle stworzenie najwyraźniej deptało mu po piętach.

Skrecając za narożnik domu, Wes wziął zamach i cisnął kubłem w stronę scigającego go zwierzęcia. Usłyszał, jak drewno uderza o ziemię, a metalowy kubel koziolkuje z brzekiem, lecz dobiegający z tyłu charkot coraz bliższy i głośniejszy świadczył o tym, że chybił.

Przemknął pospiesznie przez trzy schodki, rozwarł na oścież drzwi kuchni i wpadłszy do środka natychmiast z trzaskiem je zamknął. Potem wepchnął kolek w skobel. Nie robił tego już od dziewięciu lat, to znaczy od czasu, gdy przekonał się, że w okolicy panuje spokój i nie zagraża mu tu żadne niebezpieczeństwo.

Zaraz potem przeszedł do drzwi frontowych i również zabezpieczył je kolkiem. Był zdumiony intensywnością strachu, jaki nim ośwładał. Nawet jeśli na zewnątrz grasowało jakieś wrogo usposobione zwierze - może oszalały gorski niedzwiedź zmierzający ku dolinom - to przecież na pewno nie potrafiłoby otworzyć sobie drzwi i wdrzeć się do domu. Nie było potrzeby używać skobla, a jednak poczuł się pewniej zabezpieczony w ten sposób. Działał instynktownie, a był na tyle człowiekiem natury, by wiedzieć, że należało wierzyć instynktom, nawet gdyby prowadziło to do zupełnie irracjonalnych zachowań.

Okay, był więc bezpieczny. Żadne zwierze nie umie otwierać drzwi. W każdym razie nie mógł tego zrobić niedzwiedź, a najprawdopodobniej właśnie z nim miał do czynienia. Ale ryk, który usłyszał, w niczym nie przypominał niedzwiedzia. To właśnie Wesa Dalberga wystraszyło najbardziej: ten głos nie był głosem żadnego z zamieszkujących okoliczne lasy zwierząt. Znał je wszystkie przecież, potrafił rozróżnić każdy wydawany przez nie dźwięk.

Frontowy pokój oświetlał jedynie blask kominka, zbyt słaby, by rozproszyc mrok zbierający się w kątach. Po raz pierwszy od dziesięciu lat Wes poczuł, że dobrze byłoby mieć w domu elektryczność.

Miał dubeltówkę firmy Remington, dzięki czemu mógł od czasu do czasu wzbogacać swój jadłospis o dziczyznę. Bron leżała na polce w kuchni. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie powinien jej zdjąć i nabicić, kiedy jednak, zamknawszy za sobą drzwi, poczuł się nieco bezpieczniej, ogarnął go wstyd, że wpadł w taką panikę. Na miłość boską, zachował się jak zółtodziób. Jak obrosły sadłem mieszczuch,

ktory dostaje drgawek na widok polnej myszy. Gdyby krzyknal i klasnal w dlonie, prawdopodobnie wyploszylby intruza z krzakow. Nawet jezeli odpowiedzialnoscia za swoja reakcje mogl obciazyc instynkt, to i tak bylo to zachowanie niegodne twardego mieszkanca kanionu, za jakiego sie uwazal. Gdyby siegnal po bron teraz, gdy najwyrazniej nie bylo po temu zadnego sensownego powodu, stracilby w znacznej mierze szacunek do samego siebie, a do tego nie mogl dopuscic, poniewaz jedyna opinia o Wesie Dalbergu, na jakiej mu zalezalo, byla jego wlasna opinia. Zadnej broni.

Wes odwazyl sie podejsc do duzego okna w salonie. Poprzedni wlasciciel, ktory przez dwadziescia lat wynajmowal ten domek sluzbie lesnej, zdecydowal sie na dokonanie istotnej zmiany: zniklo stare, waskie okno, w scianie wykuto duzy otwor i osadzono w nim wielkie okno z pojedyncza szyba, dzieki czemu lokatorzy uzyskali wspanialy widok na okoliczne lasy.

Kilka srebrzystych oblokow pojawilo sie na czarnym aksamicie nocnego nieba. Blask ksiezycy upstrzyl plamami podworze, rozjasnil maske i szyby dzipa Wesa, wydobyl takze z mroku tajemnicze ksztalty pobliskich drzew. Wszystko trwalo w bezruchu, jesli nie liczyc kilku chwiejacych sie w lekkich podmuchach wiatru galezi.

Wpatrywal sie w lesny krajobraz przez kilka minut. Nie widzac ani nie slyszac niczego, co mogloby wzbudzac niepokoj, doszedl do wniosku, ze zwierzecze odeszlo. Czujac wyraza ulge, a zarazem powracajace zaklopotanie, zaczal juz odwracac sie od okna, kiedy naraz katem oka dostrzegl, ze cos sie poruszylo w poblizu dzipa. Wytezyl wzrok i choc niczego nie zauwazyl, pozostal przy oknie jeszcze przez kilka minut. Doszedl juz prawie do przekonania, ze ruch byl wytworem jego wyobrazni, gdy cos poruszylo sie ponownie. Zza dzipa wypelzal jakis ksztalt.

Jeszcze bardziej pochyлил sie w strone okna.

Cos bieglo przez podworze, w kierunku domu. Sunelo szybko, tuz

przy ziemi. Zamiast odsłonić w pełni postać napastnika, księżycowy blask uczynił go jeszcze bardziej tajemniczym. Dziwna istota nabierała pedu i nagle - Jezu Chryste! - wzbila się w powietrze. Z ciemności nadlatywało ku niemu coś niesamowicie obcego. Weskrzyknął, a w następnej chwili rozległ się trzask pękającej szyby i potwór znalazł się w salonie. Krzyk Wesa przeszedł w pisk, który prawie natychmiast ucichł.

9

Ponieważ Travis nie był przyzwyczajony do alkoholu, trzy piwa w zupełności wystarczyły, by zapewnić mu dobry sen. Zasnął natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Śniło mu się, że występuje na arenie w cyrku, w którym wszystkie zwierzęta potrafiły mówić. Po każdym numerze odwiedzał zwierzęta w ich klatkach, a one zdradzały mu zdumiewające tajemnice, o których zapominał natychmiast po przejściu do następnej klatki. Zbudził się o czwartej nad ranem i ujrzał Einsteina stojącego przy oknie sypialni. Pies wspierał się przednimi łapami o parapet, pysk miał skapany w księżycowym blasku i czujnie wpatrywał się w mrok nocy. - Co się dzieje, chłopie? - zapytał Travis.

Einstein posłał mu krótkie spojrzenie, po czym na powrót skoncentrował się na obserwacji nocnego pejzażu. Zaskomlał miękko i lekko unosił uszy.

-Czy tam ktoś jest? - spytał Travis, sięgając po dzinsy.

Pies opadł na cztery łapy i wybiegł z sypialni. Travis odnalazł go przy innym oknie, w ciemnym salonie.

Kleknawszy obok psa, położył dłoń na jego szerokim karku i powiedział:

-O co chodzi? Dowiem się wreszcie?

Einstein przytknął nos do szyby i zapiszczał nerwowo.

Travis nie mógł dojrzec niczego podejrzanego ani na trawniku przed domem, ani na samej ulicy. Potem przyszła mu do głowy pewna myśl.  
- Martwisz się stworzeniem, które gonilo cie rano w lesie? Pies spojrzał na niego poważnie.

-Co też to mogło być? - zastanawiał się głośno Travis. Einstein zapiszczał i wyraźnie zadrzał.

Przypominając sobie ten paralizujący strach, jaki ogarnął retrievera i jego samego u podnoża gór Santa Ana, owo niesamowite uczucie, że przesładuje ich coś nadnaturalnego, Travis zadrzał również. Wyrzwał przez okno na spowity mrokiem świat. W mdłym świetle najbliższej lampy ulicznej czarnymi strzepiastymi plamami rysowały się liście palm daktylowych. Kapryśny wiatr podrywał z chodnika w górę małe wiry kurzu, liści i drobnych smieci, pozwalając od czasu do czasu opadnąć im na ziemię tylko po to, by po kilku sekundach ponownie poderwać je znowu w powietrze. Samotna cma uderzyła miękko w szybę na wprost twarzy Trávisa, biorąc omyłkowo za płomień odbicie księżycy lub latarni.

-Martwisz się, że wciąż cie ściga? Pies cicho parsknął.

-Wiesz, to chyba niemożliwe. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak daleko odjechalismy na północ. My mieliśmy samochód, a to stworzenie, jeśli by chciało podążyć za nami, musiałoby pokonać tę odległość na własnych nogach. Żaden stwor nie potrafiłby tego dokonać. Cokolwiek to było, zostało daleko za nami, Einstein, hen w Orange County, i na dodatek nie wie zupełnie, gdzie nas szukać. Nie musisz już się więcej nim przejmować. Rozumiesz?

Einstein tracił nosem, a następnie polizał dłoń Trávisa, jakby chciał w ten sposób wyrazić mu swoją wdzięczność. Zaraz jednak wrócił do okna i cichutko zapiszczał.

Travis musiał zaciągnąć go do sypialni, gdzie z kolei pies zaprzagnął położyć się na łóżku obok swego pana, na co Travis licząc, że uspokoi w ten sposób czworonoga, w końcu przystał.

Na strychu szeptał i poje kiwał wiatr.

Od czasu do czasu dawalo sie slyszec jakies skrzypienie, jak to zawsze bywa w pograzonym w nocnej ciszy domu.

Z pomrukiem silnika ulica przemknal samochod.

Wyczerpany przezyciami minionego dnia Travis wktotce ponownie zapadl w sen.

Ocknal sie o swicie i ujrzal warujacego przy oknie Einsteina.

Wymamrotal imie retrievera, znuzonym ruchem poklepal posciel, lecz Einstein nie usluchal, a Travis po chwili usnal.

#### IV

##### 1

Nastepnego dnia, po spotkaniu z Artem Streckiem, Nora Devon wybrala sie na dlugi spacer, zamierzajac zwiedzic te czesci miasta, ktorych nigdy przedtem nie widziala. Dopoki zyla ciotka Violet, wspolnie odbywaly krotkie przechadzki raz w tygodniu. Po smierci ciotki Nora nadal korzystala ze spacerow, choc nie tak czesto, a przy tym nigdy nie oddalala sie bardziej niz na jakies szesc lub osiem przecznic od domu. Dzisiaj zawedruje znacznie dalej. Mial to byc jej pierwszy drobny krok na dlugiej drodze do wolnosci i odzyskania szacunku wobec siebie samej. Zanim opuscila dom, zastanawiala sie przez chwile, czy nie powinna zjesc lekkiego lunchu w ktorejs z napotkanych po drodze restauracji. Nigdy dotychczas nie byla w restauracji. Na mysl o tym, ze czeka ja rozmowa z kelnerem i posilek w otoczeniu nieznanym ludzi, ogarnelo ja zniechecenie. Zapakowala do niewielkiej papierowej torby jablko, pomarancze oraz dwa ciastka z maki owsianej. Zje lunch samotnie w jakimś parku na lawce. Juz nawet to bedzie dla niej wyczynem. Nalezy podazac do przodu, ale nie za szybko, krok po kroku.

Niebo było czyste, powietrze ciepłe. Pokryte wiosenna zielenia drzewa wyglądały niezwykle świeżo, falowały łagodnie, poruszane wiatrem. Przechodząc obok starannie utrzymanych domów, reprezentujących w większości styl hiszpański, Nora zaglądała z ciekawością do mijanych okien i drzwi, chcąc się czegoś dowiedzieć o ludziach, którzy za nimi mieszkali. Czy byli szczęśliwi? Smutni? Zakochani? Jaka muzyka, jakie książki lubili? Co jedli? O czym myśleli w tej właśnie chwili - o wakacjach w egzotycznych krainach czy o sztuce, na którą wybierali się wieczorem do teatru?

Nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiała, ponieważ była pewna, iż los nigdy nie zetknie jej z tymi ludźmi. Podobne rozważania byłyby tylko stratą czasu. Ale teraz...

Gdy spotykała innych przechodniów, pochylała nisko głowę i odwracała twarz, jak to zawsze czyniła, po pewnym czasie jednak nabrała odwagi i zaczęła przyglądać się nadchodzącym z przeciwka ludziom. Ze zdumieniem stwierdziła wówczas, że wielu z nich witało ją uśmiechem i głośnym "czesc". W pewnym momencie z jeszcze większym zdumieniem zdała sobie sprawę, iż odpowiada na te pozdrowienia.

Przystanęła przed gmachem sadu i przez chwilę podziwiała kwitnące żółte juki oraz obsypane czerwonym kwieciem galezie bugenwilli, która piała się po ozdobnej, kutej w żelazie kracie, zabezpieczającej jedno z wysokich okien.

Przechodząc obok kościoła misyjnego Santa Barbara, zbudowanego w roku 1815, zatrzymała się u podnoża frontowych schodów i z zachwytem oglądała wspaniałą fasadę tej starej świątyni. Obejrzała dziedziniec ze słynnym Świętym Ogrodem, a potem wspierała się na zachodnią dzwonnice.

Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, dlaczego autorzy wielu książek nazywali Santa Barbara jednym z najpiękniejszych zakątków na ziemi. Spędziła tu niemal całe swoje życie, ponieważ jednak



najczesciej przebywala w domu razem z ciotka Violet, a wychodzac na zewnatrz widziala niewiele wiecej niz wlasne buty, dzis ogladala miasto wlasciwie po raz pierwszy. To, co ujrzala, wzбудzalo w niej zachwyty i przerazalo ja zarazem.

Okolo pierwszej dotarla do parku Alameda, gdzie wybrala sobie lawke w poblizu trzech poteznych palm daktylowych i z widokiem na staw. Bolaly ja stopy, lecz nie zamierzala wracac wczesnie do domu. Otworzyła papierowa torbe i zabrala sie do spozywania lunchu. Zaczela od zoltego jablka. Jeszcze nigdy nic jej tak nie smakowalo. Byla glodna, wiec rownie szybko uporala sie z pomarancza. Wrzucila kawalki skorki do torby i zaczela wlasnie jesc pierwsze ciastko, gdy tuz przy niej usiadl nagle Art Streck.

-Witaj, slicznotko.

Mial na sobie jedynie niebieskie szorty, sportowe buty oraz grube, biale sportowe skarpety. Widac bylo jednak, ze wcale nie biegal, gdyz na jego ciecie nie dostrzegla potu. Byl opalony na braz, a pod gladka skora prezyly sie wezly nadmiernie rozwinietych miesni. Ubral sie tak specjalnie, zeby zademonstrowac swe meskie przymioty, wiec Nora natychmiast odwrocila wzrok.

-Zawstydzona? - zapytal.

Nie mogla nic odpowiedziec, poniewaz w ustach uwiazl jej kawalek ciastka. Calá slina gdzies nagle odplynela z jej ust, wiec bala sie zakrztusic przy przelykaniu, a nie wypadalo jej po prostu go wypluc.

-Moja slodka, niesmiala Nora.

Spuscila oczy i spostrzegla, ze jej rece gwałtownie drza. Spomiedzy palcow prawej dloni sypaly sie okruchy rozgniatanego ciastka i spadaly na chodnik u jej stop.

Mowila sobie, ze wybiera sie na calodzienny spacer, gdyz chce w ten sposob uczynic pierwszy krok na drodze ku wolnosci. Teraz jednak

musiała przyznać, iż istniał jeszcze inny powód, który skłonił ją do wyjścia z domu. Chciała uniknąć natarczywości Strecka. Biała się zostać w domu, biała się, że Streck będzie bez przerwy dzwonił. A tymczasem znalazł ją także i tutaj, na otwartej przestrzeni, gdzie nie chroniły jej zamknięte okna i drzwi, a to było gorsze niż telefony, bez porównania gorsze.

-Popatrz na mnie, Noro.

-Nie.

-Popatrz.

Wypuściła z dłoni resztki ciastka.

Streck ujął jej lewą rękę. Próbowala stawiać opór, lecz wzmocnił uchwyt niemal nie miażdżąc kości palców. Poddawała się, a on położył jej dłoń na swoim nagim udzie. Ciało miało twarde, gorące.

Zoładek podszedł jej do gardła, serce zaczęło tłuc jak szalone. Nie wiedziała, czy najpierw zwymiotuje, czy straci przytomność.

Wodząc jej ręką po swym udzie, powiedział:

-Jestem tym, czego ci potrzeba, słodczyno. Umieję się toba zaopiekować.

Kawałek placka z owsianej maki zatkał jej usta tak skutecznie, jakby był nasaczonym klejem tamponem. Nadal siedząc ze spuszczonej głowy, rozejrzała się dyskretnie dookoła. Miała nadzieję, że dojrzy kogoś, do kogo mogłaby się zwrócić po pomoc. Niestety, dostrzegła jedynie dwie młode matki z dziećmi, lecz nawet one znajdowały się zbyt daleko.

Przeniosłszy jej dłoń z uda na swoją nagą pierś Streck powiedział:

-Miła była dzisiejsza przechadzka? Kosciół sprawia niezapomniane

wrażenie, co? A kwitnace juki przed sadem, czyz nie sa piekne?

Zadal jej jeszcze pare pytan tym swoim chlodnym, pelnym zadowolenia z siebie glosem, zanim zorientowala sie, ze musial ja sledzic od samego rana. Nie zauwazyla go wczesniej, ale z pewnoscia szedl za nia krok w krok, gdyz znal doskonale trase jej wedrowki. Rozwscieczyl to ja i przestraszylo bardziej niz wszystko, co do tej pory Streck uczynil.

Oddychala szybko i gleboko, a mimo to miala wrazenie, ze brakuje jej powietrza. Dzwonilo jej w uszach, lecz kazde wypowiedane przez niego slowo slyszala zdumiewajaco wyraznie. Chociaz miala ochote rzucic sie na niego i wydrapac mu oczy, siedziala jak sparalizowana, nie umiejac przewyciezyc swego bezwladu, rozdarta pomiedzy wsciekloscia a przerazeniem. Chcialo jej sie wyc z rozpacz.

-A teraz, skoro juz masz za soba piekny spacer, lunch w parku i jestes zrelaksowana, czy wiesz, co powinnas zrobic? Czy wiesz, co uczyni ten dzien cudownym, slicznotko? Naprawde wyjatkowym? Wsiadziemy do mego samochodu, wrocimy do ciebie, wejdziemy na gore do twojej zoltej sypialni i polozymy sie do lozka pod wspartym na czterech slupkach baldachimem...

A wiec byl w jej sypialni! Musial to zrobic wczoraj. Zamiast naprawiac telewizor w salonie, dran zakradl sie na gore, wtargnal do jej sanktuarium, grzebal w jej rzeczach.

...tego wielkiego, starego lozka, a potem cie rozbiore, kotku, i bedziemy sie pieprzyc...

Nora nie umialaby wyjasnic, czemu nalezalo przypisac ten nagly przyplyw odwagi; czy chodzilo o to, ze ow mezczyzna zbezczescil jej sanktuarium, czy tez o to, iz po raz pierwszy w jej obecności ktos mowil takie plugastwa. Moze oba te fakty wywolaly jej reakcje. W kazdym razie uniosla glowe, zmierzyla go ostrym spojrzeniem, po czym plunela mu nie przelknieta papka prosto w twarz. Pasemka sliny i wilgotne okruchy ciastka przylgnelly do prawego policzka Strecka, do

nosa, zalepiły mu także prawe oko. Ujrzawszy błysk gniewu w jego oczach i wykrzywiona złością twarz, Nora przeraziła się tego, co zrobiła, równocześnie jednak poczuła dumę; udało się jej przezwyciężyć psychiczny paraliż, chociaż mogła za to drogo zapłacić, chociaż Streck mógł się srogo zemścić.

I rzeczywiście się zemścił. Szybko, brutalnie. Ciągłe jeszcze trzymał jej lewą dłoń w swojej dłoni, nie pozwalając się jej wyrwać. Teraz wzmocnił uścisk, omal nie łamać jej kości. To strasznie bolało, o Jezus, jak bolało, postanowiła jednak nie dawać mu satysfakcji i stłumiła krzyk. Postanowiła, że nie będzie płakać ani błagać o łaskę, zacisnęła zęby i cierpiała w milczeniu. Pot wystąpił jej na czoło, przez chwilę myślała, że zemdleje. Ale gorsze niż ból było bezlitosne, lodowate spojrzenie błękitnych oczu Strecka. Sciskając jej palce w dłoni równie bezwzględnie miażdżył ją wzrokiem. Usiłował ją oniesmielić i zastraszyć, i - na Boga - trzeba przyznać, że mu się to udało, ponieważ w jego oczach malowało się teraz szaleństwo.

Gdy dostrzegł rozpacz w jej wzroku, co wyraźnie sprawiło mu większą przyjemność niż ta, która przyniosłoby krzyk bólu złuszczył uścisk, lecz nie oswobodził ręki do końca. Powiedział: - Zapłacisz za to, że plunęłaś mi w twarz. A płacić będziesz bardzo zadowolona.

-Poskarżę się twemu szefowi i wyleją cię z roboty - powiedziała bez przekonania.

Streck tylko się uśmiechnął. Dziwiła się bardzo, że nie zadał sobie trudu, by zetrzeć kawałki ciastka z twarzy, szybko jednak domyśliła się przyczyny: zamierzał zmusić ją, by to zrobiła sama.

-Wyleją mnie z roboty? Och, sam zrezygnowałem z pracy w Wadiow TV. Zwolniłem się wczoraj po południu, żeby mieć więcej czasu dla ciebie, Noro.

Spuściła oczy. Nie potrafiła ukryć strachu. Drżała coraz mocniej i miała wrażenie, że zaraz zacznie dzwonić jej zęby.

-Nigdy nie pracuje zbyt długo w jednym miejscu. Mezczyzna taki jak ja, ktorego rozsadza energia, musi byc w ciaglym ruchu. Poza tym zycie trwa zbyt krotko, by marnowac je na prace, nie sadzisz? Totez biore jakas posade tylko na pewien czas, zeby zaoszczedzic troche pieniedzy, a potem zyje na luzie, jak dlugo sie da. No i niekiedy spotykam dziewczyne, taka jak ty, ktora rozpaczliwie mnie potrzebuje, ktora marzy o mezczyźnie podobnym do mnie, wiec spiesze jej z pomocą.

Kopnij go, ugryz, wydrap oczy, powtarzala w duchu. Nie zrobila niczego.

W rece odzywala sie tepy bol, przypominajac goracym pulsowaniem o doznanym niedawno cierpieniu.

Glos Strecka zmienil sie, brzmial teraz miękko, uspokajajaco.

-Tobie tez pomoge, Noro. Za chwile stad wyjdziemy. Bedzie swietnie. Jesteś nieco zdenerwowana z mego powodu, jasne, moze to zrozumiec, naprawde. Ale uwierz mi, wlasnie tego ci potrzeba, dziewczyno. Twoje zycie wywroci sie do gory nogami, nigdy juz nie wroci to, co bylo przedtem, a to jest najlepsza rzecz, jaka mogla cie spotkac.

2

Einstein byl zachwycony parkiem. Gdy tylko Travis odpial smycz, retriever podbiegl do najblizszego kwietnika, na ktorym pysznily sie okazale zolte nagietki, otoczone pierscieniem purpurowych prymulek i, wyraznie zafascynowany, zaczal krazyc wokol niego. Potem zainteresowala go rabata pozno kwitnacych jaskrow i niecierpkow. Jego ogon poruszal sie coraz szybciej przy kazdym kolejnym odkryciu. Podobno psy odbieraja wszystkie obrazy wylicznie w czerni i bieli, jednakze Travis nie bylby nawet w najmniejszym stopniu zaskoczony, gdyby sie okazalo, ze Einstein potrafi rozrozniac kolory nie gorzej niz on sam. Pies obwachiwal doslownie wszystko - kwiaty, krzewy, drzewa, kamienie, kosze na smieci, pogniecione odpadki,

obudowe fontanny oraz każdy kawałek ziemi, po której się poruszał, znajdując tam zapewne "zapachowe obrazy" psów i ludzi, którzy przechodzili wtedy przed nim, równie dla niego przejrzyste jak fotografie dla człowieka.

Przez cały ranek i wczesne popołudnie retriever nie czynił niczego niezwykłego. Zachowywał się w stylu, jestem-tylko-zwyczajnym-glupim-psy i robił to tak przekonująco, iż Travis powziął podejrzenie, że nadzwyczajna, niemal dorównująca ludzkiej inteligencji zwierzęcia ujawnia się jedynie w krótkich przeblaskach. Niemniej jednak, po tym wszystkim, co wydarzyło się wczoraj, niezwykłość Einsteina była faktem bezspornym.

Okrazali właśnie staw, gdy nagle Einstein zeszywniał, unosił głowę, wyprostował oklapnięte uszy, na ile to było możliwe i, cały napięty, utkwil wzrok w parze siedzącej na oddalonej od nich o jakieś szesćdziesiąt stop parkowej ławce. Mężczyzna ubrany był w szorty, a kobieta miała na sobie raczej mało efektowną, workowatą szarą sukienkę. Trzymali się za ręce i wyglądało na to, że pograzeni są w zajmującej rozmowie.

Travis zamierzał właśnie odwrócić się od nich i ruszyć w głąb kuszącego świeżym zieleniem parku, tak aby nie zakłócać intymnego nastroju siedzącej na ławce pary, gdy Einstein ostro szczechnął i popędził prosto do ławki.

-Einstein! Stój! Wracaj natychmiast!

Pies zupełnie zignorował to wezwanie, zbliżył się do zakochanych i zaczął gwałtownie ujadac.

Zanim Travis dobiegł do retrievera, chłopak w szortach zdążył się już poderwać na nogi. Unosił w obronnym geście zacisnięte w piaski dłonie i ostrożnie krok po kroku, oddalał się od ławki.

-Einstein!

Pies przestał szczekać, umknął Travisowi, zanim ten zdążył mu przypiąć smycz do obrozy, podbiegł do znieruchomiałej na ławce kobiety, po czym, zupełnie nieoczekiwanie, położył głowę na jej kolanach. Błyskawiczna zmiana z warczącej bestii w spragnione pieszczot zwierze domowe wprowadziła w zdumienie wszystkich troje.

-Przepraszam - powiedział Travis. - On nigdy...

-Na łaskę boską! - wykrzyknął facet w szortach - jak można puszczać luzem takiego psa!

-On nie jest groźny - tłumaczył się Travis. - On... - Gówno prawda - zaproponował biegacz, pryskając dookoła śliną. - Ten przeklęty dran chciał mnie ugryźć. Chce pan trafić do sądu czy jak?

-Nie mam pojęcia, co w niego...

-Zabierz go pan stąd - zazała chłopak.

Krecąc głowę z zakłopotaniem, Travis odwrócił się do Einsteina i stwierdził, że kobieta zdążyła tymczasem przywołać go na ławkę. Einstein siedział tuż obok niej, zaglądał jej w oczy, a ona nie tyle go głaskała, co mocno tuliła do piersi. Prawde mówiąc, w tym jej gestie było coś rozpaczliwego.

-Zabierz go pan stąd! - powtórzył z wściekłością sportowiec. Był wyższy, cięższy i mocniej zbudowany niż Travis. Zrobił parę kroków do przodu, po czym popatrzył z góry na Trávisa, próbując oniesmielić go swą posturą. Wyglądało na to, że przywykł przebijac się przez życie zachowując się agresywnie i stwarzając wrażenie, że jest niebezpiecznym osobnikiem, którym zresztą, w pewnym sensie, był chyba istotnie. Travis gardził takimi mężczyznami.

Einstein obrócił głowę, aby popatrzeć na biegacza, obnażył zęby i zawarczał złowieszczo.

-Posłuchaj, chłopie - rzucił tamten ze złością - jesteś głuchy czy co?

Juz ci mowilem, ze psa nalezy prowadzic na smyczy. Widze, ze trzymasz smycz w reku, wiec na co, do diabla, jeszcze czekasz?

Dopiero teraz do Trávisa dotarlo, ze cos tu bylo nie tak. Facet demonstrowal przesadna zlosc, tak jakby zostal przylapany na jakimś złym uczynku i teraz usilowal ukryc swa wine, atakujac gwałtownie goscia. Kobieta rowniez zachowywala sie dziwnie. Nie wypowiedziala do tej pory ani jednego slowa. Byla blada, a jej szczuple rece wyraznie drzaly. Sadtac jednak po sposobie, w jaki przywarla do psa, to nie Einstein doprowadzil ja do takiego stanu. Poza tym ludzie, ktorzy wybieraja sie razem do parku, nie ubieraja sie zazwyczaj w tak odmienne stroje. Widzial, ze dziewczyna spoglada co jakis czas ukradkowo, z przerazeniem na chlopaka w szortach, i pojal, iz tych dwoje nie przyszlo tu razem, ze mloda kobieta nie miala ochoty na towarzystwo wysportowanego osilka, ktory z kolei za wszelka cene staral sie cos ukryc.

-Prosze pani - spytal Travis - czy pani sie dobrze czuje?

-Oczywiscie, ze nie! - wykrzyknal biegacz. - Panski cholerny pies zaczal nas obszczekiwac i klapac zebami...

-Nie wyglada na to, ze boi sie go zbytnio teraz - odparl Travis, wytrzymujac spojrzanie nieznajomego.

Jego policzek oblepiony byl czymś, co wygladalo na kawalki pogryzionego placka. Travis dostrzegl torbe z ciastkami z owsianej maki na lawce obok dziewczyny; rozkruszone ciastko lezalo takze na ziemi. Co, u diabla, sie tutaj dzialo?

Biegacz jeszcze przez chwile mierzyl Trávisa wzrokiem, po czym znowu wystapil z pretensjami. Kiedy jednak popatrzyil na tulaca sie do Einsteina dziewczynie, doszedl do przekonania, ze jego swiadomie eksponowana wscieklosc jest juz teraz nie na miejscu. Powiedzial nadasanym tonem:

-No coz... tak czy inaczej, powinien pan czuwac nad zachowaniem tej



panskiej bestii.

-Och, nie sadze, aby w tej chwili komukolwiek przeszkadzal -  
zaoponowal Travis, zwijajac jednocześnie smycz. - Cos mu po prostu  
odbilo.

Wciaz jeszcze naburmuszony, lecz juz znacznie mniej pewny siebie,  
chlopak popatrzył na pieszczaca psa dziewczyny.

-Noro?

Nie odpowiedziala, cala uwage skupiajac na czworonogu, ktorego  
trzymala w ramionach.

-Zobaczymy sie pozniej - dodal po chwili, a nie uzyskawszy zadnej  
odpowiedzi, przeniosl spojrzenie na Travisa, zmruzył oczy i  
powiedzial: - Jesli ten pies rzuci sie na mnie...

-Nie zrobi tego - wpadl mu w slowo Travis. - Moze pan biec dalej.  
Nawet pana nie tknie.

Zmierzajac truchtem w strone najblizszego wyjscia z parku,  
meczyczna w szortach kilkakrotnie obejrzał sie za siebie. Potem  
zniknal.

Einstein pozostal na lawce. Polozył sie na brzuchu, glowe przytulil do  
piersi dziewczyny.

-Polubil pania od pierwszego wejrzenia - odezwal sie Travis. - To  
pewne.

Nie podnoszac oczu, gladzac jedna reka grzbiet Einsteina,  
powiedziala:

-To cudowny pies.

-Mam go dopiero od wczoraj. Dziewczyna milczala.

Usiadł na drugim koncu ławki, tak że Einstein znalazł się pomiędzy nimi.

-Nazywam się Travis.

Milcząc w dalszym ciągu, zaczęła drapać psa za uszami, na co zareagował pomrukiem zadowolenia.

-Travis Cornell - dodał po chwili.

Podniosła w końcu głowę i przyjrzała mu się uważnie.

-Nora Devon. - Miło mi pania poznać. Odpowiedziała nerwowym uśmiechem.

Chociaż jej proste włosy były byle jak uczesane, choć nie miała makijazu, prezentowała się bardzo atrakcyjnie. Ciemne, lśniące włosy, czysta skóra, szare oczy z plamkami zieleni, oczy, które zdawały się świecić w ostrym majowym słońcu.

Jak gdyby wyczuwając jego aprobatę, a zarazem bojąc się jej, natychmiast uciekła oczami w bok i ponownie opuszczała głowę.

-Panno Devon... czy coś się stało? Milczenie.

-Czy tamten mężczyzna... naprzykrzał się pani?

-Wszystko jest w porządku - wyszeptała.

Ze spuszczonej nisko głową, skulonymi ramionami, gnąc się pod wielotonowym ciężarem niesmiałości, wyglądała tak bezbronne, że Travis nie mógł tak po prostu wstać i odejść, zostawiając ją samą na samą z jakimiś problemami.

-Jeżeli tamten mężczyzna zachowywał się wobec pani niewłaściwie, to sadzę, że powinniśmy poszukać policjanta...

-Nie - odrzekła miękko, lecz zdecydowanie. Uwolniła się od karesów

Einsteina i wstała z ławki.

Pies natychmiast poszedł w jej ślady ani na chwilę nie spuszczał z niej zachwyconego spojrzenia.

Wstając również, Travis powiedział:

-Nie chce oczywiście się wtracać...

Odeszła pośpiesznie, kierując się do wyjścia, lecz inną ścieżką niż ta, którą wybrał przed chwilą nieznajomy biegacz.

Einstein popędził w ślad za nią, jednak na wezwanie Trávisa przystanął i niechętnie wrócił do pana.

Zafascynowany Travis śledził ją, dopóki nie zniknęła, zmartwiona, tajemnicza dziewczyna w szarej sukience, tak prostej i bezkształtnej jak stroje kobiet, które należały do sekt o surowych regułach, obowiązane są ubierać się w taki sposób, by nie budzić pokusy u mężczyzn.

On i Einstein poszli dalej w głąb parku. Później przenieśli się na plażę, gdzie retriever ze zdumieniem wpatrywał się w bezkres rozkolysanego morza i zalamujące się na piasku grzbiety spienionych fal. Co jakiś czas nieruchomiał na chwilę i w skupieniu podziwiał ocean, po czym zrywał się nagle, pedził przed siebie i szczęśliwy szalał na przybrzeżnych płytych. Kiedy wrócili do domu, Travis usiłował skierować uwagę Einsteina ku książkom, które tak bardzo go zainteresowały poprzedniego dnia. Sądził, że tym razem zdoła się dowiedzieć, czego pies w nich szukał. Ale Einstein obwachiwał obojętnie podsuwane pod nos tomy, a jedyną jego reakcją było ziewanie. W ciągu popołudnia zaskakująco często powracał ku niemu obraz Nory Devon. Ta kobieta nie musiała się ubierać w wyszukane stroje, by przyciągnąć uwagę mężczyzny. Z tą twarzą i tymi szarymi oczami z plamkami zieleni, nie musiała na pewno.

Po kilku zaledwie godzinach głębokiego snu Vince Nasco wsiadł wczesnym rankiem do samolotu lecącego do Acapulco w Meksyku. Wynajął pokój w zwróconym frontem ku morzu hotelu, Isniacym, lecz pozbawionym wyrazu wieżowcu ze szkła i betonu. Przebrał się w przewiewne białe buty, białe bawełniane spodnie oraz bladobłękitną koszulę i natychmiast wyruszył na poszukiwanie doktora Lawtona Hainesa. Haines spędzał w Acapulco urlop. Miał trzydzieści dziewięć lat, pięć stop i jedenaste cali wzrostu, ważył sto sześćdziesiąt funtów. Ze swymi niesfornymi ciemnobrazowymi włosami był ponoć podobny do Ala Pacina, słynny aktor nie nosił jednak na czole tak jak on czerwonego znamienia wielkości poldolarówki. Haines odwiedzał Acapulco przynajmniej dwa razy do roku i nieodmiennie zatrzymywał się w eleganckim Hotel Las Brisas, położonym na cyplu, zamykającym zatokę od wschodu. W porze lunchu często gościł w przylegającej do Hotel Caleta restauracji, która ceniła sobie ze względu na serwowane tam znakomite margaritas oraz widok roztaczający się stamtąd na Playa de Caleta.

O dwunastej dwadzieścia po południu Vince siedział w wyplatany krzesle, zaopatrzonym w wygodne żółto-zielone poduszki, przy stoliku obok okna w tej właśnie restauracji. Dostrzegł Hainesa, gdy tylko ten wszedł. Doktor również zajął stolik przy oknie, niezbyt daleko od Vince'a, lecz prawie go nie było widać spoza liści rosnącej w doniczce palmy. Zjadał krewetki, które popijał margaritas. Towarzyszyła mu oszalamiająca blondynka. Dziewczyna nosiła białe spodnie i pasiastą bluzkę o wesółych kolorach. Połowa znajdujących się na sali mężczyzn nie spuszczała z niej wzroku.

Vince doszedł do wniosku, że Haines bardziej niż Ala Pacina przypominał Dustina Hoffmana. Miał te same śmiałe rysy, zbliżony kształt nosa. W każdym razie wyglądał dokładnie tak, jak mu go opisano. Facet miał na sobie różowe bawełniane spodnie, bladżółtą koszulę, oraz białe sandały - typowy strój, jaki się spotyka w tropikalnych ośrodkach wypoczynkowych.

Vince zjadł lunch, złożony z zupy albondiga, enchiladas w salsa verde

i bezalkoholowej margarity, i widząc, że Haines wraz z blondynką zbierają się do wyjścia, szybko zapłacił rachunek.

Blondynka siadła za kierownicą czerwonego porsche, uruchomiła silnik i wóz zjechał z podjazdu na szosę. Vince podążył za nimi wynajętym fordem, który miał na liczniku mnóstwo przejechanych mil i grzechotał poluzowanymi częściami niby sekcja rytmiczna orkiestry mariachi. Na domiar złego zaskielający podłogę dywanik rozsiewał trudny do wytrzymania smród.

Przed Las Brisas blondynka wysadziła Hainesa na parking, lecz zanim odjechała, stali obok wozu przynajmniej z pięć minut, obmacując się nawzajem po tyłkach, całując się zawzięcie i zupełnie nie przejmując się tym, że ktoś mógł ich zobaczyć.

Vince doznał uczucia konsternacji. Uważał Hainesa za człowieka obdarzonego większym poczuciem przyzwoitości. Mimo wszystko miał on przecież doktorat. Ktoż miał stać na straży tradycyjnych wzorców zachowania, jeśli nie ludzie wykształceni? Czyż to nie oni uczyli na uniwersytetach dobrych manier i zasad moralnych? Nic dziwnego, że z roku na rok świat stawał się coraz bardziej prymitywny i brutalny.

Blondynka odjechała swoim porsche, Haines zaś przesiadł się do białego mercedesa 560 SL sports coupe. Z pewnością nie był to pojazd wynajęty i Vince bardzo chciałby wiedzieć, skąd doktor go wytrzasnął.

Przyjechali pod jakiś inny hotel, gdzie Vince wzorem Hainesa oddał samochód w ręce portiera, a sam, trzymając się blisko uczonego, przeszedł na drugą stronę holu. Zeszli na plażę i początkowo wyglądało na to, że czeka ich nieciekawý spacer brzegiem morza, wkrótce jednak doktor usiadł na piasku obok przepięknej meksykańskiej dziewczyny w kusym bikini. Miała ciemną skórę, boskie proporcje i wyglądała na młodszą o jakieś piętnaście lat od Hainesa. Z zamkniętymi oczami opalała się na leżaku. Doktor pocałował ją znienacka w szyję, lecz ona najwyraźniej go знаła, gdyż

ze smiechem wyciagnela ku niemu ramiona.

Vince pare razy przeszedl sie plaza tam i z powrotem, a nastepnie usiadl na piasku za plecami Hainesa i dziewczyny. Dzielila go od nich tylko jakas para plazowiczow, ale nie obawial sie wcale, ze Haines go spostrzeze. Doktor wydawal sie bez reszty pochloniety studiowaniem szczegolow kobiecej anatomii, a poza tym, pomimo swej postury, Vince Nasco obdarzony byl talentem wtapienia sie w tlo.

Nad wodami zatoki unosil sie na spadochronie jakis holowany przez motorowke turysta. Sloneczny blask, niczym rzesisty deszcz złotych dublonow, zalewal piasek i morze.

Po dwudziestu minutach Haines pocalowal dziewczynę w usta oraz odsłonięte stromizny piersi, po czym ruszył w stronę hotelu tą samą drogą, która przyszedł. Dziewczyna krzyknęła za nim:

-Dzisiaj o szostej!

-Bede na pewno! - odkrzyknal Haines.

Nastepnie Haines i Vince wybrali sie na mila przejazdke. Vince sadzil poczatkowo, ze Haines zmierza do jakiegos okreslonego celu, ale po pewnym czasie doszedl do wniosku, iz jada wzdluz wybrzeza tylko po to, by podziwiac wspanialy krajobraz. Mineli Revolcadero Beach i podazali dalej w nie zmienionym szyku, przodem Haines w bialym mercedesie, a daleko za nim Vince w swoim fordzie.

W koncu dotarli do punktu widokowego. Haines zjechal na pobocze i zaparkowal obok wozu, z ktorego wlasnie wysiadala czwórka krzykliwie ubranych turystow. Vince zatrzymal sie rowniez, a nastepnie podszedl do stalowej barierki ustawionej na krawedzi urwiska. Roztaczal sie stamtad naprawde wspanialy widok na strome wybrzeze oceanu i olbrzymie fale z grzmotem lamiace sie na skalach, polozonych o dobre sto stop nizej.

Turysci w teczowych koszulkach i pasiastych spodenkach przestali w

koncu wydawac okrzyki zachwyty, zrobili ostatnie zdjecia, rzucili na ziemie ostatnie smieci i odjechali. Na skalnej platformie pozostali tylko oni dwaj: Vince i Haines. Jedynym samochodem na szosie byl zblizajacy sie w ich strone czarny trans am. Vince postanowil, ze zaczeka, az samochod przejedzie, a wtedy zalatwi Hainesa przez zaskoczenie.

Tymczasem trans am zwolnil, zjechal na pobocze i zaparkowal obok mercedesa Vince'a. Wsiadla z niego wspaniala dziewczyna, liczaca sobie chyba okolo dwudziestu pieciu lat, i szybkim krokiem podeszla do Hainesa. Wygladala na Meksykanke, ale z domieszką chinskiej krwi, która nadawala jej urodzie odcien bardzo egzotyczny. Nosila biala koszulke, takiez szorty i miala najlepsze nogi, jakie Vince kiedykolwiek widzial. Przeszli z Hainesem wzdluz barierki, a znalazlszy sie w odleglosci okolo czterdziestu stop od Vince'a, zwarli sie w uscisku, który przyprawil go o rumience.

Przez kilka nastepnych minut Vince przesuwal sie powoli w ich strone. Co jakis czas wychylal sie niebezpiecznie poza barierke i spogladal w dol, gdzie fale, zderzajac sie ze skalami, wyrzucaly fontanny wody w gore, na wysokosc dwudziestu stop. Gdy nadciagala szczegolnie duza fala, wykrzykiwal: - O kurcze! - chcac wywolac wrazenie, iz zbliza sie w kierunku pochlonietej pieszczotami pary na zasadzie czystego przypadku.

Chociaz stali odwroceni plecami, strzepki rozmowy docieraly do jego uszu. Kobieta niepokoila sie, czy jej maz nie wie przypadkiem o przyjeździe Hainesa, Haines zas nalegal, aby zdecydowala sie na spedzenie z nim jutrzejszej nocy. Ten facet byl doprawdy bezwstydnym.

Szosa ponownie opustoszala. Vince powzial decyzje. Wiedzial, ze mogla to byc ostatnia okazja, by dopasc Hainesa. Dwoma susami przebyl kilka stop, jakie dzielily go jeszcze od dziewczyny, chwycil ja za szyje i pasek szortow, uniosl nad ziemie i przerzucil poza barierke. Z krzykiem poleciala ku sterczacym w dole skalom.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Haines nie zdążył nawet zareagować. Gdy tylko ciało kobiety zawisło w powietrzu, Vince odwrócił się do zaskoczonego doktora i dwukrotnie uderzył go w twarz, rozcinając mu wargi, łamiąc nos i pozbawiając go przytomności.

Kiedy Haines osunął się na ziemię, ciało kobiety uderzyło o skały w dole, a Vince nawet z takiej odległości otrzymał od niej Dar:

Ssssnap.

Miał ochotę wychylić się poza barierkę i popatrzeć dłużej na jej roztrzaskane ciało, lecz, niestety, czas naglił. W każdej chwili na szosie mógł pokazać się jakiś samochód.

Wciągnął Hainesa do forda, po czym ułożył jego ciało na przednim siedzeniu i oparł o drzwi, tak aby wyglądało to na spokojną drzemkę. Upewnił się, że głowa mężczyzny jest odchylona do tyłu, dzięki czemu krew z rozbitego nosa bez przeszkód mogła spływać do gardła.

Po jakimś czasie Vince opuścił biegnącą wzdłuż wybrzeża autostradę, zbyt kręta i dość kiepsko jak na trasę tej rangi utrzymaną. Jechał teraz kolejnymi, coraz węższymi i coraz bardziej wyboistymi drogami. Kiedy zagłębił się w tropikalnym lesie, skończyły się zwirowki, a zaczęły drogi gruntowe, aż wreszcie któraś z nich urwała się ślepo przy scianie bujnej zieleni. Dwukrotnie w czasie jazdy Haines zaczynał dochodzić do siebie, lecz Vince uciszał go skutecznie tłukąc głową doktora o deskę rozdzielczą wozu.

Zatrzymawszy samochód, wyciągnął nieprzytomnego naukowca na zewnątrz, a następnie powlokł go w głąb lasu. Po kilkunastu minutach dotarł do cienistej, porosłej gęstym mchem polanki. Ptaki na pobliskich drzewach umilkły nagle, a z dołu dobiegł Vince'a szelest umykających przez poszycie nieznanymi zwierząt. Spod jego nog na wszystkie strony rozbiegały się najrozmaitsze owady, a wśród nich żuki dorównujące rozmiarami jego pięści; po pniach błyskawicznie płyły się w górę wielobarwne jaszczurki.



Nasco pozostawił tu ciało nieprzytomnego naukowca, a sam wrócił do forda po zestaw niezbędnego przy przesłuchaniu sprzętu. Paczkę strzykawek wraz z dwiema fiolkami pentothalu sodu. Skorzana palke obciążona ołowianym srutem. Poreczny aparat do elektrowstrzasów, przypominający wyglądem zwykłego pilota telewizyjnego. A także zaopatrzony w drewniana rekojesc korkociąg.

Gdy Vince wrócił na polane, Lawton Haines wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Leżał na ziemi, ze świstem oddychając przez złamany nos.

Haines powinien być umrzeć dwadzieścia cztery godziny temu. Ludzie, którzy zlecieli wczoraj Vince'owi realizację trzech zamówień, liczyli na to, że skorzystają z usług innego zawodowca, mieszkającego w Acapulco i działającego na obszarze Meksyku. Niestety człowiek ten zginał wczoraj rano po odebraniu długo oczekiwanej przesyłki z Londynu od firmy Fortnum and Mason, która to przesyłka zamiast wyborowych galaretek i marmoladek, nie wiedzieć dlaczego zawierała dwa funty plastiku. Nie mając wyboru, ekipa z Los Angeles zleciła te roboty Vince'owi, chociaż zdawano sobie sprawę, że przepracowanie może pociągnąć za sobą niebezpieczne skutki. Zgodził się chętnie, ponieważ był pewien, że otrzymane zadanie pozostawało w ścisłym związku ze sprawą Laboratoriów Banodyne i mogło mu dostarczyć więcej szczegółów na temat Projektu Francisa.

Rozejrzawszy się po najbliższej okolicy, Vince znalazł powalone drzewo, z którego udało mu się oderwać zakrzywiony kawał grubej kory, z powodzeniem mogący spełniać rolę czerpaka. Parę kroków dalej natknął się na upstrzony klakami alg strumyk i nabrał do swego naczynia niemal kwartę wody. Trudno byłoby powiedzieć, jakie egzotyczne bakterie mogły się tam legnąć, lecz oczywiście w obecnej sytuacji nie miało to dla zdrowia Hainesa żadnego znaczenia.

Vince chlusnął przyniesioną wodą uczonemu w twarz. Po minucie wrócił z drugą porcją, którą na siłę wlał nieprzytomnemu do gardła.

Zaczelo sie krztuszenie, prychnanie, plucie, doszlo nawet do wymiotow, ale w koncu Haines oprzytomnial na tyle, ze pojmowal, co sie do niego mowilo, i byl w stanie zrozumiale odpowiadac.

Unoszac kolejno skorzana palke, aparat do wstrzasow oraz korkociag, Vince wytlumaczyl, w jaki sposob sie nimi posluzy, jezeli Haines nie wykaze checi do wspolpracy. Doktor - ktory, jak sie okazalo, byl specjalista w zakresie zagadnien fizjologii i funkcjonowania mozgu i odznaczal sie wieksza inteligencja niz patriotyzmem - bardzo obszernie przedstawil szczegoly scisle tajnych, zwiazanych z obronoscia kraju badan, prowadzonych przy jego udziale w Banodyne.

Kiedy Haines przysial, iz nie wie niczego wiecej, Vince przygotowal pentothal sodu. Wciagajac lekarstwo do strzykawki, odezwal sie poufnym tonem: - Doktorze, jak pan to robi z tymi kobietami?

Lezac na plecach na grubym mchu, z ramionami wyprostowanymi wzdluz bokow, dokladnie tak, jak zyczyl sobie tego Vince, Haines nie potrafil dostosowac sie do tak szybkiej zmiany tematu. Zamrugal oczami, nie bardzo wiedzac, o co chodzi.

-Sledzilem pana od lunchu, wiec wiem, ze w Acapulco ma pan trzy kochanki...

-Cztery - poprawil go Haines. Pomimo przerazenia, na jego twarzy pojawil sie wyraz dumy. - Mercedes, ktorym jezdze, nalezy do Giselle, najslodszej malej...

-Uzywa pan samochodu jednej kobiety, zeby zdradzac ja z trzema nastepnymi?

Haines skinal glowa i sprobował sie usmiechnac. Wyszedl z tego jednak tylko grymas, bo kiedy poruszył mięśniami, przez rozbity nos przebiegły nowe fale bólu. - Zawsze... tak postępowałem z damami.

-Na miłość boską! - wykrzyknął przerażony Vince. - Czy nie dotarło do

pana, że to już nie lata sześćdziesiąte ani siedemdziesiąte? Wolna miłość umarła. Miłość ma teraz swoją cenę, a cena ta stale rośnie. Nie słyszał pan o chorobach skóry, o AIDS, różnych innych sprawach? - Wstrzykując pentothal, dodał: - Musi pan być nosicielem wszystkich znanych obecnie chorób wenerycznych.

Haines przez chwilę wpatrywał się w niego w osłupieniu, a zaraz potem zapadł w głęboki sen. Znajdując się pod wpływem narkotyku potwierdził wszystko to, co powiedział dotychczas na temat Banodyne i Projektu Francisa.

Kiedy środek przestał działać, Vince użył aparatu do wstrząsów. Bardzo go bawiło działanie tego przyrządu, więc przerwał dopiero wówczas, gdy rozładowały się baterie. Naukowiec skrecał się i wierzgał niczym żuk przyszpilony patykiem do ziemi. Jego plecy wygięły się w łuk, piętami zaś, dłońmi i głową wyrył we mchu głębokie bruzdy.

Gdy tylko aparat przestał działać, Vince ogłuszył Hainesa skorzaną pałką, a potem zabił go, wkrecając korkociąg w przestrzeń pomiędzy żebrami i pogrążając go w bijącym sercu.

Ssssnap.

Nad lasem wokół zawisła grobowa cisza, lecz Vince czuł na sobie spojrzenia tysięcy oczu dzikich stworzeń. Był głęboko przekonany, że ukryci obserwatorzy aprobują to, co zrobił z doktorem, gdyż jego styl życia stanowił obrazę dla naturalnego porządku rzeczy, porządku, któremu podlegali wszyscy mieszkańcy dżungli.

Patrzac na Hainesa powiedział: dziękuję, ale go nie pocałował. Choćby tylko w czoło. Energia życiowa tego człowieka miała taką samą witalną wartość jak energia innych ludzi, lecz jego ciało i dusza były zbrukane.

Po wyjściu z parku Nora poszła prosto do domu. Orzeźwiający nastrój przygody i poczucie wolności, które towarzyszyły jej rankiem i wczesnym popołudniem, zniknęły bez śladu. Streck zepsuł jej cały dzień. Zamknawszy za sobą drzwi wejściowe, przekreciła klucz w zamku, zatrzasknęła zasuwę, a dodatkowo założyła metalowy łańcuch. Następnie przeszła przez wszystkie pokoje na dole, starannie zamykając okna i zaciągając zasłony, tak by uniemożliwić Streckowi zagładanie do środka, jeśli nadal będzie się czaił w pobliżu. W rezultacie w domu zrobiło się nieznosnie ciemno, musiała więc pozapalać wszędzie światło. Gdy dotarła do kuchni, zamknęła od wewnątrz okiennice i sprawdziła zamek w tylnych drzwiach wyjściowych.

Spotkanie ze Streckiem nie tylko nappełniło ją przerażeniem, czuła się po nim jak oblepiona warstwą czegoś lepkiego i brudnego. Bardziej niż cokolwiek pragnęła teraz długiej, gorącej kąpieli.

Ale zupełnie nieoczekiwanie poczuła nagle, że jej nogi stały się słabe i drżące, a w chwili później doznała zawrotu głowy. Musiała się uchwycić kuchennego stołu, żeby nie upaść. Wiedziała, że w takim stanie nie zdoła wejść na górę, usiadła więc przy stole, ułożyła ramiona na blacie, wsparła na nich głowę i zamknawszy oczy czekała, aż kryzys minie.

Gdy po chwili poczuła się już lepiej, przypomniała sobie o butelce brandy stojącej w szafce obok lodówki. Pomyslała, że drink mógłby ją uspokoić. Kupiła tę brandy - Remy Martin - dopiero po śmierci Violet, gdyż ciotka nie uznawała żadnych trunków mocniejszych niż częściowo sfermentowany jablecznik. Traktując to jako akt buntu, Nora nalala sobie szklaneczkę alkoholu zaraz po powrocie z pogrzebu. Brandy zupełnie jej nie smakowała, więc prawie wszystko, cała zawartość, wylała do zlewu. Teraz wszakże doszła do wniosku, że jeden głębszy dobrze jej zrobi.

Najpierw jednak podeszła do kranu i umyła ręce w wodzie tak gorącej, jak tylko mogła wytrzymać. Posługując się mydłem, a także płynem do

mycia naczyń, usiłowała zetrzeć ze skóry wszelkie ślady po Strecku. Kiedy skończyła, jej dłonie były czerwone i szorstkie. Wyjęła z szafki butelkę i szklaneczkę i postawiła je na stole. W wielu spośród przeczytanych przez nią powieści bohaterowie zasiadali do butelki przygnieci brzemieniem rozpaczy, usiłując zawartością tej pierwszej splukać jakos z siebie tę drugą. Czasami im się to udawało, więc może ona także będzie miała szczęście. Gdyby brandy mogła poprawić jej samopoczucie chociaż w niewielkim stopniu, gotowa była wypić całą tę cholerną butelkę.

Ale nie urodziła się na pijaczkę. Minęły dwie godziny, nim uporowała się do końca z jedną szklaneczką remy martin.

Gdy usiłowała uwolnić się od myśli o Strecku, opadały ją od razu dreczące wspomnienia o ciotce Violet, a kiedy oswobodziła się od nich, przypominał się jej znowu Streck. Gdy zaś jakimś cudem uwolniła się od myśli o nich obojgu, natychmiast stanął jej przed oczami Travis Cornell, mężczyzna z parku, a jego obraz również nie podziałal na nią kojąco. Co prawda wyglądał sympatycznie - grzeczny, uprzejmy, troskliwy - no i pomógł jej pozbyć się Strecka, lecz prawdopodobnie wcale nie był od niego lepszy. Gdyby tylko mu na to pozwoliła, próbowałby ją zapewne wykorzystać, podobnie jak usiłował to uczynić Streck. Ciotka Violet była tyranem, osoba nie w pełni normalna i chora, niemniej jednak Nora coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to, co tamta jej mówiła o niebezpieczeństwach płynących z kontaktów z innymi ludźmi, było prawdą.

Ach, ale za to pies. Tak, to była zupełnie inna historia. Wcale się go nie bała, nawet wówczas, gdy zajądło szczekając, pedził ku parkowej ławce. Jakimś sposobem wiedziała, że retriever - właściciel nazywał go Einstein - czekał nie na nią, że to tylko Streck budził jego gniew. Przytulona do Einsteina, czuła się dziwnie bezpiecznie, miała pewność, że nic nie może jej zagrozić, choć tuż obok, spoglądając na nią groźnie z góry, stał Streck.

Może powinna sobie kupić psa. Ciotce Violet napelniała odrazą już

sama mysl o obecności w domu jakiegokolwiek zwierzęcia. Ale Violet umarła i jeśli teraz Nora zapragnęła mieć własnego psa, nikt nie mógł jej tego zabronić.

Tyle tylko, że...

Miała dziwne wrażenie, iż żaden inny pies nie da jej tak głębokiego poczucia bezpieczeństwa jak to, którego doznała, gdy Einstein usiadł blisko, tuż przy niej. Od pierwszej chwili pomiędzy nią a retrieverem wytworzył się jakiś niezwykle związek.

Mogło być oczywiście i tak, że przypisywała psu cechy, których wcale nie miał, tylko dlatego, że obronił ją przed Streckiem. Widziała w nim swego wybawcę, wiernego strażnika. Niezależnie jednak od tego, jak usilnie starała się wmówić sobie, że Einstein był tylko psem, takim samym jak wszystkie inne, w głębi jej duszy wciąż tliło się przekonanie o jego wyjątkowości, o tym, że żaden inny pies nie będzie tak wspaniałym obrońcą i towarzyszem jak Einstein.

Myśleć o Einsteinie - a bez wątplenia również za sprawą szklaneczki remy martin - Nora odzyskała pogodny nastrój. Co więcej, nabrała takiej odwagi, że postanowiła zadzwonić do Tralisa Cornella i zaproponować mu, by odsprzedał jej swego retrievera. Przecież sam jej powiedział, że ma go dopiero jeden dzień, więc nie zdążył się jeszcze do niego przywiązać. Jeśli zaoferuje mu dobrą cenę, może zgodzi się na taką transakcję. Przerzuciła pare kartek w książce telefonicznej, odnalazła numer Cornella i niezwłocznie się z nim połączyła.

Odpowiedział po drugim sygnale:

-Halo?

Usłyszawszy jego głos, uświadomiła sobie nagle, że usiłując odkupić od niego psa, daje mu do ręki wytrych, za pomocą którego może spróbować wdrzeć się w jej życie. Zapomniała na chwilę, iż Cornell mógł się okazać niebezpieczny w tym samym stopniu co Streck.

-Halo? - powtorzył.

Nora nie mogła przezwyciężyć wahania.

-Halo? Kto mówi?

Bez słowa odwiesiła słuchawkę.

Zanim zacznie rozmawiać z Cornellem o psie, musi wymyślić jakiś sposób, aby go do siebie zniechęcić, w wypadku, gdyby okazał się drugim Streckiem.

5

Kiedy tuż przed piątą zadzwonił telefon, Travis zajęty był właśnie nakładaniem zawartości puszki albo do miski Einsteina. Retriever śledził jego poczynania z zainteresowaniem, często się oblizując i demonstrując zarazem wyjątkową powściągliwość, gdyż nie tknął jedzenia, dopóki z puszki nie został wyjęty ostatni kawałek. Travis podszedł do aparatu, retriever zaś zabrał się za jedzenie. Gdy po zgłoszeniu się Trávisa nikt nie odpowiedział, więc ten powiedział "halo" raz jeszcze, zaintrygowany pies unosił głowę znad miski. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, Travis zapytał, czy ktoś jest na linii. Z drugiego końca kuchni przydreptał zaciekawiony Einstein i utkwil wzrok w trzymanej przez Trávisa słuchawce. Travis rozłączył się, po czym wrócił do stołu, Einstein natomiast pozostał na miejscu, uważnie wpatrując się w telefon.

-Pewnie ktoś wybrał zły numer.

Retriever popatrzył na niego, lecz po chwili jego spojrzenie powędrowało z powrotem do telefonu.

-Albo jakieś dzieciaki stroją sobie żarty. Einstein zaskomlał bardzo żalosnie.

-Co cię gryzie?

Pies stał jak zamurowany, z głową skierowaną w stronę wiszącego na ścianie aparatu.

Westchnawszy, Travis powiedział:

-Wiesz, dosyć mam przeżyć jak na jeden dzień. Jeśli masz ochotę na jakieś tajemnicze sztuczki, będziesz musiał obejść się bez mnie.

Przed przygotowaniem obiadu dla siebie chciał obejrzeć popołudniowe wiadomości, wyjął więc z lodówki puszkę dietetycznej pepsi i przeszedł do salonu, pozostawiając psa pogrążonego w dziwacznej kontemplacji telefonu. Włączył telewizor, rozparł się w wielkim fotelu, z trzaskiem otworzył pepsi - i w tej samej chwili usłyszał w kuchni jakiś hałas. Einstein najwyraźniej coś tam wyczyniał.

-Co ty tam rozrabiasz?

Brzek. Grzechot. Dźwięk skrobiących po czymś twardym pazurów. Gluche uderzenie. Jeszcze jedno.

-Jeśli zniszczysz cokolwiek - rzucił ostrzegawczym tonem Travis - będziesz musiał za to zapłacić. A w jaki sposób zamierzasz zarobić pieniądze? Będziesz musiał chyba wybrać się na Alaskę i pracować w zaprzęgu.

W kuchni zapanował spokój. Ale tylko na moment. Znowu seria brzeków, grzechot, szelest, znowu skrobienie pazurów.

Zaintrygowany Travis za pomocą pilota sciszył telewizor.

Coś spadło z łoskotem na podłogę w kuchni.

Travis miał właśnie wstąpić i sprawdzić, co to takiego, gdy Einstein wkroczył do salonu. Pies pracowicie ciągnął po dywanie książkę telefoniczną. Widocznie musiał kilkakrotnie podskakiwać, nim udało mu się dosięgnąć polki, na której leżała książka, a potem popychać ją łapą, dopóki nie spadła na podłogę. Przemierzywszy salon wzdłuż,



retriever złożył książkę tuż obok fotela.

-Czego chcesz? - zapytał Travis.

Pies tracił książkę nosem, po czym z nadzieją popatrzył na Trávisa.

-Chcesz, żebym do kogoś zadzwonił?

-Woof.

-Do kogo? Einstein ponownie dotknął książki nosem.

-Do kogo mam zadzwonić? Do Lassie, Rin Tin, do starego Yellera?

Retriever wpatrywał się w niego swymi ciemnymi, niezwykle oczyma, bardziej wyrazistymi niż kiedykolwiek dotąd, a jednak wciąż niezdolnymi do przekazania tego, o co zwierzęciu chodziło.

-Słuchaj, stary - odezwał się Travis - być może ty umiesz czytać w moich myślach, ale ja w twoich nie potrafię.

Popiskując z rozczarowania, retriever wybiegł z pokoju i znikł w krótkim korytarzyku łączącym łazienkę z dwiema sypialniami.

Travis zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien pójść za nim, ostatecznie jednak postanowił zostać i poczekać na rozwój wypadków.

Po mniej więcej minucie Einstein wrócił, niosąc w pysku oprawioną w złote ramki fotografię o wymiarach osiem na dziesięć. Położył ją obok książki telefonicznej. Było to zdjęcie Pauli, przechowywane przez Trávisa na szafce w sypialni. Zostało zrobione w dniu ich ślubu, na dziesięć miesięcy przed jej śmiercią. Wyglądała na nim pięknie - i sprawiała złudnie wrażenie zdrowej.

-Nic z tego, chłopie. Nie mogę zadzwonić do zmarłej. Einstein prychnął, jakby dziwić się głupocie Trávisa. Podeszedł do stojącej w kącie szafki z czasopismami, rozrzucił po podłodze jej zawartość, po

czym wrocil z egzemplarzem Time 'a, i umiescil go obok fotografii w złotych ramkach. Poslugujac sie przednimi lapami zdolal jakos otworzyc magazyn i zaczal go kartkowac rozdzierajac przy tym mimo woli kilka stron.

Przesunawszy sie na brzeg fotela, Travis przygladal sie w napieciu temu, co sie tu dzialo.

Einstein pare razy przerywal prace, aby uwaznie obejrzec niektore strony, po czym kartkowal dalej. Wreszcie natrafil na reklame jakiegoś samochodu, w ktorej wykorzystano portret zachwycajacej, ciemnowlosej modelki. Popatrzył wtedy na Travisa, z powrotem na reklame i jeszcze raz na Travisa. Zaszczekal.

-Nie wiem, o co ci chodzi.

Wrociwszy do kartkowania, Einstein znalazl reklame, prezentujaca usmiechnieta blondynke z papierosem w dloni. Ponownie dal glos.

-Samochody i papierosy? Chcesz, zeby ci kupil samochod oraz paczke "Virginia Slims"?

Retriever jeszcze raz podszedl do sterty czasopism i wyciagnal z niej magazyn poswiecony handlowi nieruchomosciami. Pismo nadal przychodzilo poczta "regularnie raz w miesiacu, chociaz Travis rozstal sie definitywnie ze swoim fachem przeszlo dwa lata temu. Einstein zabral sie energicznie za kartkowanie, dopoki nie ujrzal fotografii przedstawiajacej ladna brunetke w stroju firmowym agencji "Dwudziesty pierwszy wiek".

Travis objal spojrzeniem portret Pauli, palaca papierosa blondynke, pelna gracji agentke "Dwudziestego pierwszego wieku", przypomnial sobie jeszcze brunetke widziana wczesniej obok reklamowanego przez nia samochodu i powiedzial:

-Kobieta? Chcesz, zeby zadzwonil do... jakiej kobiety? Einstein krotko szczeknal.

-Do kogo?

Pies delikatnie schwycił go zębami za nadgarstek i spróbował sciągnąć z fotela.

-Okay, okay, już pusc. Pojść z tobą.

Jednak Einstein nie dawał za wygraną. Nie miał zamiaru wypuścić z pyska ręki Trávisa i zmusił swego pana, by ten, zgiety w pol, przeszedł za nim przez salon i jadalnię aż do kuchni. Tam, tuż obok telefonu, Travis wreszcie odzyskał wolność.

-Do kogo? - powtórzył Travis, lecz nagle wszystko stało się dla niego jasne. Była tylko jedna kobieta, którą znali obaj. - Chyba nie chodzi ci o panią spotkaną dziś w parku?

Retriever zamachał ogonem.

-Skąd możesz wiedzieć, kto dzwonił? Nie powiedziała ani słowa. A poza tym, jaki masz w tym interes? Chcesz zostać swatem?

Pies parsknął dwukrotnie.

-No cóż, z pewnością była ładna, ale nie jest w moim typie, kolego. I jakas taka dziwna, nie sądzisz?

Einstein zaszczekał, podbiegł do kuchennych drzwi, parę razy na niego skoczył, wrócił do Trávisa, znowu zaszczekał, nie przestając ujadac obiegł stół i jeszcze raz zaatakował drzwi. Widac było, że jest czymś mocno zaniepokojony.

Łosiem tamtej kobiety.

Wcześniej, w parku, miała jakieś kłopoty. Travisowi przypominał się typ w sportowych spodenkach. Ofiarował tej kobiecie pomoc, ale ona nie chciała z niej skorzystać. Może jednak zmieniła zdanie i zadzwoniła parę minut temu, tylko że zabrakło jej odwagi, by

opowiedzieć mu o tym, co ja dreczy?

-Naprawdę myślisz, że to ona dzwoniła? Ogon znowu poszedł w ruch.

-No coż... nawet jeśli to ona, najchętniej zrobimy nie mieszając się do jej spraw.

Retriever przypadł do niego, schwycił za prawa nogawkę dzinsów i szarpnął tak gwałtownie, że Travis niemal nie stracił równowagi. - No, już dobrze! Zadzwoń. Przynieś mi te cholerna książki. Einstein wypuścił z zębów materiał spodni, błyskawicznie wypadł z pokoju i pomknął korytarzem - parę razy pośliznął się przy tym na gładkim linoleum. Po chwili był z powrotem z książką telefoniczną w pysku.

Travis wziął ją do ręki i dopiero wtedy uswiadomił sobie, że podświadomie oczekiwał, iż pies zrozumie jego polecenie. Nadzwyczajna inteligencja oraz zdumiewające umiejętności zwierzęcia zaczął już traktować jako coś najzupełniej naturalnego.

Wstrząśnięty, pomyślał również, że przecież retriever nie przyniosłby mu książki telefonicznej do salonu, gdyby nie znał jej przeznaczenia.

-Na Boga, kudłata mordo, dobrze cię ochrzciłem, nie sędzisz?

6

Chociaż zazwyczaj Nora nie jadła obiadu przed siódmą, dzisiaj poczuła się głodna wcześniej. Poranny spacer oraz szklaneczka brandy pobudziły w niej apetyt, którego nawet natrętne myśli o Strecku nie mogły jej odebrać. Nie chciało się jej gotować, przyrzadziła więc sobie salatkę ze świeżych owoców, ukroiła trochę sera i podgrzała w piecyku rogalik. Najczęściej jadła w swoim pokoju, gdzie czuła się najlepiej, w łóżku, czytając czasopismo lub książkę. Właśnie miała zanieść talerz na górę, gdy zadzwonił telefon.

Streck.

To na pewno był on. Ktoż inny mógłby do niej dzwonić?

Zamarła wsluchana w powtarzający się sygnał. Nawet gdy już umilkł, wciąż stała pochylona nad kuchenną szafką, walczyć ze słabością i czekając, że za moment dzwonek odezwie się jeszcze raz.

7

Gdy Nora Devon nie podniosła słuchawki, Travis chciał wrócić do pokoju i zasiąść znowu przed telewizorem, przeszkodził mu w tym jednak wciąż jeszcze podniecony Einstein. Retriever wyskoczył w górę, stracił łapę leżącą na polce obok telefonu książkę telefoniczną, a kiedy wylądowała na podłodze, schwycił ją w zęby i pośpiesznie wybiegł z kuchni. Zaintrygowany dalszymi zamiarami psa, Travis podążył za nim i zastał zwierzę czekające pod frontowymi drzwiami z książką telefoniczną w pysku. -I co teraz?

Einstein poskrobał łapą w drzwi.

-Chcesz wyjść na zewnątrz?

Z psiego gardła dobiegło stłumione przez książkę skomlenie.

-Po co ci książka telefoniczna? Chcesz ją zakopać jak kość? Co znowu knujesz?

Chociaż nie uzyskał odpowiedzi na żadne ze swych pytań, otworzył drzwi i wypuścił retrievera na podwórze zalane złotym blaskiem popołudniowego słońca. Einstein pomknął prosto w stronę stojącej na podjeździe polciezarówki. Zatrzymał się przy drzwiach i popatrzył za siebie z wyrazem niecierpliwości na pysku.

Travis podszedł do samochodu. Westchnął.

-Podejrzewam, że chcesz gdzieś jechać, i przypuszczam, iż nie chodzi ci o firmę telefoniczną.

Polożywszy książkę na ziemi, Einstein wspiał się na zadnie łapy, przednie natomiast oparł o drzwi wozu. Przez cały czas wpatrywał się uparcie w Trávisa. Zaszczekał.

-Chcesz, żebym w książce telefonicznej odszukał adres panny Devon, a potem tam pojechał. Czy o to chodzi?

Odpowiedziało mu ciche parskanie.

-Nic z tego. Wiem, że ja polubiles, lecz mnie kobiety nie interesują. Poza tym ona nie jest w moim typie. Już ci o tym mówiłem. Zresztą ja również nie jestem w jej typie. Coś mi się widzi, że nikt nie jest w jej typie.

Pies zaszczekał.

-Nie.

Retriever zeskoczył na ziemię, podbiegł do Trávisa i ponownie złapał go za nogawkę spodni.

-Nic z tego - powiedział Travis schylając się ku obroży Einsteina. - Gryzienie mojej garderoby nic tutaj nie pomoże. Nie jęde i już.

Pies wypuścił spodnie z pyska, wyrwał się z rąk pana i jak szalony popędził na sam środek długiej rabaty kwitnących jaskrawo niecierpków. W następnej chwili zaczął zawzięcie rozkopywać grządki, wyrzucając na trawnik kępy wyrwanych kwiatów.

-Co ty wyrabiasz, na litość boską?

Einstein pracowicie parł do przodu, najwyraźniej zamierzając całkowicie zniszczyć rabate. - Hej, przestań natychmiast! - wrzasnął Travis i pobiegł, co sił w nogach, w jego stronę.

Retriever umknął w drugi koniec podwórza, gdzie natychmiast zabrał się za kopanie dziur w ziemi, niszcząc rosnącą tam trawę.

Travis usilował go dopaść, lecz pies wymknął się bez trudu, wydrążył jeszcze jedną dziurę w darni, potem próbował podkopać poidło dla ptaków, a na koniec powrócił do tego, co ocalało z rabaty niecierpków.

Widząc, że nie zdoła schwytac retrievera, Travis przystanął i z trudem łapiąc oddech zawołał.

-Dostyc!

Einstein przestał siać spustoszenie wśród kwiatów. Unosił w górę pysk, z którego zwisały splecione lodygi koralowoczerwonych niecierpków.

-Pojedziemy - obiecał Travis. Pies wypłulł kwiaty i zachowując nadal czujność, zszedł z pola bitwy.

-Zadnych sztuczek - przyrzekł Travis. - Jeśli to jest dla ciebie tak ważne, pojedziemy zobaczyć się z tą kobietą. Ale Bóg jeden wie, co jej powiem.

8

Z talerzem w jednej ręce i butelką ewianu w drugiej Nora zmierzała w stronę schodów, ciesząc się widokiem płonących we wszystkich pokojach świateł. Po wejściu na górę wcisnęła łokciem włącznik zapalając lampy w korytarzu na piętrze. Składając następne zamówienie u swego dostawcy będzie musiała pamiętać o żarówkach, postanowiła bowiem w najbliższej przyszłości nie gasić w ogóle światła - ani w dzień, ani w nocy. Choć pociągało to za sobą dodatkowe koszty, podjęła decyzję bez cienia żalu. Wciąż jeszcze nieco oszłamiona wypita brandy, idąc w stronę swego pokoju zaczęła cicho nucić "Moon River".

Weszła do środka. Na łóżku leżał Streck.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu:

-Czesc, dziecino.

W pierwszej chwili wydalo sie jej, ze ulegla halucynacji, kiedy jednak uslyszala jego glos, nabrala pewnosci, ze oczy jej nie myla. Krzyknela ze wszystkich sil. Talerz wypadl jej z dloni, a owoce i ser rozsypaly sie po podlodze.

-Ojej, ale nabalaganilas - powiedzial, siadl i spuscil nogi poza krawedz lozka. Mial na sobie nadal sportowe spodenki, skarpety i buty do biegania. Nic wiecej. - Na razie mozesz nie sprzatac. Najpierw musimy zajac sie czyms innym. Dluo czekalem, zanim przyszlas na gore. Czekalem i myslalem o tobie... strasznie sie na ciebie napalilem... - Podniosl sie z lozka. - A teraz nadszedl czas, aby nauczyc cie czegos, czego jeszcze nie umiesz.

Nora stala bez ruchu jak porazona. Nie byla w stanie nawet oddychac.

Musial przyjsc tutaj prosto z parku. Dostal sie do wnetrza domu na dlugo przed jej powrotem. Wlamal sie, nie pozostawiajac zadnych sladow, a potem czekal tutaj na lozku przez caly ten czas, gdy saczyla brandy w kuchni. To jego czekanie mialo w sobie cos bardziej odrazajacego niz wszystkie dotychczasowe postepki Strecka. Czekal, wiedzac, ze chwila, w ktorej wreszcie bedzie ja mogl posiasc, zbliza sie coraz bardziej, podniecajac sie odglosami plynacymi z dolu, gdzie krzatala sie nieswiadoma jego obecnosci.

Czy zabije ja, kiedy juz bedzie po wszystkim?

Zawrocila i wybieгла na korytarz.

W momencie gdy dotknela dlonia balustrady schodow, uslyszala za soba tupot nog Strecka.

Pomknela w dol, przeskakujac po dwa, trzy stopnie naraz, caly czas bojac sie, ze skreci noge i upadnie. Na polpietrze nogi omal nie odmowily jej posluszenstwa, potknela sie, lecz ostatkiem sil utrzymala rownowage i po pokonaniu kilku ostatnich stopni osiagnela parter.



Chwyciwszy ją od tyłu za ramiona, szarpiąc materiał workowatej sukienki, Streck z dziecinna łatwością obrócił Nore twarz ku sobie.

9

Gdy tylko oczom ich ukazał się dom Nory Devon, Einstein unosił się na przednim siedzeniu, ułożył łapy na klamce, naparł na nią ciężarem całego ciała i szybko otworzył drzwi. Kolejna ciekawa sztuczka. Nim Travis zdążył wyłączyć silnik, pies wyskoczył z wozu i popędził ku frontowym drzwiom domu. Kiedy w kilka sekund później Travis dotarł do prowadzących na werandę schodów, ujrzał, jak stojący na zadnich łapach retriever naciska na guzik dzwonka wyciągnięta w górę przednia łapa. Dźwięk dzwonka słychać było nawet na zewnątrz budynku.

Wspiawszy się na werandę, Travis powiedział:

-Co za diabeł znow w ciebie wstąpił?

Pies jeszcze raz sięgnął do przycisku. - Daj jej trochę czasu...

Gdy Einstein dotknął guzika po raz trzeci, Travis usłyszał przepelniony złością i bólem okrzyk mężczyzny, a zaraz potem kobiecy głos wzywający pomocy.

Ujadając nie mniej zajądło niż wczoraj w lesie, retriever zaatakował drzwi pazurami, jak gdyby naprawdę wierzył, że może sobie w ten sposób utorować drogę.

Travis przesunął się do przodu i zajrzał do środka przez przezroczysty fragment wypełniającego środek drzwi witraż. Korytarz był rzęsiste oświetlony, dzięki czemu wyraźnie widział walczących ze sobą w odległości zaledwie kilku stop dwoje ludzi.

Einstein bez przerwy szczekał i warczał, zachowywał się, jak gdyby oszalał.

Drzwi, jak się okazało, były zamknięte. Travis stłukł łokciem kilka oprawnych w ołów szkiełek, w powstały otwór wsunął rękę, wymacał zamek, odblokował go i zdjął łańcuch. Mężczyzna w sportowych spodenkach odepchnawszy Nore, odwrócił się w jego stronę.

Einstein uprzedził jakikolwiek ruch Trávisa. Popędził w głąb korytarza prosto w kierunku sportowca.

Facet zareagował jak każdy, kto ujrzałby szarżującego psa takiej wielkości: rzucił się do ucieczki. Kobieta próbowała go powstrzymać, osiągnęła jednak tylko tyle, że potknął się, tracąc na moment równowagę. Zaraz potem dopadł umieszczonych w końcu korytarza wahadłowych drzwi i zniknął.

Einstein wyminał Nore Devon, po czym w pełnym biegu skoczył między kołyszące się jeszcze drzwi, wybrałszy idealnie moment, kiedy skrzydło wychyliło się najdalej do wewnątrz. W pomieszczeniu leżącym za wahadłowymi drzwiami - Travis domyslił się, iż była to kuchnia - wybuchła niesamowita wrzawa. Coś z brzękiem rozbilo się na podłodze, zaraz potem podobny los spotkał jeszcze większy przedmiot. Mężczyzna głośno zaklął, Einstein zawył złowieszczo, na moment zapadła cisza, a potem hałas wybuchnął na nowo, z jeszcze większą siłą.

Travis podszedł do Nory Devon, która, mocno pochylona, przytrzymywała się poręczom schodów.

-Nic pani nie jest? - zapytał.

-On prawie... prawie...

-Ale tego nie zrobił? - upewnił się Travis.

-Nie.

Dotknął jej zakrwawionego podbródka.

-Pani jest ranna.

-To jego krew - odparła na widok czerwonej plamy na palcu Trávisa. - Ugryzłam drania. - Spojrzała w stronę wahadłowych drzwi, które zdążyły już znieruchomiec. - Niech pan mu nie pozwoli skrzywdzić psa.

-Nie ma obawy - uspokoił ją Cornell.

W momencie gdy wszedł do kuchni, wrzawa wyraźnie ucichła. Zobaczył powywracane krzesła i zascielające całą podłogę odłamki dużego porcelanowego słoja w niebieskie kwiaty, przemieszane z porozsypywanymi i pokruszonymi ciastkami. Mężczyzna siedział w kacie z podciągniętymi wysoko nogami i rękami skrzyżowanymi na piersiach w obronnym geście. Miał jedną stopę bosą - widocznie but stał się lupem psa - a jego prawa dłoń silnie krwawiła, zapewne ugryziona przez Nore Devon. Krew płynęła również z lewej łydki, ta rana została zadana przez psa.

Einstein nie spuszczał intruza z oka i choć trzymał się poza zasięgiem jego kopniaka, gotów był go rozszarpać na kawałki, gdyby tylko facet okazał się na tyle głupi, że próbowałby opuścić narożnik.

-Dobra robota - powiedział Travis. - Naprawdę dobra. Pies zapiszczał, wyrażając w ten sposób zadowolenie z pochwały.

Ale w następnej chwili, gdy sportowiec wykonał jakiś nieznaczny ruch, wesół pisk natychmiast przerodził się w głośne warczenie. Szczęrzac groźnie żeby zagonił mężczyznę z powrotem do kąta.

-Jestes skonczony - rzucił Travis.

-On mnie ugryzł! Oboje mnie ugryzli! - Złość. Zdumienie. Niedowierzenie. - Pogryzli mnie.

Jak wielu ludzi tego typu, którzy przez całe życie używając przemocy stawiają na swoim, Streck doznał szoku, gdy się przekonał, że jego

rowniez mozna zranic i pobic. Byl przeswiadczony, ze poradzi sobie z kazdym czlowiekiem, jesli tylko przycisnie go dostatecznie mocno, a do tego przybierze jeszcze przerazajacy wyraz twarzy, godny szalenca. Sadzil, ze nigdy nie dozna porazki, a teraz, poblady, nie byl w stanie otrzasnac sie z szoku.

Travis podszedl do telefonu i zadzwonil na policje.

V

1

Vince Nasco wrocil z jednodniowych wakacji w Acapulco poznym rankiem we czwartek dwudziestego maja. W Miedzynarodowym Porcie Lotniczym w Los Angeles kupil Timesa, po czym wskoczyl do mikrobusu - nazywali go limuzyna, lecz w istocie byl to mikrobus - kursujacego do Orange County. W drodze do swego domu w Huntington Beach przejrzal gazete. Na trzeciej stronie Timesa znalazl informacje o pozarze w Laboratoriach Banodyne, w Irvine. Ogień pojawil sie zaraz po szostej rano poprzedniego dnia, a wiec wowczas, gdy Vince jechal na lotnisko. Jeden z dwoch budynkow zostal doszczetnie zniszczony, zanim strazakom udalo sie opanowac sytuacje.

Niemal na pewno ci sami ludzie, ktorzy zlecili Vince'owi zabicie Davisa Weatherby'ego, Lawtona Hainesa, Yarbeckow oraz Hudsonow, wynajeli rowniez tego podpalacza. Wygladalo na to, ze zalezalo im na zniszczeniu wszelkich danych o Projekcie Francisa, zarowno tych, zgromadzonych w zbiorach Banodyne, jak i informacji zawartych w mozgach uczestniczacych w badaniach uczonych.

W gazecie nie bylo nawet wzmianki o pracach na rzecz obronnosci; zapewne wprowadzono zakaz podawania jakichkolwiek informacji na ten temat. Instytucja przedstawiona zostala jako "wiodaca w przemyśle opartym na wykorzystywaniu rezultatow inzynierii genetycznej, ze szczegolnym uwzglednieniem najnowszych lekarstw otrzymanych w wyniku badan nad rekombinowanym DNA".

Smierc w plomieniach poniosl nocny straznik. Times nie wyjasnial, dlaczego czlowiek ten nie mogl uciec przed zagrozeniem. Vince doszedl do wniosku, ze straznik ow zostal zabity przez podpalaczy, ktorzy nastepnie spalili go, by ukryc zbrodnie. Mikrobus podwiozl Vince'a prosto pod drzwi domu. W pokojach pograzonych w polmroku bylo dosc chlodno. Podlogi nie byly przykryte dywanami i kazdy krok rozbrzmiewal czystym dzwiekiem, ktory nastepnie wedrowal echem po calym, niemal pustym budynku.

Choc mieszkal tutaj od dwoch lat, nie zdazyl jeszcze umeblowac domu do konca. Scisle biorac jadalnia, garderoba, a takze dwie sposrod trzech sypialni wyposazone byly jedynie w tanie firanki, ktore mialy stworzyc atmosfere prywatnosci.

Dom ten traktowal Vince jako cos w rodzaju przystanku, tymczasowa siedziba, z ktorej pewnego dnia przeprowadzi sie do rezydencji na plazy w Rincon, slynacej z najwspanialszych fal i najznakomitszych surferow, gdzie ogromne rozkolysane morze stanowilo dominujacy element zycia. Ale skape umeblowanie nie mialo nic wspolnego z tymczasowym statusem tego domu. Vince po prostu lubil nagie biale sciany, czyste betonowe posadzki i puste pokoje.

Kiedy w koncu kupi swoj wymarzony dom, podlogi i sciany w kazdym z pokoi wylozy biala terakota i glazura. Nie bedzie w nim miejsca na drewno, cegle czy kamien, na zadne materialy, ktore stwarzaja wrazenie ciepla, zgodnie z jego zamierzeniem. Kaze je pokryc kilkoma warstwami lsniacej bialej emalii i zaopatrzy w biale winylowe obicia. Jedyne odstepstwo w stosunku do tych nieskazitelnie bialych powierzchni mialy stanowic niezbedne ilosci szkla oraz niklu. Dopiero w takim otoczeniu odnajdzie wreszcie spokoj i po raz pierwszy w zyciu poczuje sie jak u siebie w domu.

Rozpakowal walizke, po czym przeszedl do kuchni, aby przygotowac lunch. Zlozyly sie nan: tunczyk, trzy jajka na twardo, ryzowe krakersy, dwa jablka i pomarancza oraz butelka gatorade.

Choc kuchnia wyposazona byla w niewielki stolik i krzeslo, Vince wolal zjesc lunch na gorze, w przestronnej sypialni. Usiadl w fotelu obok wychodzacego na zachod okna. Ocean zaczynal sie zaledwie o przecznice dalej, po drugiej stronie Coast Highway, zaraz za rozlegla publiczna plaza. Z okien na pietrze widac bylo przesuwajace sie ku brzegowi fale.

Niebo przeslanialy rozrzucone tu i owdzie pasma chmur, totez rozjasniona slonecznym blaskiem powierzchnie morza pstrzyly plamy cienia. Miejscami woda miala barwe stopionego chromu, miejscami zas przypominala rozkolysane masy ciemnej krwi.

Dzien byl cieply, choc spogladajac przez szybe Vince mial wrazenie, ze na dworze jest dziwnie zimno.

Ilekroc obserwowal ocean, zawsze mu sie wydawalo, ze rytm pulsujacej w jego zylach krwi byl doskonale zestrojony z rytmem przyplywow i odpływów.

Ukonczywszy posilek, siedzial przez chwile bez ruchu, wpatrzony w morze. Nucac pod nosem spogladal poprzez swoje slabo rysujace sie na szkle szyby odbicie niczym przez sciane akwarium, chociaz nawet teraz odnosil wrazenie, ze przebywa gleboko pod powierzchnia fal, w samym srodku tego czystego, zimnego, bezkresnego swiata ciszy.

Po poludniu pojechal swoim wozem do Irvine i odnalazl Laboratoria Banodyne, polozone u podnoza gor Santa Ana. Osrodek skladal sie z dwoch budynkow wzniesionych na dzialce, ktora, wziawszy pod uwage fakt, ze w tej okolicy grunty byly niezmiernie drogie, zdumiewala swa rozlegloscia. Jeden z nich, pietrowy, mial ksztalt litery L. Drugi, parterowy, zbudowany w ksztalcie litery V, ze swymi nielicznymi waskimi oknami przypominal fortece. Calosc, zbudowana w nowoczesnym stylu, stanowila fascynujace polaczenie wielkich plaszczyzn i delikatnych krzywizn; oblicowana ciemnozielonym i szarym marmurem wygladala bardzo atrakcyjnie. Otoczone pracowniczymi parkingami oraz starannie utrzymanymi, rozleglymi

trawnikami, ocienione palmami i drzewami koralowymi, budynki sprawiały wrażenie mniejszych, niż były w istocie, dzięki swemu usytuowaniu pośrodku ogromnej, płaskiej przestrzeni.

Ogień strawił tylko budynek w kształcie litery V, w którym mieścili się laboratoria. Oprócz paru wybitych okien oraz plam sadzy na ścianach nad nimi nie widac było żadnych śladów niedawnych dramatycznych wydarzeń.

Działki nie otaczał żaden płot ani mur, toteż Vince, gdyby tylko chciał, mógłby bez trudu wejść na jej teren, choć na początku trzypasmowej drogi dojazdowej ustawiono budkę wartowniczą oraz prosty szlaban. Sadząc po obecności uzbrojonego strażnika oraz specyficznym wyglądzie budynku mieszczącego w sobie laboratoria badawcze, należało oczekiwać, że trawniki zostały naszpikowane elektronicznymi czujnikami, które w nocy poinformowałyby wartownika o obecności nieproszonego gościa, nim ten zdążyłby zrobić kilka kroków. Podpalacz był nie tylko fachowcem od wzniesienia pożarów, ale musiał też posiadać spory zasób wiedzy o systemach alarmowych.

Vince minął osrodek, potem zawrócił i przejechał obok Laboratoriów z przeciwnej strony. Niczym ponure duchy po trawniku i ścianach budynków przesuwali się powoli cienie chmur. Banodyne miało w sobie coś, co nadawało mu groźny - może nawet nieco złowieszczy wygląd. Vince był przekonany, że tego wrażenia nie zawdzięczał swej wiedzy o przeprowadzanych tutaj doświadczeniach. Ruszył w powrotną drogę do domu, do Huntington Beach.

Pojechał do Banodyne w nadziei, że gdy zobaczy Laboratoria, łatwiej mu będzie podjąć decyzję co do dalszego działania. Teraz odczuwał rozczarowanie. Nadal nie wiedział, co powinien robić. Ciągle nie miał pomysłu, komu mógłby sprzedać posiadane informacje za cenę warta podejmowanego ryzyka. Nie rządowi USA: to były przecież ich badania. I nie Sowietom, naturalnemu przeciwnikowi, gdyż to właśnie oni zapłacili mu za zabicie Weatherby'ego, Yarbecków, Hudsonów i Hainesa.

Oczywiście, nie potrafił udowodnić, że pracował dla Sowietów. Ci jego zleceniodawcy postępowali bardzo sprytnie, wynajmując takiego wolnego strzelca jak on. Jednakże pracował dla nich bardzo często - w ciągu ostatnich paru lat nabierałoby się kilkadziesiąt spraw i zdążył zgromadzić wiele spostrzeżeń, na podstawie których doszedł w końcu do przekonania, że ma do czynienia z Sowietami. Od czasu do czasu kontaktowali się z nim ludzie inni niż trojka łączników z Los Angeles i w głosie tych osób nieodmiennie wychwytywał coś, co brzmiało jak rosyjski akcent. Poza tym wskazywane przez nich cele miały zazwyczaj - w większym lub mniejszym stopniu - charakter polityczny lub - jak w wypadku Banodyne - wojskowy. Informacje, jakich mu dostarczali, zawsze dokładne i wyczerpujące, były znacznie bardziej precyzyjne niż dane, które, wraz ze zleceniem jakiejś prostej roboty, otrzymywał od gangów.

Ktoż więc, jeśli nie USA lub Sowiet, gotów byłby zapłacić za tak rewelacyjne wiadomości o znaczeniu militarnym? Jakis dyktator z Trzeciego Świata, poszukujący sposobu, który pozwoliłby mu zrównoważyć przewagę silniejszych państw? Projekt Francisa mógłby pomóc w wykreowaniu kieszonkowego Hitlera naszych czasów, uczynić z niego światową potęgę, a to niewątpliwie warte było sowitej zapłaty. Ktoż jednak chciałby ryzykować transakcje z ludźmi po kroku Kaddafiego? Z pewnością nie Vince.

Poza tym dysponował co prawda informacjami o prowadzonych w Banodyne rewelacyjnych badaniach, lecz zupełnie nie znał niezbędnych szczegółów dotyczących realizacji cudownego Projektu Francisa. Miał do sprzedania mniej, niż mu się początkowo wydawało.

Od wczoraj krążyła mu po głowie jakaś niejasna myśl. Teraz, w trakcie rozważań nad znalezieniem potencjalnego kupca, uchwycił ją z pełną jasnością.

Pies.

Wracając do domu, usiadł w sypialni i zapatrzył się w morze. Siedział



tak jeszcze dlugo po zapadnieciu ciemnosci, nawet wowczas, gdy woda stala sie zupełnie niewidoczna. Caly czas myslal o psie.

Hudston i Haines powiedzieli mu o retrieverze wystarczajaco wiele, by uswiadomil sobie, ze cala jego wiedza o Projekcie Francisa, choc niewatpliwie rewelacyjna, nie byla warta nawet jednej tysiecznej tego, co sam pies. Retrievera mozna bylo wykorzystac na wiele sposobow; bez przesady zaslugiwal on na miano czworonoznej maszyny do robienia pieniedzy. Zapewne z latwoscia moglby go odsprzedac rzadowi badz Rosjanom. Jesli tylko zdola odnalezc psa, osiagnie finansowa niezalezosc.

Jak jednak trafic na jego slad?

Na terenie calej poludniowej Kalifornii trwaja zapewne tajne lub prawie tajne gigantyczne poszukiwania. Ministerstwo Obrony musialo rzucic do akcji olbrzymie sily. Gdyby Vince wszedl tym poszukiwaczom w droge, z pewnoscia by sie zainteresowali jego osoba, a na to nie mogli sobie pozwolic.

Co wiecej, gdyby na wlasna reke podjal poszukiwania u podnozy Santa Ana, gdzie najprawdopodobniej ukryli sie uciekinierzy z laboratorium, mogl natrafic na niewlasciwe stworzenie. Moglby sie natknac nie na retrievera, lecz na Obcego, a takie spotkanie nioslo za soba smiertelne niebezpieczenstwo.

Za oknem sypialni pokryte chmurami nocne niebo zlalo sie z morzem w czern tak gleboka i nieprzenikniona jak ta, ktora okrywa ciemna strone ksiezycy.

2

W czwartek, dzien po tym, jak Einstein osaczyl Arthura Strecka w kuchni Nory Devon, Streck zostal postawiony w stan oskarzenia pod zarzutem wlamania, naruszenia nietykalnosci osobistej oraz usilowania gwaltu. Poniewaz byl juz poprzednio skazany za gwalt i odsiedzial dwa lata z trzyletniego wyroku, sad wyznaczyl wysoka kaucje. Streck nie mial pieniedzy, nie znalazl sie tez nikt, kto chcialby

go wykupic, musial zatem pozostac w wiezieniu az do czasu rozprawy. Wiadomosc o tym Nora przyjeta z wielka ulga. W piatek poszla na lunch z Travisem Cornellem.

Byla zdumiona, slyszac to, co sama powiedziala - przyjeta jego zaproszenie. Co prawda dostrzegla autentyczne poruszenie na twarzy, gdy dowiedzial sie o strachu i upokorzeniach, jakich doznala za sprawa Strecka, a to, ze udalo sie jej ocalic swoja godnosc i, byc moze zycie, w znacznej mierze zawdzieczala jego przeczuciu w ostatniej chwili, ale przeciez efekty oblednego wychowania ciotki Violet nie mogly zniknac bez sladu w ciagu kilku dni. Gdzies w duszy Nory wciaz jeszcze zalegal osad irracjonalnych podejrzen i nadmiernej ostroznosci. Bylaby przerazona, moze nawet zdruzgotana, z pewnoscia jednak nie zaskoczona, gdyby Travis rzucil sie na nia niespodziewanie. Uczono ja od najmlodszych lat, ze od innych ludzi oczekiwac nalezy tylko najgorszego, zdziwienie moglyby wiec obudzic w niej jedynie przejawy uprzejmosci i wspolczucia.

A jednak poszla z nim na lunch.

Poczatkowo nie wiedziala, dlaczego to robi.

Nie musiala sie dlugo zastanawiac, by znalezc odpowiedz: z powodu psa. Chciala byc blisko Einsteina, poniewaz czula sie przy nim bezpieczna, a poza tym jeszcze nikt oprocz niego nie obdarzyl jej tak silnym uczuciem; zdarzylo sie to jej po raz pierwszy i bardzo sie jej spodobalo, nawet jezeli istota, ktora zapalala do niej owym uczuciem, bylo zwierze. Zreszta, dzies w glebi duszy czula, ze moze w pelni zaufac Travisowi; musial byc tego godny, poniewaz ufal mu Einstein, a jego z pewnoscia nie daloby sie nikomu oszukac.

Zjedli lunch w kafejce przy jednym z kilku zascielonych plociennymi obrusami stolikow, nad ktorymi rozpostarto parasole w bialo-niebieskie pasy. Pozwolono im przywiazac smycz do ozdobionej stolowej nogi z kutego zelaza, mogli zatem byc razem - wszyscy troje. Einstein sprawowal sie bez zarzutu; przez caly niemal czas lezal cicho

pod stołem i tylko z rzadka podnosił głowę, by popatrzeć na nich swymi mądrymi oczami, a oni rzucali mu wtedy kawałki jedzenia, które, choć bez szczególnego entuzjazmu, zjadał do końca.

Nora nie знаła się zbyt dobrze na psach, lecz obserwując Einsteina uznawała, że jest wyjątkowo czujnym i ciekawym świata zwierzęciem. Rozglądał się dookoła z wielkim zainteresowaniem, co jakiś czas zmieniając nawet położenie, by móc lepiej przyjrzeć się innym gościom.

Nora fascynowało dosłownie wszystko. Był to jej pierwszy posiłek w tego typu lokalu i chociaż w niezliczonych powieściach czytała o ludziach, którzy jedli lunch lub obiad w tysiącach restauracji, zdumiewała się i cieszyła każdym drobiazgiem. Samotna róża w mlecznobiałym wazonie. Pudełkiem zapalek z wytłoczona na nim nazwa lokalu. Sposobem, w jaki z masła uformowano przyozdobione kwiatowym ornamentem kulki, a następnie podano je w miseczce wypełnionej kruszonym lodem. Pływającym w napoju plasterkiem cytryny. Największy podziw wzbudził w niej jednak zestaw surowek.

-Spójrz na to - zwróciła się do Trávisa, gdy po podaniu im zamówionych dań kelner odszedł od ich stolika.

Marszcząc czoło, zlustrował jej twarz. - Czy coś jest nie tak?

-Nie, nie. Chodzi mi... te wszystkie warzywa...

-Marchewka, dynia.

-Skąd oni biorą takie małe? I popatrz, jak nacieli brzeg tego pomidora. Wszystko jest takie ładne. Skąd mają tyle czasu, że potrafią zrobić wszystko tak ładnie?

Wiedziała, że to, co wprowadzało ją w zachwyt, on traktował jak rzecz normalną, że jej zdumienie zdradzało brak doświadczenia i obycia, upodabniało ją do dziecka. Często się rumieniła lub zakłopotana zaczynała się jakac, nie mogła jednak powstrzymać się od takich

uwag. Travis bez przerwy się uśmiechał, nie był to jednak na pewno uśmiech wyzszosci. Był najwyraźniej szczerze zadowolony, widząc, że odkrywanie wszystkich tych wspaniałości sprawia jej tak wielką przyjemność.

Przy kawie i deserze - placek z kiwi dla niej, truskawki ze śmietaną dla Trávisa oraz czekoladowa ekierka, która Einstein nie musiał się z nikim dzielić - Nora odbyła najdłuższą w swoim życiu rozmowę. Przegadali dwie i pół godziny, dyskutując głównie o książkach, ponieważ książki były najbliższym wspólnym tematem dla obojga. Książki i samotność. Travis sprawiał wrażenie żywo zainteresowanego jej opiniami o autorach, sam również wypowiedział parę bardzo interesujących myśli, które jakos nigdy nie przyszły jej do głowy. W ciągu tego jednego popołudnia śmiała się więcej niż zazwyczaj przez cały rok. Przegląd było tak radosne, że momentami czuła oszłomienie, a gdy opuszczali restaurację, nie bardzo pamiętała, o czym tak długo rozmawiali; wszystko zlało się jej w jedną wielką, barwną plamę. Doznała jakby przeciążenia zmysłów. Czegoś podobnego doświadczyłby członek prymitywnego plemienia przeniesiony nagle do centrum Nowego Jorku. Potrzebowała trochę czasu, by móc wchłonąć i uporządkować wszystko, co się jej przytrafiło.

Ponieważ przyszli do kawiarni prosto z jej domu, obok którego Travis zostawił samochód, drogie powrotną postanowili odbyć także pieszo, przy czym psa poprowadziła Nora. Einstein nie próbował się wyrwać, nie owijał też smyczy wokół nóg dziewczyny, tylko potulnie dreptał u jej boku. Od czasu do czasu zadzierał w górę głowę i posyłał spojrzenie, na które odpowiadała uśmiechem.

-To dobry pies - powiedziała.

-Bardzo dobry - zgodził się Travis.

-Tak świetnie ułożony.

-W zasadzie, rzeczywiście.

-I taki bystry.

-Nie schlebiaj mu tak bardzo. - Boisz się, że stanie się próżny?

-On już jest próżny - odparł Travis. - Jeśli jego próżność wzrośnie, stanie się nie do wytrzymania.

Pies odwrócił się, popatrzył do tyłu na Trávisa, po czym głośno kichnął, wyrażając jakby w ten sposób ironiczny stosunek do tego, co usłyszał.

Nora parsknęła śmiechem.

-Czasami wygląda to tak, jakby on rozumiał każde twoje słowo.

-Czasami - przytaknął Travis.

Kiedy dotarli na miejsce, Nora miała chęć zaprosić go do środka. Nie była jednak pewna, czy takie zaproszenie nie wyda mu się czymś zbyt śmiałym z jej strony, a poza tym bała się, że Travis może je mylnie odczytać. Czula, iż zachowuje się jak bojaźliwa stara panna, że może i powinna mu zaufać, lecz w jej pamięci ożyło nagle wspomnienie ciotki Violet, a w uszach zabrzmiały znowu słyszane tylekroć straszliwe ostrzeżenia przed tym wszystkim, co jej groziło z strony mężczyzny. W rezultacie Nora nie odwążyła się postąpić tak, jak w jej przekonaniu postąpić by należało. Dzień był cudowny, ale uznała, że należy już zakończyć to spotkanie. Bała się, iż jakies zająście mogłoby popsuć całe wspomnienie, nie zostawiając jej niczego dobrego. Ograniczyła się więc do podziękowania za lunch i nawet nie podał mu ręki.

Przytuliła się za to do psa. Einstein dotknął nosem szyi dziewczyny, po czym przeciągnął językiem po jej gardle, zmuszając Nore do chichotu. Czy przedtem, kiedykolwiek w swoim życiu, chichotała? Mogłaby całymi godzinami trzymać retrievera w objęciach i pieścić go czule.

Stojac w otwartych drzwiach patrzyła, jak wsiadają do wozu i odjeżdżają.

Travis pomachał jej ręką.

W odpowiedzi pomachała mu także. Zaraz potem polciezarówka dojechała do zakretu. Nora zawstydzila się swego tchorzostwa, pozalowała, że nie poprosiła Trávisa, by wpadł na chwilę. Już chciała pobiec za nimi i zatrzymać samochód, lecz właśnie w tym momencie Travis skrecił i wóz zniknął za rogiem. Znowu została sama. Z ociąganiem weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi do leżacego poza jej murami weselszego świata.

### 3

Smigłowiec Bell Jet Ranger leciał ponad lesistymi parowami i lysiejacymi grzbietami pogorza Santa Ana. Jego cień sunął z przodu, gdyż było właśnie późne piątkowe popołudnie i słońce chyliło się ku zachodowi. Zbliżając się do końca kanionu Holy Jim, Lemuel Johnson wyjrzał przez okienko. W dole dostrzegł cztery auta ekipy szeryfa, zaparkowane wzdłuż wąskiej, gruntowej drogi. Parę innych samochodów, wśród nich wóz koronera i należący prawdopodobnie do zamordowanego chłopaka cherokee, stało tuż obok kamiennego domku. Polanka była tak niewielka, że pilot z trudem znalazł miejsce do lądowania. Nim jeszcze zgasł silnik, a brązowe łopaty wirnika zaczęły zwalniać swoje obroty, Lem wyskoczył z kabiny i wraz ze swym asystentem, Cliffem Soamesem, pośpieszył w stronę domku. Na spotkanie wyszedł mu Walt Gaines, miejscowy szeryf. Gaines był okazałym mężczyzną o potężnych ramionach i mocno sklepionej klatce piersiowej, miał sześć stop i cztery cale wzrostu, przynajmniej dwieście funtów wagi. Gdyby nie jego twarz, zbyt szeroka i grubo ciosana, ze swymi złocistymi włosami i błękitnymi oczami wyglądałby jak gwiazdor filmowy. Miał pięćdziesiąt pięć lat, wyglądał na czterdziestki, a po dwudziestu latach służby w Marine Corps zachował zwyczaj noszenia krótko obciętych włosów.

Chociaz Lem Johnson byl czarny, i to w sposob tak jednoznaczny, jak Walt byl bialy, choc mierzyl o siedem cali mniej i byl od Walta o jakies szescdziesiat funtow lzejszy, choc pochodził z zamożnej czarnej rodziny, podczas gdy rodzice Walta byli białymi biedakami z Kentucky, choc liczył sobie o dziesięć lat mniej niz szeryf, łączyła ich obu serdeczna przyjaźń. Razem grali w brydża i polowali pod woda na ryby. Z tą samą nigdy nie słabnącą przyjemnością odwiedzali się też w swoich domach i zasiadłszy w ogrodowych fotelach, popijając piwo Corona, roztrzasali skomplikowane problemy tego świata. Ich żony również zapalały przyjaźnia ku sobie, co, zdaniem Walta, zakrawało wręcz na cud, ponieważ "moja kobieta nie polubiła żadnej spośród tych wszystkich osób, które jej przedstawiłem w ciągu trzydziestu dwóch lat".

Lem również własną zżyłość z Waltem Gainesem uważał za coś zdumiewającego, nie należał bowiem do ludzi nawiązujących łatwo przyjaźni. Wiecznie pochłonięty praca, nigdy nie miał tyle czasu, by móc troskliwie pielegnować znajomości w nadziei, że przerodzą się w coś trwalszego. Oczywiście, w wypadku Walta jakakolwiek pielegnacja była zbędna. Przypadli sobie do gustu już przy pierwszym spotkaniu, odkryli w sobie nawzajem podobne zainteresowania i poglądy. Po sześciu miesiącach wzajemnych kontaktów mieli wrażenie, że się znają od dziecka. Lem cenił sobie tę przyjaźń niemal równie wysoko jak małżeństwo z Karen. Powodowane praca napięcie byłoby o wiele trudniejsze do zniesienia, gdyby nie mógł sobie ulżyć podczas rozmów z Waltem.

Gdy tylko łopaty wirnika znieruchomiały i zapadła cisza, Walt Gaines powiedział:

-Zupełnie nie rozumiem, dlaczego morderstwem starego traperę interesują się władze federalne.

-I bardzo dobrze - odrzekł Lem. - Nie zależy nam, żebyś cokolwiek z tego zrozumiał.

-W kazdym razie nie myslalem, ze zjawisz sie tutaj osobiscie.  
Spodziewalbym sie raczej ktoregos z twoich pacholkow.

-Agenci NSA nie lubia, gdy sie ich nazywa pacholkami. Walt popatrzył na Cliffa Soamesa.

-Ale on wlasnie w ten sposob traktuje was, chlopaki, no nie? Jak pacholkow.

-To tyran - potwierdzil Cliff. Mial trzydziesci jeden lat, rude wlosy i piegowata twarz. Wygladem bardziej przypominal młodego duchownego niz funkcjonariusza Agencji Bezpieczenstwa Narodowego.

-No coz, Cliff - podjal Walt Gaines - musisz zrozumiec, skad pochodzi Lem. Jego stary byl poniewieranym czarnym biznesmenem, ktory rocznie nigdy nie zarobil wiecej niz dwiescie tysiecy. Jak wiec widzisz, bardzo go gnebiono i teraz liczy na to, ze Lem zmuszajac was, bialych chlopcow, do skakania na jego skinienie przez obrecze, tak czesto, jak moze, pomsci wszystkie te lata brutalnych przesladowan.

-Kaze mi zwracac sie do siebie "panie" - wtracil Cliff.

-Nie watpie.

Lem westchnal i powiedzial:

-Obaj jestescie rownie zabawni jak bol w pachwinie. Gdzie cialo?

-Tedy, o panie!- Walt wskazal kierunek wyciagnieta reka. Zerwal sie nagle wiatr, liscie pobliskich drzew zaszumialy cicho.

Szeryf, Lem i Cliff weszli do pierwszego z dwoch pokoi domku.

Lem zrozumial natychmiast, skad bral sie zartobliwy ton Walta. Wymuszony humor byl po prostu reakcja obronna: w tym domu wydarzylo sie cos rzeczywiście makabrycznego. Na tej samej



zasadzie ktos, kto noca znalazl sie na cmentarzu, glosnym smiechem  
probowałby zapewne odpędzić duchy.

Na podłodze leżały dwa fotele z poszarpanym obiciem. Podobny los spotkał poduszki z sofy: pod rozdarta w wielu miejscach tkanina widac było obnazona biała gabke. Ze stojącego w kacie regalu ktos powyciagał wszystkie ksiazki, podarł je na kawalki, a następnie rozrzucił po całym pomieszczeniu. Posrod tego pobojuwiska niczym drogocenne kamienie polyskiwały odłamki szkła z rozbitej szyby wielkiego okna. Meble i sciany spryskane były krwia, liczne plamy zaschłej krwi pokrywały także jasna podłogę z sosnowych desek.

Niczym para kruków zajęta poszukiwaniem barwnych nitów mających posłużyć do przyozdobienia gniazda, dwaj ubrani w czarne uniformy technicy z laboratorium ostrożnie szperali po zrujnowanym pokoju. Co jakiś czas ktoryś z nich z cichym pomrukiem chwycił coś peseta i wkładał natychmiast do plastikowej koperty.

Widocznie ciało zostało już zbadane i sfotografowane, bo, opakowane w plastikowy worek, spoczywało obok drzwi, czekając na samochód-chłodnię.

Spoglądając na okryte polprzezroczystą, mleczną folią, rysujące się niewyraźnie zwłoki, Lem zapytał:

-Jak on się nazywał?

-Wes Dalberg - odparł Walt. - Żył tutaj od przeszło dziesięciu lat.

-Kto go znalazł?

-Sasiad.

-Kiedy został zabity?

-Z tego, co wiemy, jakieś trzy dni temu. Być może w nocy z wtorku na srodę. Aby uzyskać potwierdzenie, musimy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych. Ostatnio było bardzo gorąco, a to wpływa na tempo rozkładu.

We wtorek... Tego dnia o swiecie miala miejsce ucieczka z Banodyne. Do nocy Obcy mogl dotrzec az tutaj. Na mysl o tym Lem zadrzal.

-Zimno? - sarkastycznie rzucil Walt.

Lem nie odpowiedzial. Co prawda laczyła ich przyjazn i obaj reprezentowali prawo, choc jeden na szczeblu lokalnym, drugi na federalnym, lecz w tym konkretnym wypadku mieli sprzeczne cele. Zadanie Walta polegalo na poznaniu calej prawdy i przedstawieniu jej opinii publicznej, tymczasem zadaniem Lema bylo utrzymanie wszystkiego w jak najglebszej tajemnicy.

-Smierdzi tu jak cholera - odezwal sie Cliff Soames.

-Powinienes byl to sobie powachac, zanim zapakowalismy klienta do worka - powiedzial Walt. - Cos niesamowitego.

-To nie jest... zwyczajny rozklad? - spytal Cliff.

-Nie tylko - odrzekl Walt wskazujac plamy rozniace sie barwa od krwi.  
- Byly jeszcze fekalia.

-Ofiary?

-Nie sadze - zaprzeczyl Walt.

-Czy poddalicie je jakimś wstepnym badaniom? - zapytal Lem, bardzo sie starajac, by w jego glosie nie bylo slychac zmartwienia. - Ogledziny pod mikroskopem albo cos takiego? - Nic z tych rzeczy. Zabierzemy probki do laboratorium. Sadzimy, ze naleza one do tego czegos, co po wybiciu szyby dostalo sie do srodka.

Odrywajac wzrok od zwlok, Lem powiedzial:

-Chodzi ci o czlowieka, ktory zabil Dalberga.

-To nie byl czlowiek - stwierdzil Walt. - A ty o tym wiesz.

-Nie człowiek? - zdziwił się Lem.

-W każdym razie nie taki jak ty czy ja.

-Coż zatem, według ciebie, mogło to być?

-Sam chciałbym wiedzieć - powiedział Walt, pocierając dłoń krótko ostrzyżony tył głowy. - Sądząc z wyglądu ciała, zabójca miał ostre zęby, być może pazury i niewątpliwie paskudny charakter. Czy taki opis pasuje do tego, czego szukasz?

Lem nie dał się wciągnąć w rozmowę. Zapadło milczenie.

Przez roztrzaskane okno wiatr przyniósł świeży zapach sosny. Odróżniający zaduch nieco osłabł. Jeden z techników powiedział:

-Aha - po czym ze sterty odłamków wyciągnął peseta jakiś drobny przedmiot.

Lem westchnął zmęczony. Sytuacja nie wyglądała za dobrze. Co prawda, nie znajdą aż tak wiele, by pozwoliło im to odpowiedzieć na pytanie, co zabiło Dalberga, jednakże zbiorą dane, które wzbudzą w nich olbrzymią ciekawość. Tymczasem sprawa wiązała się z bezpieczeństwem państwa i o zaspokajaniu ciekawości cywilów nie mogło być mowy. Będzie musiał przerwać ich dochodzenie. Miał nadzieję, że uda mu się to zrobić tak, by Walt się nie rozgniewał. Wyglądało na to, że ich przyjaźń poddana zostanie trudnej próbie.

Spojrząwszy po raz kolejny już z kolei na owinięte w folię zwłoki, Lem zdał sobie nagle sprawę, że coś tu jest nie w porządku.

-Przecież on nie ma głowy - powiedział.

-Przed wami, chłopcami z federalnej, nic się nie da ukryć - zauważył Walt.

-Obcięto mu głowę? - z niepokojem zapytał Soames.

-Tedy. - Walt wskazał im przejście do drugiego pomieszczenia. Znaleźli się w dużej, choć prymitywnie urządzonej kuchni, ze sterczącą nad zlewem ręczną pompą i staroswieckim piecem na drewno. Poza głową w kuchni nie było widac śladów przemocy. Oczywiście, już sama głowa stanowiła wystarczająco makabryczny widok. Leżała sobie na talerzu pośrodku stołu.

-Jezu - wyszeptał Cliff.

Policyjny fotograf robił zdjęcia głowy w różnych ujęciach. Choć jeszcze nie wykonał do końca swego zadania, odsunął się na bok, by mogli przyjrzyć się jej bez przeszkód.

Głowa pozbawiona została oczu. Po wyrwanych gąbkach pozostały jedynie głębokie niczym studnie oczodoly.

Cliff Soames pobałdl tak bardzo, że przez kontrast jego piegi wyglądały jak płonące na powierzchni skóry małe ogniki.

Lem poczuł mdłości, nie tylko na widok tego, co spotkało Wesa Dalberga, lecz również na myśl o wszystkich tych śmierciach, które miały jeszcze nastąpić. Wiedział, że jest znakomity, gdy chodzi o kierowanie ludźmi i prace dochodzeniowe, miał pewność, że właśnie on tę sprawę poprowadzi najlepiej. Będąc jednak równocześnie trzeźwym pragmatykiem, nie zamierzał bynajmniej nie doceniać przeciwnika lub udawać, iż ten koszmar wkrótce się skończy. Będzie potrzebował czasu, cierpliwości i szczęścia, żeby wytropić zbrojce, a zanim to nastąpi, liczba ofiar na pewno się powiększy.

Głowa nie została odcięta; szyja była za bardzo poszarpana. Oderwano ją od ciała za pomocą kłów i pazurów.

Dłonie Lema stały się nagle wilgotne.

To dziwne... miał wrażenie, że puste oczodoly przenikają go na wylot, jak gdyby nadal tkwiły w nich uważnie patrzące oczy.

Czul, jak wzdłuż kregoslupa ścieka mu pojedyncza kropelka potu. Bał się bardziej niż kiedykolwiek przedtem - nigdy nie wyobrażał sobie nawet, że mogłoby się kiedyś tak bac - równocześnie jednak w żadnym wypadku nie zrezygnowałby z tej sprawy. Interes państwa oraz bezpieczeństwo publiczne wymagały, by prowadzono ją w sposób bezbłędny, a Lem wiedział, że nikt nie zrobi tego lepiej od niego. Wszyscy uważali, że on jest najlepszy i tak rzeczywiście było. Miał prawo do dumy ze swoich osiągnięć, nie lubił fałszywej skromności. To była jego sprawa, więc doprowadzi ją do końca.

Rodzice wpoili mu niemal nadmierne poczucie obowiązku i odpowiedzialności. "Czarny - mawiał ojciec - chcąc zdobyć czyjeś zaufanie, musi wykonywać swoją pracę dwa razy lepiej niż biały. Nie warto się tym przejmować ani protestować przeciwko temu. Takie jest po prostu życie. Równie dobrze mogłbyś protestować przeciwko panującym zimą chłodom. Zamiast protestować, należy stawiać czoło faktom, pracować dwukrotnie ciężiej, a wtedy na pewno dopniesz swego. Musisz osiągnąć sukces, ponieważ reprezentujesz wszystkich swoich braci".

Wychowany w ten sposób, Lem zawsze całkowicie i bez wahania angażował się w każde powierzone mu zadanie - nie potrafił zachować się inaczej. Nie cierpiał porażek, doznawał ich bardzo rzadko, lecz za każdym razem, gdy pomysłowe rozwiązanie jakiejś sprawy, którą uważał za zakończoną, oddalało się znowu na wiele tygodni, popadał w depresję.

-Czy mogę pomówić z tobą w cztery oczy? - zapytał Walt, kierując się ku otwartym bocznym drzwiom.

Lem skinął głową, po czym, zwracając się do Cliffa, powiedział:

-Zostan tu. Dopilnuj, żeby nikt - patolog, fotograf, mundurowi, nikt - nie opuścił tego miejsca, dopóki nie skończymy naszej rozmowy.

-Tak jest - rzucił Cliff. Ruszył pośpiesznie do pierwszego pokoju, aby poinformować wszystkich o zaleceniach szefa, a jednocześnie

znalezc sie tak daleko, jak to bylo mozliwe, od okaleczonej glowy.

Lem podazyl za Waltem Gainesem i znalazl sie na tybach domu, na niewielkiej polance. Dostrzegl lezace na ziemi metalowe wiadro i rozrzucone wokol niego kawalki drewna. Przystanal, aby je sobie dokladniej obejrzec.

-Sadzimy, ze wlasnie tutaj wszystko sie zaczelo - powiedzial Walt. - Zapewne Dalberg wyszedl po drewno do kominka. Cos wypadlo spomiedzy tamtych drzew, cisnal wiec wiadrem w te strone i uciekl do domu.

Stali na skraju polany w potokach krwawego swiatla wysylanego przez wieczorne slonce, zapatrzeni w purpurowe cienie i tajemnicze, zielone glebie lasu.

Lem czul sie nieswojo. Zastanawial sie, czy uciekinier z laboratorium Weatherby'ego wciaz jeszcze przebywa w poblizu.

-Wiec o co tutaj chodzi? - zaczal Walt.

-Nie moge powiedziec.

-Bezpieczenstwo narodowe?

-Wlasnie.

Wydalo mu sie, ze poprzez poszum kolysanych lagodnym wiatrem swierkow, sosen i sykomor slyszy czyjes ostrozne kroki.

Oczywiscie, to tylko wyobraznia. A przeciez mimo wszystko zrobilo mu sie troche lzej na mysl, ze obaj z Waltem sa uzbrojeni w godne zaufania pistolety, tkwiace pewnie w umocowanych do ramion kaburach.

-Mozesz sobie trzymac jezyk za zebami - powiedzial Walt - jesli ci na tym zalezy, lecz ja i tak cos niecos wiem. Nie jestem jeszcze

kompletnym durniem.

-Nigdy tak nie myślałem.

-We wtorek rano wszystkie jednostki policji w okregach Orange i San Bernardino otrzymały z twojej Agencji pilna wiadomość - polecono przygotować się do wzięcia udziału w obławie. Szczegóły miały nadejść wkrótce. W okolicy dosłownie zawrzało. Wiemy, jaki jest zakres waszej odpowiedzialności - czuwanie nad bezpieczeństwem badań dotyczących obronności, niedopuszczanie do tego, by sikający wódka Rosjanie wykradali nasze tajemnice. A ponieważ w południowej Kalifornii ma swoją siedzibę przeszło połowa firm pracujących na potrzeby wojska, wiele można tutaj ukrąść.

Lem milczał, nie spuszczać wzroku ze ściany lesnej zieleni.

-Tak więc - ciągnął Walt - sadziliśmy, że będziemy szukać jakiegoś rosyjskiego agenta z trefnym towarem i cieszyliśmy się, że nadarzy się nam okazja dać komus w dupę w imieniu Wujka Sama. Jednakże już około południa, zamiast podać bliższe szczegóły zgodnie z zapowiedzią, twoja Agencja odwołała całą akcję. Żadnej obławy. Panujemy nad sytuacją, powiedziałło wasze biuro. Alarm został ogłoszony przez pomyłkę.

-To prawda. - Agencja doszła do przekonania, że działań lokalnej policji nie da się kontrolować w należyтым stopniu, a zatem nie powinno się jej powierzać tego zadania. Uznano, że należy użyć wojska. - Ogłoszono go przez pomyłkę.

-Akurat. Po południu tego samego dnia dotarła do nas wiadomość, że smigłowiec piechoty morskiej z El Toro pojawiły się u podnóża Santa Ana. A w środę rano setka komandosów przerzucona z Camp Pendleton zaczęła przeczesywać teren za pomocą sprzętu elektronicznego.

-Słyszałem o tym, ale to nie ma nic wspólnego z moją agencją - zapewnił Lem.



Walt starał się nie patrzeć na niego. Wiedział, że Lem kłamie, wiedział, że musi kłamać, i czuł, że patrzeć mu w tym momencie prosto w oczy, naruszyłby dobre obyczaje. Walt Gaines, choć sprawiał wrażenie gruboskornego i nieobytego, był w rzeczywistości człowiekiem niezmiernie wrażliwym i uczynnym dla przyjaciół.

Równocześnie był jednak szeryfem, do którego obowiązków należało dotarcie do prawdy, nawet wówczas, gdy Lem nie chciał mu nic powiedzieć.

Dlatego też po chwili rzekł:

-Komandosi mówili, że są to zwykłe ćwiczenia.

-Słyszałem dokładnie to samo,

-O wszystkich ćwiczeniach zawiadamiani jesteśmy na dziesięć dni naprzód.

Lem nic nie odpowiedział. Gotów był przysiąc, że dostrzegł coś w glebi lasu, jakiś chybotliwy cień, ciemniejsza plama słońca pod baldachimem sosnowych gałęzi. - No więc, ci komandosi przebywali w okolicy całej srode i poł czwartku. Kiedy jednak o "ćwiczeniach" zwrócili się reporterzy i zaczęli węszyć wokół sprawy, wojsko dostało nagle rozkaz, żeby się pakować i wracać do bazy. Wyglądało to prawie tak... jakby obiekt ich poszukiwań był na tyle kłopotliwy, a zarazem objęty tak ścisłą tajemnicą, że woleliby go raczej w ogóle nie znaleźć, niż pozwolić, by o jego istnieniu dowiedziała się prasa.

Zezując w stronę lasu, Lem usiłował przebić wzrokiem wciąż gestniejący mrok w nadziei, że ponownie uda mu się pochwycić tajemniczy ruch.

-Wczoraj po południu Agencja prosiła, aby na bieżąco informować ją o wszelkich "niezwykłych meldunkach, nietypowych napasciach lub szczególnie brutalnych morderstwach" - powiedział Walt. - My prosimy o wyjaśnienia, lecz nie dostajemy żadnej odpowiedzi.

Tam. Lekkie poruszenie posrod galezi. Jakies osiemdziesiat stop od skraju polany. Cos przemieszczalo sie ukradkiem miedzy dwoma plamami cienia. Lem wsunal prawa dlon pod marynarkę i zmacal kolbe tkwiacego w kaburze pod pacha pistoletu.

-No i zaraz następnego dnia znajdujemy tego biednego sukinsyna Dalberga rozdartego na strzepy - i jest to przypadek niezwykle jak cholera, a do tego tak brutalny, że aż strach pomysleć. A dzisiaj zjawiasz się tutaj ty, Lemuel Asa Johnson, dyrektor Biura Agencji Bezpieczeństwa Narodowego na południową Kalifornię, i wiem bardzo dobrze, że pofatygowales się smiglowcem w te strony nie po to, by zapytać mnie, czy na jutrzejszego brydza masz kupić piwo czy whisky.

Ruch powtórzył się w odległości znacznie mniejszej niż osiemdziesiąt stop. Lem dał się zwiesić grze cieni i dziwnie zniekształcającemu kształty światła wieczornego słońca sączącemu się pomiędzy galeziami drzew. Jakies stworzenie czaiło się w krzakach oddalonych najwyżej o czterdzieści stop i naraź ruszyło prosto na nich, skoczyło ku nim roztracając zarosła na skraju polany. Lem krzyknął, wyszarpnął z kabury pistolet i mimo woli cofnął się o parę kroków, nim przyjął postawę strzelecką, rozstawiając szeroko nogi i trzymając broń w obu dłoniach.

-To tylko jelen - powiedział uspokajająco Walt Gaines. Rzeczywiście. To był tylko jelen.

Zwierze przystanęło pod nawisłymi galeziami świerka i ze zdziwieniem popatrzyło na nich dużymi brązowymi oczami.

-Sa tak przyzwyczajone do ludzi w kanionie, że zachowują się prawie jak oswojone - wyjaśnił Walt.

Lem wypuścił z płuc powietrze, po czym wsunął pistolet do kabury. Wyczuwając ich napięcie, jelen zawrócił i szybko zniknął w lesie. Walt obrzucił Lema uważnym spojrzeniem.

-O co chodzi, chłopie?

Lem nie odpowiedział. Wytarł dłonie o polę marynarki.

Wiatr przybrał na sile, stał się nieco chłodniejszy. Nadciągał zmierzch.

-Nigdy przedtem nie widziałem cie tak wystraszonego - powiedział Walt.

-To wina kofeiny. Wypilem dziś za dużo kawy.

-Gówno prawda.

Lem wzruszył ramionami.

-Wygląda na to, że Dalberga zabiło jakieś dzikie zwierze wyposażone w mnóstwo zębów i pazurów - podjął po chwili Walt. - Tylko że żadne pieprzone zwierze nie zdolaloby ustawić starannie talerza z ludzką głową na środku kuchennego stołu. To obłąkany żart. Zwierzeta nie robią żartów. Ani obłąkanych, ani żadnych innych. Cokolwiek zabiło Dalberga... posłużyło się głową, żeby nam nauragać. Z czym, na miłość boską, mamy do czynienia?

-Nie dowiesz się tego. Zresztą nie musisz, bo przejmuje tę sprawę.

-Akurat.

-Mam do tego prawo - odparł Lem. - To sprawa wagi państwowej, Walt. Konfiskuje wszystkie zebrane przez twoich ludzi dowody, wszystkie napisane do tej pory raporty. Ani ty, ani twoi ludzie nie macie prawa opowiadać nikomu o tym, co tutaj widzieliście. Nikomu. Twoje nazwisko trafi do kartoteki dotyczącej tej sprawy, ale na twojej karcie znajdzie się jedynie podpisane przeze mnie pismo podające podstawy prawne włączenia się do działań władz federalnych. Nic więcej. Od tej chwili znajdujesz się poza dochodzeniem. Niezależnie od tego, co się stanie, nikt nie będzie mógł mieć do ciebie pretensji, Walt.

-Cholera.

-Daj sobie spokój.

-Musze wiedziec... - jeknal Walt.

-Daj spokój.

-...czy ludziom z mego okregu grozi niebezpieczenstwo. Powiedz mi przynajmniej tyle.

-Tak.

-Sa zagrozeni?

-Tak.

-A gdybym cie nie usluchal, gdybym nadal dzialal na wlasna reke, to czy moglbym zrobic cos, co pozwoliloby zmniejszyc niebezpieczenstwo, ochronic ludzi?

-Nie. Nic - odparl Lem zgodnie z prawda. - Tak wiec nie ma powodu, zeby ci sie przeciwstawiac?

-Najmniejszego - powiedzial Lem.

Ruszyl w strone domu, gdyz szybko sie sciemnialo, a nie chcial stac w poblizu drzew po zapadnieciu zmroku. Widzial tylko jelenia, to prawda, lecz co sie moze ukazac nastepnym razem?

-Zaczekaj chwile - poprosil Walt. - Pozwol, ze powiem ci, co o tym wszystkim mysle. Chce tylko, zebyś mnie wysluchal. Nie musisz niczego potwierdzac ani niczemu zaprzeczac.

-No dobrze, zaczynaj - rzucil niecierpliwie Lem.

Slonce zrownalo sie juz z linia horyzontu. Drzewa kladly dlugie cienie na wyschnietej trawie polany. Walt przeszedl z cienia w miejsce rozswietlone promieniami gasnacego slonca i stal przez chwile z oczami utkwionymi w ziemie u swych stop, trzymajac dlonie w tylnych

kieszeniach spodni. Zebrawszy myśli, powiedział:

-We wtorek po południu w domu w Newport Beach ktoś zastrzelił mężczyznę o nazwisku Yarbeck oraz zatłukł na śmierć jego żonę. Noca tego samego dnia zamordowano rodzinę w Laguna Beach - męża, żonę, a także ich kilkunastoletniego syna. Policja obu okręgów korzysta z usług tego samego laboratorium medycyny sądowej, toteż bardzo szybko ustalono, że w obu przypadkach sprawca posłużył się identyczną bronią. I to mniej więcej wszystko, czego dowiedziała się policja, gdyż także i na tych sprawach położyła łapę Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Kierując się troską o interes państwa.

Lem milczał w dalszym ciągu. Załował już, że zgodził się słuchać. Osobście nie kierował dochodzeniem w sprawie zabójstw naukowców, niemal na pewno zainspirowanych przez Sowieć. Przekazał ją kolegom, by bez żadnych przeszkód móc się skoncentrować na poszukiwaniach psa i Obcego.

Słońce przypominało krąg pomarańczowego ognia. W oknach domu odbijał się jego słabnący blask.

-Do tego dochodzi jeszcze doktor Davis Weatherby z Corona del Mar. Zginął we wtorek. Dzisiaj rano brat odnalazł jego zwłoki w bagażniku samochodu. Ekipa dochodzeniowa przybyła na miejsce, zanim zjawili się tam agenci.

Lem poczuł lekki niepokój, oceniając szybkość, z jaką szeryf zebrął, posegregował i opracował informacje napływające z różnych miejscowości położonych poza jego okręgiem, a tym samym nie podlegających jego władzy.

Walt wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu.

-Nie spodziewałeś się, że połączę ze sobą wszystkie te dane, co? Każda ze zbrodni popełniona została w innym okręgu, ja jednak wychodzę z założenia, że ten region stanowi jedno rozległe miasto o dwóch milionach mieszkańców i dlatego staram się jak najciszej

współpracować ze wszystkimi sąsiadami.

-Jakie są twoje wnioski?

-Uważam za rzecz wysoce zdumiewająca zamordowanie sześciu ogólnie szanowanych obywateli w ciągu jednego dnia. Mimo wszystko Orange County to nie Los Angeles. Jeszcze bardziej zdumiewa fakt, iż wszystkie te zbrojstwa wiążą się bardzo ściśle ze sprawami dotyczącymi bezpieczeństwa państwa. Obudziło to moją ciekawość. Zaczęłem badać przeszłość tych ludzi, szukać czegoś, co ich łączyło...

-Walt, na miłość boską!

-...i odkryłem, że wszyscy oni pracują, bądź też pracowali, w instytucji o nazwie Laboratoria Banodyne.

Lem nie rozzłościł się. Nie potrafił się złościć na Walta - byli sobie bliźsi niż bracia - jednakże bystrość umysłu jasnowłosego olbrzyma doprowadziła go w tej chwili niemal do szalu. Powiedział:

-Posłuchaj, nie masz prawa prowadzić takiego dochodzenia.

-Nie zapominaj, że jestem szeryfem.

-Ale ściśle biorąc, żadne z tych morderstw, z wyjątkiem Dalberga, nie zostało popełnione na twoim terenie - odrzekł Lem. - A nawet gdyby... od tej chwili, gdy do akcji wkracza Agencja, nie wolno ci kontynuować dochodzenia. Właściwie zabrania ci tego prawo.

Zupełnie ignorując jego słowa, Walt powiedział:

-Przyjrzałem się bliżej pracy Banodyne. Wyobraź sobie, że zajmują się tam inżynieria genetyczna, rekombinowanym DNA...

-Jestes niepoprawny.

-Nic nie wskazuje na powiązania Banodyne z pracami na rzecz

obronności, lecz to jeszcze nic nie znaczy. Moga istnieć tajne umowy, badania objęte tajemnicą w tym stopniu, że źródła ich finansowania nie są nawet odnotowane w ogólnie dostępnych wykazach.

-Jezu! - wykrzyknął Lem poirytowanym głosem. - Czy nie rozumiesz, że broniąc bezpieczeństwa kraju możemy stać się bardzo nieprzyjemni?

-Przecież to tylko spekulacje - odrzekł Walt.

-Ktore cię zaprowadza prosto do więziennej celi.

-Słuchaj, Lem, nie pozwólmy, by nasza rozmowa przybrała charakter brzydkiej rasowej konfrontacji.

-Jesteś niepoprawny.

-Tak, a ty się powtarzasz. W każdym razie sporo nad tym myślałem i doszedłem do wniosku, że zabójstwa tych pracujących w Banodyne ludzie muszą pozostawać w jakimś związku z poszukiwaniami prowadzonymi przez komandosów w środę i czwartek oraz ze śmiercią Wesa Dalberga.

-Nie ma żadnego podobieństwa pomiędzy morderstwem Dalberga a pozostałymi przypadkami.

-Oczywiście, że nie. Sam to widzę. Po prostu zmienił się morderca. Yarbeckow, Hudsonow i Weatherby'ego załatwił zawodowcem, natomiast nieszczęsny Dalberg został rozdarty na strzępy. A jednak, na Boga, coś musi łączyć te zabójstwa, gdyż inaczej byś się tym nie interesował, i tym czymś jest na pewno Banodyne.

Słońce kryło się już za horyzontem. Z każdą chwilą cienie się wydłużały.

-Wyobrazam to sobie mniej więcej tak - powiedział Walt - pracowali tam nad jakimś nowym wirusem, genetycznie zmienionym zarazkiem,

ktory w pewnej chwili wymknal sie spod kontroli i kogos zakazil.  
Choroba wywolala powazne uszkodzenia mozgu, sprawiajac, ze  
zarazony czlowiek przemienil sie w krwiozercza bestie albo cos w tym  
rodzaju...

-Taki wspolczesny doktor Jekyll wieku wysoko rozwinietej techniki? -  
sarkastycznie wtracil Lem.

...i uciekl z laboratorium, zanim ktokolwiek odkryl, co sie z nim stalo.  
Ukryl sie w gorach, przybyl tutaj i zaatakowal Dalberga.

-Czyzbys zbyt czesto ogladal kiepskie horrory?

-Jesli chodzi o Yarbecka i pozostalych, mogli zostac wyeliminowani,  
poniewaz wiedzieli, co zaszlo, i tak bardzo obawiali sie nastepstw, ze  
postanowili poinformowac o wszystkim opinie publiczna.

W glebi kanionu rozleglo sie miekkie, zawodzace wycie.  
Prawdopodobnie kojot.

Lem pragnal jak najszybciej znalezc sie dalej od mrocznej sciany lasu,  
czul jednak zarazem, ze musi najpierw uporządkowac sprawy z  
Waltem Gainesem, odwiesc go od dalszych dociekan w tym kierunku.

-Postawmy sprawe jasno, Walt. Czy chcesz powiedziec, ze rzad  
Stanow Zjednoczonych kazal zamordowac swoich wlasnych  
naukowcow, aby ich uciszyc?

Walt zmarszczyl brwi. Taki scenariusz byl w znikomym stopniu  
prawdopodobny, a wlasciwie zupełnie nie wchodzil w rachube.  
Tymczasem Lem ciagnal dalej:

-Czy wedlug ciebie zycie to naprawde powiesc Ludluma? Mielibysmy  
zabijac wlasnych ludzi? Czyzbysmy obchodzili wlasnie Miesiac  
Paranoi Narodowej? Wierzysz rzeczywiscie w takie bzdury?

-Nie - przyznal Walt.



-Czy zabojca Dalberga mogl byc istotnie uczony z uszkodzonym mozgiem? Przeciez niedawno sam wspominales o jakimś zwierze z pazurami i ostrymi zębami.

-Okay, okay, nie wzięłem tego pod uwagę. Pewne rzeczy mi umknęły, ale jestem pewien, że wszystko to pozostaje w związku z Banodyne. Trop, którym podążam, nie jest chyba zupełnie fałszywy, co?

-Niestety jest - odparł Leni. - Od początku do końca.

-Naprawdę?

-Naprawdę. - Lem czuł się paskudnie okłamując Walta, dla dobrej sprawy brnął jednak dalej. - Właściwie nie powinienem ci nawet mówić, że obrales złý kierunek, sądząc jednak, iż jako przyjacielowi jestem ci coś niecos winien.

Do płynącego pomiędzy drzew wycia dołączyły się nowe dzikie głosy i stało się oczywiste, że te niepokojące dźwięki wydaje po prostu stado kojotów. Lem wiedział o tym bardzo dobrze, a jednak przeniknął go dreszcz i odczuł jeszcze silniejsze pragnienie, żeby oddalić się stąd.

Pocierając dłoń swoją byczy kark, Walt powiedział:

-Więc twierdzisz, że to wszystko nie ma nic wspólnego z Banodyne?

-Nic a nic. To czysty przypadek, że zarówno Weatherby, jak i Yarbeck pracowali w Banodyne i że Hudston był tam kiedyś zatrudniony. Jeśli będziesz obstawał przy swojej teorii, nie posuniesz się nawet o krok do przodu, co zresztą bardzo mi odpowiada.

Słońce zniknęło za horyzontem i można było pomyśleć, że nad pociemniałym światem otwarto jakieś drzwi, przez które wypadł znacznie chłodniejszy wiatr i przemknął nad czarną już ścianą lasu.

Wciąż pocierając szyję, Walt zapytał:

-A wiec nie Banodyne, tak? - Westchnal. - Za dobrze cie znam, stary. Masz tak silnie rozwiniete poczucie obowiazku, ze oklamalbys wlasna matke, gdyby tylko interes kraju tego wymagal.

Lem milczal.

-No dobrze - powiedzial Walt. - Dam sobie z tym spokoj. Od tej chwili to twoja sprawa. Dopoki na moim terenie nie zgina nastepni ludzie. Jezeli to sie stanie... no coz, wowczas byc moze sprobuje ponownie podjac dzialania na wlasna reke. Nie moge ci obiecac, ze tego nie zrobie. Jak ci wiadomo, ja takze mam poczucie obowiazku.

-Wiem o tym - przytaknal Lem. Czul sie winny wobec przyjaciela, czul sie jak gowniarz.

Obaj powrocili wreszcie do domku.

Niebo - ciemne na wschodzie, wciaz jeszcze rozjasnione pomaranczowymi, czerwonymi i purpurowymi smugami na zachodzie - zdawalo sie opadac w dol niczym ogromne, zamykajace sie nad swiatem wieko. Z oddali dobiegalo wycie kojotow. Gdzies spomiedzy drzew odpowiedzial im inny glos. Puma, pomyslal Lem, dobrze wiedzac, ze tym razem oszukuje juz samego siebie.

4

W niedziele, w dwa dni po udanej piatkowej randce, Travis zawiozl Nore do Solvang, zbudowanego w stylu dunskim osiedla w dolinie Santa Ynez. Byla to typowa turystyczna miejscowosc, z setkami sklepow, w ktorych sprzedawano wszystko, od doskonałych skandynawskich krysztalow po plastikowe imitacje dunskich kufli do piwa. Prosta przyjemnosc, jaka im sprawialo ogladanie wystaw, byla tym wieksza, ze szli ulicami ocienionymi rzadami dorodnych drzew, a architektura otoczenia odznaczala sie autentyczna oryginalnoscia. Podczas przechadzki Travis kilkakrotnie przylapal sie na tym, ze chce ujac dlon Nory w swoja dlon. Uznal ten odruch za calkowicie naturalny, czul jednak, ze dziewczyna nie jest byc moze

jeszcze przygotowana nawet na tak niewinny kontakt jak trzymanie się za rękę.

Nora miała na sobie kolejną brzydka sukienkę, tym razem szaro-niebieska i równie workowata jak poprzednia. Bardziej praktyczne niż ładne buty. Gęste, ciemne włosy opadały bezładnie, podobnie jak wtedy, gdy widział ją po raz pierwszy.

Być przy niej oznaczało dlań czystą radość. Miała łagodne usposobienie, była wrażliwa i uprzejma; zbierał wciąż nowe tego dowody. Jej niewinność działała odświeżająco. Jej wstydlivość i skromność, choć nadmierne, podbiły serce Trávisa. Patrzyła na świat szeroko otwartymi oczami, a on odczuwał szczególną przyjemność, gdy udawało mu się wzbudzić jej podziw i zainteresowanie czymś zupełnie prostym: sklepem, gdzie sprzedawano wyłącznie zegary z kukułką; innym, w którym oferowano jedynie wypchane zwierzęta; pozytywką z drzewczkami z masy perłowej, które otwierały się, odsłaniając wirującą baletnicę.

Kupił jej bawełnianą koszulkę, kazał wykonać na niej napis i pozwolił jej go przeczytać dopiero wówczas, gdy już był ukończony: NORA KOCHA EINSTEINA. Choć stwierdziła, że nigdy nie włoży czegoś takiego, bo to nie w jej stylu, Travis wiedział, że po jakimś czasie zmieni zdanie, gdyż rzeczywiście darzyła go uczuciem.

Być może Einstein nie potrafił odczytać wydrukowanych na koszulce słów, zdawał się jednak pojmować ich znaczenie. Kiedy wyszli ze sklepu i odwiązali przymocowaną do parkometru smycz, Nora rozpostarła koszulkę przed nosem retrievera, ten zaś najpierw przez chwilę wpatrywał się w nią z wyrazem wielkiej powagi, a potem radośnie zaczął lizać dziewczynę po twarzy.

Przeżyli w tym dniu tylko jeden nieprzyjemny moment. Skreślił właśnie za róg i zbliżali się do kolejnej wystawy sklepowej, gdy Nora przystanęła nagle, a następnie powiodła spojrzeniem po klebiącym się na chodniku tłumie - ludzie jedzący lody w wielkich

waflowych rozkach albo owinięte w woskowy papier porcje szarlotki, mężczyźni w przyozdobionych piorami kowbojskich kapeluszach, które kupili w jednym ze sklepów, słiczone młode dziewczyny w opiętych szortach, bardzo otyła kobieta w złotej sukience, grupki rozmawiające po angielsku, hiszpańsku, japońsku, wietnamsku, a także we wszystkich innych językach, jakie zawsze można usłyszeć w każdym ośrodku turystycznym na terenie południowej Kalifornii. Jej wzrok powędrował jeszcze ponad ruchliwą ulicą w stronę trzypiętrowego sklepu z pamiątkami, zbudowanego w kształcie wiatraka z drewna i kamienia, po czym nagle zeszytywniała, a jej twarz przybrała taki wyraz, jaki widzi się u osób ciężko chorych.

Travis musiał doprowadzić ją do ławki w niewielkim parku, gdzie siedziała przez kilka minut wstrząsana gwałtownymi dreszczami, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

-Przeładowanie - powiedziała wreszcie drżącym głosem. - Tyle tego wszystkiego... nowe widoki... nowe dźwięki... tyle różnych rzeczy naraz. Tak mi przykro.

-Nic się nie stało - odparł głęboko poruszony.

-Przywykłam do świata ograniczonego do kilku pokoi, znajomego otoczenia. Czy ludzie się na mnie gapia?

-Nikt niczego nie zauważył. Zresztą, nie ma się na co gapić.

Siedziała z opuszczonymi ramionami, ze zwieszoną głową, przycisnąwszy" do piersi zwinie w pięści dłonie. Einstein położył głowę na jej kolanach i dopiero pieszcząc psa, zaczęła się stopniowo uspokajać.

-Świetnie się bawiłam - powiedziała, nadal nie podnosząc głowy - naprawdę świetnie, i w pewnej chwili pomyślałam sobie, jak daleko jestem od domu, jak cudownie daleko...

-Nie tak bardzo. Zaledwie o niecałą godzinę jazdy - uspokoił ją.

-To bardzo, bardzo długa droga.

Travis pomyślał, że dla niej rzeczywiście mogła to być oszalamiająca odległość.

-A kiedy uswiadomiłam sobie, jak bardzo oddaliłam się od domu, jakie... wszystko wokół jest inne... wpadłam w panikę. Jak dziecko.

-Chcesz wracać do Santa Barbara? - Nie! - rzuciła zdecydowanie, patrzeć mu wreszcie prosto w oczy. Potrząsnęła głową. Zdobyła się na odwagę i powiodła spojrzeniem po przechadzających się alejkami parku, popatrzyła na zbudowany w kształcie wiatraka sklep z pamiątkami. - Nie. Chce zostać tutaj. Przez cały dzień. Chce zjeść obiad w restauracji. Nie w kafejce na chodniku, tylko pod dachem, tak jak inni ludzie, a potem wrócić do domu, kiedy będzie już ciemno. - Zamrugnęła szybko oczami, jakby nie wierząc własnym uszom, i powtórzyła ostatnie słowa: - Kiedy będzie już ciemno.

-W porządku.

-Chyba że, oczywiście, ty zamierzasz wrócić wcześniej.

-Nie, nie. Planowałem wyjazd na cały dzień.

-To bardzo uprzejme z twojej strony. Travis uniosł brwi.

-Co masz na myśli?

-Dobrze wiesz.

-Obawiam się, że nie.

-To, że pomagasz mi wejść w świat - wyjaśniła. - Poswiecasz swój czas, żeby pomóc komuś... takiemu jak ja. Postępujesz bardzo szlachetnie.

Poczuł bezbrzeszne zdumienie.

-Noro, pragne cie zapewnic, iz to, co robie, nie ma nic wspolnego z dzialalnoscia charytatywna!

-Jestem pewna, ze mezczyzna taki jak ty ma ciekawsze zajecia w majowa niedziele po poludniu.

-Alez oczywiscie - odrzekl z ironia w glosie. - Moglem zostac w domu i wyczyszcic wszystkie buty na wysoki polysk szczoteczka do zebow albo policzyc nitki w pudelku makaronu.

Wpatrywala sie w niego z niedowierzaniem.

-Na Boga, ty naprawde myslisz, ze jestem tutaj, poniewaz sie nad toba lituje?

Zagryzla wargi i powiedziala:

-W porzadku. - Popatrzyla znowu na psa. - To mi nie przeszkadza.

-Ale ja nie robie tego z litosci. Zrozum to, na milosc boska! Przyjechalem tutaj, bo lubie byc z toba, naprawde. Bo bardzo mi sie podobasz.

Choc miala spuszczone glowe, widac bylo, jak jej policzki zalewa ciemny rumieniec.

Zapanowala cisza.

Einstein wpatrywal sie z czuloscia w pieszczaca go dziewczyne, jednak od czasu do czasu przenosil wzrok na Trvisa, jak gdyby chcial powiedziec: no dobra, zrobiles pierwszy krok na drodze ku blizszej znajomosci, wiec nie siedz jak glupek, powiedz cos, rusz sie, kuj zelazo poki gorace.

Przez pare minut drapala retrievera za uszami, gladzila go po grzbiecie, po czym wreszcie powiedziala:

-W porzadku, juz mi przeszlo.

Opuszcili park i poszli znowu ulica, przyglądając się mijanym sklepom. Oboje zachowywali się tak, jakby ani jej krótki atak paniki, ani jego niezdarne wyznanie uczuć nie miały w ogóle miejsca.

Miał wrażenie, że próbuje poderwać zakonnicę. Wkrótce uswiadomił sobie, iż sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Od śmierci żony przed trzema laty był w celibacie. Cała sfera kontaktów seksualnych wydawała mu się czymś dziwnym i jakby zupełnie nowym, toteż, prawdę mówiąc, wyglądało to raczej tak, jakby ksiądz zalecał się do zakonnic.

Co parę domów napotykali na swojej drodze cukiernie, a wyeksponowane na wystawie każdej z nich wyroby wyglądały bardziej apetycznie niż oglądane w poprzednim miejscu. Ciepłe wiosenne powietrze przesycone było zapachem cynamonu, cukru pudru, galki muszkatołowej, migdałów i jabłek.

Przed każdą cukiernią Einstein wspinał się na zadnie łapy, przednie stawiał na parapecie okna i tęsknym wzrokiem spoglądał na pomysłowo spiętrzone za szybą sterty ciastek. Ani razu nie próbował jednak wbiec do środka i nawet nie szczeakał. Dopominał się o smakoliki dyskretnym, żalonym piskiem, jak gdyby nie chciał wystraszyć tłoczących się dookoła turystów. Kawalek orzechowej krowki oraz szarlotka w zupełności go usatysfakcjonowały i więcej już o słodczyce nie zebrał.

W dziesięć minut później Einstein dał Norze pokaz swej wyjątkowej inteligencji. Retriever polubił ją od samego początku, był przymilny, wesół i sprawował się bez zarzutu, wykazał też mnóstwo inicjatywy przy schwytaniu Arthura Strecka, lecz nigdy dotąd nie zademonstrował jej swoich nadzwyczajnych jak na psa zdolności umysłowych. Zresztą i teraz, gdy to właśnie uczynił po raz pierwszy, nie od razu zrozumiała sens tego, co działo się na jej oczach.

Przechodzili właśnie obok apteki prowadzącej również sprzedaż gazet i czasopism, z których część wyłożono na zewnątrz, na ustawionym

obok wejścia stojaku. Zupełnie nieoczekiwanie Einstein wyszarpnął smycz z dłoni Nory i jak szalony pomknął w stronę stojaka. Nim ktoreś z nich obojga zdążyło zareagować, pies wyciągnął zębami jakiś magazyn, przybiegł z powrotem, po czym złożył czasopismo u stóp Nory. Była to Nowoczesna Panna Młoda. Travis próbował schwytac psa, ale Einstein wymknął mu się i porwał jeszcze jeden egzemplarz Nowoczesnej Panny Młodej - ten ofiarował z kolei swemu panu. Wszystko odbyło się tak szybko, że Nora nie zdążyła odłożyć magazynu na miejsce.

-Ty głupi psiaku! - zawołała. - Co w ciebie wstąpiło?

Chwyciwszy smycz, Travis podszedł do stojaka i położył z powrotem na półkę także swój egzemplarz. Był pewien, że wie bardzo dobrze, co Einstein miał na myśli, milczał jednak, nie chcąc wprawiać Nory w zakłopotanie. Poszli dalej.

Einstein rozglądał się dokoła, obwachiwał z zainteresowaniem mijających go ludzi i wyglądało na to, że czasopisma matrymonialne nagle przestały go w ogóle interesować.

Nie przeszli jednak nawet dwudziestu kroków, gdy błyskawicznie zawrócił i zanurkował między nogami Trávisa, wyrывая mu smycz i omal nie wyracając go na ziemię. Pobiegl prosto w stronę apteki, wyciągnął ze stojaka jakiś magazyn, po czym natychmiast wrócił.

Nowoczesna Panna Młoda.

Nora wciąż jeszcze nie pojmowała niczego. Sądziła, że pies chce się bawić, więc pochyliła się i zmierzwiła mu sierść.

-Czy to twoje ulubione czasopismo, ty gluptasie? Czytujesz każdy numer? Załóżę się, że tak właśnie robisz. Jesteś prawdziwym romantykiem.

Rozbawiony pies przyciągnął uwagę kilku przechodzących obok turystów. Obserwowali z uśmiechem jego poczynania, lecz podobnie



jak Nora nie zdawali sobie w najmniejszym nawet stopniu sprawy z podtekstu, jaki miała ta zabawa.

Gdy Travis schylił się po Nowoczesna Panne Młoda, chcąc odnieść ją znowu na miejsce, skąd została zabrana, Einstein zdążył go ubiec. Złapał miesięcznik w zęby i gwałtownie potrząsnął głową.

-Niegrzeczny pies - powiedziała Nora, wyraźnie zaskoczona tak złośliwym zachowaniem zwierzęcia.

Einstein wypuścił zdobycz z pyska. Magazyn był mocno pomięty, w kilku miejscach mokry od sliny, miał parę stron rozdartych.

-Chyba będziemy musieli to kupić - powiedział Travis. Zasapany retriever przysiadł na chodniku, przekrzywił głowę i szczerząc zęby popatrzył na pana.

Nora nadal nie zdawała sobie zupełnie sprawy z tego, co chciał im przekazać pies. Oczywiście, nie miała żadnych podstaw, by tłumaczyć sobie zachowanie Einsteina w jakiś szczególny sposób. Nie zdawała sobie sprawy ze skali jego nadzwyczajnych umiejętności i do głowy by jej nie przyszło, że obdarzony jest cudowną zdolnością porozumiewania się z istotami ludzkimi.

Travis spojrzał na psa i powiedział: - Przestanie, kudłata mordo. Wystarczy tego dobrego. Zrozumiano? Einstein ziewnął.

Zapłaciwszy za magazyn, który zapakowano im w torebkę z nadrukiem apteki, ruszyli w dalszą przechadzkę po Solvang. Jednakże zanim zdolali dojść do najbliższego skrzyżowania, pies zaczął uzupełniać treść swego przesłania. Delikatnie, lecz pewnie ujął zębami dłoń Nory, po czym pociągnął zaskoczona dziewczynę chodnikiem w stronę galerii sztuki, ku miejscu, gdzie jakaś młoda para podziwiała eksponowane na wystawie pejzaże. W stojącym obok spacerowym wózku siedziało dziecko i to właśnie na nie Einstein chciał zwrócić uwagę Nory. Nie puścił jej dłoni, dopóki nie dotknęła wylaniającej się z różowego dresika pulchnej raczki niemowlaka.

Zakłopotana Nora powiedziała:

-On, zdaje się, uważa, że wasze dziecko jest wyjątkowo mile. Muszę przyznać, że całkowicie się z nim zgadzam.

Rodzice początkowo z rezerwą przyglądali się psu, szybko jednak doszli do przekonania, że dziecku nic z jego strony nie grozi.

-Ile miesięcy ma wasza dziewczynka? - zapytała Nora.

-Dziesięć - odpowiedziała matka.

-Jak ma na imię?

-Lana.

-Bardzo ładnie.

Dopiero teraz Einstein uwolnił reke Nory.

Kilka kroków dalej, przed witryną sklepu z antykami, który sprawiał takie wrażenie, jakby go - cegła po cegle - przeniesiono tutaj z siedemnastowiecznej Danii, Travis przystanął, kucnął obok psa, schylił się mu do ucha i wyszeptał:

-Dosyć. Jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek oglądać Alpo, przestań natychmiast!

Nora wyglądała na mocno poruszona.

-Co się z nim stało?

Einstein ziewnął i Travis zrozumiał, że kłopoty wcale się jeszcze nie skończyły.

W ciągu następnych dziesięciu minut retriever jeszcze dwukrotnie poprowadził Nore do dzieci.

Nowoczesna Panna Młoda i dzieci.

Przesłanie stało się całkowicie oczywiste i jednoznaczne, nawet dla Nory: Ty i Travis należycie do siebie. Pobierzcie się. Miejcie dzieci. Załóżcie rodzinę. Na co jeszcze czekacie?

Nora rumieniła się co chwila i nie śmiała spojrzeć w oczy Travisowi, który zresztą również wyglądał na zmieszanego.

Einstein dopiął nareszcie swego i od tej chwili na powrót stał się wzorowym czworonogiem. Travis, ku swemu zaskoczeniu, przekonał się, że pies potrafi przybrać wygląd zadowolonego z samego siebie.

Ponieważ nadal było ciepło, Nora zrezygnowała z pomysłu, by zjeść obiad w zwyczajnej restauracji. Wybrała ostatecznie niewielki lokalik pod gołym niebem, gdzie osłonięte czerwonymi parasolami stoliki przycupnęły pod konarami potężnego debu. Travis wyczuwał, że tym razem jej wybór nie był podyktowany oniesmieleniem, jakie mogłaby w niej budzić normalna restauracja. Chciała mieć po prostu możliwość siedzenia tuż przy Einsteinie. W trakcie obiadu wielokrotnie spoglądała na psa, niekiedy ukradkiem, niekiedy zaś otwarcie, przez długie chwile nie spuszczać z niego oczu.

Travis nawet jednym słowem nie pozwolił sobie nawiązać do tego, co się zdarzyło, i udawał, że o wszystkim zapomniał. Kiedy jednak retriever spoglądał w jego stronę, a Nora akurat nie patrzyła, wypowiadał pod adresem czworonoga niedosłyszalne dla niej straszliwe groźby: Nigdy więcej szarlotki. Kolczatka. Kaganiec. Zamknięty boks.

Einstein znosił pogroźki z wielkim spokojem, szczerząc zęby, ziewając i posapując przez nos.

5

W niedzielę po południu Vince Nasco złożył wizytę Johnny'emu "Drucikowi" Santiniemu. Johnny nosił przydomek "Drucik" z kilku co

najmniej powodow, miedzy innymi dlatego, ze byl wysoki, chudy i sprawial wrazenie, jakby byl zbudowany z powiazanych w wezly kawalkow stalowej liny, mial ponadto sterczace, krecone wlosy o barwie miedzi. Do branzy wszedl w wieku pietnastu lat, kiedy to, chcac sprawic przyjemnosc swemu wujowi Religio Faustino, glowie jednej z rządzacych Nowym Jorkiem pieciu Rodzin, zobowiazal sie zlikwidowac osobiscie handlarza narkotykow, operujacego w rejonie Bronxu bez pozwolenia Rodziny. Johnny udusil go struna od fortepianu. Ten przejaw inicjatywy, bedacy zarazem dowodem wiernosci wobec zasad Rodziny, przepelnil dusze don Religia duma i miloscia, rozplakal sie wtedy po raz drugi w swym zyciu i obiecal bratankowi wieczny szacunek Rodziny, a takze dobrze platne stanowisko w interesie. Johnny "Drucik" mial obecnie trzydziesci piec lat i mieszkal w wartym milion dolarow nadmorskim domu w San Clemente. Specjalnie wynajety dekorator wnetrz przerobil dziesiec pokoi oraz cztery lazienki tak, by tworzyly autentyczny i kosztowny azyl, w stylu Art Deco, przed wspolczesnym swiatem. Przewazaly barwy: czarna, srebrna i granatowa, uzupelnione kolorem turkusowym i brzoskwiniowym. Johnny tłumaczyl kiedys Vince'owi, ze lubil Art Deco, poniewaz przypominalo mu Ryczace Lata Dwudzieste, ktore uwielbial, widzac w nich romantyczna epoke legendarnych gangsterow.

Dla Johnny'ego "Drucika" zbrodnia nie byla wylacznie srodkiem do zdobycia pieniedzy, sposobem wyrazania buntu przeciwko wiezom narzucanym przez cywilizowane spoleczenstwo czy tez efektem uwarunkowania genetycznego, lecz rowniez - i przede wszystkim - sprawa wspanialej, romantycznej tradycji. Czul sie spokrewniony z kazdym sposrod tych wszystkich jednookich piratow, co mieli hak zamiast dloni, ktorzy kiedykolwiek zeglowali po morzach swiata w poszukiwaniu lupu, z kazdym napadajacym na pocztowe dylizanse rozbojnikiem, ze wszystkimi kasiarzami, kidnapierami, szalbierzami i mordercami, czyniacymi zlo w ciagu stuleci. Uwazal sie za spadkobierce Jessiego Jamesa, Dillingera, Ala Capone, chlopcow Daltona, Lucky'ego Luciana oraz calego legionu innych. Johnny kochal ich wszystkich, byli dla niego bracmi - laczyly go z nimi

przelana krew i rabunek.

Przywitawszy Vince'a w drzwiach, Johnny powiedział:

-Wchodz, chłopie, wchodz. Milo cie znowu zobaczyc.

Padli sobie w objęcia. Vince nie lubił, gdy go obejmowano, ponieważ jednak, pracował dla don Riligia w czasach, gdy mieszkał w Nowym Jorku, i w dalszym ciągu wykonywał niekiedy zadania zlecone przez Rodzinę Faustina na Zachodnim Wybrzeżu, znali się z Johnnym od tak dawna, że wzajemne uściski były już obowiązującym rytuałem.

-Dobrze wyglądasz - powiedział Johnny. - Widzę, że dbasz o siebie. Wciąż przebiegły jak wąż?

-Jak grzechotnik - odparł Vince i poczuł się trochę zazenowany tym, że mówi tego rodzaju bzdury, wiedział jednak, iż Johnny lubił słuchać podobnych kawalków.

-Nie widziałem cie już bardzo długo. Myślałem nawet, że może przyskrzyniły cie gliny.

-To nigdy nie nastąpi - zapewnił go Vince, wyrażając w ten sposób swoje przekonanie, iż więzienie jest czymś, co nie mieści się w jego przeznaczeniu.

Johnny ze swej strony odebrał jego słowa jako deklarację, iż raczej zginie, niż ulegnie prawu, toteż zawył radosnie i z aprobatą pokiwał głową.

-Kiedy cie osacza, zdmuchniesz tyłu z nich, ilu tylko zdołasz, zanim cie załatwia. To jedyny sposób, aby odejść z honorem.

Johnny "Drucik" odznaczał się zdumiewającą brzydotą i dlatego zapewne pragnienie, by czuć się połączonym z wielką, romantyczną tradycją, było w nim tak silne. Po paru latach pracy w branży Vince zauważył, że bandyci o lepszej prezencji nie dorabiali do swego

procederu żadnych teorii. Zabijali z zimna krwią, bo lubili zabijać lub uznawali to za niezbędne. Kradli, defraudowali albo wydzielali przemocą, bo chcieli łatwym sposobem zdobyć pieniądze. I to było wszystko. Żadnych usprawiedliwień czy prób gloryfikowania samego siebie. Tak właśnie powinno to wyglądać. Natomiast faceci o twarzach jakby ulepionych niezdarnie z betonu, wyglądem przypominający wściekłego Quasimoda - no cóż, większość z nich usiłowała skompensować swą nieszczególną aparycję utożsamiając się z Jimmym Cagneyem z Wroga publicznego.

Johnny ubrany był w czarny dres i także trampki. Zawsze nosił się na czarno, sądził bowiem prawdopodobnie, że wygląda dzięki temu groźnie i złowieszczo, a nie po prostu odpychająco.

Przeprowadził Vince'a z holu do salonu, zapelnionego lśnjącymi czarnymi meblami. Ozdoba pokoju stanowiły wykonane ze złoczonego brązu stołowe lampy Ranca i wielkie srebrzyste wazy z pracowni Dauma; stała tu także para zabytkowych krzeseł Jacques'a Ruhlmana. Vince znalazł historie tych przedmiotów, ponieważ podczas któregoś z jego poprzednich wizyt Johnny zrzucił maskę twardziela i rozgadał się o swoich skarbach.

Na srebrno-czarnej sofie spoczywała ładna blondynka, pochłonięta lekturą jakiegoś magazynu. Choć miała chyba nie więcej niż dwadzieścia lat, sprawiała wrażenie zenująco dojrzałej. Jej srebrzy sto blond włosy były przystryżone na pazia. Miała na sobie pidżamę z czerwonego chińskiego jedwabiu, która uwydatniała zarysy jej pełnych piersi. Wydymając wargi podniosła wzrok na Vince'a - najwyraźniej starała się wyglądać jak Jean Harlow.

-To jest Samantha - powiedział Johnny "Drucik". Zwracając się do dziewczyny, oznajmił:

-Kotku, masz przed sobą jokera, z którym nikomu nie radzę zadzierać. To prawdziwa legenda swoich czasów.

Vince poczuł się jak głupiec.

-Co to znaczy joker? - zapytala blondynka nasladujac tembr glosu dawnej gwiazdy filmowej, Judy Holliday.

Stojac obok sofy i mietoszac przez jedwab pidzamy piers dziewczyny, Johnny powiedzial:

-Ona nie zna naszego lingq, Vince. Nie nalezy do fratellanzy. Pochodzi z dolow spolecznych i niewiele wie o naszym zyciu czy zwyczajach.

-Chodzi mu o to, ze nie jestem garnkiem zlotych monet - kwasno dodala Samantha. Johnny uderzyl ja z taka sila, ze omal nie spadla z sofy.

-Uwazaj, co mowisz, ty dziwko.

Przylozyla dlon do twarzy, w jej oczach zalasnily lzy i glosem malej dziewczynki powiedziala:

-Przepraszam, Johnny.

-Glupia dziwka - warknal.

-Sama nie wiem, co czasami we mnie wstepuje. Jestes dla mnie taki dobry, Johnny. Nienawidze siebie za to, co wtedy robie.

Vince odniosl wrazenie, ze byl swiadkiem znakomicie wycwiczonej sceny. Zapewne wykonywali ja juz wielokrotnie zarowno w prywatnym zaciszu, jak i przed roznego rodzaju publicznościa. Z wyrazu oczu Samantha wyczytal, iz dziewczyna lubila, gdy sieja bilo; sama przeciez sprowokowala Johnny'ego. Z kolei Johnny'emu bicie jej sprawialo najwyrazniej duza przyjemnosc.

Vince byl zdegustowany.

Johnny "Drucik" jeszcze kilkakrotnie nazwal dziewczyne dziwka, po czym poprowadzil Vince'a do obszernego gabinetu. Zamknawszy

drzwi od pokoju mrugnal porozumiewawczo i powiedział:

-Ta mała jest nieco zalosna, ale gdy wezmie w obroty twego fiuta, potrafi wyssac przez niego mozg.

Po tych slowach Vince poczul, ze robi mu sie troche niedobrze. Postanowil przerwac te rozmowe i wydobyl z kieszeni marynarki wypchana koperte.

-Potrzebuje informacji - powiedzial.

Johnny przyjal koperte, zajrzal do srodka, przeciagnal od niechcenia kciukiem po pliku studolarowych banknotow i na koniec powiedzial:

-Dostaniesz, co tylko zechcesz.

Gabinet byl jedynym w calym domu pokojem, w ktorym nie znalazloby sie nawet sladu stylu Art Deco. Krolowala tu niepodzielnie najnowsza technika. Wzdłuż trzech scian ustawione byly metalowe stoly, na ktorych umieszczono osiem roznego typu komputerow. Kazdy komputer wyposazony byl we własna linie telefoniczna oraz modem. W chwili gdy weszli do gabinetu, wszystkie monitory jarzyly sie slabym blaskiem. Na kilku z nich mozna bylo obserwowac proces realizacji programow; dane pojawialy sie i znikaly, ustepujac miejsca nastepnym, lub przesuwaly sie stopniowo z gory w dol. Okna przesloniete grubymi zaslonami, a duze biurowe lampy wyposazono w dodatkowe abazury zapobiegajace powstawaniu odbic na ekranach monitorow, totez pokoj tonal w zielonej poswiacie, dzieki ktorej Vince doznal dziwnego uczucia: wydawalo mu sie, ze przebywa pod powierzchnia morza. Ledwo slyszalny szmer pracujacych bez przerwy trzech laserowych drukarek, dzieki dzialaniu jakiegos tajemniczego mechanizmu skojarzen, wywoływal w wyobrazni obraz ryby krazacej wsrod bujnych roslin porastajacych dno oceanu.

Johnny "Drucik" zabil kilku ludzi, przeprowadzal kombinacje bukmacherskie, organizowal i wykonywal napady na banki i firmy jubilerskie. Zamieszany byl w narkotykowe interesy Rodziny Faustino,



wymuszenia, porwania, korumpowanie związków zawodowych, wideo-piractwo, grabieże ciężarówek transportu międzynarodowego, przekupywanie polityków, a także dziecięca pornografia. Próbowal każdego z tych zajęć i choć właściwie nigdy nie sprzykrzyła mu się żadna z form przestępczej działalności, niezależnie od tego, jak długo czy często ją uprawiał, to jednak w końcu poczuł pewne znudzenie. W ostatnich dziesięciu latach, gdy dzięki komputerowi otwarły się nowe, fascynujące obszary przestępczości, Johnny wykorzystał te szanse i wkroczył tam, gdzie przed nim nie dotarł jeszcze żaden człowiek mafii - opanował przyczółki komputerowego złodziejstwa. Ponieważ, jak się okazało, miał do tego smykałkę, szybko został najlepszym fachowcem kryminalnego podziemia.

Dysponując dostateczną ilością czasu i mając odpowiednią motywację, potrafił sforsować dowolny system bezpieczeństwa i dotrzeć do najczujniej strzeżonych danych zgromadzonych zarówno przez przedsiębiorstwa, jak i przez agencje rządowe. Jeżeli chciał ukryć milionowy łup na kontach American Express należących do innych ludzi, Johnny "Drucik" umiał wyszukać odpowiednie nazwiska i historie rachunków, a następnie dopasować do nich numery kart z banku danych American Express. Jeśli byłeś mafijnym bossem postawionym w stan oskarżenia, miałes przed sobą poważny proces i bałeś się, że mogą ci zaszkodzić zeznania kumpla, który okazał się kapusiem, Johnny potrafił uzyskać dostęp do ściśle tajnego banku danych Departamentu Sprawiedliwości, odkryć nową tożsamość nadaną prowokatorowi przez Federalny Program Dyslokacji Świadców i powiedzieć ci, gdzie masz wysłać zbrojczyków. Johnny nieco gornolotnie określał siebie samego mianem "Krzemowego Czarnoksiężnika" - choć wszyscy wokół nadal nazywali go "Drucikiem".

Jako spec od komputerów, stał się osobą niezwykle cenna dla wszystkich Rodzin, na tyle cenna, że bez mrugnięcia okiem przystały na jego przeprowadzkę do cichego zakątka w rodzaju San Clemente, gdzie, pracując dla nich, mógł zarazem korzystać z uroków morza i plaży. Johnny twierdził, iż w epoce mikroprocesorów świat skurczył się

do rozmiarów małego miasteczka i że siedząc spokojnie w San Clemente albo Oshkosh z łatwością można było oskubać dowolnego faceta z Nowego Jorku. Johnny opadł w głęboki, czarny, skórzany fotel na kółkach, który umożliwiał mu szybki ruch pomiędzy poszczególnymi komputerami.

-A zatem, czym może ci służyć Krzemowy Czarnoksiężnik? - zapytał.

-Czy masz dostęp do komputerów policji?

-Zaden problem.

-Chcę wiedzieć, czy od ubiegłego wtorku ktoś z działających w tym okręgu agencji policyjnych zebrał dane dotyczące niezwykłych zabójstw.

-Kim są ofiary?

-Nie wiem. Szukam po prostu dziwnych morderstw.

-Dziwnych w jakim sensie?

-Tak dokładnie... nie wiem... Może to być... ktoś z rozszarpanym gardłem. Ktoś rozdarty na strzępy. Ktoś zagryziony i podrapany przez zwierze.

Johnny posłał mu zdziwione spojrzenie.

-To rzeczywiście brzmi niezwykle. O czymś takim byłoby głośno w gazetach.

-Niekoniecznie - zaproponował Vince, myślał o armii agentów rządowej służby bezpieczeństwa, którzy robili zapewne wszystko, co w ich mocy, by dziennikarze nie dowiedzieli się o istnieniu Projektu Francisa, a opinia publiczna o groźnych wydarzeniach, jakie rozegrały się we wtorek w Laboratoriach Banodyne. - Jeśli nawet wiadomości o morderstwach ujrzą światło dzienne, policja nie dopuści do ujawnienia

zadnych drastycznych szczegolow, beda to wiec doniesienia o zwyczajnych, pospolitych zabojstwach. Czytajac gazety nigdy nie dowiem sie, czy to o te ofiary akurat mi chodzi.

-W porzadku. Da sie zrobic.

-Zainteresuj sie tez Okregowa Stacja Badania Zwierzat, czy nie naplywaja do nich jakies meldunki o niecodziennych przypadkach napadow dokonanych przez kojoty, pумы lub inne drapiezniki. I to nie tylko na ludzi, ale rowniez na inwentarz - bydlo, owce. Moze da sie nawet ustalic pewien obszar, prawdopodobnie gdzies na wschodnich obrzezach okregu, na którym masowo znikaja zwierzeta domowe lub tez znajduje sie je straszliwie zmasakrowane przez jakies dzikie stworzenie. Jesli natrafisz na cos takiego, chce o tym wiedziec.

Johnny usmiechnal sie.

-Scigasza wilkolaka.

To byl tylko zart; nie spodziewal sie ani nie chcial uslyszec jakiegokolwiek odpowiedzi. Nie zapytal, do czego te informacje byly Vince'owi potrzebne i nigdy tego nie robi, poniewaz ludzie nalezacy do ich profesji nie pchali nosa w nie swoje sprawy. Byc moze rozbudzil ciekawosc Johnny'ego, lecz wiedzial, ze "Drucik" nie robi nic, by te swoja ciekawosc zaspokoic.

A jednak poczul niepokoja, wywolany nie tyle moze pytaniem, co grymasem twarzy Johnny'ego. Padajace z komputerowych ekranow zielone swiatlo odbilo sie w jego oczach, zajasnilo na zebach i w nastroszonych wlosach o barwie miedzi. Odradzajaco brzydki w blasku dnia, w niesamowitej poswiacie upodobnil sie do ozywionego trupa z filmu Romera.

-I jeszcze cos - powiedzial Vince. - Musze wiedziec, czy policja tego okregu nie szuka po cichu zlocistego retrievera.

-Psa?

-Tak.

-Gliny zazwyczaj nie szukaja zaginionych psow.

-Wiem.

-Czy ten pies ma jakies imie?

-Zadnego.

-Sprawdze to. To juz wszystko?

-Tak. Kiedy bedziesz cos wiedziec?

-Zadzwo nie do ciebie jutro. Z samego rana. Vince skinal glowa.

-I w zaleznosci od tego, czego sie dowiesz, bede cie prosil, zebys na biezaco sledzil pewne sprawy.

-Drobnostka - odparl Johnny. Zawirowal na swoim czarnym skorzanym fotelu, po czym z usmiechem poderwal sie na nogi. - A teraz przerzne Samanthe. Hej! Przylacz sie do nas! Dwa takie jak my ogiery, pieprzac ja rownoczesnie, przerobia te dziwke w kupke zebrzacej o litosc galarety. Co ty na to?

Gabinet pograzony byl w polmroku, rozjasnionym tylko slabym zielonym swiatlem, totez Johnny nie dostrzegl smiertelnej bladosci, jaka pokryla sie twarz Vince'a. Sama mysl o jakimkolwiek kontakcie z ta zarazona panienka, z tym gnijacym, zuzytym do granic mozliwosci kurwiszonem, przyprawila go o mdlosci. Odpowiedzial:

-Niestety, mam spotkanie, na ktore nie moge sie spoznic.

-Szkoda - zmartwil sie Johnny.

-Byloby zabawnie - z trudem wydusil z siebie Vince. - Moze nastepnym razem.

Gdy pomyslał przez krótką chwilę o tym, że wszyscy troje razem mieliby... poczuł się natychmiast zbrukany. Ogarnęła go nagle, niemal bolesna tęsknota za gorącym prysznicem.

6

Późnym wieczorem, czując przyjemne zmęczenie po całym dniu spędzonym w Solvang, Travis był pewien, że usnie, gdy tylko przyłoży głowę do poduszki. Stało się jednak inaczej. Nie mógł po prostu przestać myśleć o Norze Devon. O jej szarych oczach z zielonymi plamkami. Lśniących czarnych włosach. Slicznej szyi. O tym, jak ładnie się śmiała, i jak urocza linie tworzyły uśmiechnięte usta. Einstein leżał na podłodze, w kaluży bladoszarego światła, które wpadając przez okno, rozjaśniało tylko niewielką część pograzonego w ciemnościach pokoju. Ale gdy minęła cała godzina, a Travis wciąż jeszcze wiercił się, nie mogąc zasnąć, pies przeniósł się na łóżko, po czym natychmiast znieruchomiał, oparłszy potężną głowę i przednie łapy o pierś Trávisa.

-Ona jest taka słodka, Einstein. To najłagodniejsza, najśladza istota, jaką kiedykolwiek w życiu poznałem.

Pies milczał.

-I jest bardzo bystra. Ma błyskotliwy umysł. Bardziej przenikliwy, niż się jej wydaje. Dostrzega rzeczy, na które ja nie zwróciłbym uwagi. Opisuje to, co otacza nas dookoła w taki sposób, że wszystko wydaje się czymś zupełnie nowym i świeżym. Cały świat jest nowy i świeży, gdy ogląda się go razem z nią.

Leżąc cicho i nieruchomo, Einstein nie spał jednak. Z uwagą wsłuchiwał się w słowa pana.

-Kiedy pomyśle, że taka ogromna żywotność, inteligencja i takie umiłowanie życia były tłumione przez trzydzieści lat, chce mi się płakać. Trzydzieści lat w tamtym starym, ciemnym domu. Jezus. A ona wytrzymała to jednak i nawet wcale nie zgorzkniała. Doprawdy, mam

chec ja za to usciskac i powiedziec jej, jak wspaniala jest kobieta i jak silna i odwazna, naprawde wspaniala.

Travis przypomniał sobie nagle zapach swiezo umytych wlosow Nory, ktory poczul w chwili, gdy pochylik sie ku niej przed oknem galerii w Solvang. Odetchnal gleboko, bo moglby przysiac, ze poczul ten zapach ponownie i naraz krew zaczela mu szybciej krazyc w zylach.

-Cholera - powiedzial. - Znam ja zaledwie pare dni, a chyba juz sie w niej zakochalem.

Einstein uniosl glowe i prychnal, jak gdyby chcial powiedziec, ze byl juz najwyzszy czas, aby Travis zdal sobie sprawe z tego, co sie dzieje, oraz dodac jeszcze, ze to wlasnie on ich polaczyl, a teraz cieszy sie z ich przyszlego szczescia, ze wydarzenia te stanowiły czesc jakiegos rozleglego planu, wiec Travis powinien przestac sie niepokoic i pozwolic, by uniosl go prad.

Jeszcze przez godzine Travis opowiadal o Norze, o tym, jak wyglada i jak sie porusza, o melodyjnym brzmieniu jej glosu, o tym, w jak niezwykle sposob mysli i patrzy na zycie. Einstein przez caly czas sluchal go z nieklamanyim zainteresowaniem, zachowujac sie jak prawdziwy, oddany przyjaciel. To byly wspaniale chwile. Travis nigdy nie przypuszczal, ze bedzie umial raz jeszcze kogos pokochac, i to miloscia tak mocna i gleboka. Jeszcze tydzien temu jego samotnosc wydawala mu sie czymś nie do przezwyciezenia.

Po pewnym czasie Travis zapadl wreszcie w sen.

W srodku nocy przebudzil sie i polprzytomny zdal sobie sprawe, ze Einstein tkwi przy oknie. Przednie lapy retrievera spoczywaly na parapecie, a nos przylegal do szyby. Czujnie wpatrywail sie w ciemnosc.

Travis czul, ze psa cos niepokoi.

Jednakze, pograzony w polsnie, spacerowal wlasnie z Nora przy

blasku księżyca i nie chciał się w pełni obudzić, bo się obawiał, że nie zdoła już powrócić do tak przyjemnych iluzji.

7

W poniedziałek rano, dwudziestego czwartego maja, Lemuel Johnson wraz z Cliffem Soamesem znaleźli się w niewielkim zoo w Irvine Park, na wschodnim skraju Orange County. Dzień był słoneczny i gorący. Liście olbrzymich drzew zamarły bez ruchu w parnym powietrzu, za to ptaki, które obsiadły te potężne drzewa, przeskakując z gałęzi na gałęzie nieustannie cwierkały i szczebiotały z ożywieniem. Zginęło dwanaście zwierząt. Ich zastygłe pokrwawione ciała przypominały płaskie bezkształtne bryły.

W nocy, przeskoczywszy przez ogrodzenie coś - lub ktoś - wdarło się na teren wybiegów, gdzie zabiło trzy młode kozły, lanie z niedawno narodzonym jelonkiem, dwa pawie, krowa o obwisłych uszach, a także owce i parę jagniąt.

Zginął również kucyk, choć nie znaleziono na jego ciele żadnych obrażeń. Widocznie zabił go strach, gdy bezskutecznie tłukł ciałem o ogrodzenie, usiłując uciec przed stworzeniem mordującym pozostałe zwierzęta. Leżał na boku, z szyją wykreconą pod nieprawdopodobnym kątem.

Dziki pozostały nie tknięte. Chrzakały, grzebały zawsze w zeschniętej ziemi dookoła karmidel, szukając kawałków pożywienia, które mogły wczoraj wypasć z koryt i leżec gdzieś nie zauważone aż do tej pory.

Reszta ocalałych zwierząt, w odróżnieniu od dzików, zdradzała wyraźny niepokój.

Pracownicy parku - także wystraszeni - zebrali się wokół pomarańczowej ciężarówki służby miejskiej i rozmawiali z dwoma urzędnikami Okręgowej Stacji Badania Zwierząt oraz młodym, brodatym biologiem z Kalifornijskiego Departamentu Dzikich Zwierząt.

Schyliwszy się nad delikatnym, sprawiającym wstrząsające wrażenie jelonkiem, Lem zabrał się do studiowania widocznych na jego szyi ran, lecz wkrótce przerwał te oględziny, odor bowiem był trudny do zniesienia. Tylko w części pochodził od ciała martwych zwierząt. Ślady wskazywały, że, podobnie jak w przypadku Dalberga, zwłoki powalane były odchodami i oblane moczem zabójcy.

Przyciskając do nosa chusteczkę, Lem podszedł z kolei do martwego pawia. Ptak miał oderwaną głowę i jedną nogę. Oba skrzydła były złamane, a mieniące się tęczowo piora pozlepiała zakrzepła krew.

-Szefie! - zawołał Cliff Soames z przyległego boksu.

Lem oderwał się od pawia, odnalazł furtkę prowadzącą na sąsiedni wybieg i dołączył do Cliffa pochylonego nad martwą owcą.

Dookoła roily się muchy, brzęczały głośno, przysiadły na owcy tylko po to, by za chwilę poderwać się w górę, uciekając przed rekami ludzi.

Z twarzy Cliffa odpłynęła cała krew, wyglądał jednak na mniej zszokowanego niż w ubiegły piątek w domu Dalberga. Może nie był tak poruszony, ponieważ tym razem ofiarami nie byli ludzie. A może świadomie starał się być twardy, widząc, że mają do czynienia z wyjątkowo brutalnym przeciwnikiem.

-Będzie pan musiał przejść na moją stronę - powiedział Cliff nie podnosząc się z kłeczek.

Lem obszedł owcę i przykucnął obok Cliffa. Chociaż głowa zwierzęcia spoczywała w cieniu rzucanym przez galezie rosnącego opodal drzewa, dostrzegł, że prawe oko owcy zostało wyrwane.

Cliff bez słowa unosił patykiem głowę tak, by ukazać się drugi pusty oczodoł.

Otoczająca ich chmura much zgęstniała jeszcze bardziej.



-To mi wygląda na naszego uciekiniera - stwierdził Lem. Odsunawszy chusteczkę od twarzy, Cliff powiedział:

-Proszę popatrzeć jeszcze na to. - Podprowadził Lema do ciał następnych trzech ofiar - dwóch jagniat oraz jednego kozła - które również zostały pozbawione oczu. - Sprawa wydaje się oczywista. Ten przeklęty bydlak, który zabił Dalberga w ubiegły wtorek, czaił się wśród wzgorz przez pięć dni, zajmując się...

-Czym?

-Bóg jeden wie. Ale dzisiaj zjawil się tutaj. Lem otarł chusteczką pot z twarzy.

-Jesteśmy zaledwie o parę mil na polnocny zachód od domu Dalberga.

Cliff skinal głową.

-Jak myślisz, w którą kieruje się strona? Soames wzruszył ramionami.

-Tak - zgodził się z nim Lem. - Nie sposób przewidzieć. Nie potrafimy odgadnąć jego myśli, ponieważ nie mamy zielonego pojęcia o procesach myślowych takiego stworzenia. Najlepiej zrobimy prosząc Boga, aby pozostało tutaj, w słabo zaludnionej części okręgu. Wole nie myśleć, co się stanie, jeśli postanowi odwiedzić najdalej na wschód wysunięte przedmieścia, jak choćby Orange Park Acres czy Villa Park.

Opuszczając zoo Lem zobaczył ciało martwego krowy pokryte taką liczbą much, że z daleka przypominały kawałek czarnej materii, okrywającej zwłoki i falującej nieznacznie w podmuchach słabego wiatru.

W osiem godzin później, o siódmej wieczorem, Lem wszedł na mównicę w dużej sali wykładowej w Bazie Sił Powietrznych Marynarki w Eilto. Nachylił się do mikrofonu, postukał w niego palcem, by się

upewnić, czy jest włączony, a usłyszawszy głosne, głuche tump, powiedział:

-Czy mogę prosić o uwagę?

Przed nim, na metalowych, składanych krzeselkach siedziało blisko stu młodych mężczyzn. Wszyscy byli dobrze zbudowani i zdrowi, należeli przecież do elitarnych oddziałów wywiadowczych piechoty morskiej. Piec plutonów, każdy złożony z dwóch drużyn, ściągnięto z Pendleton oraz innych kalifornijskich baz. Większość tych żołnierzy uczestniczyła w ubiegłym środzie i czwartek w poszukiwaniach u podnóża gór Santa Ana.

Szukali zresztą nadal - dopiero co wrócili po wielogodzinnym przeczesywaniu wzgórz i kanionów - tyle że nie robili już tego w mundurach. Dla zmylenia czujności dziennikarzy i władz lokalnych rozjeżdżali się cywilnymi samochodami do różnych punktów rozmieszczonych na granicy obszaru poszukiwan, skąd wyruszali w teren pogrupowani w trzy - lub czteroosobowe zespoły. Byli poubierani jak zwyczajni turyści: mieli na sobie dzinsy lub spodnie khaki w stylu Republiki Bananowej; podkoszulki bądź bawełniane koszule safari; na głowach czapki lub kowbojskie kapelusze. Uzbrojeni byli w broń krótką o dużej sile rażenia, którą mogli szybko ukryć w nylonowych plecakach lub pod luźnymi koszulami, gdyby przypadkiem doszło do spotkania z prawdziwymi turystami albo stanową policją. Ponadto w styropianowych pojemnikach niesli ręczne karabiny maszynowe Uzi. Jeśli natknęliby się na przeciwnika, broń tę mogli wprowadzić do akcji po upływie paru zaledwie sekund.

Każdy spośród obecnych na sali mężczyzn podpisał tajną przysięgę, w której zobowiązał się do zachowania w ścisłej tajemnicy wszystkiego, o czym się dowiedział na temat tej operacji; za niedotrzymanie przysięgi groziło wieloletnie więzienie. Każdy dobrze wiedział, na co polują, choć - z czego Lem zdawał sobie sprawę - niektórym trudno było uwierzyć, że takie stworzenie może istnieć naprawdę. Niektórzy po prostu się bali. Pozostali natomiast,

zwłaszcza ci, którzy mieli za sobą służbę w Libanie lub Ameryce Środkowej, byli już na tyle oswojeni ze śmiercią i lekiem, że to, co wiedzieli o scigananej istocie, nie robiło na nich żadnego wrażenia. Kilku weteranów pamiętających ostatnie lata wojny wietnamskiej uważało swą obecną misję za coś całkiem zwyczajnego.

Tak czy inaczej, wszyscy byli dobrymi żołnierzami, odczuwali należący respekt wobec niezwykłego przeciwnika i jeśli tylko odnalezienie Obcego nie przekraczało ludzkich możliwości, im właśnie powinno się to udać.

Teraz, gdy Lem poprosił ich o uwagę, uciszyli się natychmiast.

-General Hotchkiss powiedział mi, że wasze dzisiejsze poszukiwania zakończyły się znowu niepowodzeniem - podjął po chwili. - Wiem, iż martwicie się z tego powodu tak samo jak ja. Od sześciu dni całymi godzinami przeczesujecie trudny teren, jesteście zmęczeni i zastanawiacie się, jak długo to jeszcze potrwa. No cóż, będziemy prowadzić poszukiwania aż do skutku, dopóki nie osaczymy i nie zabijemy Obcego. Nie możemy ich zaniechać, skoro ciągle jeszcze przebywa na wolności. Nie ma o tym mowy.

Nikt z obecnych nie wyraził swego niezadowolenia.

-I pamiętajcie, że cały czas szukamy również psa. Prawdopodobnie każdy z obecnych na sali mężczyzn miał nadzieję, że to właśnie on odnajdzie psa, a spotkanie z Obcym przypadnie w udziale komus innemu.

-We środę ściągamy jeszcze cztery oddziały wywiadowcze z dalej położonych baz. Przewidujemy wymianę na zasadzie rotacji, tak więc otrzymacie parę wolnych dni. Na razie jednak jutro wyruszacie znowu, a w dodatku postanowiliśmy zmienić nieco obszar poszukiwań.

Leni podszedł do wiszącej na ścianie za jego plecami mapy okręgu. Dotknawszy jej wskazówka powiedział:

-Przeniesiemy sie bardziej na polnocny zachod, w rejon wzgorz i kanionow otaczajacych Irvine Park.

Opowiedzial im o masakrze w zoo. Szczegolowo opisal wyglad zwlok, poniewaz nie chcial, zeby ktorykolwiek z tych ludzi zachowywal sie nieostroznie.

-To co spotkalo tamte zwierzeta - zakonczyl - moze przytrafic sie kazdemu z was, jesli nie bedziecie dostatecznie czujni.

Setka mezczyzn przypatrywala mu sie ze smiertelna powaga, a w ich oczach widzial sto wersji jego wlasnego, z trudem kontrolowanego strachu.

8

We wtorek w nocy, dwudziestego piatego maja, Tracy Leigh Keeshan nie mogla zasnac. Byla tak podniecona, ze wydawalo sie jej, iz lada chwila wybuchnie i rozerwie sie na kawalki. Wyobrazila sobie, ze jest dmuchawcem, delikatna kulka bialego puchu. Pierwszy podmuch wiatru poszarpie puch i rozgoni wirujace nasiona na wszystkie strony, w najdalsze zakatki swiata, a wtedy Tracy Keeshan przestanie istniec, zniszczona przez wlasne podniecenie. Byla trzynastoletnia dziewczynka o niezwykle bujnej wyobrazni.

Lezac w lozku w mrocznym pokoju nie musiala nawet zamykac oczu, aby ujrzec sie na grzbiecie konia, swego wlasnego kasztanowatego ogiera Goodhearta, pedzacego po wyscigowym torze. Migajace slupki ogrodzenia, reszta stawki daleko w tyle, niecale sto jardow przed nia linia mety, a na glownej trybunie wiwatujace tlumy...

W szkole tradycyjnie otrzymywala dobre oceny, nie dlatego, ze byla pilna uczennica, lecz jedynie dzieki temu, iz nauka przychodzila jej latwo i potrafila osiagnac zadowalajace wyniki bez szczegolnego wysilku. Tak naprawde nie przejmowala sie zbytnio szkola. Byla szczupla blondynka o oczach koloru czystego letniego nieba. Miala wielkie powodzenie u chlopcow, poswiecalo im jednak, przynajmniej

na razie, tyle samo uwagi co i szkole. Większość koleżanek miała na punkcie chłopców bzika; te dziewczęta nie umiały ani myśleć, ani mówić o czymś innym, toteż Tracy śmiertelnie się nudziła w ich towarzystwie. Tracy była czymś zupełnie innym. Jej głęboka, autentyczna pasja były rasowe konie wyścigowe. Fotografie koni zaczęła zbierać, gdy skończyła pięć lat, mając siedem zapisała się na kurs jeździecki, choć jej rodziców przez długie lata nie stać było na to, by kupić corce wierzchowca. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat interesy ojca uległy znacznej poprawie, dzięki czemu przed dwoma miesiącami przeprowadzili się do nowego dużego domu zbudowanego na dwuakrowej działce w Orange Park Acres. Prawie każdy miał tutaj konia, a w okolicy biegło wiele szlaków jeździeckich. Na tyłach ich działki znajdowała się niewielka stajnia na sześć koni, lecz tylko jeden boks był zajęty. Właśnie dzisiaj - we wtorek, dwudziestego piątego maja, w ten dzień chwały, dzień, który na zawsze pozostanie w pamięci Tracy Keeshan, dzień potwierdzający istnienie Boga - otrzymała na własność konia, wspaniałego, niezrównanego Goodhearta.

Nic więc dziwnego, że nie mogła spać. Położyła się o dziesiątej, lecz o północy była bardziej ożywiona niż w ciągu dnia. O pierwszej w nocy, a więc już w środę, doszła do wniosku, że dłużej nie wytrzyma. Musi pójść do stajni i popatrzeć na Goodhearta. Sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Upewnić się, że jest mu wygodnie w nowym domu. I że istnieje naprawdę.

Odrzuciła przescieradło i cienki koc, po czym ostrożnie wstała z łózka. Miała na sobie majtki i koszulkę z reklamą toru wyścigowego w Santa Anita, więc już tylko wciągnęła dzinsy, a na białe stopy wsunęła niebieskie buty firmy Nike.

Cichutko przekreciła gałkę w drzwiach i wyszła na korytarz, pozostawiając za sobą otwarty pokój.

W pograżonym w ciemnościach domu panowała cisza. Rodzice oraz jej dziesięcioletni brat Bobby spali sobie w najlepsze.

Nie zapalając światła, przeszła przez salon i jadalnię rozjaśniona tylko blaskiem księżyca. Znalazszy się w kuchni wysunęła cichutko szufladę narożnej szafki i wydobyla z niej latarkę. Otworzyła boczne drzwi i wyszła na położone na tyłach domu patio.

Nocne powietrze było orzeźwiające, ale nie za chłodne. Nieliczne obłoki, rozjaśnione od góry srebrnym blaskiem księżyca, a ciemne od spodu, płynęły niby galeony o białych zagłach poprzez morze nocy. Tracy wpatrywała się w nie przez chwile, przepelniona jakąś niezwykłą radością. Pragnęła zapamiętać na zawsze każdy szczegół tej wyjątkowej nocy. Przecież po raz pierwszy znajdzie się sam na sam z dumnym i szlachetnym Goodheartem, tylko we dwoje snuć będą marzenia o przyszłości.

Przeszła przez patio, okrzyła basen, w którego chlorowanej wodzie falowało lekko odbicie księżyca, i znalazła się na trawniku. Okryte rosa zdzbla traw skrzyły się w promieniach srebrzystego światła.

Z lewej i z prawej strony granice posiadłości wyznaczały białe plotki, które zdawały się lekko fosforyzować w zimnej, księżycowej poświacie. Za plotkami ciągnęły się sąsiednie działki, niemal tak samo rozległe jak teren należący do Keeshanów. W całym Orange Park Acres wciąż jeszcze trwała nocna cisza, która zakłócało jedynie ciche cykanie nielicznych świerszczy i trochę głośniejsze jęki kumkanie żab.

Tracy zmierzała powoli w stronę stajni, myślała o triumfach, jakie w przyszłości stana się udziałem jej i Goodhearta. Ten kon już nigdy nie pobiegnie w wyścigu. Zdobywał nagrody w Santa Anita, del Mar, Hollywood Park oraz na innych torach Kalifornii, potem doznał kontuzji i musiał pożegnać się z karierą. Był jednak nadal pełnowartościowym reproduktorem, zdolnym splodzić przyszłych zwycięzców. Za tydzień sprowadza do stajni dwie dobre klacze, a następnie zabiora je - wraz z Goodheartem - na farmę rozplodową, gdzie Goodheart je zapłodni. Potem cała trójka wróci do stajni i Tracy otoczy konie troskliwą opieką. W przyszłym roku urodzą się dwa zrebaki, które, gdy nieco podrosną,

trafia do mieszkajacego w poblizu trenera. W ten sposob Tracy bedzie mogla stale je odwiedzac, uczestniczyc w treningu i uczyc sie wszystkiego, czego trzeba sie nauczyc, jesli sie chce wyhodowac championa. I wtedy... wtedy wraz z potomkiem Goodhearta otworza nowa karte w historii wyscigow, o tak, na pewno przejdzie do historii...

Te wspaniale wizje zgasly raptownie, gdy znalazlszy sie w odleglosci jakichs czterdziestu jardow od stajni wdepnela w cos mokrego i sliskiego i omal nie stracila przy tym rownowagi. Co prawda nie poczula zapachu gnoju, byla jednak przekonana, ze natknela sie na kupe, ktora musial tu zostawic Goodheart, gdy wieczorem pozwolili mu pobiegac troche po podworku.

Rozzloszczona wlasna niezrecznoscia, zapalila latarke i skierowala swiatlo ku ziemi. Zamiast konskich odchodow zobaczyla skrwawione szczatki brutalnie zamordowanego kota.

Pisnela z obrzydzeniem, gaszac rownoczesnie latarke.

W okolicy wloczylo sie mnostwo kotow, ktorych obecność bardzo sobie ceniono, poniewaz wokół kazdej stajni legly sie roje myszy. Tereny te regularnie odwiedzane byly przez kojoty, zamieszkujace pobliskie wzgorza i kaniony. Choc koty byly szybkie, zdarzalo im sie czasami spotkac jeszcze szybszego kojota. W pierwszej chwili Tracy pomyslala, ze to jakis kojot zrobil podkop lub przeskoczyl nad plotem i dopadl nieszczesnika pochlonietego zapewne w tym momencie lowami na gryzonie.

Jednak kojot pozarlby kota w calosci, zostawiajac jedynie koniuszek ogona czy pare skrawkow futra, gdyz zwierze to bylo raczej zarlokiem niz wybrednym smakoszem i apetyt zawsze mu dopisywal. Mogl tez ewentualnie zabrac cala zdobycz ze soba, by potem zjesc ja w jakimś spokojnym miejscu. Ale kot nie byl chyba nawet napoczety. Cos po prostu rozerwalo go na strzepy, mordujac jak gdyby tylko po to, by doznac niezdrowej przyjemnosci zabijania.

Tracy zadrzala.

W oddalonym zaledwie o pare mil Irvine Park przed dwoma dniami ktos zabil kilka zwierzat w malym zoo. Oszolomieni narkotykami wandale. Oblakani mordercy. Historie te mozna bylo wciaz jeszcze traktowac jak plotke, gdyz nikt nie potrafil jej potwierdzic, wiele jednak przemawialo za tym, ze zdarzylo sie to naprawde. Wczoraj po szkole kilkoro dzieci wybralo sie tam rowerami. Nie widzialy wprawdzie okaleczonych zwlok, zauwazyly jednak, ze na wybiegach przebywalo mniej zwierzat niz zazwyczaj. Z cala pewnoscia brakowalo tez szetlandzkiego kucyka. Pracownicy parku nie chcieli w ogole rozmawiac na ten temat.

Tracy przyszlo na mysl, ze byc moze ci sami psychopaci grasowali teraz po Orange Park Acres mordujac koty i inne domowe zwierzeta. Przerazajaca, przyprawiajaca o mdlosci perspektywa. Dziewczynka uswiadomila sobie nagle, iz ludzie, ktorzy sa zwyrodniali do tego stopnia, ze znajduja radosc w zabijaniu kotow, rownie dobrze moga tez usmiercac konie.

Serce scisnelo sie jej ze strachu, gdy pomyslala o spiacym samotnie w stajni Goodhearcie. Na moment skamieniala z wrazenia.

Otoczajaca ja noc wydala sie jej jeszcze spokojniejsza, niz byla chwile temu.

Rzeczywiscie zrobilo sie ciszej. Swierszcze umilkly, zaby takze przerwaly swoj koncert.

Galeony chmur zarzuciwszy kotwice znieruchomialy na niebie i wydawalo sie, ze caly swiat zakrzepl w okowach lodowatej poswiaty ksiezycy.

Cos zaszelescilo w krzakach.

Wieksza czesc dzialki zajmowaly krotko przyszyzyzone trawniki i tylko tu i owdzie wyrastaly malownicze skupiska drzew - przewaznie indianskich laurowcow i jacarand - poprzetykanych zaroslami



kalifornijskiego bzu.

Tracy słyszała wyraźnie, jak coś pośpiesznie przedziera się w jej kierunku, kiedy jednak omiotła światłem latarki najbliższe krzaki, nie dostrzegła niczego.

Znowu zapanaowała niczym nie zmacona cisza.

Napięta.

Wyczekująca.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna wrócić do domu. Obudzi ojca i poprosi go o pomoc albo położy się do łóżka i dopiero rano sama zbada teren. Ale może w zaroślach czaił się zwyczajny kojot? Wówczas nie groziło jej przecież żadne niebezpieczeństwo. Choć wygłodzony kojot potrafił zaatakować bardzo małe dziecko, uciekłby na widok osoby wzrostu Tracy. Poza tym za bardzo martwiła się o swego Goodhearta, by chciał się jej marnować czas. Musi się upewnić, czy kon jest bezpieczny.

Przyswiecając sobie latarką, by nie nadepnąć na innego martwego kota, ruszyła w stronę stajni. Zrobiła zaledwie kilka kroków, gdy szelest się powtórzył, a co gorsza, usłyszała jednocześnie niesamowite warczenie, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek słyszała.

Chciała zawrócić i uciec do domu, lecz właśnie wtedy Goodheart zaczął przeraźliwie i zabębnić kopytami w ścianę boksu. Wyobraźnia podsunęła jej natychmiast obraz psychopaty, skradającego się do konia z wymyślnymi narzędziami tortur w dłoniach. Jej troska o siebie sama okazała się znacznie słabsza niż lek, że coś strasznego mogłoby spotkać ukochanego ogiera, ojca jej championów. Bez namysłu popędziła mu na ratunek.

Biedny Goodheart zaczął kopać w przepierzenie jeszcze zacieklej. Co chwila kopyta tłukły w ścianę z głośnym łomotem, któremu noc

zdawała się wtorować odległymi odgłosami nadciągającej burzy.

Od stajni dzieliło ją jeszcze około piętnastu jardów, gdy usłyszała znowu to dziwne gardłowe warczenie i usiadła sobie, że coś ją goni, że ją moment dopadnie od tyłu. Posliznęła się na mokrej trawie i łapiąc równowagę mimo woli uniosła latarkę wyżej.

Pędziła na nią stworzenie, które z całą pewnością musiało uciec z piekła. Gdy padło na nie światło latarki, wydało dziwny pisk, dzwiczący wściekłością i szalenstwem.

Tracy nie zdołała przyjrzeć się dokładnie napastnikowi. Latarka drżała w jej dłoni, zrobiło się akurat ciemniej, bo księżyc przesłoniły chmury, odrazająca bestia poruszała się z błyskawiczną szybkością, a ona sama zbyt była wystraszona, by móc uprzytomnić sobie wszystkie szczegóły obrazu, który ujrzała. Niemniej jednak zobaczyła dostatecznie wiele, żeby nabrać pewności, iż z czymś takim nie spotkała się nigdy przedtem. Dostrzegła zarys ciemnej, bezkształtnej głowy, pokrytej asymetrycznymi narosłami i wgłębieniami, ogromne szczęki najeżone ostrymi, zakrzywionymi zębami oraz bursztynowe oczy, płonące w świetle latarki podobnie jak płoną oczy kota czy psa oświetlonego reflektorami samochodu.

Tracy wrzasnęła.

Bestia zaskrzeczała, a potem rzuciła się na nią.

Uderzenie było na tyle silne, że natychmiast pozbawiło Tracy tchu. Latarka wypadła jej z ręki i poturlała się po trawniku. Dziewczynka upadła, napastnik przygniotł ją swym cieżarem, i zaczęli się toczyć po ziemi w stronę stajni. Rozpaczliwie okładając przeciwnika małymi piastkami, poczuła, że wbil pazury głęboko w jej prawy bok. Tuż przy twarzy widziała jego rozwartą paszczę, owioną gościnnym, gorącym odorem krwi, rozkładu i czegoś jeszcze gorszego. Wiedziała, czuła, że ta paszcza zbliża się ku jej gardłu, więc pomyślała: już po mnie. O Boże, on mnie zabije, już jestem martwa jak tamten kot. I niewatpliwie zginęłaby w ciągu paru sekund, gdyby nie oddalony o zaledwie kilkanaście stop

Goodheart, któremu udało się wylamać połowę zamykających boks drzwi. Ogarnięty panika, wierzchowiec popędził prosto na nich.

Dostrzegłszy ich w ostatniej chwili, zarzał rozpaczliwie i stanął deba, jakby zamierzał wdeptać przeszkodę w ziemię.

Atakujące Tracy monstrum wydało z siebie znowu dziwny pisk, tym razem pełen nie wściekłości, lecz zaskoczenia i strachu. Porzuciło swą ofiarę i umknęło spod kopyt rozszalałego konia.

Podkowy Goodhearta uderzyły w ziemię, minawszy zaledwie o parę cali głowę Tracy, a zaraz potem ponownie wzniosły się w górę. Ogier rzał jak szalony, młocił nogami powietrze i Tracy wiedziała, że w takim stanie może, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zmiażdżyć jej głowę. Niezwłocznie wyskoczyła więc spod konia, po czym pognęła w mrok, byle dalej od potwora o bursztynowych oczach.

Goodheart rzał, Tracy krzyczała, wszystkie psy w okolicy ujadaly przeraźliwie. W domu zapłonęły światła, co obudziło w niej nadzieję ocalenia. Czuliła jednak, że napastnik jeszcze nie całkiem zrezygnował, była niemal pewna, że obchodzi właśnie ogiera szerokim łukiem, zamierzając ponowić atak. Wiedziała, że zanim zdola dobiec do domu, potwór z pewnością ją dopadnie, dlatego też, potykając się w ciemnościach, skierowała swe kroki ku znacznie bliżej położonej stajni. Kryjąc się w jednym z pustych boksoz usłyszała swój własny zawodzący głos: - Jezu, o Jezu, Jezu, Jezu, Jezu...

Wykonane w stylu holenderskim, dwuskrzydłowe drzwi przegrody były solidnie zaryglowane. Dodatkowy rygiel łączył całość z ościeżnicą. Odblokowała go, szarpnięciem otworzyła drzwi, pośpiesznie wbiegła w przesyconą zapachem słomy ciemność i ze wszystkich sił przyciągnęła połączone skrzydła ku sobie, gdyż od wewnątrz nie miały żadnego zamknięcia.

W chwili później w te same drzwi, tyle że z drugiej strony, zabębnił jej przesładowca, usiłując utorować sobie drogę siłą. Na szczęście ościeżnica udaremniła jego zamiary. Drzwi boksoz otwierały się tylko

na zewnatrz, wiec Tracy pomyslała z nadzieja, iz zoltooka bestia nie bedzie chyba na tyle sprytna, by znalezc sposob na dotarcie do srodka.

Niestety, byla...

(Dobry Boze, dlaczego jej glupota nie dorownywala brzydocie!)

...i juz po dwoch probach sforsowania przeszkody zamiast pchac drzwi, zaczela ciagnac je ku sobie, a czynila to z taka sila, ze omal nie wyskoczyly z zacisnietych dloni dziewczynki.

Chciala wzywac pomocy, jednakze nie mogla tego zrobic, gdyz doslownie wszystkie sily musiala wlozyc w przytrzymywanie drzwi, ktore skutkiem zajadlych atakow co chwila uchylaly sie nieco, a nastepnie z glosnym trzaskiem wracaly na swoje miejsce. Na szczescie Goodheart wciaz rzal i kwiczal z przerazenia, a potwor za drzwiami skrzeczal donosnie - wydajac dzwieki, ktore, ku jej zdumieniu, przypominaly odglosy zwierzecze w tym samym stopniu co ludzkie - totez ojciec nie powinien miec trudnosci z ustaleniem miejsca, gdzie rozgrywal sie caly dramat.

Drzwi odskoczyly o kilka cali na zewnatrz.

Krzyknela i przyciagnela je ku sobie.

Napastnik niezwlocznie ponowil atak. Poteznym szarpniéciem uchylil drzwi, zdolal utrzymac je w takim polozeniu, a nastepnie, wytezajac sily, zaczal powiekszac przeswit. Jego przewaga rosla. Drzwi przesunely sie o kolejny cal. W szczelinie ukazal sie niewyraźny zarys zniekształconej twarzy, zalsnily ostro zakonczzone zeby. Bursztynowe oczy byly teraz niemal niewidoczne. Bestia co jakis czas syczala z wsciekloscia, a jej cuchnacy oddech prawie zupełnie przytlumil won slomy.

Piszczac z przerazenia, Tracy zawisla na drzwiach calym ciałem, lecz nie zdolala zapobiec ich przesuniecieciu sie o nastepny cal. I o jeszcze

jeden.

Serce walilo jej tak glosno, ze zupełnie zagluszylo pierwszy wystrzal. Dopiero gdy w ciszy nocnej zabrzmial drugi grzmot, dotarlo do niej, ze jej ojciec wybiegajac z domu musial wziac ze soba dubeltowke.

Nieoczekiwanie drzwi boksu z hukiem uderzyly w oscieznice. Wystraszony strzalami napastnik dal widocznie za wygrana. Tracy na wszelki wypadek wzmocnila uchwyt. Zaraz potem zaswitala w jej glowie mysl, ze w calym tym zamieszaniu ojciec mogl obwinic o wszystko Goodhearta, uznac, iz kon oszalal albo cos w tym rodzaju. Dlatego tez krzyknela, jak mogla najglosniej:

-Nie strzelaj do Goodhearta! Nie strzelaj do konia!

Nie uslyszala jednak zadnych dalszych strzalow i natychmiast zrobilo jej sie glupio. Jak mogla pomyslec, ze tatus zabije Goodhearta. Ojciec byl czlowiekiem ostroznym, zwlaszcza gdy mial w reku nabita bron, i nie strzelalby do niczego bez dokladnego rozpoznania sytuacji. Zapewne takze i teraz ograniczyl sie do strzalow ostrzegawczych w powietrze.

Goodheartowi prawdopodobnie nic sie nie stalo, potwor o bursztynowych oczach uciekal zas zapewne w strone wzgorz lub kanionow, tam skad przyszedl. (Coz to, u licha, moglo byc za stworzenie?) Dzieki Bogu, niebezpieczenstwo minelo.

Uslyszala czyjes kroki, a potem glos wolajacego ja ojca.

Rozwarla drzwi boksu i ujrzala go biegnacego ku niej. Mial na sobie niebieskie spodnie od pidzamy, byl boso, a w reku sciskal dubeltowke. Tuz za nim biegla matka w krotkiej zoltej nocnej koszuli, z latarka w dloni.

W rogu podworza stal Goodheart, ojciec przyszlych championow, caly i zdrowy.

Gdy Tracy ujrzała ogiera, z jej oczu popłynęły łzy ulgi. Wyszła z boksu, chcąc popatrzeć na niego z bliska. Przy drugim czy trzecim kroku przeszył ją nagły, gwałtowny ból: cały jej prawy bok jakby plonął. Dostała zawrotów głowy. Potknęła się, upadła, a kiedy przyłożyła do boku rękę, poczuła coś mokrego. Domysliła się, że to jej własna krew. Przypomniła sobie pogrążające się w jej ciele pazury na chwilę przed tym, jak wyrrywający na wolność Goodheart wystraszył drapieżną bestię. Usłyszała własny głos, wydawało się jej, że dobiegł do niej gdzieś z daleka:

-Dobry kon... taki dobry kon... Ojciec ukleknął przy niej.

-Coreczko, co tu się działo? Co ci jest? Nadbiegła zdyszana matka.

Ojciec zobaczył krew.

-Dzwon po karetke! - zawołał.

Matka nie wahając się nawet przez chwilę i nie zdradzając żadnych objawów hysterii pobiegła natychmiast w stronę domu.

Tracy czuła się coraz bardziej oszołomiona. Na obrzeżach jej pola widzenia narastała ciemność nie mająca nic wspólnego z mrokiem nocy. Nie bała się jej. Ta ciemność zdawała się nieść spokój i zdrowie.

-Coreczko - powiedział ojciec, przykładając dłoń do rany. Osłabiona, półprzytomna, odpowiedziała, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówi:

-Pamiętasz? Kiedy byłam bardzo... bardzo małą dziewczynką... myślałam, że w mojej szafie... żyje w nocy... jakiś przerażający istota.

Ojciec, zmartwiony, zmarszczył czoło.

-Kochanie, może lepiej nic nie mów. Leż spokojnie i nic nie mów. Tracąc przytomność, Tracy usłyszała jeszcze swój głos, tak pełen powagi, że aż ją to rozbawiło i trochę wystraszyło.

-No co... sadze, iz mogl to byc Czarny Lud, ktory mieszkal w szafie w tamtym domu. Moze... on byl prawdziwy... i teraz wrocil.

9

O czwartej dwadziescia we wtorek rano, zaledwie w pare godzin po zajsciu w domu Keeshanow, Lemuel Johnson znalazl sie pod drzwiami izolatki Tracy Keeshan w szpitalu Swietego Jozefa w Santa Ana. Chociaz dzialal niezwykle szybko, szeryf Walt Gaines zdazyl go ubiec. Walt stal na korytarzu obok mlodego lekarza w zielonym stroju chirurga i szeptem prowadzil z nim jakis spor. Zespol NSA powolany do rozwiazania sprawy Banodyne kontrolowal stale prace wszystkich agencji policyjnych w okregu, w tym rowniez dzialania komendy policji w Orange, ktorej podlegal teren, gdzie lezala posiadlosc Keeshanow. Szef nocnej zmiany nasluchu zadzwonil do Lema do domu, poniewaz zgloszony wypadek odpowiadal charakterystyce wydarzen mogacych miec zwiazek ze sprawa Banodyne.

-Zrezygnowales z tej sprawy - przypomnialem Waltowi Lem, zblizywszy sie do niego.

-Moze to zupelnie cos innego.

-Wiesz, ze tak nie jest.

-To jeszcze nie zostalo ustalone.

-Zostalo. Rozmawialem z twoimi ludzmi w domu Keeshanow.

-Okay, powiedzmy wiec, ze jestem tylko obserwatorem.

-Juz to widze. Nie ran mi serca.

-Cos z nim nie tak? - zapytal Walt, usmiechajac sie lekko.

-Zaczelo mnie bolec, a ten bol ma na imie Walter.

-To ciekawe. Czy innym bolom takze nadajesz imiona? Na przyklad

bolowi zebow albo glowy? - Glowa boli mnie tez. Podobnie jak w przypadku serca bol ma na imie Walter.

-W ten sposob, przyjacielu, wprowadzasz zamieszanie. Lepiej ochrzczij bol glowy jakos inaczej, powiedzmy Bert albo Harry.

Lem omal nie parsknal smiechem - bardzo lubil tego faceta - wiedzial jednak, ze pomimo laczacej ich przyjazni Walt wykorzystalby ten smiech niczym wytrych, zeby tylko z powrotem wkrecic sie do sprawy. Dlatego tez zachowal kamienny wyraz twarzy, chociaz Walt doskonale wiedzial, ze przyjaciel z trudem tlumi wesolosc. Gra byla idiotyczna, nalezalo jednak dostosowac sie do jej regul.

Lekarz, Roger Selbok, przypominal mlodego Roda Steigera. Zmarszczyl brwi, gdy podniesli nieco glos, i rzeczywiscie musial miec w sobie jakas sile podobna do tej, jaka promieniowal Steiger, bo to wystarczylo, by przywolac ich do porzadku.

Selbok oznajmil, ze dziewczynke poddano badaniom, opatrzone jej rany i podano srodek przeciwbolowy. Byla bardzo zmeczona. Zamierzal wlasnie zaaplikowac jej cos na uspokojenie, tak by mogla zasnac i odpoczac, i uwazal, ze policja nie powinna w tej chwili akurat meczyc jej zadawaniem pytan.

Przyciszone glosy, poranna szpitalna krzatanina, wypelniajaca hol won srodkow dezynfekujacych oraz widok przechodzacej obok pielegniarki w bieli - bylo tego dosyc, by Lem poczul sie nieswojo. Ogarnal go nagle strach, ze dziewczynka znajduje sie w znacznie ciezszyim stanie, niz mu doniesiono. Zwierzyl sie Selbokowi ze swych watpliwosci.

-Alez nie. Pacjentka miewa sie calkiem niezle - odrzekl lekarz. - Odeslalem jej rodzicow do domu, a przeciez nie zrobilbym tego, gdyby istnialy jakies powody do obaw. Ma stluczona lewa strone twarzy, podbite oko, ale to nic powaznego. Rany wzdluz prawego boku wymagaly zalozenia trzydziestu dwoch szwow, musimy wiec dopilnowac, by proces gojenia przebiegal prawidlowo, lecz nie wiaze



sie z tym zadne niebezpieczenstwo. Co prawda, mocno sie przestraszyla, jednak sprawia wrazenie bystrej i opanowanej, totez nie sadze, aby pojawil sie jakis trwaly uraz psychiczny. Mimo wszystko jednak uwazam, ze przesluchiwanie jej w obecnym stanie nie jest najlepszym pomyslem.

-Nie ma mowy o przesluchiwaniu - wyjasnil Lem. - Najwyzej kilka pytan.

-Piec minut - dodal Walt.

-Nawet mniej - poparl go Lem.

Tak dlugo molestowali Selboka, az w koncu ustapil.

-No coz... W koncu tez macie swoja robote, wiec jesli obiecacie mi, ze nie bedziecie zbyt natarczywi... - Bede sie z nia obchodzic, jakby byla mydlana banka - przyrzekl Lem.

-Bedziemy sie z nia obchodzic jak z mydlana banka - poprawil go Walt.

-Zanim wejdziecie... powiedzcie mi, co sie z nia wlasciwie stalo? - poprosil Selbok.

-Ona tego panu nie opowiedziala? - zainteresowal sie Lem.

-No coz, mala twierdzi, jakoby napadl na nia kojot...

Lem nie potrafil ukryc zdumienia, to samo uczucie dostrzegl tez na twarzy Walta. Moze rzeczywiscie przypadek ten nie mial nic wspolnego z zabojstwem Wesa Dalberga i smiercia zwierzat z zoo w Irvine Park.

-Tyle tylko - podjal po chwili lekarz - ze zaden kojot nie zaatakowalby tak duzej dziewczynki. Kojoty stanowia zagrozenie jedynie dla bardzo malych dzieci. Poza tym, charakter obrazzen rowniez nie wskazuje na

tego drapieżnika.

-Z tego, co wiem, jej ojciec przepędził napastnika strzałami z dubeltówki - powiedział Walt. - Czy wie, co to było za stworzenie?

-Nie - odparł Selbok. - Nic nie widział w ciemnościach, dlatego strzelał na postrach. Dostrzegł jakąś biegnącą przez podwórze postać, która następnie przeskoczyła płot, nie potrafi jednak podać żadnych szczegółów. Utrzymuje, iż bezpośrednio po wypadku Tracy powiedziała mu, że to był Czarny Lud, który mieszkał ponoć kiedyś w jej szafie, ale wtedy mogła majaczyć... Mnie powiedziała, że to był kojot. Tak więc... czy orientujecie się, co się tutaj w ogóle dzieje? Czy wiecie coś, o czym powinienem wiedzieć jako lekarz dziewczyny?

-Ja nie wiem nic - odrzekł Walt. - Za to pan Johnson może dokładnie zapoznać pana z sytuacją.

-Piękne dzięki - rzucił Lem. Walt rozciągnął usta w uśmiechu. Zwracając się do Selboka, Lem powiedział:

-Przykro mi, panie doktorze, lecz nie wolno mi rozmawiać na ten temat. Mogę jedynie pana zapewnić, że nie wiem o niczym, co mogłoby sugerować jakiegokolwiek zmianę w kuracji Tracy Keeshan.

Kiedy wreszcie Lem i Walt weszli do izolatki Tracy - doktor Selbok pozostał na korytarzu, by czuwać, żeby nie przekroczyli ustalonego limitu czasu - ujrzeli sličną trzynastoletkę, mocno potłuczona i blada jak płotno. Leżała na łóżku z ramionami schowanymi pod przescieradłem. Pomimo otrzymanych leków przeciwbólowych była wyraźnie spięta, a nawet przestraszona. Zrozumieli od razu, czemu Selbok wspominał o środkach uspokajających. - Chciałbym, żebyś nas zostawił - powiedział Lem do Walta Gainesa.

-Zachcianki to nie filet mignon. Gdyby tak było, zawsze mielibyśmy coś dobrego na obiad - odparł Walt. - Cześć, Tracy, jestem szeryfem Walt Gainesem, a to Lemuel Johnson. Jestem prawie tak miły, jak mówią ludzie, natomiast Lem to kawał drania - każdy ci to powie. Nie musisz

sie jednak tym martwic, poniewaz bede go mial na oku i dopilnuje, zeby byl dla ciebie mily. Okay?

Wspolnymi silami wciagneli Tracy do rozmowy. Szybko wyszlo na jaw, ze historyjke o kojocie opowiedziala Selbokowi dlatego, bo nie wierzyla, ze lekarz - czy ktokolwiek inny - moglby dac wiare temu, co widziala naprawde.

-Nie chcialam, aby pomysleli, ze dostalam mocno w glowe i mowie od rzeczy, bo wtedy trzymaliby mnie tutaj znacznie dluzej.

Siedzac na brzegu szpitalnego lozka, Lem powiedzial:

-Tracy, mozesz byc pewna, ze nie uznam cie za kogos stuknietego. Chyba wiem, co widzialas, i chce tylko uslyszec od ciebie potwierdzenie.

Spojrzala na niego z niedowierzaniem.

Walt stal w nogach lozka. Usmiechal sie dobrodusznie, jakby byl wielkim, ozywionym, pluszowym misiem.

-Zanim zemdlalas, powiedzialas tacie, ze napadl na ciebie Czarny Lud, ktory mieszkal kiedys w twojej szafie - powiedzial.

-Byl bardzo brzydki - powiedziala cicho dziewczynka. - Ale to chyba nie on.

-Opowiedz - poprosil Lem.

Popatrzyla uwaznie na Walta i Lema, potem westchnela.

-Najpierw wy powiedzcie, co wedlug was powinnam byla zobaczyc. Jesli traficie, opowiem wszystko, co pamietam. Sama jednak nie zaczne, bo pomyslicie, ze zwariowalam.

Lem spojrzal z zaklopotaniem na Walta. Juz wiedzial, iz bedzie musial zdradzic mu pare faktow.

Walt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Obserwując uważnie dziewczynkę, Lem powiedział:

-Żółte oczy.

Tracy sapnęła z wrażenia, po czym wyraźnie zesztywniała.

-Tak! Wiedział pan wie! Pan wie, co to było. - Usiłowała usiąść, skrzywiła się z bólu, gdy dały o sobie znać świeżo zszycie rany, i opadła na poduszkę. - Co to było? Co to było?

-Tracy - odezwał się Lem - nie mogę ci tego powiedzieć. Podpisałem przysięgę o zachowaniu tajemnicy. Gdybym ją złamał, powędrowałbym do więzienia, a co ważniejsze... straciłbym szacunek dla samego siebie. Słuchała ze ściągniętymi brwiami, a w końcu pokiwała głową.

-Chyba potrafisz to zrozumieć.

-To dobrze. A teraz opowiedz mi wszystko, co możesz, o istocie, która cie napadła.

Jak się okazało, Tracy wiedziała niezbyt wiele. Noc była wyjątkowo ciemna, w świetle latarki zaś widziała Obcego tylko przez mgnienie oka.

-Dość duży jak na zwierzę... mniej więcej mego wzrostu. Żółte oczy. - Zadrzała. - A jego twarz była... jakas dziwna.

-Na czym to polegało?

-Pokryta guzami... zniekształcona. - Chociaż od początku była bardzo blada, teraz pociemniała jeszcze bardziej. Na czole, tuż poniżej linii włosów, pojawiły się drobne kropelki potu.

Walt stał pochylony do przodu, zacisnąwszy dłonie na poręczach łóżka, i

z wyteżoną uwagą przysłuchiwał się rozmowie, nie chcąc uronić z niej ani jednego słowa.

Nagle podmuch wiatru z nad gór Santa Ana uderzył w budynek. Dziewczynka ze strachem popatrzyła w stronę okna, za którym z jakimś przelatywały masy powietrza, jak gdyby bała się, że coś wytlucze szybę i wpadnie do środka.

Lem pomyślał, że właśnie w taki sposób Obcy dopadł Wesa Dalberga.

Dziewczynka z trudem przełknęła ślinę.

-Miał wielkie usta... a zęby...

Drżała i nie mogła się uspokoić. Lem położył dłoń na jej ramieniu.

-Juz dobrze, kochanie. Juz po wszystkim. Masz to za sobą.

Po chwili odzyskała panowanie nad sobą, lecz w dalszym ciągu wyraźnie drżała. Powiedziała:

-Myślałam, że był pokryty włosami... albo może futrem... Nie jestem pewna. Włosy były bardzo mocne.

-Do jakiego zwierzęcia był podobny? - zapytał Lem. Potrząsnęła głową.

-Do żadnego.

-Ale gdybyś musiała powiedzieć, do jakiego zwierzęcia był podobny najbardziej, czy powiedziałabys, że przypominał pumę bardziej niż cokolwiek innego?

-Nie. Nie pumę.

-Psa? Zawahała się.

-Może... miał w sobie coś z psa.

-I troche z niedzwiedzia takze?

-Nie.

-Z pantery? - Nie. Nie bylo w nim nic kociego.

-Cos z malpy?

Ponowne wahanie. Zmarszczyla brwi, nad czyms sie zastanawiala, wreszcie rzekla:

-Nie wiem dlaczego... ale, tak, moglo w nim byc nieco z malpy. Tyle tylko, ze zaden pies czy malpa nie ma takich zebow.

Uchylily sie drzwi i stanal w nich doktor Selbok.

-Piec minut juz minelo.

Walt zaczal machac reka, chcac wyprosic lekarza z pokoju, ale Lem powiedzial:

-Juz konczymy. Jeszcze pol minuty.

-Licze sekundy - rzucil Selbok, po czym wycofal sie na korytarz. Patrzac dziewczynce prosto w oczy, Lem zapytal:

-Czy moze na tobie polegac? Wytrzymala jego spojrzenie.

-Mam byc cicho? Lem pokiwal glowa.

-Dobrze. Na pewno nikomu nie powiem. Rodzice uwazaja, ze jestem dojrzała jak na swój wiek. Wie pan, umyslowo i emocjonalnie. Jesli zaczne opowiadac niestworzone historie o... jakichs potworach, gotowi beda pomyslec, iz wcale nie jestem jeszcze tak bardzo dojrzała. Dojda do wniosku, ze nie jestem dostatecznie odpowiedzialna, zeby zajmowac sie konmi, i odloza na pozniej planowana hodowle. Wole nie ryzykowac, panie Johnson. Z tego, co wiem, wygladalo to na rozszalalego kojota. Tylko...

-Tak?

-Proszę mi powiedzieć... czy to może wrócić?

-Nie sądzę. Dobrze by jednak było, gdybyś na razie nie wychodziła w nocy do stajni. Zgoda?

-Zgoda - odparła bez wahania, a sądząc po jej minie, można było mieć pewność, że nie opuści domu po zapadnięciu ciemności przez parę najbliższych tygodni.

Wyszli z pokoju, podziękowali doktorowi Selbokowi za pomoc i zeszli na położony w podziemiu parking. Poranna zmiana jeszcze nie przybyła, toteż rozległa, betonowa konstrukcja świeciła pustkami. Ich kroki odbijały się głuchym echem od najbliższych ścian.

Ponieważ zostawili samochody na tym samym poziomie, Walt odprowadził Lema aż do jego wozu, nie oznakowanego, zielonego sedana NSA. Lem wkładał właśnie klucz do zamka w drzwiach samochodu, gdy Walt, rozejrzawszy się dookoła, aby się upewnić, czy są sami, zażądał: - Powiedz mi.

-Nie mogę.

-I tak się dowiem.

-Jesteś z tej sprawy wyłączony.

-Więc postaw mnie przed sądem. Załatw formalny nakaz.

-Mogłbym to zrobić.

-Oskarż o naruszenie bezpieczeństwa narodowego.

-Tak to właśnie wygląda!

-Wsadź do więzienia.

-Chyba tak zrobie - powiedzial Lem, dobrze wiedzac, ze nie bylby do tego zdolny.

Co ciekawe, dociekliwosc Walta, choc uciazliwa i momentami irytujaca, sprawiala Lemowi rowniez pewna przyjemnosc. Mial niewielu przyjaciol, a Walt byl najwazniejszy sposrod nich. Lem tłumaczyl sobie ten fakt tym, ze przyjaciol dobieral sobie bardzo starannie, stosujac bardzo ostre kryteria wyboru. Gdyby Walt wycofal sie calkowicie, gdyby ustapil przed autorytetem wladz federalnych i stlumil swa ciekawosc rownie latwo, jak gasi sie swiatlo, sporo by stracil w oczach Lema.

-Co kojarzy ci sie z psem, malpa i ma zolte oczy? - zapytal Walt. - Pomijajac oczywiscie twoja matke.

-Zostaw moja mamusie w spokoju, ty palancie - odparl Lem. Uśmiechajac sie mimo woli wsiadl do samochodu.

Walt przytrzymał otwarte drzwi, pochylił się i raz jeszcze popatrzył na Lema.

-Co, na litosc boska, ucieklo z Banodyne?

-Juz ci mowilem, ze sprawa ta nie ma z Banodyne nic wspolnego.

-A ogien, ktory wybuchl w Laboratoriach na drugi dzien... Czy oni podlozyli go sami, chcac zniszczyc dokumentacje prowadzonych badan?

-Nie badz smieszny - rzucil Lem znuzonym glosem, wkkladajac kluczyk do stacyjki. - Dokumentacje mozna by bylo zniszczyc w sposob znacznie prostszy i bardziej skuteczny. Gdyby oczywiscie istniala jakas dokumentacja, ktora nalezalo zniszczyc. A nie istniala, poniewaz Banodyne nie ma z tym nic wspolnego.

Lem przekrecil kluczyk, lecz Walt jeszcze nie zrezygnowal. W dalszym ciagu stal w drzwiach, a nawet pochylił się bardziej, nie chcąc, by



zagluszył go pracujący silnik.

-Inżynieria genetyczna. Oto czym zajmują się w Banodyne. Dłubią w bakteriach i wirusach, żeby wyhodować nowe pożyteczne stworzenia, takie, co to będą wytwarzać insulinę albo pożerać plamy ropy. Sadzą, że interesują się również genami roślin. Kukurydza rosnąca na kwaśnej glebie albo pszenica obywatelująca się połową normalnej ilości wody, czy coś w tym rodzaju. Na ogół wyobrażamy sobie, że eksperymenty genetyczne dotyczą zawsze roślin lub drobnoustrojów. A przecież równie dobrze można zabrać się za geny dużych zwierząt, otrzymując w rezultacie zupełnie nowe gatunki dziwacznych istot! Czy to właśnie nie jedna z nich uciekła z Banodyne? Leni potrząsnął głową i przybrał zboląły wyraz twarzy.

-Walt, nie jestem ekspertem od rekombinowanego DNA, nie sadzę jednak, aby współczesna nauka potrafiła sobie poradzić z podobnymi rzeczami. Zresztą czemu miałoby to służyć! Okay, przypuśćmy, że ingerując w strukturę genetyczną istniejących gatunków uczeni zdolają stworzyć dziwaczne nowe zwierzęta - jaki byłby z tego pożytek! Nie biorąc oczywiście pod uwagę pokazywania tych stworów w gabinetach osobliwości?

Oczy Walta zweziły się.

-Nie wiem. Ty mi to powiesz.

-Posłuchaj, pieniędzy na badania zawsze brakuje. O wszelkie fundusze, duże czy małe, toczy się nieustannie zacięta walka, dlatego też nikt nie może sobie pozwolić na bezcelowe eksperymenty. Rozumiesz? A skoro w tej akcji uczestniczę ja, wiesz, że chodzi o sprawy obronności. Trudno chyba raczej przypuszczać, że Banodyne trwoni pieniądze Pentagonu na produkcję jarmarcznych dziwadel.

-Słowa "trwonienie" oraz "Pentagon" bywają niekiedy łączone w jednym zdaniu - sucho zauważył Walt.

-Bądź rozsądny, Walt. Ze Pentagonu pozwala czasami na to, by ktoś

z pracujących na jego potrzeby firm marnowała pieniądze prowadząc na przykład badania nad nowym systemem uzbrojenia, to jedna sprawa. Natomiast świadome kierowanie funduszy na eksperymenty o znikomym znaczeniu militarnym to coś zupełnie innego. System finansowania bywa czasami nieefektywny, może być nawet skorumpowany, ale z pewnością nie jest skrajnie głupi. Tak czy inaczej, powtarzam ci raz jeszcze: cała nasza rozmowa nie ma sensu, ponieważ wszystkie te zdarzenia nie mają z Banodyne nic wspólnego.

Walt przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę, potem westchnął.

-Jezu, Lem, jesteś naprawdę dobry. Wiem, że musisz mnie okłamywać, ale prawie ci uwierzyłem.

-Mówię prawdę.

-Jesteś dobry. Powiedz mi zatem, co ze sprawą Weatherby'ego, Yarbecka i pozostałych? Czy złapaliście już zbrojce?

-Nie. - Ścisłe biorąc, człowiek, którego Lem wyznaczył do prowadzenia tej sprawy, zameldował, że najwidoczniej Sowietom posłużyli się zbrojca spoza kręgu własnych agencji i może nawet spoza całego politycznego świata. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, jednakże odpowiadając Waltowi ograniczył się do krótkiego "nie".

Walt rozprostował grzbiet i zaczął zamykać drzwi wozu. W trakcie tej czynności musiał sobie o czymś przypomnieć, gdyż ponownie wetknął głowę do środka.

-Jeszcze jedno. Czy zauważyłeś, że to stworzenie zmierza jakby w kierunku określonego miejsca?

-O czym ty mówisz?

-Od chwili ucieczki z Banodyne kieruje się wciąż na północ lub północny zachód.

-Nic nie uciekło z Banodyne, do cholery.

-Z Banodyne do kanionu Holy Jim, stamtąd do Irvine Park, skąd z kolei dzisiejszej nocy przeniosło się do posiadłości Keeshanów. Ciagle na północ bądź północny zachód. Sadzę, że wiesz, co to znaczy, jaki jest cel tej wędrowki, lecz oczywiście nie śmiem o to zapytać, bo się boję, że wpakujesz mnie do więzienia i pozwolisz, żebym tam zgnił.

-Mówię ci prawdę o Banodyne.

-To ty tak uważasz.

-Jesteś niemożliwy, Walt.

-Tak z kolei uważają wszyscy. Mogę już iść do domu? Jestem strasznie rozbity.

Uśmiechając się szeroko, Walt zamknął wreszcie drzwi.

Ze szpitalnego garażu Lem wyjechał na Main Street, potem na szosę wiodącą w stronę Placentii, gdzie znajdował się jego dom. Miał nadzieję, że najpóźniej o świcie wyładuje w łóżku.

Jadąc służbowym sedanem po ulicach pustych niczym srodoceaniczne przestrzenie rozmyślał o przesuwającym się na północ Obcym. On sam dostrzegł tę prawidłowość już wcześniej. Wiedział też, czego zbiegła bestia szuka, choć nie potrafił określić dokładnie miejsca, do którego zmierza. Od początku pies i Obcy przejawiali niezwykłą, wzajemną świadomość swego istnienia, wyczuwali swoje nastroje i zachowania, nawet wówczas, gdy przebywali w różnych pomieszczeniach. Da vis Weatherby sugerował, zupełnie serio, jakoby oba stworzenia łączyły więzi telepatyczne. Było rzeczą wielce prawdopodobną, że Obcy w dalszym ciągu wyczuwał obecność psa i kierując się jakimś szóstym zmysłem, podążał jego śladem.

Martwić się o los psa, Lem prosił Boga, aby tak nie było.

Juz w laboratorium rzucalo sie w oczy, ze pies boi sie Obcego. Nic dziwnego. Obie istoty byly yang i yin Projektu Francisa, sukcesem i porazka, dobrem i zlem. Pies byl wspanialy i dobry, Obcy zas szkaradny i zly w kazdym calu. Naukowcy zauwazyli, ze Obcy nie bal sie psa, lecz go nienawidzil z zupełnie niezrozumiala zawzietoscia. Skoro teraz obaj znalezli sie na wolnosci, bestia mogla skoncentrowac sie calkowicie na poszukiwaniu psa, gdyz nigdy w zyciu niczego nie pragnela tak bardzo, jak tego, by rozerwac retrievera na strzepy.

Lem spostrzegl, ze pograzony w niespokojnych myslach, zbyt mocno przydusil pedal gazu, nadajac samochodowi predkosc znacznie przewyzzajaca dozwolone granice. Niezwlocznie zwolnil nieco nacisk na pedal.

Gdziekolwiek pies by byl, u kogokolwiek by sie schronil, znajdowal sie w niebezpieczenstwie. Ci, ktorzy go przygarneli, zagrozeni byli rowniez. Smiertelnie.

## VI

### 1

Przez ostatni tydzien maja oraz pierwsze dni czerwca Nora, Travis i Einstein byli niemal zawsze razem. Poczatkowo dreczyla ja mysl, ze Travis jest w jakis sposob niebezpieczny; nie tak grozny jak Streck, nalezy jednak zachowac czujnosc wobec niego. Na szczescie szybko sie uwolnila od tych paranoicznych obaw. Teraz, wspominajac niedawne niepokoje, smiala sie sama z siebie. Travis byl czlowiekiem dobrym i milym, dokladnie takim mezczyzna, jakiego - zgodnie z tym, co twierdzila ciotka Violet - nie mozna spotkac na swiecie, gdyz tacy po prostu nie istnieja.

Uporawszy sie juz ze swymi uprzedzeniami, Nora doszla z kolei do przekonania, ze jedynym powodem, dla ktorego Travis w dalszym ciagu sie z nia spotykal, bylo wspolczucie. Bedac czlowiekiem wzraliwym, nie potrafil odwrocic sie plecami do kogos potrzebujacego pomocy tak bardzo jak ona. Malo kto spotkawszy Nore, dostrzeglby

dreczaca ja rozpacz - uznano by ja za dziwna, bojazliwa i wzruszajaca, ale nigdy za osobe pograzona w autentycznej rozpacz. Tymczasem ona byla dla niego istotnie. Powodem tego stanu byl brak umiejtnosci nawiazywania kontaktu ze swiatem lezacym poza jej czterema scianami i strach przed przyszloscia, a ponadto dreczyła ja przerazliwa samotnosc. Travis, ktorego spostrzegawczosc dorownywala zyczliwosci, zauwazyl te jej rozpacz i zareagowal na nia we wlasciwy sobie sposob. Jednakze stopniowo, w miare jak maj przechodzil w czerwiec, a dni stawaly sie coraz goretsze, coraz czesciej przychodzila jej do glowy niesmiala mysl, ze pomagal jej moze nie dlatego, iz darzyl ja wspolczuciem, a dlatego, iz naprawde ja polubil.

Nie mogla jednak zrozumiec, co taki jak on mezczyzna widzi w kobiecie takiej jak ona, nie majacej wlasciwie nic do zaoferowania. Zgoda, miala pewne klopoty z ocena siebie samej. Moze rzeczywiscie nie byla tak beznadziejnie brzydka i nudna, jak sie jej wydawalo. Ale Travis z cala pewnoscia zaslugiwal na kolezenstwo i przyjazn kobiety znacznie ciekawszej i bardziej atrakcyjnej niz ona; moglby na pewno miec taka partnerke, gdyby tylko chcial.

Postanowila nie analizowac motywow jego postepowania. Uznala, ze powinna sie odprezyc i cieszc zyciem.

Poniewaz Travis po smierci zony sprzedal swoja firme handlu nieruchomosciami, a Nora nigdzie nie pracowala, mogli codziennie spedzac razem mnostwo czasu - i skwapliwie z tego korzystali. Odwiedzali galerie, szperali po ksiegarniach, odbywali dlugie spacery. Urzadzali przejazdki do malowniczej Santa Ynez Valley lub wzdłuż cudownego wybrzeza Pacyfiku.

Dwukrotnie wybrali sie do Los Angeles; wyruszalі wczesnym rankiem i spedzali tam caly dzien. Nora czula sie oszolomiona ogromem miasta oraz przezywanymi atrakcjami: zwiedzaniem studia filmowego, wizyta w zoo oraz porannym spektaklem modnego musicalu.

Pewnego dnia Travis namowil ja na zmiane fryzury. Pojechali do salonu pieknosci, ktory odwiedzala jego zmarla zona. Nora byla tak zdenerwowana, ze w rozmowie z fryzjerka, pewna siebie blondynka imieniem Melanie, zaczela sie jakac. Violet zawsze strzygla Nore w domu, a po jej smierci dziewczyna sama robila porzadek ze swymi wlosami. Kontakt z fryzjerka byl dla niej zupełnie nowym doswiadczeniem, rownie niepokojacym jak pierwszy posilek w restauracji. Melanie zrobila cos, co nazywala "modelowaniem" i miejscami mocno przyciela Norze wlosy, gdzie indziej natomiast zostawila je niemal nietknięte. Nie pozwolili jej patrzec w lustro, dopoki wlosy nie wyschly i nie zostaly uczesane. Dopiero wtedy obrocili ja na fotelu i ukazali zaskoczonej dziewczynie jej własne odbicie.

-Wygladasz wspaniale - powiedzial Travis.

-To kompletne przeobrazenie - dodala Melanie.

-Cudowne - przytaknal Travis.

-Ma pani taka sliczna twarz, wspanialy uklad kostny - ciagnela fryzjerka. - Proste, dlugie wlosy nadmiernie ja wydłużaly, czynily spiczasta. Nowa fryzura uwypukla wszystkie zalety.

Nawet Einstein zdawal sie zadowolony z przemiany, jakiej ulegla. Kiedy wyszli z salonu i podeszli do psa, ktory czekal na nich przywiazany do pobliskiego parkometra, zamachal wesolo ogonem na widok Nory, wyskoczyl do gory, a nastepnie oparl przednie lapy o jej ramiona i popiskujac z radosci, zaczal obwachiwac wlosy oraz twarz.

Nienawidzila swej nowej aparycji. Kiedy obrocili ja twarza do lustra, ujrzala stateczna stara panne usilujaca uchodzic za sliczna, pelna zycia, mlodziutka dziewczynie. To uczesanie zupełnie do niej nie pasowalo. Podkreślalo jedynie jej brzydote i przecietnosc. Nigdy nie bedzie sexy, czarujaca czy radosna, jak to sugerowala nowa fryzura. Z podobnym skutkiem mogl ktos przypiac indykowi z tylu peczek barwnych pior i probowac wmowic wszystkim wokolo, ze maja przed soba pawia.

Ponieważ nie chciała sprawiać przykrości Travisowi, udawała, iż podoba jej się to, co z nią zrobiono. Jednakże wieczorem starannie umyła włosy, wytarła je do sucha, a potem szczotkowała tak długo, aż tak zwane modelowanie znikło prawie bez śladu. Efekty zabiegów fryzjerki nie dały się całkowicie usunąć; włosy nie były już takie proste i gładkie, zrobiła jednak wszystko, by nadać im poprzedni wygląd.

Następnego dnia, kiedy Travis przyjechał, żeby ją zabrać na lunch, nie mógł wyjść ze zdumienia, że wróciła do starego uczesania, ale nic na ten temat nie powiedział, nie zadawał też żadnych pytań. Tak bardzo obawiała się jego reakcji, że przez kilka pierwszych godzin nie mogła patrzeć mu w oczy dłużej niż przez parę sekund.

Pomimo jej wielokrotnych i zdecydowanych protestów Travis wciąż nalegał, by wybrali się do sklepu po nową sukienkę, coś jasnego, odpowiedniego na lato, w czym mogłaby się pokazać na obiedzie w "Talk of the Town", eleganckiej restauracji na West Gutierrez, gdzie ponoć niekiedy widywano gwiazdy filmu mieszkające w pobliskim Bel Air - drugiej po Beverly Hills kolonii filmowców.

Weszli do drogiego sklepu, w którym na życzenie Trávisa przymierzyła kilkanaście sukienek, za każdym razem rumieniąc się i doświadczając bolesnego uczucia upokorzenia. Ekspedientka nie mogła wyjść z podziwu nad tym, jak dobrze leżały na niej wszystkie kreacje, a jej zachwyt sprawiał wrażenie zupełnie szczerego. Powtarzała, że Nora ma doskonałą figurę, jednakże Nora odbierała to jako kpiny.

Travisowi najbardziej podobala się sukienka z kolekcji Diane Freis. Nora musiała przyznać, że istotnie była cudowna: dominowały w niej barwy czerwona i złota, połączone z niemal przeraźliwą mieszaniną kolorów, które jednakże zestawione zostały w taki sposób, że harmonizowały ze sobą o wiele lepiej niż powinny (co widocznie było cechą właściwą projektom Freis), i wyglądała niezmiernie kobieco. Gdyby włożyła ją na siebie jakas piękność, wywołałaby zabojuce wrażenie. Tyle tylko, że zupełnie nie pasowała do Nory. Ciemne

kolory, ukrywający sylwetkę, kroj, proste materiały bez żadnych ozdób - oto jej styl. Próbowala mu wytłumaczyć, co było dla niej najodpowiedniejsze, powiedzieć, że nigdy nie nosilaby takiej sukienki, on jednak odrzekł: - Wygladasz w tym wspaniale, naprawdę wspaniale - i w końcu pozwoliła, by ją kupił. Dobry Boże, naprawdę na to pozwoliła. Wiedziała, że popełnia wielki błąd, że to pomyłka, że nigdy czegoś takiego nie włoży na siebie. Czekając, aż sukienka zostanie zapakowana, Nora zastanawiała się, dlaczego przystała na coś takiego. Wkrótce uświadomiła sobie, że oprócz upokorzenia w głębi serca czuła również zadowolenie, iż jakiś mężczyzna kupuje dla niej stroje, interesuje się jej wyglądem. Nawet w najśmielszych snach o czymś takim nie marzyła i zapewne dlatego robiło to na niej tak głębokie wrażenie.

Jej twarz raz po raz oblewała się rumieńcem, a serce łomotało jak szalone. Czuła oszłomienie, lecz tym razem było to oszłomienie przyjemne.

Nieco później, gdy wychodzili ze sklepu, dowiedziała się, że Travis zapłacił za ten strój pięćset dolarów. Pięćset dolarów! Zamierzała powiesić ją w szafie i często oglądać, traktując jako coś w rodzaju rekwizytu ułatwiającego snucie pięknych marzeń. Mogłaby tak postępować, gdyby strój kosztował pięćdziesiąt dolarów, jednak za pięćset będzie musiała go nosić, nawet jeżeli się w ten sposób osmiesz, będzie wyglądać na dzikuskę, która udaje księżniczkę.

Następnego dnia, wieczorem, w ciągu dwóch godzin dzielących ją od przybycia Tralisa, z którym miała pójść do "Talk of the Town", chyba z dziesięć razy nakładała sukienkę, po czym znowu ją zdejmowała. Kilkakrotnie przejrzała zawartość szafy, poszukując gorączkowo czegoś bardziej sensownego, lecz nie znalazła niczego, ponieważ nigdy dotąd nie były jej potrzebne stroje, w których mogłaby się pokazać w eleganckiej restauracji.

Obserwując z pochmurną miną własne odbicie w wiszącym w łazience lustrze powiedziała: - Wygladasz jak Dustin Hoffman w "Tootsie".



Parsknęła nagle śmiechem wiedząc, że ocenia siebie zbyt surowo. Coz jednak mogła poradzić na to, iż naprawdę tak właśnie się czuła: jak przebrany mężczyzna. W tym przypadku odczucia były ważniejsze niż fakty, toteż uśmiech szybko zniknął jej z twarzy.

Dwukrotnie ogarniało ją zwątpienie, wybuchła płaczem i chciała dzwonić do Trávisa, prosić o przełożenie spotkania. Jednakże pragnienie, by go zobaczyć, było silniejsze od wszystkiego, silniejsze nawet od leku przed upokorzeniem, jakie mógł jej przynieść nadchodzący wieczór. Otarła oczy, jeszcze raz nałożyła sukienkę, a w chwili później ją sciągnęła.

Travis przyjechał parę minut po siódmej. W ciemnym garniturze wyglądał niezwykle atrakcyjnie. Nora miała na sobie workowatą błękitną garsonkę oraz ciemnoniebieskie pantofle.

-Zaczekam - powiedział Travis.

-Co takiego? Na co?

-Dobrze wiesz - powiedział znacząco. - Idź się przebrać. Próbowala się usprawiedliwić, wyrzucając z siebie słowa w nerwowym pośpiechu.

-Travis, tak mi przykro, to straszne. Bardzo cię przepraszam, ale zalalam kawą całą sukienkę.

-Będzie czekać tutaj - powiedział wchodząc do salonu.

-Wylałam na nią pełen dzbanek.

-Lepiej się pośpiesz. Mamy rezerwację na siódma trzydzieści. Gromadzić siły, by jakos przetrzymać rozbawione szept, a może nawet otwartą wesołość wszystkich, którzy ją zobaczą, wmawiając sobie, że liczy się tylko opinia Trávisa, włożyła kreację Diane Freis.

Zalowała teraz, że zniszczyła fryzurę wykonaną kilka dni temu przez Melanie. Może to by pomogło.

Nie, na pewno wyglądałaby jeszcze pocieszniej.

Gdy ponownie zeszła na dół, Travis uśmiechnął się i powiedział:

-Jesteś przesliczna.

Nie dowiedziała się, czy kuchnia "Talk of the Town" była równie dobra jak reputacja lokalu. Nie czuła żadnego smaku. Nie udało się jej także zapamiętać wystroju sali, natomiast twarze innych gości - z aktorem Gene'em Hackmanem włącznie - widziała bardzo wyraźnie, zapewne dlatego, że przez cały wieczór utwierdzała się w przekonaniu, iż jest obserwowana ze zdumieniem i lekceważeniem.

W środku obiadu, widocznie zdając sobie sprawę z jej zakłopotania, Travis odstawił kieliszek z winem, nachylił się ku niej i wyszeptał:

-Noro, wyglądasz naprawdę wspaniale, bez względu na to, co o tym

myslisz. Gdybys miala wiecej doswiadczenia w tych sprawach, wiedzialabys, ze wiekszosc obecnych tutaj mezczyzn pozera cie wzrokiem.

Ale ona znala prawde i nie bala sie spojrzec jej w oczy. Jezeli mezczyzni rzeczywiscie na nia patrzyli, to na pewno nie robili tego z powodu jej urody. Kazdy by sie gapil na indyka z peczkiem kolorowych pior, probujacego udawac pawia.

-Bez sladu makijazu - powiedzial - wygladasz lepiej od kazdej z obecnych na tej sali kobiet.

Bez makijazu. To jeszcze jeden powod, dla ktorego zwracano na nia uwage. Kiedy kobieta wklada suknie za piecset dolarow, by pojsc do kosztownej restauracji, stara sie upiekszyc siebie w takim stopniu, jak to jest tylko mozliwe, korzystajac z pomocy szminki, tuszu, pudru, blyszczka i Bog jeden wie czego jeszcze. Mysl o podobnych zabiegach nawet nie przyszla Norze do glowy.

Deser z czekoladowej pianki, choc wyborny, mial dla niej smak gipsu i co chwila wiazl w gardle.

W ciagu ostatnich paru tygodni przegadala z Travisem wiele godzin. Oboje ze zdumieniem stwierdzili, ze niezwykle latwo przychodzi im odslanianie przed soba najskrytszych uczuc i mysli. Dowiedziala sie, dlaczego jest samotny pomimo dobrej prezencji i materialnej niezaleznosci, on zas poznal zrodlo jej kompleksu nizszosci. Tak wiec, gdy dlawiac sie pianka, zaczela blagac Travisa, by zabral ja natychmiast do domu, uslyszala:

-Jezeli na swiecie jest sprawiedliwosc, Violet Devon smazy sie dzisiaj w piekle.

-Och, nie. W koncu ona nie byla taka zla - zaprotestowala wstrzasnieta Nora.

Cala droge do domu przebyli w ponurym milczeniu.

Zegnając się z nią, zaczął nalegać, by doprowadziła do spotkania z Garrisonem Dilworthem, prawnikiem ciotki, który teraz przejął prowadzenie także i jej spraw.

-Z tego, co mi powiedziałaś - przekonywał - wynika, że Dilworth znał ciotkę lepiej niż ktokolwiek inny. Stawiam dolary przeciw pestkom, iż mogłabys usłyszeć całą prawdę o niej, a kiedy dowiesz się o pewnych rzeczach, pękna wreszcie te przekleśte wiezy, krepujące cię nawet po jej śmierci.

-W życiu ciotki Violet nie było żadnych mrocznych sekretów - zaproponowała Nora. - Ona po prostu była taka, na jaką wyglądała. Zwyczajna, bardzo prosta, bardzo smutna kobieta.

-Akurat. Już ja to widzę - rzucił powatpiwającym tonem Travis. Tak długo obstawał przy swoim, aż w końcu obiecała umówić się z Garrisonem Dilworthem.

Później w sypialni na gorze, gdy nadeszła pora, by oswobodzić się z kreacji Diane Freis, Nora odkryła, że nie ma na to najmniejszej ochoty. Przez cały wieczór marzyła o chwili, gdy zrzuci z siebie cały ten strój, w którym czuła się jak aktorka w teatralnym przebraniu, lecz teraz, spoglądając wstecz, dostrzegła, iż minione godziny emanują ciepłym blaskiem, i zapagnęła, by blask ten plonął nadal. Niczym sentymentalna uczennica poszła spać w sukni za pięćset dolarów.

Biuro Garrisona Dilwortha było urządzone bardzo starannie, tak aby wszystko budziło u klientów uczucie szacunku i zaufania i wywoływało w nich wrażenie stabilności. Dopracowane w najdrobniejszych szczegółach piękne drebowe okładziny. Zwisające z mosiężnych karniszów ciężkie zasłony o barwie królewskiego błękitu. Polki pełne oprawnych w skórę prawniczych książek. Masywne drebowe biurko.

Sam prawnik stanowił uosobienie godności i uczciwości, a zarazem miał w sobie coś ze Świętego Mikołaja. Wysoki, raczej tegi, o gestych, siwych włosach, gustował w trzyczęściowych garniturach i krawatach o stonowanych barwach. Choć od wielu lat żył w Kalifornii, jego

głęboki głos o kulturalnym brzmieniu zdradzał przynależność do wyższych klas Wschodu, gdzie się urodził, wychował i wykształcił. Często się uśmiechał, a w jego oczach zapalały się wesole iskierki, zupełnie jak u Świętego Mikołaja. Mimo że przekroczył już siedemdziesiątkę, nadal pracował w pełnym wymiarze godzin.

Nie odgrodził się od nich biurkiem, tylko usiadł obok Nory w jednym z wygodnych foteli ustawionych wokół stolika do kawy, na którym stała duża waza Waterforda.

-Nie wiem, czego chcielibyście się ode mnie dowiedzieć. Z pani ciotka nie wiąza się żadne sekrety. Nie ma żadnych mrocznych tajemnic, zdolnych odmienić pani życie...

-Sama o tym wiem - odparła Nora. - Przepraszam, że zakłociliśmy panu spokój.

-Zaczekaj - wtracił się Travis. - Pozwól panu Dilworthowi dokończyć.

-Violet Devon była moja klientka i jako prawnik zobowiązany jestem chronić jej tajemnice nawet po śmierci. Takie jest przynajmniej moje zdanie, chociaż część moich kolegów po fachu ma na ten temat odmienne poglądy. Oczywiście w tym wypadku rzecz dotyczy najbliższej żyjącej krewniej Violet, a zarazem jej spadkobierczyni, przypuszczam więc, że byłoby bardzo niewiele takich faktów, których nie zechciałbym jej wyjawic, gdyby rzeczywiście istniały w ogóle jakieś sekrety do ukrycia. Nie odczuwam natomiast żadnych oporów moralnych przed wyrażeniem mojej opinii na temat pani ciotki. Nawet prawnicy, duchowni i lekarze mogą mieć na temat każdego człowieka własne zdanie. - Wziął głęboki oddech i zmarszczywszy czoło powiedział: - Nigdy jej nie lubilem. Uważałem ją za ograniczoną, samolubną kobietę, mówiąc najłagodniej lekko... niezrównoważoną umysłowo. A sposób, w jaki cie wychowywała, Noro, uznaję za wysoce karygodny. W jej postępowaniu wobec ciebie nie można by się dopatrzeć niczego takiego, co stanowiłoby przestępstwo z punktu widzenia prawa, niemniej jednak to postępowanie z całą pewnością

zasługiwało na potępienie. I było okrutne.

Odkąd sięgała pamięć, Nora miała zawsze takie uczucie, jakby w jej wnętrzu ktoś zawiązał ogromny węzeł, który ścisnął mocno najważniejsze organy, tłumił przepływ krwi, powodował stan ciągłego napięcia, zmuszał ją do tłumienia wszystkich uczuć, do wkładania w każdą czynność nadmiernego wysiłku, jak gdyby była maszyna otrzymująca zbyt mało energii. Słowa Garrisona Dilwortha przecięły nagle ten węzeł i po raz pierwszy w życiu uczuła, jak przepływa przez nią niczym nie ograniczony strumień vitalności.

Zdawała sobie sprawę z tego, co z niej zrobiła Violet Devon, jednak sama ta świadomość nie wystarczała, by zerwać z rygorami ponurego wychowania. Potrzebowała usłyszeć potępienie ciotki z ust innego człowieka. Co prawda Travis rozszyfrował Violet już wcześniej i opinia, którą wyraził o niej, przyniosła Norze pewną ulgę. To, co on powiedział, miało jednak wpływ ograniczony, ponieważ nie znał ciotki osobiście i mógł się mylić w swoich sądach. Garrison natomiast znał ją bardzo dobrze, toteż jego słowa spełniły rolę podobną do czarodziejskiego zaklęcia: oswobodziły Norę całkowicie i ostatecznie.

Drżała gwałtownie, a po twarzy ściekały jej łzy, z czego zupełnie nie zdawała sobie sprawy aż do chwili, gdy Travis podniósł się z krzesła i pocieszającym gestem położył jej dłoń na ramieniu. Zaczęła szukać w torebce chusteczki.

-Przepraszam.

-Droga pani - powiedział Garrison - proszę nie przepraszać za to, że wyzwoliła się pani ze stalowej skorupy, która wieszała panią przez całe życie. Po raz pierwszy okazała pani jakieś silniejsze uczucie. Po raz pierwszy dostrzegam w pani coś innego niż bezmierna wstydliwość i bardzo się ciesze, mogąc coś takiego oglądać. - Odwracając się do Trávisa, by dać Norze czas na dojście do siebie, prawnik zapytał: - Co jeszcze, według pana, powinienem powiedzieć?

-Sa pewne fakty, o których Nora nie wie, a których wyjawienie z

pewnoscia nie bedzie naruszeniem przestrzeganych przez pana zasad etyki zawodowej.

-Na przyklad?

-Violet Devon nigdy nie pracowala, a przeciez zylo sie jej calkiem niezle, nigdy nie miala klopotow finansowych, a umierajac zostawila tyle, ze Nora ma zapewniony byt do konca zycia, jesli, oczywiscie, pozostanie w tym domu i nie zmieni radykalnie swych upodoban. Skad pochodza te pieniadze?

-Skad pochodza? - zdziwil sie Garrison. - Nora doskonale o tym wie.

-Nie wie - zaprzeczyl Travis.

Nora podniosla oczy na prawnika i stwierdzila, ze Garrison Dilworth wpatruje sie w nia z bezbrzeznym zdumieniem. Kilkakrotnie zamrugal powiekami, po czym rzekl:

-Maz Violet byl czlowiekiem zamoznym. Zmarl w mlodym wieku, a ona wszystko po nim odziedziczyla.

Nora siedziala przez chwile jak skamieniala, po czym z trudem zaczerpnela tchu i zapytala:

-Maz?

-George Olmstead - potwierdzil prawnik.

-Nigdy nie slyszalam tego nazwiska.

Garrison ponownie zamrugal oczami, jak gdyby chcial sie pozbyc tkwiacych pod powiekami dokuczliwych ziarenek piasku.

-Czy ona nigdy nie wspominala o mezu?

-Nigdy.

-Ale czy sasiedzi...

-Nie utrzymywalismy z sasiadami zadnych kontaktow. Violet ich nie akceptowala.

-Poza tym - dodal Garrison - gdy sie teraz nad tym zastanawiam, dochodze do wniosku, ze do chwili pani przybycia w polozonych najblizej domach mogli zamieszkać nowi lokatorzy.

Nora wytarla nos i odlozyla chusteczke. W dalszym ciagu drzala. Potezne emocje, jakie obudzily w niej rewelacyjne informacje Garrisona, zaczely z wolna ustepowac miejsca ciekawosci.

-Czy dobrze sie czujesz? - zapytal Travis. Skinela glowa, a nastepnie spojrzala mu prosto w oczy.

-Wiedzialas o tym, prawda? O mezu? To dlatego mnie tutaj przyprowadziles.

-Przypuszczalem - wyjasnil Travis. - Gdyby odziedziczyla majatek po rodzicach, z pewnoscia by o tym wspomniala. Poniewaz nie powiedziala ci, skad pochodza pieniadze... no coz, wedlug mnie w gre wchodzila tylko jedna mozliwosc - miala meza, z ktorym wspolzycie nie ukladalo sie za dobrze. Wiedzialem, jak niekorzystna byla jej opinia o ludziach w ogole, a o mezczyznach w szczegolnosc, i to zdawalo sie potwierdzac slusznosc moich wnioskow.

Prawnik byl tak skonsternowany i poruszony, ze nie mogl dluziej usiedziec na miejscu. Poderwal sie na nogi i zaczal krazyc wokol podswietlonego od wewnatrz, ogromnego, zabytkowego globusa, ktory wygladal tak, jakby wykonano go z pergaminu.

-Jestem oszolomiony. A zatem pani nigdy nie wiedziala, dlaczego naprawde ciotka byla zgorzkniala mizantropka i dlaczego posadzala wszystkich o jak najgorsze zamiary?

-Nie - odparla Nora. - Chyba nie bylo mi to potrzebne. Sadzilam, ze



ona taka po prostu jest. Wciaz wedrujac po pokoju, Garrison powiedzial:

-Tak. To prawda. Jestem przeswiadczony, iz znajdowala sie na krawedzi paranoi nawet bedac jeszcze mloda dziewczyna. A potem, gdy dowiedziala sie, ze George zdradzal ja z innymi kobietami, stalo sie z nia cos bardzo niedobrego. W jej psychice zaszly jakies powazne zmiany.

Travis zapytal:

-Dlaczego Violet pozostala przy panienskim nazwisku Devon? Przeciez wyszla za maz za Olmsteada.

-Znienawidzila to nazwisko. Kazala mezowi sie pakowac, omal nie wygonila go kijem z domu! Zamierzala sie z nim rozwiesc, ale nie zdazyła, bo umarl, nim do tego doszlo. Jak juz mowilem, dowiedziala sie o przygodach George'a z innymi kobietami. Wpadla w furie. Szalala ze wstydu i zlosci. Musze powiedziec... ze nie moge potepiac calkowicie biednego George'a, poniewaz nie sadze, aby znajdowal w domu wiele milosci i ciepla. Juz w miesiac po slubie zrozumial, ze popelnil blad.

Garrison przystanal obok globusa; polozyl jedna dlon na wierzcholku swiata i jakby zapatrzytl sie w przeszlosc. Zazwyczaj nie wygladal na swoje lata, lecz teraz, pod wplywem wspomnien, zmarszczki na jego twarzy poglebily sie, blekitne oczy zas przybraly bardziej splowialy odcien. Po chwili, zadumy potrzasnal glowa i podjal swa opowiesc.

-W tamtych czasach kobieta zdradzona przez meza stawala sie przedmiotem drwin i wspolczucia. Ale nawet jak na owe lata reakcja Violet byla przesadnie gwaltowna. Spalila wszystkie ubrania George'a, zmienila zamki w drzwiach wejsciowych... zabila psa, jego ulubionego spaniela. Otrula go, a pudelko z cialem wyslala poczta.

-Dobry Boze - wyszeptal Travis.

-Violet wrocila do panienskigo nazwiska. Mowila, ze mysl o noszeniu nazwiska meza przez reszte zycia napelniala ja odraza, i to pomimo jego smierci. Ta kobieta nie potrafila wybaczac.

-To prawda - przytaknela Nora.

Z wyrazem niesmaku na twarzy Garrison powiedzial:

-Gdy George poniosl smierc, nie taila swojej radosci.

-Poniosl smierc? - Nora gotowa byla uwierzyc, ze to Violet zamordowala George'a Olmsteada i jakimś cudem uniknela kary.

-W wypadku samochodowym, czterdziestci lat temu - wyjasnil Garrison. - Wracajac do domu z Los Angeles, stracil panowanie nad kierownica na Coast Highway i polecial w dol. W tamtych latach nie bylo jeszcze barier zabezpieczajacych. Urwisko mialo wysokosc szescdziesieciu czy osiemdziesieciu stop. Samochod George'a - wielki czarny packard - przezoilkowal kilkakrotnie, zanim roztrzaskal sie o skaly. Violet odziedziczyla wszystko, poniewaz pomimo wszczetego przez nia postepowania rozwodowego George nie pomyslal o zmianie testamentu.

-Tak wiec - dodal Travis - George Olmstead, zdradziwszy zone pozostawil ja po smierci bez obiektu, na ktorym moglaby wyladowac zlosc. Dlatego tez ta jej zlosc obrocila sie przeciwko calemu swiatu.

-A w szczegolnoscii przeciwko mnie - cicho wtracila Nora.

Tego samego popoludnia Nora zwierzyta sie Travisowi z tego, ze maluje. Dotychczas ani slowem nie wspomniala mu o swoich artystycznych ciagotach, nigdy tez dotad nie byl w jej sypialni, gdzie moglby zobaczyc sztalugi, szafke ze sprzetem oraz deski do rysunkow. Nie bardzo wiedziala, dlaczego ukrywa przed nim ten obszar swego zycia. Mowila mu, co prawda, niejednokrotnie, ze interesuje sie sztuka, dlatego tez czesto chodzili wspolnie do galerii i muzeow, jednakze nigdy dotad nie wspomniala o tym, ze sama

maluje. Bala sie, ze jej plotna nie zrobia na nim zadnego wrazenia.

Co by sie stalo, gdyby uznal ja za beztalencie?

Oprocz ksiazek, ktore stanowily dla niej ucieczke od jej zycia, wlasnie malarstwo pomagalo Norze przetrwac te wszystkie ponure, samotne lata. Wiedziala, ze jest w tym niezla, moze nawet bardzo dobra, lecz byla zbyt niesmiala i bezbronna, by podzielic sie tym przekonaniem z kimkolwiek. Ale jesli sie mylila? Jesli nie miala talentu i cale to malowanie stanowiło tylko mily sposob zabijania czasu? Opinia Travisa miala dla niej nieslychane istotne znaczenie. Gdyby negatywnie ocenil jej obrazy, Nora popadlaby w rozpacz.

Po wyjsci z biura Garrisona Dilwortha poczula, ze powinna wreszcie podjac ryzyko. Prawda o Violet Devon okazala sie kluczem, ktory otworzyl jej emocjonalne wiezienie. Potrzebowala jeszcze duzo czasu, zeby wyjsc z celi i przebyc dlugi korytarz laczący sie ze swiatem zewnetrznym, jednakze podjela juz wedrowke i nic nie moglo jej powstrzymac. Musiala stawic czolo wszystkim probom i doswiadczeniom, jakie nieslo ze soba nowe zycie, nie wylaczając strasznej mozliwosci odrzucenia i bolesnych rozczarowan. Bez ryzyka nie moglo byc mowy o wygranej.

Znalazlszy sie w domu, wahala sie przez chwile, czy aby nie zaprowadzic Travisa na gore i nie pokazac mu paru ostatnich plocien, jednak na mysl o tym, ze mezczyzna mialby sie znalezc w jej sypialni, chociazby nawet zjawil sie tam w najniewinniejszych zamiarach, poczula niepokoj. To prawda. Slova Garrisona Dilwortha sprawily, ze poczula sie naraz wolna, a swiat gwałtownie rozszerzal swoje granice, lecz nie czula sie jeszcze aż tak wolna. Totez postanowila w koncu posadzić Travisa i Einsteina na jednej z wielkich kanap w zagraconym salonie i tara zademonstrowac im swoje prace. Pozapalala wszystkie lampy, odslonila okna, po czym wbiegla na schody i rzucila: - Zaraz wracam.

Znalazlszy sie na gorze przerzucila drzacymi rekami z dziesiec

obrazow, nie mogac sie zdecydowac, ktore pokaze w pierwszej kolejnosci. W koncu wybrala cztery sposrod nich i choc nie poszlo jej to zupełnie latwo, zabrala wszystkie na dol. W polowie drogi zatrzymala sie i drzac na calym ciele postanowila, ze zawroci i wezmie cos zupełnie innego. Pokonawszy zaledwie kilka stopni przystanela ponownie, uswiadomila sobie bowiem, iz na takich wahaniach moze jej uplynac caly dzien. Powtarzajac sobie w duchu, ze niczego nie osiagnie bez ryzyka, odetchnela gleboko, po czym szybko zeszla na dol.

Travisowi obrazy spodobaly sie. Zreszta "spodobaly sie" to stanowczo za slabe okreslenie. Wpadl w prawdziwy zachwy na ich widok.

-Moj Boze, Noro, to cos wiecej niz niedzielne malowanie. To prawdziwa sztuka.

Rozstawila plotna na czterech krzeslach, lecz Travis nie zadowolil sie ogladaniem ich ze swego miejsca na kanapie. Podeszedl blizej, wedrowal od krzesla do krzesla, po pare razy wracal do kazdego obrazu.

-Jestes wspaniala hiperrealistka - oswiadczyl. - Okay, nie jestem krytykiem sztuki, moze jednak oswiadczyc, ze jestes nie gorsza niz Wyeth. Z kolei te dwa... jest w nich cos dziwnego...

Komplementy przyprawily ja o silne rumience. Probujac odzyskac glos z trudem przelknela sline.

-Odrobina surrealizmu.

Przyniosla ze soba dwa pejzaze i dwie martwe natury, przy czym jeden pejzaz i jedna martwa natura oddawaly rzeczywistosc z fotograficzna wrecz dokladnoscia, natomiast dwa pozostale obrazy nosily silne pietno surrealizmu. I tak na przyklad, martwa natura przedstawiala oddane w najdrobniejszych szczegolach ustawione na stole szklanki, dzbanek, lyzki oraz pokrojona w plasterki cytryne. Na pierwszy rzut oka mozna bylo uznac obraz za dzieło zdecydowanie

realistyczne i dopiero po pewnej chwili dostrzegalo sie, ze podstawa jednej ze szklanek jest wtopiona w powierzchnie stolu, a brzegi jednego z plastrow cytryny stapiaja sie ze scianka innej szklanki.

-One sa cudowne! - wykrzyknal Travis. - Po prostu cudowne. Czy masz jeszcze inne?

Czy miala inne! Jeszcze dwukrotnie powedrowala do sypialni i przyniosla szesc innych obrazow.

Kazde kolejne plotno wprawialo Travisa w coraz wieksze podniecenie. Jego radosc i entuzjazm byly absolutnie szczere. Z poczatku Nora myslala, ze zachowuje sie w ten sposob, poniewaz chce jej sprawic przyjemnosc, jednak szybko sie przekonala, iz jego reakcje sa calkowicie autentyczne.

Krazac po zaimprovizowanej galerii powtarzal: masz wspaniale wyczucie koloru.

Einstein nie odstepowal Travisa na krok. Do kazdego stwierdzenia swego pana dodawal ciche warkniecie i energicznie machal ogonem, jakby chcac podkreslic, ze w pelni podziela jego zachwyty.

-Twoje prace sa takie nastrojowe.

-Luuuf.

-Opanowalas warsztat w zdumiewajacym stopniu. Patrzac na obraz nie dostrzegam wcale tysiecy pociagniec pedzla. Mam wrazenie, jakby pojawil sie na powierzchni plotna za sprawa jakichs czarow.

-Luuuf.

-Trudno wprost uwierzyc, ze nie masz za soba formalnych studiow.

-Luuuf.

-Noro, bez trudu mozesz sprzedac tak dobre rzeczy. Kazda galeria

wykupi je w ciagu minuty.

-Luuuf.

-Moglabys w ten sposob nie tylko zarabiac na zycie... Sadze, ze jestes zdolna zaistniec jako zdolna artystka.

Nie smiac nikomu przyznac sie do tego, jak powaznie traktuje to zajecie, Nora czesto malowala obrazy jeden po drugim, wykorzystujac to samo plotno po kilka razy. W rezultacie wiele prac przepadlo na zawsze, lecz na szczescie zachowala na poddaszu okolo osiemdziesieciu najlepszych obrazow. Teraz na prosbe Tralisa przyniesli na dol dwadziescia sposrod nich, porozdzielali spowijajacy je brazowy papier i rozstawili na stloczonych w salonie meblach. Po raz pierwszy, odkad Nora pamietala, ten mroczny pokoj wydawal sie jasny i wesoly.

-Kazda galeria chetnie przygotuje ci wystawe - zawyrokowal Travis. - Zaladujemy jutro kilka obrazow do wozu i przejedziemy sie po galeriach. Posluchamy, co nam powiedza.

-Och nie, tylko nie to.

-Obiecuje ci, Noro, ze nie bedziesz rozczarowana.

Ogarnal ja nagly niepokoj. Oszolomiona i oczarowana perspektywa artystycznej kariery czula zarazem przerazenie na mysl o tym, na jak powazny krok sie decyduje. To prawie tak, jakby miala rzucic sie w przepasc.

-Jeszcze nie teraz. Za tydzien... moze za miesiac... zrobimy tak, jak mowisz. Ale teraz... jeszcze sobie z tym nie poradze - odpowiedziala.

Poslal jej usmiech.

-Znowu przeladowanie zmyslow?

Podszedł Einstein, otarł się jej o nogi i spojrzał w oczy z tak wielką sympatią, że Nora zareagowała uśmiechem. Drapiąc psa za uszami, powiedziała:

-W tak krótkim czasie tak wiele się wydarzyło. Nie jestem w stanie tego wszystkiego wchłonąć. Momentami muszę zwalczać oszłomienie. Czuje się trochę tak, jakbym jechała na karuzeli, która wymknęła się spod kontroli i wiruje coraz prędzej.

To co mówiła, było prawdą, lecz tylko częściowo tłumaczyło jej pragnienie, by odwlec chwilę, kiedy pokaże publiczności swoje prace. Chciała, żeby wypadki nie biegły zbyt szybko, bo chciała mieć czas na radość, na to, by móc się nacieszyć do woli każdym cudownym zdarzeniem.

Gdyby metamorfoza samotnej starej panny w kobietę żyjącą pełnią życia dokonała się zbyt pośpiesznie, w pamięci zostałaby po niej jedynie rozmazana plama. Tymczasem ona pragnęła rozkoszować i delectować się każdym momentem swego przeobrażenia.

Niczym inwalida - skazany od dnia narodzin na ciemny pokój, wypełniony niezbędnym dla podtrzymywania jego funkcji życiowych sprzętem - który w cudowny sposób odzyskał nagle zdrowie, Nora Devon ostrożnie wchodziła w nowy świat.

To, że Nora porzuciła swoją pustelnię, było zasługą nie tylko Trávisa. Einstein odegrał w tym procesie nie mniej istotną rolę.

Retriever najwyraźniej uznał, iż może jej powierzyć tajemnice swego niezwykłego umysłu. Po wyczynach z Nowoczesną Panną Młodą i dzieckiem z Solvang pies jeszcze parokrotnie dał dowody swej zdumiewającej, niewiarygodnej inteligencji.

Przejmując inicjatywę w swoje ręce, Travis opowiedział z kolei Norze o tym, jak odnalazł Einsteina w lesie i jak potem byli ścigani przez jakiegoś dziwnego, niewidzialnego przesładowcę. Opowiedział jej także o wszystkich niezwykłych wyczynach dokonanych przez psa od

tamtej pory i jego zagadkowym chwilami zachowaniu. Opisał również powtarzające się nocne ataki niepokoju, podczas których Einstein stał przy oknie i usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności, jakby obawiając się, że nieznane stworzenie z lasu zdoła go odnaleźć.

Wieczorami przesiadywali całymi godzinami w kuchni Nory, pili kawę i raczyli się plackiem ananasowym, a przy okazji dyskutowali zawzięcie, próbując rozwiązać zagadkę niesamowitej inteligencji psa. Einstein, jeśli tylko nie był akurat zajęty zebraniem o kolejny kawałek ciasta, przysłuchiwał się im z uwagą, jak gdyby rozumiał, że rozmowa dotyczy właśnie jego. Niekiedy popiskiwał lub niecierpliwie przebierał nogami i można było pomyśleć, iż wyraża w ten sposób swoje niezadowolenie z tego, że nie dysponując odpowiednimi narządami głosowymi nie może się włączyć do dyskusji.

Niestety, żadne rozsądne wyjaśnienie nie przychodziło im do głowy.

-Jestem przekonana, że on mogłoby nam powiedzieć, skąd pochodzi i dlaczego tak bardzo różni się od innych psów - stwierdziła Nora.

Einstein gwałtownie zamierzał ogonem.

-Och, jestem tego pewien - przytaknął Travis. - Ma przecież niemal ludzka świadomość. Wie o swojej odmienności i jak podejrzewam, zna jej przyczynę. Sądzę, że gdyby tylko znalazł jakiś sposób przekazania tego, co wie, chętnie by nam o tym wszystkim opowiedział.

Retriever szczebkał, odbiegł w odległy kąt kuchni, wrócił, popatrzył na nich, zawiedziony dreptał przez chwilę gorączkowo, a na koniec rozciągnął się na podłodze, ułożył głowę na przednich łapach i zaczął prychać, przeplatając te odgłosy cichymi piskami.

Nora zacięła się najbardziej opowieść o wydarzeniach owej nocy, kiedy to psa ogarnęło podniecenie na widok książek Trávisa.

-Wie, że książki są środkiem porozumiewania się - stwierdziła. - Może też czuje, iż za pomocą książek można zbudować most ponad



dzielaca nas przepascia.

-Jak? - zapytal Travis, podnoszac do ust kolejny kawalek placka.

Nora wzruszyła ramionami.

-Nie wiem. Byc moze problem polega na tym, ze twoje ksiazki nie byly odpowiednie. Sama beletrystyka?

-Tak. Powiesci.

-Moze potrzebne by nam byly ksiazki z obrazkami, na ktore on moglby zareagowac. Jesli nazbieramy duzo roznych ksiazek z obrazkami, dodamy do tego ilustrowane magazyny, a potem wszystko rozlozimy na podlodze i bedziemy wytrwale pracowac z Einsteinem, to moze w jakis sposob nawiazemy z nim lacznosc.

Retriever poderwal sie na nogi i podbiegl wprost do Nory. Z wyrazu jego pyska i z jego oczu dziewczyna wyczytala, ze jej propozycja byla trafna. Jutro kupi kilkadziesiat ksiazek i czasopism i niezwlocznie wprowadzi swoj plan w zycie.

-To bedzie wymagalo olbrzymiej cierpliwosci - ostrzegal ja Travis.

-Moja cierpliwosc jest niewyczerpana jak ocean.

-Mozesz tak myslec, pamietaj jednak, ze kontakty z Einsteinem nadaja slowom zupełnie nowe znaczenie.

Pies zwrocil glowe w strone Trávisa, po czym glosno parsknal przez nos.

Po pierwszych sesjach z udzialem retrievera, ktore odbyly sie w srode i w czwartek, szanse nawiązania bezposredniej lacznosci wydawaly sie raczej znikome, wkrótce jednak mialo dojsc do wielkiego przełomu. W piątek, czwartego czerwca wieczorem, znaleźli właściwą metodę i w ich życiu nastąpiła ogromna, niesłychanie istotna zmiana.

...donosze o krzykach dobiegających z zespołu nie wykonczonych domów w Bordeaux Ridge...W piątek wieczorem, czwartego czerwca, na niecałą godzinę przed zapadnięciem zmroku, słońce zalewało Orange County światłem o barwie stopionego z miedzią złota. Konczył się drugi dzień straszliwych upałów i wszystko wokół, budynki, jezdnie i chodniki, promieniowało nagromadzonym w ciągu długich letnich godzin zarem. Znużone drzewa pospuszczały bezsilnie liście. Powietrze trwało w całkowitym bezruchu. Dobiegające z autostrad oraz dróg lokalnych odgłosy pedzających samochodów były dziwnie stłumione, jak gdyby ryk silników czy buczenie klaksonów ulegały filtracji w zgęstniałym powietrzu.

...powtarzam, Bordeaux Ridge, budowa na wschodnim skraju...

W tej części okregu, przylegającej do Yorba Linda, dokąd dopiero teraz zaczęły docierać pierwsze zabudowania rozrastających się przedmieść, ruch na szosach był niemal znikomy. Stłumione rzadkie dźwięki klaksonów i piski hamulców rozbrzmiewały w natrętnej, przytłaczającej ciszy dziwnie obco i ponuro.

Zastępcy szeryfa Teel Porter i Ken Dimes jechali wozem patrolowym. Teel prowadził, Ken sciskał w dłoniach karabin. Samochód miał popsuty system wentylacyjny: klimatyzacja nie działała, nie było nawet ruchu powietrza wymuszonego przez nawiew, więc chociaż okno było otwarte, wewnątrz sedana przypominało piec. - Smierdzisz jak zdechły wieprz - poinformował partnera Teel Porter.

-Taaa? - zainteresował się Ken Dimes. - Ty nie tylko tak smierdzisz. Ty wyglądasz jak zdechły wieprz.

-Taaa? W takim razie ty chodzisz na randki ze zdechłymi wieprzami.

Pomimo spiekoty Ken się uśmiechnął.

-Doprawdy? No coż, słyszałem od twoich kobiet, że kochasz się z nimi

jak zdechły wieprz.

Ich wymuszony humor nie był w stanie zamaskować zmęczenia. Poza tym odpowiedzieli na wezwanie, które nie zapowiadało niczego interesującego. Pewnie jakieś dzieci urządziły sobie zabawę; dzieci uwielbiały bawić się na budowach. Obaj zastępcy liczyli sobie po trzydziści dwa lata, obaj w czasach szkolnych uprawiali futbol. Nie byli braćmi, jednakże w ciągu sześciu lat wspólnej pracy zżyli się ze sobą tak, jakby należeli do tej samej rodziny.

Teel skręcił z szosy na drogę gruntową prowadzącą do osiedla Bordeaux Ridge. Przybywszy na miejsce ujrzeli grupę około czterdziestu nowo wznoszonych domów. Większość znajdowała się jeszcze w stadium budowy, ale w kilku trwały już prace wykończeniowe.

-To tutaj - powiedział Ken. - Spójrz, to jest takie gówno, w które się ludzie pakują nie wiadomo właściwie dlaczego. Coż to, u diabła, za nazwy "Bordeaux" dla osiedla zwykłych szeregowców w południowej Kalifornii? Czy chcą cię w ten sposób przekonać, że któregoś dnia wyrosną tutaj winnice? Nazywają to także "Gran", a przecież całe osiedle leży na równinie rozdzielającej dwa pasma wzgórz. Obiecują ciszę i spokój. Być może dzisiaj istotnie jest tu cicho. Ale co będzie, gdy dopakują tu jeszcze ze trzy tysiące domów w ciągu najbliższych pięciu lat?

-Taaa - odezwał się Teel. - Mnie najbardziej wkurza to ich określenie "miniposiadłość". Coż to takiego ta pieprzona "miniposiadłość"? Nikt o zdrowych zmysłach nie potraktuje tego poważnie - no, może z wyjątkiem Rosjan, którzy żyją po dwunastu w jednym mieszkaniu. To są tylko najzwyklejsze szeregowce.

Linie ulic Bordeaux Ridge wyznaczały betonowe krawężniki, lecz nawierzchnia nie została jeszcze ułożona. Teel jechał powoli, starając się nie wzbijać kurzu, co mu się zresztą nie udawało. Rozglądali się z Kenem w lewo i w prawo, usiłując posród szkieletów wznoszonych

budynkow wypatrzyc rozrabiajace dzieci.

Na przylegajacych do Bordeaux Ridge obrzezach Yorba Linda, w wykonzonych niedawno domach mieszkali juz ludzie. To wlasnie stamtad ktos zadzwonil na policje w Yorba Linda informujac o krzykach dobiegajacych z sasiedniego, bedacego jeszcze w stadium budowy osiedla. Poniewaz obszar ten nie zostal jeszcze przylaczony do miasta, sprawa trafila do Wydzialu Szeryfa.

Na koncu ulicy dostrzegli biala polciezarowke nalezaca do firmy budowlanej Tulemann Brothers. Stala zaparkowana w poblizu trzech prawie ukonczonych domkow.

-Wyglada na to, ze gdzies tutaj kreci sie jeszcze majster - powiedzial Ken.

-Albo moze to nocny dozorca, ktory nieco wczesniej wpadl na sluzbe - podsunal Teel.

Zaparkowali tuz za ciezarowka, wysiedli z nieprawdopodobnie rozgrzanego samochodu i stali przez chwile bez ruchu, pilnie nasluchujac. Cisza.

-Halo! Jest tam kto?! - zawolal Ken.

Jego glos, odbiwszy sie od scian pustych budynkow, powrocil zwielokrotnionym echem.

-Masz chec sie rozejrzec? - zapytal Ken.

-Nie mam - odparl Teel. - Ale musimy to zrobic.

Ken nadal nie wierzil w to, ze w Bordeaux Ridge wydarzylo sie cos zlego. Polciezarowke mogl ktos po prostu zostawic tu po zakonczeniu pracy, tak samo jak stojace opodal dwie ladowarki i koparke. Wszystko wskazywalo na to, ze halas zostal wywolany przez dzieci.

Wzieli ze soba latarki, poniewaz jesli nawet osiedle podlaczone zostalo do sieci elektrycznej, w domach z pewnoscia nie bylo jeszcze zarowek.

Posluszni nawykowi, a nie dlatego, by przewidywali potrzebe uzycia broni, poprawili opinajace biodra pasy z pistoletami, po czym weszli do najblizszego, tylko czesciowo zmontowanego budynku. Nie szukali niczego konkretnego. Po prostu rozgladali sie. Rozgladanie sie jest czynnoscia, ktora kazdemu policjantowi pochlania przynajmniej polowe czasu pracy.

Gora przemknal pierwszy tego dnia niepewny podmuch wiatru, napelniajac caly budynek klebami pylu. Slonce szybko znizalo sie ku zachodowi; slupy i belki konstrukcji rzucaly na podloge przywodzace na mysl wiezienne kraty cienie. Swiatlo gasnacego dnia, zmieniajac barwe ze zlotej na coraz bardziej czerwona, zdawalo sie pobudzac powietrze do iskrzenia, podobnie jak to sie dzieje w poblizu otwartych drzwiczek pieca. Betonowa posadzka uslana byla gwozdziami, ktore dzwonily pod stopami i poblyskiwaly ogniscie w ostatnich promieniach slonca.

-Za sto osiemdziesiat tysiecy dolarow - powiedzial Teel, oswietlajac latarka czarne zakamarki - spodziewalbym sie nieco wiekszych pokoi. Ken wciagnal gleboko w pluca przesyczone zapachem trocin powietrze.

-Do diabla, ja spodziewalbym sie pokoi wielkich jak poczekalnia na lotnisku.

Wyszli na polozone z tylu domu wielkie podworze, wylaczyli latarki. Naga, zeschlą ziemia nie zostala jeszcze uprzatnieta. Dookola pelno bylo odpadkow: kawalkow drewna, odlamkow betonu, skrawkow papy, poplatanych zwojow drutu, gwozdzi, rurek z PCW, odrzuconych przez dekarzy cedrowych gontow, plastikowych kubeczkow, pojemnikow po hamburgerach, pustych puszek po coli i innych smieci.

Poniewaz poszczegolnych posesji nie dzielily jeszcze ploty, widzieli

doskonale wszystkie dwanaście podworek należących do ciągnącego się wzdłuż ulicy szeregu. Piaszczysty grunt pokrywały purpurowe cienie, ale nigdzie nie widac było żywego ducha.

-Zadnych śladów rozboju - stwierdził Teel.

-Nikt nie napastuje niewinnej studentki - dodał Ken.

-No coż, przynajmniej przejdźmy się kawalek, poszperajmy między budynkami - zaproponował Teel. - Ludziom coś się należy za ich pieniądze.

Dwa domy dalej, w szerokim na trzydziści stop przejściu, znaleźli martwego mężczyznę.

-Cholera - rzucił Teel.

Człowiek leżał na plecach, niemal całkowicie ukryty w mroku; w brudnoczerwonym świetle widac było właściwie tylko dolną część jego ciała. Może dlatego w pierwszej chwili Ken i Teel nie spostrzegli, jak makabrycznego dokonali odkrycia. Dopiero kleknawszy obok zwłok Ken z przerażeniem stwierdził, że jama brzuszna mężczyzny była rozpruta na całej długości.

-Jezu Chryste, jego oczy! - wykrzyknął Teel.

Ken oderwał wzrok od okaleczonego torsu i ujrzał puste dziury w miejscu, gdzie powinny się być znajdować oczy zamordowanego.

Cofając się ku niewielkiemu podworzu, Teel wyciągnął rewolwer. Ken cofnął się również. Stał teraz z bronią w ręku o jakieś dwa kroki od Teela. Choć się pocil bez przerwy przez cały dzień, teraz poczuł, że oblewa go zupełnie inny, zimny i kwasny, pot strachu.

PCP - pomyślał Ken. - Tylko jakiś dupek na PCP mógł być zdolny do tak dzikiego czynu.

Bordeaux Ridge tonelo w ciszy.

Wszystko dokola trwalo w zupelnym bezruchu, procz cieni, ktore zdawaly sie rosnac z kazda chwila.

-Zrobil to jakis kutas po zazyciu anielskiego pyłu. - Ken ubral w slowa swoje domysly na temat PCP. - Myslam o tym samym - przytaknal Teel. - Chcesz szukac dalej?

-Nie we dwojke. Wezwijmy przez radio posilki.

Zaczeli sie wycofywac, rozgladajac uwaznie na wszystkie strony, lecz gdy zrobili zaledwie kilka krokow, uslyszeli jakies halasy. Trzask, brzek metalu, chrzest potluczonego szkla.

Ken zorientowal sie natychmiast, skad dobiegly te dzwieki: z najblizszego sposrod trzech, juz niemal ukonczonych domow, ktore mialy zapewne sluzyc jako wzorcowe modele dla potencjalnych nabywcow.

Nie widzac w poblizu nikogo podejrzanego i nie znalazlszy niczego, co mogloby stac sie wskazowka w poszukiwaniach, mieli pelne prawo wrocic do samochodu i poprosic o pomoc. Teraz jednak, skoro uslyszeli wyrazne dzwieki w konkretnym miejscu, instynkt i doswiadczenie zdobyte w ciagu wielu lat sluzby nakazywaly im dzialac w sposob bardziej zdecydowany. Przebiegli ostroznie na tyly budynku.

Polowe sciany pokrywal juz tynk. Byl wilgotny, jakby roboty elewacyjne rozpoczeto dopiero dzisiaj. Wstawiono juz niemal wszystkie okna; jeszcze tylko pare otworow przeslanialy postrzepione plachty przezroczystej folii.

Glosniejszy niz poprzednio chrobot, a zaraz potem odglos pekajacego szkla.

Ken Dimes nacisnal przeszkłone, rozsuwane drzwi, laczące podworze z pokojem dziennym. Ustapily bez trudu.

Teel, który pozostał na zewnątrz, zajrzał do salonu przez okno. Chociaż do środka wpadało nieco światła, pokój pogrążony był w mroku. Wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma. Teel przesłiznął się przez na wpół uchylone drzwi, sciskając w jednej ręce latarkę, w drugiej zaś swego Smith and Wessona.

-Podejdz pod frontowe drzwi - wyszeptał - tak, żeby drania nam nie uciekło.

Ken pochylił ciało, po czym, pamiętając, by nie unosić głowy powyżej linii parapetów, pobiegł wzdłuż ściany i zniknął za rogiem, przez cały czas przygotowany na to, że ktoś zwali się na niego z dachu lub skoczy na niego przez któreś z nie dokończonych okien.

Wewnętrzne ściany domu pokryte były imitującą kamień wykładziną. Pokój dzienny, kuchnia i sąsiadująca z nią jadalnia tworzyły rozległą, nie poroździelaną niczym przestrzeń. W kuchni stały już drebowe szafki, choć na podłodze nie położono jeszcze terakoty. Powietrze przesieknięte było wonią wapna ze schnącej zaprawy i bejcy. Teel przystanął w jadalni i przez chwilę nasłuchiwał uważnie.

Nic. Żadnego dźwięku.

Jeżeli dom ten podobny był do większości budowanych w Kalifornii szeregowców, to zaraz za kuchnią, na lewo, powinien znaleźć główną jadalnię, później salon, hol wejściowy i garderobę. Jeśli nie dochodząc do kuchni skręci w korytarz, prawdopodobnie napotka kolejno pralnię, łazienkę, szafy na ubrania, a w końcu wyląduje w holu głównym. Ponieważ żadna z ewentualności nie wydawała mu się lepsza od drugiej, wybrał korytarz i rozpoczął poszukiwania od pralni.

Pralnia nie miała okien, toteż pogrążona była niemal całkowicie w ciemności. Przez uchylone drzwi można było dojrzec żółte szafki oraz puste miejsca na pralkę i suszarkę. Teel postanowił sprawdzić także przestrzeń za drzwiami, gdzie zapewne znajdował się zlew. Jednym pchnięciem otworzył drzwi na całą szerokość i wpadł do środka kierując światło latarki i broni w tę samą stronę. Ujrzał rzeczywiście



zlew z nierdzewnej blachy i wbudowany w sciane stol, lecz nie bylo widac nawet sladu mordercy.

Od lat nie odczuwal takiego napiecia. Pamiec nieustannie podsuwala mu obraz martwego mezczyzny, jego pustych oczodolow.

To cos wiecej niz napiecie, pomyslal. Przyznaj sie, masz stracha jak wszyscy diabli.

Ken przeskoczyl waski row i ruszyl w strone zamknietych podwojnych drzwi wejscowych. Rozejrzal sie dookola i nie dostrzegl w poblizu nikogo, kto probowalby uciekac. Zapadajacy zmierzch sprawil, ze Bordeaux Ridge przypominalo bardziej zbombardowane ruiny niz plac budowy. Liczne cienie na zakurzonej ziemi imitowaly dosc udatnie sterty gruzu.

Teel Porter zamierzal wlasnie wyjsc z pralni na korytarz, kiedy w jednej z szaf stojacych po prawej stronie otworzily sie raptownie wysokie na szesc stop drzwi i niczym diabel z pudelka wyskoczylo ku niemu owo cos. Jezu, przez ulamek sekundy myslal, ze ma przed soba dzieciaka w odrazajacej gumowej masce. Nie widzial go wyraznie, poniewaz trzymal latarke zwrocona w inna strone, ale szybko pojal swa pomyлке. Te oczy, przypominajace krazki metnego swiatla, nie byly na pewno zrobione ze szkła lub plastiku. Pociagnal za spust, lecz rewolwer wycelowany byl w strone korytarza, totez pocisk ugrzazl w scianie, nie wyrzadzajac nikomu krzywdy. Chcial sie obrocic, nim jednak sie poruszyl, to cos juz go dopadlo wydajac z siebie odglos przypominajacy syk weza. Wystrzelil ponownie, tym razem w podloge - w zamknietej przestrzeni huk zabrzmiel ogluszajaco - a w nastepnym momencie zostal popchniety na zlew. Jakas sila wyrwala mu z dloni rewolwer, utracil rowniez latarke, ktora z brzekiem potoczyla sie w kat pralni. Zamachnal sie, lecz zanim jego piesc dotarla do celu, poczul w brzuchu straszliwy bol, jakby ktos wбил mu tam kilka sztyletow naraz. W jednej chwili zrozumial, co sie z nim dzieje. Krzyknal. Krzyczal ze wszystkich sil, a nad jego twarza kolysaly sie osadzone w potwornej glowie blyszczace zolte oczy. Teel

krzyknął raz jeszcze, a potem zatrzepotał rekami, gdy następne sztylety pograżyły się w jego gardle...

Kena Dimesa dzieliły od frontowych drzwi najwyżej cztery kroki, kiedy usłyszał wrzask Teela. Dzwieczyło w nim zaskoczenie, strach, ból.

-Cholera.

To były solidne, debowe drzwi. Prawe skrzydło umocowane zostało do ściany i podłogi za pomocą ruchomych bolców, natomiast lewe okazało się otwarte. Zapominając na chwilę o ostrożności, Ken wbiegł do środka. Przystanął w mrocznym holu.

Krzyk ucichł.

Zapalił latarkę. Pusty salon po prawej. Pusta garderoba po lewej. Biegnące na górę schody. Nigdzie śladu żywej duszy.

Cisza. Doskonała cisza. Jak w próżni.

Przez moment Ken zastanawiał się, czy powinien zawołać Teela, zdradziłby bowiem w ten sposób swoją pozycję zbrojcy. Później przyszło mu na myśl, że i tak latarka, bez której nie był w stanie się poruszać, wskazywała każdemu jego położenie. To, czy będzie milczał, czy nie, nie miało żadnego znaczenia.

-Teel! - Cisza. - Teel, gdzie jesteś?

Teel musiał być martwy. Jezu. Odpowiedziałby, gdyby jeszcze żył.

A może tylko stracił przytomność, może był ranny i umierający. W takim przypadku zrobi chyba najlepiej, jeśli wróci do samochodu i wezwie karetkę.

Nie. Skoro jego partner doznał poważnych obrażeń, Ken musi go szybko odnaleźć i udzielić mu pierwszej pomocy. Teel mógłby umrzeć w czasie, gdy on wzywałby ambulans. Tak długa zwłoka stanowiła

zbyt wielkie ryzyko.

Poza tym należało rozprawić się z zbrojcem.

Zapadła noc i z okien saczała się tylko słabo widoczna, czerwona poświata. Ken mógł polegać jedynie na latarce, co stanowiło dodatkowe utrudnienie, ponieważ przy każdym ruchu dłoni budziły się do życia drżące cienie, imitujące przyuczonych napastników. Ci fałszywi przeciwnicy mogli w decydującym momencie odwrócić jego uwagę od prawdziwego wroga.

Zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi wejściowe, ruszył w głąb biegnącego na tyły domu wąskiego korytarza. Podeszwa któregoś buta niemal przy każdym kroku wydawała głośnie skrzypienie. Trzymał się blisko ściany, rewolwer zaś miał wycelowany prosto przed siebie, nie w podłogę czy sufit, gdyż przynajmniej w tej chwili nic go nie obchodziła procedura bezpiecznego posługiwania się bronią.

Po prawej stronie zobaczył jakieś otwarte drzwi. Garderoba. Pusta.

Odor jego własnego potu stał się tak silny, że przytłumił wypełniającą dom wonią wapna i farby do drewna.

Wszedł do łazienki. Omiotłszy pomieszczenie światłem latarki, nie dostrzegł niczego niezwykłego, choć zdumiał się na widok własnego przestraszonego odbicia w lustrze.

Pomieszczenia tylnej części domu - pokój dzienny i kuchnia z przyległą jadalnią - znajdowały się dokładnie na wprost niego; bliżej, po lewej stronie korytarza, stały otworem jeszcze jedne drzwi. W świetle latarki, która nagle zaczęła gwałtownie drżeć w jego dłoni, Ken ujrzał rozciągnięte na podłodze pralni ciało Teela. Dookoła było tyle krwi, że Teel z całą pewnością już nie żył.

Przeszył go strach, a jednocześnie odezwały się w nim jeszcze inne uczucia: rozpacz, złość, nienawiść i palące pragnienie zemsty.

Za plecami Kena cos zalomotalo.

Krzyknal glosno i odwrocil sie blyskawicznie.

Korytarz oraz jadalnia obok kuchni byly zupełnie puste.

Dzwiek zabrzmial gdzies we frontowej czesci domu. Z powrotem zapadla cisza, lecz on juz wiedzial, co uslyszal przed chwila: ktos zamknal drzwi wejsciowe.

Teraz w mroku rozlegl sie inny dzwiek, nie tak glosny jak poprzedni, za to bardziej niepokojacy: chrobot zatrzaskiwanych zasuw.

Czyzby morderca wyszedl z domu i zamknal drzwi od zewnatrz na klucz? Skad jednak moglby miec klucz? Od zabitego majstra? I po co tracilby czas na zamykanie drzwi?

Nalezalo raczej przypuszczac - to bylo bardziej prawdopodobne - ze zamknal drzwi od srodka, nie tylko po to, by utrudnic Kenowi uciezke, lecz takze po to, by dac mu do zrozumienia, iz polowanie jeszcze sie nie skonczylo.

Ken zastanawial sie, czy nie zgasic latarki, ktora wskazywala wrogowi bardzo dokladnie miejsce, w ktorym sie znajdowal, lecz purpurowoszare swiatlo wieczornej zorzy widocznej za oknem tu w ogole nie docieralo i bez latarki poruszalby sie jak slepiec.

Jak, u diabla, radzil sobie w ciemnosciach ten cholerny morderca? Czyzby wzrok narkomana na hajcu po PCP zyskiwal moc w podobnym stopniu, jak zwieksza sie jego sila? (Dziesieciokrotny przyrost sily - stanowil znany powszechnie efekt uboczny stosowania anielskiego pyłu).

W domu znowu zalegla cisza.

Stal oparty plecami o sciane korytarza.

Czul zapach krwi Teela. Slaby, metaliczny posmak.

Klik, klik, klik.

Ken zesztynial i wytezyl sluch, lecz nie uslyszal niczego wiecej oprócz tych trzech szybkich dzwiekow. Przypominaly odglosy pospiesznych krokow na betonowej posadzce, krokow kogos, kto nosi buty na twardym, skorzanym obcasie badz tez podkute metalowymi zabkami. Trwaly tak krotko, ze nie potrafil okreslic, z jakiego kierunku dobiegaly. Po chwili rozlegly sie ponownie - klik, klik, klik, klik - cztery kroki. Ktos byl w holu i zmierzal w jego strone.

Natychmiast oderwal sie od sciany, zwrocil twarza ku nadchodzacemu przeciwnikowi i przysiadajac, skierowal latarke oraz rewolwer w strone, z ktorej dobiegly te dzwieki. Korytarz byl pusty.

Oddychajac przez otwarte usta, by wyciszyc w ten sposob maksymalnie szmer wlasnego oddechu, ktory moglby zagluszac ruchy mordercy, Ken przeszedl korytarzem do holu. Nic. Frontowe drzwi byly co prawda zamkniete, lecz garderoba, salon i klatka schodowa swiecily pustkami.

Klik, klik, klik, klik.

Tupot dobiegl tym razem z zupełnie innego kierunku, gdzieś z glebi domu, z okolic kuchni. Przeciwnik cichutko przemknal przez hol, salon i jadalnie do kuchni, obszedl dom dokola i znalazl sie za plecami Kena. Teraz dran dotarl do korytarza, z ktorego Ken przed chwila wyszedl. I chociaz, jak widac, potrafil poruszac sie bezszelestnie, co chwila za pomoca tych samych dzwiekow przypominal o swojej obecności najwidoczniej nie dlatego, ze nie mogl inaczej, nie dlatego, ze skrzypialy mu buty, lecz dlatego, ze mu na tym zalezalo. Draznil sie z Kenem, jakby chcial powiedziec: - Hej, jestem wlasnie za twoimi plecami i ide do ciebie, czy ci sie to podoba, czy tez nie.

Klik, klik, klik.

Ken Dimes nie był tchorem. Był dobrym glina, który nigdy nie unikał niebezpieczeństwa. W ciągu siedmiu lat służby aż dwukrotnie otrzymał wyróżnienie za odwagę. Ale ten niewidzialny, obłąkany sukinsyn, który biegł po domu w kompletnych ciemnościach, poruszając się bezszelestnie, gdy chciał, lub hałasując, jeśli mu na tym zależało, zdumiewał go i przerażał. Choć był odważny jak każdy policjant, nie był przecież głupcem, a tylko głupiec pakowałby się bez zastanowienia w sytuację, której nie rozumiał.

Zamiast ruszyć w głąb korytarza i stawiać czoło zabójcy, skierował się ku drzwiom wejściowym. Siegnął do klamki, lecz przekonał się, że oprócz zasuw otwarcie drzwi uniemożliwiał kawałek kolczastego drutu nawinięty na wystające z obu skrzydeł galki. Chciał wyjść na zewnątrz, musiałby go najpierw rozplatać, co zajęłoby mu przynajmniej pół minuty.

Klik, klik, klik.

Nawet nie celując wystrzelił w ciemność, po czym pobiegł przez pusty salon w przeciwnym kierunku. Za jego plecami załomotały stopy mordercy, kiedy jednak dotarł do jadalni i miał właśnie wejść do kuchni, skąd zamierzał przedostać się do pokoju z wyjściem na patio, zorientował się, że tupot dobiega gdzieś z przodu. Był przekonany, iż przeciwnik wpadł za nim do salonu, tymczasem on w rzeczywistości cofnął się do ciemnego korytarza i zbliżał się doń teraz z zupełnie innej strony, kontynuując swą obłąkaną grę. Sądząc z odgłosów, drab przebywał w jadalence, dzieliła go zatem od Kena jedynie szerokość kuchni. Ken postanowił pozostać na miejscu i rozwalić łeb temu psychowi, gdy tylko ukaze się w świetle latarki...

W chwili później morderca zaskowyczał.

Skradając się korytarzem, coraz bliższy, choć wciąż niewidzialny, napastnik zaskrzeczał przenikliwym, nieludzkim głosem, pełnym zwierzęcej złości i nienawiści. Skrzek ten był najdziwniejszym dźwiękiem, jaki Ken kiedykolwiek słyszał. Żaden człowiek, nawet

oblakany, nie byłby w stanie wydać z siebie takiego odgłosu. W jednej chwili porzucił myśl o konfrontacji. Wrzucił latarkę do kuchni, by zmylić przeciwnika, zawrócił na pięcie i popędził, jak mógł najszybciej, tym razem jednak nie w stronę salonu ani ku któremukolwiek z pomieszczeń, w których mogłaby być kontynuowana ta niesamowita zabawa w kotka i myszkę, lecz w poprzek jadalni, wprost do okna, polyskującego niewyraźnie w ostatnich promieniach gasnącego dnia. Opuszczył głowę, przyciągnął ramiona do klatki piersiowej i wysunawszy bark do przodu, uderzył w szybę. Rozprysła się w kawałki, a on runął na ziemię i potoczył się po niej, czując, jak ostre odłamki betonowego gruzu kłuja go boleśnie w nogi i koło zebra. Poderwał się natychmiast, obroczył w stronę domu i opróżnił magazynek, celując w rozbite okno. Zapadł już zmierzch. Nigdzie wokół nie dostrzegł śladu swego wroga.

Uznawszy, że go nie trafił, nie tracił czasu na przekleństwa. Pomknął wzdłuż ściany domu i skrepiwszy za rogiem, wypadł na ulicę. Musiał dotrzeć do samochodu, gdzie miał radio oraz karabin.

### 3

W środę i czwartek, drugiego i trzeciego czerwca, Travis, Nora oraz Einstein pracowali wytrwale nad znalezieniem jakiegoś sposobu, który by umożliwił wzajemne porozumiewanie się ludzi z psem. Proces ten postępował tak opornie, że niewiele brakowało, by Travis i Einstein zaczęli z rozpaczy gryźć meble. Najcierpliwsza spośród całej trójki okazała się Nora. Ona też najmocniej wierzyła w powodzenie całego przedsięwzięcia. Kiedy w piątek wieczorem, czwartego czerwca, zaraz po zachodzie słońca, nastąpił wreszcie tak długo oczekiwany przełom, była tym znacznie mniej zaskoczona niż Travis czy Einstein. Kupili czterdzieści magazynów - od Time'a i Life'a aż po McCalVs i Redbook oraz blisko pięćdziesiąt książek ze zdjęciami lub reprodukcjami dzieł sztuki. Zgromadzili to wszystko w salonie, w domu Trávisa, gdzie było wystarczająco wiele miejsca, by mogli swobodnie rozłożyć czasopisma na podłodze. Przyniesli też kilka poduszek, mogli więc wygodnie pracować, znajdując się na tej samej wysokości co pies.

Einstein obserwował te przygotowania z wyraźnym zainteresowaniem.

Siedząc na podłodze, plecami oparta o stojącą pod ścianą kanapę, Nora ujęła w obie dłonie głowę retrievera i zbliżywszy do niej twarz, tak że ich nosy omal się nie zetknęły, powiedziała:

-Okay, a teraz posłuchaj, Einstein. Chcemy się dowiedzieć wszystkiego o tobie: skąd pochodzisz, dlaczego jesteś bystrzejszy od innych psów, co wystraszyło cię w lesie w dniu, gdy znalazł cię Travis, dlaczego czasami wyglądasz noca przez okno, jakbyś się czegoś obawiał. I wielu innych rzeczy. Ale ty nie potrafisz mówić, prawda? Nie. Z tego, co nam wiadomo, nie umiesz także czytać. A nawet gdybyś umiał, to i tak nie umiesz pisać. Dlatego właśnie musimy posługiwać się obrazkami.

Travis siedział obok Nory. Ze swego miejsca widział, że Einstein nie odrywał oczu od warg dziewczyny. Zamarł w bezruchu ze spuszczonej nisko ogonem i sprawiał takie wrażenie, jakby nie tylko pojmował jej słowa, lecz był także niezwykle przejęty proponowanym eksperymentem.

Ile naprawdę dociera do tego zwierzątka, zastanawiał się Travis, a ile mu przypisujemy na zasadzie pobożnych życzeń?

Ludzie mają naturalną tendencję do antropomorfizacji swoich ulubieńców, do obdarzania ich ludzkimi odczuciami i intencjami. W wypadku Einsteina wyjątkowa inteligencja zwierzęcia stanowiła fakt zupełnie oczywisty, stąd pokusa, by w każdym machnięciu ogonem dopatrywać się jakiegoś głębszego sensu, była znacznie silniejsza, niż bywa zazwyczaj.

-Przejrzymy wszystkie te obrazki. Będziemy szukać rzeczy, które budzą twoje zainteresowanie, rzeczy, które pomogą nam zrozumieć, skąd przybyłeś i w jaki sposób stałeś się tym, czym jesteś. Za każdym razem, gdy zobaczysz coś, co mogłoby ułatwić nam rozwiązanie tej łamigłówki, musisz to nam w jakiś sposób zasygnalizować. Zaczekaj, dotknij zdjęcia łapy lub zamachaj ogonem.



-Guzik z tego wyjdzie - zawyrokował Travis.

-Czy mnie zrozumiales, Einstein? Retriever cicho zapiszczał.

-To sie nigdy nie uda - powtorzył Travis.

-A własnie, ze sie uda - obstawala przy swoim Nora. - Nie umie mowic, nie umie pisac, za to moze wszystko pokazywac. Jesli wskaze nam kilkanascie obrazkow, to, byc moze, nie zdolamy natychmiast rozszyfrowac, jakie maja dla niego znaczenie, ale z czasem uda sie nam na pewno uchwycic ich wzajemne powiazania i dowiemy sie, co chcial nam za ich posrednictwem przekazac.

Pies, ktorego glowa wciaz tkwila nieruchomo w dloniach Nory, zwrocił oczy w strone Tralisa, po czym poslal mu gniewne parskniecie.

-Czy jestes gotow? - zapytala Nora Einsteina.

Zwierze natychmiast przenioslo spojrzenie na nia i odpowiedzialo merdaniem ogona.

-A zatem w porzadku - rzucila, oswobadzajac jego glowe. -  
Zaczynajmy.

W srode, czwartek i piatek przez wiele godzin przegladali dziesiatki czasopism, pokazujac Einsteinowi najrozniejsze fotografie - ludzi, drzew, kwiatow, psow, innych zwierzat, maszyn, wielkomiejских ulic, wiejskich drog, samochodow, statkow, samolotow, zywnosci, reklam tysiecy produktow - w nadziei, ze dostrzeze cos, co wzbudzi jego zywa reakcje. Tak sie tez stalo, jednak problem polegal na tym, ze interesowalo go zbyt wiele rzeczy. Ze sto jesli nie tysiac razy zaszczekal, parsknal, zamachal ogonem, dotkнал zdjecia lapa badz nosem, ale przedstawione na wybranych przez niego fotografiach przedmioty byly tak bardzo rozne, ze Travis nie potrafil dostrzec zadnego zwiazku pomiedzy nimi.

Einsteina zafascynowała na przykład reklama samochodu, na której pojazd, porównywany do potężnego tygrysa, został zamknięty w stalowej klatce. Czy chodziło mu o samochód, czy o tygrysa, trudno było powiedzieć. Jego uwagę przykuły również reklamy komputerów, żywności dla psów i przenośnego magnetofonu stereo, wizerunki książek, motyli, papugi, samotnego mężczyzny w więziennej celi, czterech chłopców odbijających na plaży pasiastą piłkę, Myszki Miki, skrzypiec, sportowca biegnącego po ruchomej taśmie, a także wiele innych rzeczy. Duże wrażenie zrobił na nim portret złośliwego retrievera. Z ciekawości obejrzał podobiznę cocker-spaniela, natomiast inne gatunki psów jakby go nie interesowały.

Najsilniej - a zarazem najbardziej zagadkowo - zareagował na fotografii ilustrująca pewien artykuł o wchodzącym właśnie na ekrany filmie wytwórni 20th Century-Fox. W filmie występowały istoty nadprzyrodzone - duchy, upiory, demony z piekła rodem - i właśnie jedna z nich, wyposażony w potężne szczęki i szpony stwor o świecących oczach, wywarła na nim piorunujące wrażenie. Choć inne maski wyglądały o wiele bardziej odrażająco, Einstein zwrócił uwagę tylko na tego potwora.

Na widok fotografii Einstein zaszczał, a następnie pobiegł za sofę, skąd wysunął ostrożnie tylko kawałek nosa, jakby w obawie, że zjawa z czasopisma ożyje i rzuci się na niego. Zaszczał jeszcze raz, złośnie zaskomlał i dopiero po długich namowach zgodził się podejść do magazynu. Ujrawszy demona po raz drugi, retriever groźnie zawarczał, po czym przesuwając gorączkowo łapą, mnąc przy okazji nieco kartek, zatrzaskał okładkę.

-Co tak szczególnego dostrzegasz na tej fotografii? - zapytała Nora.

Einstein popatrzył na nią uważnie, a jego ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

Nie zrażona jego zachowaniem, Nora znowu otworzyła magazyn na tej samej stronie.

Einstein natychmiast znowu go zamknął.

Nora znowu otworzyła.

Zamknawszy czasopismo po raz trzeci, pies schwycił je w zęby i wybiegł z pokoju.

Travis i Nora pobiegli za nim i trafili do kuchni. Zwierze podeszło prosto do otwieranego za pomocą pedału kosza na śmieci, naparło na pedał łapą, a gdy wieko się uniosło, wrzuciło magazyn do środka. - Co to wszystko znaczy? - zastanawiała się Nora.

-Sądze, że zdecydowanie nie ma ochoty oglądać tego filmu.

-Mamy zatem własnego czworonoga, pokrytego sierścią krytyka. Zdarzenie to miało miejsce w czwartek po południu. W dwadzieścia cztery godziny później Travis i Einstein bliscy byli załamania.

Od czasu do czasu Einstein demonstrował niebywale inteligencję, niekiedy zachowywał się jednak niczym najzwyklejszy pod słońcem pies. Tak potężne wahania od szczytu psiego geniuszu po szarą przeciętność mogły doprowadzić do rozstroju nerwowego każdego, kto próbowałby przeniknąć tajemnice bystrości jego umysłu. Travis skłaniał się powoli do wniosku, że robią najlepiej, akceptując retrievera takim, jaki jest: zadowolą się sporadycznymi pokazami jego zdumiewających umiejętności, nie licząc na nieustanne ich potwierdzanie. Zagadka nieprawdopodobnej inteligencji tego psa nie zostanie zapewne nigdy rozwikłana.

Nora tymczasem nadal nie traciła cierpliwości. Powtarzała, że wszystko wymaga czasu, że bez determinacji i wytrwałości nie da się osiągnąć znaczących sukcesów.

W czasie tych jej wykładów na temat nieugiętości i hartu ducha Travis wzdychał ze znużeniem, Einstein zaś beczelnie ziewał.

Na Norze nie robiło to żadnego wrażenia. Gdy przejrzeliby już wszystkie

ksiazki oraz czasopisma, wybrala te, ktore zainteresowaly Einsteina, porozkladala je na podlodze, po czym zaczela zachecac psa, by wskazal jej zwiazek pomiedzy poszczegolnymi przedmiotami.

-Wszystkie te fotografie przedstawiaja rzeczy, ktore odegraly wazna role w jego przeszlosci.

-Nie mozemy byc tego calkiem pewni - zaproponowal Travis.

-No coz, w kazdym razie wlasnie o to go prosilismy - powiedziala Nora.

-Ale czy on pojal reguly gry?

-Tak - odpowiedziala z przekonaniem w glosie. Pies parsknal.

Nora uniosla lape Einsteina i dotknela nia fotografii skrzypiec.

-Okay, kudlaczu. Zapamietales skads skrzypce i w jakis sposob byly one dla ciebie wazne.

-Moze wystepowal w Carnegie Hali - podsunal Travis.

-Cicho badz - powiedziala Nora, po czym zwrocila sie do psa: - Juz w porzadku. Czy skrzypce pozostaja w jakimś zwiazku z ktorymkolwiek z pozostalych obrazkow? Czy istnieje jakies ogniwo pozwalajace nam zrozumiec, jakie znaczenie maja dla ciebie skrzypce?

Przez chwile Einstein przypatrywal sie jej uwaznie, jak gdyby analizowal otrzymane pytania. Potem ruszyl w glab pokoju, poruszajac sie ostroznie waskimi sciezками pomiedzy rzedami czasopism. Jego wzrok wedrowal od fotografii do fotografii, az w koncu zatrzymal sie na reklamie przenosnego magnetofonu kasetowego firmy Sony. Przykryl zdjecie lapa, obwachal je, a nastepnie wyczekujaco spojrzal w kierunku Nory.

-Zwiazek jest oczywisty - stwierdzil Travis. - Skrzypce tworza muzyke,

magnetofon zas ja odtwarza. Jest to rzeczywiscie fascynujacy przejaw umiejetnosci kojarzenia, lecz czy kryje sie za tym cos wiecej, cos majacego zwiazek z jego przeszloscia?

-Och, jestem tego pewna - odparla Nora. Pochylila sie nad Einsteinem. - Czy ktos gral ci kiedys na skrzypcach?

Pies popatrzył na nią w milczeniu.

-Czy twoj poprzedni pan mial taki magnetofon kasetowy? Pies nadal patrzył na nią.

-Moze ow skrzypek, ktorego kiedys znales, nagrywal na kasetach wlasna muzyke?

Einstein zamrugal oczami i zaskomlal.

-No dobrze - powiedziala - czy jest tutaj jeszcze jakis obrazek, ktory moglbys polaczyc ze skrzypcami i magnetofonem?

Retriever popatrzył z namyslem na fotografii sprzetu Sony, a nastepnie przeszedl na nastepna sciezke, wyznaczona przez dwa rzedy rozlozonych czasopism. Tym razem przystanal obok magazynu z reklama Blekitnego Krzyza ukazujaca lekarza w bialym fartuchu stojacego przy lozku matki z nowo narodzonym dzieckiem na rekach. Doktor i matka rozplywali sie w usmiechach, dziecko zas wygladalo rownie pogodnie i niewinnie jak malutki Chrystus.

Podszedlszy na czworakach do psa, Nora zapytala:

-Czy to zdjecie przypomina ci rodzine, do ktorej nalezales? Retriever wpatrywal sie w nią, nie wydajac zadnego dzwieku.

-Czy byli tam: maz, zona oraz male dziecko? Pies patrzył.

Siedzac na podlodze, wsparty plecami o sofe, Travis powiedzial:

-O Jezuu, a moze wpadl nam w rece przypadek prawdziwej

reinkarnacji. Moze poczciwy Einstein pamietä, ze w poprzednim zyciu byl lekarzem, matka albo dzieckiem.

Nora nie zaszczycila nawet tej sugestii odpowiedziä.

-Dzieckiem grajacym na skrzypcach - dodal Travis. Einstein zapiszczal nieszczesliwym glosem.

Stojac na czworakach w pozycji przypominajacej psa, Nora znajdowala sie zaledwie o dwie stopy od retrievera.

-W porzadku. W ten sposob nigdy nie ruszymy z miejsca. Potrzeba nam czegos wiecej niz kojarzenia przez ciebie roznych obrazkow. Musimy w jakis sposob zadawac ci pytania zwiazane z tymi fotografiami i otrzymywac zrozumiale odpowiedzi.

-Daj mu papier i pioro - poradzil Travis.

-To powazna sprawa - rzucila Nora, zniecierpliwiona zartami Travisa.

-Wiem, ze powazna, ale i komiczna zarazem.

Przez chwile trwala w bezruchu ze zwieszona nisko glowa, przypominajac psa cierpiacego z powodu letnich upalow, a potem spojrzala nagle Einsteinowi prosto w oczy i zapytala:

-Jak sprytny jestes naprawde, piesku? Chcesz dowiesc swego geniuszu? Chcesz zdobyc nasz podziw i szacunek? A zatem posluchaj, co musisz zrobic: nauczysz sie odpowiadac na moje pytania za pomoca prostego "tak" lub "nie".

Retriever wpatrywäl sie w nia wyczekujaco.

-Jesli odpowiedz na moje pytanie brzmiac bedzie "tak", zamachasz ogonem - tłumaczyla Nora. - Ale tylko wowczas, gdy zechcesz odpowiedziec "tak". W czasie trwania tego eksperymentu bedziesz musial powstrzymac sie od merdania pod wplywem odruchu, czy tylko

dlatego, że ogarnęło cię podniecenie. Poruszysz ogonem tylko i wyłącznie wtedy, gdy zechcesz powiedzieć "tak". Kiedy natomiast będziesz chciał powiedzieć: "nie", szczekniesz jeden raz. Tylko raz.

-Dwa szczeknięcia będą znaczyć: "Raczej wolalbym poganiać za kotami", natomiast trzy: "Przynieś mi budweiser" - odezwał się Travis.

-Nie mów tak... Peszysz go - ostro przerwała mu Nora.

-A dlaczego nie? On mnie też peszy.

Pies zupełnie zignorował słowa Travisa. Nie spuszczał swych dużych brązowych oczu z Nory, która raz jeszcze wyjaśniła mu zasady systemu "tak" i "nie".

-W porządku - powiedziała wreszcie dziewczyna - a teraz przeprowadzimy próbę. Einstein, czy rozumiesz znaki "tak" i "nie"?

Retriever kilkakrotnie zamachał ogonem.

-Przypadek - stwierdził Travis. - To jeszcze o niczym nie świadczy.

Nora zastanowiła się przez chwilę nad następnym pytaniem, po czym rzekła:

-Czy znasz moje imię?

Ogon poruszył się gwałtownie i znieruchomiał.

-Czy moje imię brzmi... Ellen? Szczeknięcie. Nie.

-To może... Mary...? Następne szczeknięcie. Nie.

-Czy nazywam się Nona?

Pies popatrzył na nią z niemym wyrzutem, jakby urazony tym, że próbuje go oszukać. Nie poruszywszy ogonem, szczeknął krótko.

-Czy mam na imie... Nora?

Einstein odpowiedział gwałtownym merdaniem. Śmiejąc się ze szczęścia, Nora podpełzła bliżej, usiadła na podłodze i wzięła retrievera w ramiona.

-Niech mnie diabli - rzucił Travis. W następnej chwili opadł na kolana i dołączył do rozradowanej pary.

Nora wskazała fotografie, na której wciąż jeszcze spoczywała łapa czworonoga.

-Czy zdjęcie to przypomina ci rodzinę, z którą kiedyś żyłeś? Jedno szczenię. Nie.

-Czy kiedykolwiek mieszkałeś z jakąś rodziną? - zapytał Travis. Jedno szczenię.

-Ale nie jesteś dzikim psem - stwierdziła Nora. - Musiałeś gdzieś mieszkać, zanim znalazł cię Travis.

Wpatrując się w reklamy Blekitnego Krzyża, Travis nagle uswiadomił sobie, że zna już wszystkie pytania, jakie należy zadać.

-Czy zareagowałeś na te fotografie z powodu dziecka? Szczenię. Nie.

-Z powodu kobiety? Nie.

-Z powodu mężczyzny w białym laboratoryjnym fartuchu? Gwałtowne machanie ogonem. Tak, tak, tak.

-A więc mieszkał z lekarzem - powiedziała Nora. - Może był to weterynarz.

-Albo naukowiec - dorzucił Travis, rozwijając myśl, która podsunęła mu intuicja.



Po słowie "naukowiec" ogon Einsteina poszedł w ruch.

-Naukowiec eksperymentator? - upewnił się Travis. Tak.

-W laboratorium? - podsunal Travis. Tak, tak, tak.

-Jestes psem doswiadczalnym? - zapytala Nora. Tak.

-I dlatego jestes taki mady? Tak.

-Poniewaz cos z toba zrobili. Tak. Serce Trávisa uderzalo w zawrotnym tempie. Na Boga, rzeczywiscie porozumiewali się z psem i to nie na zasadzie przypadkowych przeblyskow, nie za pomoca prymitywnych znakow, jak mialo to miejsce owej nocy, gdy Einstein ulozyl na podlodze znak zapytania. Dysponowali prawdziwym, precyzyjnym systemem lacznosci. Oto rozmawiali sobie w najlepsze, jakby byli trojka ludzi - no, moze prawie rozmawiali - i w jednej chwili swiat się odmienil i nigdy juz nie stanie się taki jak przedtem. Nic bowiem prawdopodobnie nie moglo być takie samo w swiecie, gdzie ludzie i zwierzeta posiadali rowny (choc odmienny) intelekt, rodzili się do zycia na takich samych warunkach, z jednakowymi prawami, z podobnymi nadziejami i marzeniami. Zgoda, przesadzil, jeśli idzie o proporcje. Nie wszystkie zwierzeta od razu osiagnely ludzki poziom swiadomosci i inteligencji; na razie udalo się to jednemu psu, który był zwierzeciem doswiadczalnym, być moze jedynym w swoim rodzaju. Ale Jezu. Jezu. Travis z lekiem wpatrywál się w retrievera, a po plecach chodzily mu ciarki wywolane nie strachem, lecz zdumieniem.

Nora zadala psu kolejne pytanie, a w jej glosie zabrzmialo echo tej samej grozy, która na moment odebrala Travisowi mowe.

-Oni cie nie wypuscili, prawda? Jedno szczekniecie. Nie.

-Uciekles? Tak.

-W tamten wtorek, gdy rano znalazlem cie w lesie? - wtracil Travis. - Czy to wlasnie wtedy uciekles?

Einstein nie odpowiedział.

-Dzień wcześniej? - nalegał Travis. Pies zapiszczał.

-On pewnie ma swoiste poczucie czasu - powiedziała Nora. -  
Wszystkie zwierzęta kierują się naturalnym rytmem nocy i dnia,  
nieprawdaz? Maja wbudowane naturalne zegary biologiczne.  
Natomiast pojęcie dnia kalendarzowego może być dla niego czymś  
zupełnie nieznany. Myśle, że Einstein po prostu nie rozumie, w jaki  
sposób dzielimy czas na dni, tygodnie i miesiące, dlatego też nie  
potrafi odpowiedzieć na twoje pytanie.

-A więc będziemy musieli go tego nauczyć - stwierdził Travis.  
Retriever energicznie pomachał ogonem.

-Uciekl... - w zamysleniu rzuciła Nora.

Travis wiedział, co ją gnebiło. Zwracając się do Einsteina, powiedział:  
- Beda ciebie szukać, prawda?

Pies zaskomlał i poruszył ogonem, co Travis odczytał jako mocno  
zabarwione niepokojem "tak".

4

W godzinę po zachodzie słońca Lemuel Johnson i Cliff Soames dotarli  
do Bordeaux Ridge. Towarzyszyły im dwa nieoznakowane wozy z  
osmioma agentami NSA. Wzdłuż biegnącej środkiem osiedla  
piaszczystej ulicy parkowało mnóstwo samochodów, przeważnie  
czarno-białych, z wymalowaną na drzwiach odznaką szeryfa, stały też  
auta i furgonetka z biura koronera. Lem zmartwił się, stwierdziwszy, że  
dziennikarze zdążyli się już zjawić. Zarówno wyposażone w  
minikamery ekipy telewizyjne, jak i sprawozdawcy prasowi znajdowali  
się na razie poza policyjnym kordonem, oddaleni o kilka domów od  
miejsca zbrodni. Dzięki wyciszeniu szczegółów związanych ze  
śmiercią Wesleya Dalberga w kanionie Holy Jim i zabójstwami  
naukowców pracujących w Banodyne oraz dzięki agresywnej

kampanii dezinformacyjnej, NSA udało się nie dopuścić do tego, by środki masowego przekazu powiązały ze sobą wszystkie te zajścia. Lem miał nadzieję, że twórcy bariery policjanci należą do najbardziej zaufanych ludzi Walta Gainesa i na pytania dziennikarzy będą odpowiadali kamiennym milczeniem, przynajmniej do czasu, gdy zostanie opracowana przekonująca wersja oficjalna.

Usunięto zapory drogowe, aby przepuścić przez linie kordonu nie oznakowane samochody NSA, po czym natychmiast ustawiono je znowu w tym samym miejscu.

Lem zaparkował samochód przy końcu ulicy. Zostawił przy nim Cliffa Soamesa, żeby zapoznał z sytuacją resztę agentów, sam zaś ruszył w kierunku nie wykończonego domu, który zdawał się obiektem powszechnego zainteresowania.

Włączone radia patrolowych wozów napelniały gorące nocne powietrze kryptonimami, policyjnym żargonem oraz trzaskami wyladowan statycznych. Słuchając ich można by pomyśleć, że cały świat smażył się na gigantycznym kosmicznym roznie.

Ustawione na trójnogach, przenosne reflektory zalewały front domu światłem ułatwiając poszukiwania. Lem poczuł się tak, jakby wkroczył na ogromną scenę. Dookoła reflektorów wirowały trzepoczące skrzydłami cmy. Ich powiększone cienie tańczyły na suchym piasku. Podążając za swym własnym, nieprawdopodobnie długim cieniem, wkroczył na brudne podwórze. Kiedy znalazł się wewnątrz budynku, ujrzał jeszcze więcej reflektorów. Oslepiająco jasne światło odbijało się od białych ścian. Kreciło się tu paru młodych policjantów, kilku ludzi z biura koronera i jakieś typy z Wydziału Badan Naukowych. W ostrym blasku reflektorów wszyscy sprawiali wrażenie bladych i spoconych.

W głębi domu kilkakrotnie rozbłysła lampa fotografa. Nie chcąc przepychać się zatłoczonym korytarzem, Lem wybrał drogę przez salon, jadalnię i kuchnię.

W przylegającej do kuchni jadalence, ukryty w mroku za ostatnim reflektorem, stał Walt Gaines. Choc jego twarz była pograżona w cieniu, Lem dostrzegł od razu malujące się na niej żal i złość. Wiadomość o zamordowaniu zastępcy zastała go widocznie w domu, gdyż miał na sobie sfatygowane sportowe buty, wymięte brązowe spodnie i koszulę z krótkimi rękawami w czerwono-brązową kratę. Pomimo słusznego wzrostu, byczego karku, muskularnych rąk czy wielkich dłoni, stojąc z obwisłymi ramionami w tym stroju, sprawiał wrażenie zagubionego małego chłopca. Z miejsca, w którym stał, Lem nie mógł dojrzec niczego za plecami techników dokonujących oględzin pralni, gdzie wciąż jeszcze leżało ciało.

Powiedział:

-Przykro mi, Walt. Naprawdę bardzo mi przykro.

-Nazywał się Teel Porter. Jego ojciec, Red Porter, i ja przyjaźnilismy się od dwudziestu pięciu lat. W ubiegłym roku Red odszedł na emeryturę. Jak mam mu o tym powiedzieć? Jezu. Muszę to zrobić sam, za dobrze się znamy. Nie mogę tego zwać na kogoś innego.

Lem wiedział, że Walt nigdy nie zwał na kogoś innego smutnego obowiązku, gdy któryś z jego ludzi ginał na służbie. Zawsze osobiście odwiedzał rodzinę, przekazywał złe wieści, a potem siedział ze wszystkimi, dopóki nie minął pierwszy wstrząs.

-Omal nie straciłem dwóch ludzi - powiedział Walt. - Ten drugi jest w stanie ciężkiego szoku.

-Co z Teelem...?

-Rozpruty jak Dalberg. Odcięta głowa.

To Obcy, pomyślał Lem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Kilka ciem, którym udało się wlecieć do środka, tłukło teraz co chwila w obudowę stojącego przed Lemem i Waltem reflektora. Nabrzmiłym głosem Walt powiedział:

-Nie znaleźli... jego głowy. Jak powiem ojcu, że głowa Teela przepadła? Lem nie odpowiedział.

Walt posłał mu ciężkie spojrzenie.

-Teraz nie możesz już trzymać mnie zupełnie na uboczu. Nie teraz, kiedy zginał mój człowiek.

-Walt, ze zrozumiałych względów moja Agencja pracuje w całkowitej tajemnicy. Do diabła, przecież nawet liczba agentów, których nazwiska figuruja na liście plac, jest informacją zastrzeżoną. Tymczasem twój wydział jest przedmiotem zainteresowania całej prasy. Żeby zaś twoi ludzie mogli być przydatni w tej sprawie, musieliby dokładnie wiedzieć, czego szukamy, a to z kolei oznaczałoby ujawnienie tajemnic państwowych znacznej grupie funkcjonariuszy...

-Wszyscy twoi ludzie wiedzą, o co chodzi - zaproponował Walt.

-Tak, ale każdy z nich podpisał przysięgę, zobowiązując się do dochowania tajemnicy, został dokładnie sprawdzony i przeszedł odpowiednie przeszkolenie.

-Moi ludzie także potrafią dochować tajemnicy.

-Jestem tego pewien - ostrożnie odparł Lem. - Jestem pewien, że nie rozpowiadają na lewo i prawo o zwyczajnych sprawach. Ta jednak nie jest zwyczajna. Nie, ten przypadek musi pozostać w naszych rękach.

-Moi ludzie mogą złożyć odpowiednią przysięgę - nie dawał za wygraną Walt.

-Musielibyśmy przesłuchiwać wszystkich zatrudnionych u ciebie ludzi. Nie tylko funkcjonariuszy, ale również urzędników. Zajęłoby to nam wiele tygodni.

Spojrząwszy poprzez kuchnię w stronę otwartych drzwi jadalni, Walt

dostrzegł Cliffa Soamesa oraz paru innych agentów NSA rozmawiających o czymś z jego podwładnymi.

-Zaczales przejmować kontrole od chwili, gdy tu przybyles, prawda? Jeszcze zanim mi o tym powiedziałes.

-Tak. Musimy mieć pewność, że twoi chłopcy nie powiedzą nikomu o tym, co widzieli tutaj dzisiejszej nocy. Nawet własnym żonom. Zapoznajemy ich z federalnymi odnosnymi przepisami, przypominamy, że naruszając tajemnice narażają się na grzywnę i więzienie.

-Znowu grozisz mi kratkami? - zapytał Walt, lecz tym razem w jego głosie nie było slychac nutek humoru, jak przed paroma dniami, podczas rozmowy w garażu szpitala Świętego Józefa, po odwiedzinach u Tracy Keeshan.

Lem czuł się przygnębiony nie tylko z powodu śmierci policjanta, lecz także dlatego, że sprawa ta kładła się bariera pomiędzy nim a Waltem. - Nie chce nikogo wsadzać do pudła. Dlatego właśnie muszę mieć pewność, że wszyscy są świadomi konsekwencji...

-Chodź ze mną - westchnął Walt.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do stojącego przed domem samochodu patrolowego.

Zajeli przednie fotele, Walt usiadł za kierownicą, zatrzasnęli drzwi.

-Zakreć szyby. W ten sposób zupełnie odetniemy się od świata. Lem zaczął protestować; twierdził, że przy takim upale bez wentylacji uduszą się tu na pewno, ale widząc, jak autentyczna i wielka wściekłość bije od Walta, pojął, iż znalazł się w położeniu człowieka stojącego w kałuży benzyny z zapaloną świecą w dłoni. Bez słowa zamknął okno.

-Okay - powiedział Walt. - Jesteśmy sami. Nie Dyrektor Okręgowy

NSA i szeryf. Po prostu para starych przyjaciół. Kumpeli. Wal śmiało.

-Walt, do cholery, nie mogę.

-Powiedz mi wszystko, to się wycofam. Nie będę przeszkadzać.

-Tak czy inaczej zostaniesz poza sprawą. Musisz się podporządkować.

-Gówno prawda - rzucił ze złością Walt. - Mogę się przespacerować do tych szakali. - Przed samochodem zwrócony był ku barierom, za którymi tłoczyli się dziennikarze. Walt wskazał ich przez zakurzoną szybę. - Mogę im powiedzieć, że Laboratoria Banodyne pracowały nad jakimś wojskowym projektem, który wymknął się spod kontroli. Ze pomimo zabezpieczeń coś stamtąd uciekło i teraz zabija ludzi.

-Zrób tak, a nie wykrecisz się od więzienia - powiedział Lem. - Ponadto stracisz pracę i zrujnujesz swoją karierę.

-Nie sędze. W sądzie powiem, że musiałem wybierać między naruszeniem przepisów dotyczących zachowania tajemnicy państwowej a zdradą ludzi, którzy mi zaufali i wybrali na szeryfa tego okręgu. Powiem, że w zaistniałej sytuacji musiałem przedłożyć bezpieczeństwo tutejszej społeczności ponad wytyczne biurokratów z Waszyngtonu. Jestem pewien, że uniewinni mnie każdy sąd. Nie tylko nie pójdę za kratki, ale w najbliższych wyborach zwycięży większa liczba głosów niż w poprzedniej kadencji.

-Cholera - zaklął Lem, ponieważ wiedział, że Walt ma rację.

-Jeżeli opowiesz mi teraz o wszystkim, jeśli przekonasz mnie, że twoi ludzie poradzą sobie z tą sytuacją lepiej niż moi, ustąpię ci z drogi. Jeśli tego nie zrobisz, nadam rozgłos całej sprawie.

-Złamałbym w ten sposób przysięgę. Równie dobrze mogę od razu włożyć głowę w petle.

-Nikt sie nie dowie, ze mi powiedziales. - Tak? To dlaczego, na milosc boska, stawiasz mnie w tak trudnym polozeniu, skoro chodzi ci tylko o zaspokojenie ciekawosci?

-To nie jest takie proste - obruszył sie Walt. - To cos wiecej niz ciekawosc.

-A co?

-Jeden z moich ludzi nie zyje!

Lem zamknal oczy i z westchnieniem odchyłil glowe na oparcie fotela. Walt musial wiedziec, dlaczego zada sie od niego, by wyrzekl sie zemsty za zabojstwo jednego ze swych ludzi. Jego poczucie obowiazku i honoru nie pozwoliloby mu na cos podobnego, jesliby nie uzyskal przedtem wyczerpujacego wyjasnienia. Trudno bylo nie zrozumiec takiej postawy.

-Czy mam porozmawiac z dziennikarzami? - zapytal cicho Walt.

Lem otworzył oczy, przeciągnal dlonia po mokrej twarzy. Wewnatrz wozu bylo niesamowicie duszno. Mial wielka chec odkrecic troche okno, jednak co chwila ktos wchodzil lub wychodzil z pobliskiego domu, a on nie mogl sobie pozwolic na najmniejsze nawet ryzyko, ze to, co zamierzal powiedziec Waltowi, dotrze do niepowolanych uszu.

-Miales racje, laczac to wszystko z Banodyne. Od kilku lat pracuja tam na rzecz Ministerstwa Obrony.

-Bron biologiczna? - zapytal Walt. - Produkcja nowych paskudnych wirusow za pomoca rekombinowanego DNA?

-Moze i to - odparl Lem. - Jednakze drobnoustroje nie maja z ta sprawa nic wspolnego. Opowiem ci tylko o tych badaniach, ktore wiaza sie z naszymi wspolnymi problemami...

Na szybach pojawila sie rosa. Walt uruchomil silnik. Choc klimatyzacja



nie działała i wilgoc osadzała się nadal, nawet słaby, ciepły prąd powietrza z nawiewu niosł pewną ulgę.

-Prowadzili tam kilka programów badawczych pod wspólną nazwą Projekt Francisa. Nazwa ta nawiązuje do imienia świętego Franciszka z Asyżu - powiedział Lem.

Walt zamrugał ze zdumienia.

-Nazwali wojskowy projekt imieniem świętego?

-W tym przypadku nazwa jest jak najbardziej trafna - zapewnił go Lem. - Święty Franciszek potrafił rozmawiać z ptakami i innymi zwierzętami. A w Banodyne doktor Davis Weatherby kierował badaniami, których celem było umożliwienie porozumiewania się ludzi ze zwierzętami.

-Opanowanie języka delfinów albo coś w tym rodzaju?

-Nie. Pomysł polegał na tym, aby korzystając z najnowszych osiągnięć inżynierii genetycznej stworzyć zwierzęta obdarzone o wiele wyższym poziomem inteligencji, zdolne do myślenia na niemal ludzki sposób, takie, z którymi bylibyśmy w stanie się porozumieć. Walt przypatrywał mu się z otwartymi ze zdumienia ustami.

-Pod szyldem Projektu Francisa działało kilka niezależnych zespołów badawczych. Prace trwały już kilka lat. Davis Weatherby zajmował się psami...

Doktor Weatherby skupił swe wysiłki na spermie i komórkach jajowych złocistych retrieverów, wybranych ze względu na to, że hodowle psów tej rasy prowadzono od przeszło stu lat, coraz bardziej ją doskonaląc. Dzięki temu kod genetyczny tych zwierząt został w znacznej mierze uwolniony od dziedzicznych schorzeń i wszelkiego rodzaju naleciałości, zapewniając uczonemu zdrowy, łatwy do oceny materiał genetyczny. Spośród eksperymentalnych szczeniaków, przychodzących na świat z przeróżnymi odchyłkami od normy,

stosunkowo łatwo można było wyselekcjonować mutacje naturalne i oddzielić je od tych, które stanowiły niepożądany efekt uboczny nieudanych ingerencji Weatherby'ego dotyczących kodu genetycznego retrieverów. Ułatwiał to uczonemu naukę na własnych błędach.

W ciągu kilku lat, skupiwszy się wyłącznie na poszukiwaniu sposobu umożliwiającego podniesienie inteligencji gatunku bez powodowania zmian wyglądu zewnętrznego zwierzęcia, Davis Weatherby zapłodnił in vitro setki zmienionych genetycznie komórek jajowych retrievera. Zapłodnione jaja umieszczał następnie w macicach suk pełniących rolę zastępczych psich matek. Suki nosiły szczeniaki z probówki aż do momentu rozwiązania. Gdy male nieco podrosły, Weatherby poddawał je badaniom, mającym wykazać, czy wystąpił u nich znaczący przyrost inteligencji.

-Eksperymenty bardzo często kończyły się niepowodzeniem - ciągnął Leni. - Szczeniaki rodziły się martwe lub groteskowo zdeformowane. Trafiały się też osobniki o normalnym wyglądzie, lecz o inteligencji niższej od przeciętnej. Weatherby szukał rozwiązania stosując krzyżówki międzygatunkowe, możesz więc sobie wyobrazić, jak straszliwe stworzenia pojawiały się od czasu do czasu w laboratorium.

Walt, który wpatrywał się nieruchomym spojrzeniem w pokrytą paraszybę, unosił nagle brwi.

-Krzyżówki międzygatunkowe? Co to takiego?

-No więc widzisz, wyodrębnił odpowiedzialny za inteligencję materiał genetyczny gatunków bystrzejszych niż retriever...

-Na przykład małp? Małpy są mądrzejsze od psów, no nie?

-Tak. Małpy... i ludzie. - Jezu!

Lem ustawił kratkę nawiewu tak, by strumień ciepłego powietrza płynął mu prosto w twarz.

-Weatherby wszczepiał ten materiał w kod genetyczny retrievera, usuwając jednocześnie geny ograniczające psia inteligencję.

-To niemożliwe - zbuntował się Walt. - Ten genetyczny materiał, jak go nazywasz, z pewnością nie może być przekazywany między różnymi gatunkami.

-W przyrodzie taki proces zachodzi bez przerwy - wyjaśnił Lem. - Najczęściej wymiana materiału genetycznego odbywa się za pośrednictwem wirusa. Powiedzmy, że wirus wniknął do organizmu rezusa. Jako budulca używa w takim przypadku materiału genetycznego z komórek małpy, to znaczy, że geny małpy zostają przez niego przyswojone. Później, po zarażeniu ludzkiego nosiciela, wirus pozostawia w nim pobrane wcześniej obce geny. Weźmy na przykład wirus AIDS. Istnieje przypuszczenie, że niektóre małpy i ludzie byli nosicielami tej choroby od wielu lat, wykazywali jednak całkowitą na nią odporność. Innymi słowy, byliśmy zarażeni, lecz u nikogo nie pojawiła się choroba. W ostatnim czasie w genach małp zaszła jakaś niekorzystna zmiana, przez co stały się one nie tylko nosicielami, ale również ofiarami wirusa AIDS. Zaczęły umierać. Gdy następnie wirus przenosił się na ludzi, miał już wbudowany nowy materiał genetyczny, warunkujący podatność na AIDS. Nic dziwnego, że wkrótce doszło do pierwszych zachorowań. Tak to właśnie wygląda w naturze. W laboratorium wszystko odbywa się po prostu znacznie szybciej.

-Więc Weatherby'emu naprawdę udało się wyhodować psa o ludzkiej inteligencji?

-Był to długotrwały, powolny proces, ale po pewnym czasie Weatherby zaczął jednak odnosić sukcesy. Mniej więcej rok temu urodził się cudowny szczeniak.

-Myślicy podobnie jak człowiek?

-Nie podobnie, tylko prawdopodobnie nie gorzej niż my.

-Ale wygląda przy tym jak najzwyklejszy pies?

-Tego właśnie chciał Pentagon. Sadzę, że ten wymóg bardzo utrudnił prace Weatherby'emu. Widocznie wielkość mózgu rzutuje w jakiś sposób na inteligencję. Weatherby osiągnąłby swój cel o wiele wcześniej, gdyby pozwolono mu wyhodować retrievera o większym mózgu. Ale większy mózg oznaczałby większą czaszkę, a taki pies zwracałby na siebie uwagę otoczenia.

Mgielka zdarzyła już osiść na wszystkich oknach. Żaden z nich nie próbował przetrzeć zaporowanych szyb. Nie wiedząc, co dzieje się na zewnątrz, zamknięci w dusznym, mogącym przyprawić o klaustrofobię wnętrzu samochodu, czuli się zupełnie odcięci od świata, zagubieni w czasie i przestrzeni. Takie warunki dziwnie sprzyjały rozważaniom nad cudownymi lub niegodziwymi aktami stworzenia, które stały się możliwe dzięki osiągnięciom inżynierii genetycznej. Walt powiedział:

-Pentagon chciał mieć psa, który wyglądałby jak pies, a myślał jak człowiek. Dlaczego?

-Pomyśl tylko o nowych możliwościach w zakresie działalności szpiegowskiej - odrzekł Lem. - Podczas wojny psy nie miałyby trudności z przeniknięciem w głąb terytorium wroga, badaniem umocnień czy siły oddziałów. Inteligentne psy, z którymi w jakiś sposób można się porozumieć, po powrocie opowiedziałyby nam, co widziały i czego się dowiedziały, podsłuchując wroga.

-Powiedziały? Czy chcesz powiedzieć, że psy można nauczyć mówić, tak jak mula Francisa czy Mister Eda? Do cholery, bądź poważny, Lem!

Lem doskonale rozumiał, że oswojenie się z tymi zdumiewającymi perspektywami przychodziło jego przyjacielowi z trudnością. Współczesna nauka rozwijała się tak szybko, co roku dokonywano tak wielu rewolucyjnych odkryć, że dla laika coraz bardziej zacierała się granica pomiędzy zjawiskami naukowymi a czarami. Ludzie spoza środowiska naukowego bardzo rzadko zdawali sobie sprawę, jak

bardzo zmieni się świat w ciągu najbliższych dwudziestu lat. Różnice w stosunku do dnia dzisiejszego będą tak wielkie jak te pomiędzy latami osiemdziesiątymi osiemnastego i bieżącego stulecia.

Przemiany następowały po sobie w zawrotnym tempie, a kiedy ktoś wybiegał spojrzeniem w najbliższą przyszłość, tak jak to teraz uczynił Walt, odczuwał zachwyt, a zarazem grozę, radość i jednocześnie lęk.

-Prawde powiedziałeś - odparł Lem - dzięki zastosowaniu zmian genetycznych prawdopodobnie da się wyhodować psa, który będzie potrafił mówić. To może być całkiem proste, zresztą nie wiem.

Jednakże wyposażenie go w odpowiedni aparat głosowy, język i wargi... pociągnęłoby za sobą drastyczne zmiany w wyglądzie, co z punktu widzenia celów Pentagonu byłoby czymś niepożądanym.

Dlatego też, na razie, te zwierzęta są nieme. Będziemy się z nimi porozumiewać za pomocą specjalnego języka znaków.

-Ty się nie śmiesz - ze zdumieniem stwierdził Walt. - To musi być jakiś pieprzony żart, dlaczego więc się nie śmiesz?

-Zastanów się tylko - cierpliwie tłumaczył Lem. - W czasach gdy panuje pokój... wyobraź sobie, iż prezydent Stanów Zjednoczonych przesyła w prezencie sowieckiemu premierowi rocznego złośniego retrievera. Pies towarzyszy premierowi w domu i biurze, przysłuchuje się okrytym ścisłą tajemnicą rozmowom najwyższych dostojników partii ZSRR. Raz na jakiś czas, powiedzmy co parę tygodni lub miesięcy, pies wymykałby się w nocy z domu, spotykał z moskiewskim agentem USA i składał mu raport.

-Składał raport? Przecież to szalenstwo! - Walt parsknął śmiechem. Był to jednak śmiech niezupełnie szczery, pełen ostrych, zdradzających nerwowe napięcie tonów. Lem wiedział, że sceptycyzm szeryfa zaczyna topnieć, chociaż nie chciał się on do tego przyznać.

-Mówię ci, że coś takiego jest całkiem możliwe. Taki pies został poczęty in vitro przez połączenie genetycznie zmienionego jaja oraz takiegoż nasienia, które umieszczono następnie w organizmie

zastępczej matki. W rok od chwili narodzin w Laboratoriach Banodyne, wczesnym rankiem w poniedziałek, siedemnastego maja, zwierze uciekło po przeprowadzeniu całej serii niewiarygodnie przemyslnych działań, dzięki którym zdołało sobie dać radę z czujnikami systemu bezpieczeństwa.

-I ten pies przebywa teraz na wolności?

-Tak.

-I to właśnie on zabija...

-Nie - wpadł mu w słowo Lem. - Pies jest nieszkodliwym, skorym do czułości, wspaniałym stworzeniem. Byłem w laboratorium Weatherby'ego, gdzie obserwowałem jego prace z retrieverem. Mnie też, w ograniczonym zakresie, udało się z nim porozumieć. Przysięgam na Boga, Walt, kiedy widzisz to zwierze w akcji, kiedy patrzysz na stworzone przez Weatherby'ego cudo, odzyskujesz nagle wiarę w przyszłość naszego złośliwego gatunku.

Z twarzy Walta można było wyczytać, że nie rozumie tego, o czym mówi przyjaciel.

Lem umilkł, szukając słów zdolnych oddać jego uczucia. Na myśl o psie, o tym, co to zwierze dla niego znaczyło, poczuł rozsadzające piersi podniecenie.

-No więc... chodzi mi o to, że skoro potrafimy robić tak zdumiewające rzeczy, skoro możemy dać światu takie cuda, to tkwią gdzieś w nas głębsze wartości, bez względu na to, co mówią pesymści czy katastrofisci. Jeśli umiemy coś takiego, to dysponujemy mocą i, przynajmniej potencjalnie, mądrością Boga. Tworzymy nie tylko bron, ale i życie. Gdybyśmy zdołali podnieść przedstawicieli jakiegos gatunku do naszego poziomu, stworzyć rasę, która dzieliłaby ten świat z nami... nasze wierzenia i filozofie uległyby nieodwracalnym zmianom. Aktem przemiany retrievera zmieniliśmy samych siebie. Wprowadzając psa na wyższy poziom świadomości, w sposób

nieunikniony podniesliśmy również świadomość własną. - Jezu, Lem, mówisz jak kaznodzieja.

-Doprawdy? To dlatego, że miałem dużo czasu, aby się nad tym zastanowić. Po jakimś czasie ty też zrozumiesz, o co mi chodzi. Doznasz tego niesamowitego uczucia, iż ludzkość wstąpiła na drogę ku boskości - i że zasługujemy na to, aby ją osiągnąć.

Walt Gaines zapatrzył się z uwagą w zaparowaną szybę, jakby ze ściekających po niej kropelek wilgoci chciał odczytać jakąś niezmiernie ważną wiadomość. W końcu rzekł:

-Może masz rację. Może rzeczywiście stoimy na skraju nowego świata. Ale na razie musimy nadal żyć w starym. Jeśli więc nie pies zabił mojego zastępcę, to kto to zrobił?

-W tym samym dniu, w którym uciekł retriever, z Banodyne wymknęło się coś jeszcze - powiedział Lem. Jego euforia znacznie opadła, ponieważ musiał przyznać, iż Projekt Francisa miał również swoje ciemne strony. - Uczniowie mówili na niego Obcy.

5

Nora uniosła magazyn z reklamą porównującą samochód do zamkniętego w stalowej klatce tygrysa.-A teraz zobaczmy, co jeszcze potrafisz nam wyjaśnić - powiedziała, zwracając się do Einsteina. - Co zainteresowało cię w tej fotografii? Może samochód?

Einstein szczechnął krótko. Nie.

-Czy to tygrys? - zapytał Travis. Jedno szczeknięcie.

-Klatka? - podsunęła Nora. Einstein zamachał ogonem. Tak.

-Czy wybrałeś to zdjęcie, ponieważ trzymali cię w klatce? - zadała kolejne pytanie.

Tak.

Travis zaczął krzyc na czworakach po podłodze, dopoki nie natrafił na fotografie samotnego mężczyzny w wieziennej celi. Trzymając ją w dłoni podszedł znow do retrievera i zapytał:

-A to pokazałeś nam, bo cela przypomina klatkę? Tak.

-A wiezien przypominał ci, jak się czułeś przebywając w zamknięciu?

Tak.

-No, a skrzypce - odezwała się Nora. - Czy w laboratorium ktoś grał ci na skrzypcach? Tak.

-Ciekawe, po co to robili? - wtracił Travis.

Na to pytanie pies nie był w stanie odpowiedzieć za pomocą prostego "tak" lub "nie".

-Czy lubisz skrzypce? - spytała Nora. Tak.

-A muzykę w ogóle? Tak.

-Czy lubisz jazz?

Pies nie zaszczekał ani nie poruszył ogonem.

-On nie zna jazzu - domyslił się Travis. - Chyba nigdy mu tego nie puszczała.

-Czy lubisz rock and roll? - zapytała Nora. Szczeknięcie, połączone jednak z ruchem ogona.

-Co też to może znaczyć? - zdziwiła się dziewczyna.

-Zapewne "tak" i "nie" - odparł Travis. - Lubi rocka, ale nie wszystko z tego gatunku mu się podoba.



Einstein potwierdził prawdziwość interpretacji Trávisa energicznym mędraniem ogona.

-Muzyka poważna? Tak.

-Mamy więc psa snoba - stwierdził Travis. Tak, tak, tak.

Oboje z Nora wybuchnęli śmiechem, a Einstein ocierał się o nich i, szczęśliwy, usiłował lizać ich twarze.

Travis rozejrzał się dookoła, po czym podniósł z podłogi czasopismo z fotografią przedstawiającą męczyznie biegnącego po maszynie treningowej.

-Pewnie nie wypuszczali cie z laboratorium, a chcieli, żebyś był w dobrej formie. Czy w taki sposób cie ćwiczyli? Na takiej maszynie?

Tak.

Przekonanie, że dokonali ważnego odkrycia, napelniało ich uczuciem radości. Travis nie byłby bardziej wzruszony, podniecony i przerażony zarazem, gdyby przyszło mu nawiązać kontakt z przedstawicielem cywilizacji pozaziemskiej.

6

Opadam w głąb krowiczej dziury, pomyślał z niepokojem Walt Gaines, przysłuchując się słowom Lenia Johnsona. Ten świat nowoczesnej techniki, podróży kosmicznych, komputerów w każdym domu, rozmów telefonicznych za pośrednictwem satelity, fabrycznych robotów i inżynierii genetycznej wydawał mu się światem zupełnie innym niż ten, w którym się urodził i wychował. Na miłość boską, był dzieckiem w latach drugiej wojny światowej, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o odrzutowcach. Pochodził z prostszego świata przypominających łódzie chryslerów z pletwiastymi ogonami, telefonów z tarczami zamiast guzików, zegarów ze wskazówkami, a nie tarczami cyfrowych wyświetlaczy. W chwili jego narodzin telewizja jeszcze nie istniała, a o

możliwości rychłego nadejścia nuklearnego Armageddonu nikt jeszcze nawet nie myślał. Czuł się teraz tak, jakby przekroczył jakąś niewidzialną barierę i trafił z ojczywego świata do innej rzeczywistości, gdzie życie toczyło się o wiele szybciej. To nowe królestwo wysoko rozwiniętej techniki mogło budzić zachwyt albo przerażenie - niekiedy wywolywało oba te uczucia równocześnie.

Tak jak teraz.

Opowieść o inteligentnym psie przemówiła do tkwiącego w nim ciągle gdzieś jeszcze chłopca. Myśl o tym zwierzęciu pobudziła Walta do uśmiechu.

Ale oprócz retrievera jeszcze ktoś inny uciekł z laboratorium. Ta istota - Obcy - przejmowała go groza i kiedy pomyślał z kolei o niej, uśmiech natychmiast zgasł mu na twarzy.

-Pies nie miał imienia - ciągnął Lem Johnson. - Nie ma w tym nic niezwykłego. Większość naukowców pracujących z doświadczalnymi zwierzętami nigdy nie nadaje im imion. Jeśli ochrzczysz jakos zwierzę, w sposób nieunikniony zaczynasz mu przypisywać pewną osobowość, twój stosunek do niego ulega zmianie i prowadząc badania nie oceniasz go już w sposób w pełni obiektywny. Dlatego właśnie ten pies oznaczony był jedynie kolejnym numerem. Nawet wtedy, gdy stało się oczywiste, że poziom inteligencji, jaki reprezentuje, oznacza sukces, nad osiągnięciem którego Weatherby tak ciężko pracował, i że nie trzeba go będzie usmiercić, jak to czyniono z nieudanymi egzemplarzami, nawet wówczas nie otrzymał własnego imienia. Każdy mówił o nim po prostu "pies", co i tak wystarczyło, by wyróżnić go spośród pozostałych szczeniaków Weatherby'ego, o których mówiono posługując się wyłącznie ciągami cyfr. Musisz wiedzieć, że równolegle, w ramach tego samego Projektu Francisa, doktor Yarbeck prowadziła zupełnie inne badania i ona także osiągnęła w końcu pewne sukcesy.

Zadanie uczzonej polegało na stworzeniu zwierzęcia o zdecydowanie

podwyższonej inteligencji, które towarzyszyłyby ludziom w działaniach wojennych tak, jak psy pomagające policjantom w patrolowaniu szczególnie niebezpiecznych dzielnic miast. Innymi słowy, pani Yarbeck miała wyhodować bestię nie tylko inteligentną, ale i śmiertelnie niebezpieczną zarazem, zdolną siać postrach na polu walki - dzika, podstępna i przebiegła, równie skuteczna w dżungli, jak i podczas starć ulicznych.

Oczywiście, stworzenie to nie mogło dorównywać inteligencją ludziom, musiało też być głupsze niż pies, nad którym pracował Weatherby. Byłoby czystym szalenstwem uczynić maszynę do zabijania równie inteligentną jak ludzie, którym miała służyć. Każdy czytał Frankenstein'a lub widział któryś ze starych filmów Kartofla, toteż nikt nie lekceważył niebezpieczeństwa, jakie niesły ze sobą eksperymenty Yarbeck.

Materiał wyjściowy w tym ponurym procesie tworzenia miały stanowić małpy, które są inteligentniejsze od innych zwierząt, a ponadto mają dłonie bardzo zbliżone do ludzkich. Ostatecznie uczona zdecydowała się na pawiany. Należą one do najszybszych naczelników. Natura uczyniła z nich groźnych, umiejących walczyć na śmierć i życie wojowników, wyposażyła je w okazałe kły oraz pazury. Toczyły zjadłe boje w obronie swego terytorium i ochoczo atakowały każdego, kogo uznały za wroga.

-W pierwszej kolejności Yarbeck musiała zmienić pawiana pod względem fizycznym, powiększyć go do takich rozmiarów, by zdolną zagrozić dorosłemu mężczyźnie - ciągnął Lem. - Doszła do wniosku, że jej zwierze musi mieć przynajmniej pięć stop wzrostu oraz ważyć sto, sto dziesięć funtów.

-To wcale nie tak wiele - zaprotestował Walt.

-Wystarczy.

-Bez trudu rozłóż człowieka tej wielkości.

-Czlowieka tak. Ale nie cos takiego. To klab miesni bez sladu tluszczu, poza tym jest od ciebie znacznie szybszy. Przypomnij sobie, co piecdziesiecifuntowy pit buli moze zrobic z silnym mezczyzna, wtedy moze zrozumiesz, jakim zagrozeniem jest wojownik stworzony przez Yarbeck, wazacy dwa razy tyle.

Polyskujaca metnym srebrem przednia szyba patrolowego samochodu przypominala kinowy ekran i Walt ujrzal naraz na niej obrazy brutalnie zamordowanych ludzi: Wesa Dalberga, Teela Portera... Zamknal oczy, lecz nadal widzial przed soba okaleczone zwloki.

-Okay, masz racje. Sto dziesiec funtow rzeczywiscie wystarczy, jesli bedzie to istota stworzona specjalnie do walki i zabijania.

-Tak wiec Yarbeck zaczela od wyhodowania pawianow o wiekszych rozmiarach. Potem przystapila do eksperymentow ze sperma i komorkami jajowymi swych olbrzymich malp, czasami korzystajac z materialu genetycznego samych tylko pawianow, niekiedy zas wprowadzajac geny innych gatunkow.

-Czyli zastosowala metode sztukowania za pomoca krzyzowek miedzygatunkowych, te sama, ktora doprowadzila do stworzenia inteligentnego psa - powiedzial Walt.

-Nie nazwalbym tego sztukowaniem... ale istotnie, w obu przypadkach posluzono sie identycznymi technikami. Yarbeck chciala, zeby jej wojownik mial szczeki, takie jak ma owczarek niemiecki czy nawet szakal, dzieki czemu zmiesciloby sie w nich wiecej zebow. Zeby mialy byc wieksze, ostrzejsze i lekko zakrzywione. Takie zmiany pociagaly za soba koniecznosc powiekszenia calej glowy oraz powaznej przebudowy czesci twarzowej. Zreszta tak czy inaczej czaszka musiala ulec rozbudowie, aby pomiescic znacznie powiekszony mozg. Doktor Yarbeck nie obowiazywaly ograniczenia dotyczace wygladu zwierzecia, nalozone na Davisa Weatherby'ego - mogl on ulec zmianie. Prawde powiedziawszy, sadzila nawet, ze jesli jej istota

uzyska odrazajacy, niesamowity wyglad, stanie sie wojownikiem jeszcze bardziej wartosciowym, gdyz bedzie nie tylko zabijala naszych wrogow, lecz takze siala wsrod nich przerazenie.

Pomimo panujacego upalu Walt Gaines poczul w zoladku chlod, tak jakby polknal kilka duzych kostek lodu.

-Czy, na milosc boska, ani Yarbeck, ani nikt inny nie zwrocili uwagi na moralna strone takiego przedsiwziecia? Czy nikt z tych ludzi nie czytál Wyspy doktora Moreau? Lem, ciazzy na tobie moralny obowiazek poinformowania o tym wszystkim opinii publicznej. Na mnie zreszta tez.

-Nic podobnego - zaoponowal Lem. - Idea dobrej i zlej wiedzy... no coz, jest to czysto religijny punkt widzenia. Uczynki moga byc moralne lub nie, to prawda, jednak wiedzy nie da sie w ten sposob poszufladkowac. Dla naukowca, dla kazdej wyksztalconej kobiety czy mezczyzny, cala wiedza pozostaje moralnie neutralna.

-Ale, cholera, zastosowanie tej wiedzy, gdy chodzi o Yarbeck, nie bylo moralnie neutralne.

Podczas weekendow, przesiadujac na patiu domu ktoregos z nich, popijajac corone, roztrzasajac wazkie problemy tego swiata, niejednokrotnie z upodobaniem rozprawiali na podobne tematy. Podworkowi filozofowie. Piwni medrcy czerpiacy radosc ze swej madrosci. Czasami zdarzalo sie, ze z rozwazanymi w czasie tych spotkan dylematami stykali sie pozniej w swej policyjnej praktyce; jednakze Walt nie przypominal sobie rozmowy, ktora pozostawalaby w tak bezposrednim zwiazku z ich praca jak ta.

-Zastosowanie wiedzy stanowi czesc procesu prowadzacego do zdobywania nowych wiadomosci - odrzekl Lem. - Uczony musi sprawdzic swoje odkrycia w praktyce, aby wiedziec, dokad prowadzi kazde z rozwiazan. Moralna odpowiedzialnosc spada na barki tych, ktorzy wypracowana w laboratoriach technologie wykorzystuja do niemoralnych celow.

-Wierzysz w te bzdury? Lem zamyslił się na chwilę.

-Tak. Sądze, że tak. Gdybyśmy obciążali naukowców winą za całe zło powstałe w wyniku wykorzystania rezultatów ich badań, ci porzuciliby swoją pracę i nie byłoby mowy o żadnym postępie. Nadal mieszkalibyśmy w jaskiniach.

Walt wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i otarł wilgotną twarz. Spocil się nie tyle z powodu gorąca, co na myśl o wojowniku Yarbeck czającym się gdzieś pośród wzgórz Orange County.

Chciał tę sprawę ujawnić, ostrzec nieswiadomy niczego świat, że na ziemi pojawiło się nowe niebezpieczne stworzenie. Postępując jednak w ten sposób, mógłby się przyczynić do wywołania powszechnej histerii, która w rezultacie doprowadziłaby do wstrzymania wszelkich badań nad rekombinowanym DNA. A przecież dzięki nim otrzymano już kukurydze i pszenice rosnące na słabej glebie i wymagające znacznie mniejszej ilości wody, przed wielu laty zaś wyhodowano wirusa, który jako produkt uboczny przemiany materii wytwarzał tania insulinę. Jeśli wspomni światu choć jednym słowem o stworzonym przez Yarbeck potworze, zdoła może ocalić obecnie parę ludzkich istnień, lecz przyczyni się zarazem do rozbudzenia w społeczeństwie niechęci, a nawet wrogości wobec inżynierii genetycznej, co w przyszłości kosztować będzie życie dziesiątków tysięcy ludzi.

-Cholera - rzucił Walt. - Tego przypadku nie można rozpatrywać w kategoriach białe-czarne.

-Dzięki temu życie jest bardziej interesujące. Walt odpowiedział kwaśnym uśmiechem.

-Na dzień dzisiejszy jest ciekawsze, niżbym sobie tego życzył. Okay. Dostrzegam sens utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Poza tym, gdyby informacja została rozpowszechniona, miałbyś zaraz na karku tysiąc zaszranych poszukiwaczy przygod, którzy szybko powiększyliby grono ofiar tej bestii albo powybijali się nawzajem.

-Wlasnie.

-Ale moi ludzie mogliby ci pomoc, włączając się do poszukiwań. Lem opowiedział mu o setce ludzi z oddziałów wywiadowczych marynarki nieustannie przeczesujących pogorze w cywilnym przebraniu, wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny oraz, w razie potrzeby, psy. - Mam już w terenie więcej ludzi, niż mogłbym od ciebie dostać. Robimy wszystko, co tylko można. Powiedz, postąpisz tak, jak powinienes? Będziesz się trzymał na uboczu?

Marszcząc czoło, Walt powiedział:

-Na razie tak. Chce jednak otrzymywać bieżące informacje.

-W porządku. - Lem skinął głową.

-Mam jeszcze parę pytań. Dlaczego nazwali go Obcym?

-No cóż, pies był przełomem, okazał się pierwszym laboratoryjnym zwierzęciem obdarzonym niezwykłą inteligencją. Ten był następny. Tylko te dwa eksperymenty zakończyły się sukcesem. Mówiło się: pies i ten drugi. Drugi przez duże "d". Z czasem jednak zaczęto go nazywać inaczej: Obcy. "Obcy" pasowało o wiele lepiej; w przeciwieństwie do psa nie był ulepszeniem jakiegoś stworzonego przez Boga zwierzęcia. Otwierał zupełnie nową kartę, był obcy dla wszystkich zamieszkujących ziemię istot. Wyglądał szkaradnie, choć nikt nie osmielił się powiedzieć tego głośno, a co gorsza, miał całkowitą świadomość swego wyobcowania.

-Dlaczego nie wolali na niego po prostu pawian?

-Ponieważ... właściwie nie przypominał wyglądem pawiana. Nie przypominał niczego, co kiedykolwiek widziałeś, no, może wyjawiały senne koszmary.

Walt wzdrygnął się na widok wyrazu, jaki pojawił się na ciemnej twarzy przyjaciela. Postanowił nie prosić o szczegółowy opis Obcego;

wolał nie wiedzieć, jak on wygląda.

Zmienił szybko temat.

-A co z zabojstwami Hudstona, Weatherby'ego i Yarbeck? Kto się za nimi kryje?

-Nie znamy człowieka, który pociągał za spust, wiemy natomiast, że wynajeli go Rosjanie. To oni zabili również jeszcze jednego pracownika Banodyne, przebywającego na urlopie w Acapulco.

Walt poczuł się tak, jakby przekroczywszy jedną z owych niewidzialnych barier wkroczył do następnego, jeszcze bardziej skomplikowanego świata.

-Rosjanie? Czy ja się nie przesłyszałem? Skąd mieliby się tutaj wziąć?

-Nie podejrzewaliśmy, że wiedza o Projekcie Francisa - odparł Lem. - A jednak wiedzieli. Widocznie mieli swoją wtyczkę nawet w Banodyne. Kiedy uciekł pies, a zaraz po nim Obcy, agent dał cynk Sowietom, a ci postanowili wykorzystać chaos, jaki wtedy powstał, i zwiększyć jeszcze nasze straty. Zamordowali wszystkich kierowników zespołów badawczych, uczonych - Yarbeck, Weatherby'ego, Hainesa - a także Hudstona, który kiedyś był także szefem zespołu, lecz od dłuższego czasu już w Banodyne nie pracował. Uważamy, iż zrobili to z dwóch powodów: po pierwsze, chcieli zahamować badania objęte Projektem Francisa; po wtóre zaś, pragneli utrudnić nam odnalezienie Obcego.

-W jaki sposób?

Lem osunął się w głąb fotela, jak gdyby opowiadając o dramatycznej sytuacji, która się wytworzyła, uprzytomnił sobie ogrom ciężaru spoczywającego na jego barkach.

-Eliminując Hudstona, Hainesa, a zwłaszcza Weatherby'ego i Yarbeck, Sowietci pozbawili nas ludzi znających najlepiej sposób rozumowania Obcego oraz psa, ludzi, którzy mogliby najszybciej



odgadnac, dokad zmierzaja uciekinierzy i co nalezaloby zrobic, aby ich schwytac.

-Masz dowody, ze to robota Sowietow? Lem westchnal.

-Niezupełnie. Moje zadanie polega przede wszystkim na odnalezieniu psa i Obcego. Poszukiwania stojacych za zabojstwami, podpaleniem i zniszczeniem komputerowych danych sowieckich agentow powierzyliśmy utworzonemu specjalnie do tego celu zespolowi. Na nasze nieszczęście wyglada na to, ze Sowietci posluzyli sie płatnym morderca spoza własnej sieci, nie mamy wiec najmniejszego pojecia, gdzie szukac sprawcy. Sledztwo w tej sprawie prawie nie posuwa sie naprzod.

-A ogien, jaki pojawil sie w Banodyne następnego dnia?

-Bez watpienia bylo to podpalenie. Jeszcze jedna akcja Sowietow. Pozar zniszczyl cala dokumentacje - zarowno wszystkie papiery, jak i elektroniczne zbiory danych - zwiazana z Projektem Francisa. Oczywiscie istnialy zapasowe dyskiety przechowywane w innym miejscu... ale ktos skasowal wszystkie utrwalone na nich informacje.

-Znowu Sowietci?

-Tak przypuszczamy. Kierujacy Projektem Francisa nie zyja, a zgromadzone przez nich wyniki badan ulegly zniszczeniu i w efekcie jestesmy zupełnie niemal bezradni, gdy probujemy sobie odpowiedziec na pytania: jaki moze byc sposob myslenia psa lub Obcego, gdzie nalezy ich szukac i jak zwabic w pulapke.

Walt potrzaskal glowa.

-Nigdy nie myslalem, ze bede po stronie Rosjan, ale przerwanie tego przedsiwzięcia wydaje mi sie dobrym pomyslem.

-Im tez daleko do niewinnosci. Z tego, co mi wiadomo, prowadzi podobne prace w laboratorium zlokalizowanym gdzies na Ukrainie.

Niewatpliwie nasi spece staraja sie, jak moga, zeby zniszczyc rezultaty ich badan i zlikwidowac ich uczonych podobnie jak tamtym udalo sie zlikwidowac naszych. Tak czy inaczej, Sowietom do szczescia brakuje tylko tego, aby Obcy pojawil sie na ktoryms ze spokojnych przedmiesc, porozpruwal brzuchy gospodyn domowych i poodgryzal glowki malym dzieciom. Jezeli cos takiego zdarzy sie pare razy... no coz, wszystko obroci sie przeciw nam.

Poodgryzal glowki malym dzieciom? Jezu.

Nie mogac opanowac drzenia, Walt zapytal.

-Czy cos takiego moze sie rzeczywiscie zdarzyc?

-Uwazamy, ze raczej nie. Obcy jest agresywny jak wszyscy diabli - przeciez takim zostal stworzony - i palą szczególna nienawiscia do swoich stworców. Jest to efekt niezamierzony i Yarbeck miała nadzieje, ze w następných pokoleniach zdola go wyeliminowac. Zabijanie nas sprawia Obcemu szczególna przyjemnosc. Równocześnie jest jednak wystarczajaco bystry, by zdawac sobie sprawe z tego, iz kazde zabojstwo ulatwia nam odnalezienie go. Dlatego tez nie powinien folgowac zbyt czesto swojej nienawisci. Bedzie sie chyba trzymac na ogol z dala od ludzi, wedrujac przewaznie noca. Moze sie zdarzyc, ze powodowany ciekawoscia, zechce odwiedzic jakas ferme na wschodnich obrzezach okregu...

-Tak jak odwiedzil posiadlosc Keeshanow.

-Wlasnie. Ide jednak o zaklad, ze wybral sie tam nie po to, by zabic kogokolwiek. Chcial tylko zaspokoic ciekawosc. Nie pozwoli sie zlapac, zanim nie osiagnie swego glownego celu.

-A co jest jego glownym celem?

-Odnalezienie i zabicie psa - odrzekl Lem.

-Dlaczego przejawuje sie tak tym psem? - zapytal zdziwiony Walt.

-Tak naprawdę, to nie wiemy. W Banodyne okazywał mu wściekła nienawisc, chyba jeszcze silniejsza niz ta, która żywił do ludzi. Kiedy Yarbeck udało się opracować język znaków, pozwalający na wyrażanie złożonych myśli, Obcy parokrotnie powtarzał, że jego pragnieniem jest zabicie i okaleczenie psa, chociaż nigdy nie wyjaśnił dlaczego. Miał na tym punkcie jakąś obsesję.

-Przypuszczasz więc, że teraz podąża śladem retrievera?

-Tak. Dowody wskazują, iż pies pierwszy opuścił laboratorium, czym doprowadził Obcego do szaleństwa. Obcy przebywał w obszernym, zamkniętym pomieszczeniu w laboratorium Yarbeck. Wszystko, co znajdowało się wewnątrz - wykładziny, pomoce naukowe, zabawki - zostało zniszczone i podarte na strzępy. Później, uświadomiwszy sobie, że pies wymknie mu się raz na zawsze, jeśli i on sam nie ucieknie stąd natychmiast, Obcy zaczął rozmyślać nad tym, w jaki sposób może to zrobić i, na Boga, znalazł własne rozwiązanie.

-Ale jeśli pies znacznie go wyprzedził...

-Istnieje jakaś dziwna więź pomiędzy psem a Obcym. Nikt nie wie, na czym polega, ale umysły obu stworzeń są ze sobą zestrojone. Łączy je coś w rodzaju instynktownej świadomości istnienia drugiej strony. Nie wiemy, jaki jest zasięg tego oddziaływania, należy się jednak liczyć z możliwością, że będą się wyczuwać na znaczne odległości. Jest to coś w rodzaju słabo wykształconego szóstego zmysłu, który pojawił się na skutek zastosowanych przez Yarbeck i Weatherby'ego technik podwyższenia inteligencji. Zresztą nie wiemy tego dokładnie. Tak cholernie wielu rzeczy nie wiemy!

Obaj mężczyźni zamilkli na chwilę.

Duszone wewnątrz samochodu stało się nagle jakby przytulniejsze. Gdy się pomyślało o niebezpieczeństwach, których pełen był współczesny świat, to niewielka, ograniczona zaparowanymi szybami przestrzeń sprawiała wrażenie prawdziwego azylu.

Walt nie miał już ochoty pytać o cokolwiek, bojąc się tego, co mogłoby usłyszeć w odpowiedzi. Mimo to powiedział:

-Budynek Banodyne był doskonale zabezpieczony. Został zaprojektowany tak, aby nie upoważnione osoby nie mogły dostać się do środka. Przypuszczam, że wyjść z niego także nie było rzeczą prostą. A jednak zarówno pies, jak i Obcy zdolali uciec.

-Tak.

-Zapewne nikt nie przypuszczał, że jest to możliwe. Wynikałoby z tego, iż oba stworzenia są bardziej przebiegłe, niż to sobie założyliście.

-Tak.

Walt ciągnął dalej:

-Jeśli chodzi o psa... no cóż, nawet jeśli jest bystrzejszy, niż ktokolwiek mogłoby przypuszczać, to nic wielkiego. Pies jest nastawiony przyjaźnie.

Lem oderwał wzrok od zmetniałej szyby i spojrzał Waltowi prosto w oczy.

-Masz rację. Ale jeśli inteligencja Obcego jest wyższa, niż przyjęliśmy na początku... jeśli prawie dorównuje ludzkiej, schwytanie go będzie niezmiernie trudne.

-Prawie dorównuje... lub jest taka sama.

-Nie. To niemożliwe.

-A może nawet przewyższa - dorzucił Walt.

-Nie. To nie wchodzi w rachubę.

-Czyżby? - Nie.

-Na pewno?

Lem nie odpowiedział. Westchnął, po czym znudzonym ruchem potarł oczy. Nie chciał ponownie okłamywać swego najlepszego przyjaciela.

7

Nora i Travis przeglądali kolejno każdą fotografię i dowiadywali się stopniowo coraz więcej o Einsteinie. Szczekając bądź merdając ogonem, pies odpowiadał na ich pytania. Potwierdził, że wybrał reklamy komputerów, ponieważ przypominały mu urządzenia widziane w laboratorium. Fotografia czterech młodych ludzi odbijających pasiastą piłkę na plaży poruszyła go, gdyż jeden z naukowców posługiwał się różnej wielkości piłkami w tescie na inteligencję, który Einstein szczególnie lubił. Nie potrafili natomiast określić przyczyny zainteresowania retrievera papugą, motylami, Myszka Miki oraz wieloma innymi rzeczami, gdyż nie udało im się ułożyć właściwych pytań, na które można by było odpowiedzieć za pomocą prostego "tak" lub "nie". Chociaż czasami nawet sto pytań nie starczało, aby wyjaśnić znaczenie poszczególnych fotografii, podniecenie i radość wywołane wielkim odkryciem nie opuszczały całej trójki. Nastroj ulegał pogorszeniu jedynie wówczas, gdy wypytywali Einsteina o podobiznę potwora z zapowiadanego w magazynie horroru. Za każdym razem zwierze reagowało z jednakową siłą. Podkułalo pod siebie ogon, obnażało zęby i groźnie warczało. Parę razy pies uciekał od fotografii; szukał schronienia za sofą lub w innym pokoju i dopiero po paru minutach wracał niechętnie, po czym drżąc na całym ciele odpowiadał na dodatkowe, dotyczące demona pytania.

Wreszcie, po kolejnych próbach, które zajęły im tym razem co najmniej dziewięć minut wyjaśnienia powodów leku czworonoga, Travis wskazał wyposażonego w potężne szczęki i pazury filmowego potwora o błyszczących oczach, po czym rzekł:

-Może ty tego nie rozumiesz, Einstein. To nie jest zdjęcie prawdziwej,

zywej istoty. To tylko zrobiony przez ludzi demon z filmu. Czy rozumiesz, co mam na mysli mowiac, ze jest zrobiony przez ludzi?

Einstein zamachal ogonem. Tak.

-No wiec to jest taki potwor na niby. Jedno szczekniecie. Nie. -  
Zrobiony, sztuczny, nieprawdziwy, taki czlowiek w przebraniu z gumy -  
dodala Nora.

Nie.

-Tak - powiedzial Travis. Nie.

Einstein znowu probowal ukryc sie za sofa, lecz Travis przytrzymal go za obroze.

-Czy chcesz powiedziec, ze widziales cos takiego?

Pies popatrzyt na fotografie, nastepnie zas utkwil wzrok w oczach Travisa, zadrzal i cicho zaskomlal.

Zalosne nuty glebokiego przerazenia w glosie retrievera i trudny do opisanie niepokoj malujacy sie w jego oczach wywarly na Travisie tak silne wrazenie, ze sam byl tym zaskoczony. Czul wyraźnie - jedna jego dlon zacisnela sie na obrozy, a druga spoczela na grzbiecie Einsteina - ze zwierze drzy calym cialem. Nieoczekiwanie jego rowniez przeniknal dreszcz. Sztywniejac ze strachu pomyslal: Boze, on naprawde cos takiego widzial.

Dostrzeglszy zmiane na twarzy Travisa, Nora zapytala:

-Co sie stalo?

Zamiast odpowiedziec, powtorzyl pytanie, na ktore Einstein poprzednio nie odpowiedzial:

-Czy chcesz powiedziec, ze widziales cos takiego? Tak.

-Cos, co wygladalo dokladnie tak jak ten demon? Szczekniecie i merdanie ogonem. Tak i nie.

-Cos, co bylo podobne do tego stwora? Tak.

Travis wypuscil obroze z dloni i pogladzil uspokajajaco psa po grzbiecie, ten jednak drzal w dalszym ciagu.

-Czy to dlatego czuwasz czasami noca przy oknie? Tak.

Wyraznie zaskoczona i poruszona przerazeniem retrievera, Nora przytulila go do siebie.

-Myslalam, ze boisz sie, zeby cie nie odnalezli ludzie z laboratorium.

Einstein szczeknal krotko.

-Nie boisz sie, ze znajda cie ludzie z laboratorium? Tak i nie.

-Bardziej boisz sie tego, ze... znajdzie cie tamta istota - podsunal Travis.

Tak, tak, tak. Travis spojrzal na Nore.

-Ale to tylko filmowa atrapa - powiedziala marszczac czolo. - Na swiecie nie ma niczego, co chocby troche bylo do niej podobne.

Einstein zaczal biegac miedzy rozlozonymi na podlodze fotografiami i obwachiwac niektore z nich. W pewnej chwili przystanal przed reklama Blekitnego Krzyza, ukazujaca lekarza, matke i dziecko w szpitalnym pokoju, schwycil magazyn w zeby i polozyl go na podlodze obok Nory. Dotknal nosem lekarza ze zdjecia, popatrzyll na dziewczyne, potem na Travisa. Jeszcze raz dotknal fotografii, po czym utkwil w Norze wyczekujace spojrzenie.

-Przedtem - powiedziala - ustalilismy, ze lekarz oznacza jednego z pracujacych w laboratorium uczonych.

Tak.

-A wiec chcesz nam powiedziec, ze uczony, ktory z toba pracowal, bedzie wiedzial, co czailo sie wtedy w lesie? - dodal Travis.

Tak.

Einstein zaczal znowu szperac wsrod czasopism i tym razem wrocil z reklama ukazujaca samochod w klatce. Tracil nosem klatke, a nastepnie z wahaniem dotknal fotografii demona.

-Probujesz nam powiedziec, ze tamto stworzenie z lasu przebywalo wczesniej w klatce?

Tak.

-Co wiecej - dodal Travis - mysle, iz on je widzial w klatce. Tak.

-W tym samym laboratorium, w ktorym przetrzymywali ciebie? Tak, tak, tak.

-Jeszcze jedno zwierze doswiadczalne? - zapytala Nora. Tak.

Travis wpatrywal sie w fotografie potwora. Grube kosci czolowe, gleboko osadzone zolte oczy, zdeformowany, podobny do ryja nos, najezona zębami paszcza. W koncu powiedzial:

-Czy to byl eksperyment, ktory sie nie udal? Tak i nie.

Mocno zdenerwowany, pies przemknal przez salon, podbiegl do okna, podskoczyl do gory i wsparlszy przednie lapy o parapet, zapatrzyll sie w zapadajacy nad Santa Barbara zmrok.

Nora siedziala wraz z Travisem na podlodze posrod pootwieranych czasopism i ksiazek. Oboje byli zadowoleni z osiagnietych rezultatow, choc zaczynali juz odczuwac lekkie zmeczenie, przesloniete dotychczas radosnym podnieceniem. Popatrzyli po sobie w zamysleniu.



-Sądzisz, że Einstein jest zdolny do kłamstwa, do zmyślania różnych historii, podobnie jak to robią dzieci? - zapytała miękko Nora.

-Nie wiem. Czy psy potrafią kłamać, czy jest to umiejętność zarezerwowana wyłącznie dla ludzi? - Rozesmiał się, pojmując absurdalność takiego pytania. - Czy psy potrafią kłamać? Czy mysz może zostać wybrana na prezydenta? Czy krowy potrafią śpiewać?

Nora także parsknęła serdecznym śmiechem.

-Czy kaczki potrafią stepować?

Ulegając naglej chęci, by się trochę powyglupiac, będącej reakcją na intensywny wysilek psychiczny, jaki stanowiła rozmowa z Einsteinem, Travis powiedział:

-Widziałem kiedyś stepującą kaczkę.

-Och, naprawdę?

-Tak, w Vegas.

-W jakim hotelu występowała? - zapytała.

-W Caesars Palace. Potrafiła też śpiewać.

-Kaczka?

-Tak. Zapytaj mnie, jak się nazywała.

-Jak się nazywała?

-Sammy Davis Duck, Junior - odparł Travis. - Była to tak sławna gwiazda, że na reklamach nie musieli nawet umieszczać jej pełnego nazwiska.

-Pisali po prostu "Sammy", co?

-Nie. Wystarczył sam "Junior".

Einstein odwrócił się od okna i obserwował ich z przekrzywioną głową, usiłując zapewne odgadnąć, dlaczego zachowują się tak dziwnie.

Zdziwiona i poważna mina retrievera Nora i Travis uznali za coś niesłychanie komicznego. Przytuleni do siebie, zasmiewali się do łez,

daremnie usilujac powstrzymac ten atak wesolosci.

Parsknawszy z politowaniem, Einstein wrocil do okna.

W miare jak pomalu odzyskiwali kontrole nad soba, zaczęło docierać do Trávisa, że obejmuje Nore, że jej głowa spoczywa na jego ramieniu, że fizyczny kontakt między nimi jest tak bliski, jak jeszcze nigdy dotąd. Jej włosy pachniały świeżością. Czuł ciepło promieniujące z jej ciała. Ogarnęło go nagle pożądanie. Wiedział, że pocałuje ją, gdy tylko Nora uniesie głowę z jego ramienia. W chwili później podniosła na niego oczy, a on zrobił to, o czym wiedział, że zrobić musi - pocałował ją. Oddał pocałunek, lecz przez sekunde lub dwie zdawała się nie wiedzieć, co robi, co takie zachowanie oznacza. Był to słodki, zupełnie niewinny pocałunek wyrażający nie tyle namietność, co przyjaźń i uczucie. Potem nastąpiła zmiana. Usta dziewczyny stały się miękkie, zaczęła szybciej oddychać i zacisnęwszy spoczywającą na ramieniu Trávisa dłoń, usiłowała przyciągnąć go bliżej. Z jej gardła wydymał się niski pomruk pożądania - a zaraz potem, usłyszawszy ten właśnie dźwięk, odzyskała kontrolę nad sobą. Zesztywniała raptownie, wstrząśnięta bliskością mężczyzny, a w jej szeroko rozwartych, pięknych oczach obok zdumienia Travis dostrzegł lek przed tym, do czego omal nie doszło. Travis niezwłocznie odsunął się do tyłu, ponieważ instynkt podpowiadał mu, że jeszcze nie nadszedł właściwy moment. Kiedy wreszcie ów moment przyjdzie i beda się kochać, musi się to dokonać w sposób całkowicie naturalny, bez żadnych wahan czy choćby cienia fałszu, bo przecież do końca życia zapamiętają swój pierwszy raz, więc wspomnienie to powinno być jasne i radosne, tak by chciało się do niego wracać po tysiąc razy, gdy już nadejdzie wspólna starość. Choć nie nadszedł jeszcze czas, żeby ubierać przyszłość w słowa i przypieczętować ją złożeniem przysięgi, Travis był pewien, iż on i Nora spędzą resztę życia razem. Po chwili niezręcznego milczenia, gdy odsunawszy się od siebie, rozważali w myślach, czy powinni jakos skomentować nagłą zmianę w ich wzajemnych stosunkach, Nora rzekła:

-On wciąż stoi przy oknie.

Einstein z przycisniętym do szyby nosem wpatrywał się w nocny mrok.

-Czy mówi prawdę? - zastanawiała się głośno Nora. - Czy z laboratorium rzeczywiście mogło uciec coś aż tak niesamowitego?

-Skoro mieli takiego psa, to równie dobrze mogli pracować nad czymś jeszcze dziwniejszym. A tamtego dnia w lesie rzeczywiście coś nas gonilo.

-Ale skoro wywiozłeś go tak daleko na północ, ten potwór z pewnością go nie odnajdzie.

-Ja też tak myślę - przytaknął Travis. - Sądzę, że Einstein nie zdaje sobie sprawy z tego, jak daleko odjechalismy od miejsca, gdzie go znalazłem. Istota z lasu, czymkolwiek by była, nie zdoła go już wytropić. Założę się jednak, że ludzie z laboratorium prowadzą intensywne poszukiwania. To właśnie z ich powodu się niepokoję. Einstein zresztą również. Dlatego udaje głupiego w miejscach publicznych i ujawnia swoją inteligencję tylko mnie; teraz zademonstrował ją także i tobie. Nie chce tam wrócić.

-A jeśli go znajda... - Nora urwała w środku zdania.

-Nie znajda.

-Ale jeśli znajda, co wtedy?

-Nigdy go nie oddam - powiedział Travis. - Nigdy.

8

O jedenastej w nocy pozbawione głowy ciało Portera oraz okaleczone zwłoki kierownika budowy zostały zabrane z Bordeaux Ridge przez ludzi koronera. Ułożono oficjalną wersję wydarzeń i przedstawiono ją zgromadzonym po drugiej stronie policyjnej bariery dziennikarzom. Ci

przyjeli ja za dobra monete, gdyz zadali mnostwo pytan, zrobili kilkaset zdjec i nagrali pare tysiecy stop tasmy wideo, ktora okrojona do stu sekund zostanie odtworzona w jutrzejszych wiadomosciach telewizyjnych. W dobie masowych zbrodni i terroryzmu dwom ofiarom mozna bylo poswiecic najwyzej dwie minuty czasu antenowego: dziesiec sekund wstepu, sto sekund relacji, dziesiec sekund dla starannie uczesanych waznych osobistosci prezentujacych swoje pelne godnosc i powleczone nalezyta troska twarze - a zaraz potem reportaz z wyboru miss bikini, migawki z konwencji wlascicieli Edsela albo wywiad z mezczyzna utrzymujacym, ze widzial obcy pojazd kosmiczny w ksztalcie spodka. Dziennikarze zdazyli juz sie rozejsc, podobnie jak technicy z laboratorium i mundurowi ludzie szeryfa, a takze wszyscy agenci Lemuela Johnsona, z wyjatkiem Cliffa Soamesa. Chmury przeslonily sierp ksiezycy. Reflektory zniknely, a jedyne swiatlo dawaly lampy samochodu Walta Gainesa. Szeryf wykonal manewr swoim sedanem i ustawil go specjalnie tak, by jego lampy oswietlaly woz Lema, zaparkowany przy koncu piaszczystej ulicy, dzieki czemu Lem i Cliff nie musieli potykac sie w mroku. W glebokiej czerni otaczajacej niewielka przestrzen, rozjasniona samochodowymi reflektorami, kontury wznoszonych domow majaczyly niewyraźnie niczym skamieniale szkielety prehistorycznych gadow.

Podchodzac do swego wozu, Lem mial samopoczucie na tyle niezle, na ile to bylo mozliwe w podobnych okolicznosciach. Walt zobowiazal sie nie przeszkadzac wladzom federalnym w prowadzeniu sprawy. Chociaz Lem naruszył kilkanascie regulaminow oraz zlamal przysiege dotyczaca zachowania tajemnicy zapoznajac Walta ze szczegolami Projektu Francisa, byl pewien, ze przyjaciel bedzie milczec.

Cliff Soames dotarl do samochodu pierwszy, otworzyl drzwi i usiadl na fotelu pasazera. Otwierajac drzwi od strony kierowcy, Lem uslyszal, jak Cliff powtarza w kolko: - O Jezuu, o Boze. - Zaraz potem chlopak wygramolil sie z samochodu. Zajrzawszy do srodka, Lem natychmiast spostrzegl to, co tak przerazilo jego asystenta. Glowe.

Bez watpienia byla to glowa Teela Portera.

Lezala na przednim siedzeniu, ustawiona tak, by po otwarciu drzwi Lem napotkal wzrokiem twarz. Usta rozwarte byly w niemym krzyku. Oczy gdzies zniknely.

Lem odskoczyl od wozu, siegnal pod plaszcz i wyciagnal rewolwer.

Widzac, ze dzieje sie cos niedobrego, Walt Gaines rowniez wyskoczyl z samochodu z rewolwerem w dloni. Podbiegl do Lema i zapytal:

-Co sie stalo?

Podszedl do sedana NSA i przez otwarte drzwi wsadzil glowe do srodka. Wchwile pozniej z jego piersi wydobyl sie gluchy, bolesny jek.

Zza samochodu wylonil sie Cliff, sciskajac w reku wycelowana w niebo bron.

-To cholerstwo bylo tutaj, kiedy przyjechalismy i kiedy ogladalismy dom.

-Moze nadal tu jest - powiedzial Lem, niespokojnie badajac wzrokiem otaczajace ich zewszad ciemnosci.

Wpatrujac sie w tonace w mroku osiedle, Walt zaproponowal:

-Wezwiemy moich ludzi i rozpoczniemy poszukiwania.

-Nie ma sensu - odrzekl Lem. - To stworzenie ucieknie, gdy tylko zobaczy, ze twoi ludzie wracaja... jezeli oczywiscie juz nie ucieklo.

Stali na skraju Bordeaux Ridge. Dalej calymi milami ciagnely sie pustkowia, wzgorza i gory, z ktorych nadszedl Obcy i wsrod ktorych ponownie zechce sie ukryc. Pagorki, gorskie grzbiety oraz kaniony majaczyly niewyraźnie w nikłym blasku przeslonietego chmurami ksiezycyca.

Gdzies w glebi ciemnej ulicy rozlegl sie glosny grzechot, jak gdyby ktos potknal sie o sterte rupieci albo kamieni.

-On tutaj jest - powiedzial Walt.

-Mozliwe - zgodzil sie Lem. - Ale i tak nie bedziemy go szukac po ciemku i to na dodatek tylko we trojke. On tylko na to czeka.

Nasluchiwali przez chwile, lecz znowu trwala cisza.

-Przeszukalismy wszystkie domki natychmiast po przyjeździe, jeszcze przed waszym przybyciem - powiedzial Walt.

-On musial przez caly czas isc tuz przed wami, bawiac sie z panskimi ludzmi w kotka i myszke - odezwal sie Cliff. - Potem widzial nasz przyjazd i rozpoznal Lema.

-Mogl mnie rozpoznac - przytaknal Lem - poniewaz parokrotnie odwiedzalem Banodyne. Prawde mowiac... Obcy prawdopodobnie czekal tu wlasnie na mnie. Zapewne domysla sie, jaka jest moja rola w tym wszystkim, wie, ze kieruje poszukiwaniami jego i psa. Czekal wiec specjalnie, zeby podrzucic mi glowe twego zastepcy.

-Chcial z ciebie zadrwic? - zapytal Walt. - Chcial ze mnie zadrwic.

Umilkli na chwile, a ich oczy staraly sie przeniknac otaczajace ciemnosci.

Gorace czerwcowe powietrze zamarlo w bezruchu.

Jedynym docierajacym do ich uszu dzwiekiem byl odglos pracujacego na luzie silnika samochodu szeryfa.

-Obserwuje nas - rzucil Walt.

Znowu loskot sypiacych sie kamieni, tym razem nieco blizej.

Trzej mezczyzni znieruchomieli, zwroceni twarzami w rozne strony, w

kazdej chwili spodziewając się ataku.

Cisza trwała około minuty.

Leni miał właśnie się odezwać, gdy nagle Obcy zaskrzeczał. Dźwięk brzmiał niehumanie, przejmował chłodem. Bez trudu określili kierunek, z którego dobiegł: z rozciągającego się za Bordeaux Ridge pustkowia.

-Teraz odchodzi naprawdę - powiedział Leni. - Doszedł do wniosku, że nie damy się zwabić w zasadzkę, więc ucieka, żebyśmy nie zdążyli sięgnąć po niego.

Z oddali nadbiegł kolejny skrzek. Leni miał wrażenie, że ten niesamowity głos rozdziera mu duszę niczym ostre paznokcie.

-Rano - powiedział - przerzucimy wywiadowców Marine do podnóża leżących nieco na wschód wzgórz. Dopadniemy bydłaka. Na Boga, dopadniemy go.

Walt ruszył w stronę sedana Lenia. Musiał teraz zabrać z samochodu okaleczoną głowę Teela Portera. Przygotowując się wewnętrznie do spełnienia tego przykrego obowiązku powiedział:

-Dlaczego oczy? Dlaczego on zawsze wyrywa oczy?

-Po części dlatego, że jest to stworzenie niezwykle agresywne i krwiożercze. Ma to zakodowane w genach. A po części dlatego, że odczuwa prawdziwą satysfakcję, budząc wokół przerażenie. Ale też dlatego, bo...

-Bo...?

-Wolałbym o tym zapomnieć, ale niestety, wszystko pamiętam, widzę bardzo wyraźnie...

Podczas jednej z wizyt w Banodyne Lem był świadkiem niepokojącej rozmowy pomiędzy doktorem Yarbeck a Obcym. Yarbeck z pomocą



asystentów nauczyła Obcego języka znaków, podobnego do tego, jaki został opracowany przez uczonych badających możliwości porozumiewania się z wyższymi naczelnymi, zwłaszcza z gorylami, w połowie lat siedemdziesiątych. Najzdolniejsze ze zwierząt, gorylica imieniem Koko, o której napisano niezliczona liczba reportaży w ciągu ostatnich dziesięciu lat, miała ponoc opanować zasób ponad czterystu słów znaków. Podczas ostatniego pobytu w laboratorium Lem mógł się przekonać, że Obcy dysponował znacznie obszerniejszym słownikiem, chociaż jego wypowiedzi były bardzo prymitywne. W laboratorium Yarbeck Lem miał okazję zobaczyć, jak zamknięty w obszernej klatce, stworzony przez człowieka potwór, wymienia z uczonymi serie skomplikowanych znaków dłoni. Stojący obok asystent szeptem tłumaczył mu znaczenie każdego z nich.

Obcy dawał wyraz zacieklej nienawiści do wszystkiego i wszystkich, często przerywał dialog z Yarbeck, ruszał biegiem dokoła klatki i tłukał rękami w stalowe prety, z głośnym jazgotem wyladowywał swą dziką, niepohamowaną złość. Lem obserwował te sceny ze strachem i odrazą, ogarnął go jednak zarazem przejmujący smutek połączony z bolesnym współczuciem, gdy uzmysłowił sobie sytuację Obcego: do końca życia skazany na klatkę wybryk pogwałconej przez człowieka natury, samotny jak nikt inny na świecie, bardziej nawet niż pies Weatherby'ego. Przeżył to bardzo głęboko; do dziś pamiętał dokładnie niemal każde zdanie "wypowiedziane" przez Yarbeck i Obcego. Przypominał mu się stosowny fragment niesamowitej rozmowy:

W pewnym momencie Obcy przekazał:

Wyrwę ci oczy.

Chcesz mi wyrwać oczy? - zapytała Yarbeck.

Wszystkim powyrywam oczy.

Dlaczego?

Żeby mnie nie widzieli.

Dlaczego nie chcesz, aby na ciebie patrzyli?

Brzydki.

Mylisz, że jesteś brzydki?

Bardzo brzydki.

Skąd ci to przyszło do głowy?

Od ludzi.

Jakich ludzi?

Wszystkich, którzy mnie widza pierwszy raz.

Tak jak ten mężczyzna? - zapytała Yarbeck, wskazując Lema.

Tak. Wszyscy myślą, że brzydki. Nienawidza.

Nikt cie nie nienawidzi.

Wszyscy.

Nikt ci nawet nie powiedział, że jesteś brzydki. Skąd wiesz, co ludzie myślą?

Wiem. Skąd wiesz?

Wiem, wiem, wiem.

Pomknął po obwodzie klatki z dzikim wyciem, po czym zatrzymał się na wprost Yarbeck.

Sobie też wyrwe oczy.

I nie będziesz musiał na siebie patrzeć?

Nie będę musiał patrzeć na patrzących na mnie ludzi -

zasygnalizowało stworzenie, a Lemowi zrobiło się go bardzo żal, chociaż żal ten w niczym nie zmniejszył jego strachu.

Teraz, w tę gorącą czerwcową noc, powtórzył Waltowi Gainesowi tamten dialog. Szeryf zadrzał.

-Jezu - westchnął Cliff Soames. - On nienawidzi samego siebie, swej odmienności, więc tym bardziej nienawidzi swoich stworców.

-Teraz, kiedy mi o tym opowiedziałeś, dziwię się, że nikt z was nie rozumie, dlaczego Obcy tak gwałtownie nienawidzi psa - dodał Walt. - To nieszczęśliwe stworzenie i retriever są jedynymi dziećmi Projektu Francisa. Pies jest tym ukochanym dzieckiem, które się zawsze faworyzuje, którym rodzice się szczyca, a Obcy tym, które woleliby trzymać w zamkniętej bezpiecznie piwnicy. Obcy wiedział o tym doskonale. Nic więc dziwnego, że wściekał się na psa, nienawidził go. Przez cały czas, w każdej minucie, przez wszystkie dni tłumił w sobie tę wściekłość i nienawist.

-Oczywiście - przytaknął Lem - masz rację. Oczywiście.

-Zrozumiałem teraz również, czemu Obcy rozbil lustro w łazienkach na piętrze domu, w którym zginał Teel Porter - powiedział Walt. - To stworzenie nie mogło po prostu zniesć własnego widoku.

W oddali rozległ się ledwo słyszalny krzyk, krzyk istoty, do której powstania Bog nie przyłożył ręki.

## VII

### 1

Przez pozostałą część czerwca Nora trochę malowała, spędzała mnóstwo czasu z Travisem, a także usiłowała nauczyć Einsteina czytać. Ani ona, ani Travis nie byli pewni, czy pies, choć bardzo mądry, zdoła posiadać taką umiejętność, uznali jednak, że warto spróbować. Skoro bowiem rozumiał angielską mowę, a wyglądało na to, że tak

jest w istocie, można było przypuszczać, iż da sobie radę również ze słowem pisanym i opanuje sztukę czytania.

Oczywiście, nie mieli całkowitej pewności co do tego, czy Einstein rzeczywiście rozumie po angielsku, mimo że udzielał trafnych i wyraźnych odpowiedzi. Istniało, znikome w istocie, prawdopodobieństwo, że wcale nie odbierał dokładnego znaczenia wypowiedzianych do niego słów, lecz wykorzystując pewne zdolności telepatyczne, jakimi był obdarzony, odczytywał powstające w umysłach ludzi, towarzyszące słowom obrazy.

-Osobiscie nie wierze w cos takiego - stwierdzil Travis ktoregos popoludnia, gdy wraz z Nora siedzieli na patiu w jego domu, popijajac schlodzone wino i przypatrujacz sie igraszkom Einsteina dokazujacego pod prysznicem przenosnego zraszacz. - Moze zreszta dlatego, ze nie chce w to wierzyc. Nie moge pogodzic sie z mysla, ze jest rownie inteligentny jak ja, a w dodatku posiada jeszcze zdolnosci telepatyczne. Jezeli byloby to istotnie prawda, powinienem moze nosic obroze i chodzic za nim na smyczy!

Uznali, że test z językiem hiszpańskim powinien wykazać, czy retriever obdarzony jest choćby w minimalnym stopniu umiejętnością czytania w myślach.

W szkole Travis przez trzy lata uczył się hiszpańskiego. Później, wybrawszy karierę wojskową, zaciągnął się do elitarnego Oddziału Delta, gdzie musiał pogłębiać znajomość tego języka. Dowództwo uważało bowiem, że wobec komplikującej się coraz bardziej sytuacji politycznej w Ameryce Środkowej i Południowej należy oczekiwać, iż Delta coraz częściej będzie musiała brać udział w antyterrorystycznych operacjach na terenie krajów hiszpańskojęzycznych. Co prawda, nie służył już w Delcie od wielu lat, ponieważ jednak utrzymywał kontakt z wieloma Kalifornijczykami posługującymi się na co dzień językiem Cervantesa, nadal mówił po hiszpańsku w miarę płynnie.

Kiedy zaczął zadawać Einsteinowi pytania i wydawać mu polecenia w języku hiszpańskim, retriever przyglądał mu się z głupią miną i machał ogonem bez żadnego sensu. Gdy mimo takiej reakcji Travis nadal przemawiał do niego w tym języku, pies przekrecił głowę i prychnął, jakby chciał się upewnić, czy przypadkiem nie robią sobie z niego żartów. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby potrafił odbierać powstające w umyśle mówiącego obrazy, rozumiałby ich znaczenie bez względu na język, któremu towarzyszyły.

-Nie potrafi czytać w myślach - orzekł Travis. - Dzięki Bogu, jego geniusz ma swoje granice!

Każdego dnia Nora siadała na podłodze w salonie Trávisa lub też na patiu, zapoznawała Einsteina z alfabetem i próbowała mu wyjaśnić, w jaki sposób z poszczególnych liter buduje się wyrazy oraz jak z kolei wyrazy te mają się do znanych mu już słów mówionych. Niekiedy, chcąc dać Norze nieco wytchnienia, lekcje prowadził Travis, jednak najczęściej siedział obok pogrążony w lekturze, ponieważ, jak twierdził, miał zbyt mało cierpliwości, by móc pełnić rolę nauczyciela.

Wykorzystując kolonotatnik sporządziła dla psa specjalny elementarz. Na wszystkich nieparzystych stronicach brulionu nakleiła wycięta z magazynu fotografie, na sąsiednich zaś, parzystych, wypisała drukowanymi literami nazwy ukazanych na obrazku przedmiotów: DRZEWO, SAMOCHOD, DOM, MEZCZYŻNA, KOBIETA, KRZESŁO... Einstein siedział koło niej i z uwagą wpatrywał się w elementarz, ona zaś wskazywała najpierw na zdjęcie, potem na zapisany wyraz i kilkakrotnie głośno go odczytywała.

W ostatnim dniu czerwca Nora rozłożyła na podłodze kilkadziesiąt nie podpisanych fotografii.

-Zrobimy sobie kolejny test - powiedziała do Einsteina. - Zobaczymy, czy tym razem poradzisz sobie lepiej niż w poniedziałek.

Einstein siedział wyprostowany, z wypchniętą do przodu piersią i wzniesioną wysoko głową, jakby był pewien, że poradzi sobie z tym

zadaniem.

Obserwując z wysokości fotela ich przygotowania Travis powiedział: - Jeśli nie zdasz, kudłata mordo, przehandlujemy cię na pudła, który umie przewracać się na grzbiet i udawać nieżywego albo grzecznie prosić o kolację.

Nora z zadowoleniem stwierdziła, że Einstein zupełnie zignorował słowa Travisa.

-Nie czas na żarty - upomniwała go surowo.

-Juz bede grzeczny, pani profesor - obiecał Travis.

Dziewczyna uniosła do góry kartkę, na której wypisany był wyraz DRZEWO. Retriever bez wahania podszedł do fotografii sosny i wskazał ją dotknawszy nosem. Kiedy podniosła kartkę z napisem SAMOCHOD, położył łapę na wizerunku samochodu, przy wyrazie DOM zaś obwachał reprodukcję ukazującą kolonialną rezydencję. Sprawdzili w ten sposób około pięćdziesięciu słów i po raz pierwszy pies połączył bezbłędnie wszystkie wypisane wyrazy z odpowiadającymi im obrazkami. Nora była zachwycona jego postępami, a sam Einstein również nie posiadał się z radości i bez przerwy wymachiwał ogonem.

-No cóż, Einstein, i tak upłynie jeszcze mnóstwo czasu, zanim zaczniesz czytać Prousta - powiedział Travis.

Rozdrażniona ironicznymi uwagami, jakie Travis pozwalał sobie wypowiadać pod adresem jej ucznia, Nora wykrzyknęła:

-Przecież on jest wspaniały! Cudowny. Nie możesz od niego wymagać, by w ciągu nocy nauczył się czytać na poziomie szkoły średniej. I tak uczy się szybciej niż jakiegokolwiek dziecko.

-Doprawdy?

-Doprawdy! O wiele szybciej.

-No, skoro tak, to chyba zasługuje na pare ciastek.

Einstein natychmiast wybiegł do kuchni po obiecane pudełko psich herbatników.

## 2

Nadeszło lato i Travis zaczął odczuwać coraz większy podziw dla dydaktycznych osiągnięć Nory. W połowie lipca zastąpili zrobiony domowym sposobem elementarz ilustrowanymi książkami dla dzieci, których autorami byli, między innymi: dr Seuss, Maurice Sendak, Phil Parks, Susi Bohdal, Sue Dreamer, Mercer Mayer. Einstein bardzo lubił wszystkie bajeczki, choć szczególnie gustował w utworach Parksa oraz - z powodów, których ani Nora, ani Travis nie zdolali dociec - w czarujących opowiastkach o Zabce i Ropusze piora Arnolda Lobela. Przynieśli do domu z miejskiej biblioteki całe narecze książek dla dzieci i dodali do tego niemal taką samą liczbę książeczek zakupionych w księgarni.

Początkowo Nora czytała na głos, wskazując palcem każdy wypowiedziany wyraz, a pochylony nad książką Einstein w skupieniu śledził jej ruchy. Po jakimś czasie zrezygnowała z głośnego czytania. Trzymała po prostu otwartą książkę przed nosem psa i przewracała kartkę, gdy cichym piskiem dał jej znać, że uporał się już z kolejną porcją tekstu.

Gorliwość, z jaką Einstein przesiadywał całymi godzinami nad książkami, zdawała się świadczyć o tym, iż rzeczywiście czytał, a nie ograniczał się tylko do oglądania kolorowych obrazków. Mimo to Nora postanowiła sprawdzić, w jakim stopniu przyswoił sobie treść paru utworów i przygotowała jeszcze jeden test.

Kiedy Einstein skończył Cały rok z Zabka i Ropucha, Nora zamknęła książkę i powiedziała:

-No dobrze. A teraz odpowiedz mi na kilka pytań. Wszyscy troje znajdowali się w kuchni; Travis szykował na obiad casserole z serem i ziemniakami, a Nora wraz z Einsteinem siedzieli na krzesłach przy kuchennym stole. Travis oderwał się na chwilę od gotowania, ciekaw, jak pies poradzi sobie z egzaminem. Nora powiedziała:

-Kiedy Zabka przyszła pewnego zimowego dnia w odwiedziny do Ropuchy, Ropucha leżała w łozku i nie chciała wyjść na dwór. Czy to prawda?

Einstein musiał przesunąć się nieco na krzesło, by oswobodzić ogon, po czym zwałowo nim zamierdał. Tak.

-Ale w końcu Zabka wyciągnęła Ropuchę na podworko i razem poszły na łyżwy.

Jedno szczeknięcie. Nie.

-Wybrały się na sanki - podsunęła Nora. Tak.

-Bardzo dobrze. Jeszcze w tym samym roku, na Boże Narodzenie, Zabka dała Ropusze prezent. Czy to był sweter?

Nie.

-Nowe sanki? Nie.

-Zegar na kominek? Tak, tak, tak.

-Doskonale! - ucieszyła się Nora. - Co sobie poczytamy teraz? Może to. Fantastyczny pan Fox.

Szczesliwy Einstein pomachał ogonem.

Travis z chęcią odegrałby bardziej aktywną rolę w tym procesie edukacji czworonoga, widząc jednak, jak korzystnie wpływa na Nore intensywna praca z Einsteinem, starał się jej nie przeszkadzać. Zamiast tego grał czasami rolę zrzędy i podwalał sens uczenia psa,



dowcipkował na temat jego postępów czy doboru lektur. Te niewinne przytyki miały ten skutek, że Nora zdwoiła wysiłki i spędzała z psem jeszcze więcej czasu niż poprzednio, byle tylko udowodnić, że Travis jest w błędzie. Einstein ani razu nie zareagował na kierowane pod jego adresem drwiny. Travis podejrzewał, iż powodem, dla którego pies okazywał mu taką wyrozumiałość, było to, że rozumiał prowadzone przez niego drobne psychologiczne gierki. Te lekcje z Einsteinem sprawiły, że Nora dosłownie rozkwitła, choć dla czego tak się stało, trudno byłoby powiedzieć. Nigdy dotychczas z nikim - nawet z Travisem czy ciotką Violet - nie utrzymywała tak bliskich i stałych kontaktów i być może sam ów intensywny proces porozumiewania się osmielił ją do wyjścia z jej skorupy. A może istotne znaczenie miała tu szczególna satysfakcja, jaką jej sprawił fakt, że nauczyła psa sztuki czytania. Należała z natury do osób, które zawsze wolały dawać niż brać. Sprawiało jej radość, gdy mogła podzielić się czymś z innymi, a ponieważ całe dotychczasowe życie spędziła w samotności, nie miała wielu okazji, by zaspokoić tę wewnętrzną potrzebę. Teraz wreszcie trafiła się odpowiednia sposobność, toteż nie szczędziła ani czasu, ani energii, a własna szczodrość była dla niej źródłem wielkiego zadowolenia.

Travis podejrzewał również, że w jej zachowaniu wobec retrievera uwidoczniły się naturalne macierzyńskie predyspozycje Nory. Dawała nieustannie dowody właściwej dobrym matkom ogromnej cierpliwości, często też przemawiała do Einsteina tak czule i serdecznie, iż można było pomyśleć, że zwraca się do ukochanego dziecka.

Jakakolwiek by była tego przyczyna, dzięki pracy z Einsteinem Nora stała się spokojniejsza i bardziej odpoczona. Zamiast ciemnych, niemodnych sukienek zaczęła nosić białe spodnie, kolorowe, letnie bluzki, dzinsy i sportowe podkoszulki, co odmłodziło ją przynajmniej o dziesięć lat. Ponownie odwiedziła fryzjera, lecz tym razem powstrzymała się od niszczenia efektów jego pracy. Częściej się teraz śmiała, a jej śmiech brzmiał coraz radośniej. Rozmawiając z Travisem patrzyła mu prosto w oczy i tylko z rzadka spuszczała wstydliwie wzrok, co jeszcze niedawno było jej stałym zwyczajem. Znacznie

swobodniej dotykala go, a nawet obejmowala. Polubila pieszczoty i bez oporow oddawala pocalunki, choc w znacznej mierze nadal przypominaly one niepewne proby zauroczonych nastolatkow.

Czternastego lipca Nora otrzymala wiadomosc, ktora jeszcze bardziej poprawila jej samopoczucie. Zadzwonili do niej z Biura Adwokata Okregowego w Santa Barbara i powiedzieli, ze nie bedzie musiala wystepowac w sadzie, by zlozyc zeznania przeciwko Arthurowi Streckowi. Liczac sie z faktem, ze jest juz notowany za podobne przestepstwa, Streck zmienil linie obrony, przestal upierac sie przy swej calkowitej niewinnosci i twierdzic, ze zarzuty usilowania gwaltu, napasci, wlamania i wtargniecia sa bezpodstawne. Polecil swemu adwokatowi, by ten poszedl na kompromis z Adwokatem Okregowym. W rezultacie oddalono wszystkie punkty oskarzenia z wyjatkiem napasci. Strecka skazano na trzy lata pozbawienia wolnosci z zastrzezeniem, iz moze zostac zwolniony warunkowo dopiero po spedzeniu dwoch lat w wiezieniu. Nora bardzo sie tego procesu bala. Nagle okazalo sie, ze nie musi w nim uczestniczyc. Urzadzili sobie z tej okazji mala uroczystosc i po raz pierwszy w zyciu lekko sie wstawila.

Jeszcze tego samego dnia, gdy Travis przyniosl do domu zapas nowych ksiazek, Einstein odkryl istnienie obrazkowych historyjek z Myszka Miki, a takze innych komiksow i byl z tego powodu nie mniej szczesliwy niz Nora swietujaca zakonczenie sprawy Strecka. Fascynacja czworonoga Myszka Miki, Donaldem i cala reszta paczki Disneya nie dawala sie na razie wyjasnic, byla jednak faktem bezspornym. Einstein bez przerwy machal ogonem i w dowod wdziecznosci oslinil Travisa od, stop do glow.

Swiat przypominalby kraine z basni, gdyby nie retriever, ktory w srodku nocy przemykal od okna do okna, wpatrujac sie w ciemnosci z wyraznym lekiem.

W czwartek rano, piętnastego lipca, niemal w szesc tygodni po zaboju w Bordeaux Ridge, w dwa miesiace potem, jak pies i Obcy uciekli z Banodyne, Lemuel Johnson siedzial samotnie w swoim biurze w Santa Ana na najwyzszym pietrze rzadowego budynku, stanowiacego siedzibe wladz okregu Orange County. Z okna widzial gesta od zanieczyszczen mgielke rozciagajaca sie ponad zachodnia czescia okregu. Pod taka poduszka temperatura dochodzila do piecdziesieciu pieciu stopni Celsjusza. Dzień miał barwę żółci, co doskonale pasowało do jego kwasnego nastroju. Obowiązki służbowe Lema nie ograniczały się do poszukiwania uciekinierów z laboratorium, lecz sprawa ta nie dawała mu spokoju także i wtedy, gdy pracował nad czymś innym. Nawet wówczas, gdy leżał już noca w swym łóżku, jego myśli krążyły uporcie wokół tych samych związanych z Banodyne problemów, toteż ostatnio sypiał zaledwie po cztery do pięciu godzin na dobę. Nigdy nie umiał pogodzić się z porażką.

Nie, to za słabo powiedziane: pragnienie, by nigdy nie doznać porażki, leki przed nią były jego obsesja. Ojciec Lema, który zaczynał życie jako niedziedzic, a doszedł do dobrze prosperującej firmy, zaaszczepił Lemowi wręcz mistyczna wiarę w konieczność odnoszenia sukcesów w realizacji wszystkich wytkniętych sobie celów. "Nieważne, jak wiele już osiągnąłeś" - często powtarzał ojciec. "Życie w każdej chwili może cię zniszczyć, jeśli nie będziesz dostatecznie pracowity. Czarnemu jest jeszcze trudniej, Lem. Sukces czarnego przypomina rozpiętą nad Wielkim Kanionem linę. Jest się naprawdę wysoko, ma się wspaniałe uczucie, lecz jeśli popełnisz choćby najdrobniejszy błąd, spadniesz w głęboką na mile otchłan. Otchłan. Bo porażka oznacza ubóstwo. A w oczach wielu ludzi, nawet tych wykształconych, biedny, przegrany czarny w ogóle nie jest człowiekiem. Jest tylko czarnuchem". - Właśnie wtedy, jeden jedyny raz ojciec użył tego zniechęcającego słowa. Lem wzrastał w przekonaniu, że każdy osiągnięty przez niego sukces jest zaledwie niepewnym występnym na skalnej ścianie życia, skąd w każdej chwili mogą go zdmuchnąć przeciwnie wiatry, i że musi iść dalej, by dotrzeć do szerszej, bezpieczniejszej polki.

Zle sypial, stracil apetyt. Po kazdym posilku cierpial na niestrawnosc. Gre w brydza diabli wzieci, poniewaz nie byl w stanie skupic sie na rozgrywkach; cotygodniowe spotkania z Waltem i Audrey Gainesami konczyly sie ostatnio zawsze przegrana Johnsonow.

Dobrze wiedzial, dlaczego tak mocno, wrecz obsesyjnie pragnal, by kazda prowadzona przez niego sprawa konczyta sie sukcesem, jednakze wiedza ta w najmniejszym chocby stopniu nie oslabiala trawiacej go obsesji.

Jestesmy tacy, jacy jestesmy, pomyslal, i moze potrafimy sie zmienic tylko wtedy, gdy zycie zgotuje nam jakas niespodzianke, ktora niczym uderzenie kijem do baseballu w szybke pozwoli skruszyc okowy przeszlosci.

Z ponura mina zapatrzyt sie na plonacy za oknem lipcowy dzien.

Wtedy w maju przyjal zalozenie, ze retriever mogt zostac przez kogos przygarniety, ze znalazl nowy dom. Przeciezt bylo to ladne zwierzec, a jesli na dodatek zademonstrowaloby jeszcze chocby ulamek swoich umiejetnosci, wszedzie przyjeto by je z otwartymi ramionami. Dlatego tez Lem sadzil, iz odnalezienie psa okaze sie trudniejsze niz wytropienie Obcego... Tydzien na odszukanie Obcego, obliczalt w myslach, i moze z miesiac na schwytywanie retrievera. Rozeslat informacje po wszystkich schroniskach i lecznicach dla zwierzat w Kalifornii, Newadzie i Arizonie, proszac goraco o pomoc w odnalezieniu psa. Komunikat glosil, ze zlocisty retriever zbiegl z medycznego laboratorium prowadzacego wazne badania nad rakiem. Zaginiiecie psa oznaczaloby, wedlug komunikatu, strate miliona dolarow wydanych z funduszu badawczego oraz zmarnowanie niezliczonych godzin pracy naukowcow, a ponadto mogloby w powaznym stopniu opoznic przygotowania do produkcji lekarstwa na niektore odmiany schorzen nowotworowych. Tekst komunikatu uzupelniono fotografia psa oraz informacja, ze na wewnetrznej stronie lewego ucha zwierzecia wytatuowano w laboratorium numer 33-9. Do komunikatu dolaczyl list, w ktorym prosil nie tylko o wspolprace, ale

rowniez o zachowanie dyskrecji. Co tydzien ponawial apel, wyznaczyl tez kilkudziesieciu agentow NSA, ktorzy nie robili nic innego, tylko dzwonili ustawicznie do wszystkich lecznic i schronisk dla zwierzat w trzech stanach, upewniajac sie, czy ich pracownicy pamietaja o komunikacie i o retriever ze z tatuazem.

Rownoczesnie trwaly goraczkowe poszukiwania Obcego. Bez zadnego niemal ryzyka mozna je bylo ograniczyc do nie zamieszkanych terenow, gdzyz bestia wyraźnie unikala ludzi. Nie bylo tez mowy o tym, aby ktos uznal ja za wystarczajaco mila i zabral ze soba do domu. No i wreszcie Obcy pozostawial za soba trop smierci, ktory pozwalal okreslic kierunek jego wedrowki.

Po dokonaniu morderstw w Bordeaux Ridge, na wschod od Yorba Linda, stworzenie skrylo sie wsrod nie zamieszkanych Chino Hills. Stamtad ruszylo na polnoc, przecinajac wschodnie obrzeza Los Angeles County, gdzie dalo znac o sobie dziewiatego czerwca na peryferiach na poly rolniczego Diamond Bar. Urzad do Spraw Ochrony Zwierzat w Los Angeles otrzymal od mieszkancow Diamond Bar wiele histerycznych sygnalow o atakach dzikich zwierzat na ich ulubiencow. Sporo osob zadzwonilo rowniez na policje sadzac, ze zbrodnie byly dzielem oblakanego czlowieka. W ciagu dwoch kolejnych nocy kilkadziesiat domowych zwierzat zostalo tam rozdartych na strzepy, a wyglad okaleczonych cial nie pozostawial zdaniem Lema zadnych watpliwosci co do tego, kto byl sprawca tak niezwyklej rzezi.

Po tych wydarzeniach przez ponad tydzien panowal spokoj. Dopiero osiemnastego czerwca z rana dwaj mlodzi turysci, ktorzy obozowali u podnoza Johnstone Peak, wznoszacego sie na poludniowym skraju rozleglego Angeles National Forest, doniesli o spotkaniu z czyms, co jak zgodnie utrzymywali, "pochodzilo z innego swiata". Chlopcy skryli sie wewnatrz furgonetki, ktora podrozowali, lecz istota uparcie starala sie do nich dobrac, a w pewnej chwili wytlukla nawet szybe kawalkiem skaly. Na szczescie jeden z nich mial przy sobie pistolet, otworzyl ogien do napastnika i ten zbiegl. Dziennikarze potraktowali turystow jak pare wariatow i w wieczornych serwisach informacyjnych nie

zostawili na nich suchej nitki.

Leni natomiast wierzył młodym ludziom. Odnalazł na mapie słabo zaludniony korytarz, którym Obcy mógł przedostać się z Diamond Bar w okolice Johnstone Peak: przez San Jose Hills i Bonelli Regional Park, między San Dimas a Glendora i dalej, poprzez ciągnące się na znacznej przestrzeni pustkowia. Po drodze musiał przejść przez trzy biegnące w tej okolicy szosy, jeśli jednak wedrował głęboka nocą, kiedy praktycznie zamierał wszelki ruch, mógł tego dokonać nie zauważony przez nikogo. Lem przemieścił setkę podległych mu żołnierzy z wywiadu Marine do ciągnących się wokół Johnstone Peak lasów, gdzie przebrani w cywilne stroje natychmiast podjęli poszukiwania, rozdzielając się na trzy - lub czteroosobowe grupy.

Miał nadzieję, że turyści trafili Obcego przynajmniej jednym pociskiem, lecz na miejscu, gdzie obozowali, nie odnaleziono żadnych śladów krwi.

Lem zaczął sobie pomalu zdawać sprawę z tego, że Obcy może się nie dać schwytac przez jeszcze długi czas. Leżący na północ od Los Angeles, gęsto zadrzewiony Angeles National Forest przytłaczał swoim ogromem.

-Te lasy są prawie tak rozległe jak cały stan Delaware - stwierdził Cliff Soames po zakończeniu pomiarów na przypiętej do tablicy ogłoszeń mapie. Cliff pochodził z Delaware. Na Zachodzie przebywał stosunkowo krótko i wciąż jeszcze ogarniało go zdumienie w zetknięciu z gigantycznymi rozmiarami wszystkiego, co można było spotkać w tej części kontynentu. Ponadto był młody, tchnął właściwym swemu wiekowi entuzjazmem i przejawiał niebezpieczny wręcz optymizm. Wychowywano go zupełnie inaczej niż Lenia. Chłopakowi nigdy nie przyszłoby nawet do głowy, że znajduje się w sytuacji linoskoczka, że jeden błąd może zrujnować całe jego życie. Niekiedy Lem mu zazdrościł.

Rzucił okiem na poczynione przez Cliffa obliczenia.

-Jeżeli skryje się w górach San Gabriel, pogodzi z samotnością, będzie się żył tym, co upoluje, i tylko z rzadka odwiedzać będzie mieszkających na obrzeżach rezerwatu ludzi, by wylądować na nich swoje pretensje do świata... możemy w ogóle go nie złapać.

-Nie zapominaj - powiedział Cliff - że stworzenie to bardziej niż ludzi nienawidzi psa. Chce go dopaść i ma szansę, by dopiąć celu. - Tak się nam wydaje.

-Poza tym, czy rzeczywiście zniesie życie w dziczy? Chodzi mi o to, że co prawda jest ono w pewnym stopniu dzikie, posiada jednak równocześnie inteligencję, może zbyt wysoka, by odpowiadały mu prymitywne warunki życia na tym pustkowiu.

-Być może - przyznał Lem.

-Wkrótce go odnajda albo też zrobi coś, co naprowadzi nas na jego ślad - przepowiadał Cliff.

To było osiemnastego czerwca.

Kiedy w ciągu następnych dziesięciu dni poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów, koszty akcji, w której brała udział setka ludzi, niesamowicie wzrosły. W końcu dwudziestego dziewiątego czerwca Lem podjął decyzję: zwolnił Marines i odesłał ich do macierzystych baz.

Każdego kolejnego dnia Cliff cieszył się, że znowu nic się nie wydarzyło. Chciał wierzyć, że Obcego spotkało jakieś nieszczęście, że już nie żył i że nigdy już o nim nie usłysza.

Lem z każdym dniem stawał się coraz bardziej ponury. Był przekonany, iż utracił panowanie nad sytuacją, że Obcy pojawi się wkrótce znowu i że dojdzie przy tym do niezwykle dramatycznych wydarzeń. Jego istnienie przestanie być tajemnicą. On, Lem, poniesie całkowitą klęskę.,

Jedyna okolicznoscia, ktora mogl uznac za pomyslna, bylo to, ze potwor przebywal obecnie w okregu Los Angeles, a wiec poza obszarem dzialania Walta Gainesa. Gdyby znowu byly ofiary, Walt moglby sie nawet o tym nie dowiedziec i Lem nie musialby go znowu przekonywac, by trzymal sie od tej sprawy z daleka.

W czwartek, pietnastego lipca, dokladnie w dwa miesiace po ucieczce z Banodyne, niemal w miesiac po tym, jak turysci zostali zaatakowani przez jakas pozaziemska istote albo mniejszego kuzyna Bigfoota, Lem nabral przekonania, ze wkrótce bedzie musial sie zastanowic nad wyborem nowego zawodu. To prawda, nikt nie uwazal, ze to on ponosi wine za tak niekorzystny rozwoj wypadkow. Odczuwal ciagla presje ze strony zwierzchnikow, ale podobnie dzialo sie podczas kazdego powaznego sledztwa. Ponadto, niektorzy sposrod jego przelozonych brak dalszych doniesien oceniali podobnie jak Cliff Soames. A jednak w pewnych momentach, gdy ogarnial go skrajny pesymizm, Lem widzial siebie w mundurze nocnego straznika pilnujacego domu towarowego, zdegradowanego do roli falszywego gliny z falszywa odznaka.

Siedzac za biurkiem, twarza do okna, spogladajac ponuro w zamglone, zolte powietrze goracego, letniego dnia, powiedzial glosno: - Cholerny swiat. W koncu zostalem wyszkolony do walki z popelniajacymi przestepstwa ludzmi. Skad, u diabla, mam wiedziec, co mysl zjawia z sennych koszmarow?

Ktos zapukal do drzwi, wiec obrocil sie na fotelu twarza do wejscia. Do pokoju wpadl Cliff Soames. Byl podniecony i przestraszony zarazem.

-Obcy - wysapal. - Mamy nowy slad... ale zginelo dwoch ludzi.

Przed dwudziestu laty w Wietnamie pilot smiglowca, ktorym lecial teraz Lem, nauczyl sie wszystkiego o ladowaniu i startowaniu w trudnym terenie. Pozostajac w ciaglym kontakcie radiowym z ludzmi Szeryfa Okregowego z Los Angeles na ziemi, pewnie prowadzil maszynie i bez trudu odnalazl miejsce zbrodni poslujac sie jedynie



wzrokiem i wykorzystując charakterystyczne elementy krajobrazu. Pare minut po pierwszej posadził śmigłowiec na szerszym odcinku sterczącego ponad Boulder Canyon nagiego gorskiego grzbietu w Angeles National Forest, w odległości zaledwie stu jardów od miejsca, gdzie zostały znalezione zwłoki.

Lem i Cliff wyskoczyli z helikoptera, po czym pospiesznie ruszyli w stronę gromadki policjantów i strażników leśnych. Gorący wiatr uderzył w ich twarze. Niosł ze sobą zapach wysuszonych zarosli przemieszany z wonią rozgrzanej żywicy. Tylko dzika trawa, teraz spalona lipcowym słońcem, zdolała zapuścić korzenie w tej jałowej ziemi. Niskie kępy pustynnej roślinności porastały górne krawędzie kanionu. Jego ściany opadały pionowo w dół, dolne partie oraz dno niknęły w gąszczu drzew i zielonego poszycia.

Znajdowali się zaledwie o cztery mile od Sunland, czternastu mil na północ od Hollywood i dwadzieścia mil od serca rojnego Los Angeles, a przecież można było odnieść wrażenie, że od cywilizacji dzieliły ich tysiące mil pustkowia. Ludzie szeryfa zaparkowali swoje gaziki na wyboistej, gruntowej drodze o jakieś trzy czwarte mili od miejsca, w którym stali obecnie, i resztę drogi przebyli pieszo, prowadzeni przez leśnych strażników. Lem zobaczył ich samochody z okna podchodzącego do lądowania śmigłowca. Wokół leżących na ziemi ciał zebrali się czterech zastępców szeryfa, dwóch techników z okręgowego laboratorium kryminalistyki i trzech leśników. Oni również sprawiali wrażenie zagubionych w tej głuszy.

Kiedy Lem wraz z Cliffem dotarli na miejsce, ludzie szeryfa kończyli właśnie pakować zwłoki do plastikowych worków. Nie zdążyli jeszcze pozasuwać zamków błyskawicznych, toteż Lem mógł się przekonać, że ofiarami byli mężczyzna i kobieta, oboje młodzi, ubrani jak na piesza wędrowkę. Ich ciała pokrywały liczne rany; ich oczy zniknęły.

Liczba niewinnych ofiar wzrosła do pięciu. Dreczące Lema poczucie winy znowu wzrosło. W chwilach takich jak ta żałował, że ojciec nie wychował go na osobnika pozbawionego całkowicie

odpowiedzialnosci.

Hal Bockner z biura szeryfa, wysoki i opalony, obdarzony zaskakujaco cienkim glosem, zaczal relacjonowac:

-Ze znalezionych przy zabitych dokumentach wynika, ze mezczyzna nazywal sie Sidney Tranken, lat dwadziescia osiem, mieszkal w Glendale. Cialo nosi kilkadziesiat sladow paskudnych ukaszen, sa tez szramy po pazurach. Jak pan widzial, gardlo zostalo rozdarte. Oczy...

-Tak - przerwal mu Lem, nie chcac, by tamten rozwodzil sie niepotrzebnie nad makabrycznymi szczegolami.

Ludzie z laboratorium zaciagneli zamki na okrywajacych zwloki workach. Ich zimny chrobot zawisl na chwile w goracym lipcowym powietrzu niczym lancuch lodowych sopli.

Bockner podjal swa relacje:

-Z poczatku myslalismy, ze Tranken zostal zasztyletowany przez jakiegos psychopate. Tu ciagle mamy do czynienia z roznymi ogarnietymi zadza mordy czubkami. Zamiast po ulicach miasta wlocza sie po lesie i napadaja na turystow. Tak wiec sadzilismy... ze zabito go nozem, a reszty dokonaly padlinozerne zwierzeta juz po jego smierci. Ale teraz... wcale nie jestesmy tego tacy pewni.

-Nie widze tu nigdzie sladow krwi - powiedzial z nuta zdziwienia w glosie Cliff Soames. - Powinno jej byc mnostwo.

-Zabojstwa dokonano gdzie indziej - wyjasnil Bockner, po czym wrocil do swego raportu. - Kobieta, lat dwadziescia siedem, Ruth Kasavaris, rowniez z Glendale. Ona takze zostala straszliwie pogryziona i podrapana. Jej gardlo...

Przerywajac mu raz jeszcze, Lem zapytal:

-Kiedy zostali zamordowani?

-Z tego, co dalo sie ustalic bez badan laboratoryjnych, wynika, iz najprawdopodobniej oboje zgineli wczoraj po poludniu. Jesteśmy przekonani, ze ciała przeciągnięto na grzbiet wzniesienia, aby szybciej zostały zauważone. Prowadzi tedy popularny szlak turystyczny. Ale to nie turyści ich odnaleźli. Zauważył ich pilot samolotu strażackiego odbywający rutynowy lot patrolowy. W pewnej chwili popatrzył w dół i ujrzał rozciągnięte na nagiej skale ciała.

Gorujące nad Boulder Canyon wzniesienie leżało o ponad trzydzieści mil na północny zachód od Johnstone Peak, gdzie dwójka turystów widziała Obcego osiemnastego czerwca, a więc dwadzieścia osiem dni temu. Obcy instynktownie przedzierał się na północny zachód i bez wątplenia w tym pociętym kanionami terenie musiał nadłożyć sporo drogi. Najprawdopodobniej pokonał w tym czasie jakieś szesćdziesiąt do dziewięćdziesięciu mil, co i tak dawało dzienną przeciętną wynoszącą zaledwie około trzech mil. Lem zaczął się zastanawiać, co też to stworzenie mogło robić, gdy nie wędrowało, nie spało i nie zdobywało pożywienia.

-Z pewnością zechcą panowie zobaczyć miejsce, gdzie zamordowano tych dwoje - powiedział Bockner. - Udalo się nam je znaleźć. Ciekawa jest także sama nora.

-Nora?

-Legowisko - dorzucił któryś z leśników. - Cholerne legowisko.

Ludzie szeryfa, strażnicy i technicy z laboratorium obrzucali Lema i Cliffa od chwili ich przybycia dziwnymi spojrzeniami. Lem nie był tym specjalnie zaskoczony. Władze lokalne zawsze odnosiły się do niego z pewną dozą podejrzliwości i zainteresowania, ponieważ nie były przyzwyczajone do tego, że oto pojawiał się nagle przedstawiciel potężnej agencji federalnej w rodzaju NSA i przejmował śledztwo w swoje ręce. Takie wypadki należały do rzadkości. Teraz jednak zdał sobie nagle sprawę, że zachowanie tych ludzi odbiega od tego, z jakim zazwyczaj miał do czynienia, poczuł też - po raz pierwszy - że

sie czegos boja. Znalezli cos - jakies legowisko - co dalo im podstawy do przypuszczen, iz sprawa ta byla jeszcze dziwniejsza, niz moglby na to wskazywac sam fakt nieoczekiwanego wlaczenia sie do akcji NSA.

Ubrani w garnitury, w krawatach i czystych pantoflach, ani Lem, ani Cliff nie byli przygotowani do zejścia w głąb kanionu, jednak żaden z nich nie zawahał się nawet przez chwilę, gdy jeden z lesnych strażników polecił im iść za sobą. Na gorze przy zwłokach zostało dwóch zastępców szeryfa, wszyscy technicy oraz jeden lesnik. Pozostali, ustawieni w sześciuosobową kolumnę, ruszyli w dół. Początkowo posuwali się płytkim korytem wylobionym przez gwałtowne deszcze, potem wyszli na coś, co mogło uchodzić za ścieżkę jeleni. Osiągnawszy dno kanionu, skreśli na południowy wschód i szli w tym kierunku przez jakieś pół mili. Wkrótce spoconego Lema oblepiła warstwa kurzu, a w jego skarpetki i w nogawki spodni wbilo się mnóstwo sosnowych szpilek.

-To tutaj zostali zabici - oznajmił Bockner, gdy wyszli na otoczona gęstym lasem polankę. Biała piaszczysta ziemia i pozółkła na słońcu trawa zbryzgane były rozległymi ciemnymi plamami. Krew.

-A tutaj, zaraz obok - dorzucił jeden ze strażników - znaleźliśmy to legowisko.

W ścianie kanionu otwierała się płytka jaskinia, sięgająca w głąb skały na jakieś dziesięć stop, szeroka na stop dwadzieścia. Od polanki, na której zgineli turyści, dzieliło ją najwyżej kilkanaście kroków. Wejście do jaskini miało osiem stop szerokości, lecz było dość niskie, tak że Lem przechodząc przez nie musiał schylić głowę. Wewnątrz natomiast mógł poruszać się całkowicie wyprostowany, gdyż sklepienie umykało ku gorze. Uderzył go w nozdrza nieprzyjemny zapach stęchlizny. Światło docierało do środka przez wejście, a także wydrążony przez wodę, szeroki na dwie stopy szyb w stropie, jednakże znaczna część jaskini pograżona była w półmroku. Temperatura była tutaj przynajmniej o dziesięć stopni niższa niż w położonym tuż obok kanionie.

Do jaskini oprócz Lema i Cliffa wszedł tylko Bockner. Lem czuł, że pozostali zatrzymali się na zewnątrz nie tylko dlatego, iż nie chcieli robić tłoku, lecz i dlatego, że to napelniało ich niepokojem.

Bockner zabrał ze sobą latarkę. Teraz ją zapalił i powiodł wiązką światła po przedmiotach, które chciał im pokazać, rozpraszając mrok i tworząc nowe cienie, które niczym nietoperze przemknęły po ścianach jaskini i zastygły w różnych miejscach.

W jednym kacie gruba na sześć do ośmiu cali warstwa suchej trawy tworzyła prymitywne łozko. Obok stało ocynkowane wiadro, pełne całkiem jeszcze świeżej wody z pobliskiego strumienia. Widocznie ten, kto spał na łozku, ustawił wiadro tak, by móc gasić pragnienie w środku nocy.

-On tu był - powiedział miękko Cliff.

-Tak - potwierdził Lem.

Instynkt podpowiadał mu, że była to kryjówka Obcego; pomieszczenie wciąż jeszcze jakby promieniowało jego obecnością. Wpatrywał się w wiadro, myślał równocześnie o tym, gdzie Obcy mógł je zdobyć. Zapewne po ucieczce z Banodyne przyszło mu w pewnej chwili do głowy, że musi sobie znaleźć jakieś schronienie i uświadomił sobie, iż chcąc żyć na odludziu trochę wygodniej będzie potrzebował kilku przedmiotów. Włamał się wtedy do jakiegoś stajni lub pustego domu, skąd zabrał wiadro, a także parę innych sprzętów, które teraz wydobyło z mroku światło latarki Bocknera.

Flanelowy koc w kratę na chłodniejsze dni. Sądząc z wyglądu, służył kiedyś jakiemuś koniowi. Lema zaskoczyła staranność, z jaką koc został złożony i umieszczony na wąskiej polce skalnej obok wejścia. Latarka. Stała na polce obok koca. Obcy doskonale widział w ciemnościach. Był to jeden z zasadniczych postulatów postawionych przez doktora Yarbecka: otrzymany dzięki inżynierii genetycznej wojownik musiał w nocy widzieć nie gorzej od kota. Do czego w takim razie potrzebował latarki? Chyba że... nawet nocne stworzenia czasami

lekaja sie ciemnosci.

Mysl ta poruszyła Lema. Nagle ogarnelo go wspolczucie dla tej nieszczesnej istoty, rownie glebokie jak wowczas, gdy obserwowal jej rozmowe z Yarbeck, prowadzona za pomoca niezdarnego jezyka znakow, w trakcie ktorej zakomunikowala, ze pragnie wydrzec sobie oczy, by juz nigdy wiecej nie ogladac samej siebie.

Bockner przesunal nieco promien swojej latarki, odslanjajac kilkanascie papierkow po cukierkach. Widocznie gdzies po drodze Obcy ukradl komus torebke slodyczy. Co dziwne, papierki nie byly bezladnie zmiete, lecz starannie rozprostowane lezaly rowno na podlodze pod sciana - dziesiec po czekoladkach z maslem orzechowym Reese i dziesiec po balonikach Clark. Moze Obcemu spodobaly sie jasne barwy opakowan. A moze zachowal je, by przypominaly o przyjemnosci, jaka sprawialo mu jedzenie cukierkow, gdyz z pewnoscia nie mial zbyt wielu przyjemnosci w tym w zyciu, do jakiego zostal stworzony.

W kacie najbardziej odleglym od legowiska, pograzonym calkowicie w mroku, pietrzyla sie sterta kosci. Byly to kosci malych zwierzat. Obcy musial polowac, aby utrzymac sie przy zyciu. A poniewaz nie mial czym rozpalic ognia, niczym dzikie zwierze jadal surowe mieso. Kosci skladal w jaskini zapewne w obawie, ze zostawiajac je w lesie moze zdradzic swoja kryjowke. To, iz zgromadzil je w najciemniejszym zakamarku swojej siedziby, zdawalo sie wskazywac na tkwiace w nim, wlasciwe istotom cywilizowanym, poczucie porzadku i czystosci. Lem nie mogl pozbyc sie wrazenia, ze Obcy ukryl kosci takze i dlatego, poniewaz wstydzil sie wlasnej dzikosci.

Najbardziej wzruszajaco prezentowala sie grupka przedmiotow zgromadzonych w zaglebieniu sciany powyzej barlogu z trawy. Lem szybko pojal, ze "zgromadzonych" nie bylo wlasciwym slowem. Przedmioty zostaly bowiem starannie poukladane niczym na wystawie, w sposob, w jaki zrobilaby to galeria sztuki pragnac wyeksponowac kolekcje artystycznego szkla badz zbior cennej

ceramiki z epoki Majow. Byla tam polkula z poplamionego szkla, jedno z owych swiecidelek, jakie ludzie czesto zawieszaja na scianach swoich patiow, by polyskiwaly w promieniach slonca. Polkula miala srednice czterech cali, a jej powierzchnie zdobil blekitny kwiat na bladozoltym tle. Obok szklanej ozdoby stal miedziany garnek, w ktorym do niedawna rosly prawdopodobnie kwiaty. Byc moze, oba te przedmioty pochodzily z tego samego patia. Nastepne dwa eksponaty z cala pewnoscia zostaly zabrane z wnetrza jakiegos domu; niewykluczone, ze przy tej okazji Obcy przywlaszczyl sobie rowniez torebke cukierkow; pierwszym byla para porcelanowych czerwonopiorych kardynalow, siedzacych blisko siebie na galezi, drugim kryształowy przycisk do papierow. Widocznie nawet w sercu wyhodowanego przez Yarbeck potwora znalazlo sie miejsce na poczucie piekna oraz pragnienie, by zyc nie jak dzikie zwierze, lecz istota rozumna, w otoczeniu chocby w nieznacznym stopniu przypominajacym cywilizowany swiat.

Lem ze smutkiem pomyslal o tym samotnym, udreczonym, nienawidzacym samego siebie, nie bedacym czlowiekiem, a przeciez swiadomym swego istnienia stworzeniu, powolanym do zycia przez doktor Yarbeck.

Ostatnim z ustawionych w niszy przedmiotow byla dziesiecicalowa figurka Myszki Miki, stanowiaca zarazem skarbonke.

Wspolczucie Lema wzroslo jeszcze bardziej, poniewaz wiedzial, dlaczego ten przedmiot byl dla Obcego czymys niezwykle waznym i cennym. W Banodyne przeprowadzono kiedys kilka eksperymentow majacych okreslic poziom oraz nature inteligencji obu doswiadczalnych zwierzat. Chciano uzyskac odpowiedz na pytanie, w jakim stopniu ich percepcja jest zblizona do ludzkiej. Jedno z doswiadczen polegalo na sprawdzeniu, czy pies i Obcy zdolne sa odroznic fikcje od rzeczywistosci. Przebywajacym w oddzielnych pomieszczeniach zwierzetom odtworzono kilkakrotnie tasme wideo, zmontowana z probek roznych gatunkow filmowych: fragmentow starych westernow Johna Wayne'a, urywkow "Gwiezdných wojen"

George'a Lukasa, paru najnowszych obrazow, wielu scen z rozmaitych filmow dokumentalnych i wreszcie - ze starych kreskówek z Myszka Miki. Reakcje, zarowno psa, jak i Obcego, zostaly sfilmowane, a nastepnie oba stworzenia poddano swoistym testom, chcąc stwierdzic, czy wiedza, ktore fragmenty ukazywaly wydarzenia rzeczywiste, a ktore fikcyjne. Po jakimś czasie kazde z nich nauczyl sie bezblednie rozpoznawac fikcje, przy czym, rzecz dziwna, byl jeden film, ktory bardzo chcialy uznac za prawde i ktory zgodzily sie przyjac za fikcje dopiero na samym koncu - Myszka Miki. Przygody Mikiiego i jego przyjaciol doslownie je elektryzowaly.

Po ucieczce z Banodyne Obcy musial gdzies zobaczyc te skarbonke i nie mogl bez niej odejsc, gdyz przypominala mu o jedynych radosnych chwilach, jakie przezył w laboratorium. W swietle latarki Bocknera cos zalśniło. Omal nie przeoczyli lezacego plasko za skarbonka szkiełka. Cliff wszedł na barlog i wydobył z zagłebienia w scianie blyszczacy przedmiot: trojkatny odlamek lustra o wymiarach trzy na cztery cale.

Obcy zgromadzil wszystkie te przedmioty, pomyslal Lem, bo pragnal, by to miejsce przypominalo dom. Czasami zas zapewne bral do reki wyszczerbiony kawalek lustra i wpatrywal sie w swoje odbicie, majac, byc moze, nadzieje, ze odnajdzie taki fragment wlasnej fizjonomii, ktory nie bedzie brzydki, a byc moze, probujac pogodzic sie z samym soba. Za kazdym razem spotykalo go jednak rozczarowanie. Nie moglo byc inaczej.

-Dobry Boze - wyszeptal Cliff Soames, myslac najwidoczniej o tym samym. - Biedny pieprzony sukinsyn.

Obcy wszedł w posiadanie jeszcze jednego przedmiotu - egzemplarza magazynu People z fotografia Roberta Redforda na okladce. Pazurem, ostrym odlamkiem skaly lub jakimś jeszcze innym narzedziem Obcy wy drapal Redfordowi oczy.

Czasopismo bylo poszarpane i wymiete, jak gdyby ktos przewertowal je setki razy. Bockner wyciagnal je w ich strone, zachecajac do



przejrzenia. Lem wziął magazyn do ręki i przekonał się, że oczy wszystkich ukazanych w nim ludzi zostały wydrapane, wycięte lub niezdarnie wydarte.

Konsekwencja, z jaką dokonano tych symbolicznych okaleczeń - Obcy nie oszczędził ani jednej fotografii - przejmowała chłodem.

Obcy budził wzruszenie i należało mu współczuć.

Równocześnie należało się go bac.

Piec ofiar - z rozprutymi brzuchami lub oderwanymi głowami.

O śmierci niewinnych ludzi nie wolno zapomnieć nawet na krótką chwilę. Ani miłość do Myszkki Miki, ani poczucie piękna nie mogły usprawiedliwić takiej rzezi.

Ale Jezu...

Stworzenie to zostało obdarzone inteligencją dostatecznie wysoka, aby mogło docenić znaczenie dobrodziejstwa cywilizacji, by tęsknić za akceptacją otoczenia i sensowną egzystencją. Obcego trawiła jednak zarazem żądza przemocy, instynktowne pragnienie zabijania, którego próżno by szukać w przyrodzie. Wszczepiono mu je, bo powinien stać się sprawnym zbrojcem na długiej, niewidzialnej smyczy, żywa wojenna machina. Nie miało większego znaczenia, jak długo będzie umiał żyć w spokoju i samotności w swoim kanionie; ani to, ile dni lub tygodni stawiać będzie opór morderczym instynktom. I tak nie mógł zmienić samego siebie. Pragnienie zbrodni będzie w nim stopniowo narastać, aż stanie się tak silne, że zabijanie małych zwierząt nie będzie rozładowywało napięcia i chciał nie chciał Obcy ruszy na poszukiwanie większych ofiar. Obcy mógł przeklinać własną dzikość, mógł pragnąć, by dokonała się w nim przemiana, dzięki której stałby się istotą żyjącą w harmonii z resztą świata, ale, niestety, nie był w stanie swoich pragnień zrealizować. Zaledwie przed paroma godzinami Lem zastanawiał się nad tym, jak trudno jemu samemu przychodzi zmienić wpojone przez ojca wzorce, jak trudno jest

kazdemu człowiekowi zerwać z tym, co uformowało w nim dotychczasowe życie. A jednak taka przemiana była możliwa, jeśli się miało motywację, silną wolę, no i czas. Jednakże w przypadku Obcego jakakolwiek metamorfoza nie wchodziła w ogóle w rachubę. Zabijanie miał bowiem zakodowane w genach, toteż nie było żadnej nadziei na to, że się kiedyś zmieni i zapanuje nad złymi instynktami.

-Coż to wszystko, u diabła, znaczy? - zapytał Bockner, nie potrafiąc dłużej tłumaczyć swej ciekawości.

-Może mi pan wierzyć - odparł Lem - że to nie pański interes.

-Co było w tej jaskini? - nie dawał za wygraną Bockner.

Lem tylko pokręcił głową. Łaskawym zrzadzeniem losu las, w którym zamordowano tych dwoje, stanowił własność państwa. Oznaczało to znaczne uproszczenie procedury przejęcia śledztwa przez NSA.

Cliff Soames wciąż jeszcze w zamysleniu obracał w dłoniach kawałek lustra.

Omiatając spojrzeniem po raz ostatni niesamowitą jaskinię Lem złożył w duchu uroczystą przysięgę swemu groźnemu przeciwnikowi: Kiedy cie odnajdę, nawet nie będę próbował wziąć cie żywcem. Żadnych sieci czy zastrzyków ze środkiem nasennym, jak by sobie tego życzyli uczeni i wojskowi. Zastrzele cie szybko i sprawnie, tak że nawet tego nie poczujesz.

Nie chodziło mu tylko o to, że taka metoda była najbezpieczniejsza. Postępując w ten sposób okaże Obcemu współczucie i miłosierdzie.

4

Pierwszego sierpnia Nora sprzedawała wszystkie należące do ciotki Violet meble i inne sprzęty. Zadzwoiła do człowieka handlującego antykami i używanymi meblami, a ten przyjechał, zabrał wszystko i zapłacił całkiem niezłą cenę. Po dokonaniu tej transakcji (zostawiła

sobie jedynie zastawę, srebrne sztucce i wyposażenie sypialni) miała teraz do dyspozycji mnóstwo całkowicie pustych pokoi. Dom został jakby oczyszczony, wyegzorcyzmowany. Wszelkie złe duchy przegnano stąd na zawsze i Nora czuła, że teraz stać ją będzie na dokonanie gruntownej zmiany wystroju. Doszła jednak do przekonania, iż nie chce tutaj dłużej mieszkać, więc za pośrednictwem agenta trudniącego się obrotem nieruchomości wystawiła posiadłość na sprzedaż. Zniknęły również, wszystkie bez wyjątku, jej stare stroje. Ich miejsce zajęła zupełnie nowa odzież - spodnie i spodnice, bluzki i sukienki, takie same jak te, które nosiła obecnie większość kobiet. Niekiedy doznawała jeszcze chwilami wrażenia, że w jasnych kolorach za bardzo rzuca się w oczy, jednakże dzielnie odpierała chęć nałożenia czegoś ciemniejszego.

Ciągle jeszcze brakowało jej odwagi, by wystawić swe obrazy i sprawdzić tym samym, czy są cokolwiek warte. Travis od czasu do czasu próbował nakłonić ją do tej próby czyniąc to w sposób, jego zdaniem, niezwykle subtelny, ona jednak wciąż nie była przygotowana wewnętrznie do tego, by rzucić na kowadło własne kruche ja, umożliwiając każdemu, komu przyjdzie na to ochota, uderzenie w nie młotem. Wkrótce tak uczyni, ale jeszcze nie teraz.

Czasami oglądając się w lustrze lub studiując swoje odbicie w osrebrzonej słonecznym blaskiem szybie wystawowej, dochodziła do wniosku, iż rzeczywiście jest ładna. Może nie piękna, może nie obdarzona wspaniałą olśniewającą urodą niczym jakaś gwiazda filmowa, ale w miarę ładna. Ta nowa opinia o własnym wyglądzie nie utrwaliła się w niej jeszcze na dobre, gdyż co parę dni zaskakiwała ją od nowa uroda spoglądającej na nią z lustra twarzy.

Piątego sierpnia późnym popołudniem siedzieli przy stole w kuchni Trávisa i grali w scrabble. Nora czuła się świetnie. Przed kilkoma minutami, w łazience, doznała kolejnego z owych olśnień, kiedy zerknąwszy w lustro stwierdziła, że podoba się sobie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Teraz, kiedy tak siedziała nad planszą do scrabble'a, przepelniało ją uczucie radości. Jeszcze niedawno nie

uwierzyłaby, że można być aż tak szczęśliwym. Nabrala ochoty do żartów. Zaczęła ze swoich kamieni układać nie istniejące słowa, a potem krzykliwie targowała się z Travisem, który nie chciał ich przyjąć za dobrą monetę.

-Pidżemka? - powiedział, wpatrując się w plansze i unosząc lekko brwi. - Nie ma czegoś takiego jak pidżemka.

-To rodzaj trójkątnej czapki noszonej przez drwali - odparła.

-Drwali?

-Ludzie typu Paula Bunyana.

-Drwale noszą czapki wełniane, kształtem zbliżone do czapek narciarskich, albo okrągłe, skórzane, z klapkami na uszy. - Nie mówię o tym, w czym chodzą, gdy pracują w lesie - tłumaczyła cierpliwie. - Pidżemka. Tak nazywa się czapka, którą nakładają do snu.

Rozesmiał się i pokręcił głową.

-Nie nabierasz mnie? Zachowała kamienny wyraz twarzy.

-Nie. To prawda.

-Idąc do łóżka drwale nakładają specjalne czapki?

-Tak. Pidżemki.

Myślała, że Nora może stroić z niego żarty, była czymś tak niezwykłym, że Travis prawie dał się nabrać.

-Pidżemki? Ale skąd taka nazwa?

-Poddaje się - odrzekła.

Einstein leżał na brzuchu na podłodze pogrążony w lekturze. Po zdumiewająco szybkim przejściu od dzieciennych książek z obrazkami

do literatury w rodzaju O czym szumia wierzby, przeznaczał teraz na czytanie od osmiu do dziesięciu godzin dziennie. Nie mógł się wprost nasycić lekturą. Dziesięć dni temu wyczerpała się w końcu cierpliwość Nory, która musiała przecież ciągle trzymać książki przed nosem Einsteina i na jego znak przewracać kartki. Postanowili wymyślić jakiś przyrząd, który pozwoliłby psu trzymać czytana przezeń książki przed sobą i samodzielnie przewracać strony. W firmie zaopatrującej szpitale w sprzęt medyczny natknęli się na aparat przeznaczony dla pacjentów z unieruchomionymi rękami i nogami. Aparat ten składał się z metalowego stelaża, do którego mocowało się okładki książki i napędzanych energią elektryczną sterowanych za pośrednictwem trzech guzików mechanicznych ramion, pozwalających przewracać kartki, a także utrzymywać je we właściwym położeniu. Chory mógł sterować tym aparatem za pomocą trzymanego w zębach pręta; Einstein wykorzystał w tym celu własny nos. Pies sprawiał wrażenie niezmiernie usatysfakcjonowanego tym rozwiązaniem. Teraz właśnie zaskomlał cicho, poruszony widocznie przeczytanym dopiero co fragmentem, po czym przycisnął jeden z guzików i przewrócił stronę.

Travis zdolał ułożyć słowo "ohydny", za co zebrał sporo punktów, ponieważ wykorzystał kamień o podwójnej wartości. Nora odpowiedziała "szyndykiem", którego wartość była jeszcze wyższa.

-Szyndyk? - w głosie Trávisa brzmiało powatpiwanie.

-To ulubione danie kuchni jugosłowiańskiej.

-Doprawdy?

-Tak. Potrawę przyrządza się z szynki i indyka, stąd właśnie jej nazwa... - urwała i parsknęła śmiechem. Travis wpatrywał się w nią z rozwartymi ze zdumienia ustami.

-Nabierasz mnie. Ty mnie nabierasz! Noro Devon, co się z tobą dzieje? Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, powiedziałem sobie: "Oto najbardziej ponura, najpoważniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem".

-I najbardziej stuknieta.

-Nie, tego nie pomyslałem.

-Tak, stuknieta - obstawala przy swoim. - Myslales, ze jestem stuknieta.

-A wiec w porzadku, myslalem, ze jestes tak stuknieta, ze w domu masz drzwi bez klamek.

Szczerzac zeby w uśmiechu odrzekla:

-Gdybysmy z Violet mieszkaly na poludniu, bylybysmy jak zywcem wyjete z powiesci Faulknera, prawda?

-Zbyt niesamowite nawet jak na Faulknera. Ale popatrz na siebie dzis! Zmyslasz wyrazy, robisz glupie zarty, a ja daje sie na to nabrac, bo nigdy bym nie pomyslal, ze Nora Devon jest do czegos takiego zdolna. W ciagu tych paru miesiecy bardzo sie zmienilas.

-Dzieki tobie.

-Moze bardziej dzieki Einsteinowi niz mnie.

-Nie. Przede wszystkim dzieki tobie - powiedziala i naraz owladnela nia dawna, paralizujaca niesmialosc. Spuscila wzrok na swoje pudelko z kamieniami do scrabble'a, po czym cicho dokonczyla: - Przede wszystkim to twoja zasluga. Nigdy nie zetknelabym sie z Einsteinem, gdybym nie spotkala ciebie. A ty... troszczyles sie o mnie... martwiles... dostrzegles we mnie cos, czego ja sama nie widzialam. Przeobraziles mnie.

-Nie - zaprotestowal. - Przypisujesz mi zbyt wiele. Ty nie musialas sie przeobrazac. Ta Nora zawsze tam byla, wewnatrz tamtej. Tak jak kwiat ukryty w malym nasionku. Potrzebna ci byla tylko zacheta... zeby zaczela rosnac i kwitnac.

Nie była w stanie na niego spojrzeć. Miała wrażenie, że ktoś położył na jej karku ciężki kamień, zmuszając ją w ten sposób do pochylenia głowy. Zaczzerwieniła się, lecz znalazła w sobie dość odwagi, by powiedzieć:

-To tak trudno rozkwitnąć... zmienić się. Nawet wówczas, kiedy chcesz tej zmiany, kiedy pragniesz jej najbardziej ze wszystkiego na świecie. Samo pragnienie nie wystarczy. Ani rozpacz. Nie można tego dokonać bez... miłości. - Jej głos zniżył się do szeptu, nie była w stanie mówić głośniej. - Miłość jest niczym woda i słońce, dzięki którym ziarno kiełkuje. - Noro, popatrz na mnie.

Kamień na jej karku musiał ważyć co najmniej ze sto funtów, nie tysiąc.

-Noro?

Teraz ważył już tonę.

-Noro, ja też cie kocham.

Zdobywszy się na ogromny wysiłek, zdołała jakoś unieść głowę. Spojrzała na Trávisa. Jego brązowe oczy, tak ciemne, że aż niemal czarne, pełne były ciepła, czułości. I były piękne. Kochała te oczy. Kochała kształt jego orlego nosa, kochała każdą cząstkę tej szczupłej, ascetycznej twarzy.

-Powinienem powiedzieć ci to pierwszy. Byłoby mi łatwiej niż tobie. Powinienem to zrobić przed wieloma dniami, ba, przed tygodniami: Noro, na Boga, kocham cie. Nie powiedziałem tego, ponieważ się bałem. Za każdym razem, gdy obdarzałem kogoś miłością, zaraz go traciłem. Myślałem, że może jednak tym razem będzie inaczej. Może ty odmienisz moje życie, tak jak ja odmieniłem twoje, i może tym razem dopisze mi szczęście.

Serce tłukło jej w piersi jak oszalałe. Z trudem oddychając, powiedziała:

-Kocham cie.

-Czy wyjdiesz za mnie?

Pytanie zaskoczyło ją. Nie wiedziała dokładnie, co może teraz nastąpić, coś takiego jednak nie przyszłoby jej nawet do głowy. Już to, że wyznał jej miłość, która mogła mu odwzajemnić, było czymś wystarczająco cudownym, by zapewnić jej szczęście na wiele tygodni czy nawet miesięcy. Sądziła, że będzie miała czas na oswojenie się z tą miłością, że zdąży przyjrzeć się jej dokładnie, tak jakby była ona jakimś wielkim tajemniczym gmachem, który niczym świeżo odkryta piramida należało najpierw obejrzeć dokładnie ze wszystkich stron, zanim wkroczy się do jej tajemniczego wnętrza.

-Czy wyjdiesz za mnie? - powtórzył.

Wszystko to działo się o wiele za szybko i poczuła się oszłamona, zakreśliło się jej w głowie tak, jakby siedziała nie na kuchennym krześle, lecz na wirującej w zawrotnym tempie karuzeli. Ogarnął ją lek, chciała poprosić Trávisa, by się tak nie spieszył, chciała mu wytłumaczyć, że przecież mają mnóstwo czasu na przemyślenie następnego kroku, nim go podejmą, lecz zamiast tego, dziwił się samej sobie, odrzekła:

-Tak. Och, tak.

Wyciągnął ręce i ujął jej obie dłonie. Rozplakała się, lecz były to dobre łzy.

Choć pogrążony w lekturze, Einstein zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się w pokoju. Podszedł do stołu i popiskując z radości zaczął ich obwachiwać oraz ocierać się o ich nogi.

-W następnym tygodniu? - zapytał Travis.

-Ślub? Ale nie zdążymy załatwić pozwolen i całej tej reszty.



-W Las Vegas zdazymy. Zadzwoń, żeby przygotowali dla nas jedną ze ślubnych kaplic. W przyszłym tygodniu pojedziemy tam i weźmiemy ślub.

Śmiejąc się przez łzy powiedziała:

-No dobrze.

-Znakomicie - ucieszył się Travis.

Einstein gorliwie zamachał ogonem. Tak, tak, tak, tak, tak.

5

We wtorek, czwartego sierpnia, na zlecenie Rodziny Tetragna z San Francisco, Vince Nasco załatwił małego gnojka Lou Pantangele. Pantangela zgodził się współpracować z władzami i we wrześniu miał zeznawać w sądzie przeciwko członkom organizacji Tetragna. Johnny "Drucik" Santini, komputerowy przestępca pracujący na potrzeby mafii, dotarł do federalnych zbiorów danych komputerowych i namierzył tego dupka. Pantangela mieszkał pod ochroną dwóch federalnych agentów w wyposażonym we wszelkie zabezpieczenia domu w Redondo Beach, na południe od Los Angeles. Po złożeniu zeznań miał otrzymać nową tożsamość i zacząć nowe życie w Connecticut, ale oczywiście nie zamierzano dopuścić, by doczekał tej chwili.

Ponieważ zanosilo się na to, że aby wykonać powierzona mu robota, Vince będzie musiał zgładzić jednego, a może i obu agentów, ludzie Tetragni zaoferowali mu bardzo wysoką cenę - szesćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie wiedzieli przecież, iż okoliczność, że będzie musiał zabić więcej niż jednego człowieka, stanowiła dla Vince'a dodatkową premię; jego zadanie stawalo się przez to bardziej - a nie mniej - atrakcyjne.

Sledził Pantangele prawie przez tydzień, korzystając codziennie z innego samochodu, tak żeby nie sciagnąć na siebie uwagi pilnujących

zdrajcy gliniarzy. Owi agenci nie pozwalali swemu podopiecznemu wychodzic zbyt czesto poza dom, ale i tak byli bardziej pewni siebie niz powinni, i trzy lub cztery razy w tygodniu zabierali go na pozny lunch do polozonej o cztery przecznice dalej niewielkiej trattorii. Zmienili wyglad zewnetrzny Pantangeli tak dalece, jak tylko to bylo mozliwe. Jego wlosy, kiedys dlugie, czarne i geste, teraz byly krotko przyciete i mialy barwe jasnobrazowa. Nosil przedtem wasy - polecono mu je zgolic. Mial szescdziesiat funtow nadwagi, ale po dwoch miesiacach przebywania w ukryciu pod opieka agentow stracil czterdziestci funtow. Mimo to Vince i tak go rozpoznal.

W srode, czwartego sierpnia, agenci zawiezli Pantangele do trattorii. Zjawili sie tam jak zwykle o pierwszej, a w dziesiec minut pozniej wszedl do lokalu Vince.

Restauracja miala tylko osiem ustawionych w rzedzie stolikow oraz po szesc odgrodzonych od siebie przepierzeniami loz pod kazda z dluzszych scian. Knajpka sprawiala wrazenie dosc czystej i przyzwoitej, lecz, jak na gust Vince'a, za duzo bylo w niej wloskiego kiczu: obrusy w czerwono-biala krata, krzykliwe freski ukazujace rzymskie ruiny, puste butelki po winie sluzace za swieczniki, zwisajace z podczepionej do sufitu siatki tysiace kisci plastikowych winogron, ktore mialy stwarzac gosciom zludzenie, ze znajduja sie w tawernie pod golym niebem. Poniewaz Kalifornijczycy jadaja obiad wczesnie - w kazdym razie wczesnie jak na mieszkancow Wschodniego Wybrzeza - odpowiednio wczesniej spozywac musza takze i lunch. Okolo pierwszej liczba gosci zaczela sie pomalu zmniejszac. Wszystko wskazywalo na to, ze do drugiej na sali pozostana jedynie Pantangela, jego dwaj goryle oraz Vince, co stwarzalo doskonale warunki do wykonania zadania.

Trattoria byla zbyt mala, by oplacalo sie zatrudniac hostesse w porze lunchu; napisy informowaly wchodzacych, ze powinni sami zajmowac miejsca. Vince przeszedl przez sale, minal stolik Pantangeli i wszedl do najblizszej, polozonej za nim lozy.

Vince długo się zastanawiał nad doбором odpowiedniego stroju. W końcu wybrał sandały ze sznurka, czerwone, bawełniane szorty i białą koszulkę z krótkim rękawem, która zdobiły błękitne fale, żółte słońce oraz słowa KALIFORNIJSKI CHŁOPAK. Uzupełniały ten zestaw lustrzane okulary przeciwsłoneczne i na wprost otwarta płocienna torba plażowa opatrzona dużym napisem MOJE SMIECI. Gdyby ktoś rzucił okiem do jej środka, ujrzałby ściśle zwinięty ręcznik, buteleczki ze smietanką do opalania, małe radyjko oraz szczotkę do włosów, ale nie dostrzegłby zaopatrzonego w tłumik automatycznego pistoletu Uzi z magazynkiem na czterdzieści naboji, ukrytego pod spodem. W swym tak starannie dobranym stroju, do tego mocno opalony, wyglądał dokładnie tak, jak chciał wyglądać: na świetnie trzymającego się, ale niemłodego już surfera, leniwego, niezaradnego, postrzelonego wiatroglowa, który codziennie smażył się na plaży, udając młodzieniaszka.

Spojrzał tylko przelotnie na Pantangele i jego goryli, zauważył jednak, że przyglądali mu się badawczo przez chwilę, po czym, uznawszy go za nieszkodliwego, wrócili do przerwanej rozmowy. Doskonale.

Spoza wysokich ścianek kabiny nie widział Pantangeli, słyszał jednak uwagi, które ten gnojek wymieniał od czasu do czasu z policjantami. Rozmowa dotyczyła niemal wyłącznie baseballu oraz kobiet.

Mając za sobą tydzień obserwacji Vince wiedział, że Pantangela nie wychodził z trattorii przed drugą trzydziści. Zawsze zamawiał pełny posiłek złożony z salatkę, dania głównego i deseru. Vince miał więc dość czasu, by móc się uraczyć salatką i linguini z sosem z mięczaków.

Podeszła kelnerka. Miała około dwudziestu lat, jasne włosy, była ładna i opalona nie gorzej niż Vince. W jej wyglądzie było coś z hipą, a zachowywała się jak dziewczyna z plaży. Zaczęła się do niego zalecać, nim zdążył złożyć zamówienie. Vince pomyślał, że była to jedna z owych piaskowych nimf o mózgu wyprazonym przez słońce nie gorzej niż ciało. Prawdopodobnie spędzała na plaży każdy letni

wieczor, cpajac wszelkie swinstwo, rozkladajac nogi dla kazdego, kto wzbudzil w niej chocby odrobine zainteresowania. A poniewaz interesowali ja prawie wszyscy, to mimo zdrowego wygladu musiala byc z pewnoscia zarazona. Juz na sama mysl o dotknieciu jej doznawal mdlosci, musial jednak grac narzucona sobie role, totez flirtowal z nia zawziecie i staral sie wygladac tak, jakby z najwyzszym trudem powstrzymywal sline, ciekna mu na mysl o jej nagim ciele skrecajacym sie pod nim na piasku.

Piec po drugiej Vince skonczyl lunch. W lokalu nie bylo juz nikogo oprócz Pantangeli i jego aniolow strozow. Jedna z kelnerek wyszla na miasto, dwie pozostale zniknely w kuchni. Lepiej byc wprost nie moglo.

Plazowa torba lezala na lawce obok. Siegnal do jej wnetrza i wydobył pistolet Uzi.

Pantangela roztrzasal z policjantami szanse Dodgersow w najblizszej edycji zawodow World Series.

Vince wstal z miejsca, podszedl do ich stolika i zasypal wszystkich dwudziestoma lub trzydziestoma pociskami z uzi. Gruby tłumik nowej generacji pracowal wspaniale. Strzaly brzmialy nie glosniej niz odglosy wydawane przez jakajacego sie czlowieka, ktory nie moze wypowiedziec slowa zaczynajacego sie od syczacej gloski. Wszystko rozegralo sie tak szybko, ze policjanci nie mieli zadnych szans, by siegnac po bron. Nie mieli nawet czasu, by poczuc zdziwienie.

Ssssnap.

Ssssnap.

Ssssnap.

Pantangela oraz jego straznicy poniesli smierc w ciagu trzech sekund.

Vince zadrzal doznawszy ogromnej przyjemnosci. Na moment

oszołomilo go bogactwo życiowej energii, jaką jednorazowo wchłonął. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Gdy nieco doszedł do siebie, drżącym, ochrypłym głosem powiedział:

-Dziękuję.

Kiedy odwrócił się w stronę wyjścia, ujrzał stojącą na środku sali swoją kelnerkę. Dziewczyna skamieniała pod wpływem szoku. Szeroko rozwartymi błękitnymi oczami wpatrywała się w martwych mężczyzn i dopiero po chwili jej spojrzenie powędrowało w stronę Vince'a.

Zanim zdolała krzyknąć, wpakował w nią resztę magazynka, może z dziesięć pocisków. Osunęła się na podłogę w deszczu krwi.

Ssssnap.

-Dziękuję - powiedział, a po chwili powtórzył to jeszcze raz, ponieważ była młoda i pełna życia. Jej energia bardzo mu się przydała.

Obawiając się, że ktoś jeszcze mogłby wyjść z kuchni lub że jakiś przechodzień zauważy leżącą na podłodze kelnerkę, Vince szybko powrócił do swego stolika, schwycił torbę i wetknął uzi pod ręcznik. Założył na nos lustrzane okulary, po czym nie zwlekając dłużej wyszedł na ulicę.

Całkowicie nie przejmował się odciskami palców. Ich opuszki pokrył przed akcją warstewka kleju Elmera, który wysychając utworzył przezroczystą, niemal niedostrzegalną na pierwszy rzut oka błonkę. Klej wypełnił dokładnie nawet najdrobniejsze zagłębienia linii papilarnych, uniemożliwiając identyfikację pozostawionych śladów.

Skreślił w pierwszą przecznice i wsiadł do zaparkowanej przy krawężniku furgonetki. Jak dotychczas nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Ruszył w stronę oceanu. Miał ochotę na słońce i odświeżającą kąpiel. Jazda na Redondo Beach, oddalona zaledwie o dwie przecznice,

wydala mu sie zbyt ryzykowna, dlatego tez pojechal Coast Highway dalej na poludnie, do Bolsa Chica, polozonej nieco na polnoc od Huntington Beach, gdzie mieszkal.

Podczas jazdy powrocil myslami do psa. Nadal placil Johnny'emu "Drucikowi" za sprawdzanie schronisk dla zwierzat, policyjnych agencji oraz wszelkich innych organizacji mogacych brac udzial w poszukiwaniu retrievera. Wiedzial o biuletynie Agencji Bezpieczenstwa Narodowego rozeslanym do weterynarzy i urzedow zajmujacych sie kontrola zwierzat na obszarze trzech stanow, jak rowniez o tym, ze jak dotychczas poszukiwania NSA nie przyniosly zadnych rezultatow.

Pies mogl zginac pod kolami samochodu, moglo go rozszarpac stworzenie nazywane przez Hudstona Obcym. Moze dopadlo go w gorach stado kojotow. Jednakze Vince nie chcial uwierzyc w jego smierc, poniewaz oznaczaloby to koniec jego marzen o duzej forsie, ktora zamierzal zbic na tym czworonogu, biorac wysoki okup za zwrot psa wladzom albo tez sprzedajac go jakiemus bogatemu facetowi z branzy showbiznesu. W gre wchodzilo rowniez zalozenie bezpiecznego i dochodowego interesu opartego na wykorzystywaniu niebywalej inteligencji zwierzecia.

Najbardziej odpowiadala mu wersja, ze ktos znalazl psa i zabral go ze soba do domu. Gdyby odszukal ludzi, u ktorych retriever obecnie przebywal, moglby go od nich odkupic lub, po zabiciu wlascicieli, po prostu zabrac.

Ale gdzie, u diabla, mial ich szukac? Od czego zaczac? Gdyby to bylo takie proste, NSA dopadlaby ich pierwsza.

Jezeli pies jeszcze zyl, nalezalo chyba odnalezc najpierw Obcego. Bestia powinna zaprowadzic go do retrievera. Tak w kazdym razie uwazal Hudson. Jednakze to zadanie nie nalezalo rowniez do najlatwiejszych.

Johnny "Drucik" na biezaco dostarczal mu informacji o szczegolnie

brutalnych zbrodniach ludzi i zwierząt na terenie południowej Kalifornii. Vince wiedział wszystko o rzezi w ogrodzie zoologicznym w Irvine Park, morderstwie Wesa Dalberga oraz zdarzeniu w Bordeaux Ridge. Johnny dotarł także do raportów na temat okaleczonych zwierząt w Diamond Bar, a w telewizji Vince sam obejrzał wywiad z dwójką młodych ludzi, którzy u podnóża Johnstone Peak przeżyli spotkanie z czymś, co uznali za przybysza z kosmosu. Trzy tygodnie temu w Angeles National Forest natrafiono na straszliwie okaleczone zwłoki pary młodych turystów. Włamując się do systemów komputerowych NSA, Johnny uzyskał potwierdzenie, że Agencja przejęła prowadzenie śledztwa także i w tej sprawie, należało więc przypuszczać, iż zbrodnia było dziełem Obcego.

Od tamtej pory nie zaszło nic nowego.

Vince nie zamierzał na razie rezygnować ze swoich planów. Z natury był człowiekiem cierpliwym. Cierpliwość stanowiła element jego pracy. Będzie czekać, weszyc, poleci Johnny'emu "Drucikowi", by kontynuował obserwacje i wcześniej czy później dostanie to, czego chce. Był tego pewien. Doszedł do przekonania, że pies, podobnie jak niesmiertelność, stał się częścią jego wielkiego przeznaczenia.

Na stanowej plaży w Bolsa Chica stał zapatrzonej w ciemne masy rozkolysanej wody, a podchodzące do brzegu fale mocno uderzały go w uda. Czuł się równie potężny jak morze. Wypełniały go dziesiątki ludzkich istnień. Nie zdziwiłby się, widząc strzelającą z czubków palców elektryczność, na podobieństwo piorunów wylatujących z dłoni mitologicznych bogów.

W końcu rzucił się głową do przodu do wody i popłynął na spotkanie słońcem ku brzegowi falom. Wypłynął daleko w morze, potem skręcił równoległe do brzegu i utrzymywał ten kierunek tak długo, dopóki się nie zmęczył, a wtedy pozwolił, by przyływ wyniósł go z powrotem na plażę.

Uciał sobie krótką drzemkę w gorących promieniach południowego

slonca. Przysnila mu sie kobieta w ciazy. Jej brzuch byl duzy i okragly. Udusil ja golymi rekami.

Czesto snilo mu sie, ze zabija dzieci albo, jeszcze lepiej, nie narodzony plod. Za czym takim tesknil przez cale zycie, lecz poniewaz mordowanie dzieci bylo zbyt niebezpieczne, musial odmawiac sobie tej przyjemnosci, choc energia zyciowa dziecka byla najbogatsza, najczystsza, najbardziej wartosciowa. Nie mogl sobie pozwolic na dzieciobojstwo, dopoki nie uzyska calkowitej pewnosci, ze osiagnal juz niesmiertelnosc; nie musi zatem obawiac sie policji ani kogokolwiek innego.

Chociaz podobne sny zdarzaly mu sie czesto, ten z plazy Bolsa Chica uderzyl go swa wyrazistoscia... Byl jakis inny. Proroczy. Siedzial ziewajac i mruzac oczy przed zachodzacym sloncem, udajac, ze nie dostrzega mrugajacych do niego dziewczyn w kostiumach bikini. Powtarzal sobie, ze sen ten byl zapowiedzia oczekujacych go kiedykolwiek przyjemnosci. Pewnego dnia naprawde zacisnie palce na gardle brzemiennosci kobiety, odczuje dreszcz ostatecznej rozkoszy, otrzyma najcenniejszy dar - oprócz energii zyciowej matki uzyska takze czysta, niczym nie skazona energie ukrytego w jej lonie plodu.

Czul sie teraz wspaniale. Wrocil do samochodu i pojechal do domu. Wzial prysznic, a potem poszedl na obiad do najblizszego serwujacego steki baru, nalezacego do sieci Stuarta Andersena, i zafundowal sobie filet mignon.

6

Przemknawszy obok Tralisa, Einstein wypadl z kuchni, przebiegl przez mala jadalnie i zniknal w drzwiach salonu. Travis podazyl za nim ze smyca w dloni. Retriever ukryl sie za sofa.-Sluchaj, to nie bedzie bolalo - powiedzial Travis. Pies mierzyl go czujnym spojrzeniem.

-Musimy to zalatwic przed wyjazdem do Vegas. Weterynarz da ci pare zastrzykow, zaszczepi cie przeciwko psiej zarazie i wsciekliźnie. Robie to dla twego wlasnego dobra. To wcale nie bedzie bolalo.



Naprawde. Potem sie zarejestrujemy. Wlasciwie nalezalo to zrobic na samym poczatku.

Jedno szczekniecie. Nie.

-Tak. Nie.

Pochyliwszy sie do przodu, z dlonia zacisnieta na zatrzasku smyczy, Travis zrobil krok w strone Einsteina.

Retriever odbiegł w bok, wskoczył na fotel i z tego punktu obserwacyjnego bacznie sledził poczynania Trávisa.

Wychodzac powoli spoza sofy, Travis powiedzial:

-A teraz posluchaj, kudlata mordo. Jestem twoim panem... Jedno szczekniecie.

Travis sciagnal brwi.

-A wlasnie, ze tak. Jestem twoim panem. Mozesz sobie byc najmadrzejszy na swiecie, ale i tak pozostaniesz psem, a ja jestem czlowiekiem, i mowie ci, ze pojdziemy do weterynarza.

Jedno szczekniecie.

Oparlszy sie o drzwi jadalni, Nora powiedziala z usmiechem:

-Sadze, ze w ten sposob probuje dac nam przedsmak tego, co potrafia dzieci, na wypadek, gdybysmy sie na nie kiedyś zdecydowali.

Travis rzucil sie na psa.

Einstein zeskoczył na podloge i szybko wybiegl z pokoju, Travis zas, nie mogac wytracic pedu, rozciagnal sie jak dlugi na opuszczonym przez niego fotelu.

Nora parsknela smiechem.

-To jest bardzo zabawne.

-Dokad on poszedl?! - warknal Travis.

Dziewczyna wskazała korytarz prowadzący do dwóch sypialni i łazienki.

Znalazł retrievera w głównej sypialni. Einstein stał na środku łóżka z głową zwróconą ku wejściu.

-I tak nie wygrasz - powiedział Travis. - Przecież to dla twojego dobra, cholera. Dostaniesz te zastrzyki, czy ci się to podoba, czy też nie.

Einstein unosił zadnia nogę i zaczął siusiac na łóżko. Travis nie posiadał się ze zdumienia.

-Co ty, u diabła, robisz? Einstein przestał siusiac, odsunął się od wsiakającej powoli w pościel kałuży i posłał człowiekowi wyzywające spojrzenie.

Travis słyszał nieraz o psach i kotach wyrażających w ten sposób swoje najwyższe niezadowolenie. Kiedy prowadził agencję sprzedaży nieruchomości, jedna z jego pracownic, wyjeżdżając na wakacje, oddała swego miniaturowego collie na dwa tygodnie do schroniska. Po powrocie do domu pies ukarał ją, siusiając na jej ulubione krzesło i na łóżko.

Jednakże Einstein nie był zwyczajnym psem. Wziawszy pod uwagę jego ogromne możliwości intelektualne, zmoczenie łóżka należało uznać za zniewagę o wiele poważniejszą, niż w wypadku, gdyby to uczynił normalny pies.

Czując narastającą złość, Travis ruszył w stronę zwierzęcia.

-Tego nie można wybaczyć!

Einstein zeskoczył z łóżka. Wiedząc, że pies zamierza obiec go

dookola, a potem wysliznac sie z pokoju, Travis pospiesznie zamknal za soba drzwi. Majac odcieta droge ucieczki, Einstein zmienil kierunek i zaszył sie w odległym kącie sypialni, z przycisnietym do szafy bokiem.

-Dosyc tych glupstw - powiedzial Travis, robiac sroga mine i wywijajac smyicza.

Einstein przypadl do podlogi.

Przykucnawszy z szeroko rozpostartymi ramionami, tak by uniemozliwic mu ucieczke bokiem, Travis schwycil wreszcie obroze i przypial do niej smycz. - Ha!

Wcisniety w kat, pokonany, Einstein zwiesil glowe i zaczal drzec na calym cielem.

Przepelniajace Travisa uczucie triumfu zniknelo bez sladu. Skonsternowany, wpatrywal sie w opuszczona ku ziemi, wstrzasana dreszczami glowe czworonoga, w wyraznie drzace boki. Einstein wydal z siebie ledwie slyszalny skowyt strachu.

Glaszczac psa i usilujac go uspokoic, Travis powiedzial:

-Przeciez sam wiesz, ze to naprawde dla twego dobra. Nie chcesz chyba dostac wscieklizy, psiej zarazy albo czegos tam jeszcze. I to naprawde nie boli. Przysiegam ci, przyjacielu.

Retriever drzal w dalszym ciagu i ani myslal podniesc glowy. Dotykajac dlonia grzbietu psa, Travis czul, ze zwierze drzy na calym cielem. Przyjrzał mu sie w zamysleniu, po czym rzekl:

-W tamtym laboratorium... czy dawali ci duzo zastrzykow? Czy kluli cie iglami? Czy to dlatego boisz sie szczepien?

Einstein tylko zapiszczal.

Travis wyciągnął stawiającego opór psa z narożnika, tak aby swobodnie mógł odpowiadać machnięciami ogona. Wypuścił smycz z ręki, ujął leś Einsteiną w obie dłonie i siłą unioś do góry. Patrzyli teraz sobie prosto w oczy.

-Czy w laboratorium kluli cię igłami? Tak.

-Czy to dlatego boisz się iść do weterynarza? Drząc w dalszym ciągu, pies szczechnął krótko. Nie.

-To dlaczego tak się zachowujesz?

Jedyną odpowiedzią Einsteina był pisk przerażenia.

W uchylonych drzwiach sypialni pojawiła się głowa Nory.

-Czy założyłeś już mu smycz? - Rozejrzawszy się po sypialni, dodała:  
- Ojej, coś się tutaj działo?

Nadal przytrzymując głowę retrievera, nie spuszczać psa z oczu, Travis odrzekł:

-Einstein w sposób zdecydowany dał wyraz swemu niezadowoleniu.

-Bardzo zdecydowany - przytaknęła, podeszła do łóżka i zaczęła srać przemoczona pościel.

Travis usiłował dociec przyczyny dziwnego zachowania swego ulubieńca.

-Einstein, skoro nie chodzi ci o zastrzyki, to może boisz się weterynarza?

Szczeknięcie. Nie.

Zawiedziony, Travis zaczął obmyślać kolejne pytanie. Nora tymczasem zmieniała pościel, a Einstein nadal trząsł się bez przerwy.

Nagle Travis doznał ośnienia. Już wiedział, skąd brał się opór i lek zwierzecia. Skłamał w duchu za własną głupotę.

-Cholerny świat, przecież to oczywiste! Ty boisz się nie weterynarza, tylko tych, którym może on o tobie donieść.

Einstein od razu nieco się uspokoił. Po chwili machnął ogonem. Tak.

-Jeśli poszukują cię ludzie z laboratorium, a wiemy, że muszą cię poszukiwać, ponieważ jesteś najważniejszym zwierzęciem doświadczalnym w całej historii, to z całą pewnością skontaktowali się już z każdym weterynarzem w tym stanie, prawda? Z każdym weterynarzem... z każdym schroniskiem dla zwierząt... z każdym urzędem wydającym zezwolenia na posiadanie psa.

Także i tym razem odpowiedzią było machanie ogonem. Nora obeszła łóżko dookoła i przykucnęła obok Trávisa.

-Ale złote retrievery należą do dwóch lub trzech najpopularniejszych gatunków. Weterynarze i wydający zezwolenia urzędnicy mają z nimi bez przerwy do czynienia. Jeśli nasz genialny pies dobrze ukryje swoją inteligencję i zagra przyglupę... - Co doskonale potrafi.

-...to nigdy się nie dowiedzą, że mają do czynienia z uciekinierem.

Nie - zaproponował Einstein.

-O co ci chodzi? - zapytał Travis. - Chcesz nam powiedzieć, że mogą cię rozpoznać?

Tak.

-Jak? - odezwała się Nora.

-Po jakimś znaku? - podsunął Travis. Tak.

-Po czymś, co masz ukryte pod sierścią? - dopytywała się Nora. Szczeknięcie. Nie.

-A wiec gdzie?

Oswobodziwszy sie z rak Tralisa, Einstein potrzasnal glowa tak gwaltownie, ze jego obwisle uszy glosno o siebie zaklaskaly.

-Moze na podeszwach lap - zastanawiala sie Nora.

-Nie - odparl Travis, nim jeszcze Einstein zdazyl zaszczekac. - Kiedy go znalazlem, mial pokrwawione lapy od ciezkiej wedrowki po gorach. Przemyalem mu wtedy rany kwasem bornym. Zauwazylybym, gdyby na lapach byly jakies znaki.

Einstein ponownie potrzasnal glowa wprawiajac w ruch uszy. Travis powiedzial:

-Moze oznakowali go na wardze od wewnatrz. Wlasnie tam tatuuja swe zwierzeta wlasciciele koni wyscigowych. Ulatwia im to indentyfikacje i zapobiega wszelkiego rodzaju oszustwom. No, pokaz zeby, chlopie.

Einstein szczeknal - nie - po czym gwaltownie pokrecil glowa.

Travis pojal wreszcie sens jego wysilkow. Sprawdzil prawe ucho, lecz nie znalazl w nim niczego niezwyklego. Za to w lewym dostrzegl cos, co zwrocilo jego uwage. Podprowadzil psa do okna, gdzie bylo wiecej swiatla. Na rozowobrazowej skorze wytatuowane czerwonym tuszem widnialy przedzielone kreska liczby: 33-9.

Zagladajac Tralisowi przez ramie, Nora powiedziala:

-Zapewne do eksperymentow uzywali wielu szczeniakov z roznych miotow i musieli sie w tym wszystkim jakos polapac.

-Jezu. Gdybym go zabral do weterynarza, ktoremu polecono rozgladac sie za retrieverem z tatuazem w uchu...

-Ale przeciez on musi dostac zastrzyki.

-Moze juz je dostal - powiedzial Travis z nadzieja w glosie.

-Nie mozemy na to liczyc. Jako zwierze laboratoryjne przebywal w kontrolowanym srodowisku, gdzie zastrzyki mogly mu nie byc potrzebne. Poza tym normalne szczepienia mogly stanowic przeszkode w doswiadczeniach. Jesli oni jakimś cudem odnajda Einsteina, po prostu nie zgodzimy sie go oddac - oswiadczyla Nora.

-Moga nas do tego zmusic.

-Niech no tylko sprobuja.

-Na pewno sprobuja. Jest rzecza wielce prawdopodobna, ze badania byly finansowane przez rzad, a rzad moze wszystko. Nie mozemy ryzykowac. Bardziej niz czegokolwiek Einstein boi sie powrotu do laboratorium.

Tak, tak, tak.

-Ale jesli dostanie wscieklizny albo... - Nora urwala w pol zdania.

-Damy mu te zastrzyki pozniej - zdecydowal Travis. - Pozniej. Kiedy dookola nieco sie uspokoja. Kiedy nie beda go tak goraczkowo szukac.

Retriever zaskomlal z radosci, po czym w dowod wdziecznosc wylizal Travisowi twarz oraz szyje. Marszczac czolo, Nora powiedziala:

-Einstein jest chyba najwiekszym cudem dwudziestego wieku. Czy naprawde myslisz, ze oni kiedykolwiek sie uspokoja, ze przestana go szukac?

-Moga go szukac przez wiele lat - przyznal Travis, gladzac psa po grzbiecie. - Beda to jednak robic z coraz mniejszym przekonaniem, z coraz mniejsza nadzieja. A weterynarze powoli zaczną zapominać o zaleceniu sprawdzania uszu kazdego retrievera, jaki do nich trafi. Zanim do tego dojdzie, Einstein bedzie musial sobie radzic bez

zastrzykow. Jest to dla nas najlepsze wyjście. I, prawdę mówiąc, jedyne.

Zaglebiając palec w sierści retrievera, Nora powiedziała:

-Mam nadzieję, że się nie mylisz.

-Nie mylę się.

-Oby tak było.

-Możesz być pewna.

Mysł o tym, jak niewiele brakowało, by Einstein utracił wolność skutkiem jednego fałszywego kroku jego pana, wstrząsnęła Travisem do głębi. Przez kilka następnych dni oddawał się ponurym rozmyśleniom o Przekleństwie Cornella. A jeśli wszystko znowu zaczęło się od początku? W jego życiu nastąpił przełom. Wszystko uległo zmianie dzięki miłości do Nory i tego niesamowitego, cholernego psa. Ktoż mógł jednak zagwarantować, czy los, który zawsze był dla niego szczególnie nieprzychylny, nie zamierzał w najbliższym czasie odebrać mu ich obojga.

Wiedział, że los był niczym więcej jak tylko pojęciem mitologicznym. Nie wierzył, że z góry rzeczywiście obserwuje go panteon nieprzychylnych bogów, gotujących mu coraz to nowe, tragiczne doświadczenia, a mimo to co pewien czas posyłał czujne spojrzenie w stronę niebios. Jeśli zdarzyło mu się czasem powiedzieć coś, co brzmiało optymistycznie na temat przyszłości, za każdym razem łapał się na odpukiwaniu w nie malowane drzewo, co miało zniweczyć knowania zawiistnego losu. Kiedy podczas obiadu przewrócił solniczkę, natychmiast złapał szczyptę soli i cisnął nią przez ramię. Zaraz potem zrobiło mu się głupio, więc otrząpiał palce. Jednakże już po chwili zauważył, że jego serce bije szybszym rytmem, a jednocześnie poczuł dziwny, zabobonny strach, którego nie zdołał opanować, dopóki nie nabrał więcej soli i nie rzucił jej przez drugie ramię za siebie.



Nora zauważyła oczywiście dziwne zachowanie Trávisa, ale była na tyle taktowna, że nie powiedziała nawet słowa na ten temat.

Starala się natomiast poprawić jego nastrój; okazywała mu na każdym kroku czułość i miłość, z radosnym entuzjazmem mówiła ciągle o oczekującej ich podróży do Vegas, demonstrowała nieodmiennie dobry humor i niczego nie odpukiwała.

Nie wiedziała o nawiedzających go noca koszmarach, ponieważ jej o nich nie mówił. Przez dwie noce z rzędu snił mu się ten sam zły sen.

Śniło mu się, że przebywa w lesistych kanionach u podnóży gór Santa Ana w Orange County, w okolicy, gdzie po raz pierwszy ujrzał Einsteina. Wybrał się tam wraz z Nora i psem, ale teraz oboje gdzieś mu zniknęli. Gnany niepokojem zbiegał w dół po stromych zboczach, wdrapywał się pod górę, przedzierał przez zwarte ściany zarośli, nawołując co chwila to Nore, to psa. Chwilami słyszał wołanie Nory lub ujadanie Einsteina i po brzmieniu ich głosu poznawał, że potrzebują jego pomocy. Ruszał niezwłocznie w kierunku, z którego dobiegały doń ich wezwania, lecz za każdym kolejnym razem docierały z coraz większej odległości i z innej strony i choćby nie wiadomo jak wytęczał słuch, choćby najszybciej przemierzał las, oddalały się coraz bardziej, oddalały...

...aż w końcu budził się, bez tchu, z łomocącym ciężko sercem, z uwięzionym w głębi gardła bezdzwiecznym krzykiem.

W piątek, szóstego sierpnia, mieli tyle zajęć, że Travis zupełnie nie miał czasu na dumanie nad swoim losem. Z samego rana zadzwonił do kaplicy ślubnej w Las Vegas, podał numer swojej karty kredytowej American Express i ustalił termin ceremonii: środa, jedenastego sierpnia o godzinie jedenastej. Ogarnięty romantyczną gorączką, polecił przygotować dwadzieścia tuzinów czerwonych róż, tyleż samo białych goździków, dobrego organistę, który zagrałby kilka tradycyjnych utworów (a nie jakas tam muzykę z taśmy), tyle świec, żeby ołtarz był dostatecznie jasno rozświetlony bez używania ostrego

swiatla elektrycznego, butelke dom perignon na zakonczenie uroczystosci oraz najlepszego fotografa, aby to wszystko uwiecznil.

Po ustaleniu tych szczegolow zatelefonowal z kolei do hotelu Circus Circus, takze w Las Vegas, chlubiacego sie posiadaniem polozonego tuż za glownym budynkiem kempingu dla zmotoryzowanych, i zarezerwowal tam miejsce poczawszy od osmego sierpnia wieczorem. Nastepna rozmowe przeprowadzil z kempingiem w Barstow i zamowil miejsce na sobote, siodmego sierpnia, gdyz wlasnie tam w polowie drogi do Vegas zaplanowal nocleg. Potem odwiedzil jubilera, przejrzał cały posiadany przez niego towar i w koncu wybral zareczynowy pierścioneK z duzym, nieskazitelnym, trzykaratowym brylantem oraz przyozdobiona cwierc-karatowymi brylancikami obraczkę. Ukrył bizuterie pod fotelem samochodu, po czym razem z Einsteinem pojechali do domu Nory, skąd już we trojke udali sie na umowione spotkanie z Garrisonem Dilworthem, prawnikiem dziewczyny.

-Pobieracie sie? To cudownie! - wykrzyknal Garrison, potraszając dlonia Tralisa. Zaraz potem pocalowal Nore w policzek. Sprawial wrazenie autentycznie ucieszonego. - Zebralem nieco informacji o panu, Travis.

-Doprawdy?

-Chodzilo mi o dobro Nory.

Slyszac slowa prawnika, Nora oblala sie rumiencem i zaczela goraco protestowac, Travis natomiast przyjal je spokojnie. Byl zadowolony, ze Garrison troszczy sie o pomyslnosc dziewczyny.

Mierzac Tralisa uwaznym spojrzeniem, siwowlosy adwokat powiedzial:

-Dowiedzialem sie, ze całkiem dobrze radzil pan sobie w handlu nieruchomosciami.

-Robilem, co mogłem - skromnie odparł Travis, czując się tak, jakby rozmawiał z ojcem Nory i starając się wyrzucić na niego jak najkorzystniejsze wrażenie.

-Bardzo dobrze - stwierdził Garrison. - Słyszałem również, że korzystnie ulokował pan zyski.

-Z pewnością nie jestem bankrutem - przyznał Travis. Garrison uśmiechnął się.

-Ponadto powiedziano mi, że jest pan dobrym, godnym zaufania, obdarzonym wielkim sercem człowiekiem. Tym razem zarumienił się Travis, a jego odpowiedź ograniczyła się do wzruszenia ramionami. Garrison podszedł do Nory.

-Kochanie, nie umiem powiedzieć, jak bardzo się cieszę.

-Dziękuję. - Nora posłała Travisowi promienne, pełne miłości spojrzenie. Odebrawszy je, po raz pierwszy tego dnia poczuł chęć odpukania w nie malowane drzewo.

Ponieważ zamierzali urządzić sobie bezpośrednio po ślubie co najmniej tygodniową podróż poślubną, Nora chciała się zabezpieczyć przed koniecznością szybkiego powrotu do Santa Barbara w wypadku, gdyby jej agent znalazł w tym czasie nabywcę na dom Violet Devon. Poprosiła więc Garrisona Dilwortha, aby zechciał wystąpić w roli jej pełnomocnika przy tej transakcji. Niezbędny dokument został sporządzony, podpisany i poświadczony w poł godziny. Po jeszcze jednej turze gratulacji i najlepszych życzeń pożegnali prawnika i ruszyli na poszukiwanie odpowiedniej przyczepy kempingowej.

Pragneli zabrać Einsteina ze sobą nie tylko na ceremonię zaślubin w Vegas, ale także w podróż poślubną. Znalezienie porządnego, czystego motelu, w którym zaakceptowano by obecność psa, mogło stanowić pewną trudność, dlatego rozsądniej było zatroszczyć się o własny dach nad głową na kolkach. Poza tym ani Travis, ani Nora nie

mogliby sie kochac w obecności retrievera. - Czulabym sie tak samo, jak gdyby w pokoju przebywała trzecia osoba - oświadczyła Nora, rumieniac się niczym dojrzałe jabłko. Gdyby zdecydowali się na noclegi w motelach, musieliby wynajmować dwa pokoje - jeden dla siebie i jeden dla Einsteina - co wydawało się procedura nazbyt kłopotliwa.

O czwartej po południu znaleźli to, czego szukali: niezbyt dużego, srebrzystego airstreama o obłych kształtach, wyposażonego w kuchenkę, przedział jadalny, salonik, jedną sypialnię i łazienkę. Podczas nocnych postojów mogli zostawiać Einsteina w przedniej części przyczepy, odgradzając się od niego zamkniętymi drzwiami sypialni. Samochód Trávisa miał solidny hak holowniczy, toteż mogli zabrać airstreama ze sobą natychmiast po dopełnieniu formalności związanych z jego zakupem.

W drodze powrotnej Einstein siedział między Travisem a Nora. Co chwila oglądał się za siebie, w stronę tylnego okna, za którym polyskiwało cylindryczne pudło przyczepy, jakby zdumiony niewyczerpaną pomysłowością ludzkiego gatunku.

Zakupili do przyczepy firanki, plastikowe talerze, szklanki, trochę żywności, którą upakowali do kuchennych szafek, a także mnóstwo innych rzeczy niezbędnych do wyjazdu. Zanim wrócili do domu Nory i przyrządzili omlety na spóźniony obiad, wszyscy byli już mocno zmęczeni. Tym razem w ziewaniu Einsteina nie było niczego niezwykłego; pies chciał po prostu spać.

Tej nocy Travis spał głębokim, kamiennym snem. Koszmary z poprzednich dwóch nocy nie powróciły.

W sobotę rano wyruszyli do Vegas. Zdecydowali się na podróż najszerszymi, najlepiej utrzymanymi autostradami, którymi jechano z przyczepą zupełnie wygodnie. Dlatego też pojechali Droga 101 na południe, a potem na wschód, aż dotarli do Drogi 134. Droga 134 przeszła w Miedzystanowa 210. Posuwając się tą szosą mineli Los

Angeles z jego rozległymi przedmiesciami oraz ogromny Angeles National Forest. Kiedy dotarli do pustyni Mohave, Nora wpadła w zachwyt na widok niezwykle pięknego krajobrazu, który tworzyły piaski, skały, gnane wiatrem kleby chwastów, skupiska mesquity i innych kaktusów. Powiedziała, że świat stał się nagle o wiele większy, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażała, a jej oszłomienie sprawiło Travisowi dużą przyjemność.

Barstow było miejscina rozrzucona na znacznym obszarze wśród bezkresnych pustkowi. Przybyli tam po południu i zaraz po trzeciej odnaleźli swoje miejsce na kempingu. Na sąsiednim polu stała przyczepa Franka i Mae Jordanów, małżeństwa w średnim wieku z Salt Lake City, podróżującego w towarzystwie swego czworonoga, czarnego labradora imieniem Jack.

Ku zaskoczeniu Trávisa i Nory zabawa z Jackiem sprawiała Einsteinowi niesamowitą radość. Psy uganiały się wokół przyczep, walczyły na niby, padały na ziemię, a po chwili podrywały się na nogi i podejmowały gonitwę. Frank Jordan rzucił im czerwoną gumową piłkę. Popędziły za nią jak szalone, każdy z nich chciał bowiem udowodnić, że jest szybszy od rywala. Później zaczęły wrywać sobie piłkę i teraz z kolei każdy usiłował utrzymać ją jak najdłużej w posiadaniu. Wkładaly w tę zabawę tyle energii, że Travis poczuł się zmęczony samym patrzeniem na nie.

Einstein był bez wątpienia najsmródzejszym psem na świecie, najsmródzejszym psem wszechczasów, był fenomenem i cudem, dorównywał inteligencją człowiekowi, ale - cokolwiek by się jeszcze o nim powiedziało - był jednak psem. Travis niekiedy o tym zapominał, lecz zawsze cieszył się, gdy retriever zrobił coś, co odświeżało mu pamięć. Zjedli z Jordanami kolację, na którą złożyły się pieczone na grillu hamburgery i kaczany kukurydzy, potem wypili parę puszek piwa pod otwartym, pokrytym gwiazdami niebem, a potem powiedzieli dobranoc Salt Lakersom i poszli spać. (Einstein, zdaje się, powiedział dobranoc Jackowi). Gdy znaleźli się już wewnątrz airstreama, Travis poklepał Einsteina po głowie i powiedział:

-To było bardzo mile z twojej strony.

Pies przekrzywił głowę i popatrzył na Trávisa tak, jakby chciał zapytać, o co mu właściwie, u licha, chodzi.

-Dobrze wiesz, co mam na myśli, kudłata mordo.

-Ja też wiem - wtraciła Nora. Poglądziła retrievera po grzbiecie. - W czasie zabawy z Jackiem mogłeś go sto razy okpic, ale ty pozwoliłeś mu wygrywać, prawda?

Einstein wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Wypili jeszcze po filiżance kawy, po czym Nora udała się do sypialni, a Travis pościelił sobie na rozkładanej sofie w salonie. Zastanawiał się, co prawda, przez chwilę, czemu właściwie nie mogliby spać razem, a Nora, być może, myślała o tym samym. Od ślubu dzieliły ich cztery dni. Bog jeden wiedział, jak bardzo jej pragnął. A ona chociaż będąc dziewczyną, odczuwała prawdopodobnie pewien lek przed ostatecznym zbliżeniem, pragnęła go także, był o tym przekonany. Z każdym dniem coraz częściej się całowali i piescili, pozwalali sobie na coraz więcej. Powietrze wokół nich dosłownie trzeszczało od erotycznego napięcia. Dlaczegoż jednak, skoro dzień ślubu był tak bliski, nie mieli postąpić zgodnie z ustalonymi zasadami? Spędzić swą pierwszą miłosną noc już będąc małżeństwem?

Tej nocy Travis snił, że Nora i Einstein zagubili się wśród pustkowiń Mohave. W tym śnie z jakichś powodów nie miał nóg, toteż musiał szukać zaginionych pelzając w zatrważająco wolnym tempie. Co dreczyło go straszliwie, ponieważ wiedział, że gdziekolwiek by byli, zagraża im atak ze strony...

Po dotarciu do Vegas niedziele, poniedziałek i wtorek przeznaczili na przygotowania do ślubu, choć znaleźli również czas na obserwacje szalenczych harcowników Einsteina z psami innych turystów oraz krótkie wycieczki do Charleston Peak i Lake Mead. Wieczorami Nora i Travis zostawiali Einsteina z jego książkami, sami zaś wychodzili na miasto.

Travis miał z tego powodu wyrzuty sumienia, jednakże Einstein na różne sposoby dawał im do zrozumienia, iż nie chce, by siedzieli z nim w przyczepie tylko dlatego, że personel tutejszych hoteli, kierując się nonsensownymi uprzedzeniami odmawiał wpuszczania dobrze wychowanych, genialnych psów do kasyn i kabaretów.

Rankiem, we środę, Travis nałożył smoking, Nora zaś prosta, sięgająca łydek, biała sukienka, przyozdobiona koronkami wokół mankietów i pod szyją. Do ślubu pojechali razem z Einsteinem samochodem Trávisa.

Bezwyznaniowa kaplica była chyba najzabawniejszym miejscem spośród tych, jakie Travis dotychczas widział. Stanowiła przedziwną mieszaninę prawdziwego romantyzmu, powagi i krzykliwej tandety. Również Norze budowla wydała się zabawna, toteż po wejściu do środka z trudem opanowali wesołość. Kaplica wcisnęła się między obwieszone neonami, Isniace, wielopietrowe hotele na Las Vegas Boulevard South. Wielkoscia i wyglądem przypominała portretowy domek jednorodzinny, pokryty bladurozowym tynkiem, z pomalowanymi na biało drzwiami i oknami. Nad drzwiami widniał wygrawerowany w mosiężnej płycie napis ODTAD POJDZIECIE RAZEM... Wypełniające okna barwne witraże zamiast postaci świętych przedstawiały sceny ze słynnych opowieści miłosnych, takich jak Romeo i Julia, Abelard i Heloiza, Aucassin i Nikolette, Przeminęło z wiatrem, Casablanca, a także - w co trudno było wręcz uwierzyć - Kochana Lucy oraz Ozzie i Harriet.

O dziwo, kiczowatość otoczenia w najmniejszym nawet stopniu nie zakłóciła ich pogodnego nastroju. Nic nie było w stanie popsuć im tego dnia. Nawet kaplica z całym swym okropnym wystrojem zapisała się już na zawsze w ich pamięci i później po wielu latach wspominali z miłością każdy zapamiętany szczegół, ponieważ była to i c h kaplica w i c h dniu, stała się zatem dla nich czymś jedynym i niepowtarzalnym.

Zazwyczaj na śluby nie wpuszczano psów, jednakże Travis opłacił sowicie cały personel, miał więc pewność, że Einstein nie tylko

zostanie wpuszczony, ale będzie powitany równie grzecznie i miło jak każdy inny gość.

Duchowny, Wielebny Dan Dupree - "Proszę się do mnie zwracać Wielebny Dan" - rumiany, tegi mężczyzna z przylepionym do twarzy niby niezbędny rekwizyt zawodowy uśmiechem, wyglądem przypominającym typowego sprzedawcę używanych samochodów. Po obu jego stronach ustawili się płatni świadkowie - żona i siostra Wielebnego, ubrani na tę uroczystość w barwne letnie sukienki.

Travis zajął swoje miejsce przed ołtarzem.

Kobieta występująca w roli organisty zagrała "Marsz weselny".

Nora uparła się, by nie rozpoczynali ceremonii przy barierce ołtarza; postanowiła, że Travis stanie tam pierwszy, a wtedy dopiero ona przejdzie przez całą kaplicę i zajmie miejsce obok niego. Co więcej, wyraziła życzenie, aby ktoś "przekazał" ją panu młodemu, tak jak się to odbywa podczas normalnych ślubów. Zaszczycił ten powinien, oczywiście, przypisać w udziale jej ojcu, ale ona ojca nie miała. Nie było też pod ręką nikogo, kto mógłby go zastąpić, toteż początkowo zanosilo się na to, że przebedzie drogę do ołtarza sama lub też wsparta na ramieniu jakiegoś nieznanego mężczyzny. Dopiero jadąc na ślub uswiadomiła sobie, że ma przecież Einsteina, i doszła do wniosku, iż na całym świecie nie znajdzie nikogo, kto byłby bardziej godny tej roli.

Kiedy zabrzmiały pierwsze akordy organowe, w wejściu pojawiła się Nora z psem u boku. Einstein zdawał sobie doskonale sprawę z honoru, jaki go spotkał, toteż poruszał się z najwyższą dumą i godnością. Zadarł wysoko głowę, a tempo swoich kroków dostosował do tempa, w jakim poruszała się dziewczyna.

Widok ten nie wprowadził nikogo w zakłopotanie, czy choćby zdumienie. W końcu znajdowali się przecież w Las Vegas.

-To jedna z najpiękniejszych panien młodych, jaka kiedykolwiek



widziałam - wyszeptała żona Wielebnego Dana. Travis odniósł wrażenie, iż nie był to rutynowy komplement, że słowa kobiety brzmiały szczerze.

Flesz fotografa błyskał bez przerwy, lecz Travis tak był pochłonięty widokiem Nory, że nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę.

Ustawione w wazonach naczynia różnego rodzaju i goździków napelniały swą wonią niewielkie pomieszczenie. Sto świec rozjaśniało ołtarz migotliwym blaskiem. Zanim Nora stanęła u jego boku, Travis przestał już dostrzegać niezbyt gustownie urządzone wnętrza. Jego miłość, niby cudowny architekt, całkowicie przeobraziła rzeczywistość, przekształciła te niewielkie kaplice w najwspanialszą na świecie katedrę.

Ceremonia trwała krótko, miała jednak zaskakująco uroczysty przebieg. Travis i Nora złożyli przysięgi, potem wymienili obrączki. W oczach dziewczyny zaiskrzyły łzy. Travisowi przeniknęła przez głowę myśl, że jej łzy nie powinny przyćmiewać jego spojrzenia i dopiero wówczas pojął, iż on sam również jest bliski płaczu. Grzmot organów stał się tłem dla ich pierwszego małżeńskiego pocałunku, którego słodczy nie dało się z niczym porównać.

Wielebny Dan odkorkował dom perignon i zgodnie z wolą Trávisa naleł dla wszystkich, nie wyłączając organistki. Einstein dostał swoją porcję na spodek. Głośno chlepcząc, retriever przyłączył się do toastu za pomyślność, szczęście i wieczną miłość. Ten wieczór Einstein spędził w salonie, pochłonięty lekturą.

W tym czasie Travis i Nora, w drugim końcu przyczepy, leżeli w łóżku.

Zamknawszy drzwi sypialni, Travis włożył do wiaderka z lodem drugą butelkę dom perignon, w odtwarzacz zaś wsunął cztery płyty kompaktowe z nastrojową muzyką fortepianową George'a Winstona.

Nora zaciągnęła zasłony w oknie, po czym zapaliła niewielką lampkę z abazurem ze złocistej tkaniny. Lagodne bursztynowe światło zalało

pomieszczenie. Wszystko wokół wyglądało teraz tak, jakby znaleźli się w krainie snow.

Leżąc na łóżku zaczęli rozmawiać i żartować, przeplatając słowa pieszczotami lub pocałunkami. W miarę jak czas mijał, mówili coraz mniej, za to coraz częściej wymieniali pocałunki.

Travis powoli rozebrał ją. Nigdy dotychczas nie widział Nory nagiej, a teraz wreszcie mógł się przekonać, że była jeszcze piękniejsza, jeszcze lepiej zbudowana, niż to sobie wyobrażał. Jej smukła szyja, delikatne ramiona, pełne piersi, wklęsła linia brzucha, proporcjonalne biodra, krągłe pośladki, długie szczupłe nogi - każda linia, zagłębienie czy krzywizna podniecały go, a zarazem budziły w nim ogromną czułość.

Potem rozebrał się sam i delikatnie, cierpliwie zaczął wprowadzać ją w arkana sztuki miłości. Chciał jej dać jak największą radość i mając pełną świadomość, iż wszystko to było dla niej czymś zupełnie nowym, zademonstrował Norze wszelkie odczucia, jakich mogły jej dostarczyć jego palce, język czy wreszcie instrument męskości.

Spodziewał się, że Nora okaze pewne wahanie, niesmiałość, a nawet strach, ponieważ mimo że miała już trzydzieści lat, nie była zupełnie przygotowana do tak intymnych kontaktów. Tymczasem Nora daleka była od oziebłości i chętnie włączała się w każdą grę, która mogła dostarczyć przyjemności obojgu lub jednemu z nich. Cieszył się słysząc jej miękkie westchnienia i gwałtowne, nabrzmiałe pragnieniem pomruki. Za każdym razem, gdy wzdychała z rozkoszy, a ciałem jej wstrząsały ekstatyczne dreszcze, w Travisie narastało pożądanie, które przybrało w końcu postać tak bolesnego napięcia, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył.

Kiedy wreszcie wszedł w nią swą gorącą męskością, wtulił twarz w jej szyję i wykrzyknawszy jej imię, powiedział jej, że ją kocha, powiedział to raz jeszcze i raz jeszcze. Spełnienie zdawało się nie mieć końca, tak jakby czas stanął w miejscu lub jakby Travis usiłował opóźnić

niewyczerpana studnie.

Potem dlugo lezeli przytuleni do siebie. Milczeli, gdyz nie potrzebowali slow. Sluchali muzyki i dopiero po pewnym czasie opowiedzieli sobie o tym, co przezyli. Napili sie szampana, a potem pokochali jeszcze raz. A potem jeszcze raz.

Chociaz kazdego dnia wisi nad nami nieustannie cien pewnej smierci, przyjemnosci i radosci zycia potrafia byc tak wspaniale, przenikac nas tak gleboko, iz serce gotowe jest chwilami zatrzymac sie i przestac bic ze zdumienia.

Z Vegas wyruszyli na polnoc Droga 95, przecinajaca rozlegle pustkowia Newady. W dwa dni pozniej, w piatek, trzynastego sierpnia, dotarli do jeziora Tahoe i zatrzymali sie na parkingu po kalifornijskiej stronie granicy.

Nora nie dawala sie juz tak latwo jak kiedys oszolomic urokowi kazdego napotkanego krajobrazu, a jednak uderzajace piekno jeziora wstrzasnelo nia wrecz i wzбудzilo w niej dzieciace niemal zdumienie. Dlugie na dwadziescia dwie mile, szerokie na dwanascie, obrzezane od zachodu gorami Sierra Nevada, od wschodu zas grzbietem Carson Range, Tahoe uwazano za najczystszy na swiecie zbiornik slodkiej wody, wspanialy klejnot polyskujacy setkami nieprawdopodobnych zupełnie odcieni blekitu i zieleni.

Przez szesc dni Nora, Tra vis i Einstein wloczyli sie po Eldorado, Tahoe oraz Toiyabe National Forests, wedrujac po odwiecznych szlakach posrod sosen, swierkow i jodel. Wynajeli lodz i wyprawiali sie nia na jezioro, odkrywajac rajskie zakatki badz penetrujac malownicze zatoczki. Czesto opalali sie lub plywali, a Einstein za kazdym razem wital wode z nie slabnacym, wlasciwym swemu gatunkowi entuzjazmem.

Niekiedy z rana, niekiedy po poludniu, a najczesciej w nocy, Nora i Travis oddawali sie milosci. Nora byla zaskoczona wlasnym nienasyconym pozadaniem, tym, ze ciagle pragnela Travisa.

-Kocham twój rozum i serce - mawiała często - ale, mój Boże, niemal równie mocno kocham twoje ciało! Czy znaczy to, że jestem zepsuta?

-Na miłość boską, nic podobnego. Jesteś po prostu młoda, zdrowa kobieta. Właściwie, biorąc pod uwagę tryb życia, jaki prowadziłaś, jesteś moralnie zdrowsza, niż powinnaś być. Doprawdy, Nora, jesteś zdumiewająca.

-Wolałabym raczej być podniecająca.

-Może, mimo wszystko, jesteś jednak zepsuta - powiedział, wybuchając śmiechem. Wczesnym pogodnym rankiem w piątek dwudziestego sierpnia, kiedy wszystko spowijała jeszcze blekitna mgielka, opuścili Tahoe i wyruszyli ku leżacemu w drugim końcu stanu połwyspowi Monterey. Było tam jeszcze piękniej niż nad Tahoe, nic więc dziwnego, że spędzili na połwyspie cztery pełne dni i wyruszyli w drogę powrotną do domu dopiero w środę po południu, dwudziestego piątego sierpnia.

W czasie podróży poślubnej byli tak pochłonięci i zafascynowani sobą nawzajem, że mniej niż zwykle uwagi poświęcali fenomenowi niemal ludzkiej inteligencji Einsteina. Retriever przypomniawszy im o sobie dopiero następnego dnia po południu, gdy zbliżali się już do Santa Barbara. Na czterdzieści mil przed domem zaczął okazywać niepokój. Wielokrotnie podrywał się ze swego miejsca między Nora a Travisem, potem znieruchomiał, a wreszcie położył głowę na kolanach Nory. Po chwili usiadł ponownie i zaskomlał dziwnym głosem. Gdy od domu dzieliło ich najwyżej dziesięć mil, zaczął się trząść na całym ciele.

-Co się z tobą dzieje, kudłata mordko? - zapytała Nora. Wpatrując się w nią uważnie swymi wyrazistymi, brązowymi oczami, Einstein usiłował jej przekazać jakąś skomplikowaną i ważną wiadomość, lecz Nora nie była w stanie jej zrozumieć.

Na pół godziny przed nastaniem ciemności, kiedy wjechawszy do miasta skreśli z autostrady w ulicę ruchu lokalnego, Einstein zaczął

na przemian to zawodzić, to znowu warczec groźnie.

-Co się z nim dzieje? - zastanawiała się Nora. Travis wzruszył ramionami.

-Nie mam pojęcia.

Podjechali pod dom Trávisa i zaparkowali w cieniu palmy daktylowej. W tej samej chwili warczenie Einsteina przeszło w głośne ujadanie. Nigdy dotychczas retriever nie szczekał w samochodzie, nie zdarzyło mu się to nawet podczas tak długiej podróży. W zamkniętej przestrzeni hałas rozsądzał uszy, ale pies wcale nie zamierzał się uspokoić.

Wysiedli z samochodu. Einstein natychmiast wysforował się do przodu i ciągle szczekając, stanął w poprzek wiodącej do domu ścieżki.

Nora usiłowała iść dalej, lecz Einstein rzucił się na nią z obnazonymi kłami. Złapał ją za nogawkę dżinsów i szarpnięciem próbował przewrócić na ziemię. Jakimś cudem zdołała utrzymać równowagę, a kiedy cofnęła się za poidło dla ptaków, natychmiast zostawił ją w spokoju.

-Co w niego wstąpiło? - zapytała Trávisa. Patrząc w zamysleniu w stronę domu, Travis odrzekł:

-Podobnie zachowywał się w lesie tamtego dnia... kiedy nie chciał, żebym wszedł na wiodącą w głąb lasu ścieżkę. Nora zaczęła wołać psa, licząc na to, że zdoła go jakos uspokoić.

Einstein nawet nie drgnął. Kiedy z kolei Travis, chcąc sprawdzić, jak pies na to zareaguje, ruszył w stronę domu, i on także został natychmiast zmuszony do odwrotu.

-Zaczekaj tutaj - polecił Norze. Ruszył w stronę zaparkowanego na podjeździe airstreama i zniknął w jego wnętrzu.

Einstein biegł tam i z powrotem wzdłuż fasady budynku. Czujnie wodził wzrokiem po drzwiach i oknach, a z jego gardła dobiegało niespokojne warczenie.

Opadające w dół po niebie słońce dotknęło wreszcie powierzchni morza. Ulica tchnęła ciszą i spokojem, wszystko wydawało się takie jak zawsze - a jednak Nora wyczuła w powietrzu obecność czegoś niedobrego. Ciepły wiatr z nad Pacyfiku szeleścił wśród liści palm, eukaliptusów i figusów. Każdego innego dnia odgłosy te kojarzyłyby się jej z czymś przyjemnym, teraz jednak brzmiały w nich coś złowieszczonego. W wydłużających się z każdą chwilą cieniach, w ostatnim pomarańczowym i purpurowym blasku gasnącego dnia dawało się również wyczuć jakąś nieokreśloną groźbę. Jeśli nie liczyć zachowania psa, nie było żadnych powodów, aby sądzić, że gdzieś tuż-tuż czai się niebezpieczeństwo; jej instynkt miał czysto instynktowne podłoże.

Travis wyszedł z przyczepy uzbrojony w potężny rewolwer. Przez całą podróż broń leżała w jednej z szuflad sypialni, oczywiście nie nabitą. Teraz, zbliżając się szybko do Nory, Travis skończył właśnie ładować naboje i zatrzasnął magazynek.

-Czy to konieczne? - zapytała zmartwiona.

-Tam w lesie coś wtedy było - odrzekł Travis - i chociaż niczego nie spostrzegłem, to... no więc, włosy stanęły mi dęba. Tak, sądzę, że broń jest konieczna.

Niepokój, jaki budziły w niej szeleszczące drzewa oraz rozedrgane cienie, dał jej przedsmak tego, co musiał czuć Travis w ciemnym lesie. Przyznała w duchu, że widok broni w jego ręku rzeczywiście poprawił w pewnym stopniu jej samopoczucie.

Einstein przebiegł kilkanaście stop w stronę domu i ponownie przywarował na ścieżce, blokując dostęp do werandy.

Travis położył dłoń na łbie retrievera.

-Czy ktos jest w srodku? Szybkie machniecie ogona. Tak.

-Ludzie z laboratorium? Szczekniecie. Nie.

-Drugie doswiadczalne zwierze, o którym nam opowiadales? Tak. - To samo, ktore scigalo nas w lesie? Tak.

-A wiec dobrze, wchodze. Nie.

-Tak - stanowczo rzucil Travis. - To moj dom i nie mam zamiaru zen uciekac, cokolwiek by w nim bylo.

Nora przypomniała sobie fotografie filmowego potwora, budzaca tak silne reakcje Einsteina. Nie mogła uwierzyc, aby stworzenie choc troche podobne do takiego monstrum istniało naprawde.

Przypuszczala raczej, ze Einstein przesadzał albo tez mylnie interpretowali jego zachowanie. Teraz jednak zaczęła zalowac, ze maja tylko rewolwer, a nie karabin.

-To jest magnum 357 - tłumaczył Travis psu. - Wystarczy strzał w reke lub noge, aby powalic najsilniejszego mezczyzne. Trafiony poczuje sie tak, jakby uderzyła wen kula armatnia. Uczylem sie strzelac u najlepszych mistrzow, a potem odbywalem regularne treningi, zeby nie wyjsc z wprawy. Wiem dokladnie, co należy zrobic, i na pewno sobie poradze. Poza tym, nie mozemy ot tak, po prostu, wezwac policji, prawda? Wszystko, co znajda w domu, wzbudzi ich zainteresowanie, zaczną zadawac mnostwo pytan i predzej czy pozniej zamkna cie z powrotem w tym przekletem laboratorium.

Determinacja Travisa wyraznie nie przypadła Einsteinowi do gustu, jednakze zblizył sie z ociąganiem do stopni werandy, po czym popatrzył za siebie, jakby chcial powiedziec: A wiec dobrze, ale nie pozwole, bys wszedł tam sam.

Nora chciala isc takze, lecz Travis oznajmil kategorycznie, ze ona ma pozostac na dworze. Aczkolwiek niechetnie, musiala przyznac, iz nie majac broni ani potrzebnego doswiadczenia, nie bylaby w stanie im

pomoc i utrudniałaby tylko działanie.

Z rewolwerem w dłoni Travis dołączył do czekającego na werandzie Einsteina i powoli wsunął klucz w otwór zamka.

7

Otworzywszy zamek, Travis schował klucz do kieszeni i trzymając przed sobą brzonę uchylił pomalutkę drzwi. Wraz z nie odstępującym go na krok Einsteinem przekroczył ostrożnie próg domu. Wewnątrz, jak we wszystkich opuszczonych domach, panowała cisza, w powietrzu wisiał jednak przykry odor, którego z pewnością dotychczas nigdy nie było. Einstein cicho warknął.

W niektórych oknach pozaciągane były zasłony, toteż do środka wpadało niewiele światła, lecz Travis i tak dostrzegł, że obicia kanapy zostały podarte. Na podłodze pełno było kawałków gabki. Drewniany regał na książki został rozbity uderzeniem o ścianę, na co wskazywały wybite w gipsowej okładzinie dziury. Kineskop telewizora zniszczono za pomocą lampki, której podstawa wciąż jeszcze sterczała z obudowy odbiornika. Ktoś wymiotł z polek wszystkie książki, podał je na strzępy, a następnie rozrzucił po podłodze salonu.

Pomimo napływającego przez otwarte drzwi świeżego powietrza smród jakby przybierał na sile.

Travis nacisnął umieszczony na ścianie włącznik. Zapaliła się tylko jedna lampa w kącie pokoju. Nie dawała zbyt silnego światła, pozwalała jednak przyjrzeć się dokładniej poboju.

Patrzac na zrujnowany salon można było pomyśleć, że działał tu jakiś szaleniec wyposażony w pilę łańcuchową oraz elektryczną kosiarkę.

Nic nie maciło panującej wokół ciszy.

Pozostawiając za sobą otwarte drzwi, Travis zrobił kilka kroków w głąb mieszkania. Pod jego stopami zaszleściły podarte karty



zniszczonych ksiazek. Na niektórych dostrzegl wyrazne ciemnordzawe plamy. Podobne plamy zobaczyl rowniez na wydartej z tapicerki gabce. Przystanal raptownie, uswiadomiwszy sobie, ze patrzy na zakrzepla krew.

W chwile pozniej odnalazl zwloki. Ciało dużego mężczyzny spoczywalo na podłodze obok sofy, czesciowo przykryte zakrwawionymi kartkami, okladkami i zakurzonymi obwolutami.

Warczenie Einsteina przybralo na sile.

Podszedlszy bliżej do - zwłok, które leżały o kilka zaledwie stop od wejścia do jadalni, Travis stwierdził, że ma przed sobą ciało właściciela domu, Teda Hockneya. Tuż obok stała skrzynka z narzędziami. Ted dysponował własnym kluczem, gdyż umówili się z Travisem, iż będzie mógł przychodzić w dowolnych dniach i porze, by dokonywać niezbędnych napraw. Ostatnio zaczął przeciekać kran, popsula się też zmywarka do naczyń. Widocznie Ted przyszedł tu na piechotkę ze swego domu - mieszkał o przecznice dalej - chcąc ustalić, co ma tu do zrobienia.

Sądząc po nieznosnym zapachu Travis doszedł początkowo do wniosku, że śmierć musiała nastąpić przynajmniej przed tygodniem. Po bliższych oględzinach okazało się jednak, iż brak było oznak wzdecia czy rozkładu, a zatem zabójstwo nie mogło zostać popełnione tak dawno. W grę wchodził okres nie dłuższy niż doba. Odrazający fetor brał się z dwóch źródeł: po pierwsze, gospodarz miał rozpruty brzuch; po wtóre, ciało i jego otoczenie zostały zanieczyszczone fekaliami zabójcy.

Oczy Teda Hockneya zniknęły.

Travisa ogarnęły mdłości i to nie tylko dlatego, że lubił Teda. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tak obłakanej agresywności. Taka śmierć pozbawiła ofiarę godności i w jakimś sensie degradowała całą ludzką rasę.

Niski pomruk Einsteina ustąpił miejsca nieprzyjemnemu warczeniu, przerywanemu ostrymi, twardymi szczeknięciami.

Travis wzdrygnął się, serce zabiło mu mocniej i spojrzał szybko w stronę psa. Uwaga retrievera skoncentrowała się wyraźnie na przylegającej do salonu jadalni. Panował tam głębszy mrok niż w salonie, ponieważ zasłony w obu oknach były zaciągnięte, a z sąsiedniej kuchni saczała się jedynie watła szara poświata.

Uciekaj, wynos się stąd natychmiast! - podpowiadał mu wewnętrzny głos.

Pozostał na miejscu, gdyż nigdy jeszcze w życiu przed niczym nie uciekał. No, może z jednym wyjątkiem: ulegając rozpaczom, przez kilka ostatnich lat uciekał przed samym życiem. Jego odizolowanie się od świata było przejawem najgorszego tchorzostwa. Na szczęście ten etap miał już za sobą; dzięki Einsteinowi i Norze przekształcił się w innego człowieka i nie miał zamiaru więcej uciekać. Niech go diabli, jeśli będzie inaczej.

Einstein napiął wszystkie mięśnie. Wygiął grzbiet, wyciągnął do przodu głowę i ujadł z taką wściekłością, że kropelki sliny wylatywały z jego pyska na wszystkie strony dookoła.

Travis zrobił krok w kierunku łukowato sklepionego przejścia do jadalni. Retriever natychmiast stanął u jego boku, czekając jeszcze zajądłej.

Starając się czerpać otuchę z faktu, że ma przecież w ręku śmiertelnie niebezpieczną broń, unosił rewolwer przed siebie, po czym zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Od jadalni dzieliły go najwyżej dwa kroki. Z miejsca gdzie stał, widział już część mrocznego pokoju.

Słuchając zwielokrotnionego echem głosu Einsteina można było odnieść wrażenie, że w domu szaleje całe stado retrieverów.

Travis wykonał następny krok i wtedy spostrzegł, że w mroku jadalni

cos sie poruszylo.

Zamarl na moment.

Nic. Absolutny spokoj. Czyzby ulegl zludzeniu? Po drugiej stronie lukowatego przejscia do jadalni lezaly warstwy cienia niczym przemieszane ze soba pasma szarej i czarnej krepy.

Nie byl pewien, czy rzeczywiscie widzial jakis ruch, czy tez tylko zwiodla go rozigrana wyobraznia.

Cofnij sie, uciekaj, no juz! - krzyczal wewnetrzny glos.

Na przekor jemu Travis uniosl stope, zamierzajac wejsc do jadalni.

To cos poruszylo sie znowu w glebi pokoju. Tym razem jego obecność nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Stworzenie wypadło z najdalszego, najciemniejszego kąta, wskoczyło na stół i z tego miejsca, z mrozącym krew w żyłach skrzekiem zaatakowało Trávisa. Ujrzał świecące w ciemnościach oczy oraz zarys postaci wielkości zbliżonej do człowieka, która - nawet w tak słabym świetle - sprawiała wrażenie wyraźnie zdeformowanej.

Einstein bez wahania rzucił się ku przeciwnikowi, Travis zaś postąpił krok do tyłu, chcąc zyskać parę sekund i moc wycelowac broń. W chwili gdy naciskał na spust, potknął się o stertę zniszczonych książek i runął jak długi na ziemię. Rewolwer pluł ogniem, lecz strzał nie mógł być celny. Kula uwięzła gdzieś w suficie. W ułamku sekundy, patrząc w stronę szycującego się do skoku Einsteina. Travis zobaczył wyraźniej bestię o błyszczących oczach. Dostrzegł, jak krokodyle szczęki otwierają się na nieprawdopodobną szerokość, odsłaniając dwa rzędy zakrzywionych złowrogo zębów.

-Einstein, nie! - wrzasnął co sił w płucach, gdyż wiedział, że w pojedynku z tą bestią z piekła rodem pies zostanie rozdarty na strzępy. Nie mierzac pociągnął za spust.

Jego krzyk i odgłos strzałow zatrzymały Einsteina i ostudziły również zapal napastnika. Bestia zawróciła na piecie - była niesamowicie szybka, o wiele szybsza od kota - i z ciemnej jadalni przemknęła do kuchni. Na moment jej sylwetka zamajaczyła na tle drzwi. Odnosił wrażenie, że widzi coś, co na pewno nie byłoby zdolne stanąć w pozycji wyprostowanej, a jednak mimo wszystko w tej pozycji stało, potwora ze zniekształconą głową, co najmniej dwa razy za dużą, przygiętym karkiem oraz zbyt długimi ramionami zakończonymi szponami uformowanymi na kształt ogrodniczych grabek.

Oddał następny strzał, znacznie lepszy od poprzednich. Pocisk oderwał z osiecznicy kawałek drewna.

Pisnawszy głośno, bestia zniknęła w glebi kuchni.

Coż to, na Boga, mogło być? Skąd się tu wzięło? Czy rzeczywiście uciekło z tego samego laboratorium, w którym stworzono Einsteina? W jaki sposób wyprodukowali takiego potwora? I dlaczego? Dlaczego? Był człowiekiem odczytanym. W ciągu ostatnich kilku lat większość czasu poświęcał właśnie lekturze książek, toteż sam domyslił się odpowiedzi. Z pewnością miał tutaj do czynienia z efektem badań nad rekombinowanym DNA.

Einstein stał na środku jadalni i obszczekiwał drzwi, za którymi zniknęła bestia.

Travis przywołał psa do siebie, a ten chętnie cofnął się od drzwi i powrócił do niego.

Uciszywszy retrievera, wyteżył słuch. Słyszał, jak na podwórzu Nora wykrzykuje gorączkowo jego imię, z kuchni natomiast nie dobiegały żadne dźwięki.

Chcąc uspokoić Nore zawołał:

-Wszystko w porządku! Nic mi nie jest! Zostan na zewnątrz!

Einstein trzasł się jak galareta.

Travis słyszał głośny, podwójny łomot własnego serca, prawie słyszał, jak po twarzy i plecach ścieka mu zimny pot, a tymczasem w kuchni wciąż panowała idealna cisza. Najcichszy szmer nie zdradzał miejsca, w którym znajdowała się teraz ta zjawą z sennego koszmaru. Nie sadził, aby stworzenie wymknęło się tylnymi drzwiami. Z pewnością nie chciało się pokazywać ludziom i wychodziło na otwartą przestrzeń dopiero po zapadnięciu zmroku, a wędrowało jedynie w nocy; pod osłoną ciemności mogło wśliznąć się niepostrzeżenie nawet do tak sporego miasta jak Santa Barbara. Na razie na dworze wciąż jeszcze było zbyt widno, nie zdecydowało się więc chyba na opuszczenie domu. Poza tym Travis wyczuwał jego obecność gdzieś w pobliżu. Przypominało mu to trochę uczucie, jakiego doznawał wówczas, gdy ktoś go obserwował lub gdy po parnym dniu miała nadejść burza. To nadal tam było. Czekało w kuchni czujne, gotowe do ataku.

Bardzo ostrożnie Travis wszedł do mrocznej jadalni. Einstein nie odstępował go na krok, ale teraz nie czekał ani nie warczał, nie wydawał żadnych dźwięków. Zdawał się pojmować, że Travisowi potrzebna była idealna cisza, by mógł usłyszeć każdy, najślabszy choćby szmer.

Zrobili jeszcze dwa kroki do przodu.

Przez otwarte drzwi kuchni Travis widział róg stołu, zlew, część stojącej obok niego szafki i fragment zmywarki do naczyń. Zachodzące słońce znajdowało się po drugiej stronie domu, toteż kuchnia rozjasniona była tylko rozproszonym, szarym światłem i Travis nie mógł liczyć na to, że zobaczy cień, który wskaże mu miejsce, gdzie bestia się ukryła. Mogła się czołgać tuż za drzwiami, mogła też wspinać się na szafkę i tam czyhać na niego, gotowa zaatakować go z góry natychmiast, gdyby tylko przekroczył próg tego pomieszczenia.

Travis postanowił uciec się do sztuczki. Liczył na to, że potwór

zareaguje niezwłocznie, jeśli cokolwiek poruszy się w drzwiach, wetknął rewolwer za pasek od spodni, podniósł jedno ze stojących na stole w jadalni krzesel, zbliżył się do kuchni na odległość jakichś sześciu stop, po czym wrzucił je do środka. Błyskawicznie wyszarpnął rewolwer i nim krzesło dotknęło czegośkolwiek, przyjął postawę strzelecką. Krzesło wylądowało na laminowanym blacie stołu i z grzechotem sturlało się na podłogę.

Stwór o błyszczących oczach wcale się nie pokazał. Kiedy krzesło przerwało wreszcie swój taniec na podłodze i znieruchomiało obok zmywarki do naczyń, w kuchni zapadła znowu niczym nie zmacona cisza.

Einstein zaczął wydawać dziwne, drżące parsknięcia. Dopiero po chwili Travis uświadomił sobie, że odgłos ten powstał na skutek gwałtownych dreszczy wstrzasających ciałem zwierzęcia.

Nie ulegało wątpliwości, że intruz w kuchni był ta sama istota, która ścigała ich w lesie przeszło trzy miesiące temu. Przez te trzy miesiące nieustannie dążył na północ, wędrując przeważnie - jak można było przypuszczać - przez dzikie, puste tereny ciągnące się na wschód od zaludnionych obszarów stanu, nieustannie ścigając psa. Travis nie rozumiał, jakim cudem bestia potrafiła bezbłędnie odnajdywać trop retrievera, nie potrafił też odgadnąć przyczyn, dla których go ścigała.

Jakby w odpowiedzi na rzut krzesłem z kuchni wyleciał duży, biały pojemnik i z hukiem spadł na podłogę jadalni. Zaskoczony Travis drgnął i odruchowo nacisnął na spust, zanim pojął, że został oszukany. Uderzenie sprawiło, że z pojemnika spadło wieczko i znajdujące się w pudle maka rozsypała się po podłodze.

Odpowiadając podstępem na podstęp Trávisa, napastnik dał dowód własnej, niepokojąco wysoko rozwiniętej inteligencji. Trávisa uderzyła nagle myśl, że skoro istota ta pochodziła z tego samego co i Einstein laboratorium, skoro powstała na drodze podobnych eksperymentów, mogła dysponować inteligencją nie ustępującą inteligencji retrievera.

Tłumaczyłoby to lek, jaki budziła w Einsteinie. Gdyby Travis nie oswoił się już z koncepcją inteligentnego czworonoga, nawet by mu nie przyszło do głowy, że przyczajony obok potwór może być mądrzejszy od zwykłego zwierzęcia. Wydarzenia ostatnich paru miesięcy nauczyły go jednak, że na tym świecie możliwe jest niemal wszystko.

Cisza.

W magazynku pozostał mu już tylko jeden naboje.

Głęboka cisza. Widok pojemnika z makią tak go zaskoczył, że nie zauważył, z której strony drzwi go wyrzucono. Niewiele mógł też wydedukować z jego ułożenia na podłodze jadalni. Nadal nie wiedział, czy napastnik krył się na lewo lub prawo od wejścia.

Prawdopodobnie nie był właściwie pewien, czy go to jeszcze interesuje. Doszedł do wniosku, że choć trzyma w ręku magnum 357, mądrzej zrobi, jeśli nie wejdzie do kuchni. Bronia niewiele by się zdała, gdyby przekłeta bestia rzeczywiście dorównywała inteligencji człowiekowi. Musiałby wtedy stoczyć walkę z czymś w rodzaju inteligentnej pily tarczowej.

Kuchnia, której okna wychodziły na wschód, pograżyła się niemal zupełnie w ciemnościach. W jadalni, gdzie Travis zatrzymał się wraz z Einsteinem, było jeszcze ciemniej. Również salon, choć okna były tam odsłonięte, a w rogu pokoju płonęła nawet lampka, tonął w mroku.

Ukryta w kuchni bestia wydała głośny świst, a zaraz potem rozległo się szybkie klik, klik, klik, dźwięk, jaki mógł powstać po uderzeniu zaopatrzonych w ostre pazury stop lub rąk o jakąś twardą powierzchnię.

Ciałem Einsteina wstrząsały gwałtowne dreszcze. Travis czuł się teraz tak, jakby był mucha balansująca na krawędzi pajęczyny. Jeszcze jeden krok, a pułapka się zamknie.

Stanęła mu przed oczami pogryziona, zakrwawiona, pozbawiona oczu

twarz Teda Hockneya.

Klik, klik.

W trakcie szkolenia antyterrorystycznego nauczył się podkradać do ludzi i potrafił to robić całkiem niezle. Problem polegał jednak teraz na tym, że zołtookie monstrum dysponowało prawdopodobnie inteligencją zbliżoną poziomem do ludzkiej, natomiast jego sposób myślenia mógł odbiegać znacznie od ludzkiego i pozostawał wielką niewiadomą. Travis nie potrafił przewidzieć, co zrobi to stworzenie w następnej chwili, jak zareaguje na podjęte przez niego działania. Nie był więc w stanie przechytrzyć bestii, ona zaś miała nad nim tę ogromną przewagę, jaką daje możliwość ustawicznego zaskakiwania przeciwnika.

Klik.

Travis ostrożnie cofnął się o krok od otwartych kuchennych drzwi, potem o jeszcze jeden. Stopy przestawiał niezwykle ostrożnie, nie chcąc, by jakikolwiek, najdrobniejszy dźwięk dał znać bestii o jego ruchach, o tym, że się wycofuje, gdyż Bog jeden raczy wiedzieć, co by uczyniła, widząc, iż ofiara wymyka się jej z rąk. Einstein cicho przebiegł do salonu, zadowolony, że dystans między nim a napastnikiem wzrasta. Minawszy ciało Teda Hockneya, Travis rozejrzał się po salonie, chcąc znaleźć drogę, która mogłaby dotrzeć bezgłośnie do drzwi wejściowych, i ujrzał stojącą obok fotela Nore. Wystraszona kanonada, zaopatrzyła się w kuchence airstreama w noż rzeźnicki, po czym weszła do domu, chcąc sprawdzić, czy mąż nie potrzebuje jej pomocy.

Zdumiała go odwaga Nory, równocześnie jednak nie mógł opanować przerażenia. Wydało mu się nagle, że nocne koszmary o stracie Nory i Einsteina lada chwila zaczęły się spełniać, że Przekleństwo Cornella potwierdzi się raz jeszcze. Zarówno dziewczyna, jak i pies znajdowali się bowiem wewnątrz domu, oboje właściwie zupełnie bezbronni, oboje w zasięgu uderzenia potwora ukrytego w kuchni.



Nora otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

Pokrecił przeczaco głowa i przyłożył palec do warg.

Uciszona, zacisnęła bez słowa usta, po czym przeniosła wzrok na rozciągnięte na podłodze zwłoki.

Stapając jak tylko mógł najciszej po zasmieconej podłodze, Travis odniósł wrażenie, że napastnik wyszedł tylnymi drzwiami i teraz skradł się wzdłuż ściany ku głównemu wejściu, obojętny na to, iż w szarym zmierzchu mógł go dojrzec któryś z sąsiadów. Szybki i groźny, łada moment ukaze się w drzwiach frontowych. Między tymi drzwiami a Travisem przystanęła właśnie Nora, więc nie mógłby od razu wystrzelić, a w następnej sekundzie bestia już by jej dopadła.

Starając się nie poddawać panice, usiłując nie myśleć o pozbawionej oczu twarzy Hockneya, Travis przyspieszył kroku, choć było to trochę ryzykowne - coś mogło zatrzeszczec pod jego stopą na pokrytej gruzem i cząstkami porozbijanych przedmiotów podłodze. Miał jednak nadzieję, że drobne dźwięki nie dotrą do kuchni, gdzie mimo wszystko wciąż jeszcze mógł się kryć napastnik. Chwycił Nore za rękę, po czym popchnął ją w stronę drzwi. Wyszli na werandę, a stamtąd, po przebyciu paru stopni, na trawnik. Travis rozglądał się na wszystkie strony, przygotowany na atak koszarnej istoty, tej jednak, na ich szczęście, nigdzie nie było widac.

Strzały oraz krzyki Nory zaalarmowały mieszkańców spokojnej uliczki. W pootwieranych drzwiach stali ludzie, a niektórzy odwagili się nawet wyjść na werandę lub jeszcze dalej, na trawnik przed domem. Ktoś z pewnością zadzwonił już na policję. Ponieważ Einsteina poszukiwano niczym groźnego zbiega, policja stanowiła zagrożenie nie mniejsze niż zółtooki potwór.

Wszyscy troje wsiedli do pikapa, zatrzasnęli drzwi. Travis uruchomił silnik, po czym tyłem wyprowadził samochód wraz z podczepionym don airstreamem z podjazdu na ulicę. Sąsiedzi bacznie obserwowali jego poczynania.

Zmierzch konczyl swoj krotki zywt. Jak to zawsze bywa w poblizu oceanu, szybko zapadaly ciemnosci. Niebo na zachodzie zalane wciaz ciemniejaca, krwawa czerwienia, purpurowe nad ich glowami, na wschodzie przybralo juz czarna barwe. Travis cieszył się, że nadchodziła niosąca dodatkowa zasłone noc, choć dobrze wiedział, że mrok sprzyja również przesladujacej ich bestii.

Przejechal wzdluz szeregu gapiacych się sasiadow - prowadzac zycie samotnika nie znalazl zadnego z nich - po czym skrecil za najblizszym rogiem. Jechal z maksymalna szybkościa, jaka odwazyl się rozwinac. Przyczepa podskakiwala gwałtownie i chwiala się na wszystkie strony, gdy, nieznacznie tylko zwalniając, pokonywal kilka nastepnych zakretow.

-Co się tam stalo? - zapytala Nora.

-To zabilo Hockneya dzis rano albo wczoraj...

-To?

-...i czekalo na nasze przybycie.

-To? - powtorzyla. Einstein zaskomlal.

-Wyjasnie ci pozniej - powiedzial Travis. Prawde powiedziawszy, nie byl pewien, czy zdola cokolwiek wyjasnic. Zaden opis niezwyklej istoty nie oddawal tego, co widzial naprawde. Nie znalazl slow zdolnych wyrazic, jak bardzo byla dziwna.

Gdy mineli zaledwie kilka przecznic, dotarl do nich odglos policyjnych syren. Travis przejechal jeszcze kawalek, po czym zatrzymal samochod na pustym parkingu przed szkola.

-I co teraz? - zapytala Nora.

-Zostawimy tutaj samochod wraz z przyczepa - odrzekl. - Beda ich

szukac.

Wlozyl rewolwer do jej torebki, a ona wsunela tam dodatkowo noz rzeznicki, z ktorym nie bardzo chciala sie rozstawac.

Wysiedli z szoferki i pod oslona gestniejacej nocy przeszli obok szkoły, przecieli boisko, a nastepnie ponad ogrodzeniem z rozpietego na slupkach lancucha przedostali sie na zabudowana domami mieszkalnymi ulice, wzdluz ktorej rosly okazale drzewa.

Wraz z nastaniem ciemnosci goracy, suchy wiatr przybral na sile. Ostre podmuchy podrywaly z ziemi zeschle liscie i gonily po chodniku kleby kurzu.

Travis wiedzial, ze nawet bez samochodu za bardzo rzucal sie w oczy. Sasiedzi na pewno powiedzieli policji, ze nalezy szukac mezczyzny, kobiety i zlocistego retrievera - takiej trojki nie spotyka sie ostatecznie zbyt czesto. Beda chcieli ich odnalezc, by przesluchac oboje w zwiazku ze smiercia Teda Hockneya. Poszukiwania nie beda wiec na pewno pobiezne i na pewno potrwaja dlugo. Musieli zniknac na dobre, i to szybko.

Nie mial zadnych przyjaciol, u ktorych mogliby znalezc schronienie. Po smierci Pauli pozrywawal wszystkie, zawsze zreszta nieliczne, znajomosci. Nie utrzymywal takze zadnych kontaktow z agentami handlu nieruchomosciami, ktorzy niegdys dla niego pracowali. Za sprawa Violet, Nora rowniez nie miala zadnych bliskich znajomych.

Plonace cieplym swiatlem okna mijanych po drodze domow jakby draznily sie z nimi, obiecujac nieosiagalny w rzeczywistosci azyl.

Okazała budowla w stylu Tudorów, w której mieszkał Garrison Dilworth, wzniesiona na tonacej w zieleni polakrowej działce, położonej między Santa Barbara i Montecito, pasowała nieszczególnie do krajobrazu kalifornijskiego, natomiast doskonale harmonizowała z postacią samego prawnika. Dilworth sam otworzył im drzwi. Tego wieczora ubrany był w szare spodnie, błękitna sportowa marynarka, biała koszula i czarne pantofle. Na nosie miał okulary używane do czytania, z polówkami soczewek. Posłał im znad nich zdziwione, lecz zarazem przyjazne spojrzenie. - Witajcie, nowozency!

- Czy jest pan sam? - zapytał Travis, gdy tylko wraz z Nora i Einsteinem znaleźli się w dużym, wyłożonym marmurem holu.

- Czy sam? Tak.

Zanim tutaj dotarli, Nora zdążyła powiedzieć Travisowi, że żona prawnika zmarła przed trzema laty i obecnie piecze nad nim sprawowała gospodyni, Gladys Murphy.

- A pani Murphy? - zadał następne pytanie Travis.

- Wyszła do domu - odparł adwokat, zamykając za nimi drzwi. - Jesteście chyba czymś zdenerwowani. Czy coś się stało?

- Potrzebujemy pomocy - oświadczyła Nora.

- Ale - wtracił Travis ostrzegawczo - każdy, kto nam pomaga, może wejść w konflikt z prawem.

Garrison uniosł brwi.

- A coż takiego zrobili? Sądząc po waszych minach, należałoby przypuszczać, że chodzi tu co najmniej o porwanie prezydenta. - Nie zrobiliśmy niczego złego - zapewniła go Nora.

-A własnie, ze zrobilismy - zaproponowal Travis. - I robimy w dalszym ciagu, przetrzymujac tego psa.

Garrison popatrzył ze zdziwieniem na retrievera.

Einstein zapiszczał i przybrał wyglad skrzywdzonej niewinnosci.

-Poza tym, w moim domu znajduje sie martwy czlowiek - dodal Travis.

Garrison przeniosl wzrok z psa na Travisa.

-Martwy czlowiek?

-Ale to nie Travis go zabil - wyjasnila Nora. Garrison ponownie zmierzyl spojrzeniem Einsteina.

-Ani pies - rozwial jego watpliwosci Travis. - Bede natomiast poszukiwany jako swiadek. To wiecej niz pewne.

-Mmmm - mruknal Garrison - moze przejdziemy do gabinetu. Tam sobie wszystko wyjasnimy.

Poprowadzil ich przez ogromny, slabo oswietlony salon i krotki korytarz do wylozonego drewnem tekowca gabinetu. Na umeblowanie pracowni skladaly sie dwa wygodne fotele oraz kanapa, obite skora kasztanowej barwy i polerowane, masywne, tekowe biurko. Na jego blacie stal wierny model pieciomasztowego szkunera pod pelnymi zaglami. Pokoj ozdabialy rozne zeglarskie sprzety - kolo sterowe, mosiezny sekstans, zakrzywiony rog wolu, z ktorego sterczaly igly do szycia zagli, szesc okretowych latarni roznych typow, dzwon sternika i morskie mapy. Travis dostrzegl tez kilka fotografii ukazujacych te sama pare - mezczyzne i kobiety - na pokladzie roznych zaglowek. Mezczyzna tym byl Garrison.

Na malym stoliku, przy jednym z foteli, obok otwartej ksiazki stala oprozniona do polowy szklanka szkockiej. Widocznie w chwili, gdy zadzwonili do drzwi, adwokat zajety byl lektura. Teraz zapytal ich,

czego sie napija, a oni zgodnie odrzekli, ze prosza o to samo, co pije gospodarz.

Einstein pozostawil kanape Norze i Travisowi, a sam zajal drugi z foteli. Nie zwinal sie w klebek, lecz siedzial wyprostowany, jak gdyby zamierzal uczestniczyc w majacej sie odbyc rozmowie.

Garrison otworzyl ustawiony w kacie barek, wrzucil lod do dwoch szklanek i zalal go chivas regal. Nora, choc nie pijala dotad whisky, ku zdumieniu Travisa wypila swego drinka dwoma dlugimi lykami, po czym poprosila o nastepny. Uznawszy to za swietny pomysl, Travis poszedl w jej slady i odniosl pusta szklanke do barku, gdzie Garrison nalewal wlasnie porcje dla Nory.

-Chce opowiedziec panu o wszystkim i uzyskac panska po - moc - rozpoczel Travis - ale musi pan zrozumiec, ze w ten sposob moze pan naruszyc prawo.

Garrison spokojnie odmierzal chivas.

-Mowi pan teraz jak laik. Jako prawnik moge pana zapewnic, ze prawo to nie wyryta w marmurze linia, nieruchoma i nie podlegajaca zmianom przez cale stulecia. Prawo... przypomina bardziej strune, umocowana na obu koncach, lecz pozwalajaca wygrywac wiele melodii. Struna ta jest bardzo luzna, tak wiec mozna ja naciagnac w jedna lub druga strone. Niemal zawsze, chocby w gre wchodzila oczywista kradziez albo morderstwo z zimna krwia, mozna sie utrzymac po wlasciwej stronie. To smutne, ale niestety prawdziwe. Nie sadze, aby cokolwiek z tego, co ma mi pan do powiedzenia, zapewnilo mi wczasy w wieziennej celi, Travis.

W pol godziny pozniej wiedzial juz wszystko o Einsteinie. Jak na czlowieka, ktory za pare zaledwie miesiecy mial obchodzic swe siedemdziesiate pierwsze urodziny, siwowlosy adwokat wykazal sie duza pojetnoscia i otwartoscia umyslu. Zadawal rozsadne pytania i nie pozwalal sobie na zadne niemadre zarty. Kiedy dali mu dziesieciominutowy pokaz nieprawdopodobnych umiejetnosci

Einsteina, nie protestował, nie posadzał ich o jakies oszustwo. Uznał za rzeczywisty fakt to, co widział, i dokonał odpowiedniej korekty swych zapatrywan na to, co 'na tym swiecie uznac nalezalo za normalne i mozliwe. Udowodnil przy tym, ze dysponuje intelektem sprawniejszym niz wiekszosc ludzi o polowe od niego mlodszych.

Trzymajac glowe Einsteina na kolanach i delikatnie drapiac go za uszami, Garrison powiedzial:

-Jesli poruszycie srodki masowego przekazu, zorganizujecie konferencje prasowa, narobicie halasu wokol calej sprawy, moze uda sie nam uzyskac zgode sadu na to, by pies pozostal przy was, pod wasza opieka.

-Naprawde mysli pan, ze to sie uda? - zapytala Nora.

-W najlepszym razie mamy piecdziesiat procent szans - przyznal adwokat.

Travis potrzasnal glowa.

-Nie. Nie bedziemy ryzykowac.

-Co w takim razie zamierza pan zrobic?

-Uciekac. Caly czas uciekac.

-I co chce pan osiagnac w ten sposob?

-To, ze Einstein pozostanie wolny. Pies parsknieciem wyrazil swa aprobate.

-Pozostanie wolny, ale na jak dlugo? - nie ustepowal Garrison. Travis poderwal sie na nogi i zaczal krazyc po pokoju. Byl zbyt poruszony, by mogl siedziec dluzej na miejscu.

-Oni nie zaprzestana poszukiwan - przyznal po chwili. - W kazdym razie nie przed uplywem paru najblizszych lat.

-Nigdy nie zrezygnuj - poprawił go adwokat.

-W porządku, będzie ciężko, ale tylko to nam pozostaje. Nie pozwolimy, żeby dostał się znowu w ich ręce. On boi się laboratorium. Poza tym, to właśnie on w znacznej mierze przywrócił mi chęć do życia...

-I uratował mnie przed Streckiem - dodała Nora.

-To on nas połączył - przypomniał Travis.

-Odmienił nasze życie.

-Odmienił gruntownie nas samych. Jest nam teraz tak bliski, jak gdyby był naszym dzieckiem - wyznał Travis. Napotkał wdzięczne spojrzenie psich oczu i wzruszenie scisnęło mu gardło. - Bedziemy o niego walczyć, tak jak on walczył za nas. Jesteśmy jedną rodziną. Albo będziemy razem żyć... albo razem umrzemy.

Garrison poglądził retrievera po grzbiecie.

-Szukac was będą nie tylko ludzie z laboratorium. I nie tylko policja.

-Ta druga istota - skinął głową Travis. Einstein wyraźnie zadrzał.

-No, no, spokojnie - Garrison próbował dodać psu otuchy, zwracając się znowu do Trávisa, rzekł: - Czym, według pana, jest tamto stworzenie? Słyszałem, co prawda, pański opis, ale niewiele mi to dało.

-Czymkolwiek by było - odparł Travis - nie jest z pewnością dziełem Boga. Jest dziełem człowieka. Przypuszczam, że mamy tu do czynienia z efektem pewnych badań nad rekombinowanym DNA. Bóg jeden wie, dlaczego je przeprowadzono i jaki cel przyswierał twórcom tego potwora. My wiemy tylko jedno - że doprowadzili swe dzieło do końca.

-Wygląda na to, iż stworzenie to posiada zdumiewającą umiejętność



podazania waszym sladem.

-Raczej sladem Einsteina - wtracila Nora.

-Dlatego tez bedziemy wciaz podrozowac - powiedzial Travis. - Czeka nas dluga droga.

-A to wymaga pieniedzy, lecz niestety banki beda zamkniete przez najblizszych dwanasie godzin - zauwazyl Garrison. - Tymczasem cos mi sie wydaje, ze jesli zamierzacie uciekac, powinniscie wyruszyć jeszcze tej nocy. - I tu wlasnie chcielibysmy skorzystac z panskiej pomocy - wyjasnil Travis.

Nora otworzyla torebke i wydobyła z niej dwie ksiazeczki czekowe, Travisa oraz wlasna.

-Garrison, chcielibysmy wypisac dwa чеки platne na pana nazwisko, jeden z rachunku Travisa i jeden z mojego. Co prawda, Travis ma na koncie biezacych tylko trzy tysiace, lecz w tym samym banku zlozyl takze pokazne oszczednosci i upowaznienie do przelewu gotowki z konta na konto, aby nie dopuscic do wypadku, ze wystawi czek, na ktory nie bedzie mial pokrycia. Moj rachunek zostal zalozony na takich samych zasadach. Jezeli wystawimy dwa чеки po dwadziescia tysiecy kazdy - oczywiscie z wczesniejsza data - bedzie pan mogli zazadac przelewu na panskie konto, a gdy tylko pieniadze wplyna, kupi pan za nie osiem czekow gotowkowych po piec tysiecy i wysle je dla nas.

-Policja bedzie chciala mnie przesluchac, ale szybko dojdzie do wniosku, ze to nie ja zabilem Teda Hockneya, poniewaz zaden czlowiek nie bylby w stanie tak go okaleczyc - powiedzial Travis. - Dlatego przypuszczam, ze raczej nie zablokuja mi konta.

-Jezeli badania, ktore doprowadzily do stworzenia Einsteina i tej bestii, byly sponsorowane przez jakies federalne agencje - zauwazyl Garrison - wowczas ich presja moze okazac sie na tyle silna, iz spowoduje zamrozenie twoich oszczednosci.

-Byc moze. Ale prawdopodobnie takze nie od razu. Poniewaz mieszkamy w tym samym miescie, panski bank powinien zrealizowac moj czek najpозniej w poniedzialek.

-Skad wezmiecie pieniadze, aby przezyc do czasu, az przysle wam te czterdziestci tysiecy?

-Troche gotowki i czekow podrozných zostalo nam z podrozy poslubnej - wyjasnila Nora.

-Mam tez moje karty kredytowe - dodal Travis.

-Karty kredytowe i чеки podrozne naprowadza ich na wasz slad.

-Wiem o tym - przytaknal Travis. - Dlatego tez posluzymy sie nimi tylko tam, gdzie nie bedziemy zatrzymywac sie na dluzej, a po przeprowadzeniu transakcji zmienimy natychmiast miejsce pobytu.

-Dokad mam wyslac te чеки gotowkowe?

-Skontaktujemy sie z panem telefonicznie - odparl Travis, siadajac na kanapie obok Nory. - Cos tymczasem wymyslmy.

-A co z reszta pieniedzy na waszych kontach?

-Bedziemy sie tym martwic pozniej - powiedziala Nora. Garrison zmarszczyl czolo. - Przed wyjazdem moglby pan podpisac pelnomocnictwo upowazniajace mnie do reprezentowania pana we wszystkich sprawach, jakie moga byc prowadzone w przyszlosci. Gdy ktos sprobujе zablokowac panskie konto lub konto Nory, bede mogl taka decyzje podwazyc, jesli tylko okaze sie to w ogole mozliwe. Oczywiscie, szanse powaznie zmaleja z chwila, gdy policja skojarzy z wami moja skromna osobe.

-Pieniadze Nory wydaja sie na razie bezpieczne. Oprocz pana nikt nie wie o naszym slubie. Sasiedzi zeznaja, ze odjechalem w towarzystwie jakiejс kobiety, lecz nie beda w stanie podac jej nazwiska. Czy

wspominal pan komus o naszym malzenstwie?

-Tylko mojej sekretarce, pani Ashcroft, ale ona nie jest plotkarka.

-To swietnie - ucieszył sie Travis. - Nie sadze, aby wladze natrafily na nasz akt slubu, wiec dotarcie do nazwiska Nory zajmie im troche czasu. Kiedy jednak juz je zdobeda, odkryja, ze jest pan jej prawnikiem. Jesli zaczna badac moje konta, liczac na to, ze realizowane czeki powiedza im, gdzie przebywam, dowiedza sie rowniez o wypłaconych na panskie nazwisko dwudziestu tysiacach, a wtedy na pewno zechca z panem porozmawiac...

-To mi zupełnie nie przeszkadza - odparl Garrison.

-Moze i nie. Ale gdy tylko powiaza mnie z Nora i nas oboje z panem, znajdzie sie pan pod scisla obserwacja. Dlatego tez... kiedy nastepnym razem zadzwonimy do pana, bedzie pan musial jak najszybciej przekazac nam wiadomosc. Potem zerwiemy wszelkie kontakty.

-Rozumiem.

-Garrison - powiedziala Nora - nie wiem, moze nie powinien sie pan w to angazowac. Doprawdy, zadamy od pana zbyt wiele.

-Posluchaj, moja droga. Mam prawie siedemdziesiat jeden lat. Nadal prowadze praktyke, nadal zegluje... ale, prawde powiedziawszy, zycie wydaje mi sie ostatnio jakies nudne. Potrzebuje czegos takiego, zeby przyspieszyc krazenie mojej starej krwi. Poza tym, uwazam, ze jestescie zobowiazani do zapewnienia Einsteinowi wolnosci nie tylko z przyczyn, o ktorych przed chwila wspomnieliscie... lecz takze dlatego, ze ludzkosc nie ma prawa tworzyć nowych inteligentnych gatunkow moca swego geniuszu, a potem traktowac ich przedstawicieli tak, jakby stanowili jej wlasnosc. Skoro zaszliśmy tak daleko, ze jesteśmy w stanie tworzyć, jak tworzy Bog, nauczmy sie rowniez postepowac sprawiedliwie i milosiernie, podobnie jak On. A w tym wypadku zarowno sprawiedliwosc, jak i milosierdzie wymagaja, by Einstein

pozostal wolny. Einstein oderwal glowe od kolan prawnika, obrzucil go pelnym podziwu spojzeniem, a potem przeciagnal zimnym nosem po jego podbrodku.

W garazu Garrisona staly trzy samochody: nowiutki czarny mercedes 560 SEL, nieco starszy bialy mercedes 500 SEL z bladoblekitnym wnetrzem oraz zielony dzip, ktorym prawnik jezdzil glownie do przystani, gdzie cumowala jego lodz.

-Ten bialy nalezal do Francine, mojej zony - tlumaczyl Garrison prowadzac ich w strone wozu. - Od dnia jej smierci wlasciwie go nie uzywalem, chociaz utrzymywalem go w pelnej sprawnosci, a od czasu do czasu jezdzielam nim na krotkie przejazdki, aby zapobiec starzeniu sie opon. Powinienem byl sie go pozbyc, kiedy Franny umarla. Ten woz nalezal do niej. Ale... ona tak bardzo go kochala... Pamietam tez, jak wygladala, siedzac za kierownica... Chce, zebyscie go wzeli.

-Samochod za szescdziesiat tysiecy dolarow? - Travis przejechal dlonia po blyszczacej masce. - Zanosi sie na uciezke w wielkim stylu.

-Nikt nie bedzie go szukac - powiedzial Garrison. - Nawet jesli w koncu skojarza nas ze soba, nie beda wiedziec, ze dalem wam jeden z moich samochodow.

-Nie mozemy przyjac tak kosztownego prezentu - zaprotestowala Nora.

-Potraktujemy to wiec jak pozyczke - zaproponowal prawnik. - Kiedy juz staniecie na nogi, kiedy kupicie nowy samochod, zostawicie mercedesa na jakims parkingu, gdziekolwiek: na dworcu autobusowym, na lotnisku - a potem zadzwonicie i powiecie, gdzie stoi. Wtedy wysle kogos, zeby przyprowadzil mi go z powrotem.

Einstein oparl przednie lapy o drzwi od strony kierownicy, po czym zajrzal do wnetrza wozu. Po chwili popatrzytl na Travisa i Nore, a nastepnie parsknal, jakby chcial im powiedziec, iz beda glupcami, jesli odrzuca taka propozycje.

Wyjechali z domu Garrisona Dilwortha we srode o dwudziestej drugiej pietnascie. Prowadzil Travis. Ruszyli na polnoc Droga 101. Okolo wpol do pierwszej w nocy przejechali przez San Luis Obispo, o pierwszej zas mineli lezace nieco z boku Paso Robles. O drugiej, gdy od Salinas dzielila ich jeszcze godzina drogi, zatrzymali sie przy samoobslugowej stacji benzynowej. Nora czula sie kims zupełnie bezuzytecznym. Nie mogla nawet zastapic Travisa za kierownica, bo nie umiala prowadzic samochodu. Wine za ten stan rzeczy ponosila przede wszystkim Violet Devon - byl to przeciez efekt narzucanego przez nia Norze tak dlugo ascetycznego i samotniczego modelu zycia. Swiadomosc tego faktu wcale jednak nie poprawiala samopoczucia dziewczyny. Byla z siebie w najwyzszym stopniu niezadowolona. Ale nie zamierzala bynajmniej pozostac tak bezradna do konca zycia. O nie, za zadne skarby. Nauczy sie prowadzic samochod i poslugiwac bronia. Travis jej pomoze. Pomoze jej takze w opanowaniu podstawowych zasad walki wrecz, judo albo karate. To dobry nauczyciel. Spisal sie calkiem niezle, uczac ja sztuki milosci. Na mysl o tym usmiechnela sie z satysfakcja. Uczucie niezadowolenia z siebie stopniowo mijalo.

Przez nastepne dwie i pol godziny, gdy minawszy Salinas w dalszym ciagu posuwali sie na polnoc, w strone San Jose, Nora wielokrotnie zapadala w niespokojna drzemke. Gdy sie budzila, probowala czerpac otuche z odczytywanych na drogowskazach odleglosci. Po obu stronach autostrady zalane lodowatym swiatlem ksiezycy tereny uprawne zdawaly sie ciagnac w nieskonczonosc. Kiedy ksiezyc zaszedl, jechali niekiedy calymi milami wsrod nieprzeniknionych ciemnosci, rozpraszanych jedynie na moment przez swiatla rzadko rozsianych farm i przydroznych moteli.

Zoltooka bestia podazajac sladem Einsteina od podnoza gor Santa Ana w Orange County az do Santa Barbara, pokonala odleglosc okolo stu dwudziestu pieciu mil w linii prostej i okolo trzystu, jesli liczyc droge, ktora musiala chyba przebyc w rzeczywistosci, w dzikim

terenie. Potrzeba jej było na to trzech miesięcy. Tempo niezbyt imponujące. Jeżeli więc przejechała teraz trzysta mil dzielących Santa Barbara od rejonu zatoki San Francisco, gdzie zamierzali poszukać schronienia, mogą mieć zapewniony spokój na najbliższe siedem, osiem miesięcy. Może też się zdarzyć, że bestia w ogóle ich nie znajdzie. Na jaką wielką odległość może ona wyczuwać Einsteina? Na pewno istniały jakieś granice wyznaczające zasięg działania tego niezwykłego zmysłu. Na pewno.

10

O jedenastej przed południem we czwartek Lemuel Johnson stał na środku sypialni w niewielkim domku wynajmowanym dotychczas przez Trávisa Cornella. Wmontowane w szafę lustro zostało rozbite. Wiele innych sprzętów uległo także zniszczeniu, jak gdyby Obcy doznał ataku zazdrości, ujrzawszy, że pies żyje otoczony wygodami, podczas gdy on musi się walczyć po pustkowiach i wieść swój żywot w znacznie prymitywniejszych warunkach. Pośród pokrywających podłogę kawałków rozbitych przedmiotów Lem wypatrzył cztery fotografie w srebrnych ramkach, które zapewne stały na stoliku. Pierwsza z nich ukazywała Cornella w towarzystwie atrakcyjnej blondynki. Lem zdążył już na tyle poznać życiorys Cornella, że mógł odgadnąć, iż jest to jego nieżyjąca żona, Paula. Następne zdjęcie, czarno-biały portret mężczyzny i kobiety, było tak stare, że Lem domyślił się, iż uśmiechająca się do obiektywu para to rodzice Cornella. Z trzeciej fotografii spoglądał na Lema młodego, jedenastoletniego albo dwunastoletniego chłopca. Ta odbitka, również czarno-biała, mogła ukazywać samego Trávisa, choć bardziej prawdopodobne wydawało się przypuszczenie, że jest to podobizna jego zmarłego tragicznie brata.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało grupę dziesięciu uśmiechniętych żołnierzy, stojących na drewnianych schodach przed jakimś barakiem. Wśród nich znajdował się także Travis Cornell. Na niektórych mundurach Lem dostrzegł charakterystyczną naszywkę Oddziału Delta, elitarnej jednostki antyterrorystycznej.

Poruszony swym ostatnim odkryciem, Lem polozyl fotografie na stoliku, po czym wrocil do salonu, gdzie Cliff grzebal w stercie zakrwawionych papierow. Szukali czegos, co nie wpadlo w oko policji, a dla nich moglo miec kapitalne znaczenie.

NSA przybyla zbyt pozno na miejsce zbrodni w Santa Barbara. Lem zostal zawiadomiony dopiero o szostej rano nastepnego dnia. W rezultacie prasa zdazyla juz roztrabic przerazajace szczegoly dotyczace morderstwa Teda Hockneya. Agencje przescigaly sie w bezpodstawnych spekulacjach, usilujac znalezc odpowiedz na pytanie, co moglo zabic Hockneya. Najwiekszym powodzeniem cieszyła sie teoria utrzymujaca, jakoby Cornell hodowal jakiegos egzotycznego, a niebezpiecznego kota, geparda lub pantere, który zaatakowal wlasciciela domu, gdy ten zjawil sie nieoczekiwanie pod nieobecność Cornella. Telewizyjne kamery z upodobaniem wędrowaly po rozdartych, zbryzganych krwia ksiazkach. Sprzet nalezal do ekipy magazynu National Enquirer, co specjalnie Lema nie zdziwilo, poniewaz zdawal sobie sprawe, ze linia oddzielajaca sensacyjne czasopisma w rodzaju Enquirera od tak zwanej prasy powaznej byla czestokrot cienksza, niz wiekszosc dziennikarzy miala odwage to przyznac.

Przed przybyciem na miejsce zbrodni Lem opracowal i rozkrecil kampanie dezinformacyjna, ktorej celem bylo podtrzymanie rozpetanej przez srodki masowego przekazu hysterii wokol przebywajacych na wolnosci drapieznikow z dzungli. Oplaceni przez NSA ludzie mieli zeznac, ze znali Cornella, i potwierdzic, iz oprocz psa trzymal w domu pantere. Inni, ktorzy takze nigdy go na oczy nie widzieli, podadza sie za jego przyjaciol i ze smutkiem na twarzy beda opowiadac o tym, jak to tyle razy namawiali go, aby pozbawil pantere klow oraz pazuw, zanim ta osiagnie dojrzalosc. Policja bedzie chciala przesluchac Cornella, a takze nie zidentyfikowana kobiete, by dowiedziec sie czegos blizszego o panterze i obecnym miejscu jej pobytu.

Lem byl pewien, ze dziennikarze dadza sie wyprowadzic w pole, ze nie znajdzie sie nikt, kto bylby na tyle dociekliwy, zeby dotrzec do

prawdy.

Oczywiście Walt Gaines w Orange County usłyszy o tym morderstwie, skontaktuje się ze swymi kolegami z tutejszej policji i domysli się natychmiast, że w poszukiwaniu psa Obcy dotarł aż tak daleko na północ. Całe szczęście, iż doszedł z Waltem do porozumienia.

Wchodząc do salonu, gdzie pracował Cliff Soames, Lem zapytał:

-Znalazłeś coś?

Młody agent podniósł się z kłeczek, otrząpiał dłonie i odrzekł:

-Tak. Położyłem to na stole w jadalni.

Lem ruszył w ślad za nim do jadalni. Jedyńm leżącym na stole przedmiotem był gruby kolumnotatnik. Przekartkowawszy go pobieżnie stwierdził, że na każdej parzystej (lewej) stronie powklejano wycięte z magazynów fotografie, podczas gdy na nieparzystej (prawej) wypisano dużymi, drukowanymi literami nazwy pokazanych obok przedmiotów: DRZEWO, DOM, SAMOCHOD...

-Co o tym myślisz? - zapytał Cliff.

Lem nie odpowiedział. Z nachmurzoną miną nadal wertował notatnik. Wiedział, że ten przedmiot ma bardzo ważne znaczenie, choć początkowo nie potrafił określić dlaczego. Dopiero po chwili doznał nagle ośnienia:

-To elementarz. Do nauki czytania.

-Zgadza się.

Lem dostrzegł uśmiech na twarzy swego asystenta.

-Myślisz, że dowiedzieli się o inteligencji psa, że retriever pokazał im, co umie? I wtedy postanowili... nauczyć go czytać? - Na to wygląda - powiedział Cliff, nie przestając się uśmiechać. - Wielki Boże, sądzisz,



ze to mozliwe? Ze mozna go bylo uczyc czytac?

-To nie ulega watpliwosci - odrzekl Lem. - Harmonogram eksperymentow doktora Weatherby'ego przewidywal nauke czytania jesienia tego roku.

Cliff nie potrafil ukryc zdumienia:

-A niech mnie diabli!

-Nie przezywaj tego tak bardzo - sprowadzil go na ziemie Lem - tylko rozwaz lepiej cala sytuacje. Ten facet wie o niebywalych umietnosciach psa. Mogl nawet nauczyc go czytac. Musimy zatem przyjac, ze znalazl jakis sposob porozumiewania sie ze zwierzeciem. Wie, iz retriever uciekl z laboratorium. Domysla sie, ze poszukuje go mnostwo ludzi.

-Musi tez wiedziec o Obcym - dodal Cliff. - Pies na pewno znalazl sposob, zeby mu o nim powiedziec.

-Tak. A jednak, wiedzac to wszystko, pozostaje w ukryciu. Nie probuje tez sprzedac posiadanych informacji. Gdyby byl typem bojownika o sprawiedliwosc, moglby zwolac konferencje prasowa i oskarzyc Pentagon o prowadzenie tego rodzaju badan.

-Czego takze nie zrobil. - Cliff zmarszczyl czolo.

-A to oznacza przede wszystkim, ze przywiazal sie do psa, ze chce go zatrzymac dla siebie i nie dopuscic, by go schwytano.

Cliff pokiwal glowa.

-Nie ma w tym nic dziwnego. Jezeli to, co o nim uslyszelismy, jest prawda... Ten facet w mlodosci stracil cala rodzine. Przed uplywem roku umarla mu zona. Zgineli wszyscy koledzy z Delt. Stal sie wiec samotnikiem, zerwal kontakty ze wszystkimi przyjaciolmi. Musial byc cholernie samotny. A potem nieoczekiwanie zjawil sie ten pies...

-Wlasnie - wpadl mu w slowo Lem. - Dla czlowieka przeszkolonego w Delcie znikniecie bez sladu jest sprawa dziecinnie latwa. A jesli kiedysgo odnajdziemy, bedzie wiedzial, jak walczyć o psa. Jezu, akurat to bedzie wiedzial doskonale!

-Nie mamy jeszcze potwierdzenia poglosek o tym, ze sluzyl w Oddziale Delta - powiedzial Cliff z nadzieja w glosie.

-Ja mam - stwierdzil Lem i powiedzial o fotografii znalezionej w zdemolowanej sypialni.

Cliff westchnal.

-Wdepnelismy w niezle gówno.

-Po sama szyje - przytaknal Lem.

11

Dojechali do San Francisco we czwartek, o szostej rano, a w pol godziny pozniej znalezli odpowiedni motel, nowoczesny i czysty. Co prawda nie zezwalano tu na trzymanie w pokojach zwierzat, lecz przemycenie Einsteina nie sprawilo im szczegolnych trudnosci. Travis zameldowal sie pod wlasnym nazwiskiem, choc istnialo w zasadzie niewielkie prawdopodobienstwo, ze wydano juz nakaz jego arestowania. Po prostu musial tak postapic, poniewaz Nora nie miala ani kart kredytowych, ani prawa jazdy. W dzisiejszych czasach recepcjonisci przyjmuja gotowke jedynie po okazaniu dokumentu potwierdzajacego tozsamosc, a wszechobecne komputery zadaja dokladnych danych o kazdym z gosci.

Na wszelki wypadek podal natomiast falszywa marke i numery rejestracyjne samochodu. Przezornie zaparkowal go tak, by byl niewidoczny z okien recepcji.

Zaplacili tylko za jeden pokoj i pozwolili Einsteinowi zostac ze soba, poniewaz tym razem nie zamierzali sie kochac. Zmeczony Travis

zdołał zaledwie pocałować Nore, po czym natychmiast zapadł w głęboki sen. Snily mu się potwory o złotych oczach, zniekształconych głowach i krokodylich paszczach najezonych zębami rekina.

Obudził się po pięciu godzinach, parę minut po dwunastej.

Nora wstała nieco wcześniej, wzięła prysznic, a następnie włożyła z powrotem jedyne ubranie, jakim dysponowała. Mokre włosy oblepiły jej szyję.

-Woda jest gorąca i odświeżająca - powiedziała, gdy się obudził.

-Ja też! - wykrzyknął zamykając ją w objęciach i zasypując pocałunkami.

-To lepiej ochłon - poradziła, uwalniając się z jego ramion. - Małe uszy podsłuchują.

-Einstein? On ma duże uszy.

Po wejściu do łazienki ujrzał Einsteina stojącego na blacie szafki obok umywalki. Umywalka pełna była zimnej wody, a pies gasił w niej pragnienie.

-Wiesz co, kudłata mordo, większość psów jest zdania, że łazienka to idealne źródło wody do picia.

Einstein posłał mu niechętne spojrzenie, zeskoczył na podłogę i wybiegł z łazienki.

Travis nie miał czym się ogolic, uznał jednak, że jednodniowy zarost nada mu odpowiedni wygląd do roli, jaką będzie musiał odegrać wieczorem w dzielnicy Tenderloin. Opuscili motel i zjedli lunch w pierwszym napotkanym po drodze barze McDonalda. Potem odszukali miejscowe przedstawicielstwo banku z Santa Barbara, który prowadził rachunki Trávisa. Wykorzystali komputerowe karty bankowe Mastercard, spieniężyli też dwie karty systemu Visa i otrzymali w

sumie tysiąc czterysta dolarów. Następnie odwiedzili biuro American Express, gdzie posługując się czekami Trávisa i jego Złota Karta, zainkasowali maksymalną dopuszczalną kwotę pięciuset dolarów w gotówce, a oprócz tego cztery i pół tysiąca w czekach podróżnych.

W sumie, gdy dodali jeszcze do tego dwa tysiące sto dolarów w gotówce oraz czekach podróżnych, jakie zostały im po podróży poślubnej, zgromadzili osiem i pół tysiąca dolarów.

Resztę popołudnia i wczesny wieczór przeznaczili na zakupy. Płacąc kartami kredytowymi kupili zestaw walizek, a następnie zapelnili je ubraniami. Pamiętali także o kompletach przyborów toaletowych dla obojga i elektrycznym aparacie do golenia dla Trávisa.

Travis ponadto kupił scrabble'a, co widząc Nora spytała:

-Chyba nie jesteś w nastroju do zabawy, prawda?

-Nie - odparł tajemniczym tonem, zadowolony, że ją zainteresował. - Wyjaśnię ci później.

Na pół godziny przed zachodem słońca, upchnawszy zakupy w pojemnym bagażniku mercedesa, Travis wyruszył w kierunku Tenderloin, dzielnicy San Francisco leżącej poniżej O'Farrell Street i wcisniętej pomiędzy Market Street i Van Ness Avenue. Było tu mnóstwo niedźnych barów, których główną atrakcję stanowiły występy tancerek topless, spelunek, w których kelnerki nie miały na sobie dosłownie niczego, salonów, gdzie płacić od minuty, mężczyźni zasiadali z młodymi, nagimi dziewczynami do rozmów o seksie, przy czym zazwyczaj na rozmowach się nie kończyło.

Nora zaczynała się już powoli uważać za osobę doświadczoną, a nawet wyrafinowaną, ale obrazy tak głębokiej degeneracji podziały na nią szokująco. Była całkowicie zaskoczona panującym w Tenderloin zepsuciem. Z otwartymi ustami wpatrywała się w krzykliwe neonowe reklamy seansów podglądania, damskich zapasów w błoć, popisów uważających się za kobiety mężczyzn, łazni dla

homoseksualistów czy salonów masażu. Znaczenia niektórych ogłoszeń nie rozumiała w ogóle, toteż w pewnej chwili zapytała:

-Co to znaczy "Zajrzyj w Różową Dziurkę"? Rozglądając się za miejscem do parkowania, Travis wyjaśnił:

-Oznacza to, że ich dziewczyny tańczą zupełnie nago, a w trakcie tańca rozszerzają srom, aby widzowie mieli pełniejszy obraz ich wdziaków. - Nie!

-Tak.

-Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć. A co kryje się za "Ekstremalnym zbliżeniem"?

-Dziewczyny tańczą tuż przy stolikach gości. Prawo nie zezwala na dotykanie, ale dziewczyny tańczą bardzo blisko, wymachując nagimi biustami tuż przed twarzami klientów. Między ustami mężczyzn a sutkami ich piersi uda ci się wsunąć jeden, najwyżej dwa arkusze papieru. Na trzeci zabraknie ci już miejsca.

Na tylnym siedzeniu Einstein parsknął z niesmakiem.

-Zgadza się z tobą, chłopie.

Przejechali obok podejrzanie wyglądającego lokalu, przyozdobionego migocącymi, czerwonymi i żółtymi żarówkami. Napis na obwodzie z niebieskich oraz purpurowych neonówek głosił: LIVE SEX SHOW.

Nora była wstrząsnięta.

-Mój Boże, czy to znaczy, że są inne widowiska, gdzie uprawia się seks z umarłymi?

Travis dostał tak silnego napadu śmiechu, że omal nie zatrzymał się na tylnym zderzaku wyladowanego licealistami samochodu, który jechał przed nimi.

-Nie, nie, nie. Nawet Tenderloin ma swoje granice. "Live" oznacza w tym wypadku przeciwieństwo filmu, zapowiada, że coś dzieje się "na żywo". Możesz oglądać seks na ekranie, są teatry dające wyłącznie pornograficzne spektakle, natomiast tutaj, zgodnie z zapowiedzią, seks powinien być uprawiany bezpośrednio na oczach widzów. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy dotrzymują tej obietnicy.

-Wcale nie jestem tego ciekawa! - zapewniła go Nora tonem przypominającym Dorotkę z Kansas, która właśnie wkroczyła do niezwykłej Krainy Oz. - Co my tutaj właściwie robimy?

-W to miejsce przychodzisz wtedy, gdy potrzebujesz czegoś, czego nie dostaniesz na Nob Hill - na przykład młodych chłopców albo naprawdę dużej partii narkotyków. Albo fałszywego prawa jazdy z kompletem innych dokumentów.

-Och! - wykrzyknęła. - Och tak, rozumiem. Teren ten jest kontrolowany przez podziemie, przez ludzi takich jak Corleone z "Ojca chrzestnego".

-Jestem pewien, że większość z tego, co widzisz dookoła, należy do mafii - powiedział wprowadzając mercedesa na wolne miejsce przy krawężniku. - Nie myśl tylko przypadkiem, że prawdziwa mafia to grono szacownych cwaniaków pokroju Corleone.

Einstein zgodził się zostać w mercedesie. - Coś ci powiem, kudłata mordo - zaszotał na odchodne Travis. - Jeśli dopisze nam szczęście, tobie także załatwimy nowe papiery. Zrobimy z ciebie pudła.

Nora ze zdziwieniem stwierdziła, że gdy tylko nad miastem zapadł zmierzch, wiatr wiejący od zatoki stał się tak chłodny, że musieli nałożyć nylonowe, ocieplane kurtki, które kupili podczas popołudniowych zakupów.

-Nawet latem noce mogą być tutaj chłodne - tłumaczył Travis. - Wkrótce pojawi się mgła. Nagromadzone w ciągu dnia ciepło przyciągnie ją z nad wody.

Travis wlozylby kurtke, nawet gdyby byl upal, poniewaz mogl pod nia ukryc tkwiacy za paskiem od spodni nabity rewolwer.

-Czy naprawde bedzie ci potrzebna bron? - zapytala, gdy tylko wysiedli z samochodu.

-Nie sadze. Biore ja przede wszystkim po to, zeby latwiej nam poszlo ze zdobyciem dokumentow.

-Nie rozumiem.

-Zobaczysz sama.

Obejrzała się na samochód. Przygłębiony Einstein obserwował ich przez tylną szybę. Miała wyrzuty sumienia, że zostawiają go samego. Z drugiej strony, wiedziała jednak, że gdyby nawet w miejscach, które zamierzali odwiedzić, tolerowano obecność psów, nie zabraliby go i tak, nie chcąc, by stykał się z tak bezwzględny zepsuciem moralnym.

Travisa interesowały wyłącznie bary z szyldami i reklamami w języku angielskim i hiszpańskim albo tylko hiszpańskim. Niektóre knajpy sprawiały takie wrażenie, jakby przyznawały się otwarcie, że należą do bardzo podrzędnej kategorii, nie wstydząc się złuszczonej farby ani wytartej wykładziny na podłodze. Właściciele innych usiłowali ukryć parszywą naturę swych lokali za fasadą luster i błyszczących świateł. Tylko nieliczne były czyste i miały kosztowny wystroj. W każdym z takich lokali Travis rozmawiał po hiszpańsku z barmanem, a niekiedy również z muzykami, jeśli tacy byli i mieli akurat przerwę w występach; w paru miejscach wręczał różnym ludziom złożone dwudziestodolarowe banknoty. Ponieważ Nora nie знаła hiszpańskiego, nie wiedziała, o co ich pytał ani dlaczego rozdawał pieniądze.

Gdy wyszli na ulicę, by odwiedzić kolejną podejrzaną knajpę, wyjaśnił jej, że najwięcej nielegalnych imigrantów napływało z Meksyku, Salvadora bądź Nikaragui - zdesperowani ludzie uciekali przed

ekonomicznym chaosem i przesładowaniami politycznymi. Dlatego wśród ludzi zainteresowanych fałszywymi papierami Latynosi stanowili grupę najliczniejszą - było ich więcej niż Wietnamczyków, Chinczyków i przedstawicieli innych grup językowych razem wziętych.

-Rozumiesz więc, że najszybciej dotrzemy do producenta podrobionych dokumentów poprzez latynoskie podziemie.

-Trafiles już na jakiś ślad?

-Jeszcze nie. Nie mam na razie żadnych konkretnych informacji. I prawdopodobnie to, za co zapłaciłem, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach było wyłącznie bzdura i kłamstwem. Ale nie przejmuj się - znajdziemy, czego nam trzeba. To dlatego właśnie Tenderloin nie wypada z obiegu: ci, co tu przychodzą, zawsze dostają to, czego im trzeba.

Nora ze zdumieniem przyglądała się mijanym ludziom. Na ulicach, w barach topless, spotkać można było reprezentantów wszystkich narodowości. Azjaci, Latynosi, biali, czarni, a nawet Indianie tłoczyli się tu zgodnym tłumem. Patrzeć na to można było odnieść wrażenie, iż rasowa harmonia była dobroczynnym, choć ubocznym efektem pogoni za grzechem. Dookoła krecili się zadufani w sobie faceci w skorzanych kurtkach i dzinsach. Wyglądali na bandytów; ich obecności mogła się w tym miejscu spodziewać. Oprócz nich widziała jednak urzędników w garniturach, starannie ostrzyżoną dzieciarnię z ogólniaków, chłopaków w kowbojskich strojach, tryskających zdrowiem surferów, którzy sprawiali takie wrażenie, jakby przed chwilą wyskoczyli z filmu Annette Funicello. Włoczedzy, siwowłosi pijacy w cuchnących lachach siedzieli na chodniku lub stali na rogach ulic. Nawet niektórzy spośród urzędników mieli w oczach coś takiego, co budziło w normalnym człowieku chęć ucieczki, jednakże w większości ludzie tu spotykani w innym otoczeniu mogliby uchodzić za zwyczajnych, przyzwoitych obywateli.

Na ulicach było niewiele kobiet. Równie rzadko można je było



dostrzec wśród klienteli barów. Nie, to nie było tak. Spotykało się tu także i panie, tyle że miały wygląd jeszcze bardziej lubieżny niż nagie tancerki i, poza nielicznymi wyjątkami, wszystkie czekały cierpliwie, aż ktoś je kupi.

W barze topless o nazwie "Hot Tips" plynęła z głośników muzyka rockowa była tak głośna, że Nora rozboliła głowę. Szereg pięknych dziewcząt o wspaniałych ciałach, ubranych jedynie w szpilki i skape, nazywane cekinami majtki, tańczyło przy stolach, prezac się, wyginając i kolysząc piersiami tuż przed spoconymi twarzami mężczyzn, którzy wpatrywali się w nie jak urzeczeni albo pohukiwali i klaskali w dłonie. Inne, równie piękne dziewczyny, także w topless, pełniły na sali obowiązki kelnerek.

Travis wdał się w pogawedkę z barmanem, a tymczasem oczy wielu mężczyzn powędrowały w stronę Nory, ich spojrzenia wyrażały jednoznaczne uznanie dla jej urody. Dostrzegłszy to Nora dostała gęsiej skórki i wbiła dłoń w ramię meza. Nie dałaby się od niego oderwać nawet traktorem.

Wypełnione zapachem zwierzęcego piwa i whisky, wonia tanich perfum, odorem spoconych ciał i dymem z papierosów powietrze było gęste niczym w parowej łaźni, choć niewatpliwie o wiele mniej zdrowe.

Zacisnąwszy zęby, Nora pomyślała: Jest mi niedobrze, ale zapanuje nad sobą, na pewno nie zrobię z siebie idiotki.

Po paru minutach prowadzonej w szybkim tempie rozmowy, Travis podał barmanowi kilka dwudziestek, po czym skierował się na zaplecze. Przed kotarą z nanizanych na sznurki paciorków siedział na krześle potężny mężczyzna, przypominający posturą Arnolda Schwarzeneggera. Miał na sobie czarne skórzane spodnie oraz białe bawełniane podkoszulek. Jego ramiona przywodziły na myśl pnie drzew, a twarz sprawiała wrażenie odlanej z betonu. Szare, głęboko osadzone oczy wydawały się niemal przezroczyste. Travis zamienił z nim kilka słów po hiszpańsku, a na koniec wręczył dwie dwudziestki.

Muzyka nieco scichla: ogluszajacy grzmot przeszedl w zwyczajny ryk. Jakas kobieta podeszla do mikrofonu i powiedziala:

-W porzadku, chlopcy. Jezeli podobalo wam sie to, co widzieliscie, dajcie temu wyraz - zacznijcie napychac nasze kociaki.

Nora drgnela, zaszokowana, lecz kiedy muzyka wrocila do poprzedniego natezenia, zrozumiala, co oznaczaly slowa rubasznej zachety - klienci skladali we czworo piecio - lub dziesieciodolarowe banknoty, a nastepnie wsuwali je w majtki tancerek.

Osilek w skorzanych spodniach podniosl sie z krzesla i przepuscil ich przez kotare z paciorkow. Znalezli sie w pomieszczeniu szerokim na dziesiec i dlugim na jakies osiemnascie lub dwadziescia stop. Nastepna szostka dziewczat w szpilkach i blyszczacych majtkach przygotowywala sie tu do wystepow. Niektore poprawialy przed lustrami makijaz, inne zajete byly rozmowa. Wszystkie wygladaly rownie atrakcyjnie jak dziewczeta z poprzedniej zmiany. Niektore mialy zmeczone twarze, sliczne, lecz zmeczone, inne prezentowaly sie rownie swiezo jak nauczycielki na poczatku roku szkolnego. Wszystkie, bez wyjatku, nalezaly do tego gatunku kobiet, o ktorych mezczyzni snia po nocach.

Szli przez te garderobe ku widocznym na jej koncu drzwiom. W ktorymś momencie jedna z mijanych tancerek, szalowa blondynka, polozyla reke na ramieniu Nory.

-Czy jestes nowa, kochanie?

-Ja? Nie. Och nie, ja tutaj nie pracuje.

Blondynka, tak hojnie obdarowana przez nature, ze Nora czula sie przy niej, jakby byla chlopakiem, powiedziala:

-Masz niezly sprzet, kochanie.

-Och, nie - zdolala wydusic z siebie Nora.

-Podoba ci sie moj sprzet? - zapytala blondynka.

-Och, tak, jest pani bardzo ladna. Travis wmieszal sie do rozmowy.

-Daruj sobie, siostro. Pani nie bawi sie w ten sposob. Blondynka poslala mu slodki usmiech.

-Gdyby sprobowala, moze by to polubila.

Otwarlszy drzwi znalezli sie w waskim, odrapanym, slabo oswietlonym korytarzu. Dopiero w polowie jego dlugosci Nora uswiadomila sobie, ze wlasnie przed chwila otrzymala propozycje. I to od kobiety!

Nie wiedziala, czy smiac sie, czy plakac. Miala chyba ochote na jedno i drugie.

Goryl zaprowadzil ich do biura polozonego na tylach budynku. Odchodzac, powiedzial:

-Pan van Dyne zaraz przyjdzie.

Biuro mialo szare sciany. Przy jednej z nich staly wysokie szafy, pod inna dostrzegli szare metalowe biurko mocno poobijane i odrapane, na srodku pare metalowych krzesel. Nagich scian nie zdobily zadne obrazki ani kalendarze. Blat biurka rowniez swiecil pustkami. Pokoj sprawial wrazenie rzadko uzywanego.

Nora i Travis usiedli na dwoch metalowych krzeslach ustawionych na wprost biurka.

Wciaz jeszcze docierala do nich muzyka z baru, lecz teraz nie zagluszala juz ich rozmowy.

Odzyskawszy oddech, Nora zapytala:

-Skad one wszystkie sie biora?

-Kto?

-Wszystkie te słiczne dziewczyny o doskonałych piersiach, jedrnych pośladkach i długich nogach, chętne do... tego zajęcia. Skąd się ich tyle bierze?

-Pochodzą ze specjalnej farmy hodowlanej spod Modesto - odparł Travis.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Parsknął śmiechem.

-Przepraszam. Wciąż zapominam, jak bardzo jesteś niewinna, pani Cornell. - Pocałował ją w policzek. Jego zarost lekko drapał, ale było to raczej przyjemne. Choć nie ogolony, we wczorajszym ubraniu, w porównaniu z ogladanymi po drodze typami wydawał się czysty jak dopiero co wykapanie niemowlę. - Powinienem odpowiadać wprost na twoje pytania, ponieważ widzę, że nie wiesz, kiedy żartuje.

Zamrugła oczami.

-Czy to znaczy, że nie ma żadnej farmy hodowlanej pod Modesto?

-Nie. Zajęciem tym trudni się wiele dziewcząt. Ciągła do Los Angeles, chcąc zrobić karierę w showbiznesie, zostać gwiazdą filmową, a gdy im się nie udaje, starają się zaczepić w miejscach takich jak to albo w samym Los Angeles, albo dalej na północ w San Francisco, ewentualnie w Vegas. Większość z nich to zupełnie przyzwoite dzieciaki. Traktują te prace dorywczo. Mogą się tutaj szybko dorobić całkiem niezłych pieniędzy. W ten sposób zbierają fundusze na następne podejście do Hollywood. Zdarzają się też dziewczyny, które nienawidzą samych siebie, które robią to po to, żeby się upokorzyć. Są też i takie, co zbuntowały się przeciw rodzicom, mężom, całemu światu. No, a niektóre to dziwki.

-I przyjmują tutaj... klientów?

-Może tak, może nie. Niektóre tanczą zapewne po to, by móc podać źródło swoich dochodów, kiedy do ich drzwi zapuka inspektor urzędu podatkowego. W ankietach piszą, że pracują jako tancerki, co

pozwała im lepiej ukryć ich prawdziwe zajęcie niż różnego rodzaju kretactwa.

-To smutne - stwierdziła Nora.

-Tak. W niektórych wypadkach... w większości wypadków jest to bardzo smutne.

Po chwili zmieniła temat.

-Czy dostaniemy fałszywe dokumenty od tego van Dyne'a?

-Myślę, że tak.

Obrzuciła go pełnym powagi spojrzeniem.

-Ty zawsze wiesz, co należy zrobić, prawda?

-Czy przeszkadza ci, że znam miejsca takie jak to? Zamysliła się na chwilę.

-Nie. Właściwie... jeśli kobieta ma wyjść za mąż, to według mnie powinien to być mężczyzna umiejący sobie radzić w każdej sytuacji. Ma się wtedy do niego pełne zaufanie.

-Do mnie? - Do ciebie. Wierzę, że poradzimy sobie ze wszystkim, że uratujemy Einsteina i siebie.

-Zaufanie jest ważne. Ale jedna z pierwszych rzeczy, której mnie uczono w Oddziale Delta, było to, że nadmierna ufność może cię zabić.

Drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł osilek w towarzystwie puciołowatego mężczyzny w szarym garniturze, niebieskiej koszuli i czarnym krawacie.

-Van Dyne - rzucił nowo przybyły, najwyraźniej jednak nie miał zamiaru podawać im ręki. Usiadł za biurkiem. Miał blond włosy, które

zaczynały rzednac, i gładko wygolone policzki. Wyglądał jak makler występujący w telewizji: kompetentny, bystry, nienagannie ubrany. - Zgodziłem się porozmawiać z państwem, gdyż chcę wiedzieć, kto rozsiewa o mnie te fałszywe pogłoski.

-Potrzebujemy nowych dokumentów tożsamości - odparł Travis - praw jazdy, kart ubezpieczenia socjalnego i całej reszty. Pierwszorzędnych, całkowicie pewnych, a nie jakichś tam smieci.

-No więc właśnie o tym mówię. - Van Dyne unosił brwi. - Gdzie, na miłość boską, powiedziano wam, że trudno się podobnym procederem? Obawiam się, że ktoś wprowadził was w błąd.

-Potrzebujemy pierwszorzędnych papierów, absolutnie pewnych - powtórzył Travis.

Van Dyne obrzucił ich badawczym spojrzeniem.

-Poproszę o pański portfel. I o torebkę pani.

Kładąc portfel na biurku, Travis popatrzył Nore w oczy.

-Wszystko jest w porządku. Tak trzeba. Niechętnie położyła torebkę obok portfela.

-Proszę wstać i pozwolić, aby Caesar państwa przeszukał - polecił van Dyne.

Travis wstał i zachęcił gestem Nore, by wstała także.

Caesar, olbrzym z twarzą jak z betonu, zrewidował Tralisa z zenującą dokładnością. Znalazłszy magnum 357, położył broń na biurku. Obszukując Nore był jeszcze dokładniejszy. Rozpiął jej bluzkę, po czym śmiało obmacał biustonosz, szukając miniaturowego mikrofonu, zasilacza i magnetofonu. Oblał się rumieńcem i z pewnością nie pozwoliłaby na podobne poufalności, gdyby Travis nie wytłumaczył jej uprzednio, czego będzie szukał Caesar. Zresztą na twarzy Caesara

malowała się tak wielka obojętność, jak gdyby nie był człowiekiem, lecz maszyna niezdolna do jakichkolwiek reakcji erotycznych.

Kiedy Caesar zakończył wreszcie przeszukiwanie, siedli z powrotem na metalowych krzesłach, a tymczasem van Dyne zaczął badać zawartość portfela Trávisa i torebki Nory. Dziewczyna zlekła się, że mogą stracić pieniądze, nie zyskując nic w zamian, on jednak zdawał się interesować wyłącznie dokumentami oraz nożem rzeźnickim znalezionym w torebce Nory.

Zwracając się do Trávisa, powiedział:

-Okay. Gdybyś był glina, nie wolno by ci było nosić magnum. -  
Otworzył magazynek i obejrzał amunicję. - Załadowany oryginalnymi nabojami. ACLU dobrałaby ci się za to do dupy. - Z uśmiechem popatrzył na Nore. - Żadna policjantka nie nosiłaby noża rzeźnickiego.

Dopiero teraz zrozumiała, co Travis miał na myśli, mówiąc, że zabiera rewolwer nie dla obrony, tylko po to, by ułatwić mu zdobycie dokumentów.

Po krótkim targu van Dyne i Travis zgodzili się na cenę sześciu i pół tysiąca dolarów za dwa komplety dokumentów "całkowicie pewnych".

Zwrócono im całą własność, z nożem i rewolwerem włącznie.

Z szarego biura van Dyne przeprowadził ich do ciasnego pomieszczenia. Tu odprawił Caesara, a następnie wszyscy trzej ruszyli w dół po betonowych, słabo oświetlonych schodach, prowadzących do piwnicy.

Nora nie była pewna, co właściwie spodziewała się ujrzeć w podziemiu: być może mężczyzn podobnych wyglądem do Edwarda G. Robinsona, noszących na czolach zielone daszki na gumce i obsługujących staroswieckie maszyny drukarskie, które produkowałyby nie tylko podrobione dokumenty, ale także sterty fałszywych pieniędzy. Tak czy inaczej, to co zobaczyła, wprowało ją w

zdumienie.

Schody prowadziły do magazynu o kamiennych ścianach. Pomieszczenie o wymiarach mniej więcej trzydziści na czterdziści stop wypełnione było zapasami pietrzacy mi się na wysokość ramion. Waskim przejściem pozostawionym pomiędzy kartonami whisky i piwa przedostali się pod stalowe drzwi przeciwogniowe, zainstalowane w najdalszej ścianie magazynu. Van Dyne nacisnął na jakiś guzik ukryty w ościeżnicy i po chwili rozległ się szum obserwującej ich kamery.

Drzwi otworzyły się i weszli do mniejszego pomieszczenia, w którym w przyćmionym świetle dwaj młodzi brodaci mężczyźni obsługiwali dwa spośród siedmiu ustawionych na stanowiskach pod ścianą komputerów. Pierwszy z programistów miał na sobie miękkie buty Rock-port, spodnie safari z plecionym paskiem i bawełniana koszula w tym samym stylu. Drugi nosił Reeboksy, dzinsy oraz podkoszulek z rysunkiem Trzech Fajtlapów. Wyglądali prawie jak bliźniacy i przypominali nieco młodego Stevena Spielberga. Byli tak zajęci pracą, że nawet nie spojrzeli na wchodzących, ale zarazem dobrze się przy tym bawili, gdyż bez przerwy coś mówili do samych siebie, do swoich komputerów lub do siebie nawzajem. Ponieważ jednak posługiwali się wyłącznie technicznym żargonem, Nora niczego nie rozumiała.

W pokoju tym pracowała również dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Miała krótko obcięte blond włosy i niezwykle piękne oczy koloru miedzi. W czasie gdy van Dyne tłumaczył coś specem od komputerów, dziewczyna poprowadziła Trávisa i Nore w kąt sali, ustawiła ich na tle białego ekranu i sfotografowała.

Zaraz potem zniknęła w ciemni, Travis zaś i Nora podeszli wraz z van Dyne'em do komputerów, przy których pracowali najwyraźniej bardzo zadowoleni z siebie i z życia młodzi informatycy. Na oczach Nory włamali się do teoretycznie niedostępnych banków danych Kalifornijskiego Wydziału Pojazdów Mechanicznych oraz Urzędu Ubezpieczeń Socjalnych.



-Kiedy powiedziałem panu van Dyne, że potrzebujemy dokumentów "absolutnie pewnych" - tłumaczył Travis - chodziło mi o to, żeby nasze prawa jazdy wytrzymały każdą policyjną kontrolę, ze sprawdzeniem na komputerze włącznie. Papiery, które dostaniemy, niczym nie różnią się od prawdziwych. Ci panowie wprowadzą nasze nowe nazwiska do rejestrów WPM, tworząc od podstaw nowe kartoteki w stanowych bankach danych.

Van Dyne dodał:

-Adresy są oczywiście fałszywe. Kiedy jednak gdzieś już osiedlicie pod nowymi nazwiskami, wystąpicie do WPM z prośbą o zmianę adresu, jak tego zresztą wymagają przepisy, i wtedy wszystko będzie już całkowicie w porządku z prawnego punktu widzenia. Prawa jazdy, jakie wam wystawimy, będą ważne jeszcze przez rok. Potem zgłosicie się do lokalnego WPM, zaliczycie zwyczajny test i otrzymacie nowiutkie papiery, ponieważ wasze nowe nazwiska będą już figurować w ich wykazach.

-Jak brzmią nasze nowe nazwiska? - zainteresowała się Nora.

-Widzi pani - zaczął van Dyne ze spokojem i cierpliwością maklera wyjaśniającego nowemu inwestorowi sytuację na rynku - musimy zacząć od świadectwa urodzenia. Dysponujemy komputerowym rejestrem niemowląt zmarłych na terenie zachodnich stanów USA w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Sprawdziliśmy już nasze listy, szukając dzieci urodzonych w tym samym roku co i pani, mających taki sam kolor włosów i oczu, no i takie same imię, po prostu dlatego, żeby było pani łatwiej. Znaleźliśmy dziewczynkę, Nore Jean Aimes, urodzona dwunastego października, zmarła po miesiącu właśnie tutaj, w San Francisco. Mamy tutaj drukarkę laserową z nieskonczoną możliwością doboru kroju i wielkości pisma. Z jej pomocą sporządziliśmy już świadectwo urodzenia, dokładnie takie, jakie obowiązywały wówczas w San Francisco, na nazwisko Nora Jean Aimes. - Zrobimy z niego dwie kserokopie i obie wręczymy pani. - Następnie włamaliśmy się do rejestru Ubezpieczeń Socjalnych, gdzie

wprowadziliśmy odpowiedni numer statystyczny dla Nory Jean, ktorego ta oczywiscie nigdy nie miała. Musielismy tez stworzyc historie wpłacanych składek ubezpieczeniowych. - Uśmiechnal sie. - Wpłaciła pani już tyle, że po osiągnięciu odpowiedniego wieku czekać będzie na panią niezła emerytura. Podobnie, z danych Urzędu Podatkowego będzie wynikało od dzisiaj, że pracowała pani jako kelnerka w kilku miastach i co roku sumiennie płaciła podatki. Tra vis powiedział:

-Dysponując świadectwem urodzenia oraz numerem Ubezpieczenia Socjalnego mogli ci wystawić prawo jazdy, ktoremu nic nie można zarzucić.

-A więc jestem Nora Jean Aimes? Ale jeżeli w rejestrach jest jej świadectwo urodzenia, to musi też gdzieś być akt zgonu. Gdyby ktoś zechciał to sprawdzić...

Van Dyne potrząsnął głową.

-W tamtych czasach zarówno świadectwa urodzenia, jak i akty zgonu wystawiano wyłącznie na papierze. Ponieważ rząd znacznie więcej pieniędzy trwoni na różne bzdury, niż przeznacza na sensowne cele, nigdy nie miał funduszy, aby przenieść wykazy z ery przedkomputerowej do elektronicznych banków danych. Dlatego też, gdyby ktoś powziął względem pani jakies podejrzenie, nie będzie mógł sięgnąć do komputerowych rejestrów, co pozwoliłoby mu poznać prawdę w ciągu dwóch minut. Będzie musiał pofatygować się do sądu, przekopac raporty koronera z danego roku i odszukać akt zgonu Nory Jean. Ale to także nigdy nie nastąpi, ponieważ w zakres naszych usług wchodzi również usunięcie tego dokumentu ze wszystkich archiwów. Zniknie on, raz na zawsze, bez śladu.

-Jesteśmy teraz w agencji kredytowej TRW - powiedział z wyraźnym zadowoleniem jeden z bliźniaków Spielbergów.

Nora dostrzegła przemykające po zielonym ekranie dane, lecz zupełnie nie wiedziała, co one znaczą.

-Tworzą solidne historie kredytowe dla naszych nowych osobowości - wyjaśnił Travis. - Gdy osiedlimy się gdzieś na stałe i zawiadomimy o zmianie adresu WPM i TRW, nasza skrzynka na listy zapełni się ofertami kart kredytowych - Visa, Mastercard, może nawet American Express i Carte Blanche. - Nora Jean Aimes - mruknęła pod nosem, dziwiąc się, jak szybko i wszechstronnie zbudowano jej nowe życie.

Ponieważ nie mogli znaleźć niemowlęcia zmarłego w roku urodzenia Trávisa, które nosiłoby jego imię, przemianowali go na Samuela Spencera Hyatta, urodzonego w styczniu, a zmarłego w marcu w Portland, w stanie Oregon. Jego śmierć zostanie wymazana z publicznych rejestrów, a wtedy nawet tożsamości Trávisa nie będzie można nic zarzucić.

Już dla zabawy (tak przynajmniej twierdzili) młodzi programiści dopisali Travisowi wojskową przeszłość. Załatwili mu sześć lat służby w Marines, odznaczenie Purpurowym Sercem oraz kilka pochwał za odwagę, które zdobył uczestnicząc w pokojowej misji na Środkowym Wschodzie. Chcąc sprawić im jeszcze większą radość, poprosił o zezwolenie na handel nieruchomościami, opiewające na jego nowe nazwisko. W ciągu dwudziestu pięciu minut włamali się do odpowiedniego banku danych i wykonali zlecenie.

-Małe piwo - powiedział jeden z młodych ludzi.

-Małe piwo - jak echo powtórzył drugi.

Nie rozumiejąc, o co im chodzi, Nora zmarszczyła brwi.

-Chleb z masłem - wyjaśnił pierwszy.

-Zupełny drobiazg - dodał drugi.

-Małe piwo - pokiwała głową Nora.

Wrocila blondynka o miedzianych oczach. Przyniosła prawa jazdy z

wklejonymi fotografiami Trávisa i Nory.

-Oboje jesteście fotogeniczni - stwierdziła.

W dwie godziny i dwadzieścia minut od momentu spotkania z van Dyne'em, opuścili "Hot Tips" zaopatrzeni w dwie koperty zawierające komplet dokumentów potwierdzających ich nową tożsamość. Gdy wyszli na ulicę, oszłomiona tym wszystkim Nora musiała oprzeć się o ramię Trávisa.

Podczas ich pobytu w "Hot Tips" na miasto opadła mgła. W jej oparach jaskrawo migocące światła i polyskliwe neony Tenderloin nieco przybladły, choć zarazem wydawały się dziwnie powiększone. Każdy centymetr szescienny nocnego powietrza jarzył się tajemniczym blaskiem, jak gdyby w dzielnicy, tuż nad ziemią rozbłysła zorza polarna. Okryte mgłą, spowite w ciemnościach ulice miały w sobie teraz nawet pewien urok, pod warunkiem, że nie oglądało się ich wcześniej w świetle dnia.

W mercedesie czekał na nich cierpliwie Einstein.

-Nie zdołaliśmy, co prawda, zmienić cię w pudła - powiedziała Nora zapinając pas - ale poza tym poszło nam całkiem niezle. Einstein, przywitaj się z Samem Hyatem i Nora Aimes. Retriever wsunął głowę między oparcia przednich foteli, popatrzył na nią, potem na Trávisa i parsknął, jakby chciał powiedzieć, że go nie nabiora, że dobrze wie, kim są naprawdę.

Zwracając się do Trávisa, Nora powiedziała:

-Twoje szkolenie antyterrorystyczne... czy to na nim dowiedziałeś się o miejscach takich, jak "Hot Tips", ludziach pokroju van Dyne'a? Czy to tam terroryści zaopatrują się w nowe papiery?

-Tak. Niektórzy zwracają się do fachowców takich jak van Dyne, chociaż nie jest to wcale reguła powszechna. Najczęściej terroryści otrzymują dokumenty od Sowietów. Van Dyne obsługuje zwyczajnych

nielegalnych imigrantów, oczywiście tych bogatszych, oraz pragnących uniknąć aresztowania kryminalistów.

Uruchomił silnik.

Po chwili milczenia Nora odezwiała się znowu:

-Ale skoro ty zdołałeś odnaleźć van Dyne'a, może ludzie, którzy nas szukają, także do niego dotrą.

-Może. Trochę to potrwa, ale może im się udać.

-A wtedy dowiedzą się, jakie są nasze nowe nazwiska.

-Nie - zaprzeczył Travis. Włączył ogrzewanie szyb oraz wycieraczki, chcąc pozbyć się nagromadzonej na zewnątrz rosy. - Van Dyne nie prowadzi żadnych rejestrow. Nie chce dać się złapać z dowodami swojej działalności. Jeśli kiedykolwiek zjawi się u niego policja z nakazem rewizji, nie znajdzie w jego komputerach niczego oprócz zestawień przychodów i rozchodów "Hot Tips".

Jechali przez miasto, kierując się w stronę mostu Złote Wrota. Nora zafascynowana obserwowała przechodniów i ludzi w innych samochodach. Zastanawiała się, ilu spośród nich używało nazwisk, z którymi się urodzili, a ilu, podobnie jak ona i Travis, zmieniło swoje personalia.

-Zmieniliśmy się zupełnie w ciągu niecałych trzech godzin - powiedziała.

-Dziwny jest ten świat, co? To właśnie zapewnia przede wszystkim wysoko rozwinięta technologia - maksymalna płynność. Cały świat staje się coraz bardziej płynny, elastyczny. Większość operacji finansowych przeprowadza się obecnie za pomocą elektronicznych pieniędzy, przekazywanych z Nowego Jorku do Los Angeles - albo na drugi koniec świata - w ciągu paru sekund. Pieniądze przekraczają granice w mgnieniu oka; już nie trzeba głowić się nad ich przemytem.

Większość informacji przechowuje się w postaci elektrycznych ładunków, które tylko komputer potrafi odczytać. Tak więc wszystko staje się płynne. Tożsamości. Cała przeszłość. - Nawet kod genetyczny gatunków - dodała Nora. Einstein przytaknął jej parsknieniem.

-Trochę to przerażające, prawda?

-Trochę - zgodził się Travis. Zbliżali się właśnie do ozdobionego żarówkami południowego wjazdu na Złote Wrota. Konstrukcja mostu całkowicie niknęła we mgle. - Jednakże, w zasadzie, maksymalna płynność jest czymś pozytywnym. Socjalna i finansowa płynność gwarantuje wolność. Wierzę - i mam taką nadzieję - że czekają nas czasy, w których rola rządów będzie się nieustannie zmniejszać, gdy zanikną możliwości tak wszechstronnego kontrolowania ludzi i sterowania nimi, jak to się działo dotychczas. Rządy totalitarne nie będą w stanie utrzymać się przy władzy.

-Dlaczego?

-A w jaki sposób dyktatura mogłaby kontrolować obywateli społeczeństw maksymalnie płynnych, dysponujących rozwiniętą technologią? Jedyną możliwość to zakaz wdrażania najnowszych osiągnięć technicznych, zamknięcie granic i życie według kanonów i regul obowiązujących w dawnych czasach. Ale wprowadzenie takiej polityki w czyn oznaczać będzie samobójstwo dla każdego państwa, które się na to odważy. Kraj taki zatrzyma się w rozwoju. W ciągu paru dziesięcioleci jego mieszkańcy przekształcą się we współczesnych aborygenów, dla cywilizowanej reszty świata stana się jednostkami prymitywnymi. Na przykład właśnie teraz Sowieci usiłują nie dopuścić do komputeryzacji swego przemysłu zbrojeniowego. Oczywiście na dłuższą metę jest to niemożliwe. Będą musieli skomputeryzować całą gospodarkę i nauczyć naród obsługi komputerów - a wówczas, w jaki sposób będą mogli dociskać śruby, jeżeli obywatele otrzymają środki, które pozwolą im manipulować systemem uniemożliwiając mu kontrolę nad nimi?

Wjeżdżając na most od strony południowej nie musieli wносить żadnych opłat. Z powodu panującej mgły, na całej jego długości obowiązywało drastyczne ograniczenie prędkości jazdy.

Wpatrując się w sprawiający niesamowite wrażenie szkielet mostu, który lśnił kroplami wilgoci zdawał się roztopić we mgle, Nora powiedziała:

-Jednym słowem, według ciebie, za dziesięć, dwadzieścia lat zamiast obecnego świata mieć będziemy raj na ziemi.

-Nie raj - zaprzeczył. - Świat stanie się prostszy, bogatszy, bezpieczniejszy, szczęśliwszy. Ale wciąż nie będzie rajem. Przecież nadal pozostaną nie rozwiązane problemy ludzkich serc i potencjalnych zagrożeń, których źródło stanowią choroby ludzkiego umysłu. Poza tym w tym nowym świecie oprócz rzeczy błogosławionych pojawia się na pewno nowe niebezpieczeństwa.

-Jak choćby stworzenie, które zabiło właściciela twojego domu.

-Właśnie.

Na tylnym siedzeniu Einstein zawarczał glucho.

12

We czwartek wieczorem, dwudziestego szóstego sierpnia, Vince Nasco wybrał się do San Clemente, aby od Johnny'ego "Drucika" Santini odebrać raport z ostatniego tygodnia. Do pośpiechu skłoniły go wiadomości o dokonanych dzień wcześniej w Santa Barbara morderstwie Teda Hockneya. Dokonane okaleczenia, a zwłaszcza brak oczu, jednoznacznie wskazywały na to, że zbrojca był Obcy. Ponadto Johnny zapewnił go, że NSA dyskretnie przejęła prowadzenie sprawy, co dodatkowo potwierdzało związek między tym zbrojstwem a uciekinierem z Banodyne. Informacje o zbrodni znalazł w popołudniowej gazecie. Podczas obiadu, który jadł w meksykańskiej restauracji - złożyły się nań enchiladas i Dos Equis - przeczytał

wszystko, co napisano w popołudniowce o Hockneyu, a także o mężczyźnie wynajmującym od niego dom. Człowiek ten nazywał się Cornell i, jak donosił reporter, trudnił się do niedawna sprzedażą nieruchomości, a wcześniej był członkiem Oddziału Delta. Przypuszczano, że Cornell hodował w domu panterę i że to właśnie ona zabiła Hockneya, ale Vince wiedział, iż historia z panterą była kłamstwem mającym wprowadzić w błąd opinię publiczną. Policja oświadczyła, że zamierza przesłuchać Cornella oraz widzianą z nim nie zidentyfikowaną kobietę, jednakże nie wniesiono przeciwko nim żadnego oficjalnego oskarżenia.

Artykuł kończył się zajmującą jedną linijkę wzmianką na temat psa: "Cornell i nieznana kobieta mogą podróżować w towarzystwie złośliwego retrievera".

Jeśli znajdzie Cornella, pomyślał Vince, znajdzie także i psa.

A więc w końcu nastąpił długo oczekiwany przełom. Umocniło to w nim przekonanie, iż zdobycie psa było częścią jego wielkiego Przeznaczenia.

Aby uczcić ten dzień, zamówił więcej enchiladas i piwa.

13

Czwartkowa noc Travis, Nora i Einstein spędzili w motelu Marin County na północ od San Francisco. W samoobsługowym sklepie kupili sześć butelek piwa San Miguel, a w barze szybkiej obsługi kurczaki, pieczywo i surowkę z kapusty. Tak zaopatrzeni zjedli późny obiad w swoim pokoju. Einstein ze smakiem zjadł kurczaka, przejawiał też znaczne zainteresowanie piwem.

Travis odlał pół butelki do nowej, żółtej, plastikowej miski, którą kupił po południu.

-Wiecej nie dostaniesz, choćby nie wiem jak ci smakowało. Musisz być trzeźwy, ponieważ chce, żebyś odpowiedział mi na kilka pytań.



Po obiedzie rozsiedli się we trojkę na łozu o królewskich rozmiarach. Travis rozpakował scrabble'a, a następnie ułożył plansze spodnią stroną do góry. Wspólnie z Nora podzielili wszystkie oznaczone literami klocki na dwadzieścia sześć kupek.

Einstein obserwował ich poczynania z wyraźnym zainteresowaniem i nie wyglądał na choćby odrobinę podchmielonego po wypitym piwie.

-Okay - powiedział Travis. - Potrzebuje odpowiedzi na kilka pytań. Odpowiedzi te muszą być bardziej szczegółowe niż proste tak lub nie. Przyszło mi do głowy właśnie takie rozwiązanie.

-Całkiem nieźle - przyznała Nora. Zwracając się do retrievera, Travis rzekł:

-Będzie zadawać ci pytania, a ty wskażesz mi kolejne litery słów tworzących odpowiedź. Rozumiesz?

Einstein zmierzył Trávisa uważnym spojrzeniem, następnie przeniósł wzrok na posegregowane klocki i wyszczerzył zęby w czymś, co można było uznać za uśmiech.

-A więc dobrze. Czy znasz nazwę laboratorium, z którego uciekłeś? Retriever przytknął nos do stosiku klocków z literą B. Nora podniosła jeden z nich i ustawiła na wolnej części planszy.

W niecałą minutę z pomocą psa ułożyli słowo BANODYNE.

-Banodyne - odczytał Travis w zamysleniu. - Nigdy o tym nie słyszałem. Czy to pełna nazwa?

Einstein zawahał się, po czym zaczął wskazywać następne litery.

LABORATORIA BANODYNE.

Travis zanotował odpowiedź na bloku papieru listowego, opatrzonym znakami firmowymi motelu, po czym rozłożył klocki z powrotem na

poszczególne kupki. - Gdzie leży to Banodyne? IRVING.-To ma sens - mruknął Travis. - Znalazłem cie w lasach w pobliżu tego miasta. No dobra... Spotkalismy się we wtorek, osiemnastego maja. Kiedy uciekłeś z Banodyne?

Einstein bezradnie popatrzył na klocki, cicho zapiszczał i nie udzielił żadnej odpowiedzi.

-Po przeczytaniu tylu książek - powiedział Travis - musisz wiedzieć, co to miesiące, tygodnie, dni i godziny. Masz więc poczucie czasu.

Skamlać w dalszym ciągu, Einstein popatrzył na Nore. Nora pospieszyła mu z pomocą.

-Teraz ma poczucie czasu, ale nie miał go w dniu, gdy umknął z laboratorium, toteż trudno mu dziś określić, od jak dawna ucieka.

Einstein niezwłocznie zaczął wskazywać litery: WLASNIE.

-Czy znasz nazwiska naukowców pracujących w Banodyne? DA VIS WEATHERBY.

Travis zanotował nazwisko.

-Jeszcze ktoś?

Z wahaniem dobierając litery, Einstein podał kilka dalszych nazwisk, przy czym w pierwszej kolejności wymienił Lawtona Hainesa i Alę Hudstona.

Po zapisaniu wszystkich wymienionych przez Einsteina nazwisk, Travis zadał następne pytanie:

-Wszyscy ci ludzie zajmowali się tobą? TAK. I JOHNSON.

-Johnson? - wtraciła Nora. - Czy to jeden z naukowców? NIE. - Retriever zastanawiał się przez chwilę, wpatrzony w rozłożone przed nim klocki, i wreszcie dodał: STRAZNIK.

-Był szefem ochrony Banodyne? - zgadywał Travis. NIE. WIEKSZY.

-Prawdopodobnie był to jakiś agent federalny - snuł przypuszczenia Travis, podczas gdy Nora ponownie rozkładała na kupki użyte przez psa litery.

-Czy znasz imię tego Johnsona? - zapytała dziewczyna. Einstein wpatrywał się w litery i niepewnie popiskiwał. Travis miał właśnie powiedzieć, że jeśli nie pamięta imienia Johnsona, to też jest wszystko w porządku, kiedy retriever podjął pierwszą niesmiałą próbę:

LEMOOOL. - Nie ma takiego imienia - stwierdziła Nora i rozrzuciła litery na kupki.

Einstein spróbował jeszcze raz: LAMYOULL.

Po chwili zdecydował się na następną wersję: LIMUUL.

Travis pojął, że pies usiłuje zapisać imię fonetycznie. Własnoręcznie wybrał sześć klocków i szybko złożył z nich jeden wyraz: LEMUEL.

-Lemuel Johnson - przeczytała Nora.

Einstein pochylił się do przodu i polizal jej szyję. Rozpierała go radość, że mimo wszystko zdołał przekazać im to imię, toteż tak się wiercił na wszystkie strony, że aż zaczęły skrzypieć sprężyny materaca.

Przestał na chwilę lizac Nore i ułożył:

CIEMNY LEMUEL.

-Ciemny? - zainteresował się Travis. - Czy "ciemny" według ciebie oznacza, że Johnson jest... zły?

NIE. CIEMNY.

Nora uprzątnęła litery, po czym zapytała:-Niebezpieczny?

Einstein parsknal w jej strone, a zaraz potem podobnie potraktowal Trvisa, jakby chcial dac im do zrozumienia, ze czasami wykazuja zdumiewajaca tepote.

NIE. CIEMNY.

Na moment wszyscy umilkli, szukajac goraczkowo rozwiazania, az wreszcie Travis wykrzyknal:-Czarny! Chodzi ci o to, ze Lemuel Johnson jest ciemnoskory. Retriever sapnal miekko, pokiwal glowa i zamachal ogonem, a zaraz potem wskazal trzydziesci liter, tworzac z nich najdluzsza z dotychczasowych odpowiedzi:

JESZCZE JEST DLA WAS JAKAS NADZIEJA!

Nora parsknela smiechem.-Madrala - burknal Travis.

Ale tak naprawde czul ogromna radosc, ktorej nie bylby w stanie wyrazic slowami. Porozumiewali sie z psem od wielu tygodni, jednakze dzieki klockom scrabble ta lacznosc zyskala jakby nowy wymiar. Bardziej niz kiedykolwiek, Einstein zdawal sie teraz ich wlasnym dzieckiem. Ponadto Travis doznawal teraz oszalamiajacego uczucia przelamywania barier ograniczajacych ludzkie mozliwosci, ocierania sie o cos transcendentznego. Oczywiscie Einstein nie byl zwyczajnym psem, a jego inteligencja przypominala bardziej ludzka niz psia, psem przeciez jednak byl na pewno i rozporzadzal umyslem, ktory mimo wszystko wyraznie roznil sie od ludzkiego, totez ten miedzygatunkowy dialog musial wywolowac wrazenie czegos niezwykle tajemniczego i budzic jednoczesnie ogromne zdumienie. Wpatrujac sie w slowa: JESZCZE JEST DLA WAS JAKAS NADZIEJA, Travis pomyslal, ze mozna w nich dostrzec takze szersze znaczenie odnoszace sie do calej ludzkosci.

Przez nastepne pol godziny zadawali Einsteinowi kolejne pytania, a kazda jego odpowiedz Travis starannie zapisywal. Z czasem rozmowa zeszla na bestie o zoltych oczach, ktora zabila Teda Hockneya.

-Coz to za straszliwe stworzenie? - zapytala Nora. OBCY.

-Obcy? - okazał zdziwienie Travis. - Jak to rozumiec? TAK GO NAZYWALI.

-Ludzie w laboratorium? - indagował Travis. - Dlaczego nazywali go "Obcym"?

BO ON NIE NALEZY.

-Nie rozumiem - przyznała Nora.DWA SUKCESY. JA I ON. JA JESTEM PIES. DLA NIEGO NIE MA NAZWY. OBCY.

-I on tez jest inteligentny? - upewnil sie Travis. TAK.

-Tak inteligentny jak ty? MOZE.

-Jezu! - wykrzyknal wstrzasniety Travis.

Einstein wydal z siebie przerazliwy, bolesny odglos, po czym polozyl glowe na kolanach Nory, szukajac pociechy w jej pieszczotach. Travis powiedzial:

-Po co mieliby cos takiego tworzyc? Einstein powrocił do podzielonych na kupki liter: ZEBY DLA NICH ZABIJAL.

Travis poczul, jak zimny dreszcz przemknal mu wzdluz kregoslupa.

-Kogoz mialby dla nich zabijac? WROGA.

-Jakiego wroga? NA WOJNIE.

Travis pojal wreszcie i doznal natychmiast uczucia tak silnego obrzydzenia, ze zrobilo mu sie niemal niedobrze. Przypomnial sobie, jak niedawno tłumaczyl Norze, ze nawet swiat, który na zawsze zapomni o nedzy i stanie sie swiatem powszechnej wolnosci - daleki bedzie od raju, nie uda mu sie bowiem rozwiazac wszystkich problemow ludzkiego serca ani zapobiec potencjalnym niebezpieczenstwom, ktorych zrodlem jest ludzki umysl. Powiedzial:

-A wiec twierdzisz, ze Obcy jest prototypem otrzymanego metodami inzynierii genetycznej zolnierza. Czys w rodzaju... bardzo inteligentnego, bardzo niebezpiecznego policyjnego psa przeznaczonego do uzycia na polu bitwy.

ZOSTAL ZROBIONY DO ZABIJANIA. CHCE ZABIJAC. Slowa te wstrzasnely Nora.

-Przeciez to szalenstwo. Jak czys takim mozna sterowac? Jak mozna liczyc na to, ze nie zwroci sie przeciw swoim panom?

Travis uniosl glowe.

-Dlaczego Obcy cie sciga? NIENAWIDZI MNIE.

-Dlaczego? NIE WIEM.

Nim jeszcze Nora zdazyla uporzadkowac klocki z literami, Travis powiedzial:

-Czy nadal bedzie cie szukac? TAK. ZAWSZE.

-Ale jak udaje mu sie przemieszczac niepostrzezenie? W NOCY.

-Jednakze mimo wszystko... SZCZUROW TEZ NIE WIDAC.

-A w jaki sposob on cie sledzi? - zapytala tym razem Nora. CZUJE MNIE.

-Czuje cie? Co to znaczy?

Zaskoczony retriever zastanawial sie przez dluzsza chwile, kilkakrotnie probowal ulozyc pierwsze slowo odpowiedzi, a w koncu przyznal:

NIE UMIEM WYTLUMACZYC.

-Czy ty tez go czujesz? CZASAMI.-Czy czujesz go teraz?

TAK. JEST BARDZO DALEKO.

-Bardzo daleko - przytaknal Travis. - Setki mil stad. Czy rzeczywiscie moze cie wyczuc i sledzic z tak wielkiej odleglosci?

NAWET Z WIEKSZEJ.

-Czy sledzi cie teraz? NADCHODZI. Raz jeszcze zimny dreszcz przebiegl Travisowi po plecach. - Kiedy cie znajdzie? NIE WIEM.

Pies wygladal na przygnebionego, trzasl sie na calym ciele.

-Wkrotce? Czy szybko znajdzie droge do ciebie? MOZE NIE TAK SZYBKO.

Travis dostrzegl bladosc na twarzy Nory. Polozyl dlon na jej kolanie i rzekl:

-Nie bedziemy przed nim uciekac przez reszte naszego zycia. Niech mnie diabli, jesli bedziemy. Znajdziemy jakies odpowiednie miejsce, gdzie sie zatrzymamy i poczekamy, gdzie bedziemy mogli przygotowac obrone i swobodnie rozprawic sie z Obcym, kiedy wreszcie sie zjawi.

Wciaz jeszcze drzac na calym ciele, Einstein wskazal nastepne litery: POWINIENEM ODEJSC.

-Co ci przyszlo do glowy? - zdziwil sie Travis. JESTEM DLA WAS NIEBEZPIECZNY.

Nora otoczyła ramieniem szyje retrievera i przytulila go do piersi.

-Nigdy tak nie mysl. Jesteś częścią nas. Do diabła, należysz do rodziny. Jesteśmy jedna rodzina. Przejdziemy przez to razem i razem będziemy do końca, bo po to właśnie jest rodzina. - Przestala gladzic grzbiet psa, ujęła jego głowę w obie dłonie i niemal dotykając jego nosa swoim, głęboko zajrzała mu w oczy. - Jeśli obudzi się ktoregos

ranka i zobacze, ze od nas odszedles, to chyba peknie mi serce. - W jej oczach zablyslы lzy, a glos jej drzal ze wzruszenia. - Rozumiesz mnie, kudlata mordo? Nie przezyje, jesli uciekniesz.

Pies oswobodzil sie z jej objec i jeszcze raz zaczal wybierac litery: JA BYM UMARL.

-Umarlbys, gdybys nas opuscil? - zapytal Travis.

Einstein wskazal nastepne litery, poczekal, az dokladnie przeczytaja ulozone z nich slowa, a potem kazdemu z nich popatrzyt uroczyscie w oczy, chcac sie upewnic, czy zrozumieli jego mysli:

JA BYM UMARL Z SAMOTNOSCI.

Czesc druga

OPIEKUN

Jedynie milosc zdolna jest zespolic zywe istoty tak, by sie

nawzajem uzupełnialy i rozwijaly, gdyz tylko ona odwołuje sie dotego, co w nich najglebsze.

Pierre Teilhard de Chardin

Wiekszej milosci nikt nie ma nad te, jak gdy kto zycie swoje

kladzie za przyjaciol swoich.Ewangelia wedlug swietego Jana

VIII

1

We czwartek Nora pojechala do lekarza, a Travis z Einsteinem wybrali sie na spacer wsrod trawiastych wzgorz i lasow, rozciagajacych sie za domem, ktory niedawno stal sie ich wlasnoscia, polozoneym w pieknym nadmorskim regionie Kalifornii, zwanym Big Sur.Na zboczach wzgorz



kładły się rozproszone cienie płynących po niebie obłoków. Wiatr znad Pacyfiku szeleszczył w polyskującej złotem, zeschłej trawie. Rozgrzane łagodnym jesiennym słońcem powietrze nie było ani zbyt zimne, ani zbyt gorące; w dzinsach i koszuli z długimi rękawami Travis czuł się znakomicie.

Miał przy sobie dubeltówkę Mossberga o krótkiej lufie, z uchwytem pistoletowym. Zabierał ją na każdy spacer. Gdyby przypadkiem ktoś go zapytał, na co mu bron, odpowiedziałby, że poluje na grzechotniki.

W miejscach gdzie lesne drzewa tworzyły gęste skupiska, jasny poranek upodabniał się do późnego popołudnia. Powietrze było tu znacznie chłodniejsze i Travis, przechodząc tamtędy, przypominał sobie z satysfakcją, że jego koszule uszyte z flaneli. Okazały sosny, widoczne tu i ówdzie sekwoje oraz wysokie krzewy pochłaniały znaczną część słonecznego światła, toteż nad ziemią panował wieczny półmrok. Bardzo gęste miejscami poszycie tworzyły karłowate, wiecznie zielone drzewy i bujne paprocie, którym służyły najwyraźniej gęste mgły i wilgotne morskie powietrze.

Einstein co jakiś czas odnajdywał ślady pumy i uparcie starał się zainteresować nimi Trávisa. Na szczęście zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, na jakie naraża się ten, kto się osmiela tropić wielkiego kota, i potrafił jakos tłumaczyć wrodzony instynkt łowiecki.

Chcąc nie chcąc zadowolili się obserwowaniem tutejszej fauny. Często spotykali płochliwe jelenie podążające swymi stałymi szlakami. Widzieli też mnóstwo szopów. Przyjemnie było na nie patrzeć, niektóre zachowywały się nawet bardzo przyjaźnie, lecz Einstein wiedział, że przypadkowo wystraszone, mogły stać się bardzo nie mile, nie podchodził więc do nich zbyt blisko.

Podczas któregoś ze spacerów retriever odkrył ze zdumieniem, że wiewiorki, do których mógł się bezpiecznie zbliżyć, odczuwały przed nim paniczny strach. Zastygały w bezruchu i patrzyły na niego szeroko otwartymi oczami, a ich serca tłukły się tak mocno, że można to było

dojrzec przez skóre.

DLACZEGO WIEWIORKI SIE BOJA? - zapytał ktoregos wieczoru.

-To po prostu instynkt - wyjasnil Travis. - Jesteś psem, a one wiedza własnie dzięki instynktowi, że pies może je zaatakować i zabić.

NIE JA.

-Nie, nie ty - potwierdził Travis, mierzwiąc sierść retrievera. - Ty byś ich nie skrzywdził. Ale skąd wiewiorki mają wiedzieć, że jesteś inny? Dla nich wyglądasz jak pies, pachniesz jak pies, więc należy się ciębie obawiać jak każdego innego psa.

JA LUBIE WIEWIORKI.

-Wiem o tym. Niestety, one są za głupie, żeby to zrozumieć. Po tej rozmowie Einstein trzymał się z daleka od wiewierek i bardzo się starał, aby ich nie przestraszyć. Często odwracał nawet głowę w inną stronę, udając, że ich nie dostrzega. Dzisiejszy dzień był dniem wyjątkowym, toteż obaj wykazywali niewielkie zainteresowanie wiewiorkami, jeleniami, ptactwem i szopami oraz osobliwą florą lasu. Nawet widok Pacyfiku nie robił na nich żadnego wrażenia. Dzisiaj, w odroznieniu od innych dni, wyszli na spacer jedynie dla zabicia czasu. Chcieli oderwać się trochę od myśli o Norze.

Travis nieustannie spoglądał na zegarek. Wybrał okreśną trasę, która miała doprowadzić ich z powrotem pod dom około godziny pierwszej, a więc w porze spodziewanego powrotu Nory.

Był dwudziesty pierwszy października. Od chwili gdy uzyskali nowe dokumenty w San Francisco, upłynęło osiem tygodni. Po dłuższych rozważaniach postanowili wrócić na południe, znacznie zmniejszając odległość, jaką musiałby przebyć Obcy w pogoni za Einsteinem. Czuli, że nie będą mogli rozpocząć naprawdę nowego życia, dopóki bestia ich nie odnajdzie, dopóki nie rozprawia się z nią raz na zawsze. Dlatego też uznali, że lepiej raczej przyspieszyć niż opóźnić moment

konfrontacji.

Z drugiej strony, nie chcieli znalezc sie zbyt blisko Santa Barbara, nie mieli bowiem zadnych gwarancji, ze Obcy nie bedzie wedrowal szybciej, niz czynil to latem na odcinku Orange County - Santa Barbara. Cztery mile na dzien nie stanowiły zapewne gornej granicy jego mozliwosci i gdyby poruszal sie szybciej, moglby ich dopasc, zanimby sie do tego przygotowali. Ze wzgledu na slabe zaludnienie, a takze odleglosc od Santa Barbara (sto dziewiecdziesiat mil w linii prostej), Big-Sur wydawalo sie terenem wrecz idealnym. Gdyby Obcy podazal za Einsteinem w dotychczasowym tempie, nie pojawilby sie w tych stronach przed uplywem pieciu miesiecy. Jesliby udalo mu sie zdwoic szybkoosc na obszarach rolniczych, bez przeszkod ominac tereny zamieszkane i pokonac nieliczne, napotkane po drodze wzniesienia, nie dotarlby tutaj wzczesniej niz w polowie grudnia.

Z kazdym dniem termin ten byl coraz blizszy, lecz Travis mogl sobie z satysfakcja powiedziec, iz poczynil juz wszelkie przygotowania. Niemal z utesknieniem oczekival na przybycie Obcego, jednakze, jak dotad, Einstein nie wyczuwal wroga w najblizszej okolicy. Prawdopodobnie wciaz jeszcze mieli czas na doskonalenie obrony przed decydujacy m starciem.

O dwunastej piecdziesiat zakonczyli spacer i wrocili na podworze przed domem. Byl to pietrowy budynek o scianach z wyblaklego na sloncu drewna. Ponad pokryty cedrowym gontem dach wznosily sie dwa masywne, murowane z kamienia kominy, jeden od strony polnocnej i jeden od strony poludniowej. Do kazdego ze szczytow, od wschodu i zachodu, przylegaly rozlegle werandy, z ktorych roztaczal sie wspanialy widok na lesiste zbocza pobliskich wzgorz.

Poniewaz w tych stronach nigdy nie padal snieg, dach byl pochylony pod niewielkim katem, co pozwalalo chodzic swobodnie po calej jego powierzchni. Przygotowania do obrony Travis rozpoczal wlasnie od dachu. Teraz, wychodzac zza drzew, uniosl glowe i dostrzegl, nabite ukosnie drewniane listwy, umozliwiajace szybsze i bezpieczniejsze

poruszanie się po opadającej w dół płaszczyźnie. Gdyby Obcy podkraść się pod dom w nocy, nie mógłby wejść do środka przez któreś z okien na parterze, gdyż codziennie po zachodzie słońca zabezpieczali je zamykanymi od wewnątrz okiennicami. Travis zamontował je własnoręcznie, toteż był pewien, że nie przedostanie się przez nie nikt z wyjątkiem, być może, zdesperowanego maniaka z siekiera w ręku. Przekonawszy się o tym, Obcy spróbuje zapewne wspiąć się na któryś ze słupów werandy, żeby zbadać okna na piętrze, również zresztą zabezpieczone okiennicami. Tymczasem, ostrzeżony o pojawieniu się wroga przez pracujący w podczerwieni system alarmowy, zainstalowany wokół domu przed trzema tygodniami, Travis wydostanie się na dach przez wylaz na strychu i korzystając z przybitych uchwytów, podpełźnie do samej krawędzi, skąd będzie mógł obserwować zarówno daszek werandy, jak i podwórze. Odszuka Obcego, następnie otworzy do niego ogień z miejsca, w którym potwór nie zdoła go dosięgnąć.

O dwadzieścia jardów na wschód od domu stała niewielka, pomalowana rdzawoczerwona farba szopka, której dalszy kraniec niknął wśród drzew. Ich posiadłość nie obejmowała żadnych gruntów ornych, więc poprzedni właściciel zbudował to pomieszczenie prawdopodobnie po to, by mieć stajnię dla paru koni, a przy okazji hodował tam kurcząt. Travis i Nora przeznaczyli szopę na garaż, ponieważ łącząca ich z oddaloną o dwieście jardów autostrada gruntowa droga omijała dom i kończyła się dokładnie na wprost podwójnych drzwi budynku gospodarskiego.

Travis przypuszczał, że gdy pojawi się Obcy, będzie najpierw obserwować dom spomiędzy drzew, a potem zechce może skorzystać z osłony szopy. Mogłby w niej nawet pozostać dłużej i cierpliwie czekać, aż któreś z nich wejdzie do środka, zamierzając gdzieś pojechać polciężarowym dodge'em lub toyotą. Licząc się z podobną ewentualnością, rozmieścił w szopie kilka niespodzianek.

Najbliżsi sąsiedzi - z którymi widzieli się tylko raz - mieszkali o dobre cztery mile na północ, a ich dom był zupełnie niewidoczny spoza

ściany drzew i krzewów. Blżej było do autostrady, ale w nocy - a właśnie wtedy należało oczekiwać ataku Obcego - ruch na niej prawie zamierał. Podczas starcia dojdzie na pewno do strzelaniny, ale huk będzie się odbijał wielokrotnym echem od ścian lasu i stoków okolicznych wzgórz, toteż ani nielicznym sąsiadom, ani przypadkowym podróżnym, przejeżdżającym autostradą, nie uda się łatwo określić kierunku, z którego dochodzą strzały. Jeżeli wszystko pójdzie jak należy, zabije bestię i pogrzebie ją, zanim pojawią się pierwsi ciekawscy.

Myslać w tej chwili przede wszystkim o Norze, a nie o Obcym, Travis wspiął się na werandę na tyłach domu, otworzył dwie zasuwę w bocznych drzwiach i z Einsteinem przy nodze wszedł do środka. Kuchnia, dostatecznie duża, by móc pełnić jednocześnie funkcję jadalni, była mimo to dość przytulna; ściany wyłożone drewnianą boazerią, podłoga z meksykańskiej terakoty, drewniane szafki, gładki biały sufit, kuchenne sprzęty najwyższej jakości. Duży stół z czterema wygodnymi krzesłami oraz kamienny kominek podkreślały, że tutaj właśnie koncentrowało się życie domowe.

Dom miał prócz tego pięć pokoi - ogromny salon i pokój dzienny na parterze; trzy sypialnie na górze - a także dwie łazienki - jedna na parterze, druga na piętrze. Jedna sypialnia była ich prawdziwa, małżeńska sypialnia, druga służyła Norze za studio - od czasu do czasu próbowała trochę malować - trzecia zaś stała na razie pusta.

Travis zapalił światło. Choć dom mógł sprawiać wrażenie odciętego od świata, od autostrady dzieliło go zaledwie dwieście jardów, a trakcja elektryczna biegła tuż obok.

-Napije się piwa - oznajmił Travis. - Podać ci coś? Einstein podszedł do pustej miski na wodę, stojącej w kacie kuchni obok rynienki z jedzeniem, po czym popchnął ją łapą w stronę zlewu.

Nie przypuszczali nawet, że zdołają kupić taki dom w tak krótkim czasie po ucieczce z Santa Barbara - zwłaszcza po tym, jak z

pierwszej rozmowy telefonicznej z Garrisonem Dilworthem dowiedzieli się, że rachunki bankowe Trávisa rzeczywiście zostały zablokowane. Mieli szczęście, że zdążyli zrealizować czek na dwadzieścia tysięcy. Zgodnie z planem, Garrison zamienił pobrane pieniądze na osiem czeków gotówkowych i wysłał je pod adresem Samuela Spencera Hyatta do motelu w Marin County, gdzie zatrzymali się na cały tydzień. Udało mu się również sprzedać dom Nory za przyswoitą, szesciocyfrową kwotę i w dwa dni później przesłał do tego samego motelu następną partię czeków.

Rozmawiając z prawnikiem - połączyła się z nim z telefonicznej budki - Nora powiedziała:

-Ale przecież, jeśli nawet sprzedał pan dom, nie otrzymał pan jeszcze na pewno pieniędzy.

-Nie - przyznał Garrison. - Rozliczenie potrwa z miesiąc. Ale wy potrzebujecie pieniędzy teraz, więc płacę wam z góry.

Otworzyli dwa konta w banku w Carmel, miasteczku leżącym o trzydzieści mil na północ od miejsca, w którym zamieszkali. Kupili nową polciezarówkę, a potem odstawili mercedesa Garrisona na lotnisko w San Francisco. Wracając stamtąd na południe, mineli Carmel i pojechali dalej wybrzeżem, rozglądając się za jakimś domem w rejonie Big Sur. Spodobał im się właśnie ten i mieli na szczęście wystarczającą kwotę pieniędzy, by móc zapłacić za niego gotówką. Mądrzej było dom kupić, niż go wynajmować, zapłacić gotówką, niż wziąć kredyt. Dzięki temu unikano się wielu niewygodnych pytań.

Co prawda, Travis miał pełne zaufanie do nowych dokumentów, nie widział jednak powodu, dla którego miałby się nimi posługiwać częściej, niż było to absolutnie niezbędne. Oprócz tego, nabywając dom, zyskiwali niejako wyższy status społeczny, stawali się osobami budzącymi zaufanie.

Travis wyjął z lodówki butelkę piwa, zdjął z niej kapsel i pociągnął długi łyk, potem napełnił wodą miszkę psa. Einstein tymczasem

przeszedł do spizarni. Drzwi komorki były jak zawsze lekko uchylone, teraz czworonóg otworzył je na całą szerokość. Nacisnąwszy łapą pedał, który Tra vis zainstalował tuż za drzwiami, bez trudu zapalił światło.

Procz polek, zastawionych butelkami i puszkami z artykułami spożywczymi, w pomieszczeniu znajdowało się dość skomplikowane urządzenie, które Travis zbudował z pomocą Nory, by ułatwić obojgu porozumiewanie się z psem. Stało ono pod ścianą naprzeciwko wejścia: składało się z dwudziestu osmiu plastikowych rurek, osadzonych na wspólnej, drewnianej ramie. Każda rurka miała osiemnastą cali długości i była otwarta od góry, podczas gdy od dołu zamykało ją otwierane specjalnym pedałem wieczko. W dwudziestu sześciu pojemnikach znajdowały się politerowane klocki z sześciu zestawów scrabble'a. Einstein miał pod dostatkiem liter i mógł układać nawet długie kwestie. Na każdej rurce umieszczono litery, informująca o jej zawartości: A, B, C, D itd. Dwie ostatnie zawierały czyste klocki, na których Travis wydrapał przecinki, apostrofy i znaki zapytania (wspólnie doszli do wniosku, że koniec zdania rozpoznają nawet bez kropki). Einstein pobierał litery naciskając poszczególne pedały, a następnie, pomagając sobie nosem, układał z nich słowa na podłodze spizarni. Ustawili aparat właśnie tam, w ukryciu, gdyż nie chcieli, żeby w razie niespodziewanej wizyty ktokolwiek go zobaczył.

Einstein zaczął naciskać pedały urządzenia, a Travis tymczasem wyniósł swoje piwo oraz miske z wodą dla psa na werandę, gdzie zamierzał czekać na powrót Nory. Kiedy wrócił do spizarni, wiadomość była już gotowa.

CZY MOGĘ DOSTAC HAMBURGERA? ALBO KAWALEK  
KIELBASY?

-Chcę zjeść lunch z Nora, gdy tylko wróci z miasta. Nie wolałbys zaczekać i zjeść razem z nami? - powiedział Travis.

Retriever oblizal pysk i przez chwile nad czymś się zastanawiał.

Potem popatrzył na ułożony przez siebie napis, odrzucił część liter i dobrał parę nowych.

DOBRCZE, ALE UMIERAM Z GŁODU.

-Przeżyjesz - zapewnił go Travis. Pozbierał z podłogi litery i powkladał je do odpowiednich pojemników. Podniósł opartą o drzwi dubeltówkę i wyszedł na werandę. Położył broń tuż obok swego bujanego fotela. Słyszał, jak Einstein gasi światło i wybiega ze spiżarni.

W łagodnym październikowym powietrzu rozbrzmiewał śpiew ptaków.

Travis popijał piwo, a Einstein od czasu do czasu chleptał wodę. Obaj wpatrywali się w gruntową drogę, przenosząc co chwila wzrok ku przesłaniającym autostradę drzewom.

W skrytce, obok kierownicy swojej toyoty, Nora miała schowany pistolet kaliber 38 załadowany nabojami o wylobionych pociskach. W ciągu tych dni, jakie minęły od chwili, gdy opuścili Marin County, nauczyła się prowadzić samochód i, korzystając ze wskazówek Trávisa, opanowała całkiem niezłe sztuki posługiwania się pistoletem kaliber 38, automatycznym uzi oraz dubeltówką. Dzisiaj zabrała ze sobą tylko trzydziestkę osemkę, gdyż na trasie do Carmel i z powrotem nic jej nie groziło. Poza tym, gdyby nawet Obcy znalazł się w pobliżu bez wiedzy Einsteina, bestia w pierwszej kolejności zaatakowałaby psa, a nie Nore.

Dlaczego jednak tak długo jej nie było?

Travis zaczął załadować, że z nią nie pojechał, jednakże solowe wypadki do Carmel były jednym ze środków, które - po trzydziestu latach życia w ciągłym uzależnieniu i leku - pomagały Norze potwierdzić przed samą sobą świeżo zdobytą niezależność i pewność siebie. Wiedział, że nie zgodziłaby się na to, by jej towarzyszył.

Okolo wpół do drugiej, gdy spóźnienie Nory wzrosło do trzydziestu minut, Travis zaczął odczuwać ucisk w żołądku. Teraz niepokoił się



już naprawdę.

Einstein spacerował nerwowo po werandzie, to w tę, to w tamtą stronę.

W pięć minut później retriever pierwszy usłyszał zjeżdżający z autostrady samochód. Zeskoczył z werandy i podbiegł w stronę drogi.

Travis nie chciał, by Nora domysliła się, jak bardzo się o nią niepokoił, gdyż dowodziłoby to, że nie bardzo wierzy w jej samodzielność, a przecież Nora naprawdę stała się samodzielną i bardzo była z tego dumna. Dlatego też pozostał w swoim fotelu, z butelką Corony w ręku.

Kiedy ukazała się wreszcie niebieska Toyota, odetchnął z ulgą. Zajeżdżając przed dom, Nora nacisnęła klakson. Odpowiedział jej niedbalym machnięciem dłoni, jak gdyby nie skręcał się przed chwilą ze strachu o nią.

Einstein wbiegł do garażu, aby ją przywitać, i po chwili oboje pojawili się na werandzie. Nora ubrana była w dzinsy i koszulę w białą-żółtą kratę, lecz zdaniem Travisa, wyglądała tak pięknie, że śmiało mogłaby się pokazać na balu obok obsypanych klejnotami księżniczek w wytwornych toaletach.

Podeszła bliżej, pochyliła się i pocałowała go. Jej usta były gorące.

-Bardzo za mną tęskniłeś?

-Bez ciebie gasnie słońce, milknie ptaki, znika wszelka radość - usiłował przybrać żartobliwy ton, jednak zabrzmiało to zaskakująco poważnie.

Einstein ocierał się o jej nogi i popiskiwał, usiłując przyciągnąć uwagę Nory, a kiedy wreszcie spojrzała w jego stronę, parsknął miękko, jakby chciał zapytać: No i co?

-On ma rację - poparł psa Travis. - Nie trzymaj nas dłużej w

niepewności.

-No więc jestem... - powiedziała.

-Jestes? Uśmiechnęła się.

-Jestem w ciąży.

-Mówisz poważnie...?

-Będzie miała dziecko. Zostanie matka.

Poderwał się na równe nogi i zamknął ją w ramionach. Przerywając pocałunek zapytał:

-A jeśli doktor Weingold się pomylił?

-Nie, to dobry lekarz.

-Musiał ci powiedzieć kiedy.

-Mozemy spodziewać się dziecka w trzecim tygodniu czerwca.

-Przyszłego czerwca? - zapytał dość głupio Travis. Nora parsknęła śmiechem.

-Nie będę przecież go nosić o cały rok dłużej niż inne kobiety. Dopiero teraz dopchał się do niej Einstein i dając wyraz swej radości, dokładnie ją wylizal.

-Aby to uczcić, przywiozłam butelkę schłodzonych babelków - powiedziała, wręczając Travisowi papierową torbę.

Kiedy w kuchni wypakował butelkę, przekonał się, że zawierała bezalkoholowy gazowany sok jabłkowy.

-Czyż takiej wiadomości nie powinniśmy uczcić najlepszym szampanem? - zapytał.

Wyjmując szklanki z szafki, odparła:

-Pewnie zachowuje się głupio i bije rekordy świata w zamartwianiu się na zapas... ale nie chce ryzykować, Travis. Nigdy nie myślałam, że mogę mieć dziecko, nigdy nie odważyłam się nawet o tym marzyć. Może dlatego mam teraz głupie uczucie, że nie było mi przeznaczone mieć dziecko i że zostanie mi ono zabrane, jeśli nie będę ostrożna i nie będę postępować, jak należy. Dlatego nie wezmę do ust alkoholu, dopóki go nie urodzę. Chcę jeszcze więcej warzyw i ograniczę ilość mięsa. Dobrze, że nie palę, więc przynajmniej z tym nie ma problemu. Przybiore na wadze dokładnie tyle, ile mi każe doktor Weingold. Będę też robić wszystkie ćwiczenia i urodzę najdoskonalsze dziecko, jakie świat kiedykolwiek oglądał.

-Oczywiście, kochanie. - Napełnił szklanki spienionym sokiem, nalał też trochę napoju do miski Einsteina.

-Wszystko pójdzie dobrze.

-Wszystko - przytaknął.

Wzniesli toast za dziecko, a potem za Einsteina, który z pewnością będzie wspaniałym ojcem chrzestnym, wujkiem, dziadkiem i czworonożnym aniołem stróżem w jednej osobie.

Do końca dnia żadne z nich nie wspomniało o Obcym.

Później w nocy, kiedy już się pokochali i leżeli w ciemnościach wtuleni w siebie, zasluchani w rytm bijących unisono serc, odważył się powiedzieć.

-Może, wiedząc o tym, co nas czeka, nie powinniśmy decydować się teraz na dziecko.

-Ciii.

-Ale...

-Nie planowalismy tego dziecka - powiedziala. - Wlasciwie, staralismy sie nawet zabezpieczyc przed ta mozliwoscia. A jednak stalo sie... I jest w tym cos szczegolnego, ze pomimo tych wszystkich srodkow ostroznosci, zaszlam w ciaze, nie sadzisz? To co mowilam przedtem, ze moze nie bylo mi przeznaczone, bym miala dziecko... to byly slowa dawnej Nory. Nowa Nora uwaza, ze wlasnie dziecko jest naszym przeznaczeniem, wspanialym darem - tak jak wspanialym darem byl Einstein.

-Ale biorac pod uwage to, co moze nam grozic...

-To nie ma znaczenia. Poradzimy sobie. Wszystko bedzie dobrze. Jesteśmy przygotowani. A potem urodzi sie dziecko i dopiero wtedy rozpoczniemy naprawde nasze wspolne zycie. Kocham cie, Travis.

-I ja cie kocham. Boze, jak cie kocham.

Uprzytomnil sobie naraz, jak ogromnie sie zmienila. Wystraszona, niesmiala dziewczyna, ktora spotkal wiosna w Santa Barbara, zniknela bez sladu. Nora byla teraz silna, stanowcza kobieta, to o n a probowala usmierzyc jego obawy.

Robila to zreszta bardzo skutecznie. Rzeczywiscie poczul sie pewniej. Lezac z twarza wtulona w jej szyje, pomyslal o dziecku i usmiechnal sie. Choc jego przeciwnik, los, mial teraz w rekach troje zakladnikow: Nore, nie narodzone dziecko oraz Einsteina, Travis czul sie lepiej niz kiedykolwiek przedtem.

2

Vince Nasco siedzial na starannie rzezbionym wloskim krzesle pokrytym politura, ktorej niezwykla przejrzystosc byla efektem systematycznego polerowania przez pare stuleci. Na prawo od niego stala sofa, dwa inne krzesla i niski stolik - wszystkie te meble prezentowaly sie rownie wykwintnie - a za nimi pietrzyly sie regaly pelne oprawnych w skore ksiazek, do ktorych nikt nigdy nie zagladal. Vince wiedzial o tym, bo Mario Tetragna - do niego nalezal ten pokoj,

stanowił jego gabinet - wskazał na nie kiedyś z dumą i powiedział:

-Kosztowne książki. I w idealnym stanie, bo nigdy nie były czytane. Nigdy. Żadna z nich.

Przed sobą miał ogromne biurko, przy którym Mario Tetragna przeglądał codzienne raporty o zyskach, składane mu przez jego dyrektorów, układał plany nowych przedsięwzięć i z za którego wydawał rozkazy będące wyrokami śmierci. Don siedział właśnie za swym biurkiem, wypełniając sobą szczelnie skórzany fotel. Z przymkniętymi oczyma wyglądał tak, jakby zmarł przed chwilą na skutek blokady tętnic lub otluszczenia serca. W rzeczywistości zastanawiał się tylko nad prośbą Vince'a.

Mario "Srubokret" Tetragna - poważny patriarcha własnej rodziny, siejący postrach don prowadzącej rozległą działalność Rodziny Tetragna, sprawującej kontrolę nad handlem narkotykami, hazardem, prostytutką, lichwą, pornografią oraz innymi sferami kryminalnej aktywności w San Francisco - przy wadze trzystu funtów liczył sobie pięć stop i siedem cali wzrostu. Jego twarz, tłusta, błyszcząca i gładka, przypominała nadmiernie napchana kiełbase. Wprost trudno było uwierzyć, że ten grubas potrafił stworzyć sprawnie działającą organizację przestępczą. Nawet w latach młodości Tetragna był już otyły. Jego pulchne, miękkie dłonie przypominały Vince'owi dłonie niemowlęcia. A przecież to właśnie one rządziły imperium Rodziny.

Spojrząwszy w oczy Maria Tetragni, Vince uświadomił sobie natychmiast, po raz któryś już z rzędu, że otyłość, niski wzrost i pewne cechy dekadence, jakie można było dostrzec w postaci dona, nie miały żadnego znaczenia. Ważne były tylko oczy: podobne do oczu weza, obojętne, zimne, twarde, czujne. Jeśli nie zachowales ostrożności, jeśli go rozgniewales, mógł cię nimi zahipnotyzować, a potem rozprawić się z tobą tak, jak waz robi to z zesztywniałą myszą; polknąłby cię w całości i strawił bez śladu. Vince podziwiał Tetragnę. Wiedział, że jest on wielkim człowiekiem, i żałował, iż nie może powiedzieć donowi o swym wspianym przeznaczeniu. Nauczył się

jednak nie rozmawiac z nikim o własnej niesmiertelnosci, gdyz kiedys taka szczerosc narazila go na kpiny ze strony czlowieka, ktory w zasadzie, jego zdaniem, powinien byl go zrozumiec.

Don Tetragna otworzyl swe gadzie oczy i rzekl:

-Pozwol, ze sie upewnie, czy dobrze rozumiem. Szukasz czlowieka, lecz nie ma to nic wspolnego z Rodzina. Chodzi o prywatna uraze.

-Tak, sir.

-Sadzisz, ze ten czlowiek mogl kupic podrobione papiery i teraz zyje pod zmienionym nazwiskiem. Wiedzial, w jaki sposob zdobyc takie dokumenty, chociaz nie jest czlowiekiem zadnej z Rodzin ani fratellanzy!

-Tak, sir. Jego przeszlosc wskazuje, ze... powinien wiedziec.

-I przypuszczasz, iz otrzymal te papiery albo w Los Angeles, albo tutaj. - Don Tetragna wskazal miekka, rozowa dlonia rozciagajaca sie za oknem panorame San Francisco.

-Dwudziestego piatego sierpnia uciekl z Santa Barbara samochodem, poniewaz z roznych przyczyn nie mogl skorzystac z samolotu - powiedzial, Vince. - Jestem pewien, ze pragnal jak najszybciej zdobyc nowe nazwisko. Poczatkowo zalozylem, iz skierowal sie na poludnie, aby poszukac falszerzy w Los Angeles, bo tam mial najblizej. Poswiecilem jednak dwa miesiace na rozmowy ze wszystkimi wlasciwymi ludzmi w Los Angeles, Orange County, a nawet w San Diego, ze wszystkimi, u ktorych ten czlowiek mogl uzyskac wysokiej klasy podrobki, i choc wskazali mi kilka tropow, zaden nie doprowadzil do celu. A zatem, jezeli z Santa Barbara nie skierowal sie na poludnie, to musial wyruszyć na polnoc i wowczas jedynym miejscem, gdzie moglby dostac to, czego szukal...

-Jest nasze cudowne miasto - dokonczyl za niego don Tetragna, ponownie wskazujac okno i usmiechajac sie do widocznych w dole,

gesto zabudowanych wzgorz.

Vince przypuszczał, że w uśmiechu dona dostrzega miłość do "cudownego" San Francisco. Ale to nie była miłość, tylko chciwość.

-I teraz - ciągnął don - chciałbyś, abym podał ci nazwiska ludzi mających moje zezwolenie na tego rodzaju działalność.

-Jeżeli w swoim sercu uzna mnie pan za godnego tej łaski, będę niezmiernie wdzięczny.

-Oni nie prowadzą rejestrów.

-To prawda, sir, ale mogli coś zapamiętać. - Ich zawód polega na tym, żeby nie pamiętać.

-Ludzki umysł niczego nie zapomina, don Tetragna. Chocbyśmy nie wiem jak się starali, tak naprawdę nigdy nie zapominamy.

-Ileż w tym prawdy. Więc przysiegasz, że człowiek, którego szukasz, nie jest członkiem żadnej Rodziny?

-Przysięgam.

-I że tego zbrojstwa z całą pewnością nikt nie powiąże z moją Rodziną?

-Przysięgam.

Don Tetragna na powrót zamknął oczy, lecz nie trwało to tak długo jak poprzednim razem. Kiedy je otworzył, na jego twarzy zagostcił szeroki, choć jak zwykle pozbawiony humoru, uśmiech. Był to najmniej wesoły gruby, jakiego Vince widział w życiu.

-Kiedy twój ojciec ożenił się ze Szwedką zamiast wybrać sobie którąś z naszych dziewczyn, jego rodzina popadła w rozpacz i oczekiwała najgorszego. Tymczasem twoja matka była dobrą żoną, cichą i posłuszną. Spłodzili cię - przystojnego chłopca. Ale ty jesteś nie

tylko przystojny. Ty jesteś dobrym żołnierzem, Vincent. Odwaliles kawał dobrej roboty dla Rodzin w Nowym Jorku i New Jersey, a także dla tych z Chicago oraz dla nas, na Zachodnim Wybrzeżu. Niedawno oddales mi wielką przysługę, rozgniatając tego karalucha Pantangele.

-Za co zostałem przez pana szczerze wynagrodzony, don Tetragna.

"Srubokret" lekceważąco machnął ręką.

-Wszyscy otrzymujemy zapłatę za naszą pracę. Nie mówmy jednak o pieniądzach. Twoja wieloletnia lojalność i oddanie są warte znacznie więcej. Należy ci się za to coś ode mnie.

-Dziękuję, don Tetragna.

-Otrzymasz nazwiska ludzi produkujących w tym mieście fałszywe papiery, dopilnuje także, aby zostali uprzedzeni o twojej wizycie. Możesz liczyć na ich współpracę.

-Skoro pan tak mówi - Vince podniósł się z krzesła, po czym sklonił głowę i ramiona - wiem, że tak się stanie.

Gestem dłoni don polecił mu usiąść.

-Zanim jednak zabierzesz się za prywatne porachunki, chciałbym, żebyś wykonał jeszcze jedno zlecenie dla mnie. Jest taki jeden facet w Oakland, który dostarcza mi wielu zmartwień. Uważa, że nic mu nie mogę zrobić, bo jest dobrze strzeżony i ma liczne znajomości wśród polityków. Nazywa się Ramon Velazquez. To będzie trudna robota, Vincent. Vince starannie ukrył złość i rozczarowanie. Nie miał teraz ochoty angażować się w żadne kłopotliwe zlecenia. Pragnął skoncentrować się wyłącznie na odnalezieniu Tralisa Cornella oraz psa. Zdawał sobie jednak sprawę, że oferta Tetragni była bardziej zadaniem niż propozycja. Jeśli zależało mu na nazwiskach ludzi handlujących fałszywymi dokumentami, musiał najpierw zlikwidować Velazqueza.



Powiedział więc:

-Prawdziwy to dla mnie zaszczyt móc zniszczyć każdego robaka, który zakłóca pański spokój. Tym razem nie ma mowy o żadnej zapłacie.

-Och, nalegam, żebyś przyjął wynagrodzenie, Vincent. Vince uśmiechnął się przymilnie:

-Proszę o te łaski, don Tetragna. Sprawi mi pan wielką przyjemność.

Tetragna zdawał się rozważać jego prośbę, choć dokładnie czegoś takiego oczekiwał - bezpłatnej usługi w zamian za pomoc. Położył obie dłonie na swym ogromnym brzuchu i zaczął przebierać palcami.

-Prawdziwy ze mnie szczęściarz. Gdzie nie spojrzę, ludzie są dla mnie uprzejmi i skory do przysług.

-To nie szczęście, don Tetragna - powiedział Vince. Ta manieryczna rozmowa przyprawiała go o mdłości. - Po prostu zbiera pan to, co wcześniej zasiał. Jeżeli plonem jest uprzejmość, to tylko dlatego, że tak szeroko rozsiewa pan ziarna niezmierniej uprzejmości.

Rozpromieniony Tetragna zgodził się przyjąć jego ofertę zlikwidowania Velazqueza za darmo. Nozdrza jego szerokiego nosa zadrzały, jakby zwietrzył coś dobrego do jedzenia.

-A teraz powiedz mi... tak dla ciekawości, co zrobisz z tamtym człowiekiem, kiedy już go złapiesz. Jak przeprowadzisz swoją vendettę?

Rozwale mu łeb i zabiorę psa, pomyślał Vince.

Dobrze jednak wiedział, co chce usłyszeć "Srubokret". Te same kretyńskie bzdury, za którymi przepadają wszyscy jemu podobni faceci, wynajmujący swego ulubionego płatnego zbrojnego. Dlatego też głośno powiedział:

-Don Tetragna, najpierw obetne mu jaja, potem uszy i język, i dopiero wtedy przebije mu serce.

W oczach grubego mężczyzny pojawił się błysk aprobaty, a jego nozdrza zadrzały gwałtownie.

3

Do Święta Dziekczynienia Obcy nie znalazł domu w Big Sur. Każdej nocy Travis i Nora zamykali od wewnątrz okiennice na wszystkich oknach. Blokowali drzwi. Kładąc się do snu w sypialni na piętrze zawsze mieli pod ręką dubeltówkę i rewolwery.

Niekiedy, grubo po północy, budziły ich jakieś dziwne odgłosy na podwórzu czy dachu werandy. Einstein biegał wówczas od okna do okna i głęboko wciągał nosem powietrze, jednak za każdym razem sygnalizował, że nie mają się czego obawiać. Przy bliższym zbadaniu okazywało się najczęściej, że źródłem zamieszania były lesne zwierzęta.

Dzień Dziekczynienia sprawił Travisowi więcej radości, niż mógł się spodziewać w tych okolicznościach. Wspólnie z Nora przygotowali tradycyjny świąteczny posiłek - pieczonego indyka w przybraniu z kasztanów, casserole z malzy, marchewkę, pieczona kukurydza, surowkę z kapusty, rogaliki i placek z dyni.

Einstein, który dysponował znacznie bardziej wyrafinowanym podniebieniem niż przeciętny pies, spróbował wszystkiego. Mimo wszystko był jednak psem i, choć zdecydowanie nie smakowała mu jedynie surowka z kapusty, najwięcej uwagi poświęcił indykowi, przez znaczną część popołudnia z zadowoleniem ogryzając kości.

Już jakiś czas temu Travis zauważył, że, podobnie jak większość psów, biegając po podwórzu Einstein zjadał od czasu do czasu nieco trawy, chociaż miał spore kłopoty z jej polykaniem. Jadł trawę także w Dniu Dziekczynienia, a kiedy Travis zapytał go, czy lubi smak trawy, odpowiedział, że nie.

-Dlaczego w takim razie ja jesz? - zapytał Travis. POTRZEBUJE TEGO.

-Do czego? NIE WIEM.

-Jezeli nie wiesz, do czego jest ci potrzebna, to skad w ogole wiesz, ze jej potrzebujesz? Instynkt?

TAK.

-Tylko instynkt? NIE WIEM. Tego wieczoru rozsiedli sie we trojke na stertach poduszek na podlodze salonu na wprost duzego kamiennego kominka i sluchali muzyki. Zlocista gesta siersc Einsteina Isnila w blasku ognia. Otoczywszy Nore jednym ramieniem i glaszczac psa druga reka, Travis pomyslal, ze jedzenie trawy musi mu sluzyc, bo Einstein sprawial wrazenie zdrowego i silnego. Co prawda, pare razy kichnal, a od czasu do czasu nawet pokaslywal, lecz wygladalo to na naturalna reakcje po swiatecznym obzarstwie lub moze zawinilo tu gorace, suche powietrze wokol kominka. Nawet przez moment Travis nie pomyslal, ze psu moze cos dolegac.

4

W piatek po poludniu, dwudziestego szostego listopada, nastepnego dnia po Dziekczynieniu, Garrison Dilworth znajdowal sie na pokladzie swego ukochanego, czterdziestodwustopowego jachtu "Amazing Grace", zakotwiczonego na swoim stanowisku w porcie Santa Barbara. Byl tak pochloniety pucowaniem metalowych elementow wyposazenia, ze prawie nie zauwazyl dwoch mezczyzn w garniturach, zblizajacych sie ku niemu wzdluz doku. Spostrzegl ich dopiero w momencie, gdy wlasnie zamierzali mu sie przedstawic, i od razu pojal, z kim ma do czynienia. Nie znal oczywiscie ich nazwisk, lecz domyslil sie, kim sa, to znaczy, dla kogo pracuja, jeszcze zanim wyciagneli swoje sluzbowe legitymacje. Jeden nazywal sie Johnson.

Nazwisko drugiego brzmialo Soames.

Udajac zdziwienie, ale i zainteresowanie, zaprosil ich na poklad. Gdy zeszli po trapie w dol, ten o nazwisku Johnson powiedzial:

-Chcielibysmy zadac panu kilka pytan, panie Dilworth.

-W jakiej sprawie? - Dilworth wytarl dlonie o biala szmatke.

Johnson byl Murzynem obdarzonym przecietnym wzrostem. Sprawial wrazenie wybuchowego, zarazem jednak w jego postaci bylo cos, co nakazywalo szacunek.

-Agencja Bezpieczenstwa Narodowego, powiada pan? - glosno zastanawial sie Garrison. - Nie sadzi pan chyba, ze zostalem zwerbowany przez KGB?

Johnson slabo sie usmiechnal.

-Czy wykonal pan zlecenie Nory Devon? Dilworth uniosl brwi.

-Nora? Mowi pan powaznie? No coz, moze pana zapewnic, ze Nora nie nalezy do osob, ktore dalyby sie wciagnac...

-Wobec tego, czy jest pan jej prawnikiem, czy nie? - wpadl mu w slowo Johnson.

Garrison poslal spojrzenie w kierunku towarzyszacego Johnsonowi mlodszeemu wiekiem, piegowatego agenta Soamesa i ponownie podniosl brwi, jakby chcial go zapytac, czy Johnson zawsze zachowuje sie tak chlodno. Soames, podobnie jak jego szef, gapil sie obojetnie przed siebie.

No tak, bedziemy mieli klopoty, pomyslal Garrison.

\* \* \*

Po denerwujacej i bezowocnej rozmowie z Dilworthem, Leni zlecil Cliffowi Soamesowi kilka zadan: uzyskanie zgody sadu na zalozenie podslychu w telefonach znajdujacych sie w domu i biurze prawnika;

wyszukanie trzech najbliższych telefonów publicznych wokół jego domu i tył w okolicy biura, a następnie doprowadzenie do założenia podsłuchu także i tam; dotarcie do rejestrów firmy telefonicznej oraz sprawdzenie wszystkich międzymiastowych rozmów przeprowadzonych z domu Dilwortha bądź z jego biura; ściąganie dodatkowych ludzi z Los Angeles i zorganizowanie w ciągu najbliższych trzech godzin stałej obserwacji prawnika. Cliff natychmiast zabrał się do roboty, Lem natomiast wybrał się na przechadzkę po przystani, w nadziei, że szum morza i kojący widok przetaczających się nieustannie fal pomogą mu odzyskać spokój umysłu i skoncentrować się na dreczących go problemach. Bog jeden wiedział, jak bardzo ta koncentracja była mu potrzebna. Od chwili gdy pies i Obcy uciekli z Banodyne, upłynęło już ponad sześć miesięcy. W tym czasie Lem schudł o przeszło piętnaście funtów, od dłuższego już czasu źle sypiał, stracił zainteresowanie jedzeniem i nawet życie seksualne nie dawało mu tyle radości co dawniej.

Jeśli się za bardzo czegoś chce, powtarzał sobie, to można wtedy dostać zatwardzenia umysłu. Polajanki te nie dawały jednak rezultatów. Był wciąż zablokowany, jak wypełniona betonem rura.

W ciągu tych trzech miesięcy, które minęły od odnalezienia airstreama Cornella na parkingu przed szkołą w dzień po zabójstwie Hockneya, Lem dowiedział się, między innymi, że owego wieczoru Cornell wrócił wraz z jakąś kobietą z wycieczki do Vegas, Tahoe i Monterey. Znalezione w samochodzie i przyczepie rachunki z nocnych klubów w Vegas, papier listowy z wydrukowaną nazwą hotelu, reklamowe pudełko zapalek, a także kwity ze stacji benzynowych, pozwalały dokładnie określić czas i miejsce każdego ich postoju na tej trasie. Nie znalazł tożsamości podróżującej z Cornellem kobiety. Przyjął założenie, że była jego przyjaciółką i nikim więcej. Oczywiście, nie powinien nigdy zakładać czegoś podobnego. Dopiero kilka dni temu, kiedy jeden z jego agentów pojechał do Vegas zawrzeć związek małżeński, Lemowi przyszło do głowy, że Cornell i ta sama kobieta uczynili, być może, dokładnie to samo. Ich wycieczka zaczęła mu się kojarzyć z podróżą posłubną. W ciągu kilku godzin uzyskał potwierdzenie, iż

rzeczywiście, jedenastego sierpnia w Clark County, stan Nevada, Cornell wziął ślub z Nora Devon z Santa Barbara.

Podjawszy poszukiwania Nory Devon, odkrył wkrótce, że jej dom został sprzedany przed szesnastoma tygodniami, a więc już po tym, jak zniknęła z Cornellem. Transakcję przeprowadził w jej imieniu prawnik, Garrison Dilworth.

Zamrażając konta Cornella, Lem miał nadzieję mocno utrudnić życie zbiegom. Teraz dowiedział się o dwudziestu tysiącach pobranych z jego rachunku przez Dilwortha na krótko przed wprowadzeniem blokady. Także dochód ze sprzedaży domu trafił zapewne do rąk właścicielki. Co więcej, korzystając z pomocy Dilwortha, przed czterema tygodniami zlikwidowała ona w tutejszym banku swoje konto. Biorąc to wszystko pod uwagę, należało przyjąć, że uciekinierzy dysponowali dostateczną ilością gotówki, by móc pozostać w ukryciu jeszcze przez wiele lat.

Stojąc na nabrzeżu, Lem zapatrzył się w roziskrzane słońcem morze. Niewielkie fale uderzały w równych odstępach czasu o skałę, a rytm ten przyprawiał teraz Lema o mdłości.

Spojrzał w górę na krawce z wrzaskiem mewy. Ich widok, zamiast go uspokoić, jeszcze bardziej wzmożył jego napięcie.

Garrison Dilworth był inteligentny, bystry i umiał walczyć. Skoro tylko wyszły na jaw jego powiązania z Cornellami, natychmiast zapowiedział skierowanie do sądu sprawy przeciwko NSA o odblokowanie kont Trávisa.

-Nie wystąpiłiscie z żadnym oficjalnym oskarżeniem przeciwko niemu - uzasadniał. - Który z to uległy sędzia zgodził się wydać postanowienie o zamrożeniu kont? Nie mogę spokojnie patrzeć na to, jak manipulujecie prawem, żeby pognać niewinnego obywatela.

Lem mógł oskarżyć Trávisa i Nore Cornellow o naruszenie całego szeregu przepisów dotyczących bezpieczeństwa narodowego i w ten

sposob uniemozliwic Dilworthowi dalsza pomoc finansowa zbiegom. Wniesienie oskarzenia przyciagneloby jednak uwage srodkow masowego przekazu i wowczas nikt by juz nie chcial wierzyc w niedorzeczna historie o panterze Cornella - a moze nawet cala akcja dezinformacyjna NSA stracilaby wszelki sens.

Pozostala mu tylko nadzieja, iz Dilworth sprobuje skontaktowac sie z Cornellami, powiadomic ich, ze policja wpadla na jego trop i ze od tej chwili, kontaktujac sie z nim, powinni zachowywac maksymalna ostroznosc. Wowczas, przy odrobinie szczescia, Lem moglby dotrzec do Cornellow dzieki numerowi ich telefonu, lecz, szczerze mowiac, nie bardzo wierzyl, ze sprawy potocza sie az tak gladko. Dilworth nie byl przeciez glupcem.

Rozgladajac sie po przystani jachtowej Santa Barbara, Lem szukal odprezenia. Wiedzial, ze jesli chce przechytrzyc starego prawnika, musi odzyskac spokoj i swiezosc umyslu. W basenie portowym setki lodzi z zaglami zwinietymi lub calkowicie zdjetymi kolysaly sie lagodnie na fali. Inne pod pelnymi zaglami sunely pewnie w strone otwartego morza. Na ich pokladach ludzie w strojach kapielowych opalali sie lub popijali koktajle, a po blekitno-bialej tkaninie nieba, niczym igly, smigaly mewy. Widok ten, niemal bolesnie malowniczy, kojarzyl sie jednoczesnie z alegorycznym obrazem wspanialej bezczynnosci, pelnego, doskonale zaplanowanego wypoczynku, który byl dla Lema Johnsona czyms absolutnie nie do przyjecia. Dla Lema zbyt dluga bezczynnosc stanowila grozne oderwanie od zimnej, twardej rzeczywistosci, od przesiaknietego duchem konkurencji swiata. Kazdy wypoczynek trwajacy dluzej niz kilka godzin budzil w nim niepokoj i pragnienie powrotu do pracy. Tutaj bezczynnosc miala wymiar dni, tygodni. Na tych kosztownych, wspaniale wyposazonych jachtach calymi miesiacami wedrowano wzdluz wybrzeza, przeznaczajac na beztroski wypoczynek tyle czasu, ze na mysl o tym Lema oblewal pot i chcialo mu sie krzyczec.

Bez przerwy martwil sie takze Obcym. Stworzenie nie dalo znaku zycia od dnia, gdy Travis Cornell strzelal do niego w swoim domu, to

znaczy od konca sierpnia. Trzy miesiace temu. Co robilo przez te trzy miesiace? Gdzie sie ukrylo? Czy wciaz scigalo psa? A moze juz nie zylo?

Moze gdzies na pustkowiu ugryzl je grzechotnik albo zabilo sie spadlszy ze skaly?

Boze, pomyslal Lem, spraw, zeby nie zylo, prosze, uczyn mi chociaz te laske. Niech juz nie zyje.

Jednakze w glebi duszy wiedzial, ze Obcy nie zginal, poniewaz byloby to zbyt latwym rozwiazaniem. Nic w zyciu nie uklada sie tak prosto. Przeklęte bydle mialo sie dobrze i gdzies tam podazalo sladem psa. Prawdopodobnie stlumilo w sobie na jakis czas zadze zabijania ludzi, zdawalo sobie bowiem sprawe, ze kazde kolejne morderstwo ulatwia Leniowi i jego ekipie odnalezienie go, a nie chcialo dac sie schwytac, zanim nie zabije psa. Kiedy bestia rozszarpie wreszcie retrievera i Cornellow na krwawe strzepy, wyladuje juz swobodnie swa wscieklosc i stanie sie znacznie grozniejsza niz dotad dla ludnosc okolicznych terenow, a kazda kolejna smierc obciazy sumienie Lema. Jakby tego bylo malo, sledztwo w sprawie serii morderstw, dokonanych na naukowcach z Banodyne, utknelo w martwym punkcie. Ostatnio zmniejszyli nawet liczbe prowadzacych je ludzi. Najwyrazniej Soweci wynajeli do tej roboty jakichs wolnych strzelcow i mimo uporczywych wysilkow nie udalo sie odnalezc niczego, co mogloby naprowadzic funkcjonariuszy Agencji na slad zbrodniarzy.

Mocno opalony mezczyzna w bialych szortach, mijajac Lema, zawolal:

-Pieknny dzis mamy dzien!

-Jak cholera - odrzekl Lem.

5

W dzien po Swiecie Dziekczynienia, Travis wszedlszy do kuchni po szklanke mleka zauwazyl, ze siedzacy tam Einstein kicha raz po raz.



Nie przejął się tym jednak zbyt. Nora, która troszczyła się o retrievera jeszcze bardziej niż Travis, także zachowała spokój. Co prawda w Kalifornii największe stężenie pyłku kwiatowego obserwuje się wiosną i jesienią, jednakże w tutejszym, ciepłym klimacie kwiaty kwitną przez cały rok, tak więc zupełnie wolne od ich pyłku powietrze nigdy właściwie nie bywa. Tej nocy Trávisa obudził jakiś dziwny dźwięk, którego nie mógł zidentyfikować. Sen odbiegł go natychmiast, zaalarmowany usiadł w ciemnościach i podniósł z podłogi leżącą obok łóżka dubeltówkę. Ścisnął ją w dłoni, wytężył słuch. Po chwili hałas się powtórzył. Dobiegł z korytarza na piętro.

Nie budząc Nory, Travis wstał z łóżka i ostrożnie podszedł do drzwi. Podobnie jak w innych pomieszczeniach, w korytarzu zainstalowane zostało nocne oświetlenie. W jego mdłej poświacie Travis ujrzał psa. Einstein stał w pobliżu schodów, kaszlał i potrząsał głową.

Podszedłszy bliżej, Travis zapytał:

-Wszystko w porządku? Szybkie machnięcie ogona. Tak.

Pochylił się i poklepał retrievera po grzbiecie.

-Jesteś pewien? Tak.

Pies przywarł do niego na chwilę, zadowolony z pieszczoty. Potem odwrócił się i pokaszając ruszył schodami w dół.

Travis podążył za nim. Znalazł Einsteina w kuchni. Pies chleptał łapczywie wodę z miski. Oprożniwszy naczynie, retriever przeszedł do spiżarni, zapalił światło i przystąpił do układania napisu. PIC.

-Na pewno nic ci nie jest?

CZUJE SIĘ ŚWIETNIE, TYLKO CHCE PIC. OBUDZIŁ MNIE ZŁY SEN.

-To ty snisz? - zdziwił się Travis. A TY NIE?

-Tak. Az za duzo.

Nalal wody do miski i Einstein znowu wypil wszystko. Travis raz jeszcze napelnil naczynie i tym razem wreszcie retriever zaspokoil swoje pragnienie. Travis spodziewal sie, ze pies zechce wybiec na dwor, zeby sobie posiusiac, ten jednak wdrapal sie po schodach na pietro i przystanal pod drzwiami sypialni.

Znizajac glos do szeptu, Travis powiedzial:

-Sluchaj, jesli chcesz, mozesz spac na podlodze obok lozka.

O to wlasnie chodzilo Einsteinowi. Natychmiast zwinal sie w klebek na dywaniku od strony Travisa.

Travis bez trudu mogl teraz odnalezc dlonia w ciemnosciach zarowno dubeltowke, jak i psa. Obecność Einsteina dzialala nan bardziej uspokajajaco niz dotyk broni.

6

W sobote po poludniu, w dwa dni po Swiecie Dziekczynienia, Garrison Dilworth wsiadl do swego mercedesa i powoli odjechal sprzed domu. Nim minal dwie przecznice, wiedzial juz, ze nadal jest sledzony przez NSA. Zielony ford, prawdopodobnie ten sam, co zeszlego wieczoru. Trzymali sie dyskretnie z daleka, ale przeciez nie byl slepy. Nadal nie dzwonił jeszcze do Nory i Travisa. Poniewaz sledzono go, podejrzewal, ze jego telefon takze jest na podsłuchu. Mogl co prawda skorzystac z publicznej budki, obawial sie jednak, iz NSA podsłucha rozmowe za pomoca mikrofonu kierunkowego lub jakiegos innego urzadzenia elektronicznego. Gdyby zas zdolali nagrasc odglos towarzyszaczy naciskaniu poszczegolnych guzikow przy wybieraniu numeru Cornellow, mogliby pozniej z latwoscia odcyfrowac numer abonenta w Big Sur. Chcac w miare chocby bezpiecznie nawiazac kontakt z Travisem i Nora, musial sie uciec do podstepu.

Wiedzial, ze nalezy dzialac szybko, zanim ktoreś z Cornellow do niego

zadzwonili. W dzisiejszych czasach, dysponując wysoko rozwiniętą techniką, NSA była w stanie zlokalizować numer, zanim zdążyłby ostrzec Trávisa, że linia jest na podsłuchu.

Dlatego też w sobotę o czternastej, w asyście zielonego Forda, zajeżdżał przed dom Delii Colby w Montecito, aby zawieźć ją do przystani i zabrać ją swoim jachtem "Amazing Grace" na krótki rejs w południowym słońcu. Tak przynajmniej powiedział jej przez telefon.

Delia była wdowa po sędzi Jacku Colbym. Ona i Jack byli najlepszymi przyjaciółmi Garrisona i Francine przez dwadzieścia pięć lat, dopóki śmierć nie rozbila ich czwórki. Jack zmarł w rok po Francine, Delia zaś i Garrison nadal utrzymywali bliskie kontakty. Często chodzili razem do restauracji na tance, na spacer, razem żeglowali. Początkowo ich związek miał czysto platoniczny charakter; byli po prostu parą starych przyjaciół, którzy mieli szczęście - lub nieszczęście - przeżyć swoich najbliższych i byli sobie nawzajem potrzebni, ponieważ mieli masę pięknych wspomnień, których wartość znacznie by zmalała, gdyby nie mogli ich z nikim dzielić. Przed rokiem, gdy nieoczekiwanie wylądowali razem w łóżku, byli potem nie tylko zaskoczeni, dreczyło ich również poczucie winy. Czuli się tak, jakby oszukiwali swych współmałżonków, choć od śmierci Jacka i Francine upłynęły już całe lata. Oczywiście, z czasem to poczucie winy zniknęło i dzisiaj wdzięczni byli losowi za to, że obdarzył ich oboje towarzystwem kogoś bliskiego i łagodnie płonącym uczuciem, które nieoczekiwanie rozjaśniło późną jesień ich życia.

Gdy tylko zaparkował samochód na podjeździe, Delia wyszła z domu, zamknęła starannie drzwi i podbiegła do samochodu. Miała na sobie białe spodnie, sweter w niebiesko-białe pasy, żeglarskie buty oraz niebieską czapkę. Choć liczyła sobie sześćdziesiąt dziewięć lat, a jej krótko obcięte włosy były śnieżnobiałe, w stroju tym wyglądała o piętnaście lat młodziej.

Wysiadł z mercedesa, objął ją, pocałował na dzień dobry i powiedział:

-Czy możemy pojechać twoim wozem? Zamrugła oczami.

-Masz jakieś kłopoty ze swoim?

-Nie. Po prostu wolalbym twój.

-Proszę bardzo.

Wyprowadziła z garażu cadillaca, a on zajął miejsce pasażera. Dojeżdżali właśnie do ulicy, gdy powiedział:

-Obawiam się, że w moim samochodzie mogli założyć podsłuch, a nie chcę, żeby słyszeli, co mam ci do powiedzenia. Wyraz jej twarzy był godny uwiecznienia. Parsknął śmiechem.

-Nie, to nie nagły przypadek uwiadu starczego. Jeżeli podczas jazdy popatrzysz uważnie we wsteczne lustro, zauważysz, że jesteśmy śledzeni. To świetni fachowcy. Działają subtelnie, ale przecież nie są niewidzialni.

Dal jej czas na obserwację. Gdy mineli parę przecznic, Delia powiedziała:

-Zielony ford, czy tak?

-To oni.

-W co ty się wpakowałeś, kochany?

-Nie jedź prosto do portu. Odwiedzimy najpierw rynek, kupimy tam świeżych owoców, a potem poszukamy dobrego wina. Po drodze opowiem ci o wszystkim.

-Czyżbyś prowadził podwójne życie? Nigdy by mi to nie przyszło do głowy? - powiedziała szczerząc zęby w uśmiechu. - A może jesteś geriatrycznym Jamesem Bondem?

Poprzedniego dnia Lem Johnson ponownie uruchomił swój punkt

dowodzenia w mogacym przyprawic kazdego o klaustrofobie pokoju biurowym w budynku sadu w Santa Barbara. Pomieszczenie to mialo tylko jedno wazkie okno, ciemne sciany i slabe zrodlo swiatla pod sufitem, wiec po katach zbieraly sie liczne cienie, przypominajace poutykane przypadkowo strachy na wroble. Na jego wyposazenie skladaly sie meble wypozyzione z innych pokoi, przewaznie same rupiecie. Pracowal juz tutaj przez pare dni, po zabojstwie Hockneya, lecz po tygodniu zwinal interes, bo w okolicy nie mieli juz wiecej nic do zrobienia. Teraz, liczac na to, ze Dilworth naprowadzi ich na slad Cornellow, Lem ponownie wprowadzil sie do tego zagraconego lokalu, podlaczyl telefony i czekal na rozwoj wypadkow.

Dzielil pokoj z Jimem Vanne'em - dwudziestopiecioletnim agentem, ktory wykazywal wrecz nadmierne zaangazowanie.

Cliff Soames kierował szescioosobowym zespołem w porcie, nadzorując prace agentów NSA i koordynując jednocześnie obserwacje Dilwortha, która prowadzili ludzie ze Służby Patrolowej Portu i Straży Wybrzeża. Przebiegły staruszek zauważył z całą pewnością, że jest śledzony, toteż Lem przypuszczał, iż w każdym momencie podejmie próbę zgubienia obstawy, by bez przeszkód zadzwonić do Cornella. Należało oczekiwać, że Garrison wybierze rozwiązanie, które w jego sytuacji dawało największe szanse powodzenia: wypłynięcie w morze, a następnie przybicie do brzegu w miejscu, skąd będzie mógł ostrzec telefonicznie Cornella, zanim pogon ponownie odnajdzie jego trop.

W takim wypadku stwierdziłby jednak ku swemu zdziwieniu, że towarzyszy mu łódź patrolowa portu, która na pełnym morzu zastąpiłaby specjalnie na tę okazję przygotowany kuter Straży Wybrzeża.

O trzeciej czterdziści Cliff zameldował, że Dilworth wraz ze swoją przyjaciółką siedzą na pokładzie "Amazing Grace", jedzą owoce, saczą wino, wspominają dawne dzieje, a niekiedy się śmieją.

-Z tego, co widzimy i łapiemy przez nasze mikrofony kierunkowe, wynika, że raczej nigdzie się nie wybierają. No chyba, żeby do łódki. Wyglądają mi na parę starych lubieżników.

-Nie spuszczać ich z oczu - polecił Lem. - Ani trochę im nie wierze.

Wkrótce potem zadzwoniła ekipa, która włamała się niepostrzeżenie do domu Dilwortha w chwili po jego odjeździe. Nie znaleźli niczego, co miałoby jakkolwiek związek z Cornellem lub psem.

Biuro Dilwortha przeszczesali dokładnie ubiegłej nocy, lecz tam także nie natrafili na żaden interesujący ślad. Podobne rezultaty dała kontrola rachunków telefonicznych prawnika. Jeżeli nawet kontaktował się z Cornellem, zawsze robił to z aparatów publicznych. Analiza jego rachunków ATT opłacanych za pomocą kart kredytowych takich

rozmow nie wykazala, a zatem jesli nawet uzywal aparatow publicznych telefonujac do Cornellow, robil to na ich koszt, nie zostawiajac praktycznie zadnych sladow. Nie byla to wiadomosc pocieszajaca. Widocznie Dilworth podjal wszelkie mozliwe srodki ostroznosci, zanim jeszcze zaczeli go sledzic.

Obawiajac sie troche, ze pies mogl sie przeziebic, Travis obserwowal go w sobote szczegolnie uwaznie. Na szczescie retriever kichnal tylko pare razy, nie kaszlal w ogole i sprawial wrazenie zdrowego.

Firma przewozowa dostarczyła dziesięć wielkich kartonowych pudeł, w których znalazły się wszystkie ukończone полотна Nory, jakie pozostały w Santa Barbara. Kilka tygodni temu, posługując się adresem zwrotnym przyjaciółki, by nikt nie był w stanie dopatrzeć się jakichkolwiek powiązań między nim a Nora Aimes, Garrison wysłał obrazy do ich nowego domu.

Wydobywając полотна z pudeł i papierów, w które zostały poowijane. Nora poczuła teraz wielkie ożywienie. Travis wiedział, że przez wiele lat praca ta stanowiła cel jej życia. Miał nadzieję, iż odzyskanie obrazów sprawi jej nie tylko wielką radość, ale skłoni ją również do szybszego ukończenia paru nowych rzeczy, stojących na sztalugach w wolnym pokoju.

-Chcesz zadzwonić do Garrisona, żeby mu podziękować? - zapytał.

-Tak, koniecznie! - odparła. - Ale najpierw rozpakujemy wszystko i sprawdzimy, czy coś nie uległo zniszczeniu.

Udając właścicieli jachtów lub wędkarzy, Cliff Soames i pozostali agenci NSA, rozstawieni wokół przystani, śledzili Dilwortha i Delie Colby, a równocześnie, z pomocą elektronicznego sprzętu, podsłuchiwali ich rozmowę. Zapadał już zmierzch, a nadal nic nie wskazywało, że prawnik ma zamiar wypłynąć w morze. Choć noc była już blisko, na pokładzie nic się nie zmieniło.

W poł godziny po zapadnięciu ciemności, Cliff, zmęczony udawaniem

wedkarza, opuścił rufę sześćdziesięciosześcioletniego sportowego jachtu cumującego o cztery stanowiska dalej od łodzi Dilwortha. Wszedł po kilku stopniach do kabiny pilota, po czym sięgnął słuchawki z głowy Hanka Gornera, agenta prowadzącego nasłuch za pomocą mikrofonu kierunkowego.

-...jak wtedy w Acapulco Jack wynajmował łódź...

-...tak, cała załoga wyglądała na piratów!

-...myśleliśmy, że podejrzana nam gardła albo wyrzuca za burtę...

-...ale okazało się, że wszyscy byli studentami seminarium...

-...chcieli zostać misjonarzami... Jack powiedział... Oddając słuchawki, Cliff powiedział:

-Ciagle wspominają!

Gorner pokiwał głową. Oświetlenie kabiny było wyłączone, toteż w blasku małej, osłoniętej lampki, wbudowanej nad stołem, rysy jego twarzy wydawały się dziwnie wydłużone.

-I tak przez cały dzień. Przynajmniej mają co wspominać.

-Idę do kibla - rzucił Cliff zmęczonym tonem. - Zaraz wracam.

-A siedź tam sobie choćby dziesięć godzin. Przecież oni nigdzie się nie rusza.

Gdy Cliff wrócił po paru minutach, Hank Gorner sięgnął słuchawki i rzekł:

-Zeszli pod pokład.

-Coś się dzieje?

-Nie to, na co czekamy. Będzie potraszać starymi kośćmi.



-Aha. - Cliff, litosci. Ja nie chce tego sluchac.

-Sluchaj.

Hank zalozyl sluchawki z powrotem.

-Jezu, teraz sie rozbieraja. Sa tak starzy jak moi dziadkowie. To wcale nie jest przyjemne.

Cliff westchnal.

-Teraz sa cicho - poinformowal Hank, a na jego twarzy pojawil sie wyraz niesmaku. - Lada moment zaczyna jeczec, Cliff.

-Sluchaj dalej! - Cliff zlapal lezaca na stole kartke i wyszedl z kabiny. On nie musial tego sluchac.

Ponownie zajal pozycje na krzesle na pokladzie rufowym, po czym zarzucil wedke.

Noc byla wystarczajaco zimna, by zmusic do nalozenia kurtki, ale z drugiej strony, taka pogoda bardzo im odpowiadala. Przejrzyste i slodkie powietrze tylko lekko pachnialo morzem. Na bezkieszykowym niebie swiecilo mnostwo gwiazd. Woda pluskala sennie o umocnienia nabrzeza i kadluby cumujacych lodzi. Gdzies po drugiej stronie portu ktos sluchal milosnych piosenek z lat czterdziestych. Cisze wieczoru zmacil lomot uruchamianego silnika - uuump, uuump, uuump, a dzwiek ten mial w sobie cos romantycznego. Cliff pomyslal, jak by, to bylo wspaniale miec wlasny jacht i wybrac sie w dluga podroz po poludniowym Pacyfiku, ku poroslym palmami wyspom...

Nieoczekiwanie, pracujacy dotad na luzie silnik ryknal glosno i dopiero wtedy Cliff uswiadomil sobie, ze to "Amazing Grace". Poderwal sie z krzesla, wypuszczajac z dloni wedke. Lodz Dilwortha odplywala z niepokoja szybko. Poniewaz wyposazona byla w zagle, Cliff podswiadomie nie dopuszczal mysli, by mogla sie poruszac ze zwinietym takielunkiem. Ale przeciez jacht mial pomocnicze silniki;

wiedział o tym, był na to przygotowany, a jednak mimo wszystko dał się zaskoczyć. Wbiegł do kabiny.

-Hank, łącz się ze Służbą Patrolową Portu. Dilworth ucieka.

-Przecież oni są w łozku...

-Akurat! - Cliff wspiał się na pokład dziobowy, skąd ujrzał, że Dilworth zdążył już w pełni obrotić "Amazing Grace" i zmierzał ku wyjściu z portu.

Na rufie nie paliły się żadne światła, ciemno było również wokół koła sterowego i tylko na dziobie płonęła pojedyncza, mała lampka. Jezus, on naprawdę próbował uciec. Zanim wypakowali wszystkie obrazy i część z nich zawiesili na ścianach, a resztę złożyli w nie wykorzystanej sypialni, zdążył porządnie zgłodnieć.

-Garrison pewnie też je właśnie obiad - powiedziała Nora. - Nie chce mu przeszkadzać. Zadzwońmy do niego później.

Einstein wbiegł do spiżarni i naciskając łapą pedały, wysypał na podłogę nieco liter, z których następnie ułożył wiadomość:

**CIEMNO. ZAMKNIJCIE NAJPIERW OKIENNICE.**

Zdziwiony i zaniepokojony zarazem własnym zaniedbaniem, Travis przeszedł przez wszystkie pokoje, pozamykał od wewnątrz okiennice i zablokował je solidnymi bolcami. Zafascynowany malarstwem Nory, ciesząc się radością, jaką sprawiło jej przybycie obrazów, nawet nie zauważył, kiedy zapadła noc. W połowie drogi do wyjścia z portu, pewien, że odległość i huk silnika skutecznie chronią ich przed elektronicznym podsłuchem, Garrison powiedział:

-Podwieź mnie w pobliżu wieżcholka północnego falochronu.

-Chcesz to naprawdę zrobić? - zapytała zmartwiona Delia. - Nie masz kilkunastu lat.

Poklepal ja po siedzeniu.

-Ale jestem lepszy od nastolatka.

-Marzyciel.

Pocalowal Delie w policzek, po czym podszedl do biegnacej wzdluz prawej burty barierki i przygotowal sie do skoku. Nie mial na sobie niczego oprócz niebieskich kapielowek. Woda musiala byc zimna, totez nalezalo raczej zalozyc kombinezon z pianki, obawial sie jednak, ze w takim stroju nie zdola doplynac do falochronu, okrazyc jego glowki, a potem wdrapac sie na polnocna skarpe, niewidoczna od strony portu. Wszystko to musial przeprowadzic w ciagu kilku minut, mial wiec nadzieje, ze woda nie zdazy go zupełnie zamrozic.

-Mamy towarzystwo! - zawolala od steru Delia. Popatrzyt za siebie i ujrzal, jak od strony poludniowego doku wyplywa lodz Sluzby Patrolowej Portu, obierajac kurs na "Amazing Grace".

Nie zatrzymaja nas, pomyslal. Nie maja do tego prawa.

Musial jednak zniknac za burta, zanim tamta lodz zajmie pozycje dokladnie za ich rufa. W przeciwnym razie zauwaza jego skok przez barierke. Tak dlugo, dopoki mieli ich po lewej burcie, mogl skakac zasloniety burta jachtu, a fosforyzujaca bruzda, ktora zostawia "Ania - zing Grace" na powierzchni wody, ukryje go, gdy przez kilka pierwszych sekund plynac bedzie wokol glowki falochronu.

Posuwali sie do przodu z najwyzsza szybkościa, przy jakiej Delia czula sie bezpiecznie. Jacht podskakiwal na lekkiej fali z sila dostateczna, by zmusic Garrisona do kurczowego przytrzymywania sie barierki, a mimo to suneli wzdluz kamiennej sciany falochronu irytujaco powoli. Sluzba Patrolowa byla coraz blizej, lecz Garrison wciaz jeszcze czekal. Nie mogl wyskoczyc w obrebie portowego basenu w odleglosci, powiedzmy, stu jardow przed koncem falochronu. Gdyby tak zrobil, nie bylby w stanie doplynac do glowki i przedostac sie na druga strone. Zamiast tego musialby wowczas

dotrzec do falochronu po najkrotszej linii i wspinac sie po jego skarpie na oczach wszystkich zainteresowanych. Patrolowiec zbлизyl sie na jakies sto jardow - widzial wyraźnie pogon, gdy rozprostowawszy nogi popatrzył ponad dachem kabiny - i wszedł im już prawie na rufę. Garrisonowi zostało niewiele czasu, nie mógł...

-Głowka! - krzyknęła Della.

Skoczył przez barierkę w głąb ciemnej wody.

Morze było zimne. Chłód zaparł mu oddech w piersiach. Zaczął się wynurzać, lecz bardzo długo nie mógł osiągnąć powierzchni. Ogarnięty paniką" zawzięcie młocił rękami i wreszcie, ciężko dysząc, zdołał zaczerpnąć tchu.

"Amazing Grace" znajdowała się zaskakująco blisko. Miał wrażenie, że miotał się pod wodą przynajmniej z minutę, w rzeczywistości musiało jednak upłynąć załedwie kilka sekund, gdyż łódź niemal w ogóle nie zmieniła położenia. Niebezpiecznie blisko był także patrołowiec. Garrison uznał, że nawet spieniony kilwater "Amazing Grace" nie gwarantował mu bezpiecznego ukrycia. Nabral w płuca powietrza i zanurkował ponownie, pozostając pod wodą tak długo, jak tylko zdołał wytrzymać. Kiedy wypłynął, obie łodzie przesunęły się już daleko poza wejście do portu i zwracały na południe. Z takiej odległości nikt nie zdołałby go dojrzec.

Fala odpływu szybko uniosła Garrisona poza główkę północnego falochronu, usypanej z glazów i odłamków skalnych ściany, która wznosiła się na wysokość dwudziestu stop ponad linie wody, a w ciemnościach sprawiała wrażenie jednolitego czarnego wału, upstrzonego szarymi cetkami. Musiał nie tylko opłynąć wierzchołek tej bariery, ale dotrzeć do niej potem od drugiej strony, pokonując przy tym przeciwny prąd. Popłynął zatem, usiłując dociec, na jakiej właściwie podstawie przypuszczał, iż całe to przedsięwzięcie nie sprawi mu najmniejszego kłopotu. Masz prawie siedemdziesiąt jeden lat, powtarzał sobie, opływając najeżony skalami wierzchołek

falochronu, na którym plonela ostrzegawcza latarnia nawigacyjna. Skąd ta nagła chęć odgrywania bohatera?

Dobrze wiedział, co się za tym kryło: głębokie przekonanie, iż pies musi pozostać na wolności, że nie można go traktować jako własności rządu. "Skoro zaszliśmy tak daleko, że jesteśmy w stanie tworzyć, jak tworzy Bóg, nauczmy się również postępować sprawiedliwie i miłosiernie, podobnie jak On". Tak powiedział Norze, Travisowi, no i Einsteinowi tej nocy, po śmierci Teda Hockneya, wierząc w pełni w każde wypowiedziane przez siebie słowo.

Ślona woda szczypała w oczy, zamazywała obraz. Kiedy przypadkiem załapała mu usta, poczuł pieczenie drobnej ranki na dolnej wardze.

Gdy tylko głowka falochronu przesłoniła mu widok portu, walczyć z prądem popłynął w stronę skał. Osiągnął w końcu cel, lecz nie był w stanie wyjść z wody o własnych siłach. Ciężko dysząc, zawisł na pierwszym napotkanym glazie.

W ciągu tygodni, jakie upłynęły od ucieczki Nory oraz Trávisa, Garrison miał mnóstwo czasu na rozmyślanie o Einsteinie i coraz bardziej umacniało się w nim przekonanie, że uwięzienie inteligentnej istoty, której obca była wszelka zbrodnia, stanowiłoby przejaw bezduszności jurysdykcji, choć w tym przypadku sprawa dotyczyła psa. Garrison poświęcił całe swoje życie walce o sprawiedliwość, której osiągnięcie umożliwiały stworzone przez demokrację prawa, i o wolność, której ostoja była właśnie sprawiedliwość. Kiedy człowiek oddany jakiejś idei dochodzi do wniosku, że jest zbyt stary, by ryzykować wszystko w imię swoich przekonań, oznacza to, iż utracił idealy, a może nawet w ogóle przestał być człowiekiem. Uświadomiwszy sobie tę trudną do przyjęcia prawdę, pomimo swego wieku zdecydował się na nocne pływanie. To zabawne - całe długie życie zostało poddane ostatecznej próbie za sprawą psa.

Ale jakiego psa.

Jakże cudowny jest świat, w którym żyjemy, pomyślał. Inżynierie

genetyczna należałoby nazwać "genetyczna sztuka", gdyż każde dzieło sztuki jest aktem stworzenia, a nie ma nic lepszego ani nic piękniejszego niż stworzenie inteligentnego umysłu.

Odzyskawszy nieco sił, wypelzł całkowicie z wody i wspinał się na strome, północne zbocze falochronu. Odgródzony kamienną ścianą od portu, ruszył w stronę lądu, mając po lewej ręce rozkolysane morze. Wydobyl ze spodnek wodoodporna latarkę, przymocowaną dodatkowo do paska, i zaczął sobie przyswiecać pod nogami. Jego białe stopy ślizgały się po gładkich głazach, toteż musiał uważać, żeby nie upaść i nie złamać sobie nogi. W odległości kilkuset jardów od niego połyskiwały światła miasta i niewyraźna srebrzysta linia rysowała się granica plaży.

Było mu zimno, lecz czuł się lepiej niż w wodzie. Serce także zwolniło swój rytm.

Musiał mu się udać.

Lem Johnson opuścił swoją tymczasową główną kwaterę położoną w budynku sadowym i spotkał się z Cliffem przy pustym stanowisku, z którego odpłynęła "Amazing Grace". Wiatr przybrał na sile. Setki znajdujących się w przystani łodzi rozpoczęły leniwy taniec. Coraz głośniej rozlegał się grzechot uderzających o maszty luznych linek takielunku. Oswietlające przystan lampy rzucały rozedrgane blaski na ciemną, sprawiającą wrażenie oleistej wodę w miejscu, gdzie do niedawna cumowała czterdziestodwustopowa jednostka Dilwortha.

-Sluzba Patrolowa? - zapytał Lem zmartwionym głosem.

-Wypłynęli za nim na otwarte morze. Wyglądało na to, że najpierw zamierzał płynąć na północ, prawie otarł się o głowkę falochronu, lecz potem zmienił zamiar i obrał kurs na południe.

-Czy Dilworth ich widział?

-Musiał. Zobacz sam - ani śladu mgły, wygwiezdzone niebo,

przejrzyste powietrze.

-Dobrze. Chce, by wiedzial, ze jest sledzony. Straz Wybrzeza?

-Rozmawialem z kutrem - uspokoil go Cliff. - Sa na stanowisku. Oskrzydlaja "Amazing Grace" od poludnia. Plyna wzdluz wybrzeza w odleglosci stu jardow od jachtu Dilwortha.

Lem zadrzal, poczuwszy chlod stygnacego szybko powietrza.

-Czy wiedza, ze on moze probowac dotrzec do brzegu pontonem albo w jakis inny sposob?

-Wiedza - odrzekl Cliff. - Nie zdola tego zrobic pod samym ich nosem.

-Czy straz jest pewna, ze Dilworth ich widzi?

-Sa oswietleni jak choinka na Boze Narodzenie.

-To dobrze. Chce, zeby wiedzial, ze sprawa jest beznadziejna. Jezeli uda nam sie nie dopuscic do tego, zeby zawiadomil Cornellow, to predzej czy pozniej oni beda musieli do niego zadzwonic - a wtedy ich dopadniemy. Nawet jesli zadzwonia z budki, potrafimy w przyblizeniu okreslic miejsce ich pobytu.

Oprocz podsłuchu, tak w domu, jak i w biurze Dilwortha, we wszystkich aparatach telefonicznych zainstalowano dodatkowe urządzenia pozwalające utrzymać połączenie, dopóki nie zostaną ustalone i sprawdzone numer oraz adres dzwoniącego, i to choćby nawet z obu stron odłożono słuchawki. Nawet gdyby rozpoznawszy głos kogoś z Cornellow Dilworth wykrzyknął ostrzeżenie i natychmiast przerwał rozmowę, byłoby już za późno. Istniał tylko jeden sposób na to, by przechytrzyć Agencję - stary prawnik nie powinien odbierać żadnych telefonów. Ale nawet gdyby próbował posłużyć się tą metodą, to i wówczas, po szóstym sygnale, odpowiadał automatycznie sprzęt NSA, rozpoczynając równocześnie procedurę śledczą.

-Teraz może nam popsuć szyki jedna rzecz - powiedział Lem. - Jeżeli Dilworth dotrze do telefonu, którego nie mamy na podsłuchu, i ostrzeże Cornellow, żeby do niego nie dzwonili.

-To nigdy nie nastąpi - stwierdził Cliff. - Za dobrze go pilnujemy.

-Wolałbym, żebyś tego nie mówił. - Lem nadal miał zmartwioną minę. Jakiś metalowy zacisk na wyluzowanej linii uderzył głośno o maszt i Lem aż podskoczył. - Moja stary zawsze powtarzał, że najgorsze rzeczy zdarzają się w najmniej spodziewanym momencie.

Cliff potrząsnął głową.

-Z całym szacunkiem, sir, im więcej słyszę mądrości pańskiego ojca, tym bardziej dochodzę do przekonania, że był to najbardziej ponury człowiek na świecie.

Patrzac na rozkolysane łodzie, na smagana wiatrem powierzchnie wody i mając wrażenie, że to on właśnie się kołysze zamiast stać nieruchomo, Lem doznał lekkich mdłości. Powiedział:

-Tak... mój ojciec był na swój sposób wielkim człowiekiem, równocześnie jednak... nie dawało się z nim wytrzymać.

-Hej! - wrzasnął Hank Gerner. Pedził wzdłuż doku od strony łodzi, na której spędził z Cliffem cały dzień. - Połączyłem się przed chwilą z kutrem strażackim. Oni od czasu do czasu kierują swój reflektor na "Amazing Grace", żeby ich trochę postraszyć. Twierdzą, że na pokładzie widac tylko kobiety.

-Chryste - jęknął Lem - przecież Dilworth musi prowadzić łódź!

-Nie - zaprzeczył Gerner. - Reflektor oświetla cały jacht. Oni mówią, że przy sterze stoi kobieta.

-No to co. Na pewno jest pod pokładem - odezwał się Cliff.



-Nie - powiedział Lem czując, jak serce podchodzi mu do gardła. - W takiej chwili nie siedziałby pod pokładem. Obserwowałby kuter, kombinował, czy płynąć dalej, czy też może zawrócić. Nie ma go po prostu na "Amazing Grace".

-Musi być! Na pewno nie wysiadł po wypłynięciu z portu. Lem przesunął spojrzeniem wzdłuż pograzonej w mroku przystani i zatrzymał wzrok na dłużej na latarni wyznaczającej koniec północnego falochronu.

-Mówiłeś, że ta cholerna łódź otarła się o głowkę tamtego falochronu i że wyglądało to tak, jakby chciała płynąć na północ, lecz nagle skręciła na południe.

-O, psiarew! - zaklął Cliff.

-Właśnie tam wyskoczył - stwierdził Lem. - Tuż za głowką północnego falochronu. Bez pontonu. Po prostu popłynął.

-Jest na coś takiego za stary - zaprotestował Cliff.

-Widocznie nie jest. Przedostał się na drugą stronę wału i chce skorzystać z telefonu na któregoś z publicznych placów. Musimy go powstrzymać, i to szybko.

Cliff przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie i wywołał nazwisko czterech agentów dyżurujących na innych jachtach. Pomimo wiatru jego głos rozszedł się szeroko po wodzie. Pojawiły się sylwetki paru mężczyzn, biegnących w ich stronę, ale zanim ucichło echo krzyku Cliffa, Lem już pedził jak szalony w stronę parkingu, gdzie zostawił samochód.

"Najgorsze rzeczy zdarzają się w najmniej spodziewanym momencie".

Travis zmywał właśnie talerze, gdy Nora powiedziała:

-Spójrz tylko na to.

Odwrociwszy się od zlewu, spostrzegł, że zona pochyla się nad miskami Einsteina. Woda zniknęła w całości, natomiast naczynie z obiadem było opróżnione zaledwie do połowy.

-Widziałeś kiedy, żeby zostawił choć odrobinę?

-Nigdy. - Marszcząc czoło, Travis wytarł dłonie w ściereke. - Przez ostatnie pare dni... sadziłem, że może się przeziębił albo coś innego mu dolega, lecz on twierdził, iż czuje się świetnie. A dzisiaj w ogóle nie kichał ani nie kaszlał.

Przeszli do salonu, gdzie za pomocą przewracającej strony maszyny retriever czytał Czarna piekność.

Uklekli obok niego, a kiedy podniósł głowę w ich kierunku, Nora zapytała:

-Czy ty nie jesteś chory, Einstein? Retriever krótko szczeknął. Nie.

-Jesteś pewien?

Szybkie merdanie ogonem. Tak.

-Nie skończyłeś obiadu - powiedział Travis.

Pies ziewnął. - Chcesz nam powiedzieć, że jesteś nieco zmęczony? - indagowała Nora.

Tak.

-Gdybyś czuł się niedobrze - wtracił Travis - zaraz byś nam o tym powiedział, prawda, kudłata mordo?

Tak.

Nora uparła się, żeby zbadać Einsteinowi oczy, pysk i uszy. Szukała śladów infekcji, w końcu jednak rzekła:

-Nic. Wszystko jest chyba w porządku. Chyba nawet Superpies ma czasem prawo być zmęczony.

Wiatr szybko przybierał na sile. Był zimny, a jego podmuchy wznosiły fale wyższe niż w ciągu dnia.

Pokryty gęsią skórką, Garrison dotarł do stykającego się ze stałym lądem końca falochronu. Z wielką ulgą rozstał się z twardymi, a często i ostrymi kamieniami i wszedł na piaszczystą plażę. Czuł, że podrapał i porozcinał obie stopy; były rozpalone, a na dodatek w lewej, przy każdym kroku, odzywał się piekący ból, zmuszając go do utykania.

Początkowo trzymał się blisko brzegu, z dala od ciągnącego się tuż za plażą parku. Ze względu na plonące wzdłuż alejek latarnie oraz podświetlające niektóre palmy reflektory, łatwiej by go tam zauważono. Wprawdzie był pewien, że sztuczka się udała, skoro jednak na pewno już go poszukiwano, wolął nie zwracać na siebie uwagi otoczenia.

Dmący coraz silniej wiatr zrywał pianę z wierzchołków nadbiegających fal i ciskał ją Garrisonowi w twarz. Prawnik miał wrażenie, że przedziera się przez nie mający końca szereg pajeczyn. Piana drażniła mu oczy, pobudzając je do łzawienia, toteż po pewnym czasie musiał się cofnąć w głąb plaży, gdzie miękki piasek porastały keпки trawy, lecz wciąż jeszcze nie docierało światło z parku.

Na mrocznej plaży rozlokowali się młodzi ludzie i tuląc się do siebie pary na kocach, małe grupki, palące jakieś narkotyki i słuchające muzyki. Osmiu nastolatków zebrało się wokół dwóch terenowych pojazdów na balonowych kołach. Nie wolno było jeździć nimi po plaży w ciągu dnia, a prawdopodobnie także w nocy. Popijali piwo stojąc dookoła wykopanego w piasku dolka, w którym ukryliby i zasypali butelki, gdyby w pobliżu pokazał się jakiś policjant. Rozmawiali głośno o dziewczynach i wymieniali grubiańskie żarty. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na przebiegającego obok Dilwortha. W Kalifornii fanatyków zdrowej żywności oraz ćwiczeń fizycznych spotykało się

rownie czesto, jak ulicznych zebrakow w Nowym Jorku. Jezeli jakis staruszek chcial sie wykapac w zimnej wodzie, a potem pobiegac w ciemnosciach po plazy, budzil zdziwienie nie wieksze niz ksiadz zauwazony w kosciele.

Biegnac w kierunku polnocnym, Garrison przeczesywal wzrokiem park: poszukiwal budki telefonicznej. Budki zapewne byly ustawione parami na betonowych wysepkach obok sciezki, albo w poblizu ktoregos z szaletow, i rzesiscie oswietlone.

Zaczela go juz ogarniac rozpacz, doszedl do przekonania, ze musial przeoczyc przynajmniej jedna grupe publicznych telefonow, ze jego stare oczy go zawiodly, lecz wlasnie wowczas dostrzegl to, czego szukal. Dwa telefony z przypominajacymi skrzydla, tlumiacymi dzwiek zaslonami. Starannie oswietlone. Od plazy dzielila je odleglosc okolo stu stop. Znajdowaly sie mniej wiecej w polowie drogi pomiedzy plaza a ulica wyznaczajaca granice parku z drugiej strony.

Odwrociwszy sie plecami do spienionego morza zwolnil kroku, by wyrownac oddech, i ruszyl trawnikiem pod baldachimem drzaczych na wietrze lisci trzech okazalych palm krolewskich rosnacych tuż obok siebie. Od telefonow dzielilo go jeszcze czterdziesci stop, gdy ujrzal pedzacy samochod. Pojazd nagle zahamowal i z piskiem opon zatrzymal sie przy krawezniku, dokladnie na wprost budek. Garrison nie mial pojecia, kto w nim siedzial, postanowil jednak nie ryzykowac. Skryl sie natychmiast za grubym, rozdwojonym pniem starej palmy daktylowej, ktora, w odroznieniu od sasiednich drzew, nie byla, na szczescie dla niego, oswietlona blaskiem reflektorow. W przeswicie pomiedzy odnogami pnia widzial telefony oraz sciezke wiodaca do kraweznika, przy ktorym zaparkowal samochod.

Z sedana wysiadlo dwoch mezczyzn. Jeden z nich pobiegl skrajem parku, wypatrujac czegos od strony morza. Drugi ruszyl sciezka prosto ku telefonom. Kiedy znalazl sie w strefie lepiej oswietlonej, Garrison poznal go natychmiast i doznal czegos w rodzaju lekkiego szoku.

Lamuel Johnson.

Przytulony do syjamskiej palmy daktylowej, Garrison przycisnął ramiona do ciała i podkurczył nogi. Pragnął być teraz jak najmniejszy, chociaż drzewo dawało mu dostateczną osłonę.

Johnson podszedł do najbliższego aparatu telefonicznego, podniósł słuchawkę i spróbował oderwać ją od skrzynki automatu. Kabel okryty był gietką, metalową osłoną, więc choć mocno szarpnął, nie dało to żadnych efektów. W końcu, przeklinając solidność, z jaką wykonano urządzenie, zdolał wyrwać słuchawkę, po czym odrzucił ją daleko w trawę. Po chwili w podobny sposób rozprawił się z drugim aparatem. Gdy odwróciwszy się od telefonów Johnson ruszył prosto na Garrisona, prawnik pomyślał, że został odkryty. Na szczęście, po przejściu kilku kroków, zatrzymał się nagle i zapatrzył na tę część parku, która położona była bliżej morza, oraz przylegająca do niej plaża. Jego wzrok ani na moment nie spoczął na palmie daktylowej, za którą przychylił się Dilworth.

-Ty cholerny, zwariowany stary draniu - rzucił Johnson, po czym pośpieszył do samochodu.

Przycupnięty pod palmą, Garrison uśmiechnął się szeroko, ponieważ dobrze wiedział, kogo miał na myśli agent NSA. Zimny wiatr wiejący od morza przestał mu nagle dokuczać.

Cholerny, zwariowany, stary dran czy geriatryczny James Bond - jak kto woli - wciąż jeszcze był człowiekiem, z którym należało się liczyć.

W pokoju mieszczącym się w piwnicy firmy telefonicznej, agenci Rick Olbier i Denny Jones opiekowali się elektronicznym sprzętem NSA służącym do podsłuchu i nagrywania wszelkich rozmów prowadzonych z telefonów, znajdujących się w domu oraz biurze Garrisona Dilwortha. Było to nudne zajęcie, toteż dla zabicia czasu grali w karty: pinochle i remi. Żadna z tych gier specjalnie im nie odpowiadała, lecz już sama myśl o dwuosobowym pokerze napelniała ich obrzydzeniem.

Gdy o dwudziestej czternastej zadzwonił telefon w domu Dilwortha, Olbier i Jones zareagowali o wiele gwałtowniej, niż tego wymagała sytuacja, co było zrozumiałe, gdyż palili się do działania. Rzucili karty na podłogę i sięgnęli po słuchawki z taką gorliwością, jakby trwała właśnie druga wojna światowa, a oni mieli nadzieję przechwycić ściśle tajną rozmowę Hitlera z Geringiem.

Ich sprzęt był tak ustawiony, że automatycznie otwierał połączenie i rozpoczynał procedurę śledczą, jeśli Dilworth nie zgłosił się po sześciu dzwonek. Ponieważ wiedzieli, że prawnika nie było w domu, Olbier błyskawicznie zmienił program, co pozwoliło im wejść na linię już po drugim sygnale.

Na ekranie komputera zapalily się zielone litery: SLEDZENIE.

Jakis meski glos powiedzial:

-Halo?

-Halo - rzucił Jones do sprzezonego ze słuchawkami mikrofonu.

Na ekranie ukazał się numer dzwoniącego oraz jego adres w Santa Barbara. System pracował na podobnej zasadzie, co komputer podłączony do numeru policyjnego pogotowia 911, umożliwiający natychmiastową identyfikację rozmówcy. Tym razem jednak, zamiast nazwiska wyskoczyły litery tworzące niewatpliwie nazwę firmy: TELEPHONE SOLICITATIONS, INS. Głos z drugiej strony powiedział:

-Sir, mam przyjemność poinformować pana, iż został pan wybrany do otrzymania bezpłatnego portretu osiem na dziesięć oraz dziesięciu bezpłatnych odbitek dowolnego...

-Kto mówi? - zapytał Jones.

Komputer przeszukiwał banki danych biura adresów Santa Barbara, chcąc w ten sposób sprawdzić tożsamość rozmówcy. Telefonujący do

Dilwortha mezczyzna powiedzial:

-Dzwonie w imieniu Olin Mils, prosze pana, studia fotograficznego zapewniajacego najwyzsza jakosc...

-Chwileczke - rzucil Jones.

Komputer potwierdzil dane: Dilworth otrzymal reklamowa oferte, nic wiecej.

-Niczego mi nie trzeba! - warknal Jones i odlozyl sluchawke.

-Cholera - zaklal Olbier.

-Pinochle? - zaproponowal Jones.

Do pomocy szostce agentow obecnych na terenie przystani Lem sciagnal jeszcze czterech ze swego tymczasowego biura w budynku sadu.

Pieciu ludzi zostawil na skraju nadmorskiego parku. Stojac w odleglosci kilkuset jardow jeden od drugiego mieli obserwowac szeroka aleje oddzielajaca park od dzielnicy handlowej, pelnej moteli, restauracji, pijalni jogurtu i sklepow z pamiatkami. W kazdym z tych miejsc znajdowaly sie telefony, a przed niektórymi motelami zainstalowano nawet aparaty publiczne. Za ich posrednictwem prawnik moglby ostrzec Cornellow. O tej porze, w sobotni wieczor, niektore sklepy byly juz zamkniete, lecz niektore - podobnie jak wszystkie bez wyjatku restauracje - pracowaly w dalszym ciagu. W zadnym wypadku nie wolno bylo dopuscic, by Dilworth przedostal sie na druga strone ulicy.

Smagani podmuchami chlodnego wiatru, mezczyzni powtykali rece w kieszenie marynarek i pospuszczali nisko glowy, ale i tak lekko drzeli z zimna.

Jednego z agentow Lem skierowal w poludniowo-zachodni rog parku,

poleciwszy mu, by zajął stanowisko w pobliżu podstawy falochronu oddzielającego publiczne plaże od portowego basenu. Jego zadanie polegało na uniemożliwieniu Dilworthowi powrotu pod falochron, przejścia na jego drugą stronę i dotarcia poprzez port do telefonów w innej części miasta.

Siodmy człowiek został wysłany na północny zachód. Miał stanąć nad samą wodą i pilnować, żeby Dilworth nie przedostał się na północ, do obszaru prywatnych plaż i posiadłości, gdzie korzystając z czyjejś uprzejmości miałby zadzwonić z aparatu bez podsłuchu.

Przećzesanie parku wraz z przyległą plażą przypadło w udziale Lemowi, Cliffowi i Hankowi. Lem zdawał sobie sprawę, że do tej roboty powinien mieć więcej ludzi, jednakże poza tą dziesiątką - plus Olbier i Jones w firmie telefonicznej - nikim już nie dysponował. Ściąganie posiłków z biura w Los Angeles nie miało, jego zdaniem, sensu. Przez ten czas, jaki musiałby upłynąć, zanimby tutaj dotarli, albo sami odnajdą Dilwortha i udaremnią jego zamiary, albo stary prawnik dodzwoni się do Cornellow.

Odkryty samochódzik terenowy zamiast dachu miał tylko zabezpieczający palak. Za dwoma fotelami znajdowała się spora przestrzeń przeznaczona na bagaż, gdzie można było posadzić dodatkowych pasażerów lub zapakować spory ładunek. Przykryty kocem Garrison leżał płasko na brzuchu na podłodze. Dwaj kilkunastoletni chłopcy siedzieli w fotelach na przodzie, dwaj następni zaś z tyłu, w części bagażowej dosłownie na Garrisonie, przybrawszy niedbale pozy, jak gdyby nie mieli pod sobą niczego oprócz sterty koców. Usiłowali przy tym nie gniesć za mocno starego prawnika ciężarem swych ciał, lecz i tak dawali mu się niezłe we znaki.

Silnik wydawał wysokie, twarde odgłosy przypominające buczenie rozzłoszczonej osy. Dźwięki te odbierał Garrison jako ogluszający ryk, ponieważ jego prawe ucho przylegało do podłogi, przekazującej i wzmacniającej najłżejsze nawet wibracje.



Na szczescie miękka plazza umozliwiala w miare rowna jazde.

W pewnym momencie pojazd zaczal zwalniac, warkot silnika opadl do cichego pomruku.

-Cholera - wyszeptal jeden z siedzacych na Garrisonie chlopcow - z przodu jakis facet macha do nas latarka.

Zatrzymali sie. Poprzez szum pracujacego na luzie silnika Garrison uslyszal meski glos:

-Dokad, chlopcy, jedziecie?

-Wzdłuż plazy, w tamta strone...

-To tereny prywatne. Macie prawo tam przebywac? - Tam własnie mieszkamy - odezwal sie zza kierownicy Tommy.

-Naprawde!

-Czy nie wygladamy jak banda zepsutych bogatych dzieciakow? - zapytal jeden z chlopcow.

-Co tutaj robiliscie? - w glosie mezczyzny zabrzmial podejrzliwy ton.

-Jezdzilismy po plazy, przystawalismy tu i owdzie. Ale zrobilo sie zimno.

-Piliscie cos?

Ty durniu, pomyslal Garrison, przysluchujac sie wymianie zdan. Rozmawiasz z nastolatkami, biednymi stworzeniami, ktore z uwagi na zachwiana rownowage hormonalna beda sie przez kilka najblizszych lat buntowac przeciwko wszelkim autorytetom. Zdobylem ich sympatie, poniewaz uciekam przed glinami. Beda po mojej stronie, chociaz nie wiedza, co zrobilem. Jesli zalezy ci na pomocy, nie mozesz ich denerwowac.

-Pilismy? Ni cholery - odparl ktorys z chlopcow. - Moze pan zadrzec do chlodziarki z tylu wozu. Nie ma w niej niczego oprócz "Doktora Peppera".

Garrison, ktorego plecy przylegaly do pojemnika z lodem, modlil sie, aby policjant nie zechcial przypadkiem tego sprawdzic. Gdyby podszedl blizej, niemal na pewno zauwazylyby ukryty pod kocem ludzki ksztalt.

-"Doktor Pepper", co? A jakie piwo popijaliscie sobie wczesniej?

-Sluchaj, chlopie - stracil cierpliwosc Tommy. - Czego sie nas czepiasz? Jesteś glina, czy jak?

-Tak, prawde powiedziawszy, jestem.

-A gdzie panski mundur? - rzucil ktos z boku.

-Nie uzywam munduru. Posluchajcie, sklonny jestem was puscic bez sprawdzania, czy piliscie alkohol. Najpierw jednak chce wiedziec, czy widzieliście dzisiaj na plazy starego, siwowlosego mezczyzne.

-Kogo obchodza starzy mezczyzni?! - wykrzyknal jeden z siedzacych na Garrisonie nastolatkow. - My szukalismy kobiet.

-Na tego typa na pewno zwrocilibyscie uwage. Najprawdopodobniej ma na sobie tylko kapielowki.

-Dzisiejszej nocy? - zdziwil sie Tommy. - Czlowieku, mamy juz prawie grudzien. Czujesz ten wiatr?

-Moze wlozyl cos jeszcze.

-Nie widzialem go - odparl Tommy. - Nie widzialem zadnego siwowlosego staruszka. Czy ktos z was go widzial, chlopcy? Pozostali trzej oswiadczyli zgodnie, ze nie widzieli rowniez zadnego starego piernika odpowiadajacego opisowi, po czym pozwolono im odjechac z

publicznej plaży na połnoc, w rejon nadmorskich rezydencji i prywatnych plaż.

Gdy tylko skrecili za niskie wzgorze i stali sie niewidoczni dla tajniaka, sciagneli koc z Garrisona, a on natychmiast, z wyraźną ulgą, przyjął pozycję siedzącą.

Tommy porozwoził kolegów po domach, a na koniec zabrał Garrisona do siebie, korzystając z okazji, że tego wieczoru jego rodzice wyszli z wizyty. Mieszkał we wspaniałej willi, która sprawiała wrażenie wykonanej całkowicie ze szkła, sterczącej dumnie ponad urwiskami i podobnej do statku o wielu pokładach.

Podając za Tommym w głąb holu, Garrison spostrzegł swoje odbicie w lustrze. W niczym nie przypominał nobliwego adwokata o srebrnych włosach, którego znali wszyscy w każdym sądzie na terenie okręgu. Jego splecione w beładzie włosy były mokre i brudne. Smugi brudu widac było także na twarzy. Piasek, zdzbla trawy oraz kawałki wodorostów poprzywierały do nagiej skóry, powczepiały się w siwe włosy na piersi. Uśmiechnął się do siebie szerokim, szczęśliwym uśmiechem.

-Telefon jest tutaj! - zawołał Tommy z biblioteki.

Przyrzadzili obiad, zjedli go i pozmywali naczynia. Zaniepokojeni brakiem apetytu u Einsteina, Nora i Travis zapomnieli o tym, że mieli zadzwonić do Garrisona Dilwortha, aby podziękować mu za pomoc i szczególną troskę okazaną przezeń przy pakowaniu obrazów. Siedzieli właśnie przy kominku, kiedy Nora przypomniała sobie o telefonie.

Dotychczas zawsze dzwonili do Dilwortha z publicznego telefonu w Carmel. Uznali to za niezbędną ostrożność, jednakże dzisiaj żadne z nich nie miało ochoty na przejazd do miasta.

-Możemy poczekać i pojechać do Carmel jutro - proponował Travis.

-Nic sie nie stanie, jesli zadzwonimy stad - odparla. - Gdyby doszukali sie twoich powiazan z Garrisonem, z pewnoscia by zadzwonil i nas ostrzegł.

-Moze nie wiedziec, ze wpadli na jego trop. Mogl nie zauwazyc, ze go sledza.

-Garrison by zauwazyl - stwierdzila z niewzruszona pewnoscia. Travis pokiwal glowa.

-Taaa, jestem o tym przekonany. - No wiec spokojnie mozemy do niego zadzwonic.

Byla w polowie drogi do aparatu, kiedy odezwal sie dzwonek. Telefonistka z centrali zapytala:

-Czy zgadza sie pani przyjac na svoj rachunek rozmowe z panem Garrisonem Dilworthem z Santa Barbara?

Na kilka minut przed dziewiata, gdy dokladne przeszukanie parku i plazy nie dalo zadnych rezultatow, Lem, acz niechetnie, przyznal, ze Garrisonowi Dilworthowi jakimś cudem udalo sie im wymknac. Polecil swoim ludziom, by wrocili do gmachu sadu oraz na poprzednie stanowiska w porcie.

Sam, w towarzystwie Cliffa, pojechal do portu samochodem. Razem weszli na poklad sportowego jachtu, skad Cliff przez caly dzien obserwowal Dilwortha. Po nawiązaniu lacznosci z plynacym sladem "Amazing Grace" kutrem Strazy Wybrzeza, dowiedzieli sie, ze przyjaciolka adwokata zawrocila w znacznej odleglosci od Ventura i plynela obecnie wzdluz wybrzeza na polnoc, z powrotem do Santa Barbara.

Weszla do portu o dwudziestej drugiej trzydziesci szesc.

Kulac sie na przenikliwym wietrze, Lem i Cliff stali przy pustym stanowisku cumowniczym Dilwortha. Patrzyli, jak szybko i sprawnie

starsza pani przybija do wybrzeża. Nie uległo wątpliwości, że ta piękna łódź prowadziła wprawna reka.

Kobieta u steru miała aż tyle tupetu, że zawołała:

-Nie stojcie tak! Złapcie za liny i pomóżcie mi zacumować!

Uślucho ją przede wszystkim dlatego, że chcieli z nią porozmawiać, a aby to było możliwe, należało przedtem zadbać odpowiednio o "Amazing Grace".

Umocowawszy cumy, weszli przez furtkę w barierce na pokład. Cliff miał na nogach sportowe buty, stanowiące element jego żeglarskiego przebrania, Lem natomiast nosił zwyczajne pantofle i na mokrym pokładzie nie czuł się najpewniej, zwłaszcza że jachtem lekko kołysało.

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, za ich plecami rozległ się głos:

-Przepraszam, panowie...

Lem odwrócił się na piecie i w świetle portowej latarni na pokładzie sąsiedniej łodzi ujrzał Garrisona Dilwortha. Adwokat musiał od kogoś pożyczyć ubranie. Zbyt obszerne spodnie ściągnięte były paskiem, a przykrotkie nogawki odsłaniały nagie kostki. Koszula, którą nosił, należała również do kogoś, kto był obdarzony o wiele potężniejszą posturą. - ...wybaczcie, ale muszę się przebrać w coś cieplejszego i wypić gorącej kawy...

-A niech to szlag - wyrwało się Lemowi.

-...żeby rozmrozić stare kości.

Ochłonawszy ze zdumienia Cliff Soames ryknął śmiechem, jednak na widok miny Lema spoważniał natychmiast i powiedział:

-Przepraszam.

Zoladek Lema skurczami i piekacym bolem przypominal o rodzacym sie wrzodzie. Lem nie wykrzywil twarzy w bolesnym grymasie, nie zgial sie we dwoje, nie przycisnal nawet dloni do brzucha. Zadnym gestem nie zdradzil swego cierpienia, nie chcac sprawic Dilworthowi dodatkowej satysfakcji. Popatrzyll przeciagle na prawnika, na kobiete przy sterze, po czym odszedl bez slowa.

-Ten przeklety pies - powiedzial Cliff, usilujac dotrzymac kroku idacemu nabrzezem Lemowi - budzi we wszystkich cholernie silne poczucie lojalnosci.

Pozniej, szykujac sie do snu w motelowym pokoju, poniewaz byl zbyt zmeczony, by zwinac swa kwatere polowa i wrocic do domu w Orange County, Lem Johnson rozmyslal nad slowami Clifffa. Lojalnosc. Cholernie silne poczucie lojalnosci.

Zastanawial sie, czy on sam byl kiedykolwiek az tak bardzo lojalny wobec kogos, jak Cornellowie czy Garrison Dilworth wzgledem retrievera. Przewracal sie z boku na bok nie mogac zasnac, az w koncu pojal, iz wszelkie proby wylaczenia palacego sie w jego glowie swiatla sa pozbawione sensu, dopoki nie dowiedzie samemu sobie, iz jest zdolny do rownie wielkiego zaangazowania i poswiecenia.

Usiadl w ciemnosciach, z plecami opartymi o zaglowek.

No tak, wiec na pewno byl bardzo lojalny wobec swego kraju, ktory kochal i czcil. Byl tez lojalnym pracownikiem Agencji. A jesli chodzi o innych ludzi? Oczywiscie, Karen. Jego zona. Byl wobec niej lojalny pod kazdym wzgledem - sercem, mysla i uczynkiem. Kochal Karen. Kochal ja gleboko od prawie dwudziestu lat.

-Taaa - powiedzial glosno w pustym motelowym pokoju o drugiej nad ranem - taaa, skoro tak bardzo jestes oddany Karen, to dlaczego nie ma cie teraz przy niej?

Nie byl w tym momencie sprawiedliwy wobec siebie. Przecie z mial zadanie do wykonania, wzne zadanie.

-I w tym właśnie tkwi problem - wymamrotal. - Zawsze, zawsze masz jakieś ważne zadanie.

W ciągu roku spędzał poza domem przeszło sto nocy, przeciętnie jedna na trzy. A kiedy nawet był w domu, nigdy nie potrafił oderwać się zupełnie od sprawy, która w danym momencie prowadził. Swego czasu Karen chciała mieć dzieci, lecz Lem zawsze odkładał powiększenie rodziny na później, tłumacząc to tym, że nie może brać na siebie odpowiedzialności za losy dzieci, dopóki nie upewni się, że jego karierze zawodowej nic już nie może zagrozić.

-Upewni się? - powiedział. - Chłopie, odziedziczyłeś pieniądze ojca. Na starcie miałeś większy kapitał niż większość ludzi.

Skoro był tak oddany Karen, jak ci ludzie psu, oznaczałoby to, że przede wszystkim powinien troszczyć się o zaspokajanie jej pragnień. Jeżeli Karen pragnęła dzieci, należało rodzinie dać pierwszeństwo przed karierą. Racja? Przynajmniej powinien być pojsć na kompromis i pomyśleć o dzieciach, gdy tylko przekrocząli trzydziestkę. Mogł robić karierę od dwudziestego do trzydziestego roku życia, a potem poświęcić się wychowaniu dzieci. Teraz miał lat czterdzieści pięć, prawie czterdzieści sześć, Karen zaś czterdzieści trzy. Czas na rodzenie dzieci minal bezpowrotnie.

Lem poczuł się nagle straszliwie samotny.

Wstał z łóżka, przeszedł do łazienki, zapalił światło i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Miał podkrążone, nabiegłe krwią oczy. Meczac się nad sprawą Banodyne wychudł tak bardzo, że jego twarz upodobniła się do obciagniętej skóra czaszki.

Schwycił go kurcze żołądek. Zgiął się w pół i uchwycił dłońmi krawędzi zlewu. Dolegliwości wystąpiły dopiero w ubiegłym miesiącu, jednakże tracił siły w zdumiewająco szybkim tempie. Upłynęło sporo czasu, zanim ból ustąpił.

Kiedy ponownie spojrzał w twarz swemu odbiciu, powiedział:

-Nie jesteś lojalny nawet względem siebie, ty dupku. Zabijasz się, zapracowujesz na śmierć i nie potrafisz przestać. Nie jesteś lojalny wobec Karen, nie jesteś lojalny wobec siebie. Tak naprawdę, to nie jesteś też lojalny wobec kraju czy Agencji. Do diabła, jedyna rzecz, jakiej podporządkowałeś się całkowicie i bez zastrzeżeń, jest zrodzona w głowie twego starego obłąkana wizja życia jako nieustannego tanca na linie.

Obląkana.

Slowo to zdawało się bez końca odbijać echem od ścian łazienki. Kochał i szanował ojca, nigdy nie powiedział o nim złego słowa. A jednak dzisiaj przyznał Cliffowi, że jego stary był "niemożliwy". Teraz zaś ta myśl o obłędzie. Nadal kochał ojca i zawsze go będzie kochał. Zaczął jednak się zastanawiać, czy syn może kochać ojca, a równocześnie odrzucać jego nauki.

Przed rokiem, przed miesiącem, nawet przed kilkoma dniami powiedziałby, że to niemożliwe, by można było kochać kogoś, a równocześnie postępować według własnych zasad. Ale dzisiaj, na Boga, dochodził do przekonania, iż oddzielenie miłości do ojca od wierności wobec jego idealnej pracowitości było nie tylko czymś możliwym, ale i sprawą najwyższej dla niego wagi.

Co się ze mną dzieje? - pomyślał.

Wolność? Czyżby wreszcie, po czterdziestu pięciu latach, odzyskał wolność?

Zezując w lustro, powiedział:

-Prawie po czterdziestu szesciu.

IX



Obserwując Einsteina w niedzielę, Travis zauważył, że zwierze w dalszym ciągu miało mniejszy niż zazwyczaj apetyt. Natomiast w poniedziałek, dwudziestego dziewiątego listopada, wszystko wróciło do normy. Zarówno w poniedziałek, jak i we wtorek, retriever zjadł w całości wszystkie posiłki, zabrał się też za lekturę nowych książek. Kichał tylko z rzadka i w ogóle nie kaszlał. Wypijał co prawda nieco więcej wody, lecz nie była to różnica znacząca. A że spędzał więcej czasu przy kominku, że bardziej ospale poruszał się po domu... no cóż, nadchodziła zima i zachowanie wielu zwierząt ulegało zmianie. W księgarni w Carmel Nora kupiła Domowy poradnik weterynaryjny dla właścicieli psów. Spędziła nad nim kilka godzin przy kuchennym stole poszukując choroby, której odpowiadałyby symptomy występujące u Einsteina. Dowiedziała się, że apatia, częściowa utrata apetytu, kichanie, kaszel i wzmożone pragnienie mogą być zwiastunami setki przeróżnych dolegliwości - albo też nic nie znaczyć.

-Możemy być pewni tylko jednego - powiedziała. - To nie jest przeziębienie. Psy się nie przeziebiają. - Wkrótce potem niepokojące symptomy znikły niemal zupełnie i Nora uznała, że Einstein jest już całkowicie zdrow.

Zapytany o stan zdrowia, retriever wbiegł do spiżarni i z klocków scrabble ułożył napis:

CZUJE SIĘ ZDROWY JAK RYBA.

Pochyliwszy się nad psem, Travis pogładził go po grzbiecie. - Sadzę, że ty wiesz to najlepiej.

DLACZEGO MÓWI SIĘ ZDROWY JAK RYBA W WODZIE? Wrzucając klocki z powrotem do cylindrycznych pojemników, Travis powiedział: - No bo oznacza to - bardzo zdrowy.

ALE DLACZEGO ZNACZY TO BARDZO ZDROWY?

Travis zastanowił się nad tym porównaniem i doszedł do wniosku, że właściwie nie wie, dlaczego ryba ma się kojarzyć ze zdrowiem. W

drzwiach spizarni pojawila sie Nora, lecz takze i ona nie potrafila udzielic przekonujacego wyjasnienia. Wysypujac z pojemnikow nowe litery i przesuwajac je nastepnie nosem po podlodze, retriever ulozyl kolejne pytanie:

DLACZEGO MOWI SIE MOCNY JAK DOLAR?

- "Mocny jak dolar" oznacza zdrowy albo godny zaufania - odparl Travis. Nora przysiadla obok psa.

- To powiedzenie da sie latwiej wytлумaczyc. Dolar Stanow Zjednoczonych byl kiedys najmocniejsza, najbardziej stabilna waluta swiata. Przypuszczam zreszta, ze nadal nia jest. Przez cale dziesieciolecia, w odroznieniu od wielu innych walut, opieral sie inflacji. Ludzie darzyli go zaufaniem, dlatego tez mowili: "Jestem mocny jak dolar". Oczywiscie dolar nie jest juz tym, czym kiedys, i powiedzenie stracilo nieco na aktualnosci, ale nadal go uzywamy.

DLACZEGO NADAL GO UZYWACIE?

- Poniewaz... zawsze tak robilismy - wyjasnila Nora, wzruszajac ramionami. DLACZEGO MOWI SIE ZDROW JAK KON? KONIE NIE CHORUJA?

Travis zaczal wrzucac klocki do odpowiednich pojemnikow.

- Nie, prawde powiedziawszy, pomimo swych rozmiarow, konie to bardzo delikatne zwierzeta i wcale nie sa szczegolnie odporne na choroby.

Einstein przeniosl wyczekujace spojrzenie z Trávisa na Nore.

- Prawdopodobnie mowimy, ze ktos jest zdrow jak kon, poniewaz konie sprawiaja wrazenie mocnych, wygladaja tak, jak gdyby nigdy nie chorowaly, choc przeciez ciagle choruja - powiedziala Nora.

- Zrozum - dodal Travis - my, ludzie, bez przerwy mowimy rozne

rzeczy, które nie mają sensu.

Naciskając łapa pedały zwalniające poszczególne litery, retriever oświadczył:

DZIWNIE Z WAS LUDZIE.

Travis popatrzył na Nore, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Poniżej DZIWNIE Z WAS LUDZIE pojawiły się dalsze słowa: ALE I TAK WAS LUBIE.

Dociekliwość i poczucie humoru demonstrowane przez Einsteina bardziej niż cokolwiek zdawały się wskazywać, że jeśli nawet przechodził lekka choroba, to najgorsze miał już za sobą.

Tak było we wtorek.

We środę, pierwszego grudnia, Nora zajęła się malowaniem w pracowni na pięttrze, natomiast Travis przeznaczył ten dzień na inspekcję systemu bezpieczeństwa oraz rutynową kontrolę broni.

W każdym pomieszczeniu znajdowała się starannie ukryta broń palna. Choć niewidoczna, zawsze była w zasięgu ręki pod meblami, za zasłoną, w szafce. Mieli dwie zaopatrzone w pistoletowy uchwyt dubeltówki Mossberga, cztery rewolwery systemu Smith and Wesson Model 19 Combat Magnum, dwa pistolety kaliber 38, które zawsze mieli ze sobą jeździć samochodami, a także karabin Uzi i dwa pistolety tego typu. Mogli wejść w posiadanie tego arsenału w sposób całkowicie legalny, dokonując zakupu w miejscowym sklepie z bronią, z chwilą gdy nabyli dom i osiedlili się w tym okręgu, ale Travis nie chciał tak długo czekać. Uważał, że powinni być uzbrojeni już w dniu, kiedy wprowadza się do nowego domu, dlatego też za pośrednictwem van Dyne'a w San Francisco wszedł w kontakt z nielegalnym handlarzem broni i kupił od niego wszystko, czego im było potrzeba. Oczywiście, licencjonowany sprzedawca nigdy by im nie dał zestawu do przestawiania uzi. W San Francisco kupili trzy takie zestawy bez problemu i teraz zarówno pistolety, jak i karabin Uzi stanowiły broń

automatyczna.

Travis przechodził z pokoju do pokoju, sprawdzał, czy broń znajduje się na swoim miejscu, czy nie jest zakurzona i nie należy jej naoliwić oraz czy magazynki są naładowane do pełna. Wiedział, że wszystko zostanie w jak najlepszym porządku, dokonując jednak raz na tydzień podobnej kontroli, czuł się pewniej. Chociaż rozstał się z mundurem przed wielu laty, stare wojskowe nawyki miał nadal zakodowane w pamięci, a teraz, pod presją okoliczności, wypłynęły na powierzchnię szybciej, niż mogłoby się tego spodziewać.

Uzbroiwszy się w Mossberga, razem z Einsteinem obszedł dom dookoła, zatrzymując się przy wszystkich czujnikach podczerwieni, ukrytych w miarę możliwości dyskretnie pod osłoną kamieni lub roślin czy też przytulonych do pni drzew rosnących w pobliżu narożników domu i do butwiejącego kadłuba sosny leżącego na skraju drogi. Wszystkie elementy instalacji nabył najzupełniej legalnie od handlującego elektroniką kupca w San Francisco. Sprzęt był dość przestarzały, ale Travis znalazł go z czasów służby w Oddziale Delta i wiedział, że na jego potrzeby w zupełności wystarczy. Biegające pod ziemią przewody prowadziły do skrzynki alarmowej usytuowanej w jednej z kuchennych szafek. Po włączeniu systemu na noc, każde stworzenie większe od szopa, które zbliżyłoby się do domu na odległość mniejszą niż trzydzieści stop - lub weszło do szopy na tyłach posiadłości - uruchamiało alarm. Nie odezwęłyby się wówczas żadne dzwonki, żadne syreny, mogące przestraszyć Obcego i skłonić go do ucieczki. Nie zamierzali wcale go odpedzać; chcieli go zabić. Dlatego też urządzenie alarmowe włączy jedynie ustawione we wszystkich pokojach radia, wyciszone do tego stopnia, że nie płosząc intruza, zdolają ostrzec Trávisa i Nore.

Wszystkie czujniki jak zwykle znajdowały się na swoich miejscach. Należało tylko zetrzeć pokrywającą soczewki cienką warstwę kurzu.

-Umocnienia pałacu są w doskonałym stanie, milordzie - powiedział Travis.

Einstein parsknal z aprobatą.

W pomalowanej rdzawa farba szopie sprawdzili sprzęt, który - jak sadzili - powinien sprawić Obcemu przykra niespodziankę.

W północno-wschodnim kącie mrocznego wnętrza, na lewo od dużych, przesuwanych drzwi, na regale pod ścianą spoczywały stalowe zbiorniki ze sprężonym gazem. W leżącym po przekątnej południowo-zachodnim narożniku stał zasłonięty przez polciezarówkę i samochód osobowy drugi identyczny zbiornik. Z wyglądu przypominały one duże butle z propanem, takie, jakich się używa w domkach letniskowych. Zbiorniki w szopie nie były jednak napełnione propanem. Nabit je podtlenkiem azotu, znanego pod potoczną nazwą "gazu rozweselającego". Pierwszy haust rzeczywiście rodził ożywienie i pobudzał do śmiechu, lecz już następny pozbawiał człowieka przytomności, nim ten zdążył wypuścić powietrze z płuc. Dentystyci i chirurdzy często używali tego gazu jako środka znieczulającego. Travis kupił niezbędną jego ilość w sklepie ze sprzętem medycznym w San Francisco.

Zapaliwszy światło, Travis sprawdził zawory obu zbiorników. Pełne ciśnienie.

Oprócz dużych, przesuwanych wrot od frontu, szopa miała jeszcze niewielkie drzwi w tylnej ścianie. Do środka dostać się można było tylko jednym z tych dwóch wejść, gdyż Travis zabił deskami wszystkie okna na strychu. W nocy, po włączeniu systemu zostawiali otwarte mniejsze drzwi w nadziei, że Obcy, chcąc obejrzeć dom z ukrycia, dobrowolnie wejdzie w pułapkę. Kiedy tylko otworzywszy drzwi wpelźnie do środka, uruchomi mechanizm, który samoczynnie zatrzasnie drzwi za jego plecami. Nie ucieknie też drugim wyjściem, bo przesuwane wrota będą zablokowane od zewnątrz. Pułapka się zamknie, a jednocześnie zbiorniki podtlenku azotu opróżnią się w przebiegu - ciągu niecałej minuty, ponieważ Travis wyposażył je w wysokociśnieniowe zawory bezpieczeństwa, połączone z instalacją alarmową. Aby gaz nie uleciał na zewnątrz, uszczelniał ponadto

wszystkie dziury w scianach szopy.

Obcy nie bedzie mogl szukac schronienia w polciezarowce lub toyocie, gdyz oba wozy byly na noc dokladnie zamykane. Gaz dotrze do kazdego miejsca w szopie, do kazdego jej zakatka. W ciagu kilkudziesieciu sekund bestia straci przytomnosc. Travis rozwazal mozliwosc uzycia gazu trujacego, ktory na pewno moglby zdobyc na czarnym rynku, po namysle odrzucil jednak ten pomysl, poniewaz w wypadku, gdyby doszlo do jakichs nieprzewidzianych komplikacji, calej ich trojce grozilo zbyt wielkie niebezpieczenstwo.

Po przewietrzeniu stodoly, Travis wszedlby po prostu do srodka uzbrojony w karabin Uzi i zastrzelil lezacego bez czucia Obcego. Nawet gdyby podczas wietrzenia bestia odzyskala przytomnosc, bylaby i tak zbyt oszolomiona i zdeorientowana, by moc skutecznie stawiac opor.

Upewniwszy sie, ze w stodole wszystko znajduje sie w nalezytym porzadku, Travis i Einstein wrocili na podworze za domem. Grudniowy dzien byl chlodny, lecz bezwietrzny. Otaczajace posiadlosc drzewa trwaly w nienaturalnym bezruchu pod wiszacymi nisko szarymi chmurami.

Travis zapytal:

-Czy Obcy wciaz sie zbliza?

Einstein odpowiedzial szybkim machnieciem ogona. Tak.

-Czy jest blisko?

Retriever wciagnal w pluca czyste, rzeskie, zimowe powietrze. Przebiegl przez podworze, przystanal na skraju lasu wyznaczajacego polnocna granice posiadlosci, obwachal wszystko wokol, po czym powtorzil rytual od strony poludniowej.

Travis mial wrazenie, ze poszukujac Obcego, Einstein nie posluguje

sie ani wzrokiem, ani sluchem, ani powonieniem. Uzywaj do tego jakiegos nieznanego szostego zmyslu, psychicznej lub przynajmniej quasi-psychicznej natury. To, ze korzystaj jednoczesnie ze zwyczajnych zmyslow, sluzilo prawdopodobnie tylko pobudzeniu zdolnosc psychicznych albo tez dzialalo tu po prostu przyzwyczajenie.

Einstein wrocil wreszcie i niezdecydowanie zapiszczaj.

-Czy jest blisko? - powtorzyl Travis.

Wpatrujaj sie w mroczna sciane pobliskiego lasu, Einstein ponownie zaczaj weszcz, jakby zastanawial sie jeszcze nad odpowiedzi. - Einstein? Czy cos jest nie tak?

Po dluzszej chwili retriever szczeknal: Nie.

-Czy Obcy jest w poblizu? Wahanie. Potem:

Nie.

-Jestes tego pewien? Tak.

-Na pewno? Tak.

Kiedy Travis otworzyl drzwi domu, Einstein zawrocil, przeszedl wzdłuż werandy aż do szczytu prowadzających na podwórze schodów, powiodl spojrzeniem po spokojnej, pograżonej w ciszy okolicy, a następnie, drząc lekko na całym ciele, wszedl za Travisem do środka.

Podczas popołudniowej inspekcji urządzeń obronnych Einstein zachowywał się trochę inaczej niż zazwyczaj. Bez końca ocierał się Travisowi o nogi, lizał go po rekach, nieustannie szukał okazji do pieszczot. Wieczorem, gdy oglądali telewizję, a później grali we trojkę w scrabble'a na podłodze w salonie, pies nadal usiłował zwrócić na siebie uwagę. Kładł głowę na kolana Norze i Travisowi z taką miną, jakby chciał, żeby go głaskano i drapano za uszami w

nieskonczonosc.

Od dnia pierwszego spotkania z Travisem u podnoża gór Santa Ana, Einstein stale miewal krotkie okresy, gdy zachowywal sie jak najzwyczajniejszy pies. Trudno wrecz bylo wowczas uwierzyc, iz na swoj sposob dorownywal inteligencja czlowiekowi. Dzisiejszego wieczoru popadl rowniez w taki nastrój. Mimo ze wykazal wiele sprytu przy grze w scrabble'a - zajal drugie miejsce, ustepujac jedynie Norze, przy czym wielka przyjemnosc sprawialo mu ukladanie slow stanowiacych mniej lub bardziej zawoalowane aluzje do jej jeszcze niewidocznej ciazы - gore wziala w nim psia strona jego natury.

Nora i Travis postanowili zakonczyc wieczor lektura powiesci kryminalnych, Einstein natomiast nie mial ochoty na czytanie. Ulozyl sie na wprost fotela Nory i natychmiast zasnal.

-Nadal wyglada na nieco zmeczonego - powiedziala.

-Ale zjadl caly obiad. A poza tym sporo sie ze mna nachodzil. Oddech spiacego psa byl zupełnie normalny i Travis uznal, ze nie ma powodow, by martwic sie o jego zdrowie. Od pewnego czasu spokojniej patrzyl w przyszlosc. Kontrola aparatury alarmowej i broni przygotowanej do obrony wzmocnila w nim poczucie bezpieczenstwa. Uwierzyl, ze zdolaja pokonac Obcego, kiedy ten wreszcie przybedzie. A dzieki poswieceniu i odwadze Garrisona Dilwortha władze zostaly skutecznie wyprowadzone w pole i na razie dadza im spokoj. Nora z entuzjazmem wrocila do malowania, a sam Travis postanowil zajac sie znowu handlem nieruchomosciami, gdy tylko rozprawia sie z Obcym. A jesli Einstein nadal byl troche oslabiony... no coz, ostatnio sporo przeszedl, ale przeciez wkrótce, najdalej za pare dni, powinien dojsc do siebie.

Tej nocy Travisowi nic sie nie snilo.

Rano obudzil sie przed Nora. Zanim zdazyl wziac prysznic i ubrac sie, ona wstala rowniez. Idac do lazienki pocalowala go i sennym glosem zapewnila o swej milosci. Miala zapuchniete oczy, zmierzwióne włosy



i kwasny oddech, lecz on bez wahania zaciagnalby ja z powrotem do lozka, gdyby nie zaprotestowala:

-Przyjdź do mnie po południu, Romeo. Wszystko, o czym w tej chwili marze, to pare jajek na bekonie, grzanki i kawa.

Zszedł na dół i zabrał się za otwieranie okiennic. Zaczął od salonu. Wszące nisko niebo było tak samo szare jak wczoraj. Nie zdziwiłby się, gdyby pod wieczór zaczął padać deszcz.

Po wejściu do kuchni ujrzał, że drzwi spiżarni były uchylone, a wewnątrz paliło się światło. Zajrzał do środka, chcąc sprawdzić, co porabia Einstein, lecz znalazł tylko ułożoną na podłodze wiadomość.

RYBA BEZ WODY. NIE TRZEBA LEKARZA, PROSZE. NIE CHCE WROCIC DO LABORATORIUM. BOJE SIĘ. BOJE.

O, cholera. O, Jezu.

Travis wypadł ze spiżarni i wrzasnął:

-Einstein!

Nie usłyszał szczekania, nie rozległ się chrobot biegnących łap.

Ponieważ okna w kuchni były jeszcze zasłonięte okiennicami, a poswiata ze spiżarni tylko trochę rozjaśniała pomieszczenie, Travis zapalił światło.

Ani śladu Einsteina.

Wbiegł do biblioteki. Psa nie było także i tu.

Ze scisniętym bolesnie sercem, przeskakując po dwa stopnie naraz, Travis sprawdził trzecią sypialnię, przeznaczoną na pokój dziecienny, oraz pokój służący Norze za studio, lecz Einsteina nigdzie nie znalazł. Nie było go również w głównej sypialni, gdzie zrozpaczony Travis zajrzał nawet pod łóżko. Zastanawiał się przez chwile, gdzie jeszcze

mogłoby go szukać. Przystanął słuchając głosu śpiewającej pod prysznicem Nory - wciąż jeszcze nieswiadomej tego, co się wydarzyło - po czym ruszył w stronę łazienki, aby powiedzieć żonie, że stało się coś złego, coś strasznego i właśnie wtedy przypomniał sobie o łazience na dole. Pomknął korytarzem, dopadł schodów i popędził w dół; jakimś cudem się nie wywrócił. We wcisniętej między kuchnię a garderobę łazience znalazł to, czego obawiał się najbardziej.

W łazience czuć było smród. Pies zwymiotował do sedesu, lecz nie starczyło mu sił - lub jasności umysłu - żeby spuścić wodę. Leżał teraz rozciągnięty na boku na podłodze. Travis przykleknał obok. Einstein zył, choć się nie poruszał. Świadczył o tym nierówny, swiszczący oddech. Na dźwięk głosu Travisa spróbował unieść głowę, lecz zabrakło mu sił.

Oczy. Jezu, jego oczy.

Bardzo delikatnie Travis unosił głowę zwierzęcia i dostrzegł, że cudowne, pełne wyrazu, brązowe oczy lekko zmetniały, nabierając mlecznego odcienia. Z kącików warg sączyła się wodnista, żółta wydzielina i wysychając tworzyła skorupę na złocistej sierści. Gęsta wydzielina spływała także z nozdrzy Einsteina.

Travis przyłożył dłoń do szyi retrievera i wyczuł przyspieszone tętno.

-Nie - powiedział. - Och, nie, nie. To tak nie będzie, chłopie. Nie pozwolę, żeby to się tak skończyło.

Opuszczył głowę Einsteina z powrotem na podłogę, wstał i ruszył w stronę drzwi. Einstein steknął prawie niedosłyszalnie, jakby dając do zrozumienia, że nie chce zostać sam.

-Zaraz wracam, zaraz - obiecał Travis. - Trzymaj się, chłopie. Zaraz będę z powrotem.

Pospiesznie wbiegł po schodkach na górę, łapiąc powietrze otwartymi ustami. Serce biło mu z taką gwałtowną siłą, jakby łąda chwila miało

sie wyrwac z piersi.

Zastal Nore w lazience. Naga, ociekajaca woda, wychodzila wlasnie spod prysznicza.

-Ubieraj sie, szybko, musimy jechac do weterynarza, na litosc boska, pospiesz sie! - wyrzucil z siebie w panice.

-Co sie stalo? - zapytala przerazona

-Einstein! Szybko! Chyba umiera. Sciagnal z lozka koc i popedzil na dol.

Przerywany oddech retrievera w ciagu tych paru chwil, gdy Tralisa tu nie bylo, jeszcze sie chyba pogorszył. Travis zlozył koc we czworo, i ulozyl na nim psa.

Einstein jeknal, jak gdyby ruch sprawil mu bol.

-Spokojnie, spokojnie. Wszystko bedzie dobrze.

Dopinajac po drodze guziki bluzki nadeszla Nora. Bluzka byla mokra, gdyz Nora nie chciala tracic czasu na wycieranie ciala. Jej wilgotne wlosy opadaly na dol prostymi pasmami. Glosem stlumionym przez emocje powiedziala:

-Och, kudlata mordo, nie, nie.

Chciala pochylic sie i dotknac glowy retrievera, nie bylo jednak chwili do stracenia.

-Wyprowadz przed dom polciezarowke - polecil jej Travis. Gdy tylko Nora pobiegla w strone szopy, Travis, jak tylko mogl najlepiej, opatulil Einsteina kocem, tak ze wystawaly spod niego jedynie glowa, ogon i zadnie nogi retrievera. Starajac sie sprawic mu jak najmniej bolu, Travis wzial psa na rece, przez kuchnie wyniosl go z domu i zatrzasnal za soba drzwi nie przejmujac sie wcale tym, ze zostawia je

nie zamknięte na klucz.

Powietrze było zimne. Lagodna wczoraj pogoda zmieniła się nie do poznania. Wielkie drzewa drżały i uderzane wiatrem, szumiąc złowieszczo, wznosiły groźnie ku ponuremu niebu, niby czarne, kosciste ramiona, swe pozbawione już liści galezie.

Ze stodoły dobiegł ryk uruchamianego silnika. Travis ostrożnie zszedł z werandy i ruszył w stronę podjazdu, stawiając kroki tak delikatnie, jakby niosł pudło wypełnione kruchą, starą porcelaną. Porywisty wiatr strząsał mu włosy, powiewał wolnymi rogami koca i mierzwił sierść na odsłoniętej głowie Einsteina tak, jakby był zaciekłym wrogiem Trávisa i pragnął odebrać mu psa na zawsze.

Nadjechała Nora i zatrzymała samochód w miejscu, gdzie na nią czekał. To ona miała ich zawieźć do Carmel.

Jest rzeczywiście prawda, że niekiedy, w momentach decydujących, w chwilach silnego wzburzenia, kobiety szybciej niż mężczyźni potrafią wziąć się w garść i zrobić to, co zrobić należy. Travis, który usiadł w fotelu pasażera, tuląc w ramionach owiniętego kocem psa, nie byłby w stanie prowadzić. Trzasł się gwałtownie, a po pewnym czasie uswiadomił sobie, że płacze cały czas od chwili, gdy ujrzał Einsteina na podłodze łazienki. Miał za sobą ciężką służbę wojskową i nigdy, podczas żadnej z wielu niebezpiecznych operacji, w których uczestniczył Oddział Delta, nie zdarzyło mu się, by uległ panice albo paralizującemu lewowi. Tym razem było jednak zupełnie inaczej. Tutaj chodziło o Einsteina, o jego dziecko. Gdyby musiał w tej chwili usiąść za kierownicą, prawdopodobnie wjechałby na drzewo albo wylądował w rowie. Co prawda, Nora również miała w oczach łzy, ale ona się nie poddała. Zagryzła wargi i prowadziła tak, jakby była zawodowym kaskaderem pracującym dla filmu. Przy końcu drogi gruntowej skręciła w prawo i ruszyła kretą Pacific Coast Highway na północ, w stronę Carmel, gdzie z pewnością musiał mieszkać jakiś weterynarz. Podczas jazdy Travis ciągle zagadywał do Einsteina, próbował go pocieszyć i dodać mu otuchy.

-Wszystko będzie dobrze, na pewno. Nie jest z toba wcale tak zle, jak na to wyglada. Zobaczysz, wkrótce bedziesz sie czul jak nowo narodzony, Einstein zacharczal i przez chwile szamotal sie slabo w ramionach Trvisa. Travis wiedzial, o co mu chodzi. Pies obawial sie, ze weterynarz odnajdzie w jego uchu tatuaz, bedzie wiedzial, co to oznacza, i wysle go z powrotem do Banodyne.

-Nie martw sie o to, kudlata mordo. Nikt cie nam nie odbierze. Przysiegam na Boga, ze na to nie pozwole. Musieliby mnie najpierw zabic, a to sie im nie uda, nie ma mowy.

-Nie ma mowy - ponuro przytaknela Nora.

Owiniety w koc, przytulony do piersi Trvisa, Einstein nadal jednak drzal na calym ciele.

Travis przypomnial sobie slowa ulozone na podlodze spizarni: RYBA BEZ WODY... BOJE SIE... BOJE.

-Nie boj sie - szepnal do psa. - Nie boj sie. Nie ma sie czego bac. Pomimo zapewnien Trvisa, Einstein trzasl sie ze strachu. Prawde powiedziawszy, Travis bal sie takze.

## 2

Zatrzymali sie przy nalezacej do Arco stacji obslugi, na przedmiesciu Carmel. Nora znalazla adres weterynarza w ksiazce telefonicznej i zadzwonila do niego, by sie upewnic, czy jest w domu. Poradnia doktora Jamesa Keene'a miescila sie przy Dolores Avenue, na poludniowym krancu miasta. Dotarli tam na pare minut przed dziewiata.

Nora spodziewala sie ujrzec typowa, sterylna klinike weterynaryjna, totez byla bardzo zdziwiona, gdy sie okazalo, ze doktor Keene przyjmuje pacjentow we wlasnym domu, oryginalnym, pietrowym budynku z kamienia i gipsu, o lagodnie zakrzywionym dachu.

Ruszyli pospiesznie kamiennym chodnikiem w stronę domu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich doktor Keene, tak jakby czekał na ich przybycie. Strzałka wskazywała, że wejście do poradni znajdowało się gdzieś z boku, ich jednak weterynarz wprowadził frontowymi drzwiami. Był to wysoki mężczyzna o zatroskanym wyrazie twarzy, ziemistej cerze i smutnych, brązowych oczach, miał jednak ciepły uśmiech, a także nienaganne maniery. Zamykając drzwi, doktor Keene powiedział:

-Tedy, proszę.

Poprowadził ich szybko w głąb korytarza, którego parkietowa, debowa posadzka zakrywał długi, orientalny dywan. Z lewej strony lukowe wejście prowadziło do przyjemnie urządzonego salonu: podnożki przed każdym z foteli, welniane szale, złożone starannie na niektórych wezglowach, przeznaczone na szczególnie chłodne wieczory, lampy do czytania, uginające się pod ciężarem książek polki. W progu stał czarny labrador. Popatrzył na nich poważnie, jakby zdawał sobie sprawę, w jak ciężkim stanie jest Einstein.

Znalazłszy się na tyłach rozległego domu skreśli na końcu korytarza w lewo i weszli do czystego, białego gabinetu. Wzdłuż ścian stały pomalowane na biało lub wykonane z nierdzewnej stali oszklone szafki wypełnione buteleczkami, fiolkami, tabletkami, kapsułkami i przeróżnymi proszkowatymi substancjami, niezbędnymi do wyrobu rzadziej stosowanych lekarstw.

Travis delikatnie ułożył Einsteina na stole i zdjął z niego koc.

Nora pomyślała, że zarówno ona, jak i Travis wyglądają zapewne jak para rodziców, którzy przywieźli do lekarza umierające dziecko. Travis miał zaczerwienione oczy i choć przestał płakać, bez przerwy pociągał nosem. Nora z kolei, od momentu gdy zaparkowała wóz przed domem weterynarza i zaciągnęła ręczny hamulec, nie była już w stanie powstrzymać łez. Teraz, stojąc naprzeciwko doktora Keene'a, obejmując Travisa ramieniem, płakała jak bób.

Lekarz przywykł widocznie do podobnych zachowań właścicieli trafiających do poradni zwierząt, gdyż ani razu nie posłał im zdziwionego spojrzenia, nie dał też im odczuć w żaden inny sposób, że uważa ich niepokój i rozpacz za przesadzone.

Doktor Keene osłuchiwał retrievera za pomocą stetoskopu, obmacał mu brzuch i posługując się oftalmoskopem obejrzał zaropiałe oczy. W trakcie badania Einstein leżał bezwładnie jak sparalizowany i jedynie słabe siekniecia oraz nierówny oddech świadczyły o tym, że jeszcze żyje.

To nie jest takie poważne, jak się nam wydaje, usiłowała uspokoić sama siebie Nora, ocierając oczy chusteczką higieniczną.

-Jak on się nazywa? - zapytał doktor Keene, unosząc głowę znad stołu.

-Einstein - powiedział Travis.

-Jak długo go macie?

-Tylko kilka miesięcy.

-Czy był szczepiony?

-Nie. Niestety nie. - Dlaczego?

-To... skomplikowana sprawa - odrzekł Travis. - Były po temu poważne przyczyny.

-Żadna przyczyna nie jest w tym wypadku dostatecznie poważna - pouczył Keene z nagana w głosie. - Brak metryki, brak szczepień. Nieuregulowanie tych spraw świadczy o wielkiej niefrasobliwości z pańskiej strony.

-Wiem - wymamrotał Travis. - Wiem o tym dobrze.

-Co mu jest, doktorze? - zapytała Nora.

W myśli zaś powtarzała, niby zaklecie albo modlitwę, życzenie: Niech to nie będzie tak poważne jak się nam wydaje. Glaszcząc delikatnie retrievera, Keene powiedział:

-Ma nosówkę.

Einstein został przeniesiony w kąt gabinetu i ułożony na materacu z pianki, zabezpieczonym plastikowym pokrowcem. Aby zapobiec jego wędrowkom po całym pomieszczeniu - w którymś momencie odzyskał na chwilę zdolność poruszania - lekarz przywiązał go na krótkiej smyczy do umocowanego w ścianie pierscienia.

Potem doktor Keene zrobił retrieverowi zastrzyk.

-Antybiotyki - wyjaśnił. - Żadne antybiotyki nie są w tej chorobie skuteczne, ale stosuje się je, by zapobiec wtórnym infekcjom bakteriologicznym.

Do żyły w jednej z łap psa podłączył ponadto kroplówkę, dzięki której zwierze miało unikać odwodnienia organizmu.

Widząc, że weterynarz usiłuje założyć Einsteinowi kaganiec, Nora i Travis gorąco zaprotestowali.

-To nie dlatego, żebym bał się ukaszenia - tłumaczył Keene. - Kaganiec ma chronić samego psa przed wyrwaniem igły. Jeśli tylko nabierze nieco siły, zrobi to, co robią wszystkie psy - zacznie lizać i gryźć źródło podrażnienia.

-Nie ten pies - zapewnił go Travis. - Ten pies jest inny niż wszystkie. - Przeszedł obok Keene'a i zdjął krepujący szczeki Einsteina aparat.

Weterynarz zaczął protestować, lecz po chwili dał za wygraną.

-No dobra. Na razie i tak jest bardzo słaby.

Wciąż nie mogąc pogodzić się ze straszną prawdą, Nora zapytała:



-Ale czy to jest naprawdę takie poważne? Były przecież tylko słabe objawy, a po paru dniach nawet i one ustąpiły.

-Polowa psów zapadających na nosówkę nie ma w ogóle żadnych objawów. - Doktor Keene odstawił na miejsce flakon z antybiotykiem, po czym wrzucił do kosza jednorazową strzykawkę. - U innych choroba ma przebieg łagodny, a objawy to nasilają się, to znikają zupełnie. Jeszcze inne, podobnie jak Einstein, chorują bardzo poważnie. Choroba może rozwijać się stopniowo albo też przekształcić się nagle z formy łagodnej w... coś takiego. Dostrzegam jednak także coś, co daje pewne podstawy do optymizmu.

Travis kłęcząc obok Einsteina tak, aby pies mógł go widzieć, nie musząc unosić głowy ani odwracać oczu, i był czuły, dzięki temu, że się o niego troszcza, opiekują nim i kochają go.

Słyszac słowa Keene'a, popatrzył na lekarza z nadzieją.

-Coś, co daje podstawy do optymizmu? Co ma pan na myśli?

-Bardzo często kondycja psa przed chorobą determinuje dalszy jej przebieg. Nosówka przybiera znacznie ostrzejszą postać u zwierząt słabych i źle odżywianych. W wypadku Einsteina widac wyraźnie, że bardzo o niego dbacie.

-Staraliśmy się dobrze go karmić i zapewnić mu dużo ruchu - przytaknął Travis.

-Był kąpiący i szczotkowany chyba aż za często - dodała Nora. Doktor Keene z uśmiechem pokiwał głową.

-A zatem nie jest aż tak źle. Z pewnością możemy mieć nadzieję. Nora spojrzała Travisowi w oczy, ten jednak szybko spuścił wzrok, jej pozostawiając obowiązek zadania strasznego pytania:

-Panie doktorze, ale on wyzdrowieje, prawda? On nie... on nie umrze?

Widocznie James Keene był świadom, że jego ponura twarz i także spojrzenie nie budziły w ludziach zbyt dużego zaufania. Dlatego często się uśmiechał, mówił miękko, lecz przekonującym głosem i demonstrował staroswieckie maniere, aby choć w części zmienić wrażenie, jakie budził w otoczeniu swą fizjonomię.

Podszedł do Nory i położył dłonie na jej ramionach.

-Moja droga, kocha pani tego psa jak dziecko, prawda? Zagryzła wargi, po czym pokiwała głową.

-A zatem niech pani ufa. Niech pani zaufa Bogu, który podobno troszczy się o wszystkie żywe stworzenia, a przy okazji proszę też uwierzyć odrobinę we mnie. Ponoc jestem całkiem dobry w swoim zawodzie i z pewnością można na mnie polegać.

-Wierzę, że jest pan dobrym fachowcem.

Wciąż klęcząc na podłodze obok Einsteina, Travis odezwał się stłumionym głosem:

-A czy są szanse? Jakich mamy szans? Może nam pan powiedzieć? Keene zdjął dłonie z ramion Nory, po czym, zwracając się do Trávisa, powiedział:

-No cóż, wydzielina z oczu i nosa nie jest zbyt gęsta, a na brzuchu nie widać ropnych wyprysków. Z tego, co państwo mówicie, wynika, że pies wymiotował, lecz biegunka nie wystąpiła?

-Nie. Tylko wymioty - potwierdził Travis.

-Ma podwyższoną temperaturę, ale to nic groźnego. Czy miał ślinotok?

-Nie - rzuciła Nora.

-Drżenie głowy, gryzienie powietrza, takie zachowanie, jakby zjadł coś

niesmacznego?

-Nie - odpowiedzieli równocześnie Travis i Nora.

-Czy biegł w kółko albo bez powodu kładł się na ziemi? Czy widzieliście, jak leżąc na boku, przebiera gwałtownie łapami? Może krecił się bez celu po pokoju, wpadał na ściany, podskakiwał i się zataczał?

-Nie, nie - zapewnił Travis. Nora zaś dodała:

-Mój Boże, to mogło dojść aż do tego?

-Gdyby choroba przeszła w drugie stadium, to tak - powiedział Kenne.  
- Wówczas zaatakowany zostaje mózg. Pojawiają się objawy przypominające epilepsję, nierzadko następuje zapalenie mózgu.

Travis raptownie poderwał się na nogi. Zrobił krok w stronę Keene'a, potem przystanął niepewnie. Jego twarz gwałtownie pobladła, a w oczach pojawił się szalony lek.

-Atakuje mózg? Jeżeli Einstein odzyska zdrowie, to czy jego mózg... będzie uszkodzony?

Nora ogarnęła falą mdłości. Wyobraziła sobie Einsteina z uszkodzonym mózgiem - równie inteligentnego jak człowiek, inteligentnego na tyle, by móc pamiętać, że kiedyś był czymś wyjątkowym, i by wiedzieć, że coś bezpowrotnie utracił, że żyje teraz w mglistej szarości i że to jego obecne życie jest w jakiś sposób znacznie uboższe od tego, którym był niegdyś. Poczula zawrót głowy i musiała się oprzeć o stojący na środku gabinetu stół.

Keene powiedział:

-Większość psów nie przeżywa drugiego stadium choroby. Gdyby mu się jednak udało, to oczywiście doszłoby do pewnych uszkodzeń w obrębie mózgu. Nie pociągłoby to jednak za sobą konieczności

uspienia zwierzecia. Uszkodzenia takie moga na przyklad wywolac dozywotnia plasawice, ktora przybiera czesciej postac mimowolnych drgawek niz paralizu i nierzadko ogranicza sie jedynie do obszaru glowy. W takim stanie pies moze nadal wiesc zupełnie szczeniwy zywot i pozostac milym zwierzeciem domowym. Travis zacal teraz prawie krzyczec:

-Do diabla z tym, czy bedzie milym zwierzeciem domowym, czy tez nie! Nie interesuja mnie fizyczne efekty uszkodzen mozgu. Co bedzie z jego umyslem?

-No coz, nadal powinien rozpoznawac swoich panow - odparl lekarz. - W dalszym ciagu pozostanie panu posluszny i wierny. Z tym nie bylyby problemow. Moze wiecej spac, od czasu do czasu popadac w apatie, ale niemal na pewno nie zapomni o tym, czego go nauczono podczas szkolenia...

Gwaltowny dreszcz przebiegl cialem Trava.

-Jesli o mnie chodzi, to moze sobie sikac po calym domu, byleby tylko nadal potrafil myslec!

-Myslec? - powtorzyl zaskoczony doktor Keene. - To znaczy... o co panu dokladnie chodzi? Przeciez mimo wszystko to tylko pies.

Do tej pory weterynarz przyjmowal ich rozpacz i niepoko, cale ich zachowanie jako cos zupełnie naturalnego w podobnej sytuacji. Teraz jednak popatrzyl na nich uwaznie, a jego twarz przybrala dziwny wyraz.

Chcac zmienic temat, ale takze i dlatego, ze naprawde chciala znac odpowiedz, Nora zapytala:

-No dobrze, ale czy proces choroby wszedl juz w drugie stadium?

-Z tego, co widze, wynika, ze choroba wciaz jeszcze znajduje sie w pierwszym stadium. Zaczelismy juz leczenie i jesli w ciagu

najbliższych dwudziestu czterech godzin nie nastąpi gwałtowne pogorszenie, to będziemy mieć spore szanse na powstrzymanie jej rozwoju i całkowite wyleczenie.

-A czy w pierwszym etapie nie dochodzi do uszkodzeń mózgu? - dorzucił Travis z niecierpliwością, która ponownie skłoniła Keene'a do uniesienia brwi.

-Nie.

-I jeśli zdołamy zatrzymać zaraze w pierwszym stadium, to on nie umrze? - upewniła się Nora.

Starając się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej przekonująco, James Keene powiedział:

-W tej chwili są bardzo duże szanse, że choroba zakończy się na pierwszym stadium i nie pociągnie za sobą żadnych skutków ubocznych. Chce, żebyście państwo wreszcie zdali sobie z tego sprawę. Równocześnie jednak nie chce budzić nadmiernych nadziei. To byłoby okrutne. Nawet jeśli choroba nie wykroczy poza pierwsze stadium... Einstein może umrzeć. Takie przypadki są raczej rzadkie, ale się zdarzają. Nora znowu zaczęła płakać. Sądziła, że potrafi wziąć się w garść, wydawało się jej nawet, że umie być bardzo twarda. Teraz okazało się, że jest inaczej; łkając jak dziecko, podeszła do Einsteina, usiadła przy nim na podłodze i chcąc mu dodać otuchy, położyła rękę na jego karku.

Keene'a ogarnęło lekkie zniecierpliwienie. Nie mógł zupełnie pojąć, dlaczego każda niepomysłna wiadomość wywołuje tak silną emocjonalną reakcję tych dwojga. W jego głosie pojawiła się nowa, twardsza nuta.

-Słuchajcie państwo, wszystko, co możemy zrobić, to zapewnić mu jak najlepszą opiekę i mieć nadzieję na poprawę. Oczywiście, pies będzie musiał tu pozostać, ponieważ leczenie nosówki jest dosyć skomplikowane i powinno być prowadzone pod nadzorem

weterynarza. Bede mu dawal kroplowki, antybiotyki... poza tym trzeba bedzie podawac mu regularnie srodki przeciwdrgawkowe i uspokajajace, jesli wystapia ataki.

Trzymajac dlon na karku Einsteina Nora poczula, ze pies wyraznie zadrzal, jakby uslyszal i zrozumial to, co powiedzial doktor.

-W porzadku, zgadza sie, rozumiem - wyrzucil z siebie Travis. - Oczywiscie, musi pozostac w panskiej lecznicy, a my zostaniemy razem z nim.

-Nie ma potrzeby... - zaczal Keene.

-Ma pan racje, oczywiscie nie ma potrzeby - mowil pospiesznie Travis - ale my chcemy zostac, nie bedziemy przeszkadzac, mozemy spac tutaj na podlodze.

-Och, obawiam sie, ze to niemozliwe - stwierdzil Keene.

-Alez tak, oczywiscie, ze tak, to jest mozliwe, zupełnie mozliwe - Travis wyrzucil z siebie potok slow, starajac sie za wszelka cene przekonac weterynarza. - Prosze sie nami nie przejmowac, doktorze. Swietnie sobie poradzimy. Einstein nas potrzebuje, wiec zostaniemy. Oczywiscie zaplacimy panu dodatkowo za zwiazane z tym kłopoty.

-Ale ja nie prowadze hotelu!

-Musimy zostac - poparla meza Nora.

-No nie, doprawdy, jestem w stanie wiele zrozumiec, ale... Travis schwycil obiema rekami prawa dlon weterynarza i mocno ja sciskajac, popatrzył lekarzowi prosto w oczy.

-Prosze, niech mnie pan wyslucha, doktorze Keene. Musze cos panu wyjasnic. Wiem, ze nasza prosba brzmi niecodziennie. Wiem, ze musimy sie panu wydawac para wariatów, ale naprawde mamy wazne powody. To nie jest zwyczajny pies, doktorze. On uratowal mi zycie...

- I mnie też - wtraciła Nora. - W zupełnie zresztą innych okolicznościach.

-I to on nas połączył - ciągnął Travis. - Bez Einsteina nigdy byśmy się nie spotkali i nie pobrali, a przede wszystkim, gdyby nie on, żadne z nas obojga już by nie żyło.

Keene w najwyższym zdumieniu spoglądał to na Nore, to na Trávisa.

-Chcecie powiedzieć, że on naprawdę ocalił wam życie? I to w dwóch, zupełnie niezależnych od siebie wypadkach?

-Właśnie tak - potwierdziła Nora.

-A potem was ze sobą połączył?

-Tak - odezwał się Travis. - Odmienił nasze życie bardziej, niż można to sobie wyobrazić.

Z dłoni unieruchomiona w uścisku Trávisa, weterynarz popatrzył na Nore, potem przeniósł wzrok na rzeźącego retrievera i potrząsnął głową.

-Przepadam za opowieściami o bohaterskich psach. Bardzo chce usłyszeć waszą historię.

-Opowiemy panu o wszystkim - przyrzekła Nora, w duchu zaś poczyniła zastrzeżenie, że będzie to wersja starannie zredagowana.

-Kiedy miałem pięć lat - powiedział James Keene - uratował mnie od utonięcia czarny labrador.

Nora przypomniła sobie piękne, czarne zwierze z salonu i zaczęła się zastanawiać, czy był to potomek czworonoga, który kiedyś ocalił Keene'a - czy też tylko przedstawiciel tej samej co tamten rasy, który miał przypominać lekarzowi jego wielki dług wobec psów.

-A więc dobrze - powiedział Keene - możecie zostać.

-Dziękujemy - wyszeptal Travis drzacym glosem. - Dziękujemy.

Uwalniając swą dłoń, Keene powiedział:

-Ale musi upłynąć co najmniej czterdzieści osiem godzin, zanim uzyskamy całkowitą pewność, że Einstein przeżyje. Czeka was długie czuwanie.

-Czterdzieści osiem godzin to jest nic - zapewnił Travis. - Dwie noce spania na podłodze. Żaden problem.

-Coś mi się zdaje, że wam obojgu te czterdzieści osiem godzin będzie się wydawać jak wieczność. - Keene rzucił okiem na zegarek. - Za jakieś dziesięć minut przyjdzie moja asystentka i zaraz potem otworzymy poradnię. Nie możecie się tutaj krecić, gdy będę przyjmować innych pacjentów, a z pewnością nie odpowiadałoby wam siedzenie w poczekalni razem z chorymi zwierzętami i ich zdenerwowanymi właścicielami; to przygnębiłoby was tylko jeszcze bardziej. Możecie poczekać w salonie, a wieczorem, po zamknięciu przychodni, wrócić do Einsteina.

-Czy będziemy mogli zaglądać do niego w ciągu dnia? - zapytał Travis.

Keene uśmiechnął się.

-Zgoda, ale tylko na chwilę.

Pod dłoń Nory Einstein przestał wreszcie drzeć. Opadło z niego całe napięcie, jak gdyby usłyszał, że pozwolono im zostać w pobliżu i poczuł natychmiast ogromną ulgę.

Ranek wlokł się przerazliwie powoli. W salonie doktora Keene'a stał telewizor, było też pełno książek i czasopism, lecz ani Nora, ani Travis nie mieli ochoty na żadną lekturę czy na oglądanie telewizji.



Mniej więcej co pół godziny ktoreś z nich przemykało przez korytarz, by popatrzeć na leżacego w gabinecie Einsteina. Nie widac było żadnych oznak pogorszenia, choć trudno się było także dopatrzeć jakiegokolwiek poprawy.

W pewnym momencie do salonu wpadł Keene i oznajmił:

-A tak w ogóle, to możecie państwo swobodnie korzystać z łazienki. W łodowce znajdziecie coś do picia. Jeśli chcecie, zrobcie sobie kawę. - Z uśmiechem popatrzył na stojącego przy nim czarnego labradora. - A ten kolega nazywa się Pooka. Zapiesci was na śmierć, jeśli tylko mu na to pozwolicie.

Pooka rzeczywiście okazał się jednym z najprzyjaźniej usposobionych psów, jakie zdarzyło się Norze widzieć. Bez niczyjej zachęty przewracał się na grzbiecie, udawał nieżywego lub przysiadł na tylnych łapach, a potem podchodził do nich sapiąc i merdając ogonem. Najwyraźniej liczył na to, że w nagrodę za te popisów ktoś go poklepie, a może nawet podrapie za uszami.

Przez całe przedpołudnie Travis ignorował karesy czworonoga, wydawało mu się bowiem, że pieszcząc Pooka zdradzałby w jakiś sposób Einsteina, co z kolei przypieczętowałoby jego śmierć.

Nora natomiast poświęcała psu wiele uwagi. Powiedziała sobie, iż traktując dobrze labradora, pozyska łaskę bogów, którzy dzięki temu spojrza przychylniej na Einsteina.

Travis często spacerował po pokoju. Niekiedy siadał na skraju krzesła, pochylał nisko głowę i zakrywał twarz dłońmi. Podchodził do któregoś z okien i stał tam nieruchomo, całymi minutami wpatrując się nie widzącymi oczyma w biegnącą przed domem ulicę. Obwinił siebie o to, co się stało, i chociaż Nora przypominała mu parokrotnie o rzeczywistych przyczynach katastrofy, nie łagodziło to w najmniejszym nawet stopniu jego poczucia winy.

Stojąc twarzą do okna, skulony, jakby mu było zimno, Travis

powiedział cicho:

-Jak myślisz, czy Keene widział tatuaz?

-Nie wiem. Może nie.

-Myślisz, że weterynarze otrzymali informacje o Einsteinie? Czy Keene rozumie znaczenie tatuazu?

-Może nie - odrzekła. - Może za bardzo się tym przejmujemy. Jednakże od chwili, gdy dowiedzieli się od Garrisona o środkach, jakie przedsięwziął rząd, by uniemożliwić mu ostrzeżenie Cornellow, mieli już pewność, że zakrojone na szeroką skalę, gorączkowe poszukiwania psa trwały nadal. A w takiej sytuacji trudno się było nie przejmować.

Miedzy dwunastą a drugą doktor Keene miał przerwę na lunch. Zaprosił Nora i Trávisa, by zjedli razem w dużej kuchni. Reprezentował typ starego kawalera, który potrafi się troszczyć o siebie, toteż w jego zamrażarce pełno było własnoręcznie przemydzonych i zapakowanych potraw. Odmroził trzy zawinięte oddzielnie porcje lasagni domowego wyrobu i przygotował z nich trzy salatkę. Jedzenie było smaczne, lecz ani Nora, ani Travis nie byli w stanie przełknąć zbyt wiele.

Im lepiej Nora poznawała Jamesa Keene'a, tym większą czuła do niego sympatię. Pomimo ponurego wyglądu miał wesołe usposobienie i chętnie dowcipkował, nie stroniąc też od żartów na własny temat. Kochał zwierzęta, a zwłaszcza psy. Kiedy zaczynał o nich opowiadać, jego dość pospolita twarz przeobrażała się całkowicie, nabierała pod wpływem przepelniających go uczuć blasku i urody.

Opowiedział im o czarnym labradorze, Kingu, który w dzieciństwie uratował go przed utonięciem. W rewanżu Travis uraczył Keene'a barwną historią o tym, jak to wędrując po górach natknął się na rannego i rozwścieczonego niedźwiedzia. Einstein miał go ostrzec przed szalejącym zwierzęciem, a następnie chytrze wyprowadził je w

pole. Nora mogła przedstawić opowieść bardziej zbliżoną do prawdy: Einstein udaremnił napastę seksualnego psychopaty, a co więcej, nie pozwolił mu zbiec, trzymając go pod strażą aż do chwili, kiedy pojawiła się policja.

Obie relacje wywarły na weterynarzu głębokie wrażenie.

-Ależ to prawdziwy bohater! - wykrzyknął.

Nora czuła, że opowieści o wyczynach Einsteina podbiły serce Keene'a. Nabrala przekonania, że gdyby nawet dostrzegł tatuaż i wiedział, co oznacza, przymknąłby na to oko, pozwalając im odejść razem z ozdrowiałym psem. O ile oczywiście Einstein wyzdrowieje. Zbierali właśnie ze stołu brudne talerze, gdy Keene powiedział: - Wiesz, Sam, zastanawiam się, dlaczego ona mówi na ciebie "Travis".

Byli przygotowani na taką sytuację. Otrzymawszy dokumenty na nowe nazwiska, uznali, że będzie prościej i bezpieczniej, jeżeli Nora w dalszym ciągu używać będzie imienia "Travis" zamiast przyzwyczajając się do "Sama". Dzięki temu, w jakimś krytycznym momencie nie popełni przynajmniej pomyłki. Indagowani na ten temat zawsze mogliby wyjaśnić, że "Travis" było przezwiskiem biorącym swój początek z jakiegoś żartu, a mruganiem i głupimi uśmiechami próbowaliby zasugerować, iż ma ono coś wspólnego z seksem, coś zbyt intymnego, by mogli szczegółowo to wytłumaczyć. W ten właśnie sposób zareagowali na pytanie Keene'a. Nie byli jednak w nastroju odpowiednim do tego, by zagrać przekonująco podobną, niby humorystyczną scenkę, toteż Nora nie miała pewności, czy wybieg się udał. W głębi duszy podejrzewała, że ich niezreczne, całkiem nie na miejscu zarciki, mogły jedynie podsycić ewentualne podejrzenia Keene'a.

Tuż przed koncem lunchu zadzwoniła asystentka Keene'a z informacją, że do dreczacego ją od rana bólu głowy dołączyły zaburzenia żołądkowe, wobec czego musi pozostać w domu. Nie

chcac, by przez reszte dnia weterynarz sam przyjmowal pacjentow, Travis natychmiast zaoferowal mu pomoc.

-Oczywiscie, zadne z nas nie posiada fachowego przygotowania, ale mozemy wykonywac wszelkie proste czynnosci.

-Jasne - przytaknela Nora. - Miedzy nami mowiac, jestesmy dosyc pojetni i zrobimy wszystko, co bedzie trzeba, jesli tylko pokaze nam pan, jak sie do tego zabrac.

Popoludnie uplynelo im na poskramianiu opornych kotow, psow, papug i roznych innych zwierzat, ktore Jim Keene musial zbadac. Ponadto zakladali proste opatrunki, szukali po szafkach potrzebnych lekarstw, myli i sterylizowali instrumenty, pobierali naleznosc, a takze wypisywali recepty. Pare zwierzat cierpialo na biegunke lub wymioty, trzeba wiec bylo sprzatnac po nich stol i podloge. Zrobili to bez slowa skargi, choc zajecie nie nalezalo do najprzyjemniejszych.

Podjeli sie tej pomocy z dwoch powodow.

Po pierwsze, asystujac Keene'owi, uzyskiwali moznosc przebywania przez caly czas z Einsteinem. Pomimo nawalu pracy co pewien czas udawalo sie im wygospodarowac pare chwil, podejsc do retrievera, poglaskac go i kilkoma slowami dodac mu otuchy. Mialo to takze swoja zla strone; obserwujac ciagle psa, ku swemu rozczarowaniu nie dostrzegali nadal zadnych oznak poprawy. Po wtore, chcieli w ten sposob wkrasc sie w laski weterynarza, zdobyc jego wdziecznosc i osiagnac przez to wieksza pewnosc, ze nie zmieni decyzji i pozwoli im nocowac w swoim domu.

Poniewaz, jak stwierdzil Keene, tego dnia zjawilo sie wiecej pacjentow niz zazwyczaj, mogli zamknac przychodnie dopiero o szostej. Znuzenie oraz wykonywana wspolnie praca wytworzyly miedzy nimi cieple poczucie kolezenstwa. Razem przygotowali i zjedli obiad, a potem Jim Keene raczyl ich zabawnymi opowiesciami o zwierzetach (w ciagu dlugich lat praktyki zgromadzil mnostwo tego rodzaju historyjek). Zapanowala tak mila atmosfera, ze mozna by pomyslec, iz

znają się z Keene'em od miesiący, a nie dopiero niecały dzień.

Keene przygotował dla nich gościnna sypialnię, a ponadto przyniósł kilka koców, z których ułożyli sobie dość prymitywne legowisko na podłodze gabinetu. Travis i Nora mieli czuwać na zmianę, spędzając poł nocy w prawdziwym łóżku, a poł na podłodze obok Einsteina.

Travis objął pierwszą wachkę, od dziewiątej wieczorem do trzeciej nad ranem. Palila się tylko jedna lampa, w najdalszym kącie gabinetu. Miejsce, gdzie Travis czuwał przy materacu Einsteina, pogrążone było w cieniu, więc w obawie przed zasnięciem przeważnie siedział i tylko niekiedy kładł się na chwilę na legowisku.

Chwilami Einstein zasypiał i wówczas jego oddech stawał się bardziej normalny. Jednakże za każdym razem, gdy się budził, oddychał z wielkim trudem, postekując z bólu i - Travis czuł to wyraźnie - ze strachu. Gdy pies nie spał, Travis przemawiał do niego uspokajającym tonem, przypominał wspólne przygody, radosne przeżycia i szczęśliwe chwile, jakich doznali obaj w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Niezdolny do wykonania choćby najmniejszego ruchu, pies kilkakrotnie nasusiał na osłonięty plastikiem materac. Za każdym razem Travis doprowadzał go do porządku, okazując przy tym retrieverowi czułość i współczucie nie mniejsze od tego, jakie ojciec mogłby okazywać ciężko choremu dziecku. Co dziwne, sprzątanie dostarczało nawet Travisowi swoistej przyjemności, ponieważ dopóki Einstein siusiał, oznaczało to, że jeszcze żyje, że jego organizm funkcjonuje w miarę normalnie.

W ciągu nocy kilkakrotnie padał deszcz. Ciężkie krople bebnily głucho o dach, budząc skojarzenia z pogrzebowymi werblami.

W czasie tej pierwszej zmiany do gabinetu dwukrotnie wchodził Jim Keene w narzuconym na pidzame szlafroku. Za pierwszym razem ostrożnie zbadał Einsteina i wymienił butelkę z kroplówką, za drugim zrobił psu jakiś zastrzyk. Uprzedził też Trávisa, że w chwili obecnej nie

należy jeszcze oczekiwać pojawienia się symptomów poprawy. Na razie powinni się cieszyć już z tego, że stan zdrowia psa nie uległ pogorszeniu.

Wielokrotnie podczas swego dyżuru, Travis przechodził w drugi koniec gabinetu i odczytywał słowa wypisane na niewielkim oprawnym w proste ramki arkuszu papieru, zawieszonym na ścianie nad zlewem.

## POCHWALA PSA

Jedynym całkowicie pozbawionym egoizmu przyjacielem, na którego człowiek może liczyć w tym samolubnym świecie, takim, który go nigdy nie opuszcza, nigdy nie okaże niewdzięczności bądź zdrady, jest jego pies. Pies trwać będzie u jego boku w zdrowiu i chorobie, w bogactwie i ubóstwie. Spac będzie na chłodnej ziemi, gdzie dyma zimowe wiatry i wściekle zaczyna śnieg, byleby tylko być blisko swego pana. Calować będzie dłoń, która nie zdoła zapewnić mu pożywienia; lizac będzie rany i since powstałe w zetknięciu z brutalnością świata. Strzeże snu swego ubogiego pana tak czujnie, jak gdyby był on udziałowym księciem. Gdy odejda wszyscy inni przyjaciele, on pozostanie. Bogactwo przemija, a reputacja rozsypuje w gruzy, ale on jest i będzie stały w swej miłości niczym słońce w swej wędrówce po nieboskłonach. Senator George Vest, 1870

Za każdym razem, gdy czytał te słowa, wciąż od nowa ogarniało go zdumienie na myśl o tym, że Einstein istnieje. Czy jest coś, o czym dzieci marzą równie często, jak o tym, że ich psy są równie mądre i bystre jak ludzie, i tak samo łatwo można się z nimi porozumieć, coś równie bliskiego dziecięcej wyobraźni? Jakież pochodzacy od Boga dary mogłyby bardziej ucieszyć młody umysł niż inteligentny pies, z którym w pełni można by dzielić wszystkie triumfy i tragedie? Jakież cud sprawiłby więcej radości, wzbudziłby większy szacunek dla tajemnic natury, stanowiłby lepszy przykład rozmachu, z jakim manifestuje się nieodgadniona zagadka życia? Już sam pomysł połączenia w jednej istocie natury psa i ludzkiej inteligencji niosł w sobie nadzieję na powstanie gatunku równie zdolnego jak człowiek, a zarazem znacznie

szlachetniejszego i bardziej wartosciowego. A czyz nie jest powszechnym marzeniem doroslych, ze ktoregos dnia odkryte zostana inne inteligentne gatunki, z ktorymi czlowiek bedzie mogl dzielic rozlegly, zimny wszechswiat, i dzieki temu przestanie mu tak bardzo ciazyc niewypowiedziana samotnosc, rodzaca cicha desperacje?

I jakaz strata moglaby byc dotkliwsza od utraty Einsteina, tego pierwszego swiadcstwa pozwalajacego zywic nadzieje, ze ludzkosc nosi w sobie zalazki nie tylko wielkosci, ale takze boskosci?

Pod wplywem tych myśli Travis zadrzal nagle. Zalosne, ciche lkanie wyrwalo sie z jego piersi. Wymyslajac sobie od mieczakow, wyszedl na korytarz, nie chcial bowiem, by Einstein zobaczyl jego lzy.

Nora zluzowala go o trzeciej nad ranem. Musiala dlugo nalegac, nim zgodzil sie w koncu opuscic gabinet i pojsc na gore.

Choc protestowal, twierdzac, ze i tak nie zmruzy oka, byl przeciez bardzo wyczerpany, totez usnal natychmiast, gdy tylko padl na lozko.

Przysnilo mu sie, ze sciga go zoltooka istota o poteznych szponach i szczekach aligatora. Probował bronic Einsteina i Nory, wypchnal ich przed siebie i kazal im biec, biec, biec. Ale potwor zdolal jakos obejsc Trava i rozszarpal Einsteina na strzepy, a zaraz potem pozarl Nore. Jeszcze raz dalo o sobie znac Przeklenstwo Cornella, prosta zmiana nazwiska nic tu nie pomogla. Wtedy Travis zatrzymal sie, padl na kolana i pochylil nisko glowe, poniewaz utraciwszy Nore i psa, pragnal umrzec. Slyszal, jak bestia nadchodzi - klik, klik, klik. Bal sie, ale zarazem cieszył na mysl o smierci, ktorej byla zapowiedzia...

Nora obudzila go na krotko przed piata.

-Einstein! - zawolala naglaco. - Dostal konwulsji.

Gdy Nora i Travis weszli do pomalowanego na bialo gabinetu, Jim Keene kleczal na podlodze przy materacu Einsteina. W tym

momencie mogli tylko jedno - trzymać się z boku i nie przeszkadzać weterynarzowi w pracy.

Stali objawszy się nawzajem.

Po kilku minutach lekarz podniósł się znad materaca. Wyglądał na zmartwionego i nie próbował nawet się usmiechać lub podtrzymywać ich na duchu.

-Podam mu dodatkową porcję środków przeciwdrgawkowych. Sądzę, że mu to pomoże.

-Czy to już drugie stadium? - zapytał Travis.

-Może nie.

-Czy jest możliwe, aby drgawki wystąpiły w pierwszym stadium?

-To jest możliwe - przyznał Keene.

-Ale mało prawdopodobne.

-Mało prawdopodobne - potwierdził lekarz. - Ale... nie niemożliwe. Drugie stadium nosowki, pomyślała zrozpaczona Nora. Mocniej przytuliła się do Trvisa.

Drugie stadium. Zaatakowany mózg. Zapalenie. Plasawica. Uszkodzenia. Uszkodzenia.

Travis nie wrócił już do łóżka. Pozostał w gabinecie razem z Nora i Einsteinem.

Zapalili jeszcze jedną lampę, dzięki czemu pokój rozjaśnił się, choć nie na tyle, by światło mogło razić Einsteina, i bacznie obserwowali psa, oczekując ze ścisniętym sercem pojawienia się objawów charakterystycznych dla drugiego stadium nosowki, takich jak potrzaskanie głową czy klapanie szczękami. Fakt, że takie symptomy na razie jeszcze się nie pojawiły, nie przynosił Travisowi żadnej



pociechy. Nawet jeśli choroba, z którą zmagał się Einstein, wciąż jeszcze nie wyszła poza pierwszą fazę, pies sprawiał wrażenie umierającego.

Następnego dnia, w piątek, trzeciego grudnia, asystentka Jima Keene'a również nie mogła przyjść do pracy, więc Nora i Travis ponownie zaoferowali swoje usługi.

Do przerwy na lunch gorączka Einsteina nie spadła. Z jego oczu i nosa nadal saczyła się przejrzysta, lekko żółtawa wydzielina. Oddech retrievera stał się jakby nieco lżejszy, lecz zrozpaczona Nora zaniepokoiła się, czy przypadkiem nie świadczy to o tym, że psu brak już sił, by oddychać głębiej, i że powoli zaczyna się poddawać.

Gdy Keene podał lunch, nie była zdolna przełknąć czegokolwiek. Uprala i wyprasowała ubrania swoje i Trávisa - oboje musieli na pewien czas przebrać się w zbyt dla nich obszerne płaszcze kąpielowe Jima Keene'a.

Także i tego popołudnia w poradni panował duży ruch. Nora i Travis byli bardzo zajęci pracą, toteż żadne z nich nie miało za wiele czasu na ponure rozmyślanie.

O czwartej czterdzięci - tego momentu Nora nie zapomni do końca życia - zaraz potem, jak pomogli Jimowi uporać się z rozszalonym irlandzkim seterem, Einstein czknał dwukrotnie na swoim materacu w kacie gabinetu. Nora i Travis natychmiast odwrócili się w tamtą stronę, drząc z niepokoju i oczekując najgorszego, gdyż po raz pierwszy od chwili przybycia do weterynarza Einstein wydal z siebie odgłos inny niż bolesne sieknięcie. Tymczasem retriever unosił nieco głowę - po raz pierwszy starczyło mu na to sił - i popatrzył na nich, mrugając oczami; zdziwiony rozglądał się dookoła, jakby chciał zapytać, gdzie, u licha, się znalazł.

Jim kleknał obok psa i dokładnie go zbadał, a Nora i Travis niecierpliwie czekali na wynik, pochyleni nad jego plecami.

-Spojrzcie na te oczy. Sa lekko metne, ale to juz nie to, co bylo przedtem. Przestalo tez z nich ciec. - Wilgotna szmatka oczyscil zeskorupiala sierśc ponizej oczu Einsteina i wytarl mu nos; w nozdrzach nie pojawily sie pecherzyki swiezej wydzieliny. Odczytawszy wskazania termometru, powiedzial: - Goraczka spadla o cale dwa stopnie.

-Dzieki Bogu - wyszeptal Travis.

Nora poczula, ze do oczu znowu naplywaja jej lzy. Jim dodal:

-Jeszcze nie jest po wszystkim. Puls stal sie wprowadzie wolniejszy i bardziej regularny, lecz wciaz nie jest taki, jak byc powinien. Noro, wez ktoras z tamtych misek i wlej do niej nieco wody.

Nora napelnila miske i postawila ja na podlodze, tuz obok reki weterynarza.

Jim przesunal ja bardziej w strone Einsteina.

-Co o tym myslisz, kolego?

Einstein raz jeszcze oderwal glowe od materaca i popatrzyt na naczynie z woda. Jego wywieszony jezyk sprawial wrazenie suchego i pokryty byl jakas lepka substancja. Pies zapiszczal, po czym sie oblizal.

-Moze powinnismy mu pomoc - zaproponowal Travis.

-Nie - oswiadczyt Keene. - Niech sam sie zastanowi. On bedzie wiedzial, czy ma na to ochote. Nie bedziemy go namawiac do picia, bo moglby zwymiotowac. Instynkt mu podpowie, czy nadszedl juz wlasciwy czas.

Pojekujac i sapiac, Einstein przetoczyt sie powoli z boku na brzuch. Przytknal nos do miski, obwachal wode, ostroznie zanurzyt w niej jezyk, posmakowal, po czym wypit trzecia czesc zawartosci naczynia.

Ugasiwszy pragnienie westchnął i na powrót wtulił głowę w materac.

Gładząc psa, Jim Keene powiedział:

-Zdziwiłbym się bardzo, gdybyś z czasem nie wrócił w pełni do siebie.

Z czasem.

Słowa te wzbudziły niepokój Trávisa.

Ile czasu musi upłynąć, zanim Einstein odzyska zdrowie? Byłoby o wiele lepiej, gdyby retriever wrócił całkiem do siebie i odzyskał pełną sprawność zmysłów, zanim zjawi się Obcy, który przecież wreszcie musi ich odnaleźć. Alarm pracujących w podczerwieni czujników nie wystarczy. Einstein był ich podstawowym systemem wczesnego wykrywania.

Gdy o piątej trzydziści zamknęły się drzwi za ostatnim pacjentem, Jim Keene wyskoczył na poł godziny do miasta, nie zdradziwszy im celu swej wyprawy. Wrócił z butelką szampana w dłoni. - Pije raczej niewiele, są jednak okazje, które trzeba koniecznie uczcić czymś mocniejszym.

Nora przyrzekła sobie, co prawda, nie pic podczas ciąży, ale przecież w tych szczególnych okolicznościach godziło się uchylić najuroczystsze śluby.

Wyjęli szklanki i wypili za zdrowie Einsteina, który obserwował ich przez kilka minut, ale zaraz potem, wyczerpany, zasnął.

-Ten sen jest naturalny - zauważył Jim. - Einstein nie dostał dzisiaj środków nasennych.

-Jak długo będzie dochodził do siebie? - zapytał Travis.

-Żeby uwolnić się od nosówki, jeszcze pare dni, góra tydzień. Tak czy inaczej chciałbym zatrzymać go jeszcze przez dwa dni. Jeśli chcecie,

mozecie juz wracac do domu, ale mozecie tez nadal czuc sie moimi gosciami. Wasza pomoc bardzo mi sie przydala.

-Zostaniemy - bez wahania postanowila Nora.

-Ale gdy choroba minie - indagowal Travis - pies bedzie bardzo slaby, prawda?

-Z poczatku tak. Ale stopniowo odzyska w pelni lub niemal w pelni dawne sily. Teraz jestem juz pewien, ze pomimo iz wystapily konwulsje, nie wkroczyla w drugie stadium. Przypuszczam, iz calkiem wroci do siebie wkrótce po Nowym Roku, a choroba nie pozostawi zadnych trwalych sladow.

Nowy Rok.

Travis mial nadzieje, ze do tego czasu nic sie nie wydarzy.

Takze i te noc Nora i Travis podzielili na dwie wachty. Travis dyzurowal pierwszy, a Nora zluzowala go o trzeciej rano.

Carmel spowila mgla. Klebila sie za oknami, miękko napierajac na szyby.

Einstein spal, gdy weszla do gabinetu.

-Czy czesto sie budzil? - zapytala.

-Tak. Od czasu do czasu.

-Czy... mowiles do niego? - Taaa.

-No i?

Wymizerowana, pobrudzona twarz Trávisa przybrala ponury wyraz.

-Zadawalem mu pytania, na ktore mozna bylo odpowiedziec tak lub nie.

-I co?

-Nie odpowiedział na żadne. Patrzył na mnie, ziewał albo zasypiał.

-Jest jeszcze bardzo zmęczony - odrzekła, starając się za wszelką cenę wierzyć, że jest to właściwe wyjaśnienie niekomunikatywności Einsteina. - Nie starcza mu sił nawet na odpowiedzi.

Travis był blady i wyraźnie przygnębiony.

-Może. Sam nie wiem... ale myślę... wydawał mi się... jakiś otepiał.

-Nie jest jeszcze przecież całkowicie zdrowy. Wraca do siebie, ale jego organizm nadal walczy z tą przekłętą zarazą. Ma prawo być nieco oszłomiony.

-Otepiał - powtórzył Travis.

-To minie.

-Taaa. To minie - przytaknął, lecz zabrzmiało to tak, jakby nie wierzył, że Einstein kiedykolwiek jeszcze będzie taki jak dawniej.

Nora wiedziała, o czym myślał Travis: o Przekleństwie Cornella, w które według własnych deklaracji nie wierzył, a przed którym czuł w głębi serca zabobonny strach. Każdy, kogo pokochał, był skazany na cierpienie i śmierć w młodym wieku. Każdy, na kim mu zależało, znikał bez śladu.

Oczywiście był to nonsens, Nora nie wierzyła w to nawet przez chwilę. Wiedziała jednak, jak trudno jest zrzucić z siebie brzemię przeszłości i patrzeć tylko w przyszłość. Dlatego też rozumiała, że nie może w tej chwili oczekiwać od meza optymizmu. Wiedziała również, iż nie potrafi zrobić nic, co mogłoby go wyrwać z otchłani jego udreki. Mogła jedynie dać mu całusa, przytulić na chwilę i wysłać do łóżka, by trochę się przespał.

Gdy Travis odszedł, Nora usiadła na podłodze tuż obok Einsteina i powiedziała:

-Jest coś, co ci muszę powiedzieć, kudłata mordo. Pewnie spisz i mnie nie słyszysz, a może nawet gdybys nie spał, nie zrozumiałbys tego, co mówię. Może nigdy nie będziesz już niczego rozumieć i dlatego muszę to powiedzieć właśnie teraz, dopóki przynajmniej jest nadzieja, że twój umysł pozostał nienaruszony. Byli sami w cichym gabinecie. Przycmione światła polyskiwały na powierzchni wykonanych z nierdzewnej stali sprzętów i na szybach emaliowanych, białych szafek. O trzeciej trzydziści nad ranem miejsce to wydawało się niezwykle samotne.

Każdemu oddechowi Einsteina towarzyszył miękki świst, który tylko chwilami przechodził w krótkie rzezenie. Pies trwał w całkowitym bezruchu.

-Myślałam o tobie jako o moim strażniku, Einstein. Tak właśnie cie nazywałam, gdy obroniłeś mnie przed Arthurem Streckiem. Moj strażnik. Nie tylko powstrzymałeś tego okropnego człowieka, ale uwolniłeś mnie od samotności i straszliwej rozpacz. To również dzięki tobie rozproszył się mrok zalegający dusze Trávisa, to ty połączyłeś nas i pod każdym względem jesteś tak doskonały, że nie jeden anioł stroz mógłby ci pozazdrościć. Nigdy nie oczekiwałeś niczego w zamian za twoje uczynki. Czasem prosiłeś trochę herbatników, niekiedy o kawałek czekolady. Ale zrobiłbys to wszystko nawet wówczas, gdybys zawsze dostawał do jedzenia wyłącznie pokarm z puszek. Bo ty robiłeś to z miłości i odwzajemnione uczucie było dla ciebie wystarczającą nagrodą. Postępując w ten sposób, kudłata mordo, nauczyłeś mnie wielkiej życiowej mądrości, mądrości, która nielatwo wyrazić słowami...

Przerwała i nie będąc w stanie mówić dalej, siedziała w milczeniu obok swego przyjaciela, dziecka, nauczyciela, strażnika,

-Niech to diabli - wykrztusiła w końcu. - Muszę znaleźć odpowiednie

słowa, ponieważ, być może, dziś po raz ostatni mogę jeszcze udawać, że jesteś w stanie mnie zrozumieć. Chodzi mniej więcej o to...

Nauczyłeś mnie, że ja jestem także twoim strażnikiem, i Trávisa, a on z kolei jest strażnikiem moim no i twoim. Wszyscy ponosimy wspólną odpowiedzialność, opiekujemy się sobą nawzajem. Jesteśmy opiekunami, wszyscy, i czuwamy, by nie zagroziły nam ciemne siły. Nauczyłeś mnie, że wszyscy jesteśmy potrzebni innym, nawet ci, którzy niekiedy uważają się za bezwartościowych, brzydkich i głupich. Jeśli kochamy i pozwalamy, by ktoś nas kochał... no cóż, osoba, która kocha, jest kims najcenniejszym na świecie, wartym największych skarbów. Właśnie tego mnie nauczyłeś, kudłata mordko. Dzięki tobie nigdy już nie stanę się taka jak byłam.

Przez resztę długiej nocy Einstein leżał nieruchomo, pogrążony w głębokim śnie. W sobotę Jim Keene pracował do południa. Pare minut po dwunastej zamknął wejście do poradni z boku jego rozległego, lecz przytulnego domu.

Przez cały ranek Einstein zdradzał napawające otuchą symptomy powrotu do zdrowia. Pił więcej wody, spędzał też więcej czasu na brzuchu, nie leżał już wciąż bezwładnie na jednym z boków. Z uniesioną ku górze głową rozglądał się ciekawie po gabinecie. Wychęptał nawet sporo roztrzępanego z mięsny wywarem jajka, opróżniając do połowy miskę przyniesioną przez Jima. Od pewnego czasu był już odłączony od kroplówki.

W dalszym ciągu jednak przesypiał wiele godzin, a na pytania Trávisa i Nory reagował tak samo, jakby to czynił każdy zwyczajny pies.

Po lunchu, kiedy siedzieli z Jimem przy kuchennym stole, popijając kawę, w pewnej chwili weterynarz westchnął ciężko i powiedział:

-No cóż, dłużej chyba tego odwlec się nie da. - Z wewnętrznej kieszeni znoszonej sztruksowej marynarki wyciągnął złożony arkusz papieru, po czym położył go na blacie na wprost Trávisa.

Początkowo Nora sądziła, że był to rachunek za leczenie, ale gdy

Travis rozpostarł papier, okazało się, że mają przed sobą ulotkę, wydana przez ludzi poszukujących Einsteina.

Travisowi opadły ramiona.

Nora doznała wrażenia, że jej serce opada gdzieś w głąb ciała. Przysunęła się bliżej do Trávisa, by mogli razem zapoznać się z treścią ulotki. Pismo nosiło datę z ubiegłego tygodnia. Zawierało dokładny opis Einsteina, łącznie ze wzmianką o cyfrowym tatużu w uchu, a ponadto informowało, że pies najprawdopodobniej znajdował się w posiadaniu mężczyzny o nazwisku Travis Cornell oraz jego żony, Nory, którzy mogli podawać fałszywe personalia. U dołu strony zamieszczono rysopisy oraz fotografie Nory i Trávisa.

-Od jak dawna wiesz o tym wszystkim? - zapytał Travis.

-Niemal od chwili waszego przybycia we czwartek rano - odrzekł Keene. - Od sześciu miesięcy, co tydzień przysyłają mi ten biuletyn, uzupełniając go ciągle nowymi informacjami. Dzwoniono też do mnie już trzykrotnie z Federalnego Centrum Raka, przypominając mi o obowiązku sprawdzenia uszu każdego złocistego retrievera, jaki do mnie trafi, i natychmiastowego złożenia meldunku, jeśli znajdzie tatuż.

-Zameldowałeś im? - zapytała Nora.

-Jeszcze nie. To byłoby bez sensu, dopóki nie mieliśmy pewności, czy przeżyje. - A czy teraz zameldujesz? - odezwał się Travis.

Podobna do pyska gонczego psa twarz Jima Keene'a przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz niż zazwyczaj.

-Zgodnie z tym, co twierdzi Instytut Raka, ten pies jest najważniejszym elementem szczególnie obiecujących eksperymentów, mogących doprowadzić do wytworzenia skutecznego lekarstwa. Miliony dolarów z funduszy badawczych pójdą na marne, jeśli ten pies nie zostanie odnaleziony i zwrócony do laboratorium.



-To wszystko kłamstwo - oznajmil Travis.

-Pozwolicie, że wyjaśnię wam jedną rzecz - powiedział Jim Keene, wychylając się z krzesła i splatając swoje duże dłonie wokół filiżanki z kawą. - Jestem przysięgłym miłośnikiem zwierząt. Poswieciłem im całe moje życie, a już szczególnie kocham psy. Mimo to nie darzę nadmierną sympatią ludzi wyznających pogląd, że powinniśmy przerwać wszelkie doświadczenia z udziałem zwierząt, ludzi, którzy są zdania, iż postęp w medycynie nie jest wart cierpienia choćby jednej morskiej świnki, kota czy psa. Ci, co wlamują się do laboratoriów i wykradają stamtąd zwierzęta... chce mi się na nich pluć. Miłość życia, w każdej jego postaci, jest czymś dobrym i słusznym. Ale tacy ludzie nie kochają życia - oni darzą je boską czcią, co jest postawą pogańska, godna co najwyżej ignorantów i dzikusów.

-To wcale nie tak - zaproponowała Nora. - Einstein nigdy nie miał nic wspólnego z badaniami nad rakiem. To tylko historyjka mająca zmylić opinię publiczną. To nie Instytut Raka poszukuje Einsteina, tylko Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. - Popatrzyła na Travisa. - I co teraz zrobimy?

Travis uśmiechnął się ponuro.

-No cóż, z pewnością nie potrafię zabić Jima... Weterynarz powiodł po nich zdumionym spojrzeniem.

-...sądze więc, że należy go przekonać - dokończył Travis.

-Powieśmy mu prawdę? - zapytała Nora.

Travis długo wpatrywał się w Jima Keene'a, a w końcu rzekł:

-Tak. Prawdę. To jedyne, co może go skłonić do wyrzucenia tego przekleśnego listu goniczego do kosza.

Nora zaczerpnęła głęboko tchu.

-Jim, Einstein jest równie mądry jak ty, ja czy Travis.

-Czasami myślę, że nawet mądrzejszy - wtracił Travis. Weterynarz wpatrywał się w nich spojrzeniem człowieka, który niczego nie rozumie.

-Przygotuje jeszcze jeden dzbanek kawy - powiedziała Nora. - Mam przed sobą długie popołudnie. W kilka godzin później, dziesięć po piętej, Nora, Travis oraz Jim Keene zebrali się przy leżącym na materacu Einsteinie.

Pies upił właśnie nieco wody i z zainteresowaniem popatrzył na przybyłych.

Travis usiłował sprawdzić, czy w dużych, brązowych oczach retrievera jasniała nadal głęboka, niezwykła, zupełnie obca psom, czujna świadomość, jaką odnajdywał w nich tyle razy w przeszłości. Cholera. Nie był pewien i ta niepewność napelniała go lękiem.

Jim zbadał Einsteina i zauważył głośno, że jego oczy stały się bardziej przejrzyste, nabrały niemal normalnego wyglądu, a temperatura w dalszym ciągu spada.

-Praca serca również uległa nieznacznej poprawie - stwierdził na koniec.

Zmęczony dziesięciominutowym badaniem Einstein opadł na bok i przeciągle westchnął. Po chwili zapadł w sen.

-Z pewnością nie wygląda na geniusza - oświadczył weterynarz.

-Jest nadal chory - powiedziała Nora. - Potrzebuje jeszcze trochę czasu, ale wkrótce dojdzie do siebie, a wtedy udowodni, że wszystko, co mówimy, jest prawdą.

-Jak sądzisz, kiedy stanie na nogi? - zapytał Travis. Jim zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

-Moze jutro. Z poczatku bedzie bardzo slaby, ale moze mu sie uda. Zobaczymy.

-Kiedy juz stanie na nogi - podjal Travis - kiedy odzyska poczucie rownowagi i zacznie sie poruszac, wowczas powinno takze rozjasnic mu sie w glowie. Dlatego dopiero wtedy poddamy go testowi, ktory dowiedzie jego inteligencji.

-Propozycja wydaje mi sie uczciwa - przyznal Jim.

-A jesli test wypadnie pomyslnie - zadala kolejne pytanie Nora - to go nie wydasz?

-Wydac go ludziom, ktorzy stworzyli Obcego? Zwrocic go klamcom fabrykujacym falszywe listy goncze? Noro, za kogo ty mnie masz?

-Za dobrego czlowieka - odrzekla Nora.

W dwadziescia cztery godziny pozniej, w niedziele wieczorem, Einstein na niepewnych nogach, slaniajac sie chwilami, krazil dookola po gabinecie Jima Keene'a, jak gdyby byl czworonoznym staruszkiem.

Nora posuwala sie obok niego na czworakach i powtarzajac mu bez przerwy, jaki jest dzielny i mady, zachecala go do dalszego wysilku. Cieszyła sie kazdym krokiem psa, jakby byl jej wlasnym, uczacym sie chodzic dzieckiem. Jeszcze wieksza radosc sprawialo jej to, co dostrzegala w oczach Einsteina, gdy rzucal spojrzenia w jej strone, odbijala sie w nich zlosc z powodu wlasnej slabosci, a rownoczesnie widac bylo i przeblyski humoru, tak jakby chcial powiedziec: Hej, Noro, robisz ze mnie widowisko, czy jak? Czy to nie smieszne?

W sobote po poludniu zjadal troche kaszy, a przez cala niedziele skubal od czasu do czasu, przygotowany przez weterynarza, lekko strawny pokarm. Pil coraz wiecej, a najlepsza oznaka powrotu do zdrowia byl fakt, ze zaczal sie domagac, aby pozwolono mu zalatwiac potrzeby na dworze. Nie byl jeszcze w stanie zbyt dlugo utrzymac sie na nogach i co chwila zataczal sie lub ciezko przysiadal na zadzie, z

tym wszystkim nie wpadał jednak na ściany ani nie krecił się w kołko.

Z sobotnich zakupów Nora wróciła z trzema pudełkami scrabble'a. Teraz Travis podzielił oznaczone literami klocki na dwadzieścia sześć kupek i rozłożył je na podłodze w pustym kacie gabinetu.

-Jesteśmy gotowi - oznajmił Jim Keene. Siedział na podłodze razem z Travisem z podkurczonymi po indyjsku nogami.

Pooka leżał u boku swego pana i obserwował te przygotowania z niepomiernym zdumieniem.

Nora podprowadziła Einsteina ku porozkładanym w drugim końcu pokoju literom. Ujęła jego głowę w dłoń, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

-Okay, kudłata mordo. Pokaż doktorowi Jimowi, że nie jesteś jakimś tam godnym współczucia czworonogiem, który zniknął z laboratorium prowadzącego badania nad rakiem. Dowiedz, czym jesteś naprawdę i do czego byles potrzebny tym paskudnym ludziom.

Starła się uwierzyć, że w ciemnych oczach retrievera dostrzega dawną przenikliwość.

Nie próbując nawet ukryć zdenerwowania i niepokoju, Travis powiedział:

-Kto zada pierwsze pytanie?

-Ja - bez wahania odparła Nora. Znowu spojrzała psu w oczy. - Jak tam nasza ryba?

Powiedzieli weterynarzowi o wiadomości, którą Travis znalazł w dniu, gdy Einsteina powaliła choroba - RYBA BEZ WODY - toteż Jim rozumiał, o co pytała Nora.

Einstein przyglądał się jej przez chwilę mrugając oczami, potem

popatrzył na klocki, jeszcze raz spojrzal na Nore i zaczął obwachiwać litery. Nora poczuła nagły skurcz żołądka, lecz właśnie w tym momencie retriever zaczął przesuwac nosem kolejne klocki.

RYBA PROBUJE PLYWAC.

Ciałem Trávisa wstrząsnął silny dreszcz, jak gdyby nagromadzony w nim lek przybrał postać potężnego ładunku elektrycznego, od którego się teraz błyskawicznie uwolnił.-Dzięki Bogu! - wykrzyknął. - Dzięki ci, Boże! - A w następnej chwili zanosił się radosnym śmiechem.

-A niech mnie diabli! - zaklął Jim Keene.

Pooka unosił wysoko głowę i nastawił uszu, świadom, że dzieje się coś ważnego, choć nie pojmował zupełnie, o co tu właściwie chodzi.

Nora odczuła ogromną ulgę, a jej serce wezbrało radością i miłością. Odłożyła litery na miejsce, a potem zapytała:

-Einstein, kto jest twoim panem? Podaj nam jego imię. Retriever popatrzył na nią, na Trávisa, po czym w skupieniu przystąpił do układania odpowiedzi. NIE PAN. PRZYJACIELE. Tra vis parsknął śmiechem.

-Na Boga, zupełnie się z tym zgadzam! Nikt nie może zostać jego panem, ale dumny powinien być każdy, kogo zaszczytują swoją przyjaźnią.

Ten niezbity dowód na to, że choroba nie pozbawiła Einsteina jego niezwykłych zdolności umysłowych, wywołał wesołość u Trávisa. Gdy on śmiał się radośnie po raz pierwszy od wielu dni, Nora zareagowała inaczej - łzy popłynęły jej z oczu.

Jim Keene miał szeroko otwarte ze zdumienia oczy i uśmiechał się głupio.

-Czuje się tak jak dziecko, które schodzi na dół popatrzeć na choinkę i spotyka prawdziwego Świętego Mikołaja zajętego podkładaniem prezentów.

-Teraz ja - powiedział Travis podchodząc do psa. Położył mu dłoń na głowie, lekko podrapał za uszami. - Jim wspominał przed chwilą o Bożym Narodzeniu. Rzeczywiście, za dwadzieścia dni nadejdą święta. Powiedz mi, Einstein, co chciałbyś dostać od Mikołaja najbardziej?

Dwukrotnie Einstein próbował "napisać" odpowiedź i dwukrotnie rozrzucił już ułożone litery, bo przyszło mu do głowy coś nowego.

Dreptał tam i z powrotem, wiercił się niespokojnie na zadzie, rozglądał dookoła z niezbyt madra miną. Widząc, że wszyscy na niego czekają, spróbował raz jeszcze i sformułował wreszcie swe, złożone z czterech słów, życzenie.

## FILMY Z MYSZKA MIKI.

Położyli się dopiero o drugiej nad ranem, ponieważ Jim Keene, dosłownie pijany radością, jaką w nim wzbudził pokaz inteligencji Einsteina, wcześniej im na to nie pozwolił. - Podobny do człowieka, owszem, ale pozostał jednocześnie psem, wciąż jest psem. Myśli w sposób zaskakująco podobny, a równocześnie cudownie odmienny. Tyle mogę stwierdzić na podstawie tego, co widziałem. - Choć niezwykle podekscytowany, Jim nie nalegał jednak na kontynuowanie widowiska i to on pierwszy przypomniał, że nie wolno im przemęczać pacjenta. A przecież podniecenie dosłownie go rozpierało. Tra vis nie zdziwiłby się, gdyby w pewnej chwili weterynarz po prostu eksplodował. Potem długo jeszcze siedzieli w kuchni i ulegając błaganiom Jima, wciąż od nowa opowiadali mu o wyczynach Einsteina: o zdarzeniu z Nowoczesną Panną Młodą w Solvang; o tym, jak samodzielnie dołączył zimnej wody do pierwszej przygotowanej mu przez Trávisa kąpieli i o wielu innych podobnych epizodach. Niektóre historie opowiadał sam Jim, jak gdyby Travis i Nora nigdy ich nie słyszeli, ale Cornellom to zupełnie nie przeszkadzało.

W pewnej chwili Keene nagłym gestem chwycił leżącą na stole ulotkę, przytknął do niej płonącą zapalniczkę i pochylił nad zlewem. Kiedy spłonęła do końca, starannie splukał popiół.

-Do diabła z ludźmi małego ducha, którzy niewola taka jak ta istota, aby ją poszturchiwali, kluc i poddawali różnym badaniom. Mogli być obdarzeni geniuszem, skoro stworzyli Einsteina, ale nie docenili znaczenia własnego dzieła. Nie pojmują jego wielkości, gdyż inaczej nie próbowaliby zamykać retrievera w klatce.

Gdy w końcu Jim Keene niechętnie przyznał, że im wszystkim

przydaloby sie troche snu, Travis przeniosl spiacego Einsteina do pokoju goscinnego na gorze. Przygotowali mu tam legowisko z kocy na podlodze w poblizu swego lozka.

Lezac w ciemnosciach, przytuleni do siebie pod kocem, Travis i Nora nasluchiwali miekkiego pochrapywania psa.

-Teraz juz wszystko bedzie dobrze - powiedziala ona. On zas odrzekl:

-Wciaz jeszcze mamy przed soba klopoty. - Czul, ze powrot Einsteina do zdrowia oslabil przeklenstwo przedwczesnej smierci, podazajace za nim przez cale dotychczasowe zycie. Na razie jednak bal sie dopuscic do siebie myśli, ze byc moze przeklenstwo zostalo przegnane raz na zawsze. Gdzies w tych ciemnosciach nadal czail sie Obcy... i byl coraz blizej.

X

1

We wtorek, siódmego grudnia po południu, gdy zabierali Einsteina do domu, Jim Keene najwyraźniej nie miał ochoty rozstać się z nimi. Odprowadził ich aż do samochodu, a potem przystanął przy uchylonej szybie od strony kierowcy i powtarzał do znudzenia, że kuracja musi być kontynuowana przez kilka następnych tygodni, przypominając, iż przynajmniej raz w tygodniu do końca miesiąca musi mieć możliwość zbadania Einsteina i w ogóle serdecznie zapraszał, by przyjeżdżali do niego nie tylko wtedy, gdy będą potrzebować weterynarza, ale by wpadali także czasami na drinka, obiad czy po prostu, żeby pogadać. Travis wiedział, że Jim usiłuje w ten sposób dać im do zrozumienia, że pragnie pozostać częścią życia Einsteina, uczestniczyć w rozgrywającym się na jego oczach cudzie.

-Jim, mozesz mi wierzyc, na pewno wrocimy. A przed Bozym Narodzeniem bedziesz musial do nas wpasc i zostac na caly dzien.

-Bardzo chetnie.



-My bedziemy zachwyceni - szczerze powiedział Travis.

W drodze do domu Nora trzymała owiniętego w koc Einsteina na kolanach. Pies wciąż jeszcze nie odzyskał dawnego apetytu i był bardzo słaby. Jego system odpornościowy przeszedł ciężką próbę, toteż obecnie był niezwykle podatny na wszelkie choroby. Należało go dobrze odżywiać i jak najdłużej przetrzymać w domu - dopóki całkowicie nie odzyska sił, co według Jima Keene'a powinno nastąpić na początku nadchodzącego roku.

Posiniaczone, zapuchnięte niebo przesłaniały ciężkie od deszczu, ciemne chmury. W przefiltrowanym przez nie światle Pacyfik wydawał się tak ciężki i szary, że można było odnieść wrażenie, iż zamiast wody wypełniają go biliony poszczerbionych lupkowych płytek, poruszających się nieustannie pod wpływem potężnych ruchów w głębi ziemskiej skorupy.

Paskudna pogoda nie była w stanie popsuć im świetnego nastroju. Nora promieniała radością, a Travis pogwizdywał pod nosem. Einstein oglądał krajobraz z wielkim zainteresowaniem, doceniając najwyraźniej ponure piękno niemal zupełnie pozbawionego barw, zimowego dnia. Być może utracił już nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek dane mu będzie oglądać świat leżący poza ścianami gabinetu Jima Keene'a i dlatego nawet kamienne morze i posiniaczone niebo budziły jego zachwyt.

Kiedy dotarli na miejsce, Travis zostawił w samochodzie Nore z Einsteinem, a sam wszedł do domu tylnymi drzwiami, sciskając w dłoni wydobyta ze schowka obok kierownicy trzydziestkę osemkę... Po wejściu do kuchni, gdzie światło paliło się bez przerwy od chwili ich pośpiesznego wyjazdu w ubiegłym tygodniu, natychmiast wyciągnął z szafki automatyczny pistolet Uzi, a lżejszą broń odłożył na blat stołu. Sprawdzał ostrożnie wszystkie pokoje, zaglądając we wszystkie kąty, za każdy większy mebel, do każdej szafy.

Nie dostrzegł nigdzie śladów włamania, co go zresztą wcale nie

zaskoczyło - w tej okolicy przestępczość utrzymywała się na względnie niskim poziomie. Można było wyjść z domu, pozostawiając na wiele dni nie zamknięte drzwi bez obawy, że złodzieje zabiorą cokolwiek.

Bardziej niż włamywacze martwił go Obcy.

Dom był pusty.

Travis przeszukał jeszcze szopy, lecz tam także nikogo nie było.

Gdy wreszcie wszyscy znaleźli się w domu, Nora postawiła Einsteina na podłodze i zdjęła z niego koc. Pies zaczął krzyczeć po kuchni, obwachując kolejno sprzęty. W salonie zajrzał do zimnego kominka, a potem sprawdził swoją maszynę do przewracania kartek.

Po chwili wrócił do kuchni, za pomocą umieszczonego blisko podłogi pedału zapalił światło w spizarni, po czym z cylindrycznych pojemników wyrzucił na posadzkę kilka liter. "DOM.

Travis pochylił się nad psem.

-Dobrze być tu z powrotem, co?

Einstein dotknął wilgotnym nosem szyi Trávisa, przeciągnął językiem po jego twarzy. Złocista sierść była puszysta i pachniała czystością, ponieważ Jim Keene wykapał psa w swoim gabinecie. Ale choć czysty i odświeżony, retriever wciąż jeszcze nie wyglądał najlepiej; sprawiał wrażenie zmęczonego, był też wyraźnie chudszy. W ciągu kilku zaledwie dni musiał stracić parę ładnych funtów.

Einstein wybrał następne litery i powtórzył ten sam wyraz, jak gdyby chciał podkreślić, że powrót sprawił mu ogromną przyjemność. DOM.

-Dom jest tam, gdzie panuje serdeczność, a tutaj znajdziesz jej całkiem mnóstwo - powiedziała, stojąc na progu spizarni, Nora. - Słuchaj, zrobimy wcześniejszy obiad. Zjemy w salonie, a przed obiadem

obejrzymy na wideo "Kolede Myszki Miki". Co ty na to?

Einstein energicznie zamerdal ogonem.

-Jak myslisz - zapytal Travis - czy na pewno ci nie zaszkodzi, jesli dostaniesz na obiad kilka twoich ulubionych serdelkow?

Einstein oblizal sie, po czym zaczal ukladac nastepne litery, za pomoca ktorych wyrazil entuzjastyczna aprobate wobec pomyslu Travisa.

DOM JEST TAM, GDZIE SA SERDELKI.

Obudziwszy sie w srodku nocy, Travis stwierdzil, ze Einstein stoi na tylnych lapach przy oknie sypialni, przednie oparlszy o parapet. Jego sylwetka rysowala sie niewyraźnie w słabym świetle plonacej w przyległej łazience lampki. Okno zaslanialy zamkniete, wewnetrzne okiennice, totez retriever nie mogl przez nie niczego zobaczyc, mozliwe jednak, ze do sledzenia Obcego zmysl wzroku nie byl mu wcale potrzebny.-Czy cos tam jest, chlopie? - wyszeptal Travis, nie chcac niepotrzebnie budzic Nory.

Einstein opadl na cztery lapy, podszedl do Travisa i polozyl glowe na brzegu lozka.

Glaszczac psa, Travis zapytal:

-Czy on nadchodzi?

Retriever tylko zaskomlil w odpowiedzi, po czym rozciagnal sie na podlodze i usnal.

Po kilku minutach Travis zasnal rowniez.

Obudzil sie ponownie na krotko przed switem. Nora siedziala na skraju lozka i w milczeniu gladzila Einsteina po grzbiecie.

-Spij dalej - rzucila w strone meza.

-Cos sie stalo?

-Nic - szepnela sennie. - Obudzilam sie, a on stal przy oknie, ale nic sie nie dzieje. Spij.

Zasnal po raz trzeci. Przysnilo mu sie, ze podczas tych szesciu miesiecy, jakie uplynely od dnia, gdy Obcy wyruszył w pogon za Einsteinem, bestia nauczyla sie korzystac z narzedzi i teraz, blyskajac zoltymi oczami, torowala sobie droge do sypialni rozrabujac okiennice siekiera.

2

Podawali Einsteinowi regularnie przepisane mu przez Jima lekarstwo, a on zawsze poslusznie je lykal. Wytlumaczyli mu rowniez, ze powinien duzo jesc, zeby szybko odzyskac sily. Staral sie, jak mogl, lecz apetyt wracal mu bardzo powoli. Z kazdym dniem czul sie coraz lepiej, ale potrzebował jeszcze kilku tygodni, by całkowicie powrocic do zdrowia. W piatek, dziesiatego grudnia, Einstein wydawal sie juz na tyle silny, ze zdecydowali sie zaryzykowac krotki spacer. Co prawda, niekiedy jeszcze sie potykal, lecz nie drzal juz przy kazdym kroku. Poniewaz doktor Keene zaaplikowal mu wszystkie niezbedne szczepionki, nie istnialo juz niebezpieczenstwo zarazenia wsciekliżna.

Wlasnie w tym dniu nastapila wyrazna poprawa pogody, zrobilo sie znacznie przyjemniej, niz bylo w ostatnich tygodniach. Wiatr ustal, a temperatura siegala dwudziestu pieciu stopni. Po niebie plynely biale chmury, a wychylajace sie zza nich co chwila slonce piescilo skore cieplymi promieniami.

Einstein towarzyszył Travisowi podczas inspekcji otaczajacych dom czujnikow podczerwieni oraz ustawionych w stodole zbiornikow z podtlenkiem azotu. Poruszali sie nieco wolniej niz w czasie poprzednich ogladzin, mimo to jednak pies byl wyraznie zadowolony ze swego powrotu do sluzby.

Nora przebywała w swoim studiu, pochłonięta pracą nad nowym obrazem: portretem Einsteina. Retriever nie wiedział, że stał się tematem jej ostatniego płotna. Miał to być jeden z gwiazdkowych prezentów; przewidzieli dla niego miejsce nad kominkiem w salonie.

Gdy zamknawszy szope, wyszli na podworko, Travis zapytał:

-Czy Obcy jest bliżej?

Zawsze, gdy go o to pytano, Einstein przystępował do wypełniania rutynowych czynności, lecz tym razem wkładał w nie mniej niż zazwyczaj wysiłku. Mniej intensywnie wchodził w powietrze, krociej wpatrywał się w zalegające pobliski las cienie. Wrociwszy do Trávisa, zapiszczał niespokojnie.

-Czy on tam jest?

Einstein nie odpowiedział. Zakłopotany, jeszcze raz omiotł spojrzeniem skupisko drzew.

-Czy on nadal się zbliża? - nalegał Travis. Pies nie odpowiedział.

-Czy jest bliżej niż przedtem? Einstein zatoczył koło, obwachał ziemię, powietrze, pokręcił głową, a w końcu podbiegł do domu i zatrzymał się przy drzwiach, czekając cierpliwie, aż Travis mu otworzy.

Gdy weszli do środka, Einstein od razu podreptał do spizarni.

ZATEPIONY.

Travis utkwil wzrok w ułożonym na podłodze wyrazie.-Zalepiony?

Einstein pobrał więcej liter i poprzesuwał je nosem na miejsce.  
ZAMAZANY. PRZYTEPIONY.

-Czy chodzi ci o zdolność wyczuwania Obcego? Szybkie machnięcie ogonem. Tak!

-Nie mozesz go wyczuc? Jedno szczekniecie. Nie.

-Myslisz, ze on... on nie zyje? NIE WIEM.

-A moze po prostu twoj szosty zmysl nie dziala, gdy jestes chory albo oslabiony?

MOZE.

Zbierajac litery z podlogi i wkladajac je do odpowiednich rurek, Travis myslal intensywnie. Byl zaniepokojony, podenerwowany. Mieli wprawdzie system alarmowy zainstalowany wokol domu, lecz tylko Einstein mogl ostrzec ich wczesniej o zblizaniu sie wroga. Biorac pod uwage powziete srodki bezpieczenstwa oraz wlasne umiejetnosci nabyte podczas sluzby w Oddziale Delta, Travis mogl miec wlasciwie pewnosc, ze bez trudu uda mu sie zabic Obcego. Tymczasem dreczylo go przeczucie, ze jego plan ma luke, ktora przeoczyl, i ze w krytycznym momencie, chcac sie uporac z nieoczekiwanym zagrozeniem, potrzebowac bedzie pomocy w pelni sprawnego Einsteina. -Musisz wyzdrowiec jak najszybciej - powiedzial do retrievera. - Musisz postarac sie jesc nawet wowczas, gdy nie masz apetytu, i spac jak najwiecej zamiast przesiadrywac przez pol nocy pod oknem.

ROSOL.

Travis sie rozesmial. -Czemu nie, mozemy sprobowac. SZPRYCA ZABIJA ZARAZKI NA SMIERC.

-Skad ci to przyszlo do glowy? KSIAZKA. CO TO SZPRYCA?

-Kieliszek whisky wlany do szlanki piwa.

Einstein przez chwile gleboko sie nad czyms zastanawial. ZABIJE ZARAZKI, ALE ZOSTANE ALKOHOLIKIEM. Travis parsknal smiechem i zmierzwil siersc na grzbiecie retrievera. - Jesteś urodzonym komikiem, kudłata mordo. MOZE POWINIENEM

## WYSTĘPOWAC W VEGAS?

-Ide o zakład, że świetnie byś sobie radził. GWIAZDA.

-Z całą pewnością. JA I PIA ZADORA.

Otoczył psa ramieniem. Siedząc na podłodze spizarni zasmiewali się do łez, każdy na swój sposób.

Travis wiedział, że Einstein, choć sobie żartował, był głęboko przejęty utratą zdolności wyczuwania Obcego. Żarty pełniły rolę swoistego mechanizmu obronnego, były sposobem na zagłuszenie leku.

Tego popołudnia, wyczerpany krótką rundą wokół domu, Einstein poszedł wcześniej spać, Nora gorączkowo malowała na gorze, Travis zaś siedział przy oknie, przyglądał się drzewom i uparcie wciąż od nowa poddawał dokładnej analizie wymyślony przez siebie system obronny, usiłując znaleźć w nim jakiś słaby punkt.

W sobotę po południu, dwunastego grudnia, odwiedził ich Jim Keene i pozostał na obiedzie. Zbadal Einsteina, po czym wyraził zadowolenie z przebiegu rekonwalescencji.

-Dla nas zbyt wolno wraca do zdrowia - oświadczyła strapiona Nora.

-Mówiłem wam przecież, że to wymaga czasu - przypomniał Jim.

Zmienił nieco kurację Einsteina i zostawił im kilka buteleczek z nowymi lekarstwami.

Einstein z dumą zaprezentował swą maszynę do przewracania kartek i podające litery urządzenie w spizarni. Bardzo zadowolony był także z pochwał, jakie zebrął za pokaz włączania telewizora oraz magnetowidu za pomocą trzymanego w zębach ołówka.

Spojrząwszy na Jima, Nora zdziwiła się trochę, w pierwszej chwili odniosła bowiem wrażenie, że weterynarz wyglądał weselej, niż to

zapamiętała. Po chwili namysłu doszła do wniosku, iż to nie jego twarz uległa zmianie, a tylko ona postrzegala go już w odmienny sposób. Teraz, kiedy lepiej poznała Jima, kiedy stał się on ich najlepszym przyjacielem, dostrzegala nie tylko ponure rysy, jakimi obdarzyła go natura, ale także dobroć i pogodę przezierające spod tej powłoki.

Podczas obiadu Jim powiedział:

-Przeprowadziłem drobne badania nad tatuażem, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie da się usunąć tych cyferek z jego ucha. Einstein przysłuchiwał się rozmowie, leżąc opodal na podłodze. Usłyszawszy te słowa, poderwał się na nogi, podbiegł do stołu, wskoczył na jedno z wolnych krzeseł i znieruchomiał na nim, wpatrzony w weterynarza.

-No więc - podjął Jim, odkładając widelec z wbitym nań kęs kurczaka, którego nie zdążył donieść do ust - większość tatuaży daje się usunąć bez śladu. Gdybym znalazł rodzaj użytego atramentu i metodę, jaką posłużono się, wprowadzając go pod skórę, mogłbym spróbować.

-To byłoby wspaniałe - ucieszyła się Nora. - Nawet gdyby nas znaleźli i chcieli odebrać nam Einsteina, nie potrafiliby udowodnić, że to akurat o tego psa im chodzi.

-Pozostałyby ślady widoczne przy dokładniejszych oględzinach - zaproponował Travis. - Na przykład pod szkłem powiększającym.

Einstein przeniósł wzrok z Travisa na Jima Keene'a, jakby chciał powiedzieć: No właśnie, i co wtedy?

-Większość laboratoriów ogranicza się do metkowania badanych zwierząt - wyjaśnił Jim. - Te, które posługują się tatuażem, korzystają z kilku odmian atramentu. Po ustaleniu, jakiej odmiany użyto w tym przypadku, mogłbym wymazać napis, nie zostawiając żadnych śladów oprócz małej, ciemnej plamki, sprawiającej wrażenie naturalnej. Badanie mikroskopowe nie ujawni obecności atramentu, nie mówiąc już o samych cyfrach. Ten tatuaż jest niewielki, co dodatkowo ułatwia



zadanie. Nie wypracowałem jeszcze odpowiedniej techniki, ale za kilka tygodni moglibyśmy spróbować - jeżeli oczywiście Einstein zgodzi się trochę pocierpieć.

Retriever zeskoczył z krzesła, po czym zniknął w spizarni. Usłyszeli odgłos zwalniających poszczególne litery pedałów.

Nora zajrzała do środka, chcąc odczytać ułożoną przez Einsteina wypowiedź.

NIE CHCE BYC OZNAKOWANY. NIE JESTEM KROWA.

Jego pragnienie, by uwolnić się od tatuazu, było silniejsze, niż Nora przypuszczała. Chciał pozbyć się tego znaku, aby uniknąć rozpoznania przez ludzi z laboratorium. Najwidoczniej jednak nienawidził tych trzech cyferek w uchu także i dlatego, że sprowadzały go do roli czyjejs własności, co stanowiło obrażenie jego godności i było naruszeniem praw należnych istocie inteligentnej.

WOLNOSC.

-Tak. - Nora z szacunkiem położyła rękę na głowie psa. - Rozumiem. Ty jesteś... osoba, i to osoba posiadająca - po raz pierwszy uświadomiła sobie ten aspekt zagadnienia - dusze. Czy przypisywanie Einsteinowi posiadania duszy było bluźnierstwem? Nie. Choć został stworzony przez człowieka, to Bóg, jeśli istniał, z pewnością by go zaakceptował. Jego zdolność rozróżniania dobra od zła, miłość, odwaga i skromność czyniły go bliższym Bogu od niejednej stąpającej po ziemi istoty ludzkiej. - Wolność - powtórzyła. - Jeżeli masz duszę, a wiem, że tak właśnie jest, to urodziłeś się wyposażony w wolną wolę i prawo do stanowienia o samym sobie. Liczba w twoim uchu jest dla ciebie ciężką obciążeniem, dlatego postaramy się jej pozbyć.

Po obiedzie Einstein miał ochotę nadal uczestniczyć w rozmowie, lecz szybko opadł z sił i usnął przy kominku.

Popijając brandy i kawę, Jim Kenne przysłuchiwał się relacji Trávisa

na temat srodkow ostroznosci przewidzianych przeciwko Obcemu. Zachecony do szukania slabych punktow systemu weterynarz potrafil wskazac jedynie na niedoskonalosc zasilania w energie.

-Jezeli to stworzenie bedzie dostatecznie bystre - powiedzial - to przerwie w jakis sposob prowadzaca od autostrady do waszego domu linie przesylowa, a wtedy w srodku nocy znajdziecie sie w kompletnych ciemnosciach, nie mogac przy tym liczyc na calkiem bezuzyteczny system alarmowy. Bez pradu nie zadzialaja rowniez mechaniczne pulapki w stodole.

Nora i Travis poprowadzili go do niewielkiej piwnicy w tylnej czesci domu, gdzie w pelnej gotowosci czekal generator awaryjny. Generator czepal paliwo z zakopanego na podworzu czterdziestogalonowego zbiornika i byl w stanie przywrocic doplyw elektrycznosc do wszystkich obiektow w ciagu dziesieciu sekund od momentu przerwania doplywu energii z glownej sieci.

-Jak widze, pomysleliscie o wszystkim - stwierdzil Jim.

-Tez mi sie tak zdaje - przytaknela Nora.

-Chcialbym w to wierzyc - powiedzial Travis z pochmurna mina.

We srode, dwudziestego drugiego grudnia, pojechali do Carmel. Pozostawivszy Einsteina u Jima Keene'a spedzili caly dzien chodzac po sklepach. Pokupywali prezenty, nabyli ozdoby, zarowno na choinke, jak i te do udekorowania domu, no i oczywiscie samo drzewko.

W obliczu grozby, jaka stanowil zblizajacy sie nieublaganie Obcy, planowanie swiatecznych szalenstw moglo wydawac sie czyms troche nie na miejscu, ale Travis oswiadczył:

-Zycie jest krotkie. Nigdy nie wiemy, ile czasu nam jeszcze pozostalo. Dlatego tez, chocby nie wiem co sie dzialo, musimy uczcic Boze Narodzenie. Poza tym, przez pare ostatnich lat moje swieta nie

należały do udanych. Teraz wreszcie chciałbym to odrobic.

-Ciotka Violet nigdy właściwie nie obchodziła Bożego Narodzenia. Nigdy nie robiła prezentów ani nie ubierała drzewka.

-Ona nie wierzyła w życie - powiedział Travis. - To jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy wyprawic huczne święta. Zarówno dla ciebie, jak i dla Einsteina będzie to pierwsza prawdziwa Gwiazdka.

Od przyszłego roku, pomyślała Nora, Bożym Narodzeniem cieszyć się będzie wraz z nimi także dziecko. To dopiero będzie radość!

Poza lekkimi mdłościami, jakie odczuwała z rana, oraz wzrostem wagi ciała o kilka funtów, nic nie wskazywało, że jest w ciąży. Jej brzuch nadal pozostał płaski, a doktor Weingold powiedział, że przy swojej budowie mogła liczyć na tylko nieznaczne powiększenie jego rozmiarów. Miała nadzieję, że przynajmniej pod tym względem uśmiechnęło się do niej szczęście i po urodzeniu dziecka w miarę łatwo zdoła odzyskać dawną figurę. Oczywiście, dziecko miało przyjść na świat dopiero za sześć miesięcy, a do tego czasu mogła jeszcze zrobić się gruba jak mors.

W drodze powrotnej z Carmel cały przedział bagazowy polciezarówki szczelnie wypełniały pakunki i przepiękna świąteczna choinka. Zmęczony po całym dniu szaleństw z Jimem i Pooka, Einstein spał z głową na kolanach Nory. Do domu zajechali na niecałą godzinę przed zapadnięciem ciemności. Einstein ruszył pierwszy w stronę drzwi...

...lecz nagle przystanął i zdziwiony rozejrzał się dookoła. Przez chwilę weszyl czujnie w chłodnym powietrzu, po czym przebiegl w poprzek podwórza z nosem przy ziemi tak, jakby podazał czyims tropem.

Zmierzając ku bocznym drzwiom, obciążona nareczem zakupów, Nora nie dostrzegła w zachowaniu psa niczego niezwykłego. Zaniepokoiła się dopiero na widok Trávisa, który znieruchomiawszy nagle, z napięciem obserwował retrievera.

-Co sie stalo? - zapytala.

-Zaczekaj chwile.

Einstein przebiegl podworze az na skraj lasu, wyznaczajacego poludniowa granice ich posiadlosci. Zamarl tam w bezruchu, z wysunieta do przodu glowa, potem otrzasnal sie i przebiegl wzdluz sciany drzew, przystajac co jakis czas i uwaznie obwachujac ziemie. Po kilku minutach powtorzyl ten zabieg takze od strony polnocnej. - Znalazles cos? - zapytal Travis, gdy retriever przybiegl do nich z powrotem.

Einstein krotko zamerdal ogonem, a w nastepnej chwili szczeknal: Tak i Nie.

Gdy weszli do domu, retriever natychmiast pospieszyl do spizarni.  
COS CZULEM.

-Co? NIE WIEM.

-Obcy? MOZE.

-Blisko? NIE WIEM.

-Czyzbys odzyskiwal swoj szosty zmysl? - zapytala Nora. NIE WIEM.  
PO PROSTU CZULEM.

-Co czules? - chcial wiedziec Travis.

Pies dlugo sie zastanawial, zanim udzielil odpowiedzi. WIELKA  
CIEMNOSC.

-Czules wielka ciemnosc? Tak.

-Co to znaczy? - zapytala niepewnie Nora.

NIE UMIEM LEPIEJ WYJASNIC. PO PROSTU TO CZULEM. Nora spojrzala na Travisa i dostrzegla w jego oczach niepokoj, bedacy

prawdopodobnie odbiciem jej własnych uczuć.

Gdzieś tam czaiła się wielka ciemność. Wkrótce sięgnie ona i tutaj.

3

Boże Narodzenie było udane i wesole. Rano, siedząc wokół udekorowanego jarzacymi się lampkami drzewka, popijając mleko i zjadając ciastka domowego wyrobu, rozpakowali prezenty. W formie żartu Nora najpierw wręczyła Travisowi pudełko bielizny, on zaś zrewanżował się jej obszerną sukienką w krzykliwe, pomarańczowo-żółte pasy, przeznaczoną dla kobiety wazacej przynajmniej trzysta funtów. - To na marzec, kiedy nie będziesz się już w nic mieścić. Oczywiście, do maja wyrośniesz także i z tego. - Potem przyszła kolej na właściwe prezenty - biżuterie, swetry, książki.

Ani Nora, ani Travis nie mieli wątpliwości, że ten dzień należał do Einsteina. Nora dała mu portret, nad którym pracowała przez cały miesiąc. Retriever był oszłomiony i szczęśliwy, bardzo mu pochwalało, że uznano go za stosowne, uwiecznić go na płótnie. Dostał ponadto trzy nowe kasety z Myszka Miki, parę eleganckich metalowych misek z wygrawerowanym własnym imieniem, mały zegarek na baterie, który mógł nosić ze sobą po całym domu (ostatnio przejawiał coraz większe zainteresowanie czasem) oraz wiele innych rzeczy. Jego uwagę przyciągał jednak najbardziej stojący pod ścianą portret. Podbiegał do niego co chwila, a gdy później zawiesili obraz nad kominkiem, Einstein wspinał się na kraty przed paleniskiem i z dumą spoglądał na swoją podobiznę.

Niczym dziecku, także Einsteinowi zabawa pustymi kartonami, zmiętym papierem bądź wstążkami dostarczała niemal tyle samo radości, co i prezenty. Spośród otrzymanych zabawek najbardziej przypadła mu do gustu zakończona białym pomponem czerwona czapka Świętego Mikołaja, trzymająca się głowy dzięki szerokiej gumce. Nora założyła ją Einsteinowi dla żartu, lecz on ujrawszy swoje odbicie w lustrze, tak się sobie spodobał, że kiedy w jakiś czas

potem próbowała mu ją zdjąć, nie pozwolił na to. Nosił tę czapkę na głowie przez pół dnia.

Kiedy wczesnym popołudniem przybyli Jim Keene i Pooka, Einstein zaprowadził ich prosto do salonu, by mogli podziwiać jego wiszący nad kominkiem wizerunek. Przez godzinę, pod okiem Jima i Trávisa, oba psy bawiły się na podwórzu. Wysiłek ten, w połączeniu z podnieceniem wywołanym porannym rozdawaniem prezentów, zmęczył Einsteina na tyle, że retriever poczuł nieodpartą chęć na drzemkę. Wrócili więc do domu, gdzie obaj panowie pośpieszyli Norze z pomocą w przygotowaniu świątecznego obiadu.

Obudzony się, Einstein usiłował zainteresować Pookę kreskówkami z Myszka Miki, widac jednak było, że jego wysiłki zakończyły się raczej skromnym sukcesem. Pooka odbiegał od telewizora, nim jeszcze Donald, Goofy czy Pluto zdążyli wpakować Mikię w tarapaty. Dostosowując się do niższego ilorazu inteligencji swego kolegi, najwyraźniej nie znudzony takim towarzystwem, Einstein dał za wygraną i z całym zapalem oddał się typowo psim zajęciom: zapasom na niby oraz wylegiwaniu się nosem w nos, kiedy to oba zwierzęta zdawały się dyskretnie omawiać jakieś ważne psie sprawy.

Wraz z nadejściem wieczoru dom napelnił się zapachami indyka, pieczonej kukurydzy, słodkich ziemniaków i różnych innych przysmaków. Z magnetofonu płynęła świąteczna muzyka. Pomimo okiennic, zamkniętych zaraz po nastaniu wczesnej, zimowej nocy, pomimo trzymanej na podłodze broni, pomimo demonicznej obecności Obcego, o którym nie potrafiła całkowicie zapomnieć, Nora była teraz tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy dotąd. W czasie obiadu rozmawiali o dziecku i w pewnym momencie Jim zapytał, czy zastanawiali się już, jakie mu dadzą imię. Einstein, który jadł w kacie pokoju razem z Pooką, porzucił swoją miskę, podniecony możliwością wzięcia udziału w wyborze imienia dla pierwotnego Cornella. Pomknął natychmiast do spiżarni, by zapisać swoją propozycję.

Nora wstała od stołu, chcąc sprawdzić, co też mu przyszło do głowy.

MIKI.

-Absolutnie nie! - oswiadczyła. - Nie ochrzczimy dziecka imieniem myszy z filmow rysunkowych.

DONALD.

-Kaczka tez odpada. PLUTO.-Pluto? Badz powazny, kudlata mordo. GOOFY.

Nora stanowczo powstrzymala psa przed wysypywaniem dalszych liter, pozbierala te, ktore lezaly na podlodze, wrzucila je na miejsce, zgasila w spizarni swiatlo i wrocila do stolu.

-Was moze to smieszy - rzucila pod adresem Trava i Jima, ktorzy dlawili sie ze smiechu - ale on mowi to calkiem serio!

Po obiedzie, gdy siedzac wokol ustawionej w salonie choinki, rozmawiali o roznych sprawach, Jim zwierzył sie Cornellom, ze zamierza kupic jeszcze jednego psa.

-Pooka musi miec towarzystwo - powiedzial. - Ma juz prawie poltora roku i jestem przekonany, ze czlowiek juz mu nie wystarcza. Podobnie jak my, psy wiedza, co to samotnosc. A skoro juz postanowilem znalezc mu towarzysza, to czemu nie mialaby to byc rasowa suka. Moze z czasem doczekam sie pieknych szczeniat. W ten sposob Pooka zdobedzie nie tylko przyjaciela, ale i towarzyske zycia.

Nora nie zauwazyla, aby przysluchujacy sie rozmowie Einstein okazal szczegolne zainteresowanie tym wlasnie tematem. Jednakze po odjezdzie gosci Travis znalazl w spizarni nastepujaca wiadomosc:

TOWARZYSZKA ZYCIA. PRZYJACIOLKA, PARTNERKA, JEDNO Z PARY.

Ulozywszy starannie litery, retriever czekal w poblizu. Teraz stanal za ich plecami i przygladal sie im z zagadkowa mina.

-Myslisz, że chciałbys mieć towarzyszkę życia? - zagadnęła Nora.

Einstein przesliznął się obok nich do spiżarni, usunął poprzedni napis, po czym sformułował odpowiedź. WARTO O TYM POMYSLEĆ. - Ale, posłuchaj, kudłata mordko - powiedział Travis - jesteś jedyny w swoim rodzaju. Nie ma drugiego psa o takim ilorazie inteligencji.

Retriever chwilę nad tym pomyślał, lecz nie wyglądał na przekonanego.

ZYCIE TO COS WIECEJ NIZ INTELEKT.

-Święta prawda - przyznał Travis. - Uważam jednak, że trzeba się nad tym dobrze zastanowić.

ZYCIE TO UCZUCIE.

-W porządku, pomyślimy nad tym - obiecała Nora.

ZYCIE TO POSIADANIE TOWARZYSZKI. TO DZIELENIE.

-Obiecujemy ci, że się nad tym zastanowimy, a potem porozmawiamy z tobą. Zrobiło się już późno - zamknął dyskusję Travis.

Einstein pośpiesznie ułożył jeszcze jeden napis. DZIECKO MIKI?

-Absolutnie nie! - odpowiedziała Nora.

Noca, w łóżku, gdy już się pokochali, Nora rzekła:

-Założę się, że on jest samotny.

-Jim Keene?

-No cóż, tak, on pewnie też. To taki miły mężczyzna. Byłby świetnym mężem. Niestety, kobiety podobnie jak mężczyźni, przywiązują ogromną wagę do wyglądu, nie sądzisz? Nie znajdziesz wiele takich, które chciałyby wyjść za mąż za faceta z twarzą gонczego psa.



Wybiora przystojniaków, którzy potem przez całe życie będą je traktować jak smieci. Ale nie chodzi mi o Jima. Miałam na myśli Einsteina. Niekiedy musi się czuć samotnie.

-Jesteśmy z nim przez cały czas.

-A właściwie, że nie. Ja maluje, ty także masz zajęcia, w których biedny Einstein nie uczestniczy. A jeśli wrócisz do handlu nieruchomościami, Einstein będzie sam przez wiele godzin.

-Ma książki. On uwielbia książki.

-Może książki to za mało - szepnęła.

Zapadło milczenie i trwało tak długo, że zaczęła podejrzewać, iż Travis usnął. W końcu jednak powiedział:

-Jeżeli Einstein znajdzie partnerkę i będą mieli male, to co z nich wyrosnie?

-Chodzi ci o to, czy będą tak mądre jak ojciec?

-Tak sobie myślę... Spostrzegam trzy możliwości. Pierwsza, że jego inteligencja nie jest dziedziczna, a więc szczeniaki okażą się zwykłymi szczeniakami. Druga, że jest dziedziczna, ale geny matki wpłyną na osłabienie inteligencji. Szczeniaki będą inteligentne, choć nie tak jak Einstein, a każde następne pokolenie będzie głupsze, aż w końcu jego prapraprawnuki staną się z powrotem zwykłymi psami.

-A co z trzecią możliwością?

-Inteligencja, jako cecha rzutująca na przetrwanie gatunku, może być genetycznie dominująca.

-I wówczas szczeniaki nie ustępowałyby inteligencji ojcu.

-Podobnie zresztą ich potomstwo, i tak dalej. Z czasem dochowałabys się stada inteligentnych retrieverów, tysięcy rozsianych po całym

swiecie osobnikow.

Umilkli ponownie.

Wreszcie Nora westchnela: Uuufff...

Travis zas powiedzial:

-On ma racje.

-Z czym?

-Warto sie nad tym zastanowic.

4

Vince Nasco nigdy by nie przypuszczal, ze potrzebowac bedzie calego miesiaca, zeby rabnac Raniona Velazqueza, typa z Oakland, ktory byl cierniem w boku don Maria Tetragni. Dopoki go nie zalatwil, nie mogl liczyc na otrzymanie listy nazwisk ludzi zajmujacych sie fabrykowaniem falszywych dokumentow w San Francisco, a tylko oni mogli mu pomoc w odnalezieniu Travisa Cornella, kobiety i psa. Dlatego bardzo zalezalo mu na tym, aby jak najszybciej przerobic Velazqueza w kupe gnijacego miesa. Velazquez okazal sie tymczasem diabelnie ostrozny. Facet nie ruszal sie nigdzie bez dwójki goryli. Choc wydawaloby sie, ze w ten sposob bardziej sie rzuca w oczy, prowadzil swe interesy (hazard i handel narkotykami) w Oakland, czyli na terenie kontrolowanym przez Tetragne niepostrzezenie niczym Howard Hughes. Poruszał sie po miescie korzystajac z ogromnej liczby najrozmaitszych samochodow. Nigdy nie jezdził ta sama trasa przez dwa dni z rzędu, unikal spotkan w tych samych miejscach, a sprawy zalatwiał na ulicy. Nigdy i nigdzie nie zatrzymywał sie na tak dlugo, by mozna bylo go znalezc, rozpoznac i zlikwidowac. Cierpiał na manie przesadowcza i był przekonany, ze wszyscy wokolo pragna go zabiec. Gdy Vince'owi udawalo sie czasami wypatrzyc Velazqueza, widzial go zawsze tylko przez pare sekund, zbyt krotko, by moc porownac jego wyglad z dostarczona przez Tetragne fotografia.

Ramon Velazquez byl nieuchwytny jak dym.

Vince dopadl go dopiero w dniu Bozego Narodzenia i narobil przy tym cholernego zamieszania. Ramon spedzal ten dzien w domu, w rodzinnym gronie. Vince przedostal sie na teren jego posiadlosci z sasiedniego podworza, pokonujac wysoki mur z cegly, ktory dzielil obie dzialki. Gdy wyladowal po drugiej stronie, dostrzegl natychmiast Valezqueza w otoczeniu kilku osob; urzadzal wlasnie barbecue na przyległym do basenu patiu; obok piekl sie ogromny indyk - czy gdziekolwiek poza Kalifornia ludzie robia indyka na grillu? Wszyscy od razu spostrzegli Vince'a, choc stali w odleglosci dobrych osiemdziesieciu jardow. Goryle siegneli po bron, totez nie majac innego wyjścia otworzyl ogien z uzi i wymiotl cale patio, kladac trupem Valezqueza, dwoch goryli, kobiete w srednim wieku - bez watpienia czyjas zone, oraz starsza dame, ktora musiala byc babcia.

Ssssnap.

Ssssnap.

Ssssnap.

Ssssnap.

Ssssnap.

Reszta obecnych, czy to w domu, czy na zewnatrz, z krzykiem szukala schronienia. Wycofujac sie na teren przyleglej posesji, gdzie dzieki Bogu nie bylo nikogo, Vince ponownie musial wspiac sie na mur, lecz tym razem robil to pod gradem kul, ktorymi zasypywali go pracujacy dla Valezqueza Latynosi, i tylko cudem wyszedl z tego calo.

Gdy nazajutrz, w San Francisco, wybieral sie do nalezacej do don Tetragni restauracji na spotkanie z Frankiem Diczencianem, zaufanym capo Rodziny, odpowiedzialnym wyłacznie przed donem, odczuwal powazny niepokoj. Mial po temu istotne powody. Gdy rzecz dotyczyla zabojstwa, fratellanza przestrzegala starannie zasad swoistego

kodeksu honorowego. Prawde powiedziawszy, ten ich pieprzony kodeks regulował praktycznie wszystko - zapewne nawet prace jelit - i traktowali go bardzo poważnie, a kiedy w grę wchodziło zabicie, przywiązywali don szczególnie wielką wagę. Pierwsza i najważniejsza zasada brzmiała: Nie wolno atakować człowieka w otoczeniu rodziny, chyba że nie ma absolutnie żadnej możliwości, by dopaść go w inny sposób. Co do tego punktu Vince mógł być zupełnie spokojny. Kolejna reguła mówiła jednak, że pod żadnym pozorem nie wolno zabijać żony ofiary, jego dzieci lub jego babki. Gangster, który pozwolił sobie na coś takiego, mógł się spodziewać rychłej śmierci i to śmierci z rąk swoich zleceńodawców. Vince miał nadzieję, że uda mu się przekonać Franka Dicenziano, iż Valezquez był przypadkiem szczególnym - jeszcze nikt dotychczas nie potrafił tak jak on skutecznie wymykać się Vince'owi przez miesiąc - a zatem to, co wydarzyło się w dniu Bożego Narodzenia w Oakland, choć godne ubolewania, było czymś nieuniknionym.

Na wypadek gdyby Dicenziano - a więc także i don - był zbyt rozwścieczony, by słuchać jakichkolwiek wyjaśnień, Vince zabrał ze sobą coś więcej niż pistolet. Wiedział bowiem, że jeśli postanowili go zabić, otoczą go i odbiorą broń, nim zdąży z niej zrobić jakikolwiek użytek, a nastąpi to zaraz po przekroczeniu progu restauracji, jeszcze zanim się dowie, jaki wyrok zapadł w jego sprawie. Dlatego też opasał się plastycznym materiałem wybuchowym i był przygotowany na to, że wysadzi w powietrze cały lokal, gdyby przypadkiem komus zachciało się wysłać go na tamten świat.

Vince nie był całkiem pewien, czy zdoła przeżyć eksplozję. Ostatnio wchłonił energię życiową tak wielu ludzi, że musiał być niewątpliwie bardzo bliski upragnionej niesmiertelności, a może nawet już ją osiągnął. Nie mógł mieć jednak pewności co do tego tak długo, dopóki nie poddał się próbie. Jeżeli miał wybierać między znalezieniem się w centrum wybuchu a posiekaniem setką kul i zabetonowaniem na dnie zatoki, uznał, że pierwsze rozwiązanie jest przyjemniejsze i daje minimalnie większe szanse na przeżycie.

Ku jego zaskoczeniu, Dicziano - przypominający wiewiórkę o wypchanych orzechami policzkach - wyraził zadowolenie ze sposobu, w jaki zostało wypełnione zlecenie. Oświadczył, że don jest pełen podziwu dla Vince'a. Przy wejściu do restauracji nikt go nie przeszukał, a gdy zajęli miejsca przy usytuowanym dyskretnie w kącie stoliku, potraktowano go jak honorowego gościa. Zjedli specjalny lunch z dan, których nie było w karcie, i popili go butelka cabernet sauvignon za trzysta dolarów, подарowana przez Maria Tetragne.

Kiedy Vince poruszył ostrożnie kwestię śmierci żony i babki, Dicziano rzekł:

-Posłuchaj, przyjacielu. Od początku wiedzieliśmy, że będzie to trudna robota, bardzo trudna, i że w tym wypadku mogą zostać naruszone reguły. Poza tym, to ludzie spoza naszego kregu. To tylko banda zasranych nowicjuszy. W tym interesie nie ma dla nich miejsca. Jeśli próbują wcisnąć się na siłę, nie mogą liczyć na przestrzeganie zasad wobec nich.

Uspokojony, Vince wyszedł w połowie lunchu do toalety i odłączył detonator. Teraz, gdy sytuacja się wyjaśniła, szkoda by było, gdyby plastik przypadkiem eksplodował. Pod koniec spotkania Frank wręczył Vince'owi listę obejmującą dziewięć nazwisk.

-Ci ludzie, z których zresztą nie wszyscy należą do Rodziny, płacą donowi za prawo prowadzenia swoich interesów na jego terytorium. Na początku grudnia, przewidując pomyślne załatwienie sprawy z Valezquezem, rozmawiałem z każdym z nich, toteż będą pamiętać, iż don życzy sobie, aby ci pomogli, jak tylko potrafią najlepiej.

Vince podjął poszukiwania jeszcze tego samego popołudnia, mając nadzieję, że któryś spośród znajdujących się na liście fałszerzy przypomni sobie Tralisa Cornella.

Początkowo doznał rozczarowania. Dwaj pierwsi ludzie z wykazu zamknęli interes i urządzili sobie świąteczną przerwę, dwaj zaś następni niczego nie wiedzieli. Vince'a mocno zaniepokoił fakt, że

kryminalne podziemie obchodziło Boże Narodzenie i Nowy Rok, tak jakby pracujący tam ludzie byli szkolnymi nauczycielami.

Na szczęście figurujący na liście pod numerem piątym Anson van Dyne trwał na posterunku w piwnicy pod klubem toplessowym "Hot Tips" i dwudziestego szóstego grudnia o godzinie siedemnastej trzydziści Vince znalazł to, czego szukał. Van Dyne rzucił okiem na fotografię Cornella, którą Vince zdobył w redakcji gazety w Santa Barbara, i powiedział:

-Tak. Pamiętam go. Takich ludzi się nie zapomina. To nie jakiś tam obcokrajowiec, który chce w jednej chwili zostać rodowitym Amerykaninem, jak to bywa z połową moich klientów. Ani też przegrany dupek, co chce zmienić twarz i nazwisko. Nie jest duży, nie robi nic na siłę, ale patrzeć na niego, masz uczucie, że mógłby wdeptać w ziemię każdego, kto stanie mu na drodze. Bardzo opanowany. Czujny. Nie mogłbym go zapomnieć.

-Czego naprawdę nie mogłbyś zapomnieć - powiedział jeden z dwójki brodaczy przy komputerach - to tej wspaniałej laski, którą miał ze sobą.

-Na jej widok ruszyłoby nawet umarlaka - dodał drugi.

-Taaa, nawet umarlaka. Chleb z masłem.

Vince poczuł się obrażony i jednocześnie zażenowany tym, co powiedzieli, toteż zupełnie młodych programistów zignorował.

-Czy jest jakaś szansa, że przypomni pan sobie ich nowe nazwiska? - zwrócił się do van Dyne'a.

-Jasne, mamy je w naszych zbiorach - odpowiedział tamten. Vince nie mógł wprost uwierzyć w to, co usłyszał.

-Sądzilem, że ludzie z waszej branży nie prowadzą zbiorów danych. Tak byłoby bezpieczniej i dla was, i dla klientów. Van Dyne wzruszył

ramionami.

-Pierdziele klientow. Moze ktoregos dnia dupnie nas FBI albo policja lokalna i wypadniemy z obiegu. Moze potrzebowac bede stalego doplywu gotowki na oplacenie adwokata. Czy jest na to lepszy sposob niz posiadanie spisu paru tysiecy durniow zyjacych pod falszywym nazwiskiem? Kazdy z nich bedzie wolal troche zaplacic, niz zaczynac wszystko od poczatku.

-Szantaz.

-To brzydkie slowo, ale obawiam sie, ze trafne. W kazdym razie troszczymy sie jedynie o wlasne bezpieczenstwo. W tym smietniku nie znajdzie sie niczego, co mogloby nas obciazyc. Gdy tylko sprzedamy komus nowe papiery, przesylamy telefonicznie dane do komputera, ktory znajduje sie w zupełnie innym miejscu. Tamten komputer zostal z kolei tak zaprogramowany, ze stad nie da sie z niego wydobyć absolutnie niczego. Jest to polaczenie jednokierunkowe, wiec jesli nawet nas nakryja, policyjni spece z tych maszynek nie dostana sie do naszych zbiorow. Szczerze mowiac, nie beda nawet wiedziec, ze takie zbiory istnieja.

Ten obszar wysoko rozwiniętej techniki przestępczego świata przyprawiał Vince'a o zawrót głowy. Nawet don, człowiek obdarzony niezwykłym talentem, gdy szło o wszelkie formy działalności kryminalnej, przypuszczał, że ludzie ci nie prowadzą żadnych archiwów, nie domyślał się, że dzięki komputerom można to było zrealizować w całkowicie bezpieczny sposób. Vince zastanowił się przez chwilę, porządkując uzyskane od van Dyne'a informacje. W końcu powiedział:

-A więc zabierzesz mnie do tego drugiego komputera i zdobedziesz nowe nazwisko Cornellow?

-Dla przyjaciela don Tetragni zrobię wszystko, no może z wyjątkiem podciecia własnego gardła. Proszę za mną.

Van Dyne zawiozł Vince'a do ruchliwej chińskiej restauracji w Chinatown. Miejsce przy stoliku musiało tutaj kosztować z półtorej setki. Sala pełna była ludzi, przy czym przeważali raczej Anglosasi. Nie wiedzieć dlaczego, rozległe wnętrza przyozdobione papierowymi latarniami, freskami przedstawiającymi smoki oraz, wyciętymi z mosiężnej blachy, chińskimi ideogramami skojarzyło się Vince'owi z przytulną, włoską trattorią, w której w sierpniu zastrzelił tego zdrajcę Pantangele i dwóch agentów federalnych. Sztuka i elementy wystroju wewnątrz, charakterystyczne dla poszczególnych grup etnicznych - Chinczyków, Włochów, Polaków czy Irlandczyków - przy głębszej analizie okazywały się bardzo do siebie podobne. Właściciel, trzydziestokilkuletni Chinczyk, przedstawił się Vince'owi jako Yuan. Zaopatrzeni przez niego w butelki tsingtao, van Dyne i Vince zeszli do biura mieszczącego się w piwnicy. Vince spostrzegł tu dwa niewielkie biurka, na każdym stał komputer. Tego, który stał na biurku wcisniętym w sam kąt pomieszczenia, choć był uruchomiony, nikt nie obsługiwał.

-To jest właśnie mój komputer - powiedział van Dyne. - Nikt nigdy na nim nie pracuje. Nie wolno im go nawet dotknąć. Jedyne, co robią, to włączają rano modem i wyłączają go dopiero na noc. Moje komputery w "Hot Tips" są z nim połączone.

-Ufasz Yuanowi?

-Dalem mu pieniądze na rozkrecenie tego interesu. Forsa była zupełnie czysta i nic nie wskazuje na jakiegokolwiek powiązania ze mną czy z don Tetragna. Dzięki temu uchodzi za uczciwego obywatela, a gliny się nim nie interesują. W zamian za swoje pieniądze zadam od niego tylko jednego - żeby pozwolił mi trzymać tutaj komputer.

Van Dyne usiadł przed terminalem i zaczął stukac w klawisze. Po dwóch minutach miał już personalia Cornella: Samuel Spencer Hyatt. Na ekranie zamigotały nowe dane.

-A tutaj - odezwał się van Dyne - mamy towarzyszącą mu kobietę.



Nora Luise Devon z Santa Barbara. Teraz nazywa sie Nora Jean Aimes.

-Okay - rzucil Vince. - A teraz wymaz te dane.

-Co takiego?

-Skasuj to. Usun ich z komputera. Od tej chwili oni nie naleza juz do ciebie. Sa moi. Tylko moi.

W chwile pozniej byli z powrotem w "Hot Tips". Na widok tego miejsca Vince ponownie doznal uczucia obrzydzenia.

Gdy znalezli sie w piwnicy, van Dyne podal uzyskane nazwiska brodatym operatorom. Mozna by sadzic, ze ci mlodzi ludzie, na podobienstwo trolli, nigdy nie opuszczali swego podziemnego krolestwa.

Najpierw wlamali sie do komputerow Wydzialu Pojazdow Mechanicznych. Chcieli sprawdzic, czy w ciagu trzech miesiecy, jakie uplynely od momentu uzyskania nowych dokumentow, Hyatt i Aimes zdazyli sie gdzies osiedlic i wystapili z podaniami o zmiane adresu.

-Bingo - ucieszyl sie jeden z mlodych ludzi.

Na ekranie zaplonal adres, programista sporzadzil dodatkowo wydruk. Anson van Dyne oderwal kawalek papieru z drukarki i wreczyl go Vince'owi.

Travis Cornell i Nora Devon - teraz Hyatt i Aimes - mieszkali w wiejskiej okolicy w poblizu Pacific Coast Highway, na poludnie od miasta Carmel.

5

We srode, dwudziestego dziewiatego grudnia, Nora pojechala do Carmel na umowiona wizyte u doktora Weingolda. Niebo bylo

całkowicie zasloniete chmurami i tak ciemne, ze krazace na jego tle miewy przez kontrast zdawaly sie jarzyc niczym swietlowki. Pogoda taka utrzymywala sie od Bozego Narodzenia, jednakze zapowiadany deszcz wciaz nie chcial spasc.

Dzisiaj nareszcie lunal prawie w tej samej chwili, gdy zatrzymala samochod na niewielkim parkingu za biurem doktora Weingolda. Wyjeżdżając, na wszelki wypadek wlozyla na siebie ortalionowa kurtke z kapturem. Nasunela go teraz na glowe i pobiegla w strone parterowego domu z rozowej cegly.

Doktor Weingold jak zwykle poddal ja dokladnym badaniom, po czym oswiadczył, ze jest zdrowa jak kon, co z pewnoscia rozbawiloby Einsteina.

-Doskonale znosi pani ciazę - powiedzial lekarz.

-Chce urodzic bardzo zdrowe dziecko, doskonale dziecko.

-Z pewnoscia tak sie stanie.

Doktor wiedzial, ze Nora nazywa sie Aimes, podczas gdy jej partner nosil nazwisko Hyatt, nigdy jednak nie wyrazil swojej dezaprobaty wobec jej niepewnej sytuacji osobistej. Nora czula sie nieco niezrecznie, miala jednak nadzieje, ze wspolczesny swiat, do ktorego trafila wprost z kokonu domu Devonow, odnosi sie do tych spraw liberalnie.

Doktor Weingold ponowil sugestie, by poddala sie testowi na okreslenie plci dziecka. Odmowila, tak jak poprzednim razem. Wolala, aby byla to niespodzianka. Poza tym, gdyby okazalo sie, ze urodzi dziewczynke, Einstein rozpoczalby kampanie na rzecz imienia Minnie.

Ustaliwszy z asystentka doktora termin nastepnej wizyty, Nora nalozyła kurtke i wyszla na deszcz. Rozpadalo sie na dobre. Z tej czesci dachu, ktora pozbawiona byla rynien, woda sciekala strumieniami, przelewala sie przez kraweznik, tworzac rozlegle kaluze

na asfalcie parkingu. Idąc w stronę polciezarówki musiała pokonać miniaturową rzekę, więc jej buty momentalnie przesiaknęły wodą. Była już blisko wozu, gdy zauważyła, że ze stojącej obok Hondy wysiada jakiś mężczyzna. Nie przyjrzała mu się dokładnie - dostrzegła tylko wysiadającego z małego samochodu potężnie zbudowanego faceta, ubranego zupełnie nieodpowiednio na taką pogodę. Miał na sobie dzinsy i niebieski pulower, więc Nora pomyślała: Ten biedny człowiek przemoknie do suchej nitki.

Otworzyła drzwi od strony kierowcy, po czym uniosła nogę, by wsiąść do szoferki. W następnej sekundzie dotarło do niej, że mężczyzna w niebieskim swetrze wsiada za nią, przepycha ją na sąsiedni fotel i sam zajmuje miejsce za kierownicą.

-Jeśli pisniesz, wypruje ci flaki, dziwko - warknął, wpychając jej w bok lufę rewolweru.

Z najwyższym trudem stłumiła mimowolny okrzyk. Już chciała otworzyć drzwi po stronie pasażera i natychmiast wyskoczyć na zewnątrz, lecz w głosie tego człowieka, brutalnym i ponurym, było coś, co sprawiło, że się zawahała. Sądząc z jego brzmienia, prędzej strzeliłby jej w plecy, niż pozwolił uciec.

Z hukiem zatrzęsnały drzwi. Byli sami w szoferce polciezarówki, szczelnie odgradzeni od świata zaparowanymi szybami, po których nieprzerwanie spływały strumienie deszczu. Zresztą nie miało to i tak żadnego znaczenia. Parking zupełnie opustoszał, na ulicy nie było widac żywego ducha, więc nawet gdyby wymknęła się z samochodu, nie znalazłaby nikogo, kto mógłby przyjść jej z pomocą.

Mężczyzna był bardzo duży i silnie umięśniony, lecz nie jego postura przeraziła ją najbardziej. Najgorsze wrażenie sprawiała twarz; szeroka i pogodna, pozbawiona wszelkiego wyrazu. Jej spokój, wręcz łagodność, zupełnie nie pasowały do tej sytuacji. Zielone zimne oczy budziły grozę.

-Kim pan jest? - zapytała, usiłując ukryć lek, pewna, że wyraźnie

oznaki przerażenia wprawilyby go w jeszcze wieksze podniecenie. Miała wrażenie, iż napastnik balansuje na cienkiej linii. - Czego chce pan ode mnie?

-Chce psa.

Przychodziły jej do głowy różne możliwości: rabus, gwałciciel, morderca-psyhopata. Ale nawet przez moment nie pomyślała, że ma do czynienia z rządowym agentem. Ktoż inny mogłby bowiem szukać Einsteina? Przecież nikt nie wiedział o jego istnieniu.

-O czym pan mówi?

Wepchnął jej głębiej w bok lufę rewolweru.

Poczuła ból i pomyślała o ukrytym w jej łonie dziecku.

-No dobra, okay, widocznie wie pan o psie, więc nie ma sensu udawać. - Nie ma. - Mówił tak cicho, że jego głos z trudem docierał do niej poprzez szum tłukącego w dach kabiny deszczu.

Sciągnął jej z twarzy kaptur, rozpiął zamek kurtki, a następnie powiodł dłonią po piersiach, zjechał w dół, w stronę brzucha. Przez chwilę myślała, że mimo wszystko chce ją zgwałcić.

On jednak powiedział:

-Ten Weingold to ginekolog położnik. Z czym masz problem? Złapałaś jakąś paskudną chorobę, czy jesteś w ciąży? - Omal się nie zaslinił przy "paskudnej chorobie", jak gdyby od samego wypowiedzenia tych słów robiło mu się niedobrze.

-Pan nie jest agentem rzadu - powiedziała pod wpływem nagłego impulsu.

-Zadalem ci pytanie, ty suko - przypomniał jej głosem niewiele tylko donosniejszym od szeptu. Przysunął się bliżej wciskając bron między

zebra. Powietrze w szoferce było ciężkie od wilgoci. - Co masz, syfa, trypra, jakas inna zgnilizne dupy? A może jesteś w ciąży?

Liczac na to, że może ta informacja złagodzi jego brutalność powiedziała:

-Będzie miała dziecko. Jestem w trzecim miesiącu.

Cos stało się z jego oczami. Zaszła w nich jakaś zmiana. Jakies drobne poruszenie w subtelnym, kalejdoskopowym wzorze zielonych okruszków szkła.

Nora zrozumiała, że przyznając się do tego, iż jest w ciąży, popełniła najgorszy błąd spośród wszystkich możliwych, ale zupełnie nie miała pojęcia, dlaczego.

Pomyślała o leżącym w skrytce pistolecie. Zapewne nie zdążyłaby uchylić wieka, chwycić za broń i wystrzelić, zanim przeciwnik pociągnąłby za spust. Powinna jednak nieustannie czatować na sposobność, czekać na moment jego rozluźnienia, gdy będzie mogła sięgnąć po trzydziestkę osemkę.

Nieoczekiwanie tamten przygniotł ją całym ciałem. Ponownie przemknęło jej przez głowę, że zostanie zgwałcona w biały dzień, po chwili jednak pojęła, że chodzi mu tylko o zmianę miejsc. Pomagając sobie rewolwerem, przepchnął ją na fotel kierowcy, sam zaś usiadł obok.

-Ruszaj - polecil.

-Dokad?

-Do twego domu.

-Ale...

-Zamknij mordę i jedź.

W ten sposób schowek z pistoletem został po drugiej stronie kabiny. Teraz, aby się do niego dostać, musiałaby wyciągnąć rękę tuż przed nosem napastnika. Żeby jej się to udało, on musiałby się rozluźnić w stopniu wręcz nieprawdopodobnym.

Zmagając się z coraz silniejszym strachem poczuła jednocześnie, że zaczyna ją ogarniać rozpacz.

Uruchomiła silnik, zjechała z parkingu i skręciła w prawo, na ulicę.

Serce Nory było jak szalone, ten dźwięk wydawał się jej tak głośny jak stukot pracujących wycieraczek. Nie była pewna, czy wypełniający uszy loskot pochodzi od deszczu, czy też tylko szumiała tętniąca w jej żyłach krew.

Na każdym skrzyżowaniu Nora rozglądała się za policjantem, choć nie miała pojęcia, co robi, gdy go wreszcie zobaczy. Problem rozwiązał się sam, gdyż po drodze nie spotkali ani jednego stroza porządku.

Dopoki nie wyjechali z Carmel na Pacific Coast Highway, porywisty wiatr oprócz deszczu ciskał im w szyby galazki cyprysów i sosen, urywane z rosnących wzdłuż ulic miasta starych drzew. Potem drzewa zniknęły i z pełną mocą uderzył w nich dmący od oceanu wiatr. Nora co chwila musiała mu się przeciwstawiać drobnymi ruchami kierownicy. Krople deszczu tłukły z taką siłą, że nie zdziwiłaby się, gdyby zostały po nich wgłębienia w blachach karoserii.

Po pięciu minutach milczenia, które wlokły się niczym godzina, złamała nakaz milczenia.

-W jaki sposób pan nas odnalazł?

-Obserwowałem wasz dom przez cały dzień - odrzekł zimnym, cichym głosem, doskonale harmonizującym z pogodną twarzą. - Kiedy wyjechałaś dziś rano, ruszyłem za tobą, licząc, że jakos cie dopadnę.

-Nie, mnie chodzi o coś innego. Skąd pan wiedział, gdzie mieszkamy?

Uśmiechnął się.

-Van Dyne.

-A to dwulicowa swinia.

-To wyjątkowy przypadek - zapewnił ją. - Wielki Człowiek z San Francisco wyswiadczył mi przysługę i wywarł na van Dyne'a lekka presję.

-Wielki Człowiek?

-Tetragna.

-Kto to taki?

-Ty nic nie wiesz, co? - powiedział. - Tylko jak się robi dzieci, co? Znasz się na tym, no nie? W jego szyderczych słowach dał się teraz słyszeć jakiś ciemniejszy, mocniejszy, przerażający ton. Napiecie, jakie wyczuwała w tym człowieku za każdym razem, gdy mówił o seksie, przejmowało ją tak wielka trwoga, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Wjechali w strefę rzadkiej mgły, więc włączyła światła i skupiła uwagę na błyszczącej od deszczu autostradzie.

-Jestes bardzo ładna - rzucił po chwili. - Gdybym chciał kogoś wsadzić, wybrałbym właśnie ciebie.

Nora zagryzła wargi.

-Ale choć jesteś taka słodka - ciągnął - jesteś taka sama jak wszystkie. Mogę się o to założyć. Gdybym ci wsadził, toby mi fiut zgnił i odpadł, bo jesteś zarazona jak inne, prawda? Tak. Na pewno jesteś. Seks to śmierć. Należy do tych nielicznych, którzy zdają się to pojmować. A dowody widac przecież wokół. Seks to śmierć. Ale ty jesteś bardzo ładna...

Nora sluchala go ze scisnietym gardlem, z trudem lapiac oddech.

Sprawial dotychczas wrazenie malomownego, teraz nastapila gwałtowna zmiana. Mowil szybko, tym swoim cichym, denerwujaco spokojnym glosem dziwnie kontrastujacym z oblakanyimi myszlami, ktore nim wypowiadal.

-Bede wiekszy niz Tetragna, stane sie wazniejszy od niego. Mam w sobie zycie dziesiatkow ludzi. Wchlonałem ich energie. Doswiadczyłem Momentu, poczułem Przeskok. To jest moj Dar. Kiedy Tetragna umrze i odejdzie w przeszlosc, ja nadal tu bede. Kiedy umra wszyscy obecnie zyjacy, ja pozostane, bo jestem niesmiertelny.

Nie wiedziala, co powiedziec. Przyszedl znikad, wiedzial o Einsteinie i na dodatek byl wariatem. Wygladalo na to, ze byla teraz zupełnie bezradna. Ogarnela ja zlosc na niesprawiedliwosc losu, nie mniejsza niz odczuwany dotychczas strach. Starannie przygotowali sie na przybycie Obcego i kosztowalo ich mnostwo wysilku, by wyprowadzic w pole wladze.

Jak mogli zabezpieczyc sie przed czyms takim? To nie bylo fair.

Zamilkl na jakas minute, ktora Norze wydala sie wiecznoscia, i uwaznie sie jej przygladal. Czula na sobie lodowate spojrzenie zielonych oczu rownie wyraznie, jak gdyby po jej ciele wedrowala zimna reka.

-Nie wiesz, o czym mowie, prawda?

-Nie wiem.

Moze dlatego, ze uznal, iz jest bardzo ladna, postanowil udzielic jej wyjasnien.

-Dotychczas raz o tym z kims rozmawialem i zostalem przez tego czlowieka wysmiany. Nazywal sie Danny Slowicz. Obaj pracowalismy dla Rodziny Carramazza w Nowym Jorku, najwiekszej sposrod pieciu



Rodzin mafii. Robote mielismy lekka, po prostu od czasu do czasu zabijalismy ludzi, ktorzy na to zasluzyli.

Norze zrobilo sie niedobrze. Wiec byl nie tylko wariatem i morderca. Miala do czynienia z oblakany m zawodowym zabojca.

Nieswiadom jej reakcji, oderwal wzrok od zalewanej potokami deszczu drogi.

-Pewnego razu jedlismy obiad w restauracji, Danny i ja. Zamowilismy malze i valpolicella do popicia, a potem wytlumaczylem mu, ze bede dlugo zyl, poniewaz potrafie wchlaniac energie zyciowa ludzi, ktorych zabijam. Mowie mu: "Widzisz, Danny, ludzie sa jak baterie, chodzace baterie, napelnione tajemnicza energia, zwana przez nas zyciem. Kiedy kogos zalatwie, jego energia staje sie moja energia, dzieki czemu robie sie silniejszy. Jestem silny jak byk, Danny" - powiadam. "Spojrz na mnie - jestem bykiem, czy nie? Musze byc bykiem, bo mam ten Dar wchlaniania energii innych ludzi". I wiesz, co mi Danny odpowiedzial?

-Co? - zapytala glucho.

-No wiec Danny byl zarlokiem. Nie oderwal sie od talerza, dopoki nie zjadal jeszcze paru malzy. Potem uniosl glowe - z ust i brody sciekaly mu kropelki sosu - i powiedzial: "Tak, no to powiedz Vince, gdzie nauczyles sie tej sztuczki, co? Skad wiesz, jak wchlaniac te zyciowa energie?" Odparlem: "No, to jest wlasnie moj Dar", a on na to: "Chodzi ci o to, ze dostales go od Boga?" Musialem sie nad tym zastanowic, a potem powiedzialem: "Ktoz wie, skad go mam. To jest moj Dar, podobnie jak sila Mantle'a czy glos Sinatry". Danny na to: "A co bedzie, gdy zabijesz, damy na to, elektryka? Czy po wchloniciu jego energii bedziesz nagle wiedzial, jak zalozyc instalacje elektryczna?" Nie zdawalem jeszcze sobie sprawy, ze robi sobie ze mnie jaja. Myslalem, iz pyta mnie serio i zaczalem tlumaczyc, ze przejmuje jedynie czysta energie, a nie wiedze jakiegos czlowieka. Wtedy Danny powiedzial: "Wiec jesli kiedys rabniesz pijaka, to nie poczujesz naglej

ochoty na jednego glebszego?" Dopiero po tych slowach uswiadomilem sobie, ze w opinii Danny'ego albo sie upilem, albo zwariowalem. Zajalem sie malzami i ani slowem nie wspomnialem mu wiecej o Darze. Od tamtego zdarzenia z nikim na ten temat nie rozmawialem. Ty jestes pierwsza.

Mowil o sobie Vince, zatem znala juz jego imie, choc zupełnie nie wiedziala, do czego mogloby sie jej to przydac.

Przedstawil te historie ze smiertelna powaga, tak jakby zupełnie nie wyczuwal jej makabrycznego komizmu. Bylo rzecza pewna, ze jezeli Travis nie zdola go unieszkodliwic, oboje rozstana sie z zyciem.

-Rozumiesz zatem - podjal Vince - iz nie moglem pozwolic, aby Danny chodzil i rozpowiadal wszystkim dookola o tym, czego sie ode mnie dowiedzial. Istnialo zbyt wielkie ryzyko, ze mnie osmieszy, zrobi ze mnie wariata. Wielcy bossowie nie wynajmuja szalonych zabojcow; potrzebuja zimnych, logicznych, zrownowazonych facetow, ktorzy potrafia czysto odwalic kazda robote. A ja taki wlasnie jestem, zimny i zrownowazony, lecz pod wplywem gadaniny Danny'ego, moi zlecniodawcy mogliby zmienic zdanie o mnie. Dlatego jeszcze tej samej nocy podcialem mu gardlo, a potem wywiozlem do opuszczonej fabryki, pocialem na kawalki i rozpuscilem w kwasie siarkowym. Byl ulubionym bratankiem jednego z donow, ciało musialo wiec zniknac bez sladu, tak zeby przypadkiem nic nie naprowadzilo Rodziny na moj trop. Teraz mam w sobie takze energie Danny'ego.

Pistolet lezal ciagle w schowku, jednakze fakt ten nie budzil w Norze zbyt wielkiej nadziei.

Pod nieobecność zony, Travis upiekl podwojna porcje czekoladowych ciasteczek z maslem orzechowym. Zyjac samotnie, nauczyl sie gotowac, lecz zajecie to nigdy nie sprawialo mu przyjemnosci. Jednakze ostatnio, asystujac Norze, nabył wielu nowych umiejetnosci i byc moze z tego powodu zmienil swój stosunek do prac kuchennych, szczególnie zas do pieczenia.

Einstein, który przy takich okazjach, licząc na słodki kasek, zazwyczaj nie odstępował go nawet na krok, tym razem zniknął, zanim Travis zdążył wyrobić ciasto. Pies był czymś wyraźnie poruszony i biegał po całym domu od okna do okna, uważnie wpatrując się w deszcz.

Po jakimś czasie Travis zauważył niezwykle zachowanie retrievera i zapytał go, czy coś się stało.

Einstein ułożył odpowiedź na podłodze spizarni.

CZUJE SIĘ TROCHE DZIWNIE.

-Czy jesteś chory? - Travis zaniepokoił się możliwością nawrotu choroby. Rekonwalescencja przebiegała wprawdzie pomyślnie, ale pies nie odzyskał jeszcze pełni sił, lecz jego system immunologiczny okrzepł na tyle, by mógł podjąć skuteczną walkę od nowa.

NIE JESTEM.

-Wiec o co chodzi? Wyczuwasz... Obcego?

NIE. TO COS INNEGO.

-Ale coś czujesz?

ZŁY DZIEŃ.

-Może to przez ten deszcz.

MOŻE.

Nieco uspokojony Travis wrócił do kuchni.

Szosa była srebrna od deszczu.

Mgła zgęstniała, toteż Nora musiała zmniejszyć prędkość do czterdziestu, a miejscami nawet do trzydziestu mil na godzinę.

Gdyby posłużyła się mgłą jako pretekstem, to czy udaloby się jej zwolnić na tyle, by mogła zaryzykować otwarcie drzwi szoferki i skok na zewnątrz? Nie. Raczej nie. Nie chcąc narazić na niebezpieczeństwo swego życia i życia nie narodzonego dziecka, musiałaby jechać poniżej pięciu mil na godzinę, a mgła nie była aż tak gęsta, żeby to usprawiedliwić. Poza tym Vince trzymał rewolwer wymierzony prosto w nią i z łatwością strzeliłby jej w plecy, gdyby tylko zrobiła jakikolwiek ruch w stronę drzwi.

Światło reflektorów polciezarówki, podobnie jak i lamp nielicznych, nadjeżdżających z przeciwka samochodów, zalały się we mgle, tworząc na jej falującej zasłonie krótkotrwałe, polyskujące barwami tęczy halo.

Zaczęła z kolei rozważać inną możliwość: zjechać z szosy w jednym z tych miejsc, gdzie pobocze łagodnie opadało w dół. Bąła się jednak, że popełni jakiś błąd, wjedzie prosto w dwustopową przepaść i roztrzaska się ze straszliwą siłą na sterczących w dół skalach. Zresztą, gdyby nawet dobrze trafiła i rozbija wóz w sposób planowany, mogła stracić przytomność albo poronić, a przecież zależało jej na tym, żeby ocalić zarówno siebie, jak i dziecko.

Rozgadawszy się na dobre, Vince nie potrafił już przerwać. Całymi latami ukrywał przed światem swe sekrety, marzenia o potędze i nieśmiertelności, najwyraźniej jednak, pomimo smutnego doświadczenia, jakim była dlań rozmowa z Dannym Slowiczem, w głębi duszy nadal marzył o tym, by móc komuś opowiedzieć o przeznaczonej mu wielkości. Wyglądało to tak, jakby ułożył sobie przemowę do ludzkości, nagrał ją na taśmie ukrytego w głowie magnetofonu, a teraz odtwarzał na przyspieszonych obrotach, wypluwając z siebie swój obłęd i budząc w Norze obezwładniający strach.

Opowiedział jej, w jaki sposób, zabijając naukowców prowadzących różne eksperymenty w ramach Projektu Francisa w Banodyne, dowiedział się o Einsteinie. Wiedział również o Obcym, ale się go nie

bal. Znajdował się, jak mówił, u progu niesmiertelności, a zdobycie psa było jednym z ostatnich zadań, jakie musiał wypełnić na drodze ku swemu Przeznaczeniu. On i pies należeli do siebie, ponieważ każdy z nich był na swój sposób wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju. Kiedy już Vince osiągnie Przeznaczenie, nie zdoła mu zagrozić nawet Obcy.

Nora nie rozumiała połowy wypowiedzianych przez niego zdań. Uznała, że aby móc zrozumieć wszystko, należało być obłąkanym jak Vince.

Jedno wszakże było dla niej oczywiste. Doskonale wiedziała, co ten szaleńiec zrobi z nią i Travisem, kiedy już dostanie retrievera. Z początku bała się o tym mówić, jak gdyby ubierając myśli w słowa, czyniła swój los nieodwracalnym. W końcu jednak, kiedy do zjazdu na gruntową drogę, prowadzącą do ich domu, pozostało nie więcej niż pięć mil, powiedziała:

-Nie zostawisz nas w spokoju, kiedy już zdobędziesz psa, prawda? Obrzucił ją pieszczotliwym spojrzeniem.

-A jak myślisz, Noro?

-Myślę, że nas zabijesz.

-Oczywiście.

Ze zdumieniem stwierdziła, iż potwierdzenie jej najgorszych przeczuć nie pogłębiło przerażenia. Przeciwnie, jego pełen zadowolenia z samego siebie głos wprowadził ją we wściekłość. Strach stłumiło nagle gwałtowne pragnienie, które zdominowało wszystkie inne jej uczucia: by za wszelką cenę pokrzyżować plany tego psychopaty.

Taka reakcja była dla niej potwierdzeniem, że stała się kobieta zupełnie inna niż Nora sprzed pół roku, która w zetknięciu z niezachwianą pewnością siebie tego mężczyzny zmieniłaby się natychmiast w roztrzaskaną, bezwolną galaretkę.

-Moglabym zjechać z szosy i spowodować wypadek. A nuz dopisałoby mi szczęście - powiedziała po chwili.

-Jeśli tylko skrecisz, będę musiał cię zastrzelić, a potem spróbuję odzyskać panowanie nad kierownicą.

-Może ci się to nie udać i wtedy umrzesz także i ty.

-Ja? Umre? Może. Ale z pewnością nie w czymś tak trywialnym jak wypadek samochodowy. O, nie. Mam w sobie zbyt wiele istnień, by mogło to nastąpić aż tak łatwo. Poza tym, nie sadzę, żebyś zdecydowała się na podobny krok. W głębi serca ciągle wierzysz, że twój mąż pokaze łwi pazur, ocali cię, psa i siebie. Oczywiście, jesteś w błędzie, ale nie potrafisz przestać w niego wierzyć. On nie zrobi absolutnie nic, ponieważ będzie się bał, że zrani cię. Wejdziesz tam z rewolwerem wcisniętym w twój brzuch, co sparalizuje go na dość - statecznie długo, żebym zdążył rozwalić mu głowę. To właśnie dlatego mam ze sobą tylko rewolwer. On mi w zupełności wystarczy. Trochę Trávisa o cię, strach o twoje życie, stana się przyczyną jego śmierci.

Nora uznała, że nie wolno jej pokazać po sobie, jak bardzo jest rozwścieczona. Musi wyglądać na zastraszoną, słabą, niezdolną do jakiegokolwiek działania. Jeśli Vince zacznie ją lekceważyć, może uda jej się wykorzystać moment jego nieuwagi.

Oderwała na chwilę wzrok od zalewanej bezustannie deszczem autostrady i rzuciła w jego stronę okiem. Wpatrywał się w nią nie z rozbawieniem czy psychopatyczną złością, nie z właściwym sobie ocieziałym spokojem, lecz z uczuciem, które przypominało miłość i chyba wdzięczność.

-Od wielu lat marzyłem o zabiciu kobiety w ciąży - powiedział takim tonem, jakby chodziło mu o coś równie chwalebne jak pragnienie stworzenia przemysłowego imperium lub wewnętrzna potrzeba nakarmienia głodnych czy pielęgnowania chorych. - Dotychczas nigdy nie znalazłem się w sytuacji, gdzie ryzyko popełnienia tego rodzaju

morderstwa byloby dostatecznie male. Ale wasz dom lezy na takim odludziu, ze po zabiciu Cornella powstana idealne wrecz warunki.

-Och, prosze, nie! - zawolala, udajac slaba kobietke, pozbawiona woli i charakteru, choc, prawde powiedziawszy, wcale nie musiala sie specjalnie starac, by nadac glosowi odpowiednie do tej roli brzmienie.

Nie mogac zapanowac nad wzrastajacym podnieceniem, dodal:

-Oprocz twojej energii zyciowej, wciaz jeszcze mlodej i bogatej, wchlone rowniez energie dziecka. Bedzie ona idealnie czysta, nietknieta, wolna od wszelkich zanieczyszczen, jakie niesie ze soba ten chory i zdegenerowany swiat. Jestes moja pierwsza brzemienna kobieta, Noro. Nigdy cie nie zapomne.

W kacikach jej oczu zalasnily lzy, takze wcale nie udane. Chociaz wierzyla, ze Travis znajdzie jakis sposob, by rozprawic sie z tym czlowiekiem, bala sie, iz w zamieszaniu moze zginac ktoreś z nich dwojga: ona albo Einstein. Jak Travis zdolalby wowczas sie pogodzic z mysla, ze nie potrafil ochronic zony lub psa?

-Nie rozpaczaj, Noro - odezwal sie Vince. - Ty i twoje dziecko nie umrzecie calkowicie. Oboje staniecie sie czescia mnie i w tej postaci zyc bedziecie wiecznie. Travis wyjal z piekarnika pierwsza porcje ciasteczek i odstawil je na szafke, aby ostygly. Wszac z luboscia przydreptal Einstein, wiec Travis powiedzial:

-Musisz troche poczekac. Sa jeszcze za gorace.

Pies wybiegl do salonu, gdzie zapatrzyll sie w padajacy za oknem deszcz.

Tuz przed zjazdem z Coast Highway, Vince zesliznal sie w glab fotela, tak ze jego glowa znalazla sie ponizej poziomu okna. Tracil ja rewolwerem.

-Jeden falszywy ruch, a rozwale ci dzieciaka. Wierzyla mu na slowo.

Skrecając na gruntową drogę, teraz błotnista i śliska, Nora musiała pokonać niewielkie wzniesienie. Rosnące wzdłuż drogi okazałe drzewa osłaniały ją przed rwącymi strugami deszczu, ale gromadząca się wśród gałęzi woda opadała potem na ziemię w postaci potężnych kropli lub małych strumyków.

Dostrzegła Einsteina w oknie salonu, próbowała więc wymyślić jakiś sygnał, który znaczyłby: "kłopoty", a który pies bez trudu by pojął, lecz nie przyszedł jej do głowy żaden pomysł.

-Nie podjeżdżaj do samej szopy - polecił Vince. - Zatrzymaj się tuż obok domu.

Jego zamiar był oczywisty. Naroznik domu od strony spiżarni i schodów do piwnicy był pozbawiony okien, toteż ani Travis, ani Einstein nie zobaczą wysiadającego z szoferki mężczyzny. Vince pociągnie ją wzdłuż ściany aż na schody od tyłu i wejdą do środka, zanim Travis się połapie, że coś jest nie tak.

Może Einstein wyczuje niebezpieczeństwo. Może. Ale... Einstein ostatnio ciężko chorował.

Zdradzający wyraźne podniecenie, Einstein wbiegł do kuchni.

-Czy to była polciezarówka Nory? - zapytał Travis.

Tak.

Retriever podbiegł do bocznego wejścia i niecierpliwie zatoczył przed drzwiami. W następnej chwili znieruchomiał, przekrzywił głowę...

Szczęście uśmiechnęło się do Nory w najmniej spodziewanym momencie. Gdy zaparkowała tuż przy ścianie domu, zaciągnęła ręczny hamulec i wyłączyła silnik, Vince wyrwał ją dosłownie z fotela, po czym przeciągnął na swoją stronę szoferki. Chciał, by wysiadła razem z nim, gdyż ta część wozu była zasłonięta przez naroznik domu. Otworzywszy drzwi, pociągnął ją za sobą jedną ręką i



rozgladajac sie dokola, sprawdzal, czy w pobliżu nie ma Trávisa; nie byl wiec w stanie pilnowac Nory tak starannie jak poprzednio. Gdy tylko dziewczyna znalazla sie na wysokosci skrytki, nacisnela zwalniajacy wieko guzik i porwala lezacy wewnatrz pistolet. Vince musial cos uslyszec, poniewaz zwrocil w jej strone glowe, zrobil to jednak za pozno. Wparla mu w brzuch lufe trzydziestki osemki i nim zdazyl podniesc rewolwer do strzalu, trzykrotnie pociagnela za spust.

Uderzyl cala sila plecami o sciane oddalonego zaledwie o trzy stopy domu. Wyraz niedowierzania i ogromnego zdumienia pojawil sie na jego twarzy.

Zdumiala sie wlasna zimna krew. Przelecialo jej nagle przez glowe, ze nie ma nic bardziej niebezpiecznego niz matka broniaca swoich dzieci, nawet jesli jedno z nich nie przyszlo jeszcze na swiat, a drugie bylo psem. Wystrzelila ponownie, niemal na oslep, trafiajac go w piers.

Vince padl ciezko, twarza ku mokrej ziemi.

Zawrocila na piecie i pobiegla do domu. Mijajac naroznik omal nie zderzyla sie z Travisem, ktory przesadzil porecz werandy i wyladowal w glebokim przysiadzie tuz przed Nora. W dloni sciskal karabin Uzi.

-Zabilam go - powiedziala, wychwytujac w swym glosie ton hysterii. Sprobowala sie opanowac. - Strzelilam do niego cztery razy, moj Boze, zabilam go.

Travis wyprostowal sie, oszolomiony. Nora otoczyla go ramionami, przywarla glowa do jego piersi. Smagana strumieniami zimnego deszczu, rozkoszowala sie cieplem promieniujacym od ciala meza.

-Kogo... - zaczal pytanie.

Za plecami Nory Vince wydal przenikliwy, chrapliwy okrzyk i przetoczywszy sie na plecy wystrzelil w ich kierunku. Kula uderzyla Trávisa w ramie, odrzucila go do tylu. Gdyby przeleciala o pare cali w

prawo, roztrzaskalaby glowe Nory.

Trzymala Trvisa w ramionach, totez upadla wraz z nim. Puscila go w ostatniej chwili i natychmiast uskoczyla z linii ognia, kryjac sie za maska polciezarowki. Na mgnienie oka zobaczyla Vince'a, ktory usilowal podniesc sie z blota; w jednej rece sciskal rewolwer, druga trzymal sie za brzuch.

W tym ulamku sekundy, jaki minal, zanim samochod przeslonil jej widok, nigdzie nie dostrzegla sladow krwi.

Czy to mozliwe? Nikt nie mogl przezyc trzech strzalow w brzuch i jednego w piers. Chyba tylko ktos, kto rzeczywiscie byl niesmiertelny. Nim jeszcze Nora zdazyla przypasc do polciezarowki i schronic sie za nia, Travis usiadl na srodku kaluzy. Krew z rany sciekala mu po piersi, plamiac tkanine koszuli. Choc trafiony w ramie, nie wypuscil z dloni swego uzi i teraz, odpowiadajac na drugi strzal Vince'a, otworzyl ogien. Obaj zajmowali niedogodne pozycje strzeleckie; kule z automatu tlukly w sciane domu, rykoszetowaly od boku polciezarowki krzeszac snopy iskier.

Przestal strzelac.

-Niech to szlag! - Z trudem stanal na nogi.

-Trafiles go?

-Spieprzyl przed dom - odparl Travis i ruszyl tropem wroga.

Vince sadzil, ze do niesmiertelnosci brakowalo mu bardzo niewiele, ze od celu dzielil go doslownie jeden krok. Potrzebowal jeszcze tylko kilku istnien i martwil sie jedynie tym, ze ktos moglby go zabic teraz, gdy Przeznaczenie bylo juz tak blisko. Dlatego wlasnie podjal pewne srodki ostroznosci. Mial pod swetrem najnowszy, a zarazem najdrozszy model kuloodpornej kamizelki firmy Kevlar. To ona zatrzymala cztery kule, ktore ta dziwka usilowala w niego wpakowac. Pociski rozplaszczyly sie na kamizelce, tak ze nawet nie poplynela

krewni. Ale, Jezusie, jak to boleło. Kule cisnęły nim o ścianę domu, pozbawiły tchu. Miał wrażenie, że leży na gigantycznym kowadłach, a na jego wewnętrzności raz za razem opada kowalski młot.

Gdy zgięty wpół z bólu kustykał w stronę frontu domu, próbując uciec spod ognia tego przeklętego uzi, był niemal pewien, że dostanie w plecy. Jakimś cudem udało mu się jednak minąć narożnik i wspinać na stopnie werandy.

Zranienie Cornella dało Vince'owi pewną satysfakcję, chociaż wiedział, że rana nie była śmiertelna. Zdawał sobie sprawę, iż utraciwszy element zaskoczenia, musiał się nastawić na dłuższą potyczkę. Niech to diabli, ta kobieta okazała się niemal równie niebezpieczna jak sam Cornell - szalona Amazonka.

Mógłby przysiąc, że miała w sobie coś z potulnej myszy, z natury była bezwolna i uległa. Widocznie błędnie ją ocenił i fakt ten wzbudził w nim głęboki niepokój. Vince Nasco nie popełniał takich pomyłek; pomyłki były dobre dla maluczkich, lecz nie dla dziecka Przeznaczenia.

Przesuwając się wzdłuż werandy, przekonany, że w każdym momencie za jego plecami pojawi się Cornell, Vince uznał, że zrobi lepiej, jeśli zamiast szukać schronienia w pobliskim lesie, skryje się wewnątrz domu. Tamci spodziewali się zapewne, że ukryty gdzieś wśród drzew będzie próbował wymyślić nowy plan strategiczny. On tymczasem wejdzie po prostu do środka, wyszuka sobie miejsce, z którego widział będzie równocześnie drzwi od frontu i od kuchni, i może dzięki temu zdoła ich zaskoczyć.

Zmierzając w stronę wejścia, mijając akurat duże okno, gdy nieoczekiwanie szyba rozprysnęła się na kawałki.

Vince krzyknął zaskoczony i błyskawicznie wystrzelił, jednak kula utkwiała w dachu werandy, bo nim zdążył nacisnąć spust, runął na niego pies. Jezusie, to musiał być ten pies. Rewolwer wypadł mu z dłoni. Pies usiadł na nim i zatopił zęby w jego ramieniu. Nie wytrzymałszy

naporu, balustrada z trzaskiem rozpadła się na kawałki, a oni, szczepieni ze sobą, stoczyli się na zalane deszczem podwórze.

Krzycząc z bólu, Vince zaczął okładać retrievera swymi wielkimi pięściami, aż w końcu ten, skowycząc złością, rozwarł szczęki. Natychmiast powtórzył atak, mierząc tym razem w gardło, jednakże Vince w ostatniej chwili zdołał go od siebie odrzucić.

Ciągle jeszcze przygięty tym straszliwym bólem brzucha ku ziemi, ruszył powoli w stronę werandy, rozglądając się za rewolwerem. Wcześniej niż broni spostrzegł jednak Cornella. Krwawiąc obficie z rany na ramieniu, Cornell stał na werandzie i obserwował go z góry.

Vince'a ogarnął wielki spokój. Czuł, że nic mu nie grozi, że jest nietykalny, nareszcie niesmiertelny. Patrzył prosto w wylot lufy uzi i zupełnie się nie bał. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

-Przyjrzyj mi się uważnie. Jestem twoim najgorszym koszmarem - powiedział.

-Bez przesady - odrzekł Travis i spokojnie nacisnął spust.

Mając u boku Einsteina, Travis siedział na krześle w kuchni, a Nora opatrywała mu rane. W trakcie zabiegu opowiedziała mu wszystko, czego się dowiedziała o człowieku, który siłą wdarł się do jej samochodu.

-To była karta ukryta w rekawie przez los - stwierdził Travis. - Nie mieliśmy szans, żeby coś takiego przewidzieć.

-Mam nadzieję, że była to taka jedyna karta.

Nora załapała dziurę po kuli jodyną, po czym założyła opatrunek z gazy. Travis krzywił się z bólu.

-Nie przejmuj się tym tak bardzo - powiedział. - Krwawienie prawie ustalo. Na szczęście, tętno się ściąga.

Kula przeszła na wylot, pozostawiając po sobie paskudnie wyglądającą, poszarpaną ranę. Travis czuł narastający ból, wiedział jednak, że przez jakiś czas zdoła funkcjonować w miarę normalnie. Później będzie musiał skorzystać z pomocy lekarza, być może Jima Keene'a, co pozwoli mu uniknąć rozmaitych niewygodnych pytań. Na razie zadbał tylko o to, by rana została dostatecznie mocno scisnięta, gdyż przede wszystkim należało zająć się usunięciem zwłok.

Einstein także doznał obrażeń. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie pokaleczył się, wyskakując przez okno, kości miał też raczej całe, ale oberwał sporo solidnych uderzeń. Obolały, przemoknięty i ubłocony, nie wyglądał najlepiej i z pewnością jemu również przydałaby się pomoc weterynarza.

Na zewnątrz deszcz lwał ze wzmożoną siłą, krople głośno tłukły o dach, woda bulgotała gwałtownie w rynnach. Wiatr, przez frontowe drzwi i rozbite okno, wpychał ją całymi potokami do wnętrza domu, lecz nie mieli czasu, aby się tym przejmować.

-Dobrze, że pada - powiedział Travis. - Dzięki temu nikt w okolicy nie usłyszał strzałów.

-Gdzie ukryjemy ciało? - spytała Nora.

-Właśnie się nad tym zastanawiam. - Precyzyjne myślenie przychodziło mu z niejakim trudem, gdyż rozdzierający ból w ramieniu zdawał się jednocześnie rozsądzać czaszkę.

-Moglibyśmy zakopać go tutaj, w lesie - zaproponowała.

-Nie. Nigdy byśmy nie mogli zapomnieć, że tu leży. Zawsze martwilibyśmy się, że odkopią go dzikie zwierzęta, a na szczątki natrafia przygodni turyści. Lepiej... są takie miejsca wzdłuż wybrzeża. Moglibyśmy tam podjechać, zaczekać, aż ustanie ruch na szosie, i wyrzucić zwłoki w przepaść. Jeżeli wybierzemy miejsce, gdzie fale podchodzą aż do samych skał, morze go zabierze, zanim ktokolwiek coś zauważy.

Nora konczyła właśnie opatrunek, gdy Einstein raptownie poderwał się na nogi i zapiszczał. Zaczął weszyc, podszedł do tylnego wyjścia, wpatrywał się w nie przez moment, po czym zniknął w salonie.

-Obawiam się, że on także porządnie oberwał - powiedziała Nora, przyklejając ostatni kawałek plastra.

Travis był odmiennego zdania.

-Może tak, a może nie. Od samego rana zachowuje się jakos dziwnie. Mówił coś o złym dniu.

-Miał rację.

Einstein pośpiesznie wpadł do salonu, zapalił światło w spiżarni i natychmiast zabrał się za układanie jakiegoś napisu.

-Może wpadł na pomysł usunięcia ciała - podsunęła Nora. Travis z trudem wciągnął koszulę i zostawiwszy Nore przy sprzątaniu środków opatrunkowych, zajrzał do spiżarni. OBCY JEST TUTAJ.

Travis wcisnął nowy magazynek w uchwyt uzi, jeszcze jeden wsunął do kieszeni spodni. Z najbliższego schowka wydobyl pistolet i podał go Norze.

Sadząc z okazywanego przez Einsteina pośpiechu, nie mieli czasu na obejście domu i zamknięcie wszystkich okiennic.

Plan uspienia Obcego w stodole zakładał, że bestia pojawi się w nocy i zechce najpierw dokonac zwiadu. Skoro przybyła w srodku dnia, a rozpoznanie przeprowadzila podczas ich walki z Vince'em - ten znakomity plan był teraz całkowicie bezużyteczny.

Stali nieruchomo w kuchni, pilnie nasluchując, lecz do ich uszu docierał jedynie łomot deszczu.

Einstein nie był w stanie udzielić im bliższych wskazówek co do

miejsca pobytu wroga. Jego szosty zmysl wciaz jeszcze daleki byl od dawnej doskonosci. Mieli szczescie, ze w ogole cos poczul. Niepokoj, jaki zdradzal od rana, nie mial widocznie nic wspolnego z mezczyzna, ktory przyjechal z Nora, lecz byl wywolany bliskoscia Obcego, z czego nawet sam pies mogl sobie nie zdawac sprawy.

-Na gore - polecil Travis. - Szybko.

Do pomieszczen na parterze przeciwnik mogl dostac sie rownie dobrze przez okna, jak przez drzwi. Na gorze mogli sie przynajmniej nie martwic o te ostatnie.

Nora wspiela sie na pietro razem z Einsteinem, Travis natomiast stanowil straz tylna. Posuwajac sie tylem powoli pokonywal kolejne stopnie, mierzac z uzi w dol, ku parterowi. Od wspinania sie na pietro doznal zawrotu glowy. Czul, ze emanujace z przestrzelonego ramienia bol i slabosc powoli rozlewaly sie po calym ciele niczym wsiakajacy w bibule atrament.

Cofnawszy sie nieco w glab korytarza, powiedzial:

-Jesli uslyszymy, ze nadchodzi, zaczekamy spokojnie, dopoki nie wejdzie na schody, a wtedy wyskoczmy i korzystajac z zaskoczenia, zastrzelimy go.

Skinela glowa.

Musieli teraz zachowac cisze i zachecic w ten sposob Obcego, aby wszedl do domu. Kiedy zorientuje sie, ze przebywaja na gorze, dojdzie do wniosku, ze bezpiecznie moze skorzystac ze schodow.

Okno w koncu korytarza rozjarzylo sie oslepiajacym blaskiem pierwszej, zwiastujacej burze blyskawicy. Mozna bylo pomyslec, ze towarzyszacy jej grzmot zdruzgotal chyba niebieskie sklepienie, bo wygladalo na to, iz w nastepnej chwili runela na ziemie jak potop nagromadzona w gorze woda.

Przez, położone niemal na końcu korytarza, otwarte drzwi studia Nory wyleciał obraz i roztrzaskał się o ścianę.

Nora nie zdołała powstrzymać okrzyku zdumienia. Przez moment wszyscy troje wpatrywali się w leżące na podłodze płótno, na polu wierząc, że jego niesamowita wedrowka miała coś wspólnego z potężnym gromem, którego echo wciąż jeszcze dzwieczyło im w uszach.

Ze studia wyfrunął następny obraz i uderzył w ścianę. Tra vis dostrzegł na nim liczne ślady rozdarcia.

Obcy już był w domu.

Stali na początku krótkiego korytarza. Główna sypialnia i pokój przeznaczony dla dziecka znajdowały się na lewo, łazienka oraz leżące za nią studio Nory na prawo. Potwór szalał w studiu, niszczyć zgromadzone tam prace.

Kolejne płótno wyladowało na podłodze.

Przemoczony, brudny, obolały, wciąż jeszcze nie w pełni sił po niedawno przebytej chorobie, Einstein zaczął zjadliwie szczekać, jak gdyby wierzył, iż w ten sposób zdoła przepłoszyć Obcego.

Wyciągnawszy przed siebie uzi, Travis posunął się o krok w głąb korytarza.

Nora schwyciła go za zdrowe ramię.

-Daj spokój. Uciekajmy stąd.

-Nie. Musimy stawić mu czoło.

-Ale nie w tych warunkach.

-To są najlepsze warunki, na jakie możemy liczyć.



Dwa dalsze obrazy wyleciały ze studia, powiększając pietrzacy się pod ścianą korytarza stos.

Einstein przestał ujadac. Z jego gardła wydobywało się teraz jedynie głuche warczenie.

Razem ruszyli w stronę uchylonych drzwi.

Doswiadczenie i wiedza nabyta podczas szkolen podpowiadały Travisowi, że powinni się rozdzielić i rozproszyć możliwie szeroko, by nie tworzyć jednego celu. Nie byli jednak Oddziałem Delta, a ich przeciwnik nie był zwyczajnym terrorystą. Rozdzieliwszy się, straciliby część odwagi tak potrzebnej, by stawiać czoło temu stworzeniu. Będąc razem, czuli się silniejsi.

Przebyli połowę dzielącą ich od drzwi studia drogi, gdy Obcy nagle zaskrzeczał. Dźwięk jego głosu zmroził Trávisa do szpiku kości. Oboje z Nora natychmiast przystanęli, Einstein natomiast, drżąc gwałtownie na całym ciele, wysunął się o dwa kroki do przodu.

Travis uswiadomił sobie, że on także się trzęsie i że na skutek dreszczy ból w ramieniu wyraźnie wzrasta.

Przełamując strach, podbiegł do drzwi i zasypał pokój gradem kul. Chociaż broń dawała minimalny odrzut, każdy strzał wywoływał w zranionym ramieniu ostry ból.

Wrog zniknął bez śladu.

Podłoga studia zasłana była strzępami obrazów i odłamkami szkła z wybitego okna, przez które, po wejściu na dach werandy, potwór dostał się do środka.

Travis czekał. Rozstawił szeroko nogi, w obu dłoniach sciskał karabin. Starł się nie zwracać uwagi na zalewający oczy pot i pulsujący coraz mocniej ból w prawym ramieniu. Czekal.

Obcy musiał przywarować na lewo od drzwi albo też skrył się wprost za nimi. Czujny, sprezony w sobie, mógł w każdej chwili zaatakować. Travis pomyślał, że jeżeli poczeka dostatecznie długo, to być może bestia znuży się bezruchem i ruszy do ataku, a wtedy zastrzeli ją natychmiast, gdy tylko ukaze się w drzwiach.

Nie ma na co liczyć, uznał po chwili. Przecież ten stwór nie jest głupszy od Einsteina. Czy Einstein w tej sytuacji wyskoczyłby na wroga przez wąskie drzwi? Nie. Na pewno wymyśliłby coś bardziej oryginalnego, coś zaskakującego.

Huk kolejnego gromu wstrząsnął posadami budynku, wprawiając w drzenie szyby w oknach. Niebo przeciał następny zygzak błyskawicy.

No, wyszedł ty draniu, powtarzał w duchu.

Rzucił okiem na Nore i Einsteina, którzy stali o parę kroków od niego pomiędzy drzwiami sypialni i łazienki; za sobą mieli szczyt schodów.

Jeszcze raz powiodł wzrokiem po zasłanej odłamkami szkła podłodze studia. Nie wiadomo dlaczego, nabrał nagle pewności, że Obcego już tam nie było, że uciekł przez okno na dach werandy i teraz skradł się ku nim z zupełnie innej strony. Może czaił się w którejś sypialni, może w łazience. Z potępienckim wrzaskiem mógł wyskoczyć na nich od strony schodów.

Gestem reki przywołał Nore.

-Oslaniaj mnie.

Nim zdążyła zaprotestować, pochyliwszy się mocno wbiegł do środka. Z trudem zachowując równowagę na zasłanej gruzem i kawalkami porozbijanych przedmiotów podłodze, obrócił się dookoła, gotów otworzyć ogień, gdy tylko spostrzeże przeciwnika.

Obcy zniknął.

Otwarte drzwi szafy odsłaniały jej puste wnętrze.

Podszedł do rozbitego okna, po czym ostrożnie wyjrzał na zalewany strumieniami deszczu dach werandy. Nic.

Wiatr zawodził ponuro za sterczącymi niebezpiecznie w ramie ostrymi odłamkami szkła.

Ruszył do wyjścia. Widział wpatrzona w siebie Nore. Była wystraszona, lecz dzielnie sciskała uzi. Za jej plecami rozwarły się drzwi przyszłego pokoju dzieciennego i on tam był, świecił tymi swoimi żółtymi oczami. Otwarte na całą szerokość potworne szczęki, pełne były zębów bez porównania ostrzejszych niż tkwiące w okiennej ramie szklane sztylety.

Nora wyczuła jego obecność, próbowała się odwrócić, lecz Obcy dopadł do niej, nim zdążyła skierować broń w jego stronę. Jednym uderzeniem wytracił pistolet z jej dłoni.

A jednak bestia nie zdołała pograżyć w jej ciele ostrych jak brzytwa, długich na sześć cali pazurów, w chwili bowiem gdy wyrwała uzi z rąk Nory, została zaatakowana przez wściekle warczącego Einsteina. Obcy przeniósł natychmiast całą swoją uwagę na psa. Wyciągnął ku niemu długie ramiona, wyginając je dziwacznie, jakby były wyposażone w dodatkowe przeguby. W następnym momencie zamknął retrievera w uścisku swych monstrualnych dłoni.

Travis nie mógł strzelać, gdyż Nora, stojąc pomiędzy nim a Obcym, zasłaniała mu bestię. Krzyknął więc na nią, by padła, lecz chociaż natychmiast rzuciła się na podłogę, szansa została stracona. Potwór wciągnął Einsteina do pokoju i zatrzaskał za sobą drzwi, jak gdyby był diabłem z sennych koszmarów, który w okamgnieniu wyskakuje z pudelka, a następnie równie szybko znika wraz ze swoją ofiarą.

Słyszac przerazliwy skowyt Einsteina, Nora rzuciła się ku drzwiom.

-Nie! - wrzasnął Travis, odpychając ją w bok.

Uniosł lufę automatu i opróżnił do końca magazynek, jęcząc przez zacisnięte zęby, bo zranione ramie zdawało się płonąć. Kule wybily w zamkniętych drzwiach przynajmniej ze trzydziści dziur. Oczywiście ryzykował, że trafi przy tym Einsteina, ale psu groziłoby znacznie większe niebezpieczeństwo, gdyby Travis nie otworzył ognia. Kiedy wreszcie skończyła się amunicja, wyszarpnął pusty magazynek, wyciągnął z kieszeni pełny i podłączył go do karabinu. Kopniakiem wywalil zniszczone drzwi i wpadł do środka.

W otwartym na oścież oknie powiewały na wietrze firanki. Obcy uciekł.

Einstein, pokryty krwią, leżał nieruchomo na podłodze pod ścianą.

Na widok retrievera Nora wydała przeraźliwy okrzyk rozpacz.

Wyjrzawszy przez okno, Travis dostrzegł biegnące wzdłuż dachu werandy ślady krwi, które deszcz szybko zmywał.

Katkiem oka pochwycił jakiś ruch w pobliżu szopy, a gdy popatrzył uważniej, dojrzał przeslizgującego się przez wrota Obcego.

Nora klęczała obok psa.

-O mój Boże, Travis, o Boże, po tym wszystkim, co przeszedł, teraz umiera w taki sposób.

-Idę za tym pieprzonym sukinsynem - rzucił rozwścieczony Travis. - Jest w szopie.

Chciała iść razem z nim, lecz się nie zgodził.

-O nie, nic z tego! Zadzwoń do Jima, a potem zostań z Einsteinem, zostań z Einsteinem.

-Ale ja jestem ci potrzebna. Nie możesz iść sam.

-Einstein cie potrzebuje.

-Einstein nie żyje - powiedziała przez lzy.

-Nie mów tak! - wrzasnął ze złością. Wiedział, że wierząc, iż Einstein nie umrze naprawdę, dopóki nie padną słowa o jego śmierci, zachowuje się irracjonalnie, lecz nie potrafił nad sobą zapanować. - Nie mów, że on nie żyje. Zostan, do cholery, razem z nim. Zraniłem tego pieprzonego potwora z piekła rodem. Musiał zdrowo oberwać, bo mocno krwawi, więc sam sobie z nim poradzę. Zadzwoń do Jima Keene'a, zostan z Einsteinem.

Poza wszystkim obawiał się jeszcze, że kolejne emocje i wysiłek mogą doprowadzić do poronienia, które już i tak wisiało chyba na włosku po tym, co stało się dotąd. A wówczas oprócz Einsteina utraciliby również dziecko.

Wybiegł z pokoju.

W takim stanie nie możesz wejść do szopy, powtarzał sobie w duchu. Musisz najpierw ochłonąć. Kazał Norze wezwać weterynarza do martwego psa, kazał, by przy nim została, podczas gdy właściwie mogłaby ci pomóc... Niedobrze. Pozwolił, by złość i pragnienie zemsty wzięły górę nad rozsądkiem. Niedobrze.

Nie potrafił jednak temu zaradzić. Przez całe życie tracił ludzi, których kochał i, z wyjątkiem służby w Oddziale Delta, nigdy nie miał okazji, żeby się za to na kims odegrać, bo przecież nie można mścić się na losie. Zresztą nawet w Delcie, gdzie miał do czynienia z przeciwnikiem pozbawionym twarzy - masą maniaków i fanatyków wrzucanych do wspólnego kotła "międzynarodowego terroryzmu" - zemsta dostarczała tylko niewielkiej satysfakcji. Tym razem jednak stał naprzeciwko wroga uosabiającego wręcz diabelskie zło, wroga w pełni godnego tego miana, i postara się, by zapłacił za to, co zrobił Einsteinowi.

Zbiegał po schodach, przeskakując naraz pod dwa, trzy stopnie. Zakreciło mu się w głowie, chwyciły go mdłości, więc nie chcąc upaść, musiał przytrzymać się poręczy. Oszolomiony, wyciągnął zranioną

reke i poczul natychmiast piekacy bol. Odruchowo cofnal dlon, stracil rownowage na dobre, polecial na leb, na szyje w dol i trzasnal plecami o podloge u podnoza schodow.

Bylo z nim gorzej, niz przypuszczal.

Pozbieral sie, stanal na nogi, podniosl uzi, po czym tylnymi drzwiami wyszedl na ganek i pokonawszy jeszcze pare stopni, dotarl na podworze. Ulewa podzialala kojaco, niczym zimny prysznic na jego rozpalona glowe. Przystanal na chwile, chcac orzezwic sie jeszcze bardziej w strugach chlodnego deszczu. Przypomnial sobie naraz rozciagniete bezwladnie na podlodze, zakrwawione cialo Einsteina. Pomyslal o zabawnych zdaniach, jakie juz nigdy nie pojawia sie na podlodze spizarni, o swietach bez Einsteina krazacego po domu w czapce Mikolaja, o milosci, ktora Einstein nikogo juz nie obdarzy i ktora przez nikogo nie bedzie obdarzony, i o wszystkich tych genialnych szczeniakach, ktore nigdy nie przyjda na swiat. Ciezar tych strat omal nie wgniotl go w rozmiekla ziemie.

Wykorzystal swa rozpacz do podsycenia zlosci, wyostrzyl o nia wscieklosc niczym brzytwe.

Dopiero wtedy podszedl do szopy.

Wnetrze pograzone bylo w mroku. Zatrzymal sie w otwartych drzwiach, nie zwazajac na tlukacy po glowie i plecach deszcz. Liczyl na to, ze dostrzeze w ciemnosciach zolte oczy.

Nie spostrzegl nic.

Zlosc stlumila w nim wszelkie leki, kazala zapomniec o ostroznosci - wkroczyl do srodka i podszedl do umieszczonego na polnocnej scianie kontaktu. Nawet kiedy rozblysllo swiatlo, nadal nigdzie nie mogl dojrzec Obcego.

Zmagajac sie z zawrotami glowy, zaciskajac zeby z bolu, przeszedl obok pustego miejsca, gdzie zazwyczaj stala polciezarowka, minal tyl

toyoty i powoli ruszył wzdłuż boku wozu.

Strych.

Jeszcze parę kroków, a wyjdzie spod strychu. Jeżeli to stworzenie ukryło się na gorze, może skoczyć mu na plecy...

Na szczęście, obawy Trávisa okazały się płonne. Obcy przycupnął w kacie, przed maską toyoty. Objął się swymi potężnymi ramionami i cichutko poje kiwał. Betonowa posadzka wokół niego powalana była krwią.

Stał przy samochodzie przeszło minutę, oddalony od bestii o niecałe piętnaście stop, obserwując ją z odrazą, lękiem, grozą i dziwną fascynacją. Wydawało mu się, że ma przed sobą malpę, być może pawianą. Stworzenie to nie było jednak przedstawicielem żadnego konkretnego gatunku, jego ciało nie stanowiło też zestawu części pochodzących od wielu różnych zwierząt. Była to raczej zupełnie odrębna, jedyna w swoim rodzaju, istota. Zbyt wielka, zniekształcona twarz, ogromne żółte oczy, mordercze szczęki najeżone zakrzywionymi zębami, przygarbiony kark, zmierzwiona sierść oraz nadmiernie wydłużone ramiona tworzyły przerażającą, niepowtarzalną całość.

Stworzenie przyglądało mu się wyczekująco.

Postąpił dwa kroki do przodu, unosił brzoń.

Zadarłszy w górę głowę, poruszając z wysiłkiem szczękami, Obcy wydał z siebie chrapliwy, twardy dźwięk, pomimo wszystkich zniekształceń będący bez wątpienia słowem, które wypowiedziane zostało dostatecznie głośno, by mogło przebić się przez odgłosy burzy:

-Boli.

Travis poczuł dreszcz zgrozy. Stworcy Obcego nie zaprojektowali go

jako istoty obdarzonej umiejetnoscia mowienia, lecz widocznie byl on dostatecznie inteligentny, by sie nauczyc jezyka, za pomoca ktorego pragnal nawiazac kontakt z otoczeniem. W czasie wielomiesiecznej pogoni za Einsteinem pragnienie to musialo stac sie tak silne, ze Obcy do pewnego stopnia zdolal przewyciezyc fizyczne ograniczenia. Znalazl sposob na to, by ze swego aparatu glosowego oraz nie przystosowanych do mowienia ust wydobyć kilka okaleczonych slow. Travis byl przerazony nie tyle widokiem przemawiajacego demona, co mysla o tym, jak bardzo musial on tesknic za jakakolwiek rozmowa. Nie chcial mu wspolczuc. Nie mogl sobie pozwolic na wspolczucie, poniewaz pragnal wierzyc, ze postepuje sluszenie scierajac go z powierzchni ziemi.

-Zaszedl daleko. Teraz koniec - powiedzial ze straszliwym wysilkiem, jak gdyby kazde slowo musial wyrywac sobie z gardla.

Jego oczy mialy wyraz zbyt obcy, aby mogly wzbudzic czyjekolwiek wspolczucie. Kazdy, nawet najdrobniejszy jego miesien sluzyl wylacznie zabijaniu.

Wyciagnawszy jedno ze swych dlugich ramion, podniosl z podlogi przedmiot, ktorego Travis do tej pory nie zauwazyl - kasete z Myszka Miki, jedna z tych, ktore Einstein dostal na Gwiazdke. Z obwoluty kasety spogladala slawna mysz. Miala na sobie ten sam stroj, co zawsze, i tak, jak zawsze, unosila reke w gescie pozdrowienia.

-Miki - zaskrzeczal Obcy. Jego chropowaty glos zabrzmial dziwnie przejmujaco, jakby wyrazilo sie w nim poczucie niepowtarzalnej straty i bezgranicznej samotnosci. - Miki.

Zaraz potem odrzucil kasete, na powrot przycisnal reke do ciala i czujac bliska juz agonie, zaczal kolysac sie w przod i w tyl.

Tra vis zrobil jeszcze jeden krok.

Twarz Obcego byla tak bardzo odrazajaca, tak doskonale brzydka, ze miala w sobie wrecz cos pociagajacego.



Rozległ się następny grzmot, lampy w szopie gwałtownie przygasły.

Uniosłszy głowę, głosem, w którym dały się słyszeć tony zimnej, obłakanej radości, potwór wychrypiał: Zabił psa, zabił psa, a potem wydał z siebie odgłos, który mógł uchodzić za śmiech.

W tym momencie Travis był gotów roznieść go na strzepy, nim jednak pociągnął za spust, śmiech Obcego przerodził się w coś, co przypominało jakby lkanie. Travis jak zahipnotyzowany czekał, co będzie dalej.

Utkwiwszy w nim świecące, żółte oczy, Obcy powtórzył: Zabił psa, zabił psa, zabił psa - tym razem jednak zabrzmiało to jak krzyk rozpacz, tak jakby pojął ogrom zbrodni, którą popełnił, posłuszny nakazowi genetycznemu.

Przeniósł wzrok na umieszczony na kasecie wizerunek Myszkę Miki.

-Zabij mnie - powiedział błagalnie.

Nie wiedząc, czy działa bardziej pod wpływem wściekłości, czy też powodowany litością, Travis nacisnął cyngiel i wpakował w Obcego całą zawartość magazynka uzi. Co człowiek kiedyś rozpoczął, teraz człowiek dokończył.

Cisnął karabin na posadzkę i wyszedł na zewnątrz. Nie miał siły, by wrócić do domu. Usiadł w trawie, skulił się na deszczu i zapłakał.

Wciąż jeszcze płakał, gdy błotnista droga od strony Coast Highway nadjechał Jim Keene.

XI

1

We czwartek po południu, trzynastego stycznia, Lem Johnson pozostawił Cliffa Soaraesa oraz trzech innych agentów w miejscu,

gdzie gruntowa droga łączyła się z Pacific Coast Highway. Mieli nie przepuszczać nikogo, ani w jedną, ani w drugą stronę, i czekać na sygnał Lema. Mina Cliffa Soamesa świadczyła o tym, że sposób działania szefa uważa za co najmniej dziwny, nie wyraził jednak głośno swoich zastrzeżeń.

Lem tłumaczył im, że z Travisem Cornellem, mającym za sobą służbę w Oddziale Delta i duże doświadczenie bojowe, należy postępować szczególnie ostrożnie. - Jeżeli zobaczy nas wszystkich, domysli się natychmiast, kim jesteśmy, i wówczas może zrobić jakieś głupstwo. Jeśli natomiast pójdzie sam, uda mi się chyba z nim porozmawiać i może zdołam go przekonać, żeby zrezygnował z oporu.

To uzasadnienie przyjęcia nietypowej procedury zabrzmiało chyba niezbyt przekonująco, bo twarz Cliffa pozostała nadal ponura.

Lem zupełnie się tym nie przejął. Pojechał dalej sam jeden i wkrótce zaparkował swój wóz na podjeździe przed drewnianym domem.

W koronach drzew śpiewały ptaki. Zima w północnej Kalifornii złagodniała na jakiś czas, toteż dzień był całkiem ciepły.

Lem wszedł po schodach i zapukał do frontowych drzwi.

Po drugiej stronie przeszklonego skrzydła ukazał się Travis Cornell. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym rzekł:

-Pan Johnson, jak sądzi.

-Skąd pan... no tak, oczywiście, opowiedział o mnie Garrison Dilworth tamtej nocy, gdy się do was dodzwonił.

Ku zaskoczeniu Lema, Cornell otworzył drzwi. - Może pan wejść.

Cornell miał na sobie bawełniany podkoszulek bez rękawów, zapewne ze względu na spowijający prawe ramię bandaż. Poprowadził Lema przez salon do kuchni, gdzie przy stole siedziała jego żona, zajęta

obieraniem jablek na placek.

-A, pan Johnson - powiedziala. Lem sie usmiechnal:

-Widze, ze wszyscy mnie tu znaja.

Cornell usiadl za stolem i podniosl do warg filizanke kawy. Nie zaproponowal kawy Leniowi.

Stojac tak obok niego, Lem poczul sie niezrecznie. Po namysle i on usiadl takze.

-Panstwo chyba rozumieja, ze to bylo nieuniknione. Predzej czy pozniej musielismy was odnalezc.

Nora w milczeniu obierala jablka. Jej maz z uwaga obserwowal zawartosc filizanki.

Co sie z nimi stalo, pomyslal Lem.

Przyjeli go zupełnie inaczej, niz tego oczekiwali. Spodziewali sie paniki, zlosci, przygnebienia oraz wielu innych rzeczy, nigdy nie sadzil jednak, ze spotka sie z tak niebywala apatia z ich strony. Sprawiali wrazenie jakby zupełnie ich nie obchodzilo to, ze w koncu ich wytropil.

-Czy nie interesuje was, w jaki sposob was odnalezlismy? Kobieta pokrecila glowa, a Cornell powiedzial:

-Jezeli naprawde sprawi to panu przyjemnosc, niech pan mowi, prosze sie nie krepowac.

Lem, zaskoczony, sciagnal brwi.

-No coz, to bylo calkiem proste. Wiedzielismy, ze pan Dilworth telefonowal do panstwa z jakiegos domu lub lokalu, polozonego w promieniu kilku przecznic od tego parku na polnoc od portu. Podlaczylismy nasze komputery do zbiorow danych firmy telefonicznej - oczywiscie za jej zgoda - i wyszukalismy wszystkie pozamiejscowe

rozmowy przeprowadzone tamtego wieczoru z numerów zainstalowanych w obrebie trzech przecznic od parku. W ten sposób nie osiągnelismy niczego. Potem jednak przyszło nam do głowy, że rozmowy prowadzone na koszt odbierającego nie są rejestrowane pod numerem, z którego je zamawiano; umieszcza się je na rachunku odbierającego, czyli w tym przypadku, na waszym. Oprócz tego są one jeszcze odnotowywane przez firmę telefoniczną w specjalnym zbiorze danych, który w razie potrzeby może posłużyć jako dowód przeciwko osobie, odmawiającej później zapłacenia rachunku. Dotarliśmy do tego zbioru - było na nim tylko kilka pozycji - i szybko zlokalizowaliśmy dom na brzegu morza, w najbliższym sąsiedztwie parku, skąd telefonowano pod wasz numer. W domu tym mieszka rodzina Essenby. Gdyśmy z nimi rozmawiali, zainteresował nas ich kilkunastoletni syn, imieniem Tommy. Musielismy poświęcić mu sporo czasu, ale w końcu uzyskaliśmy potwierdzenie, że z telefonu korzystał właśnie Dilworth. Wstępny etap poszukiwań ciągnął się całymi tygodniami, za to reszta była już dziecinnie prosta.

-Chce pan za to medal, czy jak? - zapytał Cornell. Kobieta zaczęła obierać następne jabłko.

Z pewnością nawet w najmniejszym stopniu nie ułatwiali mu zadania - ale nie mieli przecież pojęcia, że jego intencje bardzo się różniły od tego, czego mogli po nim oczekiwać. Nie mogli im mieć za złe tak chłodnego przyjęcia, skąd bowiem mogli wiedzieć, że przybywa jako przyjaciel.

-Słuchajcie, pozostawiłem moich ludzi niedaleko stąd przy szosie. Powiedziałem im, że moglibyście wpasć w panikę, zrobić coś niemiłego, jeśli zobaczylibyście całą grupę. Tak naprawdę jednak, przyszedłem sam, żeby... złożyć wam propozycję.

Nareszcie dojrzał w ich oczach błysk zainteresowania.

-Na wiosnę rzucam te przekłeta robotę. Dlaczego odchodzę... tego nie musicie wiedzieć, to was zresztą nie obchodzi. Wystarczy, jeśli

powiem, że przeszedłem gruntowną przemianę. Nauczyłem się żyć ze świadomością porażki i już się jej nie boję. - Westchnawszy ciężko, wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej ten pies nie może trafić do klatki. Gówno mnie to obchodzi, co oni mówią i czego chcą. Wiem, co jest słuszne. Sam dobrze wiem, co to znaczy siedzieć w klatce. Byłem zamknięty w jednej z nich przez całe życie i dopiero ostatnio odzyskałem wolność. Pies nie może wrócić do laboratorium. Chciałbym panu zaproponować, Cornell, żeby go pan stąd teraz wyprowadził i ukrył w lesie, w jakimś bezpiecznym miejscu. Ekipe ściągę dopiero po pańskim powrocie. Powie im pan, że retriever uciekł wam przed kilkoma miesiącami i że według was musiał zginąć albo trafił w ręce ludzi, którzy otoczyli go troskliwą opieką. Nadal nie rozwiązany pozostanie problem Obcego - musicie o nim wiedzieć - ale wspólnie możemy opracować plan działania na wypadek, gdyby się tutaj zjawiał. Kaze was śledzić moim ludziom, lecz po paru tygodniach ich odwołam pod pozorem pilniejszych zadań...

Cornell wstał w miejsca i podszedł do Lema. Lewą ręką schwycił go za koszulę na piersiach i poderwał na nogi.

-Spóźniłeś się o szesnaście dni, ty sukinsynu - powiedział z wściekłością. - O co panu chodzi?

-Pies nie żyje. Zabił go Obcy, a ja z kolei zabiłem jego. Kobieta odłożyła noż i kawałek jabłka. Ukryła twarz w dłoniach, pochyliła się do przodu i skuliwszy ramiona zaczęła cicho płakać.

-O Jezu - westchnął cicho Lem.

Cornell zwolnił uchwyt. Zbity z tropu, przygnębiony Lem poprawił krawat, wygładził koszulę. Rzucił okiem na spodnie i strzepnął coś z nogawki.

-O Jezu - powtórzył.

Cornell zaprowadził ich do miejsca w lesie, gdzie pogrzebał Obcego.

Ludzie Lenia rozkopali mogile. Monstrum owinięte było plastikową folią, lecz nie musieli jej rozwijać, by stwierdzić, że mają przed sobą dzieło doktor Yarbeck.

Chociaż w ostatnich dniach było dość chłodno, zwłoki zaczynały już gnicić.

Cornell nie zdradził im, gdzie pochował psa.

-Nigdy nie miał możliwości, żeby żyć w spokoju - oznajmił ponuro - za to teraz, na Boga, nikt mu go nie zakłoci. Nie będzie żadnej sekcji. Nie ma mowy.

-W przypadku gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe, może pan zostać zmuszony...

-Niech tylko spróbują - obruszył się Cornell. - Jeżeli postawią mnie przed sądem i będą próbowali zmusić, żebym wskazał miejsce spoczynku Einsteina, opowiem o wszystkim prasie. Jeśli natomiast zrezygnują z psa, zostawią mnie i moją żonę w spokoju, nie puszcze pary z ust. Nie zamierzam wracać do Santa Barbara ani do nazwiska Travis Cornell. Jestem Hyatt i tak już pozostanie. Moje stare życie skończyło się raz na zawsze. Nie ma powodu, by do niego wracać. Jeżeli władze stac na rozsadek, pozwoli mi być Hyattem i będą się trzymać ode mnie z daleka.

Lem długo wpatrywał się w twarz Trávisa, po czym rzekł:

-Tak, myślę, że jeżeli są rozsadni, postępują właśnie w ten sposób.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy Jim Keene szykował obiad, usłyszał nagle sygnał telefonu. Dzwonił Garrison Dilworth, którego nigdy w życiu nie widział, a którego poznał, pełniąc w ubiegłym tygodniu funkcję łącznika pomiędzy prawnikiem a Travisem i Nora. Garrison telefonował z budki w Santa Barbara. - Czy już się pokazali? - zapytał.

-Dzis po poludniu - odparl Jim. - Ten Tommy Essenby to dobry dzieciak.

-Calkiem niezly - zgodzil sie Garrison. - Ale przychodzac do mnie z ostrzezeniem, nie kierowal sie bynajmniej dobrocia serca. Wyrazil po prostu w ten sposob swoj bunt przeciwko wladzy. Kiedy przycisneli go, chcac uzyskac potwierdzenie, ze to ja dzwonilem z jego domu tamtej nocy, poczul sie urazony.

-Zabrali ze soba Obcego.

-A co z psem?

-Travis powiedzial, ze nie pokaze im grobu. Zapowiedzial, iz jesli zaczna go naciskac, narobi straszneho zamieszania.

-Jak sie czuje Nora? - zapytal Dilworth.

-Nie straci dziecka.

-Dzieki Bogu. Musiala doznac wielkiej ulgi.

2

W osiem miesiecy pozniej, podczas wrzesniowego weekendu, rodziny Johnsonow i Gainesow spotkaly sie na berbecue w domu szeryfa. Przez cale popoludnie grali w brydza. Lem i Karen niemal bez przerwy wygrywali, co w ostatnich czasach nalezalo do rzadkosci, jako ze podejscie Lema do gry uleglo istotnej zmianie; nie odczuwal juz owej fanatycznej potrzeby odnoszenia zwyciestwa, tak kiedys typowej dla niego. Odszedl z NSA w czerwcu i na razie utrzymywal sie z pieniedzy odziedziczonych przed laty po ojcu. Nosil sie z zamiarem podjecia nowej pracy na wiosne. Krazyl mu po glowie pomysl zalozenia jakiegos malego interesu, w ktorym on sam sobie bylby szefem i sam ustalal godziny swojej pracy.

Pod wieczor, gdy zony przeszly do kuchni, zeby przygotowac salatki,

Lem i Walt zajęli się pieczeniem mięsa na patiu.

-Wciąż nadal znany jesteś w Agencji jako człowiek, który spartolił sprawę Banodyne?

-I tak już pozostanie do końca świata.

-Ale nadal wypłacają ci emeryturę - zauważył Walt.

-No cóż, przepracowałem tam dwadzieścia trzy lata.

-Nie podoba mi się, że człowiek może spieprzyć największą sprawę stulecia i odejść ze służby w wieku czterdziestu sześciu lat, a do tego wszystkiego pobierać jeszcze pełną emeryturę. - Tylko siedemdziesiąt pięć procent.

Walt rozkoszował się przez chwilę wonnym dymem, który szedł od plasterków mięsa.

-Chocby nawet. Dokąd zmierza nasz kraj? W mniej liberalnych czasach ktoś taki jak ty zostałby wychłostany i spalony na stosie. - Ponownie wciągnął w nozdrza aromat pieczenia. - Opowiedz mi jeszcze raz o tym zdarzeniu w ich kuchni.

Lem opowiadał te historie chyba ze sto razy, lecz Walt słuchał jej zawsze z jednakową przyjemnością.

-No więc, w tej kuchni było niesamowicie czysto, wszystko aż lśniło. Cornell i jego żona też mogli służyć za wzór schludności. Powiedzieli mi, że pies zginął przed dwoma tygodniami i zaraz potem został pogrzebany. Rozwścieczony Cornell rzuca się na mnie, szarpie za koszulę, podrywa z krzesła, spogląda przy tym tak, jakby miał ukreć mi głowę. Kiedy mnie wreszcie puszcza, poprawiam krawat, obciagam koszulę i... patrzę w dół, na spodnie. Takie już mam przyzwyczajenie. Właśnie wtedy dostrzegam te złote włosy. Psia sierść. Ani chybi retrievera. Czy to możliwe, żeby ci tak dbający o porządek ludzie, i w dodatku spragnieni ciągle jakichś zajęć, które pozwoliłyby im oderwać



sie od wspomnien o niedawnej tragedii, przez ponad dwa tygodnie nie znalezi czasu na sprzatniecie domu?

-Miales te wlosy na calych spodniach?

-Mnostwo wlosow.

-Tak jakby pies siedzial na tym krzesle tuz przed twoim przyjsciem?

-Mialem wrazenie, ze gdybym przyszedl dwie minuty wczesniej, moglbym, siadlszy na krzesle przygniesc zwierzaka.

Walt przewrocil mieso na druga strone.

-Jestes niezwykle spostrzegawczy, Lem. Powinienes zajsc daleko w swoim fachu. Doprawdy nie rozumiem, w jaki sposob, dysponujac tyloma talentami, udalo ci sie tak dokladnie rozlozyc sledztwo w sprawie Banodyne.

Jak zwykle, w tym miejscu obaj parskneli smiechem.

-Sadze, ze to kwestia szczescia - odparl Lem i ponownie sie rozesmial.

3

Kiedy James Garrison Hyatt obchodzil dwudziestego osmego czerwca swoje trzecie urodziny, jego matka byla w ciazy z drugim dzieckiem, ktore potem okazalo sie dziewczynka. Urzadzili urodzinowe przyjecie w swym drewnianym domu, stojacym posrod pokrytych lasem wzgorz, w poblizu Pacyfiku. Bylo to zarazem przyjecie pozegnalne - Hyattowie mieli sie wktotce przeniesc do nowego, o wiele wiekszego domu i pragneli rozstac sie uroczyscie z miejscem, ktore bylo ich pierwszym wspolnym siedliskiem rodzinnym. Z Carmel przyjechal Jim Keene z Pooka i Sadie, para czarnych labradorow, oraz z mlodym zlocistym retrieverem, Leonardem, nazywanym przez niego zdrobniale Leo. Przybylo tez paru bliskich przyjaciol z miejscowej agencji handlujacej

nieruchomosciami, w ktorej od pewnego czasu Sam - dla wszystkich "Travis" - pracowal, probujac powrocic do branzy, oraz z galerii w Carmel, ktora wystawiala i sprzedawala obrazy Nory. Wszyscy oni zabrali ze soba swoje retrievery - potomkow Einsteina i jego towarzyszki Minnie z drugiego miotu.

Zabraklo jedynie Garrisona Dilwortha. Zmarl w ubieglym roku w czasie snu.

Pogoda byla wspaniala, nastroje rowniez, nie tylko dlatego, ze wszyscy byli przyjaciolmi i cieszyli sie ze spotkania, ale rowniez za sprawa cudownej, radosnej tajemnicy, ktora na zawsze zlaczyla ich w jedna, ogromna rodzine.

W uroczystosci uczestniczyly rowniez wszystkie psy z pierwszego miotu: Miki, Donald, Daisy, Huey, Dewey, Louie. Nora i Travis nie potrafili sie z nimi rozstac, totez zamieszkalay razem z rodzicami w domu Cornellow.

Psy bawily sie nie gorzej od ludzi. Dokazywaly na trawie, graly w chowanego posrod drzew, ogladaly wideo w salonie.

Patriarcha psiego rodu bral udzial w niektorych rozrywkach, wiekszosc czasu spedzal jednak z Travisem i Nora, trzymajac sie przy tym jak zwykle w poblizu Minnie. Mocno utykal, co bylo skutkiem trwalego kalectwa - Obcy zmiazdzyl mu okrutnie tylna prawa noge. Gdyby nie wyatkowe zaangazowanie Jima Keene'a, ktory poswiecil mnostwo czasu i wysilku, starajac sie przywrocic go do zdrowia, prawdopodobnie nie obeszloby sie bez amputacji.

Travis czesto sie zastanawial, czy Obcy rzeczywiscie cisnal z wielka sila Einsteinem o sciane, zeby go zabic. Moze w chwili, gdy zycie Einsteina znalazlo sie w jego rekach, monstrum spojrzalo w glab swej duszy i odnalazlo w niej kropelke litosci, nie przewidziana przez jego tworcow, lecz mimo wszystko, jakimś cudem tam obecna. Byc moze przypomnialo sobie jedyna przyjemnosc, jaka wraz z psem dzielilo w laboratorium - kreskowki Disneya. Wspominajac wspolne przezycia,

być może po raz pierwszy ujrzało przed sobą mglistą szansę na to, by stać się kims podobnym do innych żywych istot. A dojrzawszy ją przekonało się, że nie potrafi zabić psa. Przecież wystarczyłby jeden ruch straszliwych szponów, by wypruć wnętrzności z retrievera.

Jim Keene zajął się również tatuażem w uchu Einsteina i teraz nie istniał już żaden dowód na to, że pies pochodził z Banodyne; zresztą w dalszym ciągu, w razie potrzeby, potrafił on doskonale udawać "glupiego".

Podczas urodzinowych szaleństw, Minnie obserwowała Einsteina i dzieci z wyraźnym oszłomieniem, zupełnie nie pojmując wielu ich zachowań czy żartów. Choć nigdy nie potrafiła ich w pełni zrozumieć, jak chyba żadna inna psia matka darzona była zawsze gorącą miłością przez wszystkie te istoty, którym dała życie. Troszczyła się o nie, a one odwzajemniały te troski.

Gdy wreszcie nastał kres radosnego dnia i zapadł zmrok, gdy odjechali goście, a Jimmy usnął w swoim pokoju, gdy Minnie wraz z dziećmi z pierwszego miotu udała się na nocny spoczynek, Einstein, Travis i Nora spotkali się w przyległej do kuchni spiżarni.

Maszyna wyrzucająca klocki scrabble zniknęła. Jej miejsce zajął stojący na podłodze komputer IBM. Einstein chwycił w zęby paleczkę i zaczął nią uderzać w klawisze. Na ekranie ukazał się napis.

DZIECI SZYBKO ROSNA.

-To prawda - powiedziała Nora. - Twoje o wiele szybciej niż nasze.

KTOREGOS DNIA BEDA WSZEDZIE.

-Jeżeli damy im dość czasu i odpowiednie warunki, kiedyś zasiedla cały świat - przytaknął Travis. TAK DALEKO ODE MNIE. TO SMUTNE. Nora westchnęła.

-Tak to już jest. Ale prędzej czy później, młode ptaki zawsze wylatują

z gniazda.

A KIEDY ODEJDE?

-O co ci chodzi? - zapytał Travis, pochylając się i gładząc gestą sierści psa.

CZY BĘDĄ O MNIE PAMIĘTAĆ?

-Ależ tak, kudłata mordko - zapewniła Nora. Uklekła, po czym przytuliła do niego twarz. - Dopóki istnieć będą psy i ludzie gotowi się nimi zająć, pamięć o tobie nie zaginie.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)